



GWIEZDNE WOJNY

TRYLOGIA KORELIŃSKA I

Zasadzka na Korelii

ROGER MacBRIDE ALLEN

Przekład
ANDRZEJ SYRZYCKI



Tytuł oryginału
AMBUSH AT CORELIA

Redakcja stylistyczna
WANDA MONASTYRSKA

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
PAWEŁ STASZCZAK

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Opracowanie graficzne okładki
WYDAWNICTWO AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER oraz
możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu
<http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © & TM 1995 by Lucasfilm, Ltd
All rights reserved. Used under authorization.
Published originally under the title
Ambush at Corellia by Bantam Books

*Kathei i Taylorowi,
którzy wyruszyli na spotkanie z własną przygodą*

OD AUTORA

Chciałbym podziękować Betsy Mitchell za to, że pomyślała o mnie podczas planowania tego przedsięwzięcia, a Tomowi Dupree za to, iż cały czas pomagał mi i wspierał mnie na duchu. Składam również podziękowania wszystkim ludziom dobrej woli z „Lucasfilm”, a zwłaszcza Sue Rostoni, która przekazała mi mnóstwo cennych informacji. Chciałbym też podziękować innym Autorom powieści z cyklu *Gwiezdne Wojny*, a w szczególności: Kevinowi Andersonowi, Kathy Tyers, Dave’owi Wolvertonowi, Vondzie McIntyre i Timowi Zahnowi za to, że udzielili mi wielu mądrych rad i pozwolili skorzystać z jednej czy nawet kilku wymyślonych przez siebie postaci. Pełne wdzięczności kiwnięcie głowy kieruję także pod adresem Heather McConnell, której sugestie pomogły mi wymyślić robota QiunineEkstoo.

Spośród osób bliskich sercu chcę podziękować żonie, Eleanore Maury Fox, za cierpliwie przepisywanie ogromnych ilości tekstu, i to podczas wiosny i lata obfitujących w wiele wydarzeń (jednym z nich, mającym miejsce w czasie przerwy między podróżami od jednej do drugiej miejscowości, których listę zamieszczam poniżej, był nasz ślub). Liczne uwagi, poczynione przez nią na marginesach rękopisu, w znacznym stopniu przyczyniły się do poprawy jakości tej książki. Pragnąłbym podziękować także innym osobom, które darzą głębokim uczuciem, a zwłaszcza rodzicom, Tomowi i Scottie Allenom, oraz świeżo upieczonym teściom: Davidowi Foxowi i Elisabeth Maury za niewiarygodną hojność i tolerancję, daleko wykraczającą poza wszelkie granice.

Gwoli ścisłości: niniejsza książka została napisana między pierwszym kwietnia a dwudziestym września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, a powstała w miejscowościach, uszeregowanych mniej więcej w chronologicznej kolejności: w Lizbonie (Portugalia), w pociągu z Lizbony do Coimbry, w samolocie z Lizbony do Londynu, w Londynie, w londyńskim metrze, w samolocie z Waszyngtonu do Londynu, w samolocie z Londynu do Waszyngtonu, w Nowym Jorku (Waszyngton DC), w Tyson’s Corner (Wirginia), w Arlington (Wirginia), w Bethesda (Maryland). w Border’s Bookshop w McLean (Wirginia), we Fresno (Kalifornia), w Ashland (Oregon), w Winnipeg (Kanada), w National Foreign Affairs Training Center w Arlington (Wirginia) oraz w Charlottesville (Wirginia).

Jak mówią słowa piosenki: „Co to była za długa, dziwna podróż”.

Roger MacBride Allen
wrzesień 1994 r.
Arlington (Wirginia)

ROZDZIAŁ

1

UJAWNIONE TAJEMNICE

- No, dobra, Chewie. spróbuj teraz.

Han Solo wsunął komunikator z powrotem do kieszeni i z wyrazem niepokoju na twarzy cofnął się o kilka kroków od „Sokoła Millenium”. Tym razem powinno się udać. Tak samo uważali jednak poprzednio, podobnie zresztą jak i wcześniej. Z miejsca, gdzie stał, mógł zajrzeć przez dziobowy iluminator do wnętrza frachtowca, dzięki czemu widział, że i Chewbacca nie okazuje pewności siebie. Nagle dostrzegł, iż Wookie sięga do urządzenia sterującego repulsorów. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i siłą woli zmusił się do wypuszczenia powietrza.

„Sokół Millenium” zadrżał niespokojnie, a potem majestatycznie uniósł się w powietrze. Chewie pozwolił mu się wznosić, ale kiedy łapy ładownicze znalazły się na poziomie oczu jego przyjaciela, przestał zwiększać dopływ mocy do repulsorów.

Han wyciągnął komunikator i pstryknął przełącznikiem, po czym zbliżył urządzenie do twarzy.

- Bardzo dobrze powiedział. - Doskonale. A teraz włącz generator pola ochronnego.

Powietrze wokół kadłuba statku zadrżało, zamigotało i załśniło, ale po chwili wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Han cofnął się jeszcze kilka kroków. Nie chciał przebywać tak blisko, kiedy Chewbacca wyłączy silniki napędu antygravitacyjnego.

- W porządku, Chewie - oznajmił. A teraz... wyłącz repulsory!

Dysze antygravitatorów przestały jarzyć się pełnym blaskiem i „Sokół” natychmiast opadł... ale znieruchomiał w powietrzu, kiedy łapy ładownicze znalazły się na wysokości bioder Hana. Tu i ówdzie pod kadłubem frachtowca pojawiały się pojedyncze iskry, a powietrze drżało na znak, że pole energetyczne przemieszcza się na skutek zwiększonego obciążenia.

- Dobrze - powtórzył Han. - Bardzo dobrze.

Ponieważ nie miał pod ręką turbolaser, żeby strzelić do statku z najmniejszej możliwej odległości, musiał uznać tę próbę za najlepszy test wytrzymałości ochronnych pól siłowych, na jaki mógł sobie pozwolić w tych warunkach. Doszedł do wniosku, że jeżeli pola wytrzymują ciężar statku, z pewnością powinny...

Nagle pod drugą łapą ładowniczą pojawiły się w powietrzu snopy iskier

- Chewie! Włącz repulsory! - krzyknął Han, przeczuwając, co zaraz nastąpi. - Za chwilę...

Pojawił się oślepiający błysk i tylna część siłowego pola zanikła. Rufowe łapy uderzyły o platformę ładowniczą z takim hukiem, że Han runął jak długi. Dziób statku nadal unosił się w powietrzu, wskutek czego rufa odbiła się od płyty i uniosła, chociaż nic tak wysoko jak poprzednio.

Kiedy znalazła się w najwyższym punkcie i miała zacząć znów opadać, zanikła także przednia część pola ochronnego. W tej samej chwili obudziły się do życia repulsory dziobowe. Rufowe poszły w ich ślady ułamek sekundy później, ale można było się zorientować, że pracują nierówno. Z pewnością takie silne uderzenie o twardą płytę nic wyszło na dobre zwojnicom rufowych antygravitatorów. Mimo to Chewie doskonale wybrał moment włączenia silników. Han widywał, jak siatki lądowały na grzbiecie, kiedy niedoświadczeni piloci usiłowali poradzić sobie z zanikiem poduszki pola energetycznego.

Stopniowo zmniejszając dopływ energii do repulsorów, Chewie łagodnie osadził frachtowiec na platformie ładowniczej, po czym całkowicie wyłączył zasilanie. Kilka chwil później opuścił rampę i zaczął schodzić. Najwyraźniej także nie był uszczęśliwiony, że próby zakończyły się niepowodzeniem. Nagle głośno zaryczał, a potem odwrócił się i ruszył w górę rampy. Po kilku sekundach ponownie ukazał się w otworze wjazdu. Tym razem niósł zestaw do regulacji emiterów pola.

Sytuacja wyglądała niewesoło. Po tylu latach spędzonych w towarzystwie Chewbacca Han dobrze wiedział, że nie powinien pozwalać, aby sfrustrowany Wookie wyładowywał złość na naprawianiu jakiegokolwiek urządzenia. Istniało prawdopodobieństwo, że usiłując dostroić generator pola ochronnego, mógłby wyrwać go razem z obudową.

- Wiesz co, Chewie, to chyba nie jest najlepszy pomysł - odezwał się z naciskiem w głosie. Zostawmy wszystko tak, jak jest. Zajmiemy się tym jutro.

Chewbacca zaryczał i rzucił pojemnik z narzędziami na płytę lądowiska.

- Wiem, wiem - odparł Han. - Zajmuje nam to więcej czasu niż powinno, a ty masz dosyć regulowania podsystemów, które dostrajaliśmy przed tygodniem. Ale tak już bywa ze statkami takimi jak „Sokół”. Mają wiele wrażliwych, wymagających regulowania urządzeń i podzespołów. Bardzo często działanie jednego wpływa na funkcjonowanie wszystkich innych. Jeżeli dostroisz jeden, reagują pozostałe. Jedynym sposobem, żeby nie przechodzić przez to wszystko, byłoby przekazanie statku na złom i rozejrzenie się za czymś nowym... a chyba nie chcesz oddać „Sokoła” na złom, prawda?

Chewie odwrócił się i spojrzał na frachtowiec z błyskiem w oczach, który uświadomił Hanowi, że powinien rozsądnie używać argumentów. Rosły Wookie nigdy

nie darzył „Sokoła” tak głębokim uczuciem jak jego przyjaciel, a Han dobrze wiedział, że wcześniej czy później i tak będzie musiał oddać staruszka do składnicy złomu - albo, co bardziej prawdopodobne, do muzeum. Miał pewne trudności z oswojeniem się z tą, myślą, ale doskonale wiedział, ile galaktycznych szlaków przemierzył jego wierny „Sokół”.

Teraz jednak musiał zrobić coś, żeby Chewbacca się uspokoił albo zrezygnował z regulacji urządzeń wytwarzających pole ochronne. A najlepiej i jedno, i drugie.

- Jutro powtórzył. - Wrócimy do tego jutro. Na razie pomyślmy o czymś innym, zgoda? Zapewne Leia nie może się doczekać, kiedy przyjdziemy na kolację.

Wyglądało na to, że wzmianka o posiłku - jak przewidywał Han natychmiast poprawiła humor Chewbacca. Dbanie o dobre samopoczucie Wookiego zajmowało mnóstwo czasu i wymagało nieustannej uwagi. Od czasu do czasu Han zastanawiał się, ile wysiłku wkłada Chewie w to, żeby równie dobrym samopoczuciem mógł się cieszyć jego przyjaciel. Doszedł jednak do wniosku, że może zastanowić się nad tym kiedy indziej. Uznał, iż najwyższa pora zakończyć pracę.

Zdumiewające, jak zmieniły się czasy, a raczej jak czas zmienił jego życie. Po tych wszystkich alarmach, jakie przeżył, i bitwach, w których uczestniczył, po odniesionych zwycięstwach i ryzykownych wyczynach, wszystko sprowadziło się do tego, że oto powracał do domu, żeby zjeść kolację. Jestem teraz mężem i ojcem, pomyślał, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak do tego doszło. A już najbardziej dziwiło go, że bardzo mu się to podobało.

Uniósł głowę i popatrzył na wieczorne niebo, na którym ukazywały się - widoczne ponad wieżowcami Coruscant - pierwsze gwiazdy. Ileż to czasu upłynęło? Osiemnaście lat? Osiemnaście lat, odkąd zgodził się przetransportować z Tatooine na Alderaan dwóch pasażerów: zwariowanego starca nazywanego się Ben Kenobi i chłopaka, na którego wołano Luke Skywalker. Tamta wyprawa na zawsze zmieniła jego życie a jeżeli ktoś chciał myśleć o naprawdę poważnych sprawach, zmieniła bieg historii całej galaktyki.

Dziewięć lat upłynęło od zwycięstwa nad wielkim admirałem Thrawnem i Ciemnym Mistrzem Jedi. Tyle samo minęło także od narodzin bliźniąt. Jacena i Jaina, i trochę ponad siedem od przyjscia na świat małego Anakina.

- Czy mam przyjemność z kapitanem Solo?

Głos, który wyrwał Hana z zadumy, należał niewątpliwie do kobiety. Dobiegał zza pleców i miał niskie, gardłowe brzmienie. Han nigdy go nie słyszał, ale uświadomił sobie, że zwiastuje jakieś zagrożenie. Brzmiał odrobinę zbyt cicho, zbyt spokojnie i zbyt chłodno.

- Ta-a - odpowiedział, odwracając się w stronę rozmówczyni. - Nazywam się Solo.

Z gęstniejących obok wejścia hangaru ciemności wyłoniła się drobna, szczupła, śniadoskóra kobieta. Miała na sobie granatowy mundur, który mógł być noszony przez członków załóg jednej z flot Marynarki Nowej Republiki. Możliwe jednak, że nie był. Han nie potrafiłby powiedzieć, jakie mundury noszą ostatnio marynarze pełniący służbę na gwiazdnych okrętach.

- Kim jesteś? - zapytał, nie przestając się jej przyglądać.

Kobieta podeszła bliżej, uśmiechając się ciepło. Po chwili Han ujrzał ją całkiem wyraźnie. Wyglądała młodo - mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć standardowych lat. Spojrzenie jej szklanych i odrobinę za szeroko rozstawionych oczu kierowało się trochę w bok, jakby kobieta miała lekkiego, trudno zauważalnego zęza. Patrzyła prosto w oczy Hana, ale Solo odnosił dziwne wrażenie, że nieznajoma wpatruje się w coś ponad jego ramieniem... może w pustą przestrzeń, a może w sąsiednią galaktykę. Czarne jak międzygwiazdne przestworza włosy zaplotła w kunsztowny warkocz, który zwinęła i spięła na czubku głowy.

Podeszła jeszcze bliżej - tak lekko i swobodnie, jak gdyby znała go od dziecka i darzyła nieograniczonym zaufaniem.

- Cieszę się, że cię widzę - oznajmiła. - Możesz mówić do mnie Kalenda.

- W porządku - odparł Solo. - Mogą mówić do ciebie Kalenda. I co z tego?

- Mam dla ciebie pewne zadanie

Dopiero ta ostatnia informacja w prawila Hana w prawdziwe zdumienie. Zadanie? Już miał na końcu języka jakąś ciętą. Odpowiedź,

ale w porę się powstrzyma. Przecież to nie miało sensu. Wszystko

wskazywało na to, że kobieta doskonale wie, kim jest jej rozmówca. Nie widział w tym nic nadzwyczajnego, jako że on, Leia i Luke byli dobrze znani i sławni chyba w całej Republice. Gdyby jednak Kalenda naprawdę go znała, nie mogłaby nie wiedzieć, że od dawna nie wykonuje zadań zleczanych przez nieznane, przypadkiem napotkane osoby. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

- Mów dalej rzekł, starając się, aby ton jego głosu pozostał obojętny.

Kalenda przeniosła spojrzenie w taki sposób, że skierowała je

prawie, ale niezupełnie, na rosnącego Wookiego

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiali w cztery oczy - powiedziała cicho.

- Chewbacca równie cicho warknęła, a Han nawet nie musiał od

wracać głowy, żeby rzucić okiem na przyjaciela. Dobrze wiedział, co zobaczy.

Pomyślał, że powinien zwrócić uwagę Kalendy na obnażone kły Chewiego.

- Myślę, że wcale nie byłoby lepiej - odrzekł po chwili. - Nie chce słuchać niczego, czego nie mógłby usłyszeć także Chewbacca.

- Niech będzie, jak chcesz - stwierdziła nieznajoma. - Ale może przynajmniej wszyscy troje moglibyśmy porozmawiać tam, gdzie nas nikt nie usłyszy?

- Świetnie - odparł Solo. - Co powiesz na to, żebyśmy ucieli sobie pogawędkę na pokładzie „Sokoła”?

Kalenda zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że pomysł nie przypadł jej do gustu

We wnętrzu frachtowca Han czuł się jak u siebie w domu. Po chwili chyba jednak zrozumiała, że nie ma wyboru.

- Bardzo dobrze - zgodziła się w końcu. Han wyciągnął rękę i zamasztył gestem wskazał opuszczoną rampę. Lekko się skłonił - na tyle lekko, żeby dać do zrozumienia, iż w owym geście miał się kryć sarkazm.

- W takim razie zapraszam do środka - powiedział.

Robot sondujący postanowił zmienić swoją kryjówkę. Nie wydając absolutnie żadnego dźwięku, przeleciał tuż nad przegrodą hangaru, a potem, by nie rzucać się w oczy, znieruchomiał, ukryty za stertą okratowanych skrzyń i pojemników. Miał czarny, matowy pancerz, dzięki któremu w ciemnościach zapadającej nocy stawał się całkowicie niewidoczny. Obserwował, jak Wookie i dwie istoty ludzkie idą w górę rampy i znikają we wnętrzu statku.

Wyciągnął zakończony czujnikiem akustycznym manipulator i wymierzył go w kadłub „Sokoła Millennium”. Przez chwilę się wahał, po czym przemierzył się jeszcze nieco bliżej frachtowca. Wprawdzie bardziej narażał się na niebezpieczeństwo, że zostanie zauważony, ale reguły oprogramowania, wpisane do pamięci przez obecnych właścicieli, nakazywały mu nadać najwyższy priorytet podsłuchaniu i zarejestrowaniu treści właśnie tej rozmowy. Automat zdecydował się na podjęcie ryzyka, byle tylko jego obecni rozkazodawcy mogli otrzymać jak najlepsze nagranie wszystkiego, o czym będą rozmawiały owe trzy istoty.

Kalenda weszła po rampie pierwsza i jako pierwsza zniknęła we wnętrzu statku Han i Chewie szli o krok za nią. Możliwe, iż uprzejmość nakazywała, aby kapitan ruszył przodem i pokazywał drogę, ale Han pragnął, żeby kobieta straciła chociaż część pewności siebie. A poza tym odnosił wrażenie, że Kalenda nie znosi, kiedy ktoś znajduje się za jej plecami. Uważał, że nie może przepuścić okazji zdenerwowania tajemniczej nieznajomej Tymczasem kobieta dotarła do szczytu rampy, poczym bez wahania skręciła i ruszyła do świetlicy.

Chwilę trwało, zanim Han uzmysłowił sobie, że Kalenda jeszcze nigdy dotychczas nie przebywała na pokładzie jego statku. Powinna była przystanąć u szczytu rampy i zawahać się, nie wiedząc, dokąd się udać. Zamiast tego zajęła najwygodniejszy fotel, zanim Han i Chewie zdążyli przekroczyć próg drzwi świetlicy. Musiała zatem zdobyć plany wnętrza statku i zapoznawać się z nimi tak długo, że zapamiętała, gdzie znajdują się najważniejsze pomieszczenia. Ujawniła w ten sposób, ile czasu poświęciła na przygotowania i ile wie o osobie Hana.

No cóż, niech tak będzie. Jeżeli Solo postanowił bawić się z nią w różne gierki, musiał być przygotowany na to, że i kobieta odpłaci mu pięknym za nadobne.

- Doskonale - zaczął, siadając na innym fotelu. Chewbacca zastygł w pobliżu drzwi, jakby chciał uniemożliwić nieznajomej opuszczenie świetlicy. - Wiesz o mnie wszystko, nie wyłączając rozkładu pomieszczeń na pokładzie mojego frachtowca. Udowodniłaś, że masz ogromne możliwości. Dobrze odrobiłaś swoją pracę domową. Niestety, to, wszystko nie wywiera na mnie najmniejszego wrażenia.

- Nie spodziewałam się, że wywrze - odrzekła kobieta. - Zapewne nie zaliczasz się do osób, na których można łatwo wywrzeć wrażenie.

- Staram się, jak mogę przyznał Solo. - No, dobrze. Chciałbym jak najszybciej wrócić do żony i dzieci.. W jakiej sprawie pragnęłaś ze mną rozmawiać?

- Właśnie w sprawie żony i dzieci - oznajmiła Kalenda, nawet nie mrugnawszy powieką. Dopiero w tej chwili jej dziwaczne, jakby kierujące się gdzieś indziej

spojrzenie spoczęło dokładnie na twarzy rozmówcy. Zamarło, skupiło się, niemal wpiło w jego oczy.

Han poczuł, że napina wszystkie mięśnie. Uświadomił sobie, że pochyła się nad blatem stołu. Chewie warknął przeciągle i obnażył kły. Członkowie rodziny Solo byli wielokrotnie narażani na tyle niebezpieczeństw, że Han nie mógł nie potraktować choćby cienia następnej groźby z należytą powagą.

- Pogróżki także nie wywierają na mnie wrażenia - oświadczył z taką samą stanowczością, jaka przebijiała ze spojrzenia Kalendy. -

Mając u boku Chewbacę, nie muszę się obawiać, że osoby uciekające się do gróźb długo pożyją. Musisz zatem bardzo, bardzo uważać na to, co za chwilę powiesz.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała głucha cisza. Nieznajoma nie odrywała wzroku od oczu Hana. Mężczyzna odwzajemniał jej spojrzenie.

- Nie zamierzałam grozić żadnemu członkowi twojej rodziny odezwała się w końcu kobieta równie beznamiętnym tonem, jak poprzednio. - Chodzi jedynie o to, że Wywiad Nowej Republiki

pragnąłby ich... wykorzystać. Ich i ciebie.

Wywiad Nowej Republiki? Czego, u diabła, mógłby chcieć od niego WNR? Jeżeli Han Solo był tak dobrze znaną osobą, że musiał zaniechać przemycania towarów, z pewnością z powodu tej popularności nie nadawał się też do roli szpiega. A poza tym, nie znosił rządowych szpicli - i to bez względu na to, kto stał u steru rządów.

- Nie zwiększyłaś swoich szans przeżycia - stwierdził oschle. - W jaki sposób chcielibyście nas „wykorzystać”?

- Wiemy, że wkrótce wybieracie się na Korelię - zaczęła Kalenda.

- To miłe - przyznał Solo. - Musicie mieć wyjątkowo pracowitych agentów, uważnie studiujących codzienne wiadomości. Tyle że nasza wyprawa nigdy nie stanowiła żadnej tajemnicy.

Wręcz przeciwnie, w obecnych spokojnych czasach uchodziła nawet za coś w rodzaju sensacji. Leia stała na czele delegacji wysyłanej przez Coruscant na Korelię i miała tam wziąć udział w obradach konferencji poświęconej zagadnieniom międzyplanetarnego handlu. Obrady traktowano jako pierwszy krok zmierzający do ponownego przyłączenia całego sektora korelińskiego do sieci handlowej, która obejmowała sporą część cywilizowanych światów galaktyki. Gromada Korelii była zawsze uważana za jedną z najbardziej samowystarczalnych i niechętnie nawiązujących kontakty z innymi światami części Imperium, a przedtem Starej Republiki. Zanim Han na dobre pożegnał się z rodzinną Korelią, jej władcy właściwie przestali utrzymywać jakiegokolwiek stosunki z innymi systemami.

Wszystko przemawiało za tym, że odkąd władzę w sektorze przejęła Nowa Republika, ów stan nie uległ właściwie żadnej poprawie. Prawdę mówiąc, rzadko wymieniano się nazwą sektora korelińskiego, nie używając przy okazji słów takich jak „odizolowany”, „nieufny” czy nawet „paranoidalny”. Leia uważała za wielki sukces, że w ogóle udało się jej namówić Korelian, aby zostali gospodarzami konferencji.

- To prawda, wiemy o tym, że twoja żona tam leci - ciągnęła Kalenda. Aż do niedawna nie mieliśmy jednak pojęcia, a raczej nie byliśmy pewni, że wybiera się tam w towarzystwie męża i dzieci.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał Solo. - Moja żona bierze udział w konferencji organizowanej na planecie, na której się urodziłem. Ja też tam lecę i zabieram dzieciaki. Co w tym dziwnego? Uważam, że powinienem im pokazać, skąd pochodzi ich ojciec. Czy twoim zdaniem popełniam jakieś wykroczenie? Widzisz w tym coś podejrzanego?

- Nie - przyznała Kalenda. Na razie nie. Chcielibyśmy jednak, żeby to wyglądało podejrzenie.

- Przestałem pojmować, o co tu chodzi. Chewie, jeżeli jej następne zdanie nie pozwoli mi tego zrozumieć, wyrzuć ją z pokładu statku.

Z gardła Wookiego wydobyło się przeciągłe ni to wycie, ni to skomlenie, które miało na celu jedynie rozdrażnienie i zdenerwowanie gościa.

- To oznacza, że mój przyjaciel cieszy się na samą myśl o tym - wyjaśnił Solo. - A zatem masz jedyną, wielką, niepowtarzalną szansę powiedzenia mi krótko i zwięźle - o co ci właściwie chodzi. Koniec z łamigłówkami.

Zauważył, że Kalenda straciła sporą część - chociaż zapewne

nie więcej niż połowę - pewności siebie. Musiał przyznać w duchu, że jest dobra. Większość rozmówców na samą wzmiankę o tym, że mogliby mieć do czynienia z Chewbacą, załamała się i poddawała.

- W sektorze korelińskim dzieje się coś dziwnego - oznajmiła funkcjonariuszka. Coś ważnego i niedobrego. Nie mamy jednak pojęcia, co. Wiemy tylko, że żaden spośród agentów - a wysłaliśmy ich tam sześciu czy siedmiu ani nie- wrócił, ani nie dał znaku życia. Żaden nie przesłał meldunku, z którego moglibyśmy wywnioskować, o co chodzi.

Han musiał przyznać, że ta wiadomość wywarła na nim wrażenie. Wszyscy wiedzieli, że i WNR, i jego agenci są naprawdę bardzo dobrzy w tym, czym się zajmują. Byli godnymi następcami wywiadowców republikańskich, którzy przecież podczas wojny ze zniechęconym Imperium wykradli niejedną tajemnicę. A zatem nie należało lekceważyć nikogo ani niczego zdolnego do pochwylenia albo zamordowania agenta Wywiadu Nowej Republiki.

- Przykro mi to słyszeć - odrzekł Solo - Tylko jaki to ma związek ze mną albo z członkami mojej rodziny?

- Zamierzamy wysłać tam następną grupę naszych wywiadowców oświadczyła kobieta. - Pragniemy także, aby ktoś zapewnił im bezpieczeństwo i osłonę. Tym kimś miałbyś być właśnie ty.

- Posłuchaj, Kalendo, czy jak się naprawdę nazywasz. Jeżeli Kordianie naprawdę są takimi paranoikami, za jakich ich uważasz, już w tej chwili uważają mnie za podejrzanego. A poza tym, nigdy nie byłem zawodowym szpiegiem. Nie mógłbym zostać nawet dobrym amatorem. Trudno byłoby powiedzieć, że jestem delikatny czy subtelny. Twoje akta personalne są do niczego, jeżeli me pozwoliły ci odkryć tej prawdy.

- Och, pozwoliły mi odkryć ją bez trudu stwierdziła Kalenda. - A co ważniejsze, wcale nawet nie musiały, ponieważ wszyscy dobrze wiedzą, jak wygląda prawda. Jestem przekonana, że Korelianie będą cię obserwować od pierwszej chwili po wylądowaniu, a może nawet pilnować jak żrenicy oka. A zatem nie chcę, żebyś robił cokolwiek niezwykłego - z wyjątkiem tego, że będziesz się zachowywał podejrzanie.

- Muszę przyznać, że nadal nic nie rozumiem oznajmił Solo.

- Chcielibyśmy, żebyś się zachowywał tak podejrzanie, jak tylko możliwe - ciągnęła kobieta. - Staraj się zwracać na siebie uwagę Pokazuj się w miejscach, gdzie gromadzi się tłumy. Zadawaj niezręczne, niedyskretne pytania Proponuj przyjęcie łapówek niewłaściwym osobom w nieodpowiednich chwilach. Zachowuj się jak niewprawy amator. Pragniemy tylko, żebyś wydawał się im podejrzany. W ten sposób odwrócisz ich uwagę od prawdziwych agentów, których tam pošlemy.

- A co z członkami mojej rodziny? - zainteresował się Solo. - Co z moimi dziećmi?

- Prawdę mówiąc, twoje dzieci same świetnie wiedzą, jak zwracać na siebie uwagę stwierdziła Kalenda. - Wątpię, czy prosiłobyś cię o pomoc, gdybyś wybierał się tam bez nich. Przyпускаjemy, że przyprawia naszych przeciwników o porządny ból głowy.

- Chodzi mi o to, czy moje dzieci będą tam bezpieczne - uściślił Han. - Nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem je zabierać, jeżeli sprawy naprawdę wyglądają tak ponuro, jak opisujesz.

Kobieta przez kilka chwil wahała się z udzieleniem odpowiedzi.

- Prawdę mówiąc, sytuacja na Korelii jest wciąż płynna - odparła w końcu. - Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Mimo to zadanie, które chcemy ci powierzyć, nie narazi cię na żadne dodatkowe zagrożenie. Rzecz jasna, o ile dobrze rozumiemy to, co się tam dzieje. Rodzina ciągle jeszcze jest na Korelii szanowana i nietykalna. Skrzywdzenie niewinnych osób w trakcie sporu nadal uchodzi za czyn haniebny i karygodny. A zresztą, sam powinieneś to najlepiej wiedzieć.

Coś w głosie kobiety, a ściślej w tonie, jakim wypowiedziała ostatnie słowa, zmusiło Hana do zastanowienia się nad tym, co usłyszał. Jej słowa zabrzmiały, jakby Kalendzie nie chodziło o tradycję pielęgnowaną przez wszystkich obywateli Korelii, ale o coś dotyczącego jego rodziny. Kłopot w tym, iż nie miał pojęcia, o co. Czyżby WNR znał jakieś szczegóły z jego przeszłości, których on nawet nie potrafiłby sobie przypomnieć? Han popatrzył w niezwykle oczy kobiety i postanowił, że o nic nie zapyta.

- Jeżeli dobrze rozumiem - zaczął - owa pomoc, o którą mnie prosisz, nie narazi moich dzieci na żadne dodatkowe niebezpieczeństwa. Czy mam rację?

-Tak - rzekła Kalenda, jakby chciała uciąć dalszą rozmowę na ten temat.

Han poczuł jednak, że ta odpowiedź go nie zadowalała. Odnosił wrażenie, że jest prawdziwa, ale niekompletna.

- No, dobrze - powiedział z namysłem, jakby się nad czymś zastanawiał. - Jednak jako dobry ojciec i Korelianiec, który uważa, że krzywdzenie niewinnych członków

rodziny jest czymś haniebnym, muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie. Czy uważasz, że moim dzieciom będą na Korelii groziły jakiegokolwiek niebezpieczeństw?

Kalenda zwiotczała, niemal skurczyła się w sobie. Westchnęła

ciężko. Najwyraźniej straciła resztkę pewności siebie, a na jej twarzy odmalowało się niezdecydowanie. Sprawiała wrażenie, że przestała być funkcjonariuszką Wydziału Nowej Republiki i stała się najzwyczajszą kobietą.

- Poddaję się - powiedziała. - Nie potrafię dłużej udawać bezdusznej agentki. A przynajmniej nie w tedy, gdy stawiasz sprawy w taki sposób. Żałuję, na wszystkie czarne słońca, że mnie o to zapytałeś. I nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć. Po prostu nie wiemy, co się tam dzieje. I właśnie dlatego musimy uczynić wszystko, co możemy, aby wyśłać tam nowych wywiadowców, którzy pozwolą nam zorientować się w sytuacji. Na Korelii żyje wiele dzieci. Czy uważasz, że grożą im tam jakieś niebezpieczeństwa? Czy jest to miejsce bardziej niebezpieczne niż Coruscant? Prawie na pewno tak, ale nie potrafiłabym powiedzieć, o ile. Z drugiej strony, samo wyruszenie na wyprawę niesie w sobie większe zagrożenie niż pozostawanie w domu. Czy dlatego w ogóle nie powinno się podróżować? Jeżeli tak bardzo troszczysz się o życie dzieci, może powinieneś ukryć je w jaskini? Chyba dopiero wówczas byłbyś pewien, że im nic nie grozi. Tylko czy wyobrazasz sobie życie w taki sposób?

Han zajął w głąb owych dziwnych oczu, zapewne widzących rzeczy, które nie istniały. W dawnych, beztrudnych czasach nie miałby nic przeciwko temu, żeby polecić prosto tam, gdzie zagrażały mu choćby największe niebezpieczeństwa. Odkąd jednak został głową rodziny, spoglądał na wszystko w inny sposób. I nawet nie dlatego, że nie chciał narażać swoich dzieci. Chodziło o coś więcej. Nie chciał narażać siebie na niebezpieczeństwa, o ile, postępując inaczej, potrafił ich uniknąć. Nie obawiał się śmierci tylko dlatego, że mogłaby zakończyć jego życie. Obawiał się, że o dzieci zostałyby sierotami - a to byłoby coś, czego nie mógł nie uwzględnić w obliczeniach.

Ale przypuśćmy, że rzeczywiście umieściłby dzieciaki w jakiejś grocie i postawiłby strażników, którzy strzegliby jej dwadzieścia cztery standardowe godziny na dobę. Co by zrobił, gdyby jaskinia została zasypana wskutek jakiegoś trzęsienia ziemi albo tąpnięcia? A nawet gdyby mógł mieć pewność, że absolutnie nic im nie zgrozi, jak wyglądałoby wówczas ich życie? Jak mogłyby stawić później czoło światom pełnym zagrożeń i niebezpieczeństw, skoro nigdy się z nimi nie spotkały, kiedy dorastały?

Zrozumiał, że nie zna dobrych odpowiedzi. Prawdopodobnie żadne nie istniały. Nic samo w sobie nie było absolutnie pewne. Ryzyko stanowiło nieodłączną część samego życia, a zatem jeżeli chciało się żyć normalnie, należało pogodzić się z istnieniem zagrożeń. A pozostawały jeszcze takie sprawy jak honor czy obowiązek. Jeżeli w jego rodzinnym sektorze, a może nawet na planecie, na której się urodził, zanosilo się na coś złego, jakim byłby człowiekiem, gdyby mógł pomóc, ale odmówił?

Powinien spojrzeć na problem pod jeszcze jednym kątem. Leia była przywódczynią Nowej Republiki. Z pewnością zapoznała się ze wszystkimi dokumentami na temat Korelii, jakie przygotowali dla niej funkcjonariusze Wywiadu. Musiała wiedzieć o tym, że dzieje się tam coś niedobrego. Możliwe, że poinformowano

ją również o zaginięciu kilku funkcjonariuszy Wywiadu. Mimo to nie miała nic przeciwko zabieraniu tam dzieci. To było wszystko, co Han pragnął wiedzieć.

- Dziękuję ci powiedział, zwracając się do kobiety. - Zawsze cenilem sobie szczerze odpowiedzi Polecimy całą rodziną na Korelię... a ja zrobię wszystko, co będę mógł. żeby zachowywać się jak najbardziej podejrzanie. Wydaje mi się, że wystarczy, jeżeli po prostu będę sobą.

- Oficjalnie muszę przyznać, iż bardzo się z tego cieszę - stwierdziła Kalenda z widoczną ulgą. - Nieoficjalnie jednak - bardzo nieoficjalnie - nie miałabym ci za złe, gdybyś postanowił w ogóle nie lecieć.

- Lecimy - powtórzył z mocą Solo. - Nie boję się nikogo, kto mógłby chcieć zmienić mój styl życia.

- Na niczym więcej ci nie zależy! - zdziwiła się kobieta. - Nie chcesz zadać żadnych dodatkowych pytań? WNR nie dysponuje zbyt wieloma informacjami, ale czy nie powinieneś zapoznać się z tym, co wiemy?

Chewbacca ryknął krótko i gardłowo - co było u niego odpowiednikiem chichotu. Po chwili warknął, jakby rzucił jakąś uwagę.

- O co mu chodzi? - zainteresowała się Kalenda. - Co w tym takiego wesołego? Co powiedział?

Han uśmiechnął się, mimo iż w gruncie rzecz Chewie bawił się jego kosztem.

- Mniej więcej coś, co miało oznaczać, że jeszcze nigdy nie pozwoliłem, aby fakty czy informacje wpływały na decyzje, które zdarzało mi się podejmować - powiedział. - Ale mówiąc całkiem poważnie, może im mniej wiem, tym lepiej? Jeżeli mam popełniać gafę za gafą i błąkać się po omacku jak niczego nieświadomy głupiec, może byłbym bardziej przekonujący, jeżeli rzeczywiście o niczym bym nie wiedział?

- Chyba się spodziewałam, że powiesz właśnie coś takiego - rzekła kobieta.

Jeśli naprawdę znasz mnie tak dobrze - odparł Solo - powinnaś się także spodziewać, że w następnym zdaniu usłyszysz coś na temat rodziny, która nie może się doczekać, kiedy przyjdę, na kolację.

Kalenda wstała.

- Masz rację powiedziała, po czym odwróciła się w stronę Chewiego, który wciąż jeszcze uniemożliwiał jej opuszczenie świetlicy. - Czy twój przyjaciel nie zechciałby mnie przepuścić?

Spojrzała prosto w oczy Wookiego. Ten cicho parsknął, ale usunął się na bok, żeby zrobić przejście.

Kiedy wyszła popatrzył na Hana.

- Wiem, wiem - odezwał się Solo. - Zamierzasz powiedzieć, że to nie mój interes. Pamiętaj, że agenci Nowej Republiki giną na planecie, na której się rodziłem. Czy odpowiedzialność za to ponoszą moi ziomkowie? Stwierdziła, że w sektorze Korelii - moim rodzinnym sektorze - dzieje się coś złego. Czy naprawdę, twoim zdaniem należało wzruszyć ramionami i oświadczyć, iż to mnie nie obchodzi?

Chewie nie wiedział. Mruknął coś, odwrócił się i ruszył do sterowni. Han podążył za nim, żeby pomóc wyłączyć urządzenia pokładowe.

Barczysty Wookie znieruchomiał jednak na progu tak raptownie, że Han omal nie wbił się w jego plecy.

- Hej! - krzyknął. - Co ty sobie...

Chewie powoli przemieścił lewą rękę za plecy, a później dał znak, żeby jego przyjaciel był cicho. Sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się, w ciemności za dziobowym iluminatorem. Han niemal zamarł i nieznacznie wychyliwszy głowę, także usiłował coś zobaczyć, mimo iż widok przesłaniały mu plecy Wookiego. Nie zauważył niczego, ale mimo to dowiedział się wszystkiego, co pragnął wiedzieć. Zapewne w ciemnościach lądowiska krył się robot zwiadowczy lub strzelec wyborowy. Chewie, który miał o wiele lepsze oczy, dostrzegł coś, co drgnęło albo się przemieściło. Coś albo kogoś. Nic innego nie tłumaczyło jego zachowania.

- No i co? - zaczął Han tonem nieobowiązującej pogawędki. - Co zrobimy z tymi polami ochronnymi?

Starął się, aby jego głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie. Chewbacca natychmiast pojął, o co chodzi. Odpowiedział zdawkowym pomrukiem, po czym opadł na siedzenie fotela drugiego pilota. Han podążył spojrzeniem za wzrokiem przyjaciela. Zorientował się, że Wookie zerka na stos okratowanych skrzyń i pojemników ustawionych w mrocznym kącie na samym skraju lądowiska. A zatem tam ukrył się nieprzyjaciel.

Han usiadł na fotelu pierwszego pilota i starał się zebrać myśli. Ktoś podsłuchiwał jego pogawędkę z Kalendą. Możliwe, że tym kimś nie była, żywa istota, lecz automat. Skoro zaś wciąż jeszcze tam przebywał, najwyraźniej spodziewał się usłyszeć coś więcej. W przeciwnym razie wycofałby się, kiedy Kalenda schodziła po rampie frachtowca.

A to oznaczało, że jeżeli chcieli dowiedzieć się na temat tajemniczego szpicla czegoś więcej, musieli zrobić coś, co zatrzyma go na miejscu tak długo, aż się zastanowią, jak go pochwycić. Przede wszystkim należało zatem zainteresować go treścią dalszej rozmowy.

- W tym, co powiedziała o repulsorach, było sporo prawdy - odezwał się Solo - Ale jeżeli miała rację, już wkrótce będziemy mogli przestać przejmować się wszelkimi usterkami czy awariami.

Chewbacca obdarzył przyjaciela zdumionym spojrzeniem.

- Nie sądzisz? - zapytał Han, starając się improwizować, jak umiał najlepiej. - Jeżeli nas nie okłamywała, w drodze do domu nie zabraknie nam tematów do rozmowy. O ile to mądrze rozegramy, osiągniemy krociowe zyski!

Pomyślał, że to powinno zaintrygować przybysza na tyle, by zdecydował się jeszcze trochę zostać. Zaczął gestykulować, trzymając dłonie w taki sposób, żeby nie można było zobaczyć ich przez iluminator. Najpierw pokazał na siebie, a potem, przebijając wskazującym i środkowym palcem, wykonał gest oznaczający chodzenie. Następnie ruchem głowy pokazał płytę lądowiska, a później zakrzywił wskazujący palec, jakby pociągał za spust broni.

Chewie odpowiedział ledwo zauważalnym kiwnięciem głowy, po czym pokazał na siebie i na pokład sterowni. Dał do zrozumienia, że pozostanie w pomieszczeniu, po

czym poklepał dźwignie kontrolne działka laserowego umieszczonego w dolnej części kadłuba. Przeciągnął mruknięciem skwitował uwagę dotyczącą zysków, a potem energicznie pokiwał głową - na użytek osoby obserwującej go zza stosu pojemników.

- Słuchaj no - odezwał się Solo. - Dokończ sam wyłączenie podzespołów, dobrze? Ja zejść na ląd i przekonam się, czy rufowe łapy nie ucierpiały podczas zaniku pola.

Chewie kiwnął głową. Han wsunął lewą dłoń pod płytę pulpitu konsoli i wyciągnął stamtąd miniaturowy blaster - używany bardziej na postrach niż do strzelania. Wiedział, że broń nie dysponuje dużą mocą, ale dzięki małym rozmiarom mógł ją łatwo ukryć w dłoni.

Potem wstał i skierował się do włazu. Szedł bez pośpiechu i starał się zachowywać jak najswobodniej. Miał nadzieję, że jeżeli on i Chewie są tak dobrymi aktorami, za jakich się uważają a szpicel jest odrobinę bardziej naiwny niż powinien, może wciąż jeszcze mają towarzystwo.

Zszedł po rampie, pogwizdując fałszywie jakąś melodyjkę, po czym przystanął na płycie lądowiska. Przeciągnął się i ziewnął, licząc na to, że uczynił i jedno, i drugie wystarczająco naturalnie. Później ruszył w kierunku bakburty, jakby zamierzał obejść dziób statku, aby pomachać Chewiemu, i dopiero wówczas skierować się ku rufie.

Po drodze miał przechodzić obok sterty skrzyń i pojemników. Domyślał się, że ktoś, kto ukrywał się za nimi, musiał się trochę cofnąć - w sam kąt lądowiska, gdzie w ciemnościach stałby się niewidoczny. Mijając stertę, trzymał lewą rękę w taki sposób, aby pozostawała niewidoczna, dzięki czemu mógł pewniej chwycić i odbezpieczyć mały blaster. Mimo to nadal szedł, jakby rzeczywiście zamierzał skierować się ku rufie - po czym nagle odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pojemników. Biegając tak szybko, jak umiał, uniósł i wymierzył blaster.

Kątem oka zauważył, że lufa laserowego działka umieszczonego w dolnej części kadłuba statku wysuwa się z zagłębienia i pluje nitką światła. Omiata stos pojemników od sterburty do bakburty, jakby zamierzała wystraszyć szpicla i zmusić go, żeby wyskoczył prosto pod lufę broni Hana Solo. Smagane strumieniem ognia skrzynie i pudła stanęły w ogniu, a stanowisko „Sokoła Millennium” stało się widoczne jak na dłoni.

Dopiero wówczas, w seriach strzałów laserowych przypominających stroboskopowe błyski. Han mógł wyraźnie ujrzyć to, na co chciał zapolować.

W powietrzu, niespełna dziesięć metrów od niego, unosił się staromodny imperialny robot sondujący, czasami zwany zwiadowcą albo probotem. Z górnej, zaokrąglonej części zwiisało osiem złowrogich, groźnie wyglądających chwytaków i manipulatorów. Nagle strumień laserowego światła zniknął i do kąta znów zawitały ciemności. Niewątpliwie Chewie nie chciał ryzykować, że trafi przyjaciela. Jak zwykle, myślał o wszystkim.

Mimo to pojemniki i skrzynie paliły się tak jasno, że Han nadal mógł obserwować przeciwnika. Jeżeli jednak Solo widział robota sondującego, mógł być pewien, że i probot widzi jego. Jeden z manipulatorów automatu zaczął się unosić... Zwiadowca zamierzał zrobić użytek z zainstalowanego tam blastera.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi. Han wystrzelił. Możliwe, że albo był takim świetnym strzelcem, albo miał tylko wielkie szczęście, ale odstrzelił końcówkę manipulatora.

Z przerażeniem stwierdził jednak, że pozbawiony blastera probot nie zamierza rezygnować. Mechaniczny zwiadowca zaczął unosić do poziomu inny manipulator, tym razem zakończony długą, cienką igłą. Posługując się repulsorami, przeleciał nad płonącym stosem, po czym rzucił się na Hana. Solo upadł na płytę lądowiska i przetoczył się na bok. Zobaczył, że chwytak probota unosi się, gotów do zadania ciosu, i zrozumiał, że napastnik zamierza przebić go na wylot. W chwili, kiedy mechaniczne ramię zaczęło opadać, przetoczył się jeszcze dalej. Szpikulec wbił się w permabetonową płytę tak głęboko, że przez chwile probot nie mógł się poruszyć.

Han wymierzył i strzelił, ale widocznie poprzednio trafił jedynie dzięki wielkiemu szczęściu, gdyż tym razem haniebnie spudłował. Przycisnął spust trzeci raz i nie ujrzał strzałki światła. Zapewne miniaturowy zasobnik energetyczny broni wystarczył zaledwie na oddanie dwóch strzałów. Han szybko zerwał się na równe nogi, ale stwierdził, że opiera się plecami o solidną ścianę przegrody stanowiska, na którym spoczywał statek. Tymczasem probot zdołał wyciągnąć igłę z permabetonu. Obrócił się w stronę Hana i ruszył najwyraźniej zamierzając go zabić.

Nagle ciemności rozjaśnił pojedynczy błysk, który wydobył się z lufy pokładowego działka „Sokoła”. Świetlista smuga trafiła probota w sam środek matowego korpusu. Potwór runął na płytę, a Han poczuł, że znów może oddychać.

Kilka chwil później po rampie biegł Chewie. Trzymał zapalony pręt jarzeniowy. Wskazał nim szczątki zwiadowcy i popatrzył na Hana, a potem wydał kilka chrapliwych warknięć i pomruków.

- Też to zauważyłem przyznał Solo. Imperialny robot sondujący. Co najmniej dwudziestoletni. Ktoś musiał go wygrzebać ze składnicy złomu, a później zmienić oprogramowanie.

Chewie uklęknął obok dymiących resztek automatu. Zbliżył do nich pręt jarzeniowy. Później uniósł głowę i spojrzał na przyjaciela. Zawył, jakby chciał go o coś zapytać.

- Ponieważ funkcjonariusze Imperium nie programowali probotów w taki sposób - odparł Han. - Te automaty nie miały służyć do zabijania, tylko do szpiegowania. A Chwytnane, jeżeli nie mogły uciec, przekazywały wszystkie zebrane informacje za pomocą wąskopasmowej skupionej wiązki, po czym uruchamiały mechanizm samozniszczenia. Tymczasem ten usiłował mnie zamordować, żeby uciec. I nie pytaj, co to oznacza, bo sam nie wiem.

Jednak wiedział, aczkolwiek może nie wszystko. Istniał ktoś, kto dążąc do osiągnięcia celu, nie przebierał w środkach ani nie liczył się z ofiarami. Han nie miał wszakże najmniejszego pojęcia, kim jest ów złoczyńca i jakie może knuć plany. Domyślał się tylko, że musiało to mieć jakiś związek z Korelią. Po prostu musiało.

Przez chwilę wpatrywał się w nieruchome szczątki automatu. Nie odbijały ani blasku padającego z pręta jarzeniowego, ani światła rzucanego przez stos płonących pojemników. Zastanawiał się co ma teraz z nimi zrobić. Fakt, że

imperialny robot sondujący pojawił się właśnie w tym miejscu i w takiej chwili, nie wróży nic dobrego. Możliwe, że istniał ktoś, kto śledził poczynania agentów Nowej Republiki, ale Han nie zamierzał powiadamiać o tym fakcie centrali Wydziału. Nie. Z pewnością będzie lepiej, jeżeli zachowa wszystko dla siebie.

-Posłuchaj, Chewie - powiedział, odwzajemniając spojrzenie przyjaciela. - Nikt nic może się o tym dowiedzieć. Ani ci z Wywiadu, ani Luke, ani Leia. Nic by nie poradzili, a z pewnością by się zdenerwowali. Kto wie, czy gdzieś nie czają się inni zwiadowcy. Proponuję, żebyśmy szybko pozbyli się tych szczątków, a potem posprzątamy lądowisko i spróbujemy zachowywać się, jakby nic się nie stało.

Chewbacca popatrzył na przyjaciela, po czym kiwnął głową na znak zgody.

Han przyklęknął obok Wookiego i zaczął rozważać, jak najlepiej pozbyć się szczątków robota. Pomyślał, że później będzie mógł zająć się błahostkami w rodzaju znalezienia odpowiedzi na pytanie, kto wysłał śmiertcionośny automat i w jakim celu.

Doszedł do wniosku, że z całą pewnością wie jedynie dwie rzeczy.

Po pierwsze, jeżeli istniał ktoś, komu zależało na tym, aby Han

zniechęcił się do wyprawy na Korelię, zabrał się do tego w niewłaściwy sposób.

Możliwe, że szpiegdy, zawołowane groźby albo sondujące roboty wzbudzały strach w sercach innych ludzi, ale Han nigdy nie należał do osób, które dawały się zastraszyć.

Po drugie, nabierał coraz większej pewności, że czeka go naprawę ciekawa wyprawa.

ROZDZIAŁ

2

USZKODZENIE I NAPRAWY

Jaina Solo przykucnęła obok młodszego brata i wręczyła mu jedną z płytek naszpikowanych obwodami scalonymi.

- Proszę, Anakinie - powiedziała. Postaraj się coś wymyślić. Potrafisz sprawić, żeby to zadziało.

Liczący siedem i pół roku Anakin Solo siedział na podłodze w pokoju dzieciennym, w którym zwykle bawiły się wszystkie dzieci. Podłogę zaśmiewały połamane kawałki robota i bardzo wyeksploatowane moduły wypełnione innymi podzespołami.

Większość części zamiennych zdobył bliźniak Jaina, Jacen, który w tym celu przeszukał tyle wypełnionych odpadami i najzwyklejszymi śmieciami pojemników, ile mógł znaleźć we wszystkich okolicznych punktach napraw robotów, androidów i automatów. Nie zapomniał o hurtowniach i dostawcach części zapasowych. Jaina złożyła większość elementów mechanicznych w taki sposób, aby jakoś do siebie pasowały, ale teraz cała reszta spoczywała w rękach małego Anakina. Wszyscy troje radzili sobie dobrze ze składaniem i naprawianiem rozmaitych mechanizmów, lecz jedynie Anakin wykazywał coś, co wykraczało poza zwykły talent.

Umiał składać automaty tak, żeby działały mimo iż nie miał pojęcia, co robiły ani do czego służyły. Wyglądało to, jakby potrafił zaglądać do ich wnętrza, śledzić ścieżki obwodów i wyszukiwać połączenia istniejące między najbardziej zminiaturyzowanymi elementami. Co więcej, czasami można było pomyśleć, że stara się, aby uszkodzone podzespoły same się naprawiły. Osoby postronne uznałyby jego zdolności za coś wybitnego, a może nawet niemożliwego. Tymczasem bliźnięta nie widziały w tym nic niezwykłego. Przyzwyczyły się albo uważały, że Anakin korzysta z odmiennych zasobów Mocy, których istnienia inni nawet nie podejrzewali. A może po prostu chłopiec nie wiedział, że dokonuje rzeczy niemożliwych. Gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się o tym dorośli i oświadczyli mu, że przecież nie może robić tego, co uważa za coś normalnego, prawdopodobnie zabawa by się zakończyła.

Na razie jednak młodszy braciszek, który potrafił nakłaniać urządzenia i komputery do tego, żeby siadały i prosiły, oddawał pozostałym dzieciom Hana i Leii wprost nieocenione usługi. W przeszłości, ilekroć Jacen i Jaina chcieli wyruszyć na wyprawę po Pałacu Imperialnym, a zwłaszcza po tajemniczych zakątkach, do których zaglądać nie powinni, nakazywali malcowi, żeby został w domu i zajął się naprawianiem tego czy owego mechanizmu. Anakin otwierał dla nich absolutnie niemożliwe do otwarcia zamki, unieruchamiał wszyskowidzące kamery - dokładnie w chwili, kiedy obok nich przechodzili - przesyłał energię do podnośników i turbowind, które powinny pozostawać nie zasilone, i w ogóle robił wszystko, o co starsze rodzeństwo go poprosiło.

To jednak, czym się obecnie zajmowali, powinno się okazać lepsze niż zaglądnienie do starych pałacowych zakamarków. Powinno być najlepsze ze wszystkiego, co dotąd robili. Teraz bowiem dzieciaki zajmowały się konstruowaniem własnego robota, któremu dorośli nie mogliby wpisywać zakazów, nakazów ani instrukcji uniemożliwiających wykonywanie tego czy owego. Nie mogliby także odebrać automatu na przykład w ramach jakiejś kary.

Anakin przez chwilę przyglądał się wręczonej płytce. Raz po raz obracał ją w małych palcach.

- To powinno się znaleźć tu, a to tam - mruknął w końcu. - A tamto z boku.

Ilekroć zwracał się do bliźniąt albo osób dorosłych, potrafił mówić wyraźnie, tak by go wszyscy rozumieli. Czasami jednak, kiedy mówił do siebie, nawet Jacen i Jaina nie bardzo wiedzieli, o co mu chodzi. Rzecz jasna, i tak nie miało to większego znaczenia. Pod warunkiem, że wszystko było wykonane jak należy.

Jacen przyglądał się w napięciu, jak młodszy brat przystępuje do pracy. Bliźniak Jaina radził sobie lepiej z roślinami, zwierzętami i w ogóle ze wszystkim, co żywe, niż z podzespołami i urządzeniami. W przeciwieństwie do niego Jaina, podobnie jak ojciec bliźniąt, wykazywała większy talent do składania i naprawiania najróżniejszych mechanizmów. Zawsze bawiła się jak nie tym, to tamtym panelem czy modułem albo siedziała zamyślona, zastanawiając się, jaki użytek zrobić z uniwersalnego zestawu wypełnionego wielofunkcyjnymi narzędziami.

Zewnętrznie Jacen i Jaina byli bardzo do siebie podobni. Mieli brązowe włosy i bursztynowopopielne oczy. Wyglądali na parę zdrowych i udanych, aczkolwiek może niezbyt wysokich i dobrze zbudowanych dzieci. W odróżnieniu od nich Anakin prezentował się nieco inaczej. Był drobny - nawet jak na swój wiek - ale zdecydowanie krzepki i silnie umięśniony. Miał ciemniejsze włosy i jasno-błękitne oczy - tak zimne i niepokojące jak dwie kulki lodu. Cała trójka wykazywała pewne podobieństwo do rodziców, ale ze wszystkich trojga najmniej podobny do nich był właśnie Anakin. I to nie tylko do nich, ale także do kogokolwiek innego. Wyglądało na to, że młodszy chłopiec maszeruje w rytm bębna, na którym w ogóle nikt nie wybija rytmu.

Anakin wsunął płytkę do wnętrza robota, a potem przycisnął jakiś guzik na powierzchni czarnej obudowy. Kanciaste ciało automatu zadrzało i ożyło. Robot wciągnął kółka do środka i wyprostował się na całą wysokość. Na płytce kontrolnej zapaliły się różnobarwne lampki, a z wnętrza wydobyły się trzy krótkie piski.

- To dobrze - mruknął chłopiec do siebie.

Wyciągnął rękę i znów nacisnął ten sam guzik. Światelka zgasty, a metalowe ciało automatu ponownie się zgarbiło. Anakin sięgnął po następną część, którą był motywator obwodu motorycznego. Zmarszczył brwi, a potem kilka razy obrócił go w palcach. W końcu pokręcił głową.

- To niedobrze - oznajmił, wyraźnie zatroskany.

- Co niedobrze? - zainteresowała się Jaina.

- Ta rzecz jest niedobra - odparł młodszy brat, oddając motywator. - Nie widzisz tego? W środku jest cały stopiony.

Jacen i Jaina wymienili spojrzenia.

- Z zewnątrz, wygląda dobrze - stwierdziła siostra, a później przekazała podzespół Jacenowi. - Skąd on może wiedzieć, co jest w środku? Przecież po wykonaniu wszystko zostało hermetycznie zamknięte w obudowie.

Jacen wzruszył ramionami.

- A skąd ja mam wiedzieć, jak on to robi? Wiem tylko tyle, że potrzebujemy tego motywatora. Znalezienie właśnie tej części zajęło mi najwięcej czasu. Obiegnę połowę miasta, zanim wyszperałem taką, która pasowałaby do naszego robota. - Odwrócił się w stronę młodszego brata. - Anakinie, nie mamy drugiego motywatora i nie możemy umieścić żadnego innego zamiast tego. Czy nie umiałbyś go naprawić? Sprawić, żeby w środku był mniej stopiony niż teraz?

Anakin zmarszczył brwi.

- Mogę sprawić, że będzie trochę lepszy - oznajmił po chwili. - Nie całkiem dobry. Może to wystarczy.

Jacen natychmiast zwrócił motywator młodszemu bratu.

- Dobrze, postaraj się powiedział.

Nie wstając z podłogi, Anakin wyjął urządzenie z dłoni brata, a potem, nie przestając marszczyć brwi, zaczął się w nie wpatrywać. Bezustannie obracał je w małych palcach, a w pewnej chwili nawet unióś nad głowę i popatrzył pod światło, jakby kanciasta kostka była przezroczysta.

- Tu - odezwał się, dotykając czubkiem pulchnego paluszka jakiegoś punktu na nie wyróżniającej się niczym szczególnym powierzchni. - To właśnie tu kryje się zła część.

Podkurczył i skrzyżował nogi, a potem umieścił motywator w miejscu, gdzie się krzyżowały. Samym czubkiem wskazującego palca prawej dłoni dotknął punktu znajdującego się bezpośrednio nad „złą częścią”.

- Napraw się - rozkazał. - Napraw.

W miejscu, w którym zetknęła się z opuszką palca, ciemnobrązowa obudowa motywatora przez chwilę jarzyła się dziwnym niebieskawo-czerwonym blaskiem. Później poświata zadrzała i zniknęła, a Anakin szybko cofnął dłoń i włożył palec do ust, jakby dotknął czegoś gorącego.

- Teraz lepiej? - zapytał Jacen.

Anakin wyjął palec z ust.

- Trochę lepiej - odrzekł. - Nie do końca lepiej.

Ujął motywator w trzy palce, a potem odwrócił się i popatrzył na Jacena i Jainę, jakby czegoś od nich oczekiwał.

- Gotowe? - zainteresowała się dziewczynka.

- Gotowe - potwierdził Anakin. - Ale ja nie przycisnę tego guzika.

Wycofał się w sam kąt pokoju, zapewne pragnąc znaleźć się jak najdalej od robota, po czym usiadł na podłodze i skrzyżował ręce na torsie.

Jacen popatrzył na siostrę.

- Ja też nie oświadczyła Jaina. - Przecież to był twój pomysł.

Chłopiec podszedł do robota, ale przystanął w przyzwyczajonej odległości. Wyciągnął rękę i nacisnął guzik, po czym, najszybciej jak umiał, odskoczył do tyłu.

Automat ponownie zadygotał i ożył, ale przy tej okazji coś w środku zagrzecotało. Wciągnął kółka, zapalił lampki na pulpicie kontrolnym i, zupełnie jak przedtem, trzykrotnie zapiszczał. Tym razem jednak do życia obudził się także obiektyw czujnika optycznego. Wydłużył się i po chwili skrócił. Światelka na pulpicie przygasły, lecz wkrótce rozbłysły na nowo. Robot zachwiał się i cofnął, ale bardzo szybko odzyskał równowagę.

- Dzień dobry, młoda pani i panowie powiedziales. Czy bódłbym wam w czymś pomóc?

No cóż, jedno słowo wymówił nieprawidłowo. I co z tego? Jacen wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Klasnął w dłonie, a potem zatarł je, jakby nie mógł się czegoś doczekać.

- Dzień dobry, robocie - odrzekł. Udało się! Ale o co mógłby najpierw poprosić? - Na początek posprzątaj ten pokój, dobrze?

Proste zajęcie, a przy tym łatwo może posłużyć jako dobry test możliwości automatu.

- Oczywiście, młody panie.

Robot potoczył się do najbliższego leżącego na podłodze uszkodzonego podzespołu. Wyciągnął roboczy manipulator, aby podnieść zgubę... ale nagle zamarł w pół ruchu. Wyglądało to, jakby skamieniał z wyciągniętym chwytakiem, zanim zdążył dotknąć zniszczonego modułu.

Jedynym przedmiotem, który mógł się poruszać, było oko obiektywu. Robot skierował czujnik optyczny po kolei na wszystkie dzieci, a kiedy skończył, wymierzył go w Jacena.

- O rety - powiedział. - Wygląda na to, że się zaszło. Obawiam się, że za... raz będę...

Robot urwał, a z obudowy wydobył się głośny grzechot. Automat zachwiał się i zakotuszał, jakby kółka nie mogły utrzymać ciężaru metalowego ciała.

- O, o! - powiedział Anakin, po czym zerwał się na równe nogi.

Nagle płytka umożliwiająca dostęp, jakby pchnięta od środka potężną siłą, oderwała się i poszybowała pod przeciwległą ścianę. We wnętrzu robota coś błysnęło, a po sekundzie z obudowy zaczęły się sączyć strużki dymu. Światelka na pulpicie kontrolnym rozbłysły, a wyciągnięty chwytak zwił pod kątem prostym do podłogi. Pod wpływem żaru korpus robota zmiękł i zaczął się topić. Po kilku następnych

sekundach automat zwałił się na podłogę. Wszystkie przedmioty w pokoju, nie wyłączając murów, były odporne na ogień i wysoką temperaturę, a mimo to podłoga pod robotem szerniała, a na suficie pojawiła się ciemna plama. Natychmiast włączyły się wentylatory, które usunęły z pokoju większość dymu. Po chwili tak samo automatycznie się wyłączyły i w pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

Przerażone i zdumione dzieci stały równie nieruchomo jak leżący robot. Pierwszy ocknął się Anakin. Podszedł do szczątków automatu i zaczął się im przyglądać. Uważał jednak, żeby zbytnio się do nich nie zbliżyć ani niczego nie dotykać.

- Teraz jest do końca stopiony - oznajmił po chwili.

Zapewne uważając, że to wystarczy, odszedł pod ścianę, usiadł na podłodze i zaczął bawić się klockami.

Bliźnięta jeszcze chwilę przyglądały się robotowi. Potem spojrzały po sobie.

- Już nie żyjemy - oświadczył Jacen, ponownie przenosząc spojrzenie na leżące szczątki.

- Nie chcieliśmy niczego zepsuć - zaprotestowała Jaina, aczkolwiek uczyniła to bez większego przekonania.

- Jeżeli mielibyśmy być karani tylko za to, co chcieliśmy zrobić, nigdy nie zostalibyśmy ukarani - zauważył jej brat. - No, może prawie nigdy.

Wujek Luke zawsze przywiązywał dużą wagę do prawdomówności i szczerości - a szczególnie wobec samego siebie.

- Może zrzucimy winę na Anakina? - zaproponowała dziewczynka. - Powiemy, że to jego sprawka. Właściwie to on jest winien. W pewnym sensie.

Ich młodszy brat, który w tym czasie zdążył ustawić z klocków całkiem wysoką wieżę, popatrzył na rodzeństwo - trochę zdumiony, a trochę zaniepokojony. Mimo to sprawiał wrażenie, że jest o wiele spokojniejszy niż powinien - zważywszy na okoliczności. Z drugiej strony, bliźnięta nigdy nie twierdziły, że do końca rozumieją zachowanie czy postępowanie małego Anakina.

- Nie - oświadczył stanowczo Jacen. - Nie możemy tak powiedzieć. Gdyby się dowiedzieli, jakie cuda potrafi robić Anakin, kazaliby mu przestać i popsuliby całą zabawę.

W rozmowach toczonych przez Jacena i Jainę „oni” oznaczali zawsze dorosłych; przeciwną stronę. Zadanie dorosłych polegało na powstrzymaniu Jacena i JAINY, a zadanie bliźniąt - na wyprowadzaniu dorosłych w pole. Chłopiec uważał się za niezłego stratega i wiedział, że czasami trzeba było przegrać bitwę, jeżeli chciało się zwyciężyć w całej wojnie. Możliwe, że gdyby opowiedzieli o zdolnościach Anakina, na razie uniknęliby kary. Z pewnością jednak dorośli musieliby zareagować, a gdyby tak wydali jakiś zakaz Anakinowi, co wówczas zrobiłyby bliźnięta?

- Nie możemy dopuścić, żeby dowiedzieli się, co potrafi Anakin - stwierdził chłopiec. - A poza tym, to nie była jego wina. Przecież w końcu myśmy go namówili. Nie byłoby sprawiedliwe obarczać teraz go całą winą za to, co się stało.

- Ta-a - przyznała Jaina, chociaż nie ukrywała, że robi to niechętnie. - Chyba masz rację. Jak w takim razie wyjaśnimy im fakt pojawienia się stopionego robota?

Chłopiec wzruszył ramionami. Podszedł do szczątków automatu i lekko trącił je samym czubkiem buta.

- Chyba im tego nie wyjaśnimy - odparł ponuro.

- Jestem pewien, że chciałbym usłyszeć, jak próbujecie - odezwał się ktoś, kto cicho jak duch znalazł się za ich plecami.

Jedynie kilka osób mogło wejść do pokoju tak cicho, żeby Jacen niczego nie usłyszał, a tylko jedna spośród nich mogła przebywać w Pałacu Imperialnym. I nawet gdyby chłopiec nie rozpoznał jej po głosie, domyśliłby się, kto go zaskoczył. Uświadomienie sobie tego faktu przyniosło mu wielką ulgę, ale zarazem wprawiło w śmiertelne przerażenie. Jacen odwrócił się jak użądłony.

- Cześć, wujku Luke'u - powiedział.

Pomyślał, że jeżeli ktokolwiek musiał dowiedzieć się o tym, co zbroili, brat ich mamy był najlepszym - chociaż pod wieloma innymi względami najgorszym - spośród wszystkich dorosłych, którzy mogliby posiadać ich tajemnicę.

- Dzień dobry, wujku Luke'u - zawtórowała mu Jaina. Ton jej głosu wskazywał jednak, że nie jest ani trochę bardziej niż brat uszczęśliwiona z faktu pojawienia się wuja.

- Luke! - krzyknął Anakina, zrywając się na równe nogi. Chłopiec podbiegł do wuja, żeby się przywitać. Przynajmniej jedno z dzieci nie zamierzało brać na twoje barki całego ciężaru winy.

Luke Skywalker, rycerz i Mistrz Jedi, bohater setek bitew i tysięcy światów, orędownik sprawiedliwości, kochany; poważany i dażony szacunkiem - a czasami przerażeniem - jak Nowa Republika długa i szeroka, uklęknął w samą porę, by pochwycić w objęcia biegnącego szybko jak pocisk siostrzeńca. Wstał i jedną ręką przytrzymując chłopczyka, zaczął się przyglądać pobjowisku.

- Muszę przyznać, że to wywiera spore wrażenie - stwierdził z lekkim uśmiechem.

- Powiedźcie mi, co się właściwie stało?

Jacen Solo popatrzył na Luke'a i nie kryjąc zakłopotania przełknął ślinę. Jak to dobrze, że na gorącym uczynku przyłapał ich wujek, a nie mama lub tata - albo, co gorsza, Chewbacca.

- No cóż, to był mój pomysł - zaczął, nie widząc sensu w pokazywaniu na siostrę i krzyczeniu: „To ona zrobiła! To ona!”, zwłaszcza kiedy rozmawiał z wujem, który we wszystkim, co się do niego mówiło, potrafił odróżnić kłamstwo od prawdy.

- Aha - odezwał się Mistrz Jedi. - Jakoś nie jestem tym zaskoczony. Na czym miał polegać ten pomysł?

- Chcieliśmy mieć własnego robota - rzekła Jaina. - Takiego, którym moglibyśmy się posługiwać, nie zawierając głowy nikomu dorosłemu.

- I nie prosząc nikogo o pozwolenie - dodał Luke. Ton jego głosu wskazywał, że to nie było pytanie. - Dobrze wiecie, że nie wolno wam używać automatów bez pytania o zgodę rodziców, mnie albo Chewiego. I wiecie, dlaczego. A zatem nie próbujecie mi wmawiać, że chcieliście skonstruować robota po to, żeby nam ułatwić życie.

- No cóż, masz rację - zgodziła się Jaina. Nie dlatego chcieliśmy go skonstruować.

- Mieliście nadzieję, że ujdzie wam to na sucho.

Podobnie jak poprzednio, nie było to pytanie.

- Tak - przyznała dziewczynka. Jej brat bliźniak wolałby, żeby nie ujawniała tak szybko całej prawdy, ale oboje dobrze wiedzieli, że okłamywanie wujka Luke'a nie miało najmniejszego sensu.

- No, dobrze - oświadczył Skywalker. - A zatem słucham. Dlaczego podczas wykonywania wielu czynności nie wolno wam posługiwać się automatami.

- Ponieważ musimy nauczyć się robić te rzeczy sami. Ponieważ nie powinniśmy pozwalać im na wykonywanie całej pracy. Ponieważ roboty nie umieją wykonywać wielu rzeczy, które potrafią robić ludzie - odparła Jaina, nie wkładając ani odrobiny uczucia w to, co mówi. Zapewne recytowała tekst wyuczony na pamięć. Jacen mógłby jej wtórować. Oboje przecież uczono tego samego.

- Teraz zaś poznaliście jeszcze jeden powód - ciągnął Luke. - Igranie z przedmiotami, których działania nie rozumiecie, może się okazać niebezpieczne. Co by się stało, gdybyście przebywali w pobliżu tego robota. Kiedy eksplodował? Czy chcecie spędzić tydzień albo dwa, regenerując tkanki w zbiorniku z bactą?

- Nie - przyznała Jaina.

- Tak myślałem - powiedział Mistrz Jedi. - Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. Nie spędzicie całego życia na Coruscant. Wcześniej czy później będziecie musieli stawić czoło pozostałej części galaktyki a większość jej mieszkańców nie bardzo troszczy się o ludzi, którzy nie umieją zatroszczyć się o siebie. Nie zawsze będziecie mieli do dyspozycji roboty, a nawet wówczas nie zawsze automaty wszystko za was zrobią i jeszcze posprzątają.

- Ty jednak masz swojego Artoo-Detoo - zaprotestował Jacen. - Przez prawie cały czas nie odstępuję cię ani na pół kroku.

- To co innego - odrzekł Luke. - Artoo pomaga mi pilotować statek i ułatwia dostęp do różnych danych. Poza tym wykonuje inne ważne czynności, do których go zaprojektowano. Pomaga mi w pracy, abym mógł ją wykonać szybciej i lepiej. Nie wyręcza mnie ani nie pomaga wykręcić się od robienia czegokolwiek. - Kiwnął głową w kierunku leżącego pośrodku pokoju stopionego automatu. - Czy zanim go uruchomiliście, naprawdę sądziliście, że istnieją roboty zaprojektowane z myślą o odrabianiu prac domowych za niegrzeczne dzieci?

- No cóż, chyba tak nie myśleliśmy.

- Niegrzeczne - zainteresował się Anakin, poklepując wujka po ramieniu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. To nie ja. Nie jestem niegrzeczny.

Luke uśmiechnął się i nie wypuszczając chłopca z rąk, kilka razy uniósł go i opuszczył.

- Nie, nie jesteś - oświadczył poważnie. - A ja chcę być pewien, że twój brat i twoja siostra nie sprowadzą cię na złą drogę. Kazali ci, żebyś im pomógł, prawda?

- Pomógł? - zdziwił się Anakin. - Przecież to wszystko ja zrobiłem. A oni mi pomagali.

Mistrz Jedi zmarszczył brwi, jakby przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Jacen na moment niemal zapomniał o oddychaniu. Jeżeli którykolwiek

spośród dorosłych mógłby się domyślić, do czego jest zdolny Anakina, tym kimś był wujek Luke. Nie po raz pierwszy chłopczyk dawał próbkę swoich umiejętności.

A jednak i teraz, podobnie jak zawsze przedtem, ocalił ich ten sam niedostatek wyobraźni. Wujek Luke się roześmiał. Wyras jego twarzy dobitnie wskazywał, że Mistrz Jedi nie bardzo wierzy w to, aby zaledwie siedmioipółletni Anakin Solo mógł być zdolny do skonstruowania wieloczynnościowego automatu.

- Jasne, że ty - powiedział Luke. - Jasne, że ty. Na razie jednak chciałbym wiedzieć, co twoje rodzeństwo zamierza zrobić z tym bałaganem.

- Posprzątać go! - krzyknął chłopczyk z radosnym uśmiechem.

Luke także się roześmiał.

- Masz rację. Posprzątaj go, i to zaraz po kolacji. A w czasie posiłku zastanowię się, jaka czeka ich następna kara.

- Tak - oświadczył Anakin, nie przestając się uśmiechać. - Kara!

Jacem westchnął. Tak działo się zawsze, ilekroć chodziło o Anakina. Młodszy brat pomagał Jacenowi i Jainie wpadać w najgorsze tarapaty. Jakimś cudem unikał jednak później pomagania bliźniętom w wydostaniu się z nich. Cieszył się, że omijała go kara, jaka spotykała starsze rodzeństwo.

Czasami Jacen zastanawiał się, czy Anakin jest rzeczywiście taki grzeczny.

Leia Organa Solo, niegdysiejsza księżniczka, pani senator, pani ambasador i przewodnicząca Senatu, a obecnie przywódczyni Nowej Republiki, nie cierpiała, kiedy członkowie jej rodziny spóźniali się na kolację. Wiedziała, że nie może ich za to winić, ale nie znosiła, ilekroć musiała na nich czekać. Jeżeli ona mogła załatwić tysiące skomplikowanych spraw i poświęcić im tyle tylko czasu, żeby zdążyć do domu na kolację, dlaczego tego samego nie mogli zrobić mąż, brat i dzieci?

W głębi serca wiedziała, że nie ma prawa złościć się i zrzędzić. Oczywiście to ona chciała, żeby każdego wieczoru wszyscy członkowie rodziny gromadzili się przy stole. Musiała jednak przyznać, że właśnie ona nie zjawiała się na kolacji częściej niż ktokolwiek inny. Pełnienie obowiązków przywódczyni Nowej Republiki miało swoją cenę - czasami bardzo wysoką.

Z drugiej strony, jaki miało sens układanie harmonogramu codziennych zajęć tak, żeby pod koniec dnia wygospodarować trochę czasu dla członków rodziny, jeżeli owi członkowie nie schodzili się na wspólny posiłek. Gdzie też się podziwiali? Leia już zamierzała wydać polecenie automatom przyrządzającym posiłki, by wpisały do programu dwudziestominutową zwłokę, kiedy na progu apartamentu stanął Han w towarzystwie Chewbacci. Leia chciała zwymyślać ich za to, że się spóźnili... ale nagle zauważyła wyraz twarzy męża i jej złość stopniała jak śnieg w samym środku lata.

Natychmiast dostrzegła, jak bardzo Han się stara, aby odniosła wrażenie, że nie wydarzyło się nic złego. Na twarzy miał przekorny, szelmowski uśmiech, którego szczerłość może zwiodłaby grono siedzących przy stoliku do gry w sabaka kompanów-przemysłowców, ale nie Leię.

- Witaj, kochanie - odezwał się od progu. - Przepraszamy za to, że się spóźniliśmy. Testowanie pól ochronnych nie szło nam tak szybko, jak się spodziewałem.

- Rozumiem - odparła Leia.

Starła się, aby w jej głosie nie zabrzmiał wyrzut ani oskarżenie. W ciągu wielu lat służby nawiązała tyle dyplomatycznych stosunków i kontaktów, że doskonale umiała kontrolować siłę i ton głosu. Nie chciała zmuszać męża do żadnych tłumaczeń. Od razu zrozumiała jednak, że wydarzyło się coś niezwyklego.

Właściwie nigdy nie nadrobiła nagromadzonych w ciągu wielu lat zaległości z zakresu doskonalenia talentu Jedi. Chyba już pogodziła się z myślą, iż nigdy nie będzie władała Mocą tak sprawnie jak jej brat, Luke Skywalker. Możliwe, że dysponowała takim samym potencjałem, ale nigdy nie miała tyle wolnego czasu, aby chociaż trochę poświęcić na ćwiczenia. Czasami jednak zdarzały się sytuacje, w których nie musiała posługiwać się Mocą, by wiedzieć, że wydarzyło się coś złego. Bardzo często wystarczał rzut oka na czyjaś twarz... jak w tej chwili. W tym samym ułamku sekundy Leia odgadła, że także musi udawać, iż nic nie zaszło. Han powiedziałby jej, o co chodzi, gdyby tego zażądała. Możliwe, że opuściłby kilka mniej istotnych szczegółów, ale z pewnością by nie skłamał. Gdyby mógł temu zapobiec, nigdy by nie dopuścił, żeby stało się jej coś złego. A zatem musiał mieć ważny powód, skoro zdecydował się na zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

Leia przeniosła spojrzenie na Chewbacę i upewniła się w swoich podejrzeniach. Istoty rasy Wookie miały wiele cennych zalet, ale z całą pewnością nie potrafiły udawać uczuć. Chewic był wyraźnie rozdrażniony. Rozglądał się niespokojnie, a jego sierść jeżyła się... ze strachu.

Leia przez chwilę walczyła z pokusą, żeby jednak coś powiedzieć... zażądać wyjaśnień albo zapytać. Postanowiła jednak, że tego nie uczyni. Nie. Widocznie Han miał powód, ważny powód, aby nie pisać ani słowa na temat tego, co mu się przydarzyło.

- Nic nie szkodzi - odparła, a potem podeszła i pocałowała Hana. - Nikogo jeszcze nie ma oprócz mnie. Macie trochę czasu, żeby się odświeżyć.

Nie mogła nic poradzić na to, że kiedy się z nim witała, poczuła wyraźny zapach dymu... i jeszcze czegoś, co przypominało woń ozonu tworzącego się zwykle w rezultacie strzałów z blastera. Na jej twarzy nie drgnął jednak ani jeden mięsień.

- Wspaniale - odparł Han. - Muszę przyznać, że bardzo tego potrzebuję.

Chewbacca zaryczał cicho, a potem udał się do ustawionego nieco dalej specjalnego urządzenia, przystosowanego do wzrostu i rozmiarów Wookiech. Chewie tak często odwiedzał Hana i Leię w ich apartamencie, że zainstalowanie specjalnej odświeżalni było czymś wręcz oczywistym - mimo iż Leia nigdy nie widziała, aby Chewie korzystał z niej szczególnie chętnie. Zapewne jednak teraz wołał nie rzucać się w oczy - a może również pragnął pozbyć się woni dymu z sierści. Jeszcze jedno odkrycie, które Leia postanowiła zignorować.

Uśmiechnęła się lak serdecznie i ciepło jak umiała, a potem złożyła na policzku męża czuły pocałunek.

- Do zobaczenia za kilka minut - powiedziała.

Han westchnął z ulgą. Szybko przeszedł przez sypialnię i skierował się do odświeżalni. Pomyślał, że albo żona nie zauważyła, iż wydarzyło się coś niezwykłego, albo tylko udawała, że nie zwróciła uwagi. Nie bardzo miał ochotę dociekać, jak wygląda prawda. Zdejmując kombinezon, zastanawiał się, czy Leia mogła poczuć zapach dymu, którym przesiąknęło jego ubranie, kiedy stał za blisko stosu płonących skrzyń i pojemników. Szybko wziął natrysk i równic szybko osuszył ciało, a potem przebrał się w coś czystego. Uświadomił sobie, że przestrzegany przez wszystkich członków rodziny rytuał odświeżania się i przebierania przed kolacją ukoił jego nerwy i pozwolił zapomnieć o zmartwieniach. Odnosił wrażenie, iż jest znów tak samo zadziorny jak przed laty, a wszelkie zmartwienia i troski związane z rolą męża i ojca znikają, jakby musiał o nich myśleć ktoś inny. Niech agenci Wywiadu Nowej Republiki sami ścigają cienie i bawią się w szpiegów. Tak czy owak, prosili go tylko o to, aby zachowywał się jak gdyby nigdy nic i był sobą. Niech w mrokach czają się następne roboty sondujące. Nic nie wiedział, a zatem nie mógł zdradzić żadnej tajemnicy. Na razie największym wyzwaniem, jakiemu musiał stawić czoło, było możliwie najszybsze doprowadzenie do porządku pól ochronnych „Sokoła”.

Zdumiewające, jak wzięcie natrysku i przebranie się w czysty strój poprawiło jego samopoczucie. Z pewnością wszystko będzie dobrze.

Han ruszył z powrotem do salonu, gdzie usiadł na wygodnym fotelu, automatycznie przystosowującym się do kształtów ciała. W tej samej chwili pojawił się Chewie, który właśnie skończył korzystać ze swojej odświeżalni. Rosły Wookie pokazał na fotel i pogardliwie prychnął.

- No, dobrze, niech ci będzie - odparł Han. - Mięknę. Czy to straszne przestępstwo, jeżeli ktoś lubi siedzieć w wygodnym fotelu?

Chewie nie odpowiedział... ale jego przyjaciel nie mógł nie zauważyć, że Wookie nie usiadł. Han uśmiechnął się i pokręcił głową. Mimo iż spędzili razem tyle lat, nigdy nie potrafił do końca przewidzieć, jak zareaguje albo zachowa się Chewbacca.

W salonie pojawiła się Leia.

- Poleciłam automatom przygotowującym posiłki, żeby kończyły i podawały do stołu - oznajmiła. - Później będą mogły podgrzać potrawy, jeżeli dzieci bardzo się spóźnią. Może kiedy raz albo dwa zjedzą odgrzewaną kolację, nauczą się przychodzić punktualnie.

Han miał coś odpowiedzieć, ale usłyszał, że drzwi wejściowe apartamentu właśnie się otwierają.

- Wygląda na to, że zdążyły w ostatniej chwili - powiedział.

Słyszał rozmowy, chichoty i odgłosy dreptania małych stóp po podłodze, ale zdziwił się, kiedy pierwszą osobą, która pojawiła się w salonie, okazał się jego szwagier. Na śmierć zapomniał, że Luke także miał z nimi zjeść kolację.

- Przepraszamy za spóźnienie - odezwał się Skywalker, wchodząc do salonu. - Stwierdziłem, że niedawno dzieci znów usiłowały puścić Pałac z dymem. Musiałem wygłosić im reprimendę, a potem kazałem im się umyć i przebrać w coś odpowiedniego.

- Co to było tym razem? - zainteresowała się Leia. - Coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Luke wahał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Właściwie zgodziliśmy się już, jaką poniosą za to karę. Gdybym ci powiedział, może poczułabyś się w obowiązku wznowić negocjacje...

- Z pewnością zakończyłyby się tym, że wszystkie zainteresowane strony znalazłyby się w gorszej sytuacji - dokończyła Leia. - Niech tak będzie. Powiesz mi jutro albo pojutrze, kiedy wszystko się uspokoi.

Han, który wciąż nie miał ochoty wstawać z wygodnego fotela, musiał się uśmiechnąć. Możliwe, że Luke i Leia byli osobami znanymi i sławnymi, władającymi Mocą i znającymi się na zawiłościach polityki, ale wszystko przemawiało za tym, iż dzieciaki odziedziczyły jego cechy charakteru. No i co z tego, że małe potwory przysparzały im wciąż nowych zmartwień?

Najwyraźniej żadne z jego dzieci nie było szczęśliwe, dopóki nie znajdowało się o włos od jakiejś katastrofy. Han dawno stracił rachubę, ile razy „eksperymentowały” z mieczem świetlnym wuja. Nakazy i zakazy nie narzucały ograniczeń dzieciom Hana Solo. Wręcz przeciwnie, stanowiły dla nich nowe wyzwania. Han uśmiechnął się do siebie, wspominając kilka podobnych sytuacji, które przeżywał, sam będąc dzieckiem. Nieustannie cieszył się, że dzieci mają tyle cech jego osobowości.

Bliźnięta, Jacen i Jaina, sprawiały wrażenie gorszych urwisów niż Anakin. Co więcej, w przeciwieństwie do młodszego brata, wcale się z tym nie kryły. Anakin wyglądał na marzyciela, zamkniętego we własnym małym świecie, ale jak zwykle bywa w podobnych sytuacjach, pozory myliły. Chłopice potrafił wyrządzić więcej szkód niż dwoje pozostałych dzieci. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Anakina chyba nie zdawał sobie sprawy, jakiego może narobić bałaganu. Tymczasem Jacen i Jaina nie tylko dobrze wiedziały, ale znajdowały w tym upodobanie.

Właśnie w tej chwili pociechy Hana i Leii, przepychając się w drzwiach, wpadły do salonu. Bliźnięta uczyniły to chwilę wcześniej niż Anakina.

- Chodźmy - powiedział Han, wstając z fotela. - Najwyższy czas, żeby zjeść kolację.

ROZDZIAŁ

3

RODZINA

Phamis Gleasry, agent Ligi Ludzkiej, siedział ukryty w tajnym bunkrze na jednym z najniższych poziomów w podziemiach Coruscant. Ponownie sprawdził wskazania skanerów i czujników. Niestety, podobnie jak poprzednio, bez rezultatu. Wszystko wskazywało na to, że robot sondujący zniknął bez śladu, a przynajmniej przestał reagować na jakiegokolwiek sygnały wzywające go do zgłoszenia się i złożenia meldunku.

Zaniepokojony Phamis zmarszczył brwi i wpadł w jeszcze większe przygnębienie. Wiedział jak trudne, czasochłonne i kosztowne są poszukiwania robotów sondujących zwanych probotami... nawet tych najbardziej przestarzałych. Wiedział, ile czasu pochłania programowanie ich na nowo. To prawda, musiał liczyć się z tym, że od czasu do czasu straci jednego czy drugiego. Czyż nie działo tak się podczas każdej wojny? Mimo to mógł być absolutnie pewien, że Konspiracyjny Przywódca nic ucieszył się, kiedy zostanie poinformowany o zniknięciu szpiegowskiego automatu.

I to pomimo faktu, że powierzona robotowi misja miała drugorzędne znaczenie. Realizacja najważniejszego zadania - przekazania wiadomości Skywalkerowi - powinna się rozpocząć trochę później. Wszystko zostało bardzo starannie zaplanowane, a kolejność wydarzeń przewidziano szczególnie precyzyjnie Wielki plan, zrodzony w głowie Konspiracyjnego Przywódcy, nie dawał Phamisowi zbyt wiele czasu na wykonanie zadania. Agent Ligi Ludzkiej musiał wkroczyć do akcji po odlocie Leii Organy na Korelię, ale przed terminem zaplanowanej demonstracji. Gdyby przekazał wiadomość za wcześnie, Organa Solo mogła nie wpaść w zastawioną pułapkę. Gdyby zaś uczynił to zbyt późno, mógłby obrócić wniwecz wszystkie inne plany Konspiracyjnego Przywódcy.

Ciążyła na nim ogromna odpowiedzialność. Tymczasem, prawdę mówiąc, Phamis nie był całkiem pewien, czy potrafi udźwignąć jej ciężar. Nie był tego pewien nawet zanim uświadomił sobie fakt zniknięcia robota sondującego.

Jaina zauważyła, że kolacji nie towarzyszy nastrój radości i odprężenia. Wyczuwała, że w powietrzu coś wisi... coś nie wypowiedzianego i nerwowego. Nie potrafiła tak dobrze wychwytywać nastrojów jak Jacen, ale nie miała cienia wątpliwości, że wszystko skupia się wokół ojca. Jakby zrobił albo powiedział coś, co wprawiło mamę w zły humor. Nawet Chewbacca sprawiał wrażenie zirytowanego.

Dziewczynka chciała zapytać, co się stało, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język i zrezygnowała. Jeżeli dorośli postanowili udawać, że wszystko jest w porządku, nie zamierzała psuć im zabawy. Postanowiła powściągnąć swoją ciekawość.

A poza tym nie przestawała myśleć o czymś innym. O czymś mającym związek z robotem, którego niedawno zniszczyli. Skonstruowali go w nadziei, że będzie wykonywał czynności, których robić nie chcieli albo nie lubili. Dorośli nic pozwalali, aby w pewnych czynnościach roboty wyręczały dzieci. Co zrobią ich pociechy, jeżeli nie będą miały do pomocy żadnych robotów, androidów ani automatów? Bliźnięta musiałyby wówczas poświęcać jeszcze więcej czasu zajmowaniu się nudnymi, uciążliwymi obowiązkami. Co poczną, jeżeli rodzice nic zabiorą żadnych automatów?

- Tato? - zapytała. - Czy na Korelię weźmiemy Artoo-Detoo i Threepia?

Czekając na odpowiedź, wzięła do ust następny kęs jedzenia.

Jej ojciec westchnął i znacząco popatrzył na mamę. W odpowiedzi zobaczył ledwo zauważalne kiwnięcie głową. Dziewczynka natychmiast zrozumiała, co to znaczy. W tej sprawie rodzice mieli takie same zdania. Natychmiast zganiła siebie w duchu, że tego nie przewidziała, zanim zaczęła rozmowę na temat automatów. Czasami udawało się przekonać mamę albo tatę, jeżeli przynajmniej jedno stało po jej stronie. Jama wiedziała jednak, że nie ma najmniejszych szans, ilekroć oboje uważali, iż córka nie ma racji.

- Przerabialiśmy to co najmniej kilkanaście razy - zaczął Han. - Po pierwsze, za bardzo przyzwyczajacie się do tego, że o wszystko zatroszczą się roboty. Po drugie, na pokładzie „Sokoła” nie starczy dla nich miejsca. Po trzecie, niezbyt lubię, kiedy kręcą się koło mnie automaty. Po czwarte, wręcz nie znoszę, kiedy kręcą się po pomieszczeniach statku. Dlatego nie zabieram ich, jeżeli naprawdę nie muszę.

- Ale...

Han uniósł palec ostrzegawczym gestem i nie pozwolił córce dokończyć zdania.

- A po piąte, jestem twoim ojcem, a to zamyka dalszą dyskusję na ten temat.

- Wydaje mi się dzieciaki, że wybieraliście nie najlepszy moment, aby dopominać się o więcej przysług ze strony robotów - odezwał się wujek Luke. Niemal niedostrzegalnym kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że ma na myśli pomieszczenie na samym końcu korytarza, gdzie spoczywały stopione szczątki, rezultat niedawnego nieudanego eksperymentu. Zamierzałem porozmawiać o wszystkim z waszymi rodzicami trochę później, ale Jaina sama podjęła rozmowę na ten temat. A zatem, jeżeli naprawdę chcecie, żebym opowiedział im jeszcze dzisiaj...

- Nie, nie, to nic pilnego - oznajmił Jacen, nie pozwalając mu dokończyć zdania. - Nie ma pośpiechu. A zresztą, sprawa załatwiona. Automaty nie lecą. Doskonale w porządku.

Jaina obdarzyła brata ponurym spojrzeniem. Miała mu za złe, że zbyt szybko zrezygnował. Cały Jacen. Chociaż z drugiej strony, cóż innego mógł zrobić? Niewątpliwie tym razem dorośli byli górą. Mimo to jakaś część jej duszy wciąż się buntowała. Dziewczynka nie zamierzała poddawać się bez walki. Czuła się zakłopotana i zła na siebie za to, że pozwoliła się przyłapać wujkowi Luke'owi. Nie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby nie wypuścić jeszcze jednej strzały.

- Może znalazłoby się więcej miejsca dla automatów, gdybyśmy nie musieli lecieć tym głupim starym „Sokołem” mruknęła, wbijając spojrzenie w talerz.

Na chwilę zapadła absolutna cisza i Jama zrozumiała - jeszcze zanim skończyła wymawiać ostatnie słowo - iż popełniła straszliwy błąd. Uniosła głowę i stwierdziła, że wszyscy - nie wyłączając małego Anakina - wpatrują się w nią, jakby widzieli ją pierwszy raz w życiu. Kątem oka zerknęła na brata bliźniaka, który kręcił głową niemej rozpacz, jakby wciąż nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Wiesz, ile ten statek znaczy dla ojca odezwała się Leia lodowatym tonem. Zawsze uciekała się do niego, ilekroć chciała przemówić komuś do rozumu. W pewnym sensie skutek był bardziej piorunujący niż gdyby krzyczała. - Wiesz ilu osobom siedzącym teraz przy tym stole także „Sokół” ocalił życie. Niektórym nawet wielokrotnie. Wiesz również, że ja wiem, iż ty nie możesz tego nie wiedzieć. Mogę zatem przypuszczać, że powiedziałeś coś tak złośliwego i niesprawiedliwego jedynie w tym celu, aby zademonstrować swój brak szacunku dla uczuć ojca. Czy mam rację?

Jaina już otwierała usta, żeby wszystkiemu zaprzeczyć... ale w porę. pochyliła spojrzenie wujka Luke'a. Zrozumiała, że to na nic. A zresztą, jeżeli chodziło o ćwiczenie umiejętności Jedi, mama potrafiła równie pewnie odróżniać kłamstwo od prawdy. To był zresztą jedyny aspekt posługiwania się Mocą, który często praktykowała. Jaina doszła do przekonania, że jej życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby mogła wprowadzać rodziców w błąd... jak inne dzieci. W obecnej sytuacji nie miała nawet cienia szansy.

- Masz - przyznała niechętnie. Ton jej głosu dowodził, że wciąż jeszcze jest trochę nadszana.

- W takim razie najwyższy czas, młoda damo, żebyś poszła do swojego pokoju.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale... - przerwał Han.

To przypieczętowało los Jajny. Nie było sensu walczyć z ojcem, kiedy odzywał się do niej takim tonem. Dziewczynka wstała od stołu i podreptała do pokoju, który dzieliła z braćmi. Nadal dąsała się i gniewała na wszystkich mimo iż w głębi serca wiedziała, że wina leżała po jej stronie.

To właśnie na rym polegał inny problem związany z umiejętnościami Jedi. Nie pozwalały okłamywać nawet samej siebie.

Leia zauważyła, że po tym, jak odesłała córkę do sypialni, nastrój przy stole nie uległ właściwie żadnej poprawie. Do tej pory, ilekroć ukarała jedno z bliźniąt, zachodziło coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Drugie zaczynało się bocyć i niepokoić, a potem przeproszało i czmychało od stołu, żeby pocieszyć ofiarę. Dopiero

wówczas Anakin pojmował, że dzieje się coś złego, i za wszelką cenę pragnął dowiedzieć się, co takiego. A zatem, jeżeli odsyłała jedno dziecko, mogła być przekonana, że dziesięć minut później żadne nie zostanie przy stole. Zazwyczaj dorośli mogli wówczas swobodnie porozmawiać, a także zaznać trochę ciszy i wypoczynku. Zazwyczaj, ale nie tego wieczoru. Han z uporem udawał, że wszystko jest w porządku, Chewbacca ukrywał prawdę jeszcze mniej przekonująco, a Luke robił, co mógł, aby ratować sytuację.

- Cieszysz się na myśl o tym, że polecisz na Korelię? - zagadnął Hana, usiłując zacząć rozmowę.

- Hmmm? O, tak z całą pewnością - odparł Solo. - To będzie wspaniała wyprawa. Jaka szkoda, że nie możesz polecieć z nami.

- Kusząca propozycja - przyznał Mistrz Jedi. - Obiecałem jednak Calrissianowi, że pomogę mu w realizacji pewnego tajemniczego planu.

- Ta-a, Lando wspominał coś na ten temat - odrzekł Han. - Dawał ci do zrozumienia, co zamierza?

Luke pokręcił głową.

- Nie pisał ani słowa. Powiedział tylko, że realizacja może zająć kilka tygodni.

- No cóż, nie mogę się doczekać, kiedy zechce powiedzieć, o co chodzi tym razem.

- Ja też przyznał Luke. - A przy okazji tajemnic, Leio - ciągnął, zwracając się do siostry. - Jutro wczesnym popołudniem mam się spotkać z Mon Mothmą. Ona także nie powiedziała, o czym chce ze mną porozmawiać. Wydaje mi się że to jeszcze jedna tajemnica.

Han obdarzył Mistrza Jedi dziwnym spojrzeniem. Po chwili na jego twarzy ukazał się wymuszony uśmiech.

- Ta-a, wygląda na to, że ostatnio rozwiązujesz same łamigłówki - mruknął.

Leia nie mogła dłużej znieść panującego w salonie napięcia.

- Wybaczcie mi - powiedziała - Naprawdę mam jeszcze dużo pracy.

Wstała od stołu, nie przejmując się tym, czy wymówka zabrzmiała wiarygodnie. Pospieszyła do osobistego gabinetu, zamknęła drzwi i pospiesznie przycisnęła guzik urządzenia sterującego oświetleniem - jeszcze zanim automat zdążył włączyć zbyt wiele paneli jarzeniowych. Później sama nastawiła jasność na niewiele większą niż minimalna. Nie chciała, żeby w pomieszczeniu było zbyt widno.

Rzecz jasna, smutna prawda wyglądała tak, że nie zawsze używała pracy tylko jako wymówki. Bez względu na to, ile różnych spraw przekazywała do załatwienia swoim podwładnym, pozostawało tyle, że czasami nie wiedziała, od czego zacząć. Westchnęła i podeszła do biurka. Oświetlenie blatu włączyło się automatycznie i ciemności gabinetu rozjaśniła wąska smuga jaskrawego światła. Leia postanowiła go nie wyłączać. Usiadła w ciemnościach na samym skraju kręgu blasku, ale stwierdziła, że nie potrafi zmusić się do zapoznania z ani jednym spośród wielu starannie ułożonych na blacie biurka bardzo ważnych dokumentów.

Dlaczego błąhł incydent, do którego doszło podczas kolacji, wprowadził ją w takie rozdrażnienie? Przypuszczała, że sporą część winy ponosiło panujące przy stole

napięcie, ale była pewna, iż chodzi jeszcze o coś więcej. Czasami - jak w tej chwili - ogarniało ją przerażenie na myśl o tym, że nie potrafi być dobrą matką. Obawiała się, czy zdoła wychować swoje dzieci na cywilizowanych ludzi. Co robi, jeżeli Jacen, Jaina lub Anakin nie staną się wartościowymi członkami społeczeństwa?

Dopiero teraz uświadamiała sobie, że właściwie całe dzieciństwo spędziła wysłuchując poleceń, aby była grzeczna i nie wierciła się podczas oficjalnych bankietów i uroczystości. O wiele częściej jadła kolacje w towarzystwie służących albo androidów niż Baila Organy - człowieka, którego uważała za ojca. Okres dzieciństwa skończył się zresztą bardzo szybko. Leia została wciągnięta w wir polityki jeszcze jako kilkunastoletnia dziewczyna. Za prawdziwe osiągnięcie uważała, że w tak młodym wieku zasiadła w senacie. Sukces ten osiągnęła jednak kosztem pożegnania się z dzieciństwem i niewinnością. Dopiero teraz, spoglądając na świat oczami swoich dzieci, zaczęła rozumieć, jak wysoką zapłaciła cenę.

Han nigdy nie opowiadał jej szczegółowo o swoich dzieciennych latach. Leia właściwie nie wiedziała, co robił, zanim pożegnał się na dobre z Korelią. Spośród nich trojga tylko Luke mógł uważać okres młodości za normalne życie. Dorastał na Tatooine, uważając Beru Lars za prawdziwą ciotkę, a jej męża, farmera o imieniu Owen, za prawdziwego wuja. Mimo to pierwsze lata życia spędził w takim samym odosobnieniu, jak Leia. Nawet w normalnych okolicznościach farma, na której się wychowywał, musiała mu się wydawać samotnią... a przecież okoliczności w niczym nie przypominały normalnych.

Owen i Beru zgodzili się odgrywać role wuja i ciotki młodego Luke'a, ale o ile Leia wiedziała, nie uważali go za krewniaka. Nie obdarzyli go uczuciem ani nie stworzyli atmosfery rodzinnego ciepła, które Leia tak bardzo pragnęła zapewnić swoim pociechom.

Nie mogła nie zwrócić uwagi na to, że właściwie ani ona, ani jej brat nigdy nie zostali adoptowani przez swoich opiekunów. Okoliczności, w jakich oboje żyli, wymagały od dorosłych uciekania się do wybiegów, zachowywania pozorów i traktowania dzieci z chłodną rezerwą. Pragnąc je ochronić i ocalić od śmierci, opiekunowie zachowywali się bardzo powściągliwie. Zanim Luke i Leia dorośli i poznali prawdę, przybrana córka i rzekomy bratanek były jedynymi tytułami, jakimi musieli się zadowolić.

Istniał w życiu rodzeństwa jeszcze jeden fakt, który nie dawał Leii spokoju i dręczył jej sumienie. Nie wątpiła też, że i Luke się tym gryzie. Oboje byli przypadkowymi świadkami albo biernymi obserwatorami śmierci ludzi, którzy ich wychowali. Planeta Alderaan, została unicestwiona, ponieważ uznano ją za odpowiedni cel do zademonstrowania niszczyielskiej potęgi Gwiazdy Śmierci tylko dlatego, że dorastała tam Leia. Imperialni szturmowcy nie mogli odnaleźć zabranych przez Luke'a automatów i dlatego, kiedy wylądowali na planecie Tatooine, zamordowali i farmera Owena, i jego żonę.

Nic więc dziwnego, że mając w pamięci balast takich wspomnień. Leia postanowiła uczynić wszystko co tylko mogła, aby jej rodzina była prawdziwą rodziną, a nic zbieraniną przypadkowo wybranych obcych ludzi, którzy przez najzwyczajszy

przypadek mieli tych samych przodków. Nigdy też nie zapomniła o tym, że dzieci bogatych lub obdarzonych potężną władzą rodziców stawały się bardzo często graczami - albo, co gorsza, pionkami - w skomplikowanych rozgrywkach politycznych, w których stawkę stanowiła władza. Jeżeli nawet żadne z dzieci nie odziedziczy jej tytułu, i tak będą uważane za członków niemal królewskiego rodu, sprawującego władzę jak Nowa Republika długa i szeroka.

A zatem, bez względu na to, czy Leia tego chciała, czy nie, a także czy podobało się jej to, czy też nie podobało, jej dzieci należały do drugiego pokolenia i dynastii. Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, żeby uświadomić sobie wszystkie niebezpieczeństwa, jakie mogła nieść z sobą taka sytuacja. Pokusa wzbogacenia się albo sięgnięcia po pełnię władzy mogła się okazać nazbyt silna. Kto wie, czy kiedyś nie miała okazać się silniejsza niż więzy rodzinne?

Możliwe, że za jakieś dwadzieścia lat Anakin uknuje spisek, by odsunąć od władzy Jacena. Możliwe, że dążąc do osiągnięcia świetlanego celu, jakiś pozbawiony skrupułów doradca zachęci Jacena do usunięcia przeszkód w postaci siostry bliźniaczki i młodszego brata. Brzmiało to mało prawdopodobnie ale śmietniki galaktycznej historii były pełne takich opowiadań.

Leię wszakże martwiło coś więcej. Coś, co mogło mieć o wiele poważniejsze konsekwencje. Fakt, iż jej dzieci potrafiły posługiwać się Mocą, był niewątpliwie bardzo cenną cechą charakteru, wiązało się z nim jednak duże zagrożenie. Leia nie mogła zapomnieć o tym, że Darth Vader, jej prawdziwy ojciec, a zatem dziadek dzieci, również potrafił władać Mocą, a jednak został zwiedziony i zginął, unicestwiony przez Ciemną Stronę. Jego córka nie wątpiła, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym i jej pociechy będą musiały stawić czoło Ciemnej Stronie. Na samą myśl o tej chwili ogarniało ją przerażenie. Ścisnęło ją za gardło i niemal paraliżowało. W porównaniu z nim obawa o to, że dzieci mogłyby kiedyś stanąć przeciwko sobie do walki o władzę albo pieniądze, wydawała się czymś trywialnym, niegodnym uwagi.

Dlatego każdy przejaw nadmiernej pewności siebie, każde przelotne przygnębienie czy też chęć powiedzenia oczywistego kłamstwa oznaczały pokusę i sprawały, że Leia zamierała ze strachu. Wiedziała, że jej lęki są nieracjonalne i bezpodstawne. Nic potrafiła jednak przestać się martwić, czy to niegrzeczne zachowanie albo tamta wynikająca z braku doświadczenia błędna ocena sytuacji nie oznaczają przypadkiem, że jej dziecko zaczyna ulegać mrocznym wpływom Ciemnej Strony Mocy.

Teoretycznie coś takiego nie powinno być możliwe. Kodeks rycerzy Jedi utrzymywał, że najlepszą ochroną dziecka przed pokusami stwarzanymi przez Ciemną Stronę stanowi zawsze niewinność. Z drugiej strony, ten sam kodeks podawał, że w całej historii zakonu rycerzy Jedi tylko raz czy dwa słyszano, aby dzieci wykazywały tak dużą wrażliwość na Moc albo zdolność naginania jej do swojej woli w takim stopniu, jak jej trzy pociechy.

Leia uznała więc że nie może nie doceniać obu rodzajów niebezpieczeństw uroczych bliźniętom i małemu Anakinowi. Spodziewała się jednak, że potrafi je uchronić od straszliwej zguby, jeżeli przedsięwzięmie odpowiednie środki. Za

najskuteczniejszy uważała coś tak oczywistego i prostego, że czasami niemal absurdem wydawało jej się, aby mogło przeciwstawić się tak silnym pokusom. Wiedziała też, że niczym innym nie dysponuje. Najlepsze, co mogła zrobić, aby je chronić, to wychować je jak najlepiej.

Leia Organa Solo postanowiła, że kiedy jej dzieci osiągną pełnię dojrzałości, będą szczerze, uczciwe i prawdomówne. Będą miały niezłomne charaktery i kochały nie tylko swoje rodzeństwo, ale także ich innych członków rodziny. A jeżeli osiągnięcie tego celu wymagało okazania od czasu do czasu surowości i na przykład wysłania czasami Jaina do łóżka bezpośrednio po kolacji, jeśli nie pozwalała dzieciom wysługiwać się robotami i androidami... no cóż nie widziała nic złego w swoim postępowaniu.

Oparła łokcie na krawędzi blatu biurka i przetarła piekące oczy. Po prostu była zmęczona, nic więcej. Mało istotny incydent, jaki wydarzył się podczas kolacji, nie powinien być wprawić jej w takie rozdrażnienie ani przypominać o wszystkich obawach i zmartwieniach. Jak dobrze byłoby gdzieś polecieć i odpocząć od nawaru codziennych obowiązków. Doprawdy, Han wpadł na świetny pomysł. Doszedł do wniosku, że zanim Leia weźmie udział w konferencji poświęconej problemom stosunków handlowych, powinna spędzić krótkie wakacje na jego rodzinnej Korelii.

Już teraz cieszyła się na myśl o tym, że pozwoli jej to uspokoić się i odpocząć.

- Wspaniałe posunięcie wykonałaś dzisiaj przy kolacji - odezwał się Jacen, po czym wskoczył do łóżka i naciągnął koc niemal na głowę.

- No cóż z pewnością nie było zamierzone - odparła siostra, kładąc się do własnego łóżka stojącego w drugim kącie sypialni. - Pokój, oświetlenie nocne - rozkazała.

Panele jarzeniowe ściemniały i zgasły. Wkrótce jedynym oświetleniem stał się słaby blask docierający z alkowy, w której sypiały mały Anakin. Rzecz jasna, dzieci mogłyby mieć własne sypialnie, gdyby chciały, kiedyś nawet o nie poprosiły, chcąc się przekonać, jak to jest, kiedy śpią osobno. Stwierdziły jednak, że za nadto przyzwyczyły się do swojego towarzystwa i najbardziej odpowiada im jedna wielka wspólna sypialnia, zaopatrzona w boczną alkowę, gdzie stało łóżko młodszego brata. A poza tym wiedziały, że niedługo, kiedy znajdą się na pokładzie „Sokoła Millenium”, mogą poczuć się jeszcze bardziej stłoczone. Powinny zatem zawczasu przywykać do spodziewanej niewygody.

Przez kilka chwil żadne się nie odzywało i w sypialni zapanowała niemal idealna cisza. Bliźnięta słyszały jedynie delikatny, rytmiczny szmer oddechu Anakina. Widocznie młodsi bracia smacznie spał.

Wpatrując się w ciemny sufit sypialni, Jacen doszedł do wniosku, że chciałby porozmawiać.

- Czy nie uważasz, że jesteś dla siebie trochę zbyt pobłażliwa?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaniepokoiła się Jaina.

- Nie zamierzałaś sprawić ojcu przykrości, a zatem to się nie liczy - odparł chłopiec. - Pamiętaj jednak, że inni zwracają uwagę nie na to, co chcesz zrobić, tylko na to, co robisz.

Całkiem możliwe, że zabrzmiało to jak kazanie - tym bardziej, iż zaledwie kilka godzin wcześniej Jacen, pragnąc się bronić, sam zmagił się z pokusą użycia argumentu, że nie zamierzał zrobić nic złego. Chłopiec uznał jednak, że liczyła się nie walka z pokusą, lecz fakt, że jej w końcu nie uległ.

- Tak czy owak, dobrze wiesz, że zamierzałaś wywołać awanturę.

- Zaczynasz prawić mi morały, zupełnie jak wujek Luke - oznajmiła dziewczynka.

- Stać mnie na coś jeszcze gorszego - zapewnił ją Jacen, który nie mógł nie zauważyć, że siostra nie zaprzeczyła, iż świadomie doprowadziła do awantury. - Wujek Luke jest bardzo mądry. Jeżeli jednak ma ci to ulżyć, nie uważam, abyś ponosiła całą winę. Czy zwróciłaś uwagę na to, że dorośli już byli zdenerwowani, jeszcze zanim przyszliśmy na kolację?

- Ta-a - zgodziła się z nim Jaina. - Sprawiali wrażenie, jakby coś ich rozdrażniło.

- Co więcej, wszyscy udawali, że nie dzieje się nic niezwykłego - ciągnął chłopiec.

- Nie wyłączając nas trojga stwierdziła bliźniaczka.

- Zorientowaliśmy się, ale nie powiedzieliśmy ani słowa - dodał jej brat. - Wygląda na to, że jedyną osobą, która nie udawała, był Anakin.

- Czyżby? - zadrwiła Jaina. - Nie zapominaj, kto w końcu wywiódł w pole wujka Luke'a. To Anakin pozwolił mu sądzić, iż nie miał nic wspólnego z tym automatem. Jest najlepszym aktorem z nas trojga. Oboje wiedzieliśmy, że to on skonstruował robota, a jednak nie wyczuliśmy, czy nie próbuje okłamać wujka. Bardzo możliwe, że Anakina starał się i nas wywieść w pole. Możliwe zresztą, że nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Jacen. Anakin zawsze był prawdziwą zagadką... niewiadomą, i to chyba także dla innych członków rodziny. Zapewne wszyscy już przywykli, że nie potrafią go zrozumieć. - A zatem, jak sądzisz, co im się siało? - zapytał, wpatrując się w ciemności. - Rzecz jasna, mówię o dorosłych.

- Nie mam pojęcia odrzekła Jaina. Obróciła się na drugi bok, aż zaszeleściło prześcieradło czy powłoczka. - Przypuszczam jednak, że ojciec wie coś, czego nie chce powiedzieć ani mamie, ani wujkowi.

Jacen także obrócił się w jej stronę, po czym oparł głowę na zgiętej ręce. W słabym blasku sączącym się z alkowy widział sylwetkę siostry. Zwrócona twarzą do niego. Jama leżała w identycznej pozycji.

- Uważasz, że to poważna sprawa? - zapytał chłopiec. - Czy coś raczej błędnego, związanego z bezsensowną polityką?

- Nie wiem. Bez względu na to, czym jest, chyba ma coś wspólnego z nami. Mama i tata nigdy nie zachowują się tak dziwnie, jeżeli nie zamartwiają się o swoje trzy ukochane maleństwa.

- To jasne - zgodził się z nią Jacen. - Rzeczywiście się martwią o nas.

Jaina cicho zachichotała, a później obróciła się na drugi bok i ułożyła do snu.

- Nie miej im tego za złe, Jacenie - mruknęła. Jej głos zabrzmiał trochę niewyraźnie, jakby stłumiony przez poduszkę. - Czy gdybyś był naszym ojcem albo mamą, nie martwiłbyś się, czy coś nam nie grozi?

Jacen ułożył się na plecach i wpatrzył w ciemny sufit. Musiał przyznać, że siostra ma sporo racji.

ROZDZIAŁ

4

NIEBEZPIECZEŃSTWA CZASU POKOJU

W głębinach przestworzy, z daleka od jakiegokolwiek zamieszkanego systemu, unosiła się samotna gwiazda. Nie otrzymała nazwy, tylko symbol kodowy, za pomocą którego można ją było zidentyfikować w gwiazdnych atlasach. Symbol składał się, z liter cyfr, i brzmiał TD-10036-EM-1271. Gwiazda nie miała żadnych godnych wzmianki okrążających ją planet. Towarzystwo jej jedynie kilka pasów kosmicznego pyłu, kamiennych okruchów i miniaturowych asteroidów, ale te nigdy nie połączyły się ani nie skupiły na tyle, żeby można było nazwać je światłami. Cały system - o ile dało by się ochrzcić go takim mianem - nie krył rzadkich bogactw naturalnych, nieosiągalnych gdziekolwiek indziej w galaktyce. Nic wyglądał zachęcająco oglądany z przestworzy, ani też nie miał znaczenia pod względem naukowym. Nikt więc nie zwracał sobie nim głowy.

W galaktyce istniały dosłownie miliardy podobnych gwiazd i pseudosystemów, których rozmiary, typ czy wiek nie stanowiły żadnej tajemnicy. Każdy zasługujący na to maniono astrofizyk pochodzący z jakiegokolwiek planety Republiki mógł bez trudu dokonać pomiarów kilku najbardziej charakterystycznych parametrów gwiazdy. Mógł później przekazać zwierzchnikom niezbędne informacje dotyczące jej wieku i dotychczasowej historii, a także najbardziej prawdopodobnego losu, jaki czekał ją w najbliższej przyszłości.

Rzecz jasna, wszyscy ci astrofizycy nie mogli wiedzieć, że się mylą.

W odległości wielu, bardzo wielu lat świetlnych, w głębinach systemu Korelii, pracował cały sztab naukowców i techników. Ich jedyne zadanie polegało na upewnianiu się, że wszyscy astrofizycy Nowej Republiki będą nadal tkwić w błędzie. Owa grupa ludzi pracowała od dawna, otoczona najściślejszą tajemnicą, ale już wkrótce jej wysiłki powinny przynieść spodziewane owoce. Już niedługo energia wytworzona przez tajemne urządzenia miała przelecieć przez przestworza i dosięgnąć gwiazd.

Inżynierowie i badacze wiedzieli że później już nic nie będzie wyglądało tak samo.

Luke stanął przed drzwiami apartamentu Mon Motamy. Wyprostował się i kilka razy głęboko odetchnął, po czym uniósł rękę, by przycisnąć guzik zwiastuna domowego. W ciągu tych wszystkich lat nauczył się poważać i cenić wiele osób w całej galaktyce, ale chyba nikogo nie darzył tak wielkim szacunkiem, jak Mon Mothmę. Zapewne dlatego, że kobieta była bardzo skromna i cicha, i w taki sam sposób podchodziła do rozwiązywania choćby najbardziej skomplikowanych problemów.

Ludzie mało spostrzegawczy musieliby dojść do wniosku, że Mon Mothma odgrywała najwyżej niewielką rolę we współczesnej historii Nowej Republiki. Nie dowodziła flotami okrętów ani nie uczestniczyła w ważniejszych bitwach czy potyczkach. Nie władała tajemnymi mocami, nie miała tajemniczej przeszłości ani też nie zdradzała wybitnych czy specyficznych talentów.

Nie była nikim więcej, ale i nikim mniej niż odważną, inteligentną, pracowitą i najwykleszą kobietą. To jednak ona nalegała i naciskała, i przekonywała, i tłumaczyła - i to dzięki niej do zawiązania Sojuszu Rebeliantów. To właśnie jej - zapewne bardziej niż jakkolwiek innej osobistości - zawdzięczała swoje istnienie Nowa Republika.

Jeżeli sam ten fakt nie był wystarczającym powodem, aby ludzie - nawet tacy jak Mistrz Jedi - darzyli ją miłością i poważaniem, Luke Skywalker nie wiedział, co innego mogło by wzbudzić szacunek.

Przycisnął guzik zwiastuna i skrzydła drzwi bezgłośnie rozsunęły się na boki. Tuż za progiem czekała Mon Mothma. Na widok spodziewanego gościa kiwnęła głową i obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Pozdrawiam cię, Mistrzu Jedi - powiedziała. - Witam cię w moim domu. Proszę, wejdź do środka.

- Dziękuję pani - odparł Luke.

Pomyślał, że słowo „pani” nie jest może tytułem, jakiego powinien używać, zwracając się do osoby odgrywającej kiedyś tak znaczną rolę, ale pamiętał, iż Mon Mothma nigdy nie przywiązywała wagi do tytułów ani grzecznościowych zwrotów.

Przeszedł do salonu i, zaciekawiony, zaczął się rozglądać. Rzecz jasna, znał Mon Mothmę od wiciu lat, ale zaledwie kilka razy gościł w jej apartamencie.

Ten zaś, w którym obecnie mieszkała kobieta, przypominał ją samą. Urządzony skromnie, ale ze smakiem, zdradzał wewnętrzny spokój i pewność siebie. Nieliczne, wykonane po mistrzowsku meble sprawiały wrażenie kruchych i delikatnych, ale zarazem bardzo wytrzymałych. Ich barwa, będąca czymś pośrednim między bielą a kolorem kości słoniowej, doskonale harmonizowała z odcieniem ścian i sufitu. Salon zdawał się większy niż w rzeczywistości. Bez wątplenia zawdzięczał to przynajmniej częściowo - kilku dobrze pomyślanym, ale prostym kontrastom. Większość rodzinnych salonów dyplomatów, dygnitarzy i dostojników, pełniących ważne funkcje na Coruscant czy innych światach Nowej Republiki, sprawiała wrażenie beznadziejnie zagraconych staroświeckimi, bezwartościowymi ozdobami. Przeważały wśród nich krzykliwe pamiątki przywiezione z setek egzotycznych światów i przedmioty codziennego użytku sprowadzone z innych planet Republiki. Prawdziwą ulgę przynosił

zatem widok mieszkania, które nie przypominało zatłoczonego i urządzonego bez gustu prowincjonalnego muzeum.

- Cieszę się, że znalazłeś trochę czasu, żeby mnie odwiedzić. Mistrzu Jedi - odezwała się Mon Mothma.

Dlaczego, na miłość przestworzy, zwracała się do niego aż tak oficjalnie?

- Uczyniłem to z prawdziwą przyjemnością, proszę pani - odparł.

- To miło z twojej strony - rzekła kobieta. - Proszę, usiądź.

Luke usiadł na pierwszym lepszym pozbawionym wszelkich ozdób krześle, którego nieruchome i twarde oparcie z pewnością nie dostosowywało się do krzywizny pleców. Stwierdził jednak ze zdziwieniem, że krzesło jest o wiele wygodniejsze niż mógłby przypuszczać, sądząc po wyglądzie. Nie odpowiedział na ostatnie słowa gospodyni. Dobrze wiedział, że kobieta nic zalicza się do osób, które trzeba przynaglać, żeby przeszły do sedna sprawy.

Mon Mothma usiadła naprzeciwko Luke'a i spojrzała na niego jakby go oceniała.

- Proszę, powiedz mi, czym ostatnio się zajmujesz, Mistrzu Jedi - powiedziała.

Skywalker musiał przyznać, że pytanie go zaskoczyło. Z początku nie wiedział, co odpowiedzieć. Dopiero później uzmysłowił sobie, że to nie było pytanie, ale rozkaz. Dlaczego miałaby go pytać, skoro znała odpowiedź równie dobrze jak on? Była przecież poprzednią przywódczynią Nowej Republiki i nadal miała dostęp do wszystkich informacji, a poza tym zawsze ze szczególnym zainteresowaniem śledziła karierę i losy Luke'a Skywalkera.

- No cóż, jak pani z pewnością wiadomo, akademia Jedi funkcjonuje bez najmniejszych problemów - zaczął. - Od czasu do czasu wciąż jeszcze ją odwiedzam, ale moi podopieczni czynią szybkie postępy. W tej chwili członkowie pierwszej grupy osiągnęli etap, na którym mogą się uczyć sami, bez nadzoru. Prawdę mówiąc, część z nich poświęca mniej więcej tyle czasu nauce, co na uczeniu kandydatów należących do drugiej, a nawet trzeciej grupy.

- A zatem nie jesteś im potrzebny?

- Z pewnością nie cały czas. Gdybym spędzał z nimi wszystkie wolne chwile, mógłbym tylko rozpraszać ich i przeszkadzać w ćwiczeniach.

- Uważasz więc, że chodzi nie tylko o to, iż nie jesteś im potrzebny. Postanowiłeś spędzać więcej czasu poza akademią, ponieważ nie chcesz przeszkadzać uczniom Jedi w doskonaleniu swoich umiejętności.

Luke doszedł do wniosku, że może nie był to najbardziej dyplomatyczny sposób wyrażenia tego, co miał na myśli, ale z pewnością zgodny z prawdą.

- Tak, można to właśnie tak ująć - przyznał.

- A zatem, co zamierzasz teraz robić?

Luke poruszył się niespokojnie. Uświadomił sobie, że z każdą chwilą zaczyna się czuć coraz bardziej niezręcznie. Z pewnością był zakłopotany. Zgadzał się na rozmowę z Mon Mothmą, nie przypuszczał, że czeka go coś w rodzaju przesłuchania. Mimo to, nawet jeżeli pytania wydawały mu się nieco dziwaczne, Mistrz Jedi zawsze mówił prawdę. Co więcej, gdyby nawet miały okazać się odrobinę bardziej natrętne i niemal nieuprzejme, chyba nikt, nie tylko rycerz czy Mistrz Jedi, nie odważyłby się

skłamać - albo powiedzieć jedynie części prawdy - gdyby musiał spoglądać w oczy Mon Mothmy.

- Przekonałem się, że ostatnio nie mam wiele do roboty - przyznał.

- Żadnych chwalebnych wypraw? - zapytała kobieta. - Żadnych beznadziejnych bitew do wygrania? Żadnych heroicznych misji?

- Nie, nic takiego - odparł Mistrz Jedi.

Uświadomił sobie, że zaczyna odczuwać rozdrażnienie. Osoba poważana czy nie, nie miała prawa traktować go tak obcesowo.

- Oczywiście, że nie - oznajmiła Mon Mothma. - Przecież panuje pokój. - Uśmiechnęła się, a później nawet roześmiała, ale ton jej głosu zdradzał, jak bardzo jest zmęczona. - Pokój jednak ma swoje problemy - ciągnęła po chwili. - Żadnych kryzysów, kłopotów, wypraw ani przygód. A to znaczy, że ludzie, którzy umieją radzić sobie z kryzysami i kłopotami, w czasie pokoju nie mają wiele do roboty. Poszukiwacze przygód, awanturnicy i rewolucjoniści właściwie nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić. Czy wiesz, Mistrzu Jedi, że ostatnio ja także prawie niczym się nie zajmuję?

Naprawdę trudno byłoby tu coś odpowiedzieć, a zresztą, wszystko wskazywało na to, że Mon Mothma nie spodziewa się odpowiedzi. Luke postanowił zachować milczenie.

- Jesteś bardzo rozsądny - pochwaliła go kobieta. - Dlatego, że nic nie mówisz. Nie masz pojęcia, dlaczego chciałam z tobą porozmawiać, i nie rozumiesz, jaki sens mogą mieć moje obcesowe pytania i nieuprzejmość, na jaką nie zasługujesz. No cóż, za chwilę ci to powiem.

Wstała i podeszła do okna, które sprawiało wrażenie nieprzezroczystego. Musnęła czubkiem palca przycisk kontrolny i natychmiast przez szyby zaczęło wpadać światło.

Zachodzące słońce Coruscant wciąż jeszcze stało rozjaśniające bezchmurne niebo ogniste, różowe i złociste strzały. Jakiś wahadłowiec, który niedawno wystartował, przeciął świetlistą lunę i skierował się na północ, by po chwili zniknąć na tle ciemniejącego firmamentu.

- Może popełniłam błąd, wybierając apartament usytuowany w niewłaściwym skrzydle gmachu ciągnęła Mon Mothma. Każdego dnia widzę, jak słońce zachodzi, ale nigdy nie oglądam wschodu. Czasami nie mogę się pogodzić z tą symboliką. Ilekroć wyglądam przez okno i widzę zorze zachodu, przypominam sobie. Że moje dni również dobiegają końca. Wiem, iż przeszłam przez życie, czyniąc dobrze, i wycisnęłam niezatarte piętno na losach galaktyki. Mam nadzieję, że może także w najbliższej przyszłości będę mogła służyć jej swoimi siłami. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby owa przyszłość rzucała mi wyzwania podobne do tych, jakim musiałam stawić czoło w przeszłości. Chwała za nie losowi, ale po tym wszystkim, co zrobiłam i co osiągnęłam, właściwie czuję się bezrobotna i niepotrzebna. Muszę przyznać, że trochę mnie drażni i niepokoi fakt, iż dzieło mojego życia dobiegło końca, zanim zdążyło to uczynić samo życie. Czy kiedykolwiek czułeś się podobnie?

Luke nie potrafił znaleźć słów, by jej odpowiedzieć. Mon Mothma jeszcze chwilę spoglądała przez okno, ale później odwróciła się i przeniosła spojrzenie na Mistrza Jedi.

- Jeżeli rzeczywiście tak się czułeś, musiało to być dla ciebie trudniejsze do zniesienia niż dla mnie - rzekła. Moje dni przeminęły, ale jestem tylko starą kobietą. Przeżyłam tyle lat, że - przynajmniej czasami - odkrywam w sobie radość na myśl o spokoju, ciszy, wygodach i odpoczynku. Niecierpliwość, nerwowość i gorączka zaznania czegoś innego, nieznanego, to wszystko przeminęło razem z młodością. Teraz cieszę się tym, co niesie obecne życie.

Mon Mothma podeszła do Luke'a i spojrzała mu w oczy.

- Ale co będzie z tobą? - zapytała. - Co stanie się z Mistrzem Jedi? Obawiam się, że aż za dobrze znam odpowiedź na to pytanie.

-Chciałbym ją usłyszeć - powiedział Skywalker.

- Dzieło twojego życia także dobiegło końca - odparła była przywódczyni. - Skończyły się wojny, w których brałeś udział. Ocaliłeś życie bardzo wielu istot, oswoiłeś niezliczoną liczbę światów, okazałeś się odważny, przebiegły i waleczny. To dzięki tobie odrodził się zakon rycerzy Jedi. Teraz wszakże, mimo iż ukończyłeś wszystko, czego się podjąłeś, jesteś nadal młody.

Dorastałeś w czasach, kiedy toczyły się wojny, ale wojny się zakończyły i nastał pokój. Tymczasem historia dowodzi, że czasy pokoju bardzo często bywają trudne dla walecznych wojowników. Uczestnicy wojen nie mogą, a niekiedy nie potrafią znaleźć sobie odpowiedniej pracy. A zatem, Luke'a Skywalkerze, pytam cię tak jasno, jak umiem. Co zrobisz teraz, gdy panuje pokój?

- Nie wiem - przyznał Mistrz Jedi. - Mógłbym zapewne kilka rzeczy zrobić, ale... No cóż, może prawdziwym powodem, dla którego pozostaję bezrobotny, jest fakt, że po prostu staram się zająć czymkolwiek, byle tylko nie pozostawać bez zajęcia. Czymkolwiek, co umiem i mógłbym zrobić. Nie są to rzeczy, jakie chciałbym robić albo które powinny czy muszą zostać wykonane.

Mon Mothma się zamyśliła. Po chwili pokiwała głową.

- To wszystko brzmi znajomo - przyznała cicho. - Istnieje jednak pewien problem. Jak sądzisz, co moglibyśmy porównać - ty i ja - z tym, czego podejmowaliśmy się w przeszłości?

- Nie wiem - odrzekł Luke. - Sprawiasz jednak wrażenie, jakbyś miała jakiś pomysł.

- No cóż - westchnęła kobieta. - Nie mogę zapomnieć, że już kiedyś inny członek twojej rodziny borykał się z takim samym problemem. Osoba, o której myślę, chyba sobie z nim poradziła.

- Powiedziałbym, że Han ma chyba jeszcze mniej pracy niż ja - stwierdził Luke. - I raczej nie powinienem brać przykładu właśnie z niego.

- To nie o nim myślałam - rzekła Mon Mothma. - Ale jeżeli już o Hanie mowa, na twoim miejscu nie martwiłabym się jego losem. Możliwe, że na razie jest bezrobotny, ale nie sądzę, żeby wszechświat pozostawił go na długo w spokoju.

- No cóż - przyznał Luke. - Prawdopodobnie masz rację.

- Chodziło mi o innego członka twojej rodziny, który również znalazł się w takiej samej sytuacji - ciągnęła kobieta. - Ona także musiała przestać myśleć w kategoriach

walki i wojny, a zastanović się nad tym, co począc w czasach pokoju. Przyznając, że uporała się z tym problemem całkiem dobrze.

Luke zmarszczył brwi. Nie ukrywał zaskoczenia.

- Leia? - zapytał, wciąż jeszcze nie mogąc ochłonąć z wrazenia. - Nawet o niej nie pomyślałem.

- Właśnie o nią mi chodzi - oświadczyła jego rozmówczyni.

- Z Leią to inna sprawa - próbował oponować Mistrz Jedi. - Jeszcze przed wojną zajmowała się dyplomacją i polityką. Właściwie cały czas robiła to samo. A później, po zakończeniu wojny, nie zmieniała zajęć, dopóki...

- Mon Mothma uśmiechnęła się lekko.

- Dopóki nie przejęła mojej funkcji - dokończyła. - Rzecz jasna, cieszyłam się, że mogłam jej przekazać obowiązki przywódczyni i odpocząć, ale czasami tęsknię za tym, czym się zajmowałam. Muszę jednak przyznać, że Leia jest jakby stworzona do tej pracy.

- Nie wiem, czy odpowiadałoby mi zajmowanie się tym, co robi moja siostra, jeżeli o to chodzi - odrzekł Luke. - Obawiam się, że nie wywiązałbym się z zadania równie dobrze. Możliwe, że to kwestia wprawy, ale chyba nie chciałbym się znaleźć na jej miejscu.

- Nie wygląda na to, że praca sprawia Leii dużo radości, ale radzi sobie naprawdę doskonale - przyznała Mon Mothma. - Prawdopodobnie lepiej niż ja. Powiedz mi jednak, jaka jest twoja siostra jako rycerz Jedi?

Mon Mothma zmieniła temat rozmowy tak nieoczekiwanie, że przez chwilę Luke nie wiedział, co odpowiedzieć. Obdarzył rozmówczynię spojrzeniem pełnym zdumienia. Jeszcze raz przekonał się, że kobieta zna odpowiedź na swoje pytanie. Uzmysłowił sobie również, że nie oczekuje od niego zdawkowego stwierdzenia, iż siostra stara się, jak może. Właściwie zależało jej na tym, żeby Luke usłyszał, jak sam odpowiada na to pytanie.

- Ma wrodzone zdolności, odziedziczyła duży talent - zaczął, starannie dobierając słowa. - To chyba oczywiste i zrozumiałe. Jednak dotychczas niemal cały wolny czas poświęcała różnym innym zajęciom... co uniemożliwiałoby jej wykonywanie ćwiczeń Jedi, a zatem hamowało rozwój i doskonalenie tych umiejętności. Mimo to uważam, że gdyby teraz zaczęła poświęcać temu więcej czasu i wytrwała, po pewnym czasie mogłaby osiągnąć mój poziom.

- Na razie jednak daleko jej jeszcze do twoich umiejętności posługiwania się Mocą, prawda? - zapyłała Mon Mothma. - Nie potrafi wykorzystywać całego swojego potencjału?

- Na razie nie potrafi - podkreślił Mistrz Jedi. Możliwe, że powiedział to z większym naciskiem niż zamierzał. Ten stan może ulec zmianie. Gdyby zechciała zrezygnować ze swoich obowiązków i poświęcić cały czas wyłącznie ćwiczeniom we władaniu Mocą, osiągnęłaby poziom, o którym obecnie może tylko marzyć.

- Czy widzisz jakieś szanse, że tak się stanie?

Luke z namysłem pokręcił głową.

- Żadnych przyznał ponuro. Moja siostra już dawno dokonała wyboru. Wybrała karierę polityczną, która zabiera jej cały czas i stawia przed nią wciąż nowe wyzwania. A poza tym ma troje dzieci i musi zadbać o ich wychowanie.

- A jednak zawsze ubolewała - podobnie jak ty - że nie może rozwijać swoich umiejętności. Jeżeli się nie mylę, bardzo często, chociaż zawsze łagodnie, czyniłeś jej z tego powodu wymówki, nieprawdaż?

- No cóż. to prawda - przyznał trochę zakłopotany Mistrz Jedi.

- Czy nie irytuje cię, że twoja siostra, obdarzona takim samym talentem, nie robi nic, by go doskonalić? Że nie wykorzystuje go jak powinna i jak może? Czy nie sądzisz, że to coś w rodzaju skandalicznego marnotrawstwa?

Luke uniósł głowę i popatrzył prosto w oczy rozmówczyni. Prawda. Właśnie tego się domagała. Chciała usłyszeć całą prawdę. Luke uświadomił sobie, że właśnie to zamierzał jej powiedzieć. Prawdą, całą prawdą i tylko prawdą.

- Tak - odparł stanowczo. - Tak właśnie uważam.

- A zatem, Luke'u Skywalkerze - ciągnęła Mon Mothma - proponuję ci, żebyś zastanowił się nad faktem, iż w niektórych zwierciadłach można przeglądać się i z jednej, i z drugiej strony.

Tym razem w głosie kobiety, a także w wyrazie twarzy i ruchach ciała nie było nic łagodnego ani subtelnego. Nic też nie świadczyło o rezygnacji albo pogodzeniu się z losem.

- Słucham? - zapytał zdumiony Luke. Doszedł do wniosku, że odkąd zjawił się w apartamencie Mon Mothmy i rozpoczął rozmowę, chyba nie najlepiej sobie radził z odczytywaniem jej nastrojów i emocji. - Obawiam się, że nie zrozumiałem.

- Mówili mi to wiele razy bardzo różni ludzie - ciągnęła była przywódczyni, jak gdyby zamierzała wypróbować zasoby jego cierpliwości. - Twierdzili, że ty i Leia, jako bliźnięta, odziedziczyliście taki sam duży talent. Mimo to tylko jedno z was postanowiło wykorzystywać go i rozwijać. Drugie zdecydowało się zostać kim innym i nie pracując nad sobą, stało się kimś gorszym. Ludzie uważają, że to wstyd - mimo iż osobą, o którą chodzi, jest Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki. Czasami, ilekroć myślą, że nikt ich nic usłyszy, szepczą po kątach, że twoja siostra marnuje swoje życie!

- Do czego zmierzasz? - zapytał Luke czując, że coraz szybciej zaczyna tracić cierpliwość.

- Do tego, że ty także powinieneś dojść do podobnego wniosku - odparła kobieta. - Najwyższy czas. abyś sobie uświadomił, że również Luke Skywalker dokonał pewnego wyboru. Już dawno, bardzo dawno powinieneś być zauważyć, że i ty masz potencjał i talent, którego nigdy nie pielęgnowałeś i nie rozwijałeś.

- Na przykład? - zainteresował się Mistrz Jedi.

- Jeżeli Leia potrafi włączyć Mocą dlatego, że ty, jej brat bliźniak, to umiesz a co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - mówiła kobieta stanowczo, jakby wreszcie zdecydowała się ujawnić całą prawdę czy nie znaczy to, że wykazujesz talent również w innej dziedzinie, ponieważ Leia, twoja siostra bliźniaczka udowodniła, iż jest nim obdarzona? Zajęła się dyplomacją i polityką, ale stara się także być dobrą żoną i matką.

Nie przestając umacniać Nowej Republiki, wychowuje nowe pokolenie rycerzy Jedi. Spójrzmy jeszcze raz w owo zwierciadło - ciągnęła po chwili. Republika potrzebuje nowego pokolenia przywódców politycznych. Nie wiem, czy to sobie uświadamiasz, Mistrzu Jedi, ale musisz także zainteresować się polityką. Uważam, że to nieuniknione - niezależnie, czy ci się to podoba, czy też może uważasz to za absurd.

- Ja? - zapytał coraz bardziej zdumiony Skywalker. - Dlaczego ja? Przecież jestem...

- Bohaterem Rebelii - dokończyła kobieta. - Sławnym w całej Nowej Republice i na setkach innych światów, których przywódcy nie zechcieli się do nas przyłączyć. Pamiętaj, że różni pretendenci, uzurpatorzy i władcy nie zdołają się przeciwstawić woli kogoś tak jak ty znanego, lubianego i poważanego. Podejrzewam, że w ciągu kilku najbliższych lat staniesz się obiektem wielu, jeżeli nie wszystkich manewrów, zabiegów i zakusów politycznych.

- Ale ja jestem rycerzem Jedi - zaprotestował Skywalker. - Mistrzem Jedi. Nie mogę interesować się polityką. Nie mówiąc już o tym, że nie pragnę.

Mon Mothma znów się uśmiechnęła

- Jak myślisz, jaka część twojego dotychczasowego życia składała się z chwil, w których robiłeś to, co chciałeś? Porozmawiajmy jednak o rycerzach Jedi, ponieważ właśnie w tym celu cię zaprosiłam. Jak sądzisz, kim staną się w przyszłości twoi uczniowie?

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o co ci chodzi - odparł zdezorientowany Luke.

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że cała dotychczasowa rozmowa sprowadziła się wyłącznie do rozwiązywania wciąż nowych zagadek i łamigłówek. Jeżeli kobieta naprawdę zamierzała poruszyć w rozmowie problemy dotyczące rycerzy Jedi, dlaczego tak długo zwlekała, zanim przeszła do sedna sprawy? Odpowiedź na jej pytanie była przecież bardzo prosta. Jego uczniowie byli, albo już niedługo mili się stać... no cóż, właśnie rycerzami Jedi. A kimże innym mieliby zostawać?

- No, dobrze - rzekła Mon Mothma. Pozwól więc, że ujmę to inaczej. Czy uważasz, że w ciągu najbliższych lat twoi podopieczni których na razie jest kilkunastu, może kilkudziesięciu, ale wkrótce będzie kilka tysięcy, a to już mała armia - naprawdę zadowolą się rolą wyłącznie najwyższych kapłanów albo naczelnych szamanów? Czy przypuszczasz, że pozostaną odcięci od reszty ludzi tylko dlatego, że posiadają część tajemnej wiedzy? Czy zawsze pozostaną odpowiedzialni tylko przed sobą? Czy nie powinni raczej służyć wszystkim innym istotom, nie powinni być ściśle z nimi związani? Krótko mówiąc, czy mają stać się integralną częścią jakiegoś społeczeństwa, czy też wieść życie na jego obrzeżach?

Luke musiał uczciwie przyznać, że jeszcze nigdy nie spoglądał na problem z takiej perspektywy.

- Myślę, że odpowiedzi na te wszystkie pytania są jednoznaczne i oczywiste - zaczął. - Przypuszczam również, że właśnie takich ode mnie oczekujesz. Co więcej, z całą pewnością takich właśnie bym ci udzielił, bez względu na to, kiedy byś mnie zapytała. Uważam, że gdyby nowy zakon rycerzy Jedi miał zostać odizolowany od ludzi i społeczności, oznaczałoby to coś złego i niebezpiecznego. Gdyby nowi rycerze

mieli wieść życie odmienne od tego, jakie wiodą zwykli ludzie, bardzo szybko mogliby zapomnieć, na czym polegają codzienne troski i zmartwienia.

- Dokładnie to chciałam usłyszeć - rzekła Mon Mothma. - Wierzę, i to z całej duszy, że Nowa Republika potrzebuje rycerzy Jedi, którzy nie zawahają się ubrudzić sobie rąk, stając się częścią codziennego życia. Uważam, że gdyby mieli wieść żywot, zamknięci w kryształowych wieżach, byłoby gorzej niż gdybyśmy w ogóle ich nie mieli. Nie trzeba sięgać pamięcią dalej niż do niedawnych czasów, żeby przypomnieć sobie, iż rycerze pragnący żyć w izolacji bardzo szybko stawali się Ciemnymi Jedi. Jeżeli jakiś rycerz chce zostać sługą światłości, nie może żyć w odosobnieniu od reszty ludzi. Uważam też, że swojego rycerza powinna mieć każda planeta, każde miasto... Nic możemy pozwolić, żeby Jedi żyli tylko w jednym miejscu i nigdzie indziej, Rycerze Jedi muszą robić to samo, co zwyczajni ludzie... a nawet więcej; muszą stać się zwyczajnymi ludźmi. Muszą zostać lekarzami i sędziami, żołnierzami i pilotami... a także politykami.

- Uważasz zatem, że mój szlak zawiedzie mnie do polityki - odezwał się Skywalker.

- Tak - stwierdziła Mon Mothma. - Chociażby dlatego, że masz obowiązek świecić przykładem czyli robić coś, przed czym nigdy się nie uchylałeś. W przeciwnym razie, gdybyś udał się na szczyt jakiejś góry, żeby tam rozmyślać w samotności nad losami galaktyki, twoi uczniowie i wyznawcy też wyruszałiby na wyprawę, chcąc znaleźć własne góry, na których mogliby się oddawać równie jałowym medytacjom. Jeżeli jednak zaczniesz zajmować się codziennymi sprawami, wszyscy pozostali Jedi podążą za twoim przykładem.

- Rozumiem, o co ci chodzi - rzekł Mistrz Jedi, aczkolwiek ale nie wyglądał na uszczęśliwionego. W większości przypadków dawanie dobrego przykładu było czynnością godną pochwały, ale niekoniecznie taką, na myśl o której serce mogło bić szybszym rytmem. Mimo to eksprzywódczyni Nowej Republiki miała rację. W najbliższej przyszłości nie należało oczekiwać niczego, co zmuszałoby serce do pośpiechu. Możliwe, że jeżeli chodziło o interesy społeczności, nie było w tym nic złego - Czy naprawdę przypuszczasz, że zostanę tak głęboko wciągnięty w politykę?

- Trudno mi powiedzieć, jak będzie wyglądała przyszłość - odparła Mon Mothma. - Nie wiem też, co czeka cię na końcu tej drogi. Z pewnością jednak ludzie będą rozglądali się za przywódcami, a zatem jest całkiem prawdopodobne, że zwrócą się do ciebie.

- Przypuszczam, że to możliwe - zgodził się Skywalker.

- Nawet prawie pewne - stwierdziła kobieta. - Na tyle, że powinienes o tym pomyśleć, zanim zostaniesz postawiony w takiej sytuacji.

- Wiesz, jakoś nigdy nic interesowała mnie władza - oznajmił Luke. - Nie zamierzam obudzić się któregoś ranka i stwierdzić, że ubiegam się o taki czy inny urząd.

- Nie, oczywiście, że nie - rzekła Mon Mothma. Wszystko potoczy się w zupełnie inny sposób. Ktoś nie mam pojęcia kto ani kiedy, ani jak, ani dlaczego zwróci się do ciebie z propozycją. Oświadczy, że nie szuka wodza, ale orędownika. Poprosi cię,

żebyś zajął się jego sprawą, wziął go w obronę albo podjął walkę w obronie jego racji. To prawda; nie interesujesz się polityką ani sprawowaniem władzy, ale czy potrafisz się oprzeć, kiedy będzie chodziło o udzielenie pomocy w słusznej sprawie?

- Nie, przyznał Mistrz Jedi. Ton jego głosu wskazywał jednak, że jest mu z tego powodu trochę przykro. Mon Mothma miała rację. Nie potrafiłby odmówić, gdyby ktoś zwrócił się do niego z podobną prośbą. - Nie to oczywiście, że gdyby ktokolwiek przedstawił swoje racje w taki sposób, musiałbym się zgodzić.

- Możesz być pewien, że wcześniej czy później ktoś przedstawi swoje racje właśnie w taki sposób - zapewniła go kobieta - Problem w tym, czy zostaniesz wówczas prawdziwym przywódcą, czy - zadowolisz się rolą figuranta.

- Słucham? - zapytał Skywalker.

- Czy zgodzisz się być tylko figurantem? - powtórzyła Mon Mothma. - Czy będziesz wówczas wiedział, jak stać się przywódcą, jak prowadzić negocjacje, kiedy zajdzie potrzeba, a także jak podejmować trudne decyzje, do których mogą ci zmusić twoi przeciwnicy lub po prostu okoliczności? Czy może zostaniesz osobą pełną dobrych chęci, ale zupełnie nieprzygotowaną do pełnienia obowiązków politycznego przywódcy? Możliwe, że znajdą się wówczas inni, którzy będą ci podpowiadali, co masz robić, a w rzeczywistości zaczną tobą manipulować. Jeżeli rzeczywiście pragniesz stać się przywódcą, musisz zawnoczu przygotować się do pełnienia funkcji, podobnie jak kiedyś przygotowywałeś się, aby zostać rycerzem Jedi. Musisz odbyć szkolenie podobne do tego, jakie przechodziła Leia, kiedy ty doskonaliłeś umiejętność władania Mocą.

Z całą pewnością w tonie jej głosu, chociaż może nie w słowach, zabrzmiała lekka nagana. Wyglądało na to, że Mon Mothma zamierzała powiedzieć coś takiego: „Podczas gdy Leia uczyła się trudnej sztuki dyplomacji, dzięki czemu wykonywała całą odpowiedzialną i niewdzięczną pracę, ty latałeś z miejsca na miejsce i przeżywałeś podniecające przygody”. Rzecz jasna, nic takiego nie powiedziała, ale Luke zrozumiał, o co jej chodzi.

- To, co wówczas robiłem, było czymś więcej niż tylko lataniem i przeżywaniem przygód - powiedział.

- Istotnie - przyznała kobieta. - Bez wątplenia także dobrze przysłużyłeś się Nowej Republice. Dokonałeś wielu bohaterkich czynów. Pamiętaj jednak, że historia nie drepcze w miejscu. Czasy się zmieniły. Przyszłość galaktyki rzuca nam wciąż nowe wyzwania. Nadszedł czas, żebyś się nauczył postępować i zachowywać się jak przywódca, negocjator, mąż stanu i orędownik tych, którzy nie mogą mówić za siebie. Możliwe, że zostaniesz przewodnikiem, dowódcą albo nauczycielem. Już niedługo wszystkie ludy zjednoczą się i wyruszą w dalszą drogę. Czy wówczas staniesz na czele kolumny marszowej?

- Chyba masz rację - oznajmił Mistrz Jedi, chociaż jego ton dowodził, że nie został do końca przekonany. - Tyle że nawet gdybym chciał zrobić wszystko to, o czym mówisz, i tak niewiele mógłbym dokonać. Ostatnio nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

- Rzeczywiście - rzekła Mon Mothma, ponownie lekko się uśmiechając. - Obecnie prawie nic nie przemawia za tym, że mogą zaistnieć okoliczności wymagające

pojawienia się dynamicznego, charyzmatycznego przywódcy. Tak właśnie bywa w czasach, kiedy nie toczą się żadne wojny. W pewnym sensie cały problem wynika z tego, że trwa pokój.

- Jakim cudem okres pokoju może stwarzać problemy albo zagrożenia? - zdziwił się Mistrz Jedi.

- Nie zrozum mnie źle - zastrzegła się kobieta. - Wojna to coś strasznego i mam nadzieję, że już nigdy nie wybuchnie. W czasie wojny wiele spraw wygląda jednak o wiele prościej i bardziej jednoznacznie niż podczas pokoju.

- Jeżeli ktoś toczy wojnę - ciągnęła Mon Mothma - dobrze wie, kto jest jego nieprzyjacielem. Wrogami są wszystkie osoby nie należące do twojej grupy czy obozu. Sprzymierzeńcy i przyjaciele muszą połączyć siły, żeby zwyciężyć lub choćby tylko przeżyć. W czasach pokoju po prostu nie ma jasno zdefiniowanych nieprzyjaciół. Istnieją tylko grupy ludzi, którzy głosują inaczej niż ty w jednej sprawie, podczas gdy w innej mogą popierać twoje stanowisko.

- Walczyliśmy przeciwko Imperium w imię słusznej sprawy, Za taką uważaliśmy wolność i sprawiedliwość teraz nasze zadanie polega na tym, żeby wolność i sprawiedliwość stały się czymś rzeczywistym i powszechnym. Dążymy do skorygowania błędów, które kiedyś wydawały się nam błahostkami. Po prostu nie mieliśmy wówczas czasu, aby zaprzętać sobie głowę takimi drobiazgami. Obawialiśmy się, że w każdej chwili ktoś może zechcieć poderżnąć nam gardła.

W czasach pokoju wszystko staje się niejasne, niejednoznaczne i skomplikowane. Wygraliśmy wojnę, wywołując eksplozję Gwiazdy Śmierci czy nawet dwóch ale utrzymać pokój zdołamy tylko jeśli zbudujemy następne gwiazdne stacje, nowe domy i nowe miasta. A przy tym nie chodzi o szczodrość czy rozrzutność. Jeżeli nie odbudujemy z wojennych zniszczeń domów, miast i całych światów, musimy się liczyć z tarciami, demonstracjami i zamieszkami mogącymi doprowadzić do wybuchu nowej wojny. Pokoju nie da się zachować, jeżeli się coś zniszczy. Można liczyć, że będzie trwał, o ile się coś zbuduje - a budowanie bywa zawsze trudniejsze niż niszczenie. To takie oczywiście jak prawo przyrody.

Budowanie jest procesem powolnym, pracochłonnym i zazwyczaj sprzecznym z mentalnością wojownika. Właśnie na tym polega cały problem przynajmniej dla ludzi takich jak ja i ty. Przyzwyczailiśmy się do silnych wrażeń, których nie brak podczas wojny, a których w czasie pokoju prawie się nie spotyka. Musisz wiedzieć, że wielu innych ludzi boryka się z takimi samymi problemami. Z pewnością znajdą się wśród nich i tacy, którzy ulegną pokusie wywołania zamieszek albo awantury politycznej - jedynie dlatego, żeby zaspokoić własny głód silnych wrażeń.

- Nie sądzę, żebyś tym razem miała rację, Mon Mothma - odezwał się Skywalker. - Z groźbami zamieszek czy buntów należy się liczyć zawsze. Po prostu sam wszechświat jest niebezpieczny. A poza tym, jeżeli chodzi o mnie, nie jestem pewien, czy tak bardzo tęsknię za mocnymi wrażeniami okresu wojny. Zapewne mógłbym przeżyć resztą życia w spokoju i ciszy. Pod warunkiem, że już nigdy nie znajdzie się nikt, kto by chciał mnie zamordować.

- Możliwe, że masz słuszość, Luke'u Skywalkerze - odrzekła kobieta. - Mimo to, jeżeli nawet w tej chwili nic widzisz niczego, co kazałoby ci zostawać przywódcą, przygotuj się do wykorzystania szansy, która może się nadarzyć w przyszłości. Naucz się wszystkiego, czego zdołasz, gdyż później możesz nic mieć na to czasu. Nie zadowolaj się tym, że jesteś rycerzem Jedi czy nawet Mistrzem Jedi. Stań się przywódcą Jedi!

- Przysięgam, że zastanowię się nad twoimi słowami - rzekł Luke, po czym wstał i odwrócił się, by opuścić apartament byłej przywódczyni.

- Miałam nadzieję usłyszeć od ciebie właśnie taką obietnicę - odparła gospodyni. - Jest jednak jeszcze coś, o co chcę cię prosić, i mam nadzieję, że spełnisz życzenie starej kobiety.

- Co takiego? - zapytał Luke, starając się mieć na baczności.

- Już niedługo spotkasz się z Landem Calrissianem - odparła Mon Mothma - który poprosi cię o pomoc w pewnym delikatnym przedsięwzięciu.

- To prawda - przyznał Luke, zastanawiając się. zresztą nie pierwszy raz, jakim cudem ona zdobywa takie informacje. Nie mam wszakże pojęcia, o co może mu chodzić.

- Ach - powiedziała kobieta, kolejny raz się uśmiechając. - Domyślałam się, że nic ci nie powie. Wygląda jednak na to, że ja wiem, co planuje. Musisz wiedzieć, że to coś niezwykłego - rzecz jasna, jeżeli chodzi o Calrissiana. Coś, co może na zawsze zmienić jego życie.

- I chciałaś, żebym go przekonał, aby z tego zrezygnował - domyślił się Skywalker.

- Wręcz przeciwnie - oznajmiła jego rozmówczyni. Chciałabym, abyś mu udzielił wszechstronnej pomocy. Fakt, że to coś tajemniczego, nie oznacza jeszcze niczego niewłaściwego albo niebezpiecznego. Nie. Pragnęłabym, żebyś pomógł przyjacielowi. Co więcej, uważam, że pomagając mu, oddajesz wielką przysługę także sobie

Dopiero znacznie później, kiedy Mistrz Jedi opuścił progi apartamentu byłej przywódczyni Nowej Republiki, uświadomił sobie, że właściwie zapomniał zapytać, co miały oznaczać jej ostatnie słowa.

ROZDZIAŁ

5

CHŁODNE POWITANIE

Pilotująca wysłużony transportowiec towarowy pani porucznik Belindi Kalenda wahała się jeszcze chwilę, ale wreszcie sięgnęła do włącznika silników napadu nadświetlnego. Mały statek unosił się nieruchomo w czarnych przestworzach. Wszystkie współrzędne zostały sprawdzone, wszystkie systemy pokładowe przygotowane do wyruszenia w ostatni etap wyprawy na Korelię. Młoda kobieta miała świadomość, że kiedy włączy silniki, nie będzie mogła zawrócić ani zboczyć z kursu. Nie powinna się tym martwić, ale wiedziała, że w systemie Korelii dzieje się coś złego. Chyba nikt, kto tam nie mieszkał, nie mógł tego wiedzieć lepiej niż ona.

Wybrała się w podróż niewielkim, nie wyróżniającym się niczym szczególnym frachtowcem, starannie wybranym przez agentów Wywiadu Nowej Republiki. Statek miał pomagać pani kapitan w udawaniu handlarki, która ostatnio nie mogła narzekać na nadmiar szczęścia. Kobieta transportowała towary pochodzące z pięciu albo sześciu światów, a dziennik pokładowy statku został po mistrzowsku spreparowany, żeby stanowił dowód, iż rzeczywiście na nich lądowała. Z troszczono się i oto, aby pochodziły z nich także śmieci w zbiornicy odpadków. Nie zapomniano nawet o pozostawieniu w filtrach powietrza pojedynczych włosów, płatków złuszczonej skóry i okruchów pancerzy chitynowych rozmaitych inteligentnych istot, które zamieszkiwały świat, gdzie rzekomo przebywała.

W największe zdenerwowanie wprawiła jednak kobietę świadomość, że jednostka napędu świetlnego jej transportowca została celowo uszkodzona. Już niedługo miał odmówić posłuszeństwa modulujący buforowy wymiennik ciepła. Technicy WNR zapewnili Kalendę, że urządzenie wytrzyma, kiedy będzie włączała napęd, ale przegrzeje się i eksploduje niedługo po wyłączeniu. Krótko mówiąc, gdy wyskoczy z nadprzestrzeni w pobliżu systemu koreliańskiego, silniki napędu nadświetlnego nie dadzą się włączyć na nowo. Chodziło o to, żeby gospodarze nie mogli wydać jej rozkazu opuszczenia systemu. Musieliby wyrazić zgodę na lądowanie i odesłanie jednostki do centralnych warsztatów remontowych. Wszystko świadczyło o tym, że

wymiana uszkodzonego podzespołu zajęłaby kilka tygodni, a może nawet miesięcy, i wymagałaby wręczenia sporych sum w charakterze łapówek. Tymczasem Kalenda zabierała w drogę tylko tyle, żeby wystarczyło na pokrycie kosztów najbardziej standardowych napraw a i to jedynie wówczas, gdyby udało się jej sprzedać transportowane towary.

Jej zadanie polegało więc na tym, aby wylądować w systemie Korelii i spędzić tam nie wiadomo ile, ale jak najwięcej czasu. Przełożeni kobiety mieli nadzieję, że grając rolę pechowej handlarki, Kalenda zdoła wywieźć w pole funkcjonariuszy miejscowych służb bezpieczeństwa, dzięki czemu nie będzie tak dokładnie kontrolowana.

Agentka WNR bardzo pragnęła odwlec chwilę startu tak długo, żeby wylądować na Korelii po pojawieniu się tam Hana Solo i przywódczyni Nowej Republiki. Liczyła na to, że może wówczas nikt się nie zainteresuje, po co przyleciała. Niestety, jej pragnienia nie miały się ziścić. Nikt nie potrafił zgrać obu wydarzeń w czasie z tej prostej przyczyny, że nikt inny spośród pracowników Wywiadu Nowej Republiki nic nie wiedział na temat jej rozmowy z Hanem Solo. Prawdę mówiąc, jeżeli chodzi o to ostatnie, młoda kobieta pozwoliła sobie wziąć inicjatywę we własne ręce. Podejrzała, że stanie się lepiej, jeżeli nikt - ale to absolutnie nikt - nie dowie się o jej planach. Ze wszystkich nieszczęść i niepowodzeń, jakie ostatnio spadły na WNR, mogła wyciągnąć tylko jeden wniosek. Do jej organizacji musiał przeniknąć jakiś tajny agent, który pochodził z Korelii i pozostawał na usługach tamtejszego podziemia. Dlatego Kalenda nie odważyła się nawet napomknąć przełożonym o planie wykorzystania Hana Solo jako osoby odwracającej uwagę funkcjonariuszy koreliańskich służb bezpieczeństwa. Nie ośmieliła się poprosić zwierzchników o akceptację swojego planu. Istniało duże prawdopodobieństwo, iż o jej zamiarach dowiedziałyby się agent koreliańskiej opozycji. Bez względu na to, kim był. Powiadomiłby o wszystkim swoich przełożonych, wskutek czego jej wyprawa spaliłaby na panewce jeszcze przed startem.

To zresztą był jeden z powodów, dla których Kalenda starała się ostrzec Hana Solo, że na Korelii dzieje się coś niedobrego. Spodziewała się, że podejmując decyzję, mężczyzna zechce mieć się na baczności i zwróci szczególną uwagę na pociechy. Jego dzieci musiały być chronione. Leia Organa Solo nalegała, żeby wszyscy członkowie rodziny Solo lecieli razem, ale sami. Zamierzała wylądować na Korelii kilka dni przed rozpoczęciem konferencji. Strażnicy Nowej Republiki powinni zapewnić jej ochronę w trakcie części oficjalnej, lecz kiedy indziej mieli jej pozostawić swobodę ruchów. Przywódczyni zamierzała spędzać czas, jak zechce - co niezmiennie przyprowadzało agentów i funkcjonariuszy Wywiadu o ból głowy.

A skoro już mowa o podejmowaniu decyzji, Kalenda uświadomiła sobie, że zbyt długo zwleka z podjęciem swojej. Musiała wykonać zadanie.

Obawiała się jednak, że i jej może grozić niebezpieczeństwo. Nie miała pojęcia, jakie, ale także musiała mieć się na baczności. Możliwe, że rozmowa z Hanem Solo była jej osobistą inicjatywą ale zamiar przeniknięcia do struktur tajnej organizacji działającej na Korelii zrodził się w mózgach jej przełożonych. Co więcej, stanowił w

stu procentach standardową operację. Wywiad Nowej Republiki zawsze szczylił się starannym planowaniem i przywiązywaniem dużej wagi do szczegółów. W normalnych okolicznościach Kalenda nie widziała w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, takie podejście przyczyniało się do powodzenia całego przedsięwzięcia. Teraz wszakże każdy funkcjonariusz Wywiadu, który poznawał szczegóły planu, zwiększał ryzyko, że o jej wyprawie dowie się koreliański agent.

Kobieta żałowała, że nie może zmienić współrzędnych punktu, w którym powinna wyjść z nadprzestrzeni. Wiedziała, że to niemożliwe. Siły Obrony Koreliańskiej Przestrzeni Powietrznej były dobrze znane z tego, że bardzo nerwowo reagowały na wszelkie niespodzianki. Gdyby więc pojawiła się nie tam, gdzie powinna, mogłoby się rozpętać istne piekło. W najlepszym razie zwróciłaby na siebie uwagę, a przecież właśnie tego starała się uniknąć. W najgorszym - mogła zostać zestrzelona.

Liczyła trochę na to, że kilka godzin spóźnienia, przyda wiarygodności jej opowiadaniu i może wywieść w pole strażników Sił Obrony. Możliwe, że koreliańscy funkcjonariusze dojdą do wniosku, iż w ogóle nie przyleci. Zrezygnują z czuwania, a może nawet udadzą się na spoczynek. Możliwe jednak, że opóźnienie da im więcej czasu, dzięki czemu lepiej przygotują się na jej powitanie.

Nie mogła zrobić nic oprócz włączenia komputera astronawigacyjnego i jednostki napędu nadświetlnego a potem już tylko liczyć na dużą dozę szczęścia. Przełknęła ślinę, mimo iż przyszło jej to z trudem. Raz czy dwa zgięła i rozprostowała palce, po czym przycisnęła guzik.

Obserwowała przez dziobowy iluminator transportowca, jak świetliste punkciki gwiazd przemieniają się w ogniste strzały. Statek przyspieszył i po chwili znalazł się w mrokach nieznanej i niepoznawalnej nadprzestrzeni. Dopiero jednak kiedy ostatnie smugi ściemniały i zgasły, kobieta westchnęła z nieklamana ulgą. Była bezpieczna, przynajmniej na razie.

Niestety, miejsce wejścia w nadprzestrzeń dzieliła od systemu Korelii odległość zaledwie roku świetlnego, więc nie miała zbyt długo przebywać bezpiecznie ukryta. Kobieta spędziła ten czas, martwiąc się o wszystko, co w trakcie wyprawy mogło potoczyć się nie po jej myśli a przynajmniej o niektóre sprawy. Podejrzała, że musiałyby mieć o wiele więcej czasu, aby pomyśleć rzeczywiście o wszystkich z bardzo długiej listy.

Już wkrótce komputer astronawigacyjny zapiszczał na znak, że zbliża się chwila wyskoczenia z nadprzestrzeni. Kalenda usiadła wygodniej w fotelu pilota i oparła dłoń na pulpicie w pobliżu mechanizmów kontrolnych. A więc tak. Czekwała cierpliwie, aż komputer ukończy odliczanie, wyłączy zasilanie silników napędu nadświetlnego i wyrzuci frachtowiec w normalne przestworza.

Po chwili cały wszechświat ponownie rozbłysnął milionami świetlistych punktów. Kalenda zobaczyła Korela, słońce Korelii. Ujrzała gwiazdę dokładnie tam, gdzie się spodziewała. Sprawdziła wyświetlane na ekranie współrzędne i stwierdziła, że jej statek nie zboczył z obranego kursu. To dobrze. Bardzo dobrze, leciała prosto ku Korelii i znajdowała się mniej więcej pośrodku przydzielonego jej korytarza.

Może więc lądowanie przebiegnie zgodnie z planem? Musiała jedynie grać wyznaczoną rolę, a wtedy wszystko będzie dobrze. Powinna teraz jak najszybciej porozumieć się z Kontrolą Ruchu Powietrznego Korelii.

- Kontrola Ruchu Powietrznego, tu frachtowiec „PBY - 1457” - powiedziała. - Zbliżam się do Korelii. Proszę o zgodę na lądowanie i o podanie współrzędnych lądowiska.

ŁUP! Kalenda poczuła, że jakaś siła próbuje wyrwać ją z fotela i rzucić na konsolę. Na szczęście zatrzaśki sieci ochronnej nie puściły, ale kadłub frachtowca szarpnął się, jakby natrafił na przeszkodę. Kobieta natychmiast sięgnęła do dźwigni sterowniczych decydujących o szybkości i kierunku lotu. To chyba niemożliwe, żeby tak szybko eksplodował buforowy wymiennik ciepła, pomyślała. Technicy obiecali jej, że wydarzy się to mniej więcej pół godziny po wyskoczeniu z nadprzestrzeni. A zatem to musiało być...

ŁUP! Następne trafienie. To nie przypominało eksplozji na pokładzie. Ktoś strzelał do jej statku. W tym samym ułamku sekundy, w którym Kalenda uświadomiła sobie niemiłą prawdę, pociągnęła za dźwignię, żeby jej frachtowiec wykonał bezczkę. Postarała się, by wirując jak liść, opadał ku powierzchni planety.

Dostrzegła ognistą błyskawicę przelatującą obok bakburty. Domyśliła się, że następny strzał chybił celu. Postanowiła obejrzeć na ekranie monitora, co dzieje się za rufą. Przycisnęła klawisz na pulpicie kontrolnym, włączając kamerę. W następnej sekundzie szarpnęła dźwignię sterowniczą, by wykonać nagły zwrot i uniknąć następnego trafienia. Potem zaryzykowała i zerknęła na ekran. Jak się spodziewała, zobaczyła kieszonkowy patrolowiec. Gdyby jakakolwiek inna jednostka dwukrotnie trafiła jej starą balię, kobieta już by nie żyła. Jednostki typu KP były bardzo małymi, jednoosobowymi stateczkami, które osiągały duże prędkości lotu kosztem ograniczonej siły ognia. Rzecz jasna, jej bezbronny i nie chroniony przez pola siłowe wystużony transportowiec mógłby przemienić się w dymiący wrak także w inny sposób. Wystarczyłoby, gdyby ktoś na pokładzie kieszonkowego patrolowca strzelał z ciężkiego blastera - pod warunkiem, że nabrałby większej wprawy w celowaniu.

Wykonała kolejny zwrot w samą porę, aby uniknąć kolejnego trafienia. A niech to wszystkie czarne dziury! Zrozumiała, że jej wrogowie - bez względu na to, kim byli - musieli na nią czekać. Jeszcze zanim wyruszyła na wyprawę, wiedzieli, że przyłeci, gdzie się pojawi i kogo zamierza udawać. Musiała coś wymyślić, i to szybko. Nie mogła przyspieszyć i uciec pilotowi patrolowca. Nie mogła także liczyć na to, że wykonując manewry i uniki, zdoła przechytryć przeciwnika. Raptownie zmieniła kurs, ale nie przestawała kierować się ku powierzchni Korelii. Czy nie powinna spróbować szczęścia i z powrotem uciec do nadprzestrzeni? Nie, musiała pomyśleć! Wyglądało na to, że pilot jednostki typu KP doskonale wie, z kim ma do czynienia. Z pewnością jest też świadom faktu, że za chwilę napęd nadświetlny jej transportowca odmówi posłuszeństwa. A zatem podjęcie próby ucieczki nie zdoła wywieść Korelianina w pole. Kalenda nie miała szans na skok w nadprzestrzeń, gdyż wówczas eksplodowałby nie tylko buforowy wymiennik ciepła, ale cała jednostka napędu...

ŁUP! Tym razem trafienie było silniejsze niż poprzednio. W sterowni transportowca rozdźwięczały się dzwonki alarmowe, a Kalenda poczuła swąd smażącej się izolacji. Za chwilę będzie martwa, pomyślała. Już jestem martwa, jeżeli nadal będę postępowała zgodnie z regułami i przewidywaniami. Nagle jej statek szarpnął i wyraźnie zwolnił. Trzeci silnik zakrzuszył się, rozbfłysnął i odmówił posłuszeństwa.

Kalenda odcięła dopływ energii do uszkodzonej jednostki napędowej i przekazała ją do pozostałych dwóch, funkcjonujących prawidłowo. Uznała, że nie ma sensu martwić się o to, czy ulegną przeciążeniu. Podejrzała, że kieszonkowy patrolowiec nadal trzyma się gdzieś za rufą, a jego pilot strzela do jej statku jak do tarczy. Zapewne spodziewa się, że trafi w jakieś wrażliwe miejsce, rozhermetyzuje kadłub i uśmierci kapitana. Kalenda nie mogła ani wylądować na powierzchni Kordii, ani ratować się ucieczką w nadprzestrzeń. Za chwilę eksploduje buforowy wymiennik ciepła, a zatem i tak musiałyby powrócić do normalnej...

Tak! To było to! Jej plan ograniczył z samobójstwem, ale sytuacja wymagała, aby uciekała się do niekonwencjonalnych sposobów. A zresztą, i tak popełniłaby samobójstwo, gdyby nadal leciała jak gdyby nigdy nic i tylko próbowała unikać następnych trafień.

Nie przestając pilotować frachtowca jedną ręką, drugą sięgnęła do urządzeń kontrolnych napędu nadświetlnego. Wyłączyła wszystkie ograniczniki i bezpieczniki, przełączyła sterowanie na ręczne i zanim miała czas zastanowić się nad wszystkimi konsekwencjami swojego postępowania, dźgnęła czubkiem palca najważniejszy przycisk. Wiedziała, że znajduje się bardzo blisko powierzchni planety a zatem próba skoku w nadprzestrzeń, której nie poprzedziła pomiarami i obliczeniami, jest tylko zabawnym sposobem rozstania się z życiem. Gdyby jednak zwlekąca i zastanawiała się nad tym, co chce zrobić, po sekundzie czy dwóch i tak by nie żyła.

Tym razem nie mogło być mowy o łagodnym, stopniowym wnikięciu w mroki nadprzestrzeni. Skok przypominał wdarcie się albo włamanie i miał w sobie tyle wdzięku, co zderzenie z kamiennym murem. Frachtowiec zaczął koziołkować w locie, ale Kalenda nie podjęła próby korekty trajektorii. A zresztą, nie miała na to czasu, ponieważ...

TRACH! Kadłubem transportowca zatrzaśł huk potężnego wybuchu. Eksplozja buforowego wymiennika ciepła sprawiła, że statek szarpnął się jak smagnięty batem. Kalenda wiedziała, że urządzenie miało ulec uszkodzeniu podczas powolnego stygnięcia jednostki napędowej. Teraz jednak, kiedy przesłała do silników napędu nadświetlnego dużą porcję energii, eksplozja nastąpiła z o wiele większą siłą. Uwolniona energia omal nie rozerwała kadłuba na połowy. Pancierz wprawdzie wytrzymał, ale w rufowym przedziale silnikowym powstała szczelina, przez którą zaczęło uchodzić powietrze, z dźwiękiem podobnym do huku. Natychmiast zatrzaśnęła się kłapa grodzi sterowni i małe pomieszczenie zostało odcięte od pozostałej części transportowca. Ponownie rozdźwięczały się dzwonki alarmowe. Kalenda przycisnęła główny wyłącznik, dzięki czemu odcięła dopływ energii do urządzeń pokładowych i wyłączyła wszystkie urządzenia sygnalizacyjne i ostrzegawcze.

Zaledwie pół sekundy po eksplozji buforowego wymiennika ciepła przegrzały się i stopiły zwojnice jednostki napędu nadświetlnego. Kiedy frachtowiec powracał do normalnej przestrzeni, kadłub zatrzęsł się jeszcze gwałtowniej. Kalenda miała nadzieję, iż rzeczywiście znalazła się w normalnych przestworzach. Pamiętała, że w ciągu ostatnich tysiącleci wiele statków zaginęło w nadprzestrzeni i nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Teraz miała jednak na głowie inny, pilniejszy i ważniejszy problem niż troszczenie się o to, w jakim punkcie czasoprzestrzeni się znajduje. Musiała coś zrobić, żeby jej statek nie rozleciał się ani nie eksplodował. Najpierw należało zlikwidować koziołkowanie. Zadanie nie należało do łatwych, jeżeli wziąć pod uwagę fakt, iż połowa systemów kontrolnych i sterujących nie działała, ale agentka Wywiadu Nowej Republiki poradziła sobie z tym całkiem dobrze. Ograniczyła częstotliwość wirowania o blisko dziewięćdziesiąt pięć procent i zakończyła manewrowanie, kiedy statek powoli obracał się wokół osi. Następnie włączyła systemy sygnalizacyjne i pomiarowe i upewniła się, czy naprawdę sytuacja wygląda tak poważnie, jak się spodziewała. Właściwie nie miała silników umożliwiających latanie w nadprzestrzeni. Wyglądało również na to, że całkowicie odmówił posłuszeństwa pierwszy silnik napędu konwencjonalnego. Funkcjonował jedynie drugi, ale z wielkim znakiem zapytania pozostawały, kiedy i on ulegnie uszkodzeniu. Mierniki na pulpicie kontrolnym wskazywały, że działa prawidłowo. Kalenda gorąco pragnęła, by się nie myliły.

Dopiero teraz miała czas, żeby rozejrzeć się i stwierdzić, w którym miejscu wyłoniła się z nadprzestrzeni. Przekonała się, że przynajmniej raz szczęście jej nie opuściło. W niewielkiej odległości od frachtowca ujrzała na firmamencie okrągłą i uroczą tarczę Korelii. Oglądana z tego punktu przestworzy, planeta częściowo kapała się w promieniach słońca, a częściowo kryła w mrokach nocy. Kalenda oceniała, że przelatując przez nadprzestrzeń, musiała pokonać odległość najwyżej kilkuset tysięcy kilometrów. Niestety, podążała w niewłaściwym kierunku. Już pierwszy rzut oka pozwolił jej stwierdzić, że znalazła się w dwukrotnie większej odległości od Korelii, ale po przeciwnej stronie niż ta, którą oglądała, kiedy poprzednio wyrwała się z nadprzestrzeni. Ucieszyła się z tego, że wyskoczyła tak blisko. Wiedziała, że równie dobrze mogła wypłynąć w bezkresnych międzygwiazdnych przestworzach albo nawet w te wyskoczyć poza obszar galaktyki.

Przynajmniej w teorii nie powinna mieć kłopotów z dolecaniem do Korelii. Jeżeli pierwszy silnik frachtowca był rzeczywiście sprawny, mogła jeszcze wyjść cało z tej przygody.

Co więcej, jeżeli będzie miała naprawdę dużo szczęścia, Korelianie pomyślą, że nie żyje. Możliwe, że pilot jednostki typu KP nie pojął, co się wydarzyło, i zameldował przełożonym, iż jej frachtowiec nie dokonał skoku w nadprzestrzeń, tylko eksplodował. Może też wszyscy dojdą do jak najbardziej uzasadnionego wniosku, że szanse przeżycia dokonanego na oślep skoku są tak nikłe, iż nie muszą się więcej martwić o to, co się z nią stało.

Tak czy owak, jeżeli nawet - pomimo znikomego prawdopodobieństwa przeżycia takiego skoku - doszli do wniosku, że Kalenda żyje, z pewnością nie mogli wiedzieć, co robi i gdzie się znajduje. Kobieta nie zamierzała im tego uświadamiać.

Pewną część umiejętności przeżycia stanowiła wiedza na temat tego, kiedy się spieszyć, a kiedy poczekać przed podjęciem następnego kroku. Kalenda odczekała trzy godziny, zanim się nań zdecydowała. W tym czasie sprawdziła stan wszystkich urządzeń i podzespołów pokładowych a przynajmniej tych, które mogła sprawdzić, nie wychodząc ze sterowni. Na nieszczęście jedyny kombinezon kosmiczny, jaki miała na pokładzie, pozostał zamknięty w szafce w jednym z pomieszczeń w rozhermetyzowanej części kadłuba. Kobieta nie zapomniała o tym, że po drugiej stronie szczelnej grodzi panuje teraz idealna próżnia. Prawdziwy triumf planowania i projektowania - pomyślała. Nie mogła jednak nic na to poradzić.

Mimo iż nie ruszała się z fotela pilota, wskaźniki i mierniki na pulpicie kontrolnym nie ukrywały przed nią smutnej prawdy. Kalenda skupiła się na tym, żeby nie przeciążyć jedynego silnika, jakim jeszcze dysponowała. Raz, po raz upewniała się, czy jednostka napędowa działa bez zarzutu. Rzecz jasna, nie mogła nawet marzyć o tym, żeby przesłać do niej całą dopuszczalną dawkę energii. Musiała zakładać, że wcześniej czy później i tak silnik odmówi posłuszeństwa, a zatem powinna traktować go z wyjątkową ostrożnością. Na szczęście systemy podtrzymywania życia, które pozostały w sterowni, wciąż jeszcze znajdowały się w niezłym stanie. Za to pancierz kadłuba miał chyba kilka mikroskopijnych szczelin, przez które uciekały niewielkie ilości powietrza, a system chłodzenia powoli zaczynał się przegrzewać. Kalenda pomyślała, że z całą pewnością nie chciałaby przebywać w małym pomieszczeniu dłużej niż dzień lub dwa. Na to jednak także nie mogła nic poradzić. Nie dysponowała żadnymi zapasami żywności ani wody. Nie miała urządzeń sanitarnych, a rezerwowe racje żywnościowe spoczywały w tej samej szafce, w której instrukcja bezpieczeństwa nakazywała przechowywanie kombinezonu.

Wyglądało na to, że jedynym wyjściem z sytuacji a zarazem sposobem umożliwiającym wykonanie zadania było wylądowanie nie na samej Korelii, ale na jednej z planet należących do systemu. Z pewnością Korelia stanowiła miejsce najlepsze, ale nie jedyne. Przez kilka chwil Kalenda zastanawiała się, na której zamieszkaney planecie systemu wylądować. Mogła wybierać, ponieważ system koreliański, miał ich całkiem sporo. Jeżeli nie liczyć Korelii, były jeszcze Selonia, Dralia i Bliźniacze Światy, Talus i Tralus - dwie planety okrążające się nawzajem. Jeżeli ktoś naprawdę zechce ją odnaleźć, niemal na pewno będzie szukał na samej Korelii. Z uwagi na to powinna wylądować gdzieś indziej.

Istniało jednak bardzo duże prawdopodobieństwo, że jej przeciwnicy doszli do wniosku, w straciła życie w wyniku eksplozji transportowca. Jeżeli naprawdę tak sądzili, nie zdecydują się na żadne poszukiwania.

A zatem, nawet gdyby zdecydowała się wylądować na Korelii, najprawdopodobniej nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Co więcej, planeta była dosyć duża, a Kalenda cieszyła się opinią wytrawnej agentki. Jeżeli więc, mimo

wszystko, jej nieprzyjaciele zarządzają poszukiwania, powinna bez trudu wywieść ich w pole.

Ich. Kim mogli być tym razem jej prześladowcy? I jakie knuli plany, skoro zdecydowali się na podjęcie takiego ryzyka? Nikt przecież nie zadzierał z asami Wywiadu Nowej Republiki. Kobieta uświadomiła sobie, że nie ma właściwie pojęcia, kim są jej przeciwnicy. Nie znalazła ani jednej wolnej chwili, aby zastanowić się nad tym, dlaczego obywatele Korelii - a przynajmniej jakaś grupa mieszkańców tego świata - mieliby uciekać się do zabijania agentów służb specjalnych. Chciałyby też wiedzieć, jakim cudem dowiedzieli się ojej planach. Niestety, również teraz nie miała dość czasu, żeby odpowiedzieć sobie na te pytania. Rzecz jasna, wszystkie uznawała za bardzo ważne, ale samo znalezienie odpowiedzi nie wystarczy, jeżeli nie wymyśli, jak utrzymać się przy życiu. Powinna zatem skupić uwagę na ważniejszych sprawach.

Zdecydowała, że jednak nie podejmie próby lądowania na jakiegokolwiek innej planecie niż Korelia. To właśnie do niej miała najbliżej, a ryzyko, że ktoś ją zauważy, było tylko nieznacznie większe niż w przypadku pozostałych zamieszkałych światów systemu. A poza tym, to właśnie na Korelii działo się coś tajemniczego. Gdyby postanowiła wylądować gdziekolwiek indziej, i tak wcześniej czy później musiałaby tu przylecieć.

Pozostawało pytanie, jak tam wylądować. Czym innym było wyglądanie przez iluminator i podziwianie pięknych widoków, a czym innym posadzenie statku, które nastęczało poważne trudności. Kalenda nie mogła po prostu skierować dziobu ku powierzchni i wyłączyć silnika, a potem przestać martwić się o resztę. Musiała najpierw wprowadzić do pamięci komputera nawigacyjnego mnóstwo wyników najróżniejszych obliczeń i poprawek. Miała szczęście, ponieważ zachowała mniej więcej taką samą szybkość, z jaką leciała, zanim zdecydowała się na rozpaczliwy skok do nadprzestrzeni. Jedyną różnicę stanowił fakt, że teraz znajdowała się po przeciwnej stronie Korelii, skutek czego oddalała się od niej, a nie zbliżała. Wiedziała jednak, że siła grawitacji zmniejsza prędkość lotu, i nie wątpiła, że wcześniej czy później zacznie przyciągać frachtowiec.

Problem polegał na tym, że gdyby nie przedsięwzięła odpowiednich kroków, opadłaby na powierzchnię planety i wylądowała równie cicho i miękko jak ogromny meteor.

Rzecz jasna, nie mogła ważyć się na nic, co choćby przypominało normalne lądowanie. Posadzenie statku w jakimkolwiek miejscu, gdzie panował dzień, było po prostu wykluczone. Istniało ryzyko graniczące z pewnością, że ktoś mógłby ją zauważyć.

Posługując się komputerem astronawigacyjnym, Kalenda poświęciła kilka minut na dokonanie niezbędnych korekt i obliczeń. Postanowiła zmniejszyć szybkość opadania do minimum i wybrać miejsce odpowiadające wszystkim wymaganiom. Zamierzała posadzić statek w nocy i na powierzchni wody. Obliczyła współrzędne trajektorii lotu, które pozwoliłyby jej wylądować w pobliżu wschodniego wybrzeża największego kontynentu.

Nie wpadła w zachwyt, kiedy stwierdziła, że takie lądowanie w ogóle jest możliwe. Ryzyko osadzenia transportowca na lądzie było jednak zbyt wielkie - nawet w nocy. Możliwe, że nawet jeszcze większe, niż gdyby uczyniła to oświetlona promieniami słońca. Nie знаła powierzchni planety na tyle, żeby wyglądając w nocy przez iluminator przekonać się, gdzie wylądować. Nie mogła wiedzieć, czy osiadzie na gładkiej powierzchni skalistego płaskowyżu, czy pośrodku placu między zabudowaniami wioski, pośród konarów drzew prastarego lasu, czy też w gęstwinie karłowatych krzewów wyrastających ze szczelin pomiędzy kamieniami i głazami. Tymczasem woda była wodą bez względu na to, gdzie się znajdowała. Co więcej, takie lądowanie stwarzało większą szansę, że osadzi statek, przez nikogo nie zauważona. Rzecz jasna, gdyby lądowała na lądzie, miałaby zerową szansę utonięcia, na to już nie mogła nic poradzić. Wpisała współrzędne trajektorii lotu do pamięci komputera i zaczęła zwiększać dopływ energii do jedynego głównego silnika, jakim dysponowała. Starła się czynić to tak ostrożnie i powoli, jak potrafiła. Straciła dobre dziesięć minut, zanim zwiększyła moc do jednej czwartej wartości znamionowej. W odpowiedzi usłyszała chór niepokojących trzasków, pomruków i zgrzytów. Domyśliła się, że to dźwięki uszkodzonego poszycia kadłuba, który tak właśnie reagował na nierównomiernie rozłożone naprężenia. Po chwili do poprzednich odgłosów dołączyły stukanie odłamków metalu i grzechot uszkodzonych elementów wyposażenia. Wszystkie te nic umocowane przedmioty objęły się o metalowe ściany i przegrody w pomieszczeniach po drugiej stronie próżnioskazalnej grodzi.

Kalenda nie przestawała obserwować wskazań czujników i mierników. Już wkrótce musiała przekląć zły los, który nie przestawał jej prześladować. Mimo iż przesyłały do silnika zaledwie czwartą część energii, wskazania coraz szybciej zbliżały się do wartości alarmowych. Wyglądało na to, że jednostka zaczyna się przegrzewać - widocznie uszkodzeniu uległo także jakieś urządzenie systemu chłodzenia. Kobieta zmniejszyła moc do jednej ósmej i spróbowała przełączyć system chłodzenia w taki sposób, żeby do jedynego silnika dopływało chłodziwo obsługujące przedtem wszystkie trzy jednostki. Na próżno. Najprawdopodobniej starała się wydawać polecenia elementom wykonawczym i podzespołom, których po prostu nie miała. Zmniejszenie ilości energii oznaczało, że silnik będzie musiał pracować dłużej, ale było to lepsze niż dopuszczenie do awarii albo nawet eksplozji. Kalenda wprowadziła poprawkę, pragnąc uwzględnić fakt ograniczenia mocy, a potem usiadła wygodniej i zaczęła obserwować powiększającą się kulę Korelii.

Dopiero teraz mogła poświęcić trochę więcej czasu na rozważania, jakim cudem jej przeciwnicy dowiedzieli się, gdzie wyskoczy z nadprzestrzeni. Co więcej, mieli wystarczająco dużo czasu na przygotowanie zasadzki. Kobieta zastanawiała się nad tym, co, u diabła, może dziać się na planecie. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Korelianie doskonale znają nie tylko wszystkie plany Wywiadu Nowej Republiki, lecz także sposoby wprowadzenia ich w życie. Dowodził tego fakt, że zamierzali ją uśmiercić, zanim jeszcze postawi stopę na powierzchni planety. Zapewne nie chcieli niepokoić ludności cywilnej żadnymi poszukiwaniami ani łapankami.

Musieli, po prostu musieli mieć agenta pośród pracowników, a może nawet dyrektorów centrali.

Kalenda przypuszczała, że zaczynają się tego domyślać także jej przełożeni. Jeżeli miałyby się to okazać prawdą, z pewnością ich plany względem Korelii były bardziej skomplikowane niż sobie wyobrażała. Zapewne postępowali w taki sposób, aby lewica nie miała najmniejszego pojęcia, co porabia prawica. Podejrzewała, że chyba nawet kilkoro spośród członków oficjalnej delegacji na konferencję w rzeczywistości pełni obowiązki najwykleszych szpiegów.

Uświadomiła sobie, że wysłanie jej na Korelię mogło być w pewnej mierze próbą odwrócenia uwagi przeciwników od kogoś albo czegoś innego. Dlatego nigdy wcześniej o tym nie pomyślała? Czyżby chodziło o zlecenie tego samego zadania komuś innemu? Kalenda doszła do wniosku, że powinna poczuć się zaniepokojona. Nie znosiła, kiedy wysyłano ją w charakterze przynęty, ale wiedziała, że czasem tak właśnie się dzieje na tym świecie - a raczej w światku w którym obracali się funkcjonariusze służb specjalnych. Mimo to nie mogła winić nikogo oprócz siebie. Jeżeli nie chciało się być zwykłym pionkiem na niczyjej szachownicy, nie należało zgłaszać się na ochotnika do tej pracy.

Kobieta miała tylko nadzieję, że nawet jeśli nie przeżyje ani nie dowie się, o co chodzi na tym zwiariowanym świecie, znajdzie się ktoś inny, komu ta sztuka się powiedzie. Może właśnie dlatego nie martwiła się faktem, że miała służyć za przynętę. Gdyby tak wyglądała prawda i gdyby zginęła, ale odwróciła uwagę Kordian od innego nieznanego agenta, jej śmierć nie okazałaby się daremna.

Prawdę mówiąc, ta myśl nie bardzo ją pocieszyła. Tym bardziej, że kobieta wiedziała, iż polują na nią Kordianie. Ryzykowała życie, powierzając je silnikowi, który zaczynał się przegrzewać, i nocnemu lądowaniu na powierzchni oceanu. Może właśnie dlatego pani porucznik Kalenda musiała pocieszać się wszystkim, co chociaż trochę mogło poprawić jej samopoczucie.

Na dźwięk dzwonka Kalenda wzdygnęła się i obudziła. Zamrugła, a potem powiodła wokół półprzetyłym spojrzeniem. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i natychmiast pożałowała, że w ogóle otwierała oczy. Zastanawiała się, co mogło spowodować włączenie się sygnału alarmowego. Czyżby na pokładzie tej starej balii odmówiło posłuszeństwa jeszcze jakieś urządzenie? Omiotła wzrokiem pulpity z przyrządami kontrolnymi, a później popatrzyła na chronometr. Wszystko w porządku. Nic nie uległo uszkodzeniu - a przynajmniej nic nowego. Po prostu czasomierz zadziałał jak najwykleszy budzik. Poinformował właścicielkę, że pora się obudzić i przygotować do wejścia w warstwy atmosfery. Agentka przycisnęła guzik i usiadła wygodniej w fotelu pilota. Wyciągnęła ręce i nogi tak daleko, jak mogła. Starła się rozprostować zdrętwiałe kończyny i nadaremnie usiłowała rozplatać supły, jakie chyba się zawiązały na wszystkich mięśniach.

Dopiero teraz czekał ją prawdziwy sprawdzian z opanowania trudnej sztuki ręcznego pilotażu. Wnikanie w atmosferę lotem ślizgowym, bez pomocy silników i komputera nawigacyjnego, stanowiło nie lada wyzwanie nawet w dzień podczas

pięknej pogody. Tymczasem Kalenda, pilotując poważnie uszkodzony frachtowiec zamierzała dokonać tej sztuki w nocy. Nie tylko nie mogła kierować się na źródło żadnego sygnału namiarowego, ale musiała się liczyć z tym, że w każdej chwili jej statek mógł zostać zestrzelony. Wiedziała, że musi dać z siebie wszystko a może nawet jeszcze więcej.

Trzymaj się, pomyślała. Nie poddawaj się i nie rezygnuj. Nie ma sensu zaczynać, jeżeli nie uwierzysz, że się uda. Usuń z głowy wszelkie negatywne myśli. Pomyśl o tym, że twój transportowiec jest solidnym, chociaż starym statkiem, który jeszcze nigdy nie zawiódł w potrzebie. Wytrzyma i tę próbę, skoro jeszcze się nie rozleciał. Pomyśl o przeszkoleniu, jakie przeszedł na Coruscant, kiedy przygotowywałaś się do tej wyprawy. Przypomnij sobie, z jakim samozaparciem uczyłaś się na pamięć wszystkich map powierzchni Korelii. Jest niemal wykluczone, aby ktoś podejrzewał, że wciąż żyjesz. Nikt nie będzie cię poszukiwał, a jeżeli nawet komuś przyjdzie to do głowy, jesteś świetną agentką. Nikt nigdy cię nie znajdzie.

Tak, musiała pozostawić w głowie tylko takie myśli. Dobre myśli. Pozytywne myśli. Ostatni raz sprawdziła działanie wszystkich systemów i podzespołów pokładowych. Żałowała, że nie są w lepszym stanie, ale podziękowała Opatrzności za to, iż nie znajdują się w gorszym. Spojrzała przez bakburtowy iluminator na ogromniejącą, piękną i ciemną tarczę nieznanego świata. Odnosiła wrażenie, że znalazła się tak blisko Korelii, iż mogłaby dosięgnąć jej wyciągniętą ręką. Zbliżała się do półkuli pogrążonej w mrokach nocy; mimo to na powierzchni wcale nie panowały nieprzeniknione ciemności. Tu i tam widziała gromady światła miasteczek i metropolii. Blask gwiazd odbijał się od górnych warstw ciemnoszarych chmur, które wyglądały jak oświetlone od wewnątrz. Gdzieś tam połyskiwały ciemniejsze połacie i wstęgi jezior, mórz, rzek i oceanów. Mimo iż mieszkańcy półkuli smacznie spali, skupiska, spirale i linie punkcików światła dowodziły, że planeta jest zamieszkała.

Cudowny świat. Przepiękny, ale bardzo niebezpieczny. Kalenda musi być ostrożna i czujna. Oczywiście, jeżeli przeżyje lądowanie. Kobieta zerknęła na wyświetlacz chronometru, który odliczał czas pozostający do wejścia w górne warstwy atmosfery. Wyglądało na to, że nadchodzi pora na wyłączenia jedyne silnika.

Rzecz jasna, gdyby lądowała w normalnych warunkach, nie musiałaby odcinać dopływu energii. Wręcz przeciwnie, przesłałaby jej jeszcze więcej, zmieniając tylko kierunek siły ciągu. Wykorzystałaby brutalną siłę jednostek napędowych do hamowania, które pozwoliłoby zmniejszyć prędkość z orbitalnej do atmosferycznej. Niestety, jednym z silników, jakim jeszcze dysponowała, zapewne by eksplodował, gdyby usiłowała wykorzystać go do takiego celu. Musiała zatem lądować tak, jak robiono to w zamierzonych czasach. Skoro nie mogła posłużyć się silnikiem do hamowania, pozostało jej wykorzystanie siły tarcia o cząsteczki atmosfery. Teoretycznie frachtowiec powinien wytrzymać takie awaryjne lądowanie, ale kobieta uczyniłaby wszystko, byle tylko nie musieć sprawdzać owej teorii w praktyce. Niestety, nie miała wyboru. W pewnym momencie chronometr odliczający czas pokazał same zera, a potem zapiszczał na znak, że pora wyłączyć jednostkę napadową. O wiele za szybko, pomyślała Kalenda. Skierowała dziób statku w dół, a później wyłączyła

dopływ energii do silnika. Następnie przygotowała się na spotkanie z cząsteczkami rozrzedzonych gazów, które miały zadziałać jak aerodynamiczny hamulec.

W każdej chwili powinna zacząć odczuwać wibracje kadłuba, wywołane przez siłę tarcia o atmosferę rozstępującą się przed dziobem transportowca...

Jeszcze zanim skończyła myśleć o tym, kadłub szarpnął się i zadrzał, a dźwignie sterownicze chyba zapragnęły wymknąć się z jej palców. Kalenda uchwyciła je oburącz i, trzymając z całej siły, zmusiła statek do powrotu na poprzedni kurs.

Wiele razy wnikała już w różne atmosfery i niemal zawsze pierwszy kontakt z cząsteczkami gazów bywał tak łagodny i subtelny, że nawet go nie zauważała. Teraz jednak spotkanie z górnymi warstwami bardziej przypominało zderzenie się z kamiennym murem. Widocznie zewnętrzny pancierz kadłuba frachtowca został uszkodzony bardziej niż przypuszczała. Lądowanie zapowiadało się nader ciekawie.

Po chwili Kalenda poczuła całą serię szarpnięć i uderzeń. W pewnej sekundzie coś głośno zgrzytnęło i zachrobotało, a potem z rozdzierającym uszy trzaskiem oderwało się od części rufowej kadłuba. Frachtowiec natychmiast spróbował wywinąć kozła i kobieta musiała użyć całej siły, żeby utrzymać go na kursie. Pocieszała się tym, że nie mając owego czegoś, co się oderwało, zachowywał się spokojniej i nie wykazywał takiej ochoty do zmiany trajektorii lotu jak poprzednio.

Postanowiła sprawdzić, jak bardzo zbczyła z zaplanowanej trasy. Okazało się, że leci trochę za szybko i za wysoko. Skorygowała na ile mogła, położenie mechanizmów sterowniczych, a potem przyjrzała się czujnikowi temperatury powierzchni kadłuba. Wskaźnik nie przestawał systematycznie pięć się w górę. Nagle frachtowiec ponownie zadygotał. Tym razem wibracjom towarzyszyły dźwięki podobne do rytmicznego dudnienia. Wyglądało na to, że od kadłuba najwyraźniej chce się oderwać kolejny element.

Teraz transportowiec zataczał się jak pijany, drzał i dygotał, buczał i huczał, jęczał i brzęczał, ale nie przestawał coraz głębiej pograżać się w warstwy koreliańskiej atmosfery. Dziób statku zaczynał jarzyć się wiśniowym blaskiem. Kobieta jeszcze nigdy nie widziała, aby ciepło wydzielane podczas tarcia o cząsteczki gazów mogło aż tak rozgrzać płyty poszycia kadłuba. Przyzwyczała się do stopniowego, kontrolowanego wnikanania w warstwy powietrza, kiedy mogła korzystać z siły hamowania jednostek napędowych. Nigdy przedtem nie musiała uciekać się do kapryśnego i prymitywnego hamowania aerodynamicznego.

Odczuwała coraz większe ciśnienie i powoli zaczynała się czuć, jakby miała zostać zarazem zatrzęsiona na śmierć i na śmierć zmiażdżona. W pewnej chwili zabrzmiał dźwięk następnego sygnału alarmowego niemal niesłyszalny pośród kakofonii innych odgłosów wypełniających małe pomieszczenie. Kalenda trzęsła się wraz ze statkiem tak bardzo, że czuła się jakby jej oczy miały wyskoczyć z orbit. Od czasu do czasu odzyskiwała ostrość spojrzenia na tyle, aby zobaczyć, co pokazują czujniki i wskaźniki. Alarm wywołany przekroczeniem dopuszczalnej temperatury. To musiał być alarm wywołany przekroczeniem dopuszczalnej temperatury.

No cóż, prawdziwy pech. Kobieta nie odważyła się oderwać którejkolwiek dłoni od rękojeści dźwigni sterowniczej, aby dokonać jakiegś poprawki albo zmiany. Co

więcej, nie mogła chyba zrobić nic, żeby zapobiec dalszemu przegrzewaniu się pozostałych urządzeń. Nie wolno jej było także przerwać procedury lądowania i ratować się ucieczką z powrotem na orbitę. Do jedynej jednostki napędowej mogła przekazać najwyżej jedną ósmą porcję energii, a to nie wystarczyło do pokonania ciężenia i wyniesienia statku ponad warstwy atmosfery.

A poza tym, pozostawanie na orbicie nie było najszcześniejszym rozwiązaniem. Mikroszczeliny w dziobowej części kadłuba najprawdopodobniej przepuszczały coraz więcej powietrza, a kobieta nie miała ani rezerwowych racji żywnościowych, ani zapasów wody.

TRACH! Huk był tak niespodziewany i donośny, że Kalenda podskoczyłaby na fotelu, gdyby nie zatrzaski i pasy sieci ochronnej. Tym razem coś musiało się oderwać w jednym z wewnętrznych pomieszczeń frachtowca. Po chwili drugi, trochę cichszy trzask oznajmił, że bez względu na to, czym było owo coś, co się oderwało, roztrzaskało się o przeciwległą przegrodę albo ścianę.

Stopniowo wibracje kadłuba osiągały zawrotną amplitudę. Wszystko wskazywało na to, że lada chwila statek rozerwie się na strzępy. A jednak, kiedy wydawało się, że właśnie zaczyna się rozpadać, dygotanie osłabło i niemal całkowicie zanikło. Stało się to o wiele szybciej niż wówczas, gdy się zaczynało.

Kalenda odważyła się żywić nieśmiałą nadzieję, że najgorsze ma za sobą. Transportowiec wciąż jeszcze zataczał się jak pijany, ale przynajmniej przetrwał w jednym kawałku początkową fazę lądowania. Przestał być na poły zniszczonym gwiazdym wrakiem, a przemienił się w poważnie uszkodzony atmosferyczny obiekt latający. Co prawda nie zachowywał się ani trochę stabilniej, nie stwarzał też większych szans pomyślnego lądowania. Kobieta wiedziała, że gdyby chociaż na chwilę straciła panowanie nad sterami, statek natychmiast skorzystałby z okazji i roztrzaskał się, wraz z nią, o powierzchnię planety.

Nagle uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu słyszy donośny dźwięk podobny do pisku albo świstu. Odgłos dobiegał spoza płyty próżniowej grodzi oddzielającej sterownię od pozostałych pomieszczeń kadłuba. Miał tak wysoką częstotliwość, że z początku go nie słyszała, ale stopniowo przybierał coraz niższe tony i po mniej więcej minucie przemienił się w basowy pomruk. Towarzyszył ruchowi powietrza, które przedostawało się z powrotem do rozhermetyzowanej części rufowej statku. Mimo to Kalenda nie ośmieliła się nawet na chwilę oderwać spojrzenia od iluminatora i umieszczonych pod nim konsol. Obawiała się, że gdyby spojrzała w bok, na wskazanie czujnika ciśnienia atmosfery, mogłoby wydarzyć się coś złego. Ucieszyła się jednak, że pomieszczenia rufowe ponownie wypełniają się powietrzem. Przynajmniej będzie mogła tam wejść i zabrać wszystko, co konieczne do przeżycia na nieznaną planetę.

Jeszcze raz sprawdziła szybkość lotu i tempo opadania. Nadal leciała za szybko i za wysoko; teraz jednak miała inne problemy. Mogła wprawdzie przestać się martwić o to, że jej statek spłonie w górnych warstwach atmosfery, ale za to musiała rozsądnie gospodarować zasobami energii, żeby panować nad szybkością opadania. Powinna także zwracać uwagę na wysokość, ponieważ od tych dwóch czynników zależało, gdzie

wylądować. Postanowiła, że zmniejszy i prędkość, i pułap, jeżeli zamiast dalej lecieć prosto, kilka razy zboczy z kursu na zmianę raz w prawo, a raz w lewo.

Myślała, że nie będzie z tym żadnych problemów. Tymczasem łuki, jakie zataczała, nie były wcale ani obszerne, ani łagodne. Jeżeli jej frachtowiec podczas wnikania w górne warstwy atmosfery reagował jak żywy banth, to w czasie lotu aerodynamicznego przypominał bantha martwego. Prawie nie reagował na zmiany położenia dźwigni sterowniczych. Kalenda musiała niemal walczyć, ilekroć pragnęła zatoczyć łuk albo obrać poprzedni kierunek lotu. Coś w systemie automatyki zaczęło grzechotać i łomotać, jakby na znak protestu przeciwko zwiększonym naprężeniom. W końcu agentka zrezygnowała i położyła statek na poprzedni kurs. Postanowiła nie przejmować się tym, że leci trochę za szybko i za wysoko.

Jej transportowiec nie przestawał opadać, co wyglądało, jakby pogrążał się w aksamitną czerń koreliańskiego nieba. Wgryzał się w coraz gęściejsze warstwy atmosfery... i nagle Kalenda zapomniała o wszystkich poprzednich zmartwieniach dotyczących prędkości i pułapu lotu. W dolnych warstwach statek zachowywał się po prostu skandalicznie. Należało się tego spodziewać, jako że kadłub dawno stracił aerodynamiczne kształty. Tak bardzo skupiała całą uwagę na tym, aby przeżyć podczas lotu przez górne warstwy, iż nawet nie pomyślała, jak będzie wyglądał dalszy lot, kiedy znajdzie się bliżej powierzchni.

Nagle jej problem przestał polegać na tym, czy wylądować kilka kilometrów dalej niż zamierzała. Groziło jej, że może osiąść na powierzchni wody o kilkaset kilometrów za daleko. Zamierzała posadzić statek w pobliżu brzegu, a nie pośrodku nieznanego oceanu. Nie miała wyjścia i musiała znów włączyć jedyny główny silnik, aby przyspieszyć tempo lotu i w taki sposób chociaż trochę zrównoważyć opór stawiany przez dziurawy i uszkodzony kadłub. Jeszcze niedawno miała nadzieję, że może nie zostanie do tego zmuszona. Nie ufała silnikowi, a poza tym nie była pewna, czy transportowiec, zmuszony do radzenia sobie i z tarciami cząsteczek gazów, i z siłą ciągu, po prostu się nie rozleci. Co więcej, uciepieć mogły także stabilizatory lotu, ponieważ jedyny działający silnik nie znajdował się dokładnie na osi kadłuba. Sytuacja mogła bardzo szybko wymknąć się spod kontroli. Niestety, i tym razem kobieta nie miała innego wyjścia. Albo ponownie włączy silnik, albo utonie.

Wyjrzała przez bakburtowy iluminator. Widok zaparł jej dech w piersi. Nawet w trakcie walki o życie kobieta czuła się uprzywilejowana, że może go oglądać. Poświęciła sekundę, dwie, trzy, by napawać się jego pięknem. Jeżeli musi zginąć, trudno, ale zabierze ze sobą obraz czegoś niezapomnianego.

Bezchmurne niebo miało barwę czarnogranatową. Świeciły na nim tysiące punkcików gwiazd przypominających białe, czerwone i błękitne klejnoty. Podobne do diamentów, rubinów i szafirów, rzucały blask na również czarnogranatową powierzchnię wody, tu i ówdzie ozdobioną szarymi grzywiastymi falami.

Cudowne. Doskonałe. Jeżeli jednak zamierzała przeżyć, aby móc nadal cieszyć się takimi przywilejami, musiała oderwać spojrzenie od widoku nieznanego świata i zająć się tym, czym powinna. Najdelikatniej i najłagodniej jak potrafiła, uruchomiła jedyną jednostkę napędową, a później powoli i ostrożnie przesłała szesnastą część normalnej

porcji energii. Frachtowiec natychmiast zboczył z kursu na bakburtę, ale tym razem kobieta nie miała żadnych kłopotów z położeniem statku na poprzedni kurs. Zmiana rozkładu naprężeń wywołała kilka basowych jęków protestu ze strony kadłuba, który starał się pogodzić ze zmienioną sytuacją, ale czegoś takiego Kalenda się spodziewała.

Zerknęła na wskazania przyrządów i zauważyła, że nadal traci prędkość i wysokość szybciej niż powinna. Jednak tempo zmiany obu tych parametrów wyraźnie zmalało. Oznaczało to, że frachtowiec wylądować przed osiągnięciem celu, chociaż może jej zabraknąć mniej niż kilkaset kilometrów. Mimo to sytuacja nadal wyglądała niewesoło. Gdyby zaistniała potrzeba, Kalenda mogła przepłynąć trzy albo cztery kilometry dzielące ją od brzegu - ale nie poradziłaby sobie, gdyby miała pokonać pięćdziesiąt.

Przygryzła dolną wargę i po chwili namysłu zwiększyła dopływ energii do jednej ósmej. Uczyniła to tak ostrożnie i powoli, jak umiała. Kadłub znów zaprotestował i zajęczał, lecz tym razem odgłosy nie ucichły. Co gorsza, wyglądało na to, że z każdą chwilą stają się coraz głośniejsze i bardziej natarczywe. Frachtowiec ponownie zboczył z kursu na bakburtę. Usiłując powrócić na poprzedni kurs, Kalenda przesunęła dźwignię odrobinę za daleko, wskutek czego statek skreślił na sterburtę. Kolejna poprawka kursu sprawiła że ponownie zaczął zbaczać w przeciwną stronę. Najwyraźniej stracił resztkę sterowności. Agentka stwierdziła, że odchyłki stają się coraz większe. Obawiała się, że transportowiec może zacząć lecieć po spirali, apotem wadnie w korkociąg, wtedy zaś odzyskanie kontroli nad sterami stanie się niemożliwe.

Ograniczyła dopływ energii do jednostki napadowej na tyle, aby statek przestał zbaczać z kursu raz na bakburtę, a raz na sterburtę. Bardzo szybko stwierdziła, że jaki kadłuba ucichły. Spojrzała na u skazania przyrządów i cicho zaklęła. Za mało. Wciąż za mało. Nadal wszystko wskazywało na to, że wylądować, zanim zdoła dolecieć do zamierzonego celu.

Miała w zanadrzu już tylko jedną kartę. Trąciła dźwignią sterowniczą, żeby unieść dziób statku - chociaż odrobiną, aby wykorzystać nawet nieznacznie zwiększoną siłą nośną skrzydeł. Zdziwiła się, kiedy stwierdziła, że się udało. Nic tylko tempo opadania wyraźnie zmalało, ale nawet osiągnęło wartość zerową. Frachtowiec leciał teraz na stałej wysokości

Mimo to Kalenda wiedziała, że nie może sobie pozwolić na sekundę nieuwagi. Miała przecucie, że za chwilę wydarzy się złego.

Zaczął się basowym pomrukiem tak niskim, że z trudem go usłyszała. Po chwili jednak dźwięk przybrał nieco wyższe tony i już nie dało się go nie zauważyć. Bu - bu - bu - puk - puk - puk - stuk - stuk - stuk - łup - łup - łup - Łup - Łup - Łup - ŁUP - ŁUP - ŁUP - ŁUP! ŁUP! ŁUP! BUCH BUCH! BUCH! BUCH! Z każdą sekundą dźwięk stawał się coraz głośniejszy i z każdą sekundą udręczony kadłub trząsł się i wibrował coraz intensywniej. Zapewne jakiś element stabilizatora lotu. Statecznika albo lotki oderwał się, ale nie do końca, i coraz gwałtowniej obijał się o pancierz kadłuba. Kalenda zacisnęła zęby i postanowiła nie poddawać się. O ile mogła stwierdzić, statek zbaczał z kursu i zataczał się jak oszalały z bólu banth, ale nie opadał. Wiedziała, że każda uzyskana w taki sposób sekunda lotu pozwala zmniejszyć odległość od celu o kilkaset

metrów, a może nawet o kilometr. Jeżeli nadal będzie leciała poziomo, nie musi dbać o to, czy statek rozpadnie się na kawałki, jak wyraźnie zamierzał.

Coraz bliżej. Coraz bliżej. Kalenda wbiła wzrok w ciemności przed dziobem transportowca. Wypatrywała brzegu. Tam! Ujrzała nieruchomy pasek ciemniejszej ciemności, widoczny w oddali niemal na samym horyzoncie. Na wszystkie gwiazdy i niebios, chyba jednak się uda!

BUCH! BUCH! BUCH! BUCH! Mimo iż dawno minął czas, kiedy myślała, że dźwięk nie może brzmieć jeszcze głośniejsze, teraz przerodził się w coś podobnego do rytmicznego grzmotu. Co, na miłość przestworzy, mogło się obluźować i zamierzało odpaść? BUCH! BUCH! BUCH! BUCH! Co tak łomotało?

Nagle zapadła pełna napięcia cisza, a później, po upływie czasu koniecznego na jedno uderzenie serca, jakiś kawał metalu wyrznął o inny metal z przyprawiającym o mdłości przeraźliwym trzaskiem i zgrzytem. Kadłub frachtowca przeniknęło spazmatyczne drżenie. Kalenda poczuła, że ogon uniósł się i przemieścił w kierunku sterburty. No cóż, bez względu na to, co się oderwało, musiało stanowić fragment stabilizatora wysokości lotu. Kobieta trąciła dźwignię, chcąc wrócić na poprzedni kurs, ale frachtowiec zoczył na bakburcie, na szczęście nie bardzo. Pozwoliła, żeby oś kadłuba nie pokrywała się z kierunkiem lotu. Wyglądało to może dziwnie, ale najbardziej zależało jej na tym, żeby statek nadal leciał mniej więcej poziomo.

Ile jeszcze do brzegu? Sprawdziła w skazania pokładowych systemów nawigacyjnych. Nie więcej niż dwadzieścia kilometrów. Gdyby zdołała utrzymać frachtowiec w powietrzu jeszcze kilka chwil dłużej...

Pik-PIK! Pik-PIK! Pik-PIK! Kalenda uderzyła otwartą dłonią w przycisk wyłączenia sygnału alarmowego. Jeszcze raz rzuciła okiem na wskazania mierników. Niech to diabli! Przegrzewało się coś w silniku. Jeżeli nadal będzie przesyłała do niego taką samą dawkę energii, z pewnością jednostka spłonie albo eksploduje. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Wiedziała, co musi zrobić, ale sytuacja ani trochę się jej nie podobała. Co z tego, że dotarła tak daleko? Jeżeli silnik eksploduje, statek rozleci się na kawałki, a ona w najlepszym wypadku wpadnie do wody zbyt daleko od brzegu. Czując, że robi to właściwie wbrew sobie, ograniczyła dopływ energii do jednej szesnastej wartości znamionowej. Skrzywiła się, kiedy wyczuła, że transportowiec posłusznie zaczął tracić szybkość i wysokość.

Pik-PIK! Pik-PIK! Pik-PIK! Kalenda ponownie wduśiła wyłącznik alarmu, a potem zaczęła cicho kłąć, wykazując całkiem dużą pomysłowość. Silnik znów się przegrzewał! Widocznie awarii musiało ulec ostatnie ogniwo systemu chłodzenia. Kobieta zrozumiała, że teraz, kiedy silnik w ogóle przestał być chłodzony, eksploduje bardzo szybko bez względu na to, jak bardzo ograniczy dopływ energii. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna pozwolić, żeby eksplodował. Miała nadzieję, że w taki sposób do końca wykorzysta jego siłą ciągu i zdoła przelecieć następne kilka cennych kilometrów. Wiedziała jednak, że wówczas kadłub nie wytrzyma i wszystkie jej wysiłki zakończą się spektakularnym fiaskiem.

Zebrała się w sobie i jednym gwałtownym ruchem całkowicie odcięła dopływ energii do jedynej jednostki napędowej. Frachtowiec szarpnął się jak ranione zwierzę i

natychmiast zoczył z kursu na sterburcie. Usiłował wykorzystać okazję i zdrzeć dziób, ale Kalenda zmusiła go, żeby nadal leciał mniej więcej poziomo.

I to byłoby wszystko, co dało się zrobić. Nie mogła włączyć silnika, a w zanadru nie miała żadnych innych sztuczek. Wykorzystała wszelkie możliwości. Pozostawał jedynie lot ślizgowy w ciemnościach nad powierzchnią nieznanego oceanu. Kobieta nie starała się wmówić sobie, że powinna cieszyć się z dobrej pogody. Podejrzała, że gdyby tylko w tym pokładała całą nadzieję z pewnością przewrotny wszechświat zechciałby jej spłatać figla. Zapewne przygotowałby jakąś wicherę albo burzę z piorunami...

Pilotowanie frachtowca zawsze polegało na wykonywaniu jednego z dwóch rodzajów ruchów. Przez większą część czasu należało po prostu starać się o to, żeby statek leciał bez przeszkód, a urządzenia i systemy działały praktycznie bez żadnej zmiany. Czasami jednak trzeba było wykonywać sekwencje nagłych, szybkich i nie zawsze możliwych do przewidzenia czynności. Działo się tak, ilekroć transportowiec musiał przejść od jednego stanu do drugiego. Przy okazji pilot powinien czynić wszystko, by nie stracić życia. Mógł się nie spieszyć, kiedy lecąc w przestworzach, nie zamierzał dokonywać poprawek kursu, ale musiał reagować z prędkością błyskawicy, ilekroć pragnął wystartować albo wylądować.

Jak Kalenda zaczynała doświadczać na własnej skórze, owe prawdy nic nie straciły na aktualności. Przekonała się, że obowiązują także w przypadku lądowania lotem ślizgowym, w nocy i na powierzchni wody. Stwierdziła, że owa powierzchnia spieszy na jej spotkanie o wiele szybciej niż się spodziewała. Powinna się przygotować. Kiedy wyląduje, będzie miała niewiele czasu na zabranie wszystkiego, co potrzebne, i odpłyniecie jak najdalej od frachtowca. Nie przestając pilotować maszyny jedną ręką, oderwała drugą od drążka sterowniczego i uniosła nad głowę. Zwolniła zatrask bezpiecznika umożliwiającego otwarcie włącznika awaryjnego. Zaryzykowała i rzuciła okiem, czy kłapa da się szybko otworzyć, a potem znów wbiła spojrzenie w dziobowy iluminator. Zbliżała się do brzegu. Była już całkiem blisko. Ponownie uniosła rękę i nie spoglądając w górę otworzyła zamek włącznika. Później z całej siły pociągnęła w dół rękę kłapy.

BRZĘK! Zatrzaski puściły i kłapa opadła. Natychmiast sterownia wypełniła się szumem wicherury. Zatechłe i przesycone zapachem spalonej izolacji powietrze uciekło na zewnątrz, a do środka zaczęły wpadać podmuchy chłodnego wiatru niosącego woń morskiej soli.

Jeszcze, jeszcze bliżej. Kalenda trąciła dźwignię sterowniczą. Starła się jak najdłużej utrzymać statek na kursie, ale zarazem przygotowywała się do uderzenia o powierzchnię oceanu. Możliwe, że w porównaniu z łądem woda wydawała się bardziej miękka, ale podczas lądowania z taką szybkością umiała stawić równie silny opór.

Wyglądało na to, że już niedługo stawi. Kobieta zmusiła się, by nie zamknąć oczu. Ścisnęła obiema dłońmi drążek sterowniczy i trzymała go, jakby od tego zależało jej życie. Prawdę powiedział, zależało.

Frachtowiec zbliżał się do powierzchni, obniżał lot... szybciej, szybciej, coraz szybciej! Powierzchnia wody zlewała się w niewyraźną plamę. Wszystkie grzywiaste

fale - tak piękne, kiedy spoglądała na nie z góry przemieniły się w srebrzącą się granatowosiwą mgiełkę. Umykały do tyłu tak szybko, że Kalenda nie potrafiła skupić na nich spojrzenia. Przez otwarty właz nadal wpadały podmuchy wiatru. Rozwiewały jej włosy, a te smagały ją po twarzy. Kobieta nie zwracała na to uwagi. Doszła do wniosku, że lepiej, jeżeli nie będzie nic widziała, niż gdyby miała oderwać dłonie od urządzeń sterowniczych. Bliżej, szybciej, chyba nie można bliżej, musi być tam, ale jeszcze nie jesteśmy, bliżej, szybciej, coraz szybciej...

Nagle rozległ się ogłuszający ni to trzask, ni to huk i ranny transportowiec zderzył się z powierzchnią oceanu. Odbił się, przeleciał nad falami i ze zdwojoną energią znów grzmotnął spodem o jakąś kolejną falę. Kalenda nie wypuszczała dźwigni z zaciśniętych palców. Tymczasem statek nie przestawał odbijać się od powierzchni i lądować z hukiem, odbijać się i lądować, odbijać i lądować... Bryzgi fal zalewały tafle iluminatorów, ale woda spływała, zanim statek zderzał się z następną falą. Kadłub trząsał się i dygotał, lecz jakimś cudem się nie rozpadał. Taka huśtawka trwała, zdawałoby się, całą wieczność, a następna fala ukazywała się przed dziobem, zaledwie poprzednia zdążyła spłynąć w stronę rufy.

W końcu jednak frachtowiec zwolnił, po chwili zaś nawet zupełnie znieruchomiał. Zanurzył się trochę głębiej, a ogłuszający, rytmiczny huk zderzenia się z kolejnymi falami ustąpił miejsca absurdalnie prozaicznemu, nieprawdopodobnie cichemu chlupotaniu wody omywającej płyty kadłuba. Z oddali dobiegał także nikły szum morskich fal rozbijających się o pobliską linię brzegu. A zatem się udało. Przynajmniej na razie.

Kalenda poświęciła kilka chwil, aby zaczerpnąć pięć albo sześć haustów powietrza. Oderwała palce od rękojeści dźwigni sterowniczej i rozpięła klamry sieci ochronnej. Potem wstała, ale zachwiała jakby nagle straciła władzę w nogach. Pomyślała, że powinna dać sobie trochę więcej czasu na odzyskanie panowania nad mięśniami. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Stopniowo do pomieszczeń rufowych wdzierało się coraz więcej wody, wskutek czego dziób statku zaczynał się wynurzać.

Podeszła do próżnioszczelnej grodzi i odchyliła osłonę panelu uruchamiania ręcznego. Szarpnęła za dźwignię i usłyszała charakterystyczne syknięcie. Napała całym ciałem na płytę i zmusiła ją do ustąpienia. To tam. Tam znajdowała się szalka z kombinezonem kosmicznym, do którego nie miała szansy się dostać a także rezerwowe racje żywnościowe i pozostałe wyposażenie potrzebne w przypadku awarii albo katastrofy. Kobieta podbiegła i otworzyła szafkę, po czym wyjęła oba pakunki z racjami żywnościowymi i pojemnik ze sprzętem ratunkowym. Z niepokojem stwierdziła, że ma mokre stopy. Woda. Korytarz zaczynała zalewać woda. Musiała się pospieszyć. Uciekać z wnętrza statku. Pakunki z żywnością miały pasy, więc mogła przewiesić każdy przez ramię, i czyniła to, a potem chwyciła pojemnik za oba uchwyty. Wróciła do sterowni, uniosła go nad głowę i przełożyła przez krawędź włazu. Później, tak szybko jak umiała w obawie, aby pudło o zaokrąglonych krawędziach nie ześlizgnęło się po krzywiznie kadłuba wygramoliła się przez okrągły otwór. Na szczęście pochwyciła pojemnik, zanim zdążył zetknąć się z powierzchnią wody.

Jeżeli wierzyć teorii, powinien zawierać nadmuchiwaną tratwę ratunkową, a także wszystko, co niezbędne do przeżycia w takiej sytuacji. Kalenda zamierzała otworzyć pojemnik, wydostać tratwę i wiosła, zamknąć pudło, nadmuchać tratwę i wrzucić do niej i pojemnik, i pakunki z żywnością. Potem chciała wejść sama i spokojnie wiosłując bez pośpiechu odpłynąć od transportowca. Równie dobrze mogła sobie postanowić, że w wolnych chwilach pomiędzy tymi czynnościami ułoży kilka seloniańskich sonetów. I tak nie miałaby czasu na realizację któregokolwiek punktu planu. Frachtowiec pogrążał się coraz szybciej w toni oceanu, a ponieważ panowała głęboka noc, kobieta nie znalazłaby złożonej tratwy, nawet gdyby chciała jej szukać w środku pojemnika.

No cóż, jeżeli projektanci zestawów ratunkowych mieli chociaż trochę oleju w głowach... Kalenda otworzyła pojemnik i po prostu wyrzuciła zawartość do wody. Okazało się, że miała rację. Zaledwie tratwa dotknęła powierzchni wody, rozłożyła się z trzaskiem i sama zaczęła nadmuchiwać się powietrzem, a może tylko jakimś gazem. Po chwili pływała i nawet nie zanurzała się tak głęboko, jak kobieta przypuszczała. Kalenda poprawiła paski pakunków z racjami żywnościowymi i dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że paczki mogą także pełnić rolę czegoś w rodzaju kamizelek ratunkowych. Później odbiła się od kadłuba i wskoczyła do chłodnej, stonej wody.

Przeżyła chwilę czy dwie trwogi, kiedy wydało się jej, że tratwa ma ochotę odpłynąć bez niej. Na szczęście zdążyła zacisnąć palce wokół uchwytu, a później wciągnęła się na pokład. Stwierdziła, że leży na pojemniku, z nogami zwisającymi poza burtę i raz po raz zanurzającymi się w wodzie. Namacała uchwyty pojemnika, a potem złapała za nie, aby nie ześlizgnąć się z mokrego pokładu. Nie przejmując się zbytnio tym, w którą stronę popłynie, zaczęła energicznie machać nogami. Teraz najbardziej zależało jej na tym, aby znaleźć się jak najdalej od pogrążającego się frachtowca. Wiedziała, że wokół każdego tonącego statku, nawet małego, tworzą się wiry wodne wsysające wszystkich i wszystko, co znajdzie się w pobliżu. Nie zamierzała dać się wciągnąć pod powierzchnię i utonąć razem z idącym na dno statkiem.

Kiedy doszła do wniosku, że odpłynęła wystarczająco daleko, wykonała kilka energicznych ruchów nogami - w taki sposób, żeby tratwa się obróciła. Przyglądała się, jak stary wiemy transportowiec wyrusza w ostatnią podróż, która miała się zakończyć odpoczynkiem na samym dnie koreliańskiego oceanu.

Dziób statku nadal wynurzał się z wody, ale ką, jaki tworzył z powierzchnią z każdą chwilą stawał się coraz większy. W pewnej chwili Kalenda ujrzała błysk, a później we wnętrzu sterowni strzeliły snopy iskier. Zapewne nastąpiło zwarcie jakiegoś obwodu albo systemu zasilania. W następnej sekundzie światła zamigotały i rozbłysły intensywniejszym blaskiem, żeby po chwili ściemnieć, ponownie rozbłysnąć i w końcu zgasnąć całkowicie. Rozległ się głuchy huk i z niewidocznej części rufowej kadłuba wydobyły się miliony mętnych, mlecznych bąbli. Po kilkunastu kolejnych sekundach dziób sterczał już pionowo. Kalenda usłyszała kilka stłumionych trzasków, a potem szum wody wdzierającej się do dziobowych pomieszczeń frachtowca. Przednia część statku zanurzała się stopniowo, powoli, jakby z dziwaczną godnością. Coraz bardziej pogrzała się w morskich falach i po chwili zupełnie zniknęła pod wodą.

Kobiela jeszcze minutę czy dwie wpatrywała się w miejsce, gdzie widziała ją zaledwie, zdawało się, przed sekundą. Odnosiła wrażenie, że jej gardło ściskają uczucia, o które siebie nie podejrzewała. Zapewne nawet nie potrafiłaby opisać, co odczuwa. Niewiele brakowało, a sama spoczywałaby w tym wodnym grobie. Obserwowała, jak stopniowo powierzchnia oceanu przestaje się burzyć, a potem wygładza się i uspokaja. Po chwili już nic nie wskazywało miejsca, w którym pochłonęła kadłub frachtowca. Statek zniknął tak nagle, jakby nigdy nie istniał.

Kolenda uniosła głowę i spojrzała na świecące gwiazdy. Możliwe, że ktoś widział błysk, kiedy jej statek przecinał czerń nieboskłonu, ale po orbicie Korelii, podobnie jak wokół innych światów, krążyło mnóstwo wraków, odpadków, szczątków i brył metalu. Wszystkie stanowiły smutną spuściznę po niedawnych zmaganiach między flotami Republiki a Imperium. Uczestniczyło w nich wiele systemów, które wciąż jeszcze nie zdążyły uprzętać wraków gwiazdnych statków i okrętów. Od dawna nikt nie zawracał sobie głowy składaniem meldunków miejscowym władzom, że widział, jak nocne niebo przecinały chociażby najjaskrawsze smugi. Pragnąc, żeby nikt jej nie dostrzegł, Kalenda wylądowała w nocy i na powierzchni wody. A gdyby nawet ktoś widział ognistą smugę, która tej nocy rozjaśniła koreliańskie niebo, pomyślałby, że ma do czynienia po prostu z jakimś wrakiem. Z pewnością doszedłby do wniosku, że oto w górnych warstwach atmosfery płonie jeszcze jeden spośród setek, a może tysięcy uszkodzonych myśliwców, patrolowców, transportowców albo sztucznych satelitów, które w ciągu ostatnich lat czasami nawet roztrzaskiwały się o powierzchnię.

Istniało zatem bardzo duże prawdopodobieństwo, że agentce się udało. Zapewne Korelianie nie wiedzieli o jej lądowaniu na planecie - a nawet gdyby coś podejrzewali, nie mieli szans, aby ją odnaleźć.

Pozostawało pytanie: Jaką miało jej to przynieść korzyść?

Kalenda zaczęła, aż tratwa znajdzie się na grzbiecie jakiejś fali. Nie wypuszczając uchwytów pojemnika, uniosła się, a potem rozejrzała po okolicy. Bardzo dobrze. Doskonale. Fale kierowały ją w stronę lądu. Wyglądało na to, że ma do pokonania zaledwie kilka kilometrów.

Zaczęła wymachiwać nogami i popłynęła do brzegu.

ROZDZIAŁ

6

POŻEGNANIE I POWITANIE

Luke Skywalker przerzucił poję czarnego płaszcza przez jedno ramię. Wyszedł z ciemnego kąta lądowiska i ruszył w kierunku platformy, na której spoczywał „Sokół Millenium”, przygotowany do kolejnego startu. Mistrz Jedi przyglądał się scenie zorganizowanego chaosu, który opanował chyba całe lądowisko. Prawdą powiedziawszy, przed jego oczami rozgrywały się aż dwie takie sceny - mające ze sobą bardzo wiele wspólnego.

Stojący po stronie sterburty Han Solo sprzeczał się z jakimś urzędnikiem albo inspektorem obsługi kosmoportu. Wyglądało na to, iż tłumaczy mu, że jednak ma zezwolenie. Od czasu do czasu pokrzykiwał na Chewbacce który przykucnął na sterburtowym skrzydle frachtowca i sprawdzał działanie panelu umożliwiającego uruchomienie jakiegoś urządzenia. Han i Chewie od dawna - odkąd Luke ich poznał - sprzeczał się ze sobą jak najlepiej utrzymać „Sokoła” w gotowości do lotu. Oczekiwanie, że nagle przestaną, po prostu nie miało sensu.

Obok bakburty stała Leia. otoczona wianuszkami rozmaitych inteligentnych istot i automatów Luke poświęcił chwilę, żeby lepiej przyjrzeć się tej barwej grupie. Dostrzegł urzędników, ministrów gabinetu, senatorów, dostojników i dyplomatów, a także garstkę wojskowych i kilka pomocniczych androidów. Krótko mówiąc, wszystko po staremu. Chociaż Leia starała się sprawować władzę tak demokratycznie i nieformalnie jak umiała, po prostu nie mogła wyruszyć w jakakolwiek podróż - a tym bardziej na wakacje - bez udzielenia kilku ostatnich rad podwładnym oraz bez porozmawiania z tym albo owym dygnitarzem.

Pomiędzy tymi dwiema grupami a opuszczoną rampą „Sokoła” nieustannie krążyły usługowe roboty. Tocząc się na małych kółkach, transportowały na pokład ostatnie nesesery, pakunki i pojemniki.

Tymczasem troje dzieci Hana i Lei i biegało pośród tego rozgardiaszu niczym dzikie zwierzątka. Nie posiadały się z radości, że wreszcie rozpoczyna się wielka przygoda. Bez wątplenia w grę wchodziło także to, że nie będą musiały słuchać

gderania wiecznie zaferowanego Threepia. Luke uśmiechnął się, kiedy owa myśl przyszła mu do głowy. Jeżeli stara zbiornica nitów, śrubek i trybików nadal martwiła się o każde głupstwo i przejmowała drobiazgami, nic dziwnego, że diablęta pragnęły skonstruować własnego robota.

Ponieważ Leia zajmowała się tłumaczeniem czegoś ambasadorowi Bimmów, Han musiał zastąpić ją w poskramianiu pociech. Możliwe, że dawał z siebie wszystko, na co było go stać, ale w obecnych warunkach to nie wystarczało. Luke zorientował się, że sytuacja zmierza do kryzysu, i postanowił przejąć inicjatywę.

- Jacenie! Jaino! - krzyknął. - Przestańcie na chwilę! Uspokójcie się! Anakinie! Łapa ładownicza nie służy do wspinania. Zejdź z niej, bo zrobisz sobie jakąś krzywdę!

- Przecież Chewie wspina się po niej na kadłub statku - zaprotestował ponad siedmioletni chłopiec. Zsunął się po powierzchni łapy, ale uczynił to z wyraźną niechęcią.

- Chewbacca wspina się po niej nie dla zabawy stwierdził Skywalker. Zastanawiał się - zresztą nie pierwszy raz - jak trudno wytłumaczyć coś dziecku w takim wieku. - Chewie robi to, ilekroć chce coś naprawić. Musi, jeżeli wszystkie urządzenia mają działać prawidłowo.

- Ja potrafiłbym je naprawić jeszcze lepiej - odparł chłopiec odgiętym kciukiem pokazując siebie. Najwyraźniej pokładał dużo zaufania we własne zdolności. - I to na wiele sposobów.

- Założę się, że potrafisz - przyznał Mistrz Jedi, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wszystko wskazywało na to, że Anakin był nad wiek rozwinięty. Możliwe, że naprawdę potrafił radzić sobie z naprawami rozmaitych urządzeń i mechanizmów, ale Luke wątpił. Aby Wookie zechciał skorzyść z pomocy chłopca. - Pozwól jednak, że o wszystko będą się martwili twój tata i Chewbacca. - Widząc, że Anakin zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał, Luke postanowił skorzystać z okazji i zmienić temat rozmowy. - Czy już jesteś przygotowany do wyprawy?

- Uhm. Zabrałem wszystkie rzeczy.

- To dobrze. Powinieneś doskonale się bawić.

Luke powiódł spojrzeniem po płycie lądowiska i zwrócił uwagę na Jainę. Dziewczynka usiłowała rozpakować neseser, który jakiś robot właśnie wnosił na pokład „Sokoła Millennium”.

- Daj spokój, Jaino - odezwał się Skywalker. - Zostaw ten neseser w spokoju.

- Chciałam tylko wyciągnąć kryształ z jakąś książką do poczytania - zaprotestowała bliźniaczka. - Wydaje mi się, że są właśnie tutaj.

- I tak niczego nie przeczytasz, dopóki nie wystartujecie - oznajmił Luke. Miał nadzieję, że Jaina okaże przynajmniej w przybliżeniu - tyle samo zdrowego rozsądku, co Anakin. Zamaszystym gestem nakazał robotowi, żeby ruszał w dalszą drogę. - Chyba nie ma sensu wyrzucanie wszystkiego na płytę lądowiska i szukanie czegoś, czego możesz i tak nie znaleźć.

- Ale ja chciałabym mieć ten kryształ teraz - upierała się dziewczynka.

To byłoby tyle, jeżeli chodzi o przemawianie do rozsądku.

- No cóż, należało o tym pomyśleć, kiedy pakowałam swoje rzeczy.

- To nie ja je pakowałam oznajmiła bliźniaczka. - Gdybym ja to robiła, nie schowałabym kryształów. Mój neseser zapakowały automaty.

- A mówiłem ci, że pozwalacie im wykonywać za dużo czynno które powinniście robić sami przypomniał Mistrz Jedi. - Dla tego musicie liczyć się z niespodziankami. Ilekroć zrobisz coś sama, z pewnością będzie to zrobione lepiej, a często nawet i szybciej. Jeżeli pozwolisz, żeby wyręczyły cię w tym automaty, nie będziesz miała prawa później złościć się ani narzekać. A zatem koniec dąsów. Następnym razem pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, zgoda?

- Zgoda powiedziała Jaina, ale wszystko wskazywało na to, że nie została przekonana.

- To dobrze odparł Luke. Może jednak kara, jaką wymierzył bliźniętom za niedawny incydent z robotem, mimo wszystko odniesie jakiś skutek. - A na razie zaopiekuj się Anakinem. Usiądźcie gdzieś i zaczekajcie, aż przyjdzie pora wejścia na pokład „Sokoła”.

Luke ponownie rozejrzał się po płycie lądowiska i zauważył Jacena stojącego u boku Hana. Zamierzał krzyknąć do chłopca, żeby nie przeszkadzał ojcu; zobaczył jednak, że Han, nie przestając sprzeczać się z urzędnikiem personelu lądowiska, na wpół świadomym, ale czułym gestem położył dłoń na ramieniu starszego syna. Również Jacen sprawiał wrażenie bardzo zainteresowanego przebiegiem rozmowy. No cóż, niech tak będzie. Luke nie chciał im przeszkadzać.

Spoglądając kątem oka to na Jainę, to znów na Anakina, który - cud nad cuda - naprawdę spokojnie siedział na przewróconym pojemniku, Mistrz Jedi ruszył w stronę Leii. Zamierzał się przekonać, czy nie może jakoś pomóc siostrze pozbyć się tłumy ludzi robiących wszystko, co możliwe, byle tylko jak najdłużej zatrzymać ją na płycie lądowiska. Bez końca zadawali „jeszcze tylko jedno pytanie”; zapewne chcieli zadawać je aż do zapadnięcia nocy.

Powinien był jednak pamiętać o tym, co powiedziała Mon Mothma. Przypomniała mu, że też był jednym z bliźniąt, które nie rozwijało umiejętności, jakie opanowało drugie. Luke zauważył, że grono otaczających siostrę osób wyraźnie stopniało. I nie mógł nie dostrzec, że wszyscy, którzy odchodzili, mieli na twarzy uśmiech albo w inny sposób okazywali zadowolenie. Sprawiali wrażenie ucieszonych z przebiegu rozmowy. Co więcej, zapewne czuli się, jakby przywódczyni Nowej Republiki darzyła właśnie jego czy ją szczególnymi względami i przywiązywała największe znaczenie do tego, co od niej albo od niego usłyszała. Luke nigdy nie opanował sztuki takiego prowadzenia rozmów z ludźmi. Widząc, że siostrze przychodzi to chyba bez trudu, poczuł w sercu bardzo lekkie ukłucie czegoś podobnego do zazdrości. Wszystko przemawiało za tym, że Leia czuje się jak ryba w wodzie. Rzecz jasna, właśnie tak powinno wyglądać - pomyślał Skywalker. Wszystko wydawało się łatwe i proste, jeżeli ćwiczyło się to całymi latami. Doszedł do wniosku, że był wobec siostry niesprawiedliwy. Możliwe nawet, że wprawił ją w zakłopotanie. Nie miał racji. Z pewnością nie mógł zadośćuczynić jej ot tak, jednym gestem - ale przynajmniej orientował się, od czego zacząć.

Tymczasem jego siostra właśnie żegnała się z dwoma ostatnimi rozmówcami. Luke podszedł do niej, a ona, ujrawszy brata, uśmiechnęła się tak serdecznie i szeroko, że - kolejny raz - poczuł, jak z jego serca znikają resztki chłodu. Uświadomił sobie, że za rym uśmiechem nie czai się kunktatorstwo ani wyrachowanie... w ogóle nie kryje się nic poza najgłębszymi i najszczerzszymi uczuciami. I chyba właśnie na tym polegała cała tajemnica. Leia zawsze czuła to, co malowało się na jej twarzy.

- Witaj, Luke'u - powiedziała. - Co za podniecające chwile!

- To prawda - przyznał. - W końcu wybierasz się rzucić okiem na świat, na którym się urodził - dodał, kiwnięciem głowy wskazując Hana. Mąż Leii, chociaż nie przestał krzyknąć to na Wookiego, to znów na urzędników kosmoportu, nie zdjął ręki z ramienia syna.

- Musi ci być ciężko, skoro twój mąż jest taki tajemniczy - zażartował. - Założę się, że cieszysz się na myśl, iż już niedługo zobaczysz, gdzie stawał pierwsze kroki.

- Och, Han wcale nie jest tajemniczy - sprostowała Leia. - Na zewnątrz zawsze widzisz to, co kryje się w środku. Możliwe, że jego przeszłość okrywa jakaś tajemnica. Nigdy mi o niej nie opowiadał i chyba nigdy tego nie uczyni. Tak czy owak, nie sądzę, żeby wakacje spędzone na łonie rodziny miały nagle rzucić snop światła na wszystkie mroczne zakamarki jego dzieciństwa.

- Czy to cię ani trochę nie martwi? - zapytał Mistrz Jedi.

Leia wzruszyła ramionami.

- Już nie - odparła. - Zdażyłam się przyzwyczaić. Han to Han. Jak sądzisz, co jeszcze powinnam o nim wiedzieć?

- Chyba nic - przyznał Skywalker. - W każdym razie przyjrzyj się samej Korelii. Opowiedz mi później, jak tam było, dobrze?

- Obiecuję - odrzekła Leia. - Cieszę się, że spędzimy trochę czasu razem. I bez takiego tłumu dostojników jak dzisiaj - gestem pokazała ostatnich wychodzących - którzy co dwie minuty ścigają mnie i zasypują gradem pytań.

- No cóż, jeżeli już mówimy o rodzinie - zaczął Luke - chciałem, jako twój brat, dać ci pewien prezent.

Wyjął z niewielkiej torby jakiś przedmiot owinięty w kosztowny czarny aksamit. Zawiniątko miało kształt cienkiego cylindra, grubości przedramienia Leii, i sprawiało wrażenie dosyć ciężkiego. Mistrz Jedi podał je siostrze

- Co to jest?

- Rozwiń i sama się przekonaj.

Aksamitna tkanina została przewiązana srebrną wstążką. Leia rozwiązała ją, odwinęła skraj aksamitu... i zdziwiona cicho krzyknęła.

- Ale., ale...

- Wiem, że masz własny miecz świetlny - wyjaśnił Luke. - Mimo to nigdy nie widziałem, żebyś go nosiła.

- Od dawna uważam, że nie powinnam... że nie mam prawa go nosić - odparła Leia, do końca odwijając rękojeść broni. - Od bardzo, bardzo dawna nie zasługuję już na miano rycerza Jedi.

- Właśnie dlatego daję ci go i chce, żebyś go nosiła nalegał Luke. - Nie znam prostszego i bardziej przekonującego sposobu oświadczenia, że ja uważam cię za rycerza Jedi.

- Ale przecież powinnam sama skonstruować własny miecz świetlny przypomniała kobieta. - Pamiętasz, to jeden ze sprawdzianów

Luke pokręcił głową.

- To może być jeden ze sprawdzianów. Wcale nie musi. Istotnie, tradycja głosi, że uczeń Jedi powinien skonstruować własną broń jako jeden z etapów procesów przeistaczania się w rycerza. Ale tradycja jest jedynie tradycją, niczym więcej. To nie przepis ani nakaz, które nie mogą zostać pogwałcone. Pamiętaj, że mój pierwszy świetlny miecz wręczył mi Obi-Wan Kenobi. A zatem możesz się pozbyć wszelkich obaw. Przyjmij ten miecz. Skonstruowałem go specjalnie dla ciebie.

Leia ujęła rękojeść i zacisnęła palce prawej dłoni. Przez kilka chwil trzymała ją nieruchomo, a potem raz czy dwa jakby oceniała ciężar, uniosła i opuściła.

Jak czuje się w twojej dłoni? - zainteresował się Skywalker. - Jak t y się czujesz, gdy go trzymasz.

- Jakbym trzymała go od urodzenia przyznała jego siostra. - Jakby został specjalnie dostosowany do wnętrza dłoni. Jest doskonały. Tyle że ja nigdy... nigdy nie ukończyłam szkolenia Jedi. Nie skonstruowałam własnego miecza, ponieważ nigdy nie uważałam, że jestem gotowa

Luke pokręcił głową.

- Nie, to nie tak - powiedział. - Stanowczo błędnie oceniasz sytuację. Jeżeli ktokolwiek w całej galaktyce ma prawo posługiwać się świetlnym mieczem, tym kimś jest właśnie Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki. Jesteś rycerzem Jedi. Twoje szkolenie dobiegło końca. Różniło się od mojego, ale już się zakończyło.

To nie może być prawda - zachnęła się Leia. - Nie wiem jeszcze tylu rzeczy. Powinieneś nauczyć mnie o wiele więcej niż dowiedziałam się do tej pory.

Mon Mothma przypomniała mi o tym, że każdy medal ma dwie strony - odrzekł Luke. - Ty także powinnaś mnie nauczyć wielu rzeczy, które muszę wiedzieć. Zapewne żadne z nas nie pozna wszystkiego, co jest potrzebne w życiu. Nic nie szkodzi, że nie znasz kilku sztuczek myślowych ani nie opanowałaś do końca umiejętności posługiwania się bronią rycerzy Jedi. W przeszłości nie przeszkadzało ci to stawać w obronie sprawiedliwości. Nie miałaś kłopotów z odróżnianiem dobra od zła i wykorzystywaniem tej umiejętności w słusznej sprawie. Przyjmij ten miecz. Zasłużyłaś na niego... i może będziesz go potrzebowała.

Leia ponownie zważyła na dłoni rękojeść miecza, a potem cofnęła się o krok czy dwa. Pragnąc włączyć zasilanie, przycisnęła guzik umieszczony na obudowie. Rozległ się chrapliwy, basowy pomruk i broń obudziła się do życia. Z rękojeści wyskoczyła krwistoczerwona świetlista klinga. Leia zgięła dłoń w nadgarstku, dzięki czemu ostrze broni przecięło powietrze. Sekundę lub dwie mrucało trochę głośniejsze, ale potem ponownie przycichło.

- Przekonaj się, co umiem - zaproponowała.

Cofnęła się jeszcze o dwa kroki, po czym uniosła świetlistą klingę niemal pionowo.

Luke wahał się przez chwilę. Wydawało mu się, że w głosie i wyrazie twarzy siostry wyczuwa jakąś obojętność albo roztargnienie. Nie miał trudności ze zrozumieniem przyczyny takiego zachowania. Wystarczyło jedno spojrzenie na oczy Leii, skupione wyłącznie na ostrzu miecza.

Mistrz Jedi cofnął się i rozpiął czarny płaszcz, a potem zsunął go z ramion i pozwolił, żeby opadł na płytę lądowiska. Nie odrywając wzroku od oczu siostry, odpiął rękojeść własnego miecza. Przycisnął guzik na obudowie i usłyszał dobrze znany pomruk wysuwającej się klingi. Przyzwyczajony do obserwowania przeciwnika, a nie swojej broni, nie widział świetlistej klingi, tym bardziej, że trzymał ją opuszczoną, blisko ciała. Ujrzawszy to, Leia chwyciła obudowę oburącz, a potem wyciągnęła i lekko uniosła ręce. Przyjęła w ten sposób klasyczną postawę obronną, przez co dała znak, że jest gotowa do pojedynku. Luke uniósł buczące ostrze własnej broni tak, że zetknęło się z klingą miecza siostry. W nagrodę usłyszał podobne do syku skwierczenie.

Leia cofnęła ostrze. Na jej twarzy malowało się skupienie i tłumione podniecenie. Luke rozumiał, dlaczego siostra reaguje w taki sposób. W jej żyłach, podobnie jak w jego, płynęła krew ich ojca. W głębi serca wiedział, że ona także lubi napięcie towarzyszące niebezpieczeństwu, wyzwaniom, walkom i pojedynkom. Nie wiedział ani nawet nie udawał, że wie, czy stanowiło to wpływ jakiegoś aspektu ciemnej strony Mocy, czy też było normalną reakcją związaną z zagrożeniem. Wiedział jednak, kiedy sam odczuwa podobne podniecenie... i uświadamiał sobie, że właśnie to czuje teraz jego siostra.

Bez wątplenia stoczyła wiele walk intelektualnych w ciągu ostatnich lat sprawowania funkcji przywódczyni. Odnosiła wspaniałe zwycięstwa, które dobrze przysłużyły się Nowej Republice. Zazwyczaj osiągała cel, uciekając się do uprzedzania albo niweczenia planów przeciwników politycznych - nierzadko siedzących przy tym samym stole konferencyjnym. Uświadamiała im, jacy są bezradni, aż sam pomysł rozstrzygnięcia sporu na polu walki wydawał się im po prostu śmieszny. Dawno jednak nie miała okazji brania udziału w prawdziwym pojedynku. Nie walczyła, używając rąk, ani też nie sprawdzała własnej szybkości, zwinności czy pomysłowości. Nic dziwnego zatem, że kiedy unosiła świetliste ostrze nad głowę, a potem ruszała do ataku na brata, w jej oczach płonęły ogniki podniecenia.

Luke odpowiedział, odbijając klingę siostry na bok. Później jednak zaledwie miał czas ponownie przyjąć postawę obronną, musiał odbić następny cios, aby rubinowe ostrze nie przemknęło pod jego klingą. Leia pozwoliła, żeby jej klinga ześlizgnęła się po kłindze brata, ale w następnej sekundzie rozłączyła oba ostrza i spróbowała zaatakować z prawej strony. Luke musiał się cofnąć i obrócić, żeby przyjąć cios siostry na ostrze własnej broni. Nie zamierzał wykorzystywać wszystkich umiejętności, ale wyglądało na to, że siostra pragnie zmusić go do wysiłku. Była zbyt szybka i zbyt dobra, aby mógł sobie pozwolić na choćby chwilę nieuwagi.

Postanowił przejść do ataku. Oderwał lewą dłoń od rękojeści miecza i nie wypuszczając broni z prawej, wyciągnął rękę przed siebie. Wiedząc, że może w ten sposób liczyć na większy zasięg, postąpił krok czy dwa w stronę przeciwniczki. Ona jednak nie zamierzała ustępować. Uniosła własny miecz, a potem z całej siły opuściła ostrze na sam koniec świetlistej klingi miecza brata. Zaatakowała ze zdwojoną energią i zadała cios dokładnie pod takim kątem, aby skłonić Luke'a do opuszczenia broni. Siła ciosu zmusiła Mistrza Jedi do cofnięcia się i dziwaczego wygięcia nadgarstka. Wskutek tego osłabła siła, z jaką jego palce trzymały rękojeść miecza. Koniec ostrza wbił się w permabetonową płytę lądowiska i zaczął wypalać w niej dymiącą dziurę. Luke musiał przestać - przynajmniej na krótką chwilę - koncentrować się na walce i obronie, i spróbować uwolnić klingę własnej broni.

W następnej sekundzie niemal to uczynił, ale było za późno. Leia uniosła broń i zamachnąwszy się, trafiła klingę miecza brata z przeciwnej strony. Nie tylko oswobodziła koniec ostrza z otworu w permabetonie, ale przy okazji wytrąciła rękojeść z dłoni Mistrza Jedi. Kiedy kciuk Luke'a ześlizgnął się z guzika włączającego zasilanie, energetyczne ostrze schowało się we wnętrzu ciemnego cylindra. Rękojeść poszybowała w powietrze, a później zatoczyła wdzięczny łuk i wylądowała jakieś piętnaście metrów dalej na platformie lądowniczej.

Luke uniósł głowę i popatrzył na siostrę. Z jego spojrzenia wyzierało bezbrzeżne zdumienie. Mistrz Jedi przekonał się jednak, że na twarzy Leii widzi tylko serdeczny, szeroki uśmiech. Kobieta uniosła klingę broni w geście żartobliwego salutu, a potem wyłączyła zasilanie. Kiedy rubinowe ostrze zahaczało i skryło się w obudowie, przypięła miecz do pasa.

Luke podszedł do platformy. Wyciągnął rękę po swój miecz, podniósł go i także przypiął do pasa. Odwrócił się i spojrzał na siostrę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Musiał przyznać, że jest wojowniczką. Może nie zdoła pokonać go podczas następnego pojedynku, ale liczyło się to, że zwyciężyła w trakcie obecnego. Mimo iż tylko ćwiczyli, a Leia miała dużo szczęścia, zwycięstwo odniesione w walce z Lukiem Skywalkerem wywierało wielkie wrażenie. Możliwe, że siostra nie miała wprawy, a jej ruchy nie były tak płynne, jak powinny, ale i jedno, i drugie osiągało się dopiero po latach żmudnych ćwiczeń. Jednak Luke nie mógł zaprzeczyć, że siostra ma wrodzony talent, który właściwie nie potrzebował zachęty, aby ujawnić się w całej okazałości. Podszedł do niej i nie posiadając się ze zdumienia, pokręcił głową.

- Jesteś bardzo dobra - pochwalił siostrę. - Jesteś doskonała.

Leia uśmiechnęła się chyba jeszcze szerzej, a potem poklepała brata po ramieniu.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Następnym razem ty zwyciężysz.

- Możliwe - zgodził się Luke, po czym także się uśmiechnął. - Jeżeli nawet, to tylko dlatego, że będę wiedział, czego się spodziewać.

Powiódł spojrzeniem po lądowisku i przekonał się, że cała trójka dzieci przyglądała się, jak ich mama odnosi zwycięstwo nad Mistrzem Jedi. No cóż - pomyślał - może opłacało się dostać lanie, jeżeli dzięki temu będą traktowały mamę z większym szacunkiem.

- Ćwiczę, kiedy tylko mogę, ale tak, żeby nikt tego nie widział wyjaśniła Leia. Tym razem jej głos zabrzmiał odrobinę poważniej. - Nawet Han nic nie wie.

- Gdzie ćwiczysz? Czym? I z kim? - zapytał Mistrz Jedi.

Leia wzruszyła ramionami.

- Mieczem świetlnym, który już mam - odparła. - Prawdę mówiąc, ani w połowie nie jest taki dobry jak ten nowy. Zazwyczaj pojedynkuję się ze zdalniakami. Przeważnie ćwiczę na dziedzińcu przylegającym do mojego gabinetu. Nie twierdzę, że poświęcam temu wszystkie wolne chwile, ale wydaje mi się, iż przynosi to pewne korzyści.

- Ja myślę! - przyznał Luke, masując nadgarstek prawej ręki. Wciąż jeszcze czuł w nim ból po tym, jak siostra wytrąciła miecz świetlny z jego dłoni. - Chyba sama nie jesteś świadoma, jak duże. Chodź, zobaczymy, jak Han radzi sobie z urzędnikami od spraw regulaminów i zezwoleń.

- Aż się boję tego, co zobaczą - odezwała się Leia. - Rzecz jasna, mogłam wykorzystać swoje stanowisko, żeby zrezygnowano z wszelkich formalności, ale połowa naszej wyprawy ma charakter prywatny. Nie uważałam za słuszne nadużywanie władzy w celu wygodnego wyjazdu na wakacje. A poza tym, Han oświadczył, że mam się o to nie martwić. Powiedział, żebym zgłosiła tę wyprawę jako prywatną, a on załatwił wszystkie formalności sam, na swój sposób.

Luke nie mógł się nie uśmiechnąć, jako że Han rzadko załatwiał swoje sprawy po cichu. Mistrz Jedi ujął siostrę pod rękę i oboje podeszli do „Sokoła”, ale przystanęli poza kręgiem dyskutujących i gestykulujących osób.

Han radził sobie mniej więcej tak, jak można było oczekiwać, a to oznaczało, że nie najlepiej. Do tej pory zdążyła już zebrać się wokół niego niewielka grupa kosmoportowych urzędników i inspektorów. Co chwila któryś pokazywał taki albo inny przepis uwidoczniony w podręcznym notatniku, a potem wdawał się z kapitanem „Sokoła” w ożywioną dyskusję. Prawdopodobnie wszyscy zainteresowani mieli wielkie szczęście, że Han nie wziął akurat blastera. Luke nie zdziwiłby się, gdyby przyjaciel zapragnął rozstrzygnąć większość sporów jednym lub dwoma oddanymi w powietrze strzałami - a wówczas tylko gwiazdy wiedzą, ile innych przepisów by pogwałcił.

Kiedyś, w dawnych czasach, nikt nie stwarzał aż tylu kłopotów przed startem w przestworza. Po prostu uzyskiwało się pozwolenie, uszczelniano statek i leciało, dokąd się chciało. Dawniej jednak ruch powietrzny wokół Coruscant nie miał nawet dziesiątej części obecnego natężenia.

Całkiem niedawno wydarzyły się o dwa czy trzy wypadki za dużo. Za każdym razem winowajcą okazywał się pilot byle jak skleconego i przypominającego wrak gwiazdowego statku, który już dawno powinien zostać oddany do składnicy złomu. Możliwe, że gdzie indziej przepisy nie były takie szczegółowe i surowe. Wokół Coruscant krążyło jednak tyle lądujących i startujących jednostek gwiazdnych, że nie można było pozwolić pilotom, aby robili to, na co mają ochotę. W trosce o bezpieczeństwo postanowiono zatem, że wszyscy muszą ściśle stosować się do drobiazgowych zarządzeń i przepisów. Po prostu nie istniało inne wyjście. Autorzy

owych zarządzeń nie przejmowali się faktem, że piloci od pokoleń nie zwracali uwagi na żadne nakazy i regulaminy. Prawdziwy problem polegał jednak na tym, jak w owych regulaminach traktowano stare statki. Wiekowe, niemal zabytkowe jednostki, takie jak „Sokół Millenium”, powinny być przynajmniej raz w ciągu każdego standardowego roku poddawane szczegółowym badaniom. Jakimś cudem frachtowcowi Hana udawało się jednak unikać owych badań. Działo się tak od wielu lat, ale w końcu urzędnicy dopadli ofiarę.

No cóż, właściwie nikt nie mógł winić portowych gryziopiórków za to, że pragnęli, aby przywódczyni Nowej Republiki leciała na pokładzie statku spełniającego przynajmniej niektóre przepisy bezpieczeństwa. Niewątpliwie wspomniana powyżej przywódczyni mogłaby uśmierzyć wszystkie spory kilkoma łagodnymi słowami albo zdaniem, a może oficjalnym podpisem na właściwym formularzu. Leia postanowiła jednak nie włączać się do dyskusji, a Luke, zobaczywszy to, też nie czuł takiej potrzeby. Doszedł do wniosku, że - mimo iż mogło się to wydawać mało prawdopodobne - Han doskonale sobie radzi i przy okazji świetnie się bawi. Mistrz Jedi postanowił zatem, że nie będzie mu psuć zabawy. Popatrzył na siostrę i zdecydował, że oboje pozostaną tyko biernymi obserwatorami.

- Wolnego! - krzyknął w pewnej chwili Solo. - Pojedynczo! Nie wszyscy na raz, bo inaczej wywołam Wookiego z wnętrza statku i pozwolę, żebyście jemu powiedzieli, o co wam chodzi!

To ich trochę uspokoiło.

- No dobrze - powiedział Han, kiedy urzędnicy trochę się uciszyli. - Ty. Możesz mów.

Wymierzył palec wskazujący w inspektora, który według jego osądu najbardziej grymasił.

- Chodzi o regulatory napędu nadświetlnego pańskiej jednostki, kapitanie Solo - zaczął urzędnik kosmoportu. - Przed tygodniem badaliśmy osłony chroniące przed promieniowaniem. Okazało się, że nie spełniają wymagań...

Han uniół rękę, aby dać znak inspektorowi, że wystarczy.

- To chyba jakieś nieporozumienie - oświadczył, okazując sporo pewności siebie. Wyciągnął z kieszeni kamizelki złożony arkusz flimsiplastu, a potem rozwinął go przed oczami zdumionego urzędnika. Pieczęcie, stemple, parafki i podpisy zajmowały chyba połowę powierzchni dokumentu i nawet przysłańiały część tekstu wypisanego na formularzu. - Ten dokument zapewne rozwieje wszystkie wasze wątpliwości. Wyjaśni nie tylko ten, ale i wiele innych problemów - oznajmił głośno, tak by mogli go usłyszeć pozostali. - Oto zaświadczenie, że regulatory silników napędu nadświetlnego, komputer nawigacyjny, podzespoły i generatory repulsorów, a także wszystkie inne ważne urządzenia poddano kolejnym badaniom i dopuszczono do użytku.

- Ależ, panie kapitanie! - zachnął się ten sam inspektor kosmoportu. - Jeżeli cały czas miał pan ten dokument w kieszeni, dlaczego tak długo trzymał pan to w tajemnicy?

- Może po prostu nie znoś papierkowej roboty - odparł Solo.

A może tylko czekał, aż Leia, jego żona i zwierzchniczka wścibskiego urzędnika, stanie u boku swojego małżonka pomyślał Mistrz Jedi. Z pewnością przedstawicielom władz portowych będzie trudniej dopominać się o brakujący podpis na jakimś dokumencie, jeżeli zobaczą przywódczynię Nowej Republiki, jak niecierpliwie tupiąc nogą o płytę lądowiska czeka, kiedy będzie mogła wystartować.

- Proszę. Weźcie go - powiedział Han. Mam nadzieję, że was uszczęśliwi

Wręczył dokument głównemu inspektorowi i z uśmiechem na ustach przyglądał się, jak pozostali stłoczyli się wokół przełożonego. Raz po raz któryś wyciągał rękę i pokazywał to pieczęć, to podpis, to znów pozytywny wynik takiego czy innego testu. Później odwracał się w stronę kolegów i z ożywieniem coś im tłumaczył. Luke stał zbyt daleko, aby słyszeć słów a. ale z gestów i wyrazów twarzy mógł się domyślić, że nie wszyscy są do końca przekonani.

Co więcej. wyglądało na to, że trzech albo czterech urzędników nie wykazuje żadnego zainteresowania przedstawionym dokumentem.

- Chyba wiem, o co wam chodzi odezwał się Han, zwracając się w stronę tego, który usiłował przekrzyczeć pozostałych. - Pracujesz w wydziale imigracyjnym, mam rację? Jak mówiłem. wszystkie inne zaświadczenia, a także paszporty i zezwolenia na start - dla mnie i pozostałych członków rodziny - ma moja żona. Leio?

Przywódczyni Nowej Republiki podeszła do męża i przedstawiła potrzebne dokumenty. Chyba jednak nie do końca potrafiła ukryć rozbawienie. Rzecz jasna, wszyscy inspektorzy i urzędnicy świetnie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Uświadamiali sobie, że jest ich zwierzchniczką. Wszyscy jednak równie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że Leia Organa Solo wybiera się w podróż z rodziną jako osoba prywatna, w związku z czym chce, aby traktowano ją jak innych zwyczajnych obywateli.

Luke nie miał pojęcia, czy gdziekolwiek indziej we wszechświecie może spotkać się z równie bezsensowną sytuacją. Sam pomyślał, że jakiś skromny urzędnik wydziału paszportowego mógłby podawać w wątpliwość wiarygodność dokumentów przywódczyni Nowej Republiki, wydawał mu się po prostu śmieszny. Możliwe, że inspektorzy kosmoportu mieli dosyć odwagi, aby żądać okazania odpowiednich dokumentów od jej męża, ale z pewnością nie chcieli tego robić, kiedy stali przed samą Leią Organą Solo. Mistrz Jedi nie musiał posługiwać się Mocą, aby wiedzieć, że zaczynają dawać za wygraną. Mimo iż nie zostali do końca przekonani, przystawili pieczęcie na najważniejszym dokumencie i wydali zgodę na odlot frachtowca.

Nagle Luke usłyszał dobiegający zza pleców odgłos cichych kroków. Odwrócił się i zobaczył wchodzącego na lądowisko Landa Calrissiana. Przystojny ciemnoskóry mężczyzna wyglądał chyba jeszcze bardziej elegancko niż zazwyczaj. Był ubrany w połyskującą białą tunikę, częściowo przysłoniętą szmaragdową peleryną i szmaragdowe spodnie. A jednak chyba nie zależało mu na tym, by ktokolwiek go podziwiał. Lando poruszał się cicho jak wielki kot, Co więcej, wyglądał na przygnębionego. Luke nie musiał posługiwać się Mocą, żeby wiedzieć, iż jego przyjaciel pojawił się na lądowisku jedynie po to, by przyjrzeć się startowi. Nie starał się, aby go ktoś zauważył. Mimo iż nie potrafił powiedzieć, o co chodzi, Mistrz Jedi wyczuwał, że to coś poważnego.

Lando podszedł bliżej, stanął u jego boku i kiwnął głową. Wszystko wskazywało jednak na to, że myślimi błądzi gdzie indziej.

- Witaj, Luke'u - powiedział, przez cały czas przyglądając się, jak Han i Leia radzą sobie z poskramianiem tłumy urzędników.

Skywalker popatrzył badawczo na przyjaciela, ale nie potrafił niczego wyczytać z jego twarzy. Nie drgnął na niej żaden mięsień ani nie malował się żaden wyraz, zupełnie jakby Lando obawiał się ujawnić, co czuje.

Przez chwilę Mistrz Jedi walczył z pokusą posłużenia się Mocą i sięgnięcia do umysłu przyjaciela, aby przekonać się, o co właściwie chodzi. Doszedł jednak do wniosku, że prozaiczna ciekawość nie usprawiedliwia naruszania prawa Calrissiana do postępowania według własnego uznania. Postanowił uzbroić się w cierpliwość.

- No cóż, ehm... uhm... odezwał się główny inspektor. - Chyba wszystko... uhm. jest teraz w porządku. - Ton głosu mężczyzny zdradzał, że inspektor mimo wszystko nie pozbył się wątpliwości. - Wygląda na to, że nie mamy nic więcej do roboty oprócz życzenia pani miłej i bezpiecznej podróży.

Han obdarzył inspektora szelmowskim uśmiechem, a później nawet klepnął go po ramieniu. Wydawało się, że urzędnik nie docenił tego serdecznego gestu.

- Dziękuję powiedział Solo, po czym chwycił dłoń inspektora w swoją prawicę i kilka razy energicznie potrząsnął ręką. Urzędnik kiwnął głową i zdumiony przełknął ślinę. Później cofnął się, odwrócił i starając się zachować resztki godności, powoli ruszył w stronę wyjścia z lądowiska. Jego podwładni natychmiast udali się za nim. Nawet przedstawiciele urzędu imigracyjnego i pozostali urzędnicy sprawiali wrażenie, jakby nagle zaczęło się im gdzieś bardzo spieszyć.

Jak wyglądniały wilk, Han Solo wyszczerzył zęby w kierunku pleców wychodzących prześladowców.

- Chodźcie, dzieciaki! - zawołał, zwracając się do trójki pociech. - Wdrapujcie się na pokład. Chewie, możesz już zamknąć ten panel i przestać robić miny. jakbyś zamierzał rozerwać kogoś na strzępy. Maszeruj do sterowni i zajmij się wykonywaniem czynności przedstartowych. Za chwilę tam się zjawię, to ci pomogę.

Na znak, że się zgadza, Wookie wydał krótkie ni to warknięcie, ni to szczeknięcie. Wyciągnął z otworu pojemnik z narzędziami prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, że żadnego nie wyjmował - po czym zatrzasnął wieko panelu.

Luke odwrócił się do Calrissiana, aby zapytać go, o co chodzi. Zanim zdążył to zrobić, Lando pokręcił głową i cicho zachichotał.

- Udało ci się, stary piracie - powiedział i podszedł do Hana, by uścisnąć jego dłoń. - To chyba oznacza, że przegrałeś nasz mały zakład.

- Hanie! - wykrzyknęła oburzona Leia. - Chyba nie założyłeś się znów o „Sokoła”

- Nie-e, stawka nie była aż tak wysoka - odparł Solo. - Założyłem się z nim o dobrą kolację, że nie uda mi się przekonać tych wszystkich inspektorów.

- No, w takim razie masz szczęście. - Leia uśmiechnęła się i poklepała męża po ramieniu. - Chyba powinnam wejść razem z dziećmi na pokład, żeby czegoś nie przełączyły w panelu kontrolnym działek laserowych.

Odwróciła się i podążyła za dziećmi w górą rampy.

Najwyraźniej Leia nie zdaje sobie sprawy z tego, o co tu chodzi - pomyślał Luke, coraz bardziej zdumiony i zdezorientowany. - Han lekceważy przepisy bezpieczeństwa, a ona się tym nie przejmuje?

- Dlaczego Leia nie jest zaniepokojona? - zapytał, zwracając się do Hana. - I co Lando ma wspólnego z tym, że twój frachtowiec uzyskał zgodę na start?

- A jak myślisz, kto dopilnował, żeby wszystkie niezbędne dokumenty i zaświadczenia zostały artystycznie sfałszowane? - odparł Calrissian, szczerząc zęby chyba w jeszcze szerszym uśmiechu. - A zatem, kiedy będziemy mogli zjeść tę kolację? - zapytał, spoglądając na Hana.

Ten zmarszczył brwi, jakby nad czymś się zastanawiał.

- Najchętniej od razu, na pokładzie „Sokoła” - odrzekł po chwili.

- Możesz ją zjeść razem z nami, zanim wystartujemy. Tyle że trochę się spieszymy. Nie chcemy przeciągać struny. Twój ludzie sfałszowali dokumenty i włamali się do komputerowych baz danych, aby wyglądało na to, że „Sokół” spełnia wszystkie wymogi bezpieczeństwa, ale urzędnicy w każdej chwili mogą się zorientować. Nie chciałbym, żebyśmy mieli kłopoty.

Lando znów się roześmiał.

- Czyżby mężczyzna, który nie boi się polecieć takim muzealnym eksponatem, obawiał się ryzyka związanego z tym, że nagle inspektorzy mogą odkryć prawdę? - zapytał. - A to dobre. No cóż, w takim razie sam zdecyduję, kiedy i gdzie zaprosisz mnie na tę kolację. Czy to ci odpowiada?

- Jak najbardziej - odrzekł uszczęśliwiony Solo.

Mistrz Jedi miał jednak pewne zastrzeżenia. Prawdę powiedziawszy, nawet duże.

- Hanie, zaczekaj chwilę - powiedział. - Jeżeli chcesz ryzykować własne życie, możesz latać taką kupą złomu. Nie wolno ci jednak zabierać żony i dzieci na pokład statku, który nie spełnia wymogów bezpieczeństwa.

- Nie gorączkuj się tak, mały - odparł Solo. - Czy naprawdę przypuszczasz, że ryzykowałbym życie własnych dzieciaków? I uważasz, że Leia by mi na to pozwoliła? Zaręczam ci, że wszystkie urządzenia działają bez zarzutu, a statek nie tylko spełnia wymagania, ale jest nawet w lepszym stanie niż powinien. Nie na tym polegał cały problem.

- Przyszynaj, że nie rozumiem - oznajmił jeszcze bardziej zdezorientowany Skywalker.

- A przecież to takie proste odezwał się Lando. - W tej chwili wszystkie dokumenty, jakimi dysponują urzędnicy na Coruscant, wykazują, że „Sokół” jest najzwyczajszym w świecie miłym, lekkim frachtowcem. Całe nielegalne uzbrojenie i urządzenia przemytnicze zostały usunięte, jakby ich nigdy nie było. Tylko że Han nie zdobył się na usunięcie dodatkowego wyposażenia takiego jak działka, wojskowe czujniki i skanery, a także systemy naprowadzania któregoś normalnego frachtowca nie mają na pokładzie. Głupio by wyglądało, gdyby inspektorzy weszli na pokład i stanęli oko w oko z tymi wszystkimi drobiazgami - tylko dlatego, że Han zapomniał je zdemontować.

- Miałem na głowie wiele innych spraw - wtrącił się, Solo tak beznamiętnym tonem i z tak poważną miną, że nikogo nie zdołał wywieść w pole. Prawdę mówiąc, nawet nie zamierzał. - A kiedy znajdziemy się na miejscu, owe drobiazgi mogą się nam bardzo przydać. Mam przecucie, że koreliańskie przestworza są zdradzieckie nawet w czasie pokoju. Przepisy bezpieczeństwa swoją drogą, ale postanowiłem mieć z czego strzelać - na wypadek, gdy by gwiazdni piraci jednak postanowili wyprawić się na zakupy.

- No cóż, teraz rozumiem - przyznaj Mistrz Jedi. - Co więcej, nie mam ci tego za złe.

Nie musiał uciekać się do zmysłów Jedi, aby wyczuć, że Han jest zaniepokojony. I chyba czymś więcej niż tylko nikłym prawdopodobieństwem spotkania się z mitycznymi piratami. Bez względu jednak na to, czym się martwił Solo. Skywalker nie zamierzał jeszcze bardziej denerwować go wypytywaniem o szczegóły.

- Miej więc oko na rodzinę i nie przejmuj się niczym więcej - powiedział.

- Takie właśnie mam plany, mały - odparł Han. - A teraz wchodźcie obaj na pokład i pożegnajcie się z Leią i dziećmi.

Odwrócił się i ruszył w górę rampy, a Lando i Luke podążyli za nim. Znaleźli Leię, i dzieci w świetlicy. Mistrz Jedi pomyślał, że dobrze jest znów być na pokładzie starego, wiernego „Sokoła”. Wiązało się z nim przecież tyle przeżyć... Powiodł spojrzeniem po niewielkim pomieszczeniu. To właśnie tu, w świetlicy, Obi-Wan Kenobi zaczynał uczyć go posługiwania się mieczem świetlnym. To ten statek ocalał mu życie w Mieście w Chmurach. To „Sokół” zapewnił mu osłonę ogniem działek, kiedy Luke leciał, żeby zniszczyć pierwszą Gwiazdę Śmierci.

To wszystko było jednak tylko przeszłością. Teraz wnętrze statku za bardzo tętniło życiem, żeby jakiegokolwiek wspomnienia mogły mieć znaczenie. Han zdążył udać się do sterowni, gdzie pomagał Chewiemu wykonywać czynności składające się na procedurę przedstartową. Bliźnięta siedziały w fotelach, przypięte pasami sieci ochronnych, ale raz po raz tak podskakiwały z podniecenia, że nic nie wskazywało na to, aby zatrzaśki miały długo wytrzymać. Leia pochylała się, żeby zatrzasnąć klamry pasów sieci tak samo podnieconego i wiercącego się Anakina.

- No, dobrze, a teraz posłuchajcie wszyscy - odezwał się Han, który wrócił ze sterowni. Chwilę po nim w świetlicy zjawił się Chewbacca. - Czas pożegnać się z Landem i wujkiem Lukiem.

Rozległ się ogłuszający chór pożegnalnych okrzyków, po czym Luke podszedł po kolei do dzieci. Nad każdym pochylał się, każde całował i ścisnął. Potem wstał i chcąc pożegnać się z siostrą, chwycił i ją w objęcia. Następnie klepnął Hana po ramieniu i zwróciwszy się do Chewiego, złożył przed nim ceremonialny ukłon pożegnalny. Wiedział, że podczas żegnania się z Wookim nie jest rozsądne demonstracyjne okazywanie zażyłości. Gdyby stworzenie chciało odwdziżyć się równie serdecznym i zażyłym uściskiem, można byłoby mówić o szczęściu, jeżeli po takim pożegnaniu miałyby się tylko połamane żebra.

Lando również się zegnał ze wszystkimi, co tylko jeszcze bardziej potęgowało harmider i zamieszanie panujące w niewielkim pomieszczeniu. W końcu jednak Mistrz

Jedi i Calrissian pożegnali się ze wszystkimi odlatującymi osobami, a potem zeszli po opuszczonej pochylni. Wycofali się na bezpieczną odległość, po czym pomachali Hanowi, który uniósł rampę i uszczelnił wnętrze frachtowca.

Żaden statek nie startuje od razu. Zawsze zdarza się co najmniej kilkuminutowe opóźnienie i na ogół osoby czekające na zewnątrz nie umieją go sobie wytłumaczyć. Nie inaczej stało się w przypadku „Sokoła”. Luke i Lando obserwowali, jak Han i Chewie sadowią się w fotelach pilotów, a potem zaczynają włączać przyciski i ustawiać położenie mechanizmów sterowniczych.

W końcu jednak nadeszła długo oczekiwana chwila. Repulsory frachtowca obudziły się do życia, a później rozjarzyły się intensywniejszym blaskiem. Poruszając się z lekkością i wdziękiem, które chyba nie przystały staremu frachtowcowi, „Sokół” uniósł się w powietrze i obrócił o dziewięćdziesiąt stopni przez bakburtę. Zapłonęły wyloty dysz głównych silników napędu nadświetlnego, po czym statek wyleciał przez otwór hangaru i wzniósł się w ciemniejące niebo.

- Odlatują - odezwał się Lando. Niski ton jego głosu zdradzał wzruszenie i chyba lekkie zdenerwowanie. Luke dobrze to rozumiał. Możliwe, że Han, Leia i ich dzieci byli tylko jeszcze jedną rodziną odlatującą na wakacje, które poprzedzały konferencję poświęconą zagadnieniom handlu i miały trwać stosunkowo niedługo, ale liczył się fakt, że odlatywali. Przebywali na pokładzie statku wznoszącego się w mroczne niebo. Wkrótce mieli się przywitać z ciemnościami międzygwiazdnych przestworzy. To mógł być jakikolwiek inny statek, zmierzający ku dowolnemu innemu celowi. Jeżeli chodziło o Luke'a i Landa, jedynie statek lecący w przestworza stanowił symbol jednoznacznie kojarzący się z przygodą, możliwościami, wolnością i nadzieją.

Mon Mothma twierdziła, że Mistrz Jedi tęskni za przygodami, ale Luke nie zgodził się z jej zdaniem. Teraz jednak, mimo iż od tamtej rozmowy upłynęło niewiele czasu, musiał przyznać rację byłej przywódczyni Nowej Republiki. Bardzo chciałby znaleźć się razem z Hanem i Leia. Pragnął towarzyszyć im we wszystkim, co przeżywali i czego doznawali.

- Chodźmy, Luke'u - odezwał się Lando. - Musimy porozmawiać o kilku sprawach.

Mistrz Jedi i Calrissian nie byli jedynymi osobami przyglądającymi się startowi „Sokoła Millennium”. Pharnis Gleasry, agent Ligi Ludzkiej, także obserwował, chociaż z przyzwyczajonej odległości, jak wysłużony frachtowiec znika w ciemnościach zapadającej nocy. Przebywał kilka kilometrów dalej, na tarasie widokowym wieńczącym jedną ze smukłych budowli, jakich wiele wzniesiono ostatnio na Coruscant. Platformę wypełniał tłum wycieczkowiczów, którzy uważali mężczyznę za jednego ze swoich, w związku z czym nie zwracali na niego uwagi. Agent Ligi znajdował się jednak tak daleko, że pragnąc cokolwiek widzieć, musiał posłużyć się makrolornetką. Nieustannie potrącany i popychany przez turystów, nie potrafił utrzymać jej nieruchomo.

Mimo to zobaczył, jak stary frachtowiec wylatuje z czeluści hangaru i wznosi się w wieczorne niebo. Później dostrzegł, że z prostokątnego otworu wyłoniły się mikroskopijne figurki dwóch mężczyzn. Przyglądał się, jak obaj czekają, aż statek

zniknie na tle ciemnego nieba, a potem odwracają się i znikają w hangarze. Był niemal pewien, że mężczyzną idącym po lewej stronie jest Skywalker. Drugim musiał być z całą pewnością Calrissian. Dobrze. Doskonale. Pharnisa niezmiernie uradował fakt, że obiekt jego zainteresowania cały czas przebywa na Coruscant. Teraz, kiedy Organa Solo wyruszyła na wyprawę, nadszedł czas, żeby zająć się Skywalkerem. Agent wiedział jednak, że wykonał swoją pracę. „Sokół Millennium” nie cieszył się opinią jednostki niezawodnej. Mężczyzna doszedł do wniosku, że powinien odczekać, aż frachtowiec opuści system. Gdyby się okazało, że statek uległ jakiejś awarii i Organa Solo wróciłaby na Coruscant po tym, jak załatwi sprawę ze Skywalkerem, mógłby mieć naprawdę poważne nieprzyjemności.

Nie. Stanowczo będzie lepiej, jeżeli da jej więcej czasu. Niech odleci trochę dalej od systemu zaczeka do jutra. Jutro pomyśli o przejściu do następnego etapu planu.

ROZDZIAŁ

7

PRZYJĘTA PROPOZYCJA

- A zatem, Lando, co to za nowy pomysł, w którego realizacji mam ci pomóc? - zapytał Mistrz Jedi, kiedy obaj wracali z hangaru.

Nie zwalniając kroku, Calrissian popatrzył na przyjaciela. Na śniadej twarzy mężczyzny malował się przekorny uśmiech.

- Zamierzam zupełnie zmienić dotychczasowy sposób prowadzenia interesów - odparł. - Chcąc być ścisłym, powinienem to nazwać niezwykle inwestycją. Tak czy owak, pragnę, prosić cię o pomoc.

Niezwykłą inwestycją? pomyślał Mistrz Jedi, spoglądając z ukosa na przyjaciela. Śniadolicy mężczyzna słyszał z tego, że pakował niewiarygodne sumy w rozmaite niezwykle projekty i przedsięwzięcia, ale nigdy jeszcze nie zapraszał nikogo spośród przyjaciół, żeby pomagali mu w urzeczywistnianiu planów. Nawet Lando wiedział, że istnieją pewne granice... to znaczy, wiedział do tej pory.

Rzecz jasna, i tak nie miało to żadnego znaczenia Calrissiana mógł prosić Luke'a o pożyczanie pieniędzy długo i zupełnie bez skutku. Trzeba było najpierw mieć pieniądze, aby potem je komuś pożyczyć. Lando powinien wiedzieć, że Mistrz Jedi nie zalicza się do osób, które mogły mieć gdzieś odłożone stopy kredytów.

Mówiąc bez ogródek, ratowanie wszechświata nie należało do zajęć łatwych, a tym bardziej zyskowych. Lando musiał zatem orientować się, że Luke nie jest zamożny. Czyżby zatem chodziło o coś gorszego? Czyżby przyjaciel chciał wykorzystać dobrą opinię, jaką cieszył się Skywalker? Czyżby zamierzał namówić go do zachęcania innych ludzi, aby zainwestowali w owo przedsięwzięcie?

- Ach, Lando, chyba nie będę umiał ci pomóc - powiedział w końcu. Nie mam takich dużych sum, żeby cię interesowały. I nie sądzę, abym potrafił namówić innych ludzi do tego, żeby...

Lando wybuchnął głośnym śmiechem.

- Naprawdę myślałeś, że mógłbym cię poprosić o coś takiego? - zapytał, kiedy trochę się uspokoił. - „Zainwestuj w Najnowszy Pomysł Słynnego Niebieskiego Ptaka,

Landa Calrissiana, bo tak radzi Luke Skywalker, Bohater Całej Galaktyki”? Nie, nie chodziło mi o nic takiego. Nawet ja bym się na to nie zdobył.

- No cóż, to prawdziwa ulga - przyznał Mistrz Jedi. - Obawiałem się, że zechcesz mnie namówić, żebym wyruszył na wyprawę reklamującą twoje nowe przedsięwzięcie.

Lando obdarzył go dziwnym spojrzeniem, a na jego śniadym obliczu pojawił się wymuszony uśmiech.

- W pewnym sensie masz rację - powiedział. Rzeczywiście chciałem cię posłać, żebyś wyruszył ze mną na wyprawę. Tyle że nie miałem na myśli reklamowania.

- Lando, na razie jesteś strasznie tajemniczy.

- Chyba masz rację. Calrissian przystanął, wskutek czego Skywalker musiał zrobić to samo. Lando popatrzył na przyjaciela, a potem ujął go za łokieć i otworzył usta, jakby zamierzał mówić dalej. Rozejrzał się jednak w lewo i w prawo - zapewne pragnął ocenić prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby go podsłuchać. - Wiesz, co? - ciągnął, ale o wiele ciszej niż poprzednio. - Najpierw chciałbym ci coś pokazać. Naprawdę coś nowego, co niedawno ukończyłem. Chodźmy tędy. Będziemy mogli usiąść i pogadać bez świadków, a wówczas wszystko ci wytłumaczę.

- Niech ci będzie - zgodził się Luke, chociaż nie pozbył się jeszcze wszystkich wątpliwości. - Co to za nowa rzecz, którą ukończyłeś?

- Moje nowe mieszkanie - oznajmił z dumą Lando. - To rzeczywiście coś niezwykłego.

- W jakim sensie? - zainteresował się Mistrz Jedi.

- Sam się przekonasz - odparł Lando i klepnął przyjaciela po ramieniu. - Ruszajmy. Zaprowadzę cię bardziej widowiskową trasą.

Luke zawsze uważał, całkiem nieźle zna Coruscant, ale Calrissiana poprowadził go prawdziwym labiryntem tuneli, korytarzy, przejść, klatek schodowych, chodników i wiszących kładek. Większość z nich Skywalker nigdy nie widział. Co więcej, nawet nie miał pojęcia, że istnieją. Skręcał raz w tę, a raz w tamtą stronę i uświadomił sobie, że każdą chwilą schodzi coraz głębiej do podziemnej części miasta.

Kiedy w końcu Lando osiągnął poziom, na który pragnął dotrzeć, Mistrz Jedi doszedł do wniosku, że znajduje się na głębokości co najmniej dwustu metrów pod powierzchnią gruntu - oczywiście, o ile w przypadku Coruscant można było użyć takiego określenia. Piętrzące się, na powierzchni całej planety wysokościowce były nadbudowane, przebudowywane, burzone i w znoszone na nowo tyle razy, że nikt właściwie nie miał pojęcia, gdzie znajduje się powierzchnia planety. Stawiane na niej budowle zajmowały dosłownie całą wolną przestrzeń. Jedynie gdzieś tam zgromadziło się dość cząstek gleby, by zakorzeniły się w niej wątłe, karłowate rośliny. Trudno byłoby jednak powiedzieć, że rosną na poziomie czegokolwiek w rodzaju „gruntu”. Wyrastały z osłoniętych miejsc, gdzie w ciągu bardzo wielu lat wiatr nawiał tyle kurzu, drobin piasku i okruchów skał, a także szczątków obumarłych roślin i zwierząt, że zabłąkane ziarna, które przygnał z ogrodów urządzonych na wyższych poziomach, znalazły odpowiednie warunki i zapuściły korzenie.

Mimo to Luke mógł być absolutnie pewien, że znaleźli się pod powierzchnią gruntu. Niektóre z przemierzanych przez nich tuneli wykuto w litej granitowej skale.

Miejscami ściany były całkowicie suche, po innych ściekały strumyki mętnej i jakby lepkiej wody, która, zbierając się, na dnie tuneli, tworzyła różnej wielkości kałuże.

Jeżeli Lando naprawdę mieszkał teraz głęboko, Mistrz Jedi nie mógł oprzeć się myśli, że przyjacielowi nie wiedzie się najlepiej. Mieszkanie pod ziemią powszechnie uważano za oznakę biedy, żeby nie powiedzieć nędzy.

Luke bardzo się zmartwił. Doskonale wiedział, jak dużą wagę przywiązuje jego towarzysz do odpowiedniej prezentacji. Zdarzało się, że Calrissian rzeczywiście z trudem wiązał koniec z Konicem, ale nawet wówczas, gdy powodziło mu się trochę gorzej niż źle, robił wszystko, co mógł, żeby wyglądać na zamożnego i zadowolonego z życia. Winna temu była po części próżność a po części duma, jako że obie stanowiły nieodłączne cechy jego charakteru. Chodziło jednak jeszcze o coś, co miało większe znaczenie ze względów praktycznych. Jeżeli nie liczyć wielu innych rzeczy, jakimi się zajmował, Lando zarabiał na życie jako sprzedawca. A który sprzedawca może liczyć, że odniesie sukces, jeżeli nie będzie przywiązywał wagi do wyglądu zewnętrznego?

Tym razem jednak Calrissian wyglądał, jakby wiodło mu się całkiem dobrze - chyba lepiej niż kiedykolwiek od wielu lat. Jeżeli rzeczywiście dopisywało mu takie szczęście, dlaczego zdecydował zamieszkać pod ziemią?

I jeszcze jedno nie dawało Skywalkerowi spokoju. Dlaczego Lando prowadził go do swojego domu tak okrutną drogą? Z pewnością istniała prostsza i krótsza, która pozwoliłaby im dotrzeć tam o wiele szybciej. Czyżby kluczenie i oglądanie się za siebie wynikało po prostu / przyzwyczajenia? W dawnych czasach, kiedy nie powodziło mu się, tak dobrze, Lando często musiał utrzymywać w tajemnicy aktualny adres zamieszkania.

Mimo iż nigdy nic miał na karku ścigających go łowców nagród ze światów połowy galaktyki, jak przydarzyło się kiedyś Hanowi, w ciągu wielu lat narobił sobie różnych wrogów. Czasami nawet najlepsi przyjaciele nie mieli pojęcia, gdzie mieszka ani co porabia. Calrissian wiedział, że najbardziej zaufane osoby mogły być śledzone - czy to przez żywe istoty, czy za pomocą automatycznych nadajników sygnału naprowadzającego. Najwierniejsi kompani mogli śpiewać jak z nut, poddani torturom albo działaniu narkotyków. Rzecz jasna, w obecnych czasach zachowywanie takich środków ostrożności nie miało sensu, ale czasami trudno było pozbyć się wieloletnich przyzwyczajzeń. A poza tym, historia znała wielu byłych przemytników, którzy pozwolili sobie na nieostrożność i zginęli w bardzo młodym wieku. Oni zginęli, a Lando miewał się doskonale. Możliwe też, że śniadoliccy mężczyźni obawiali się, że mógłby zostać rozpoznany przez kogoś z byłych współników albo kompanów. Może więc docieranie do celu okrutną drogą nie było, mimo wszystko, pozbawione sensu?

Podczas marszu Lando nie przestawał wygłaszać nie kończących się monologów. Radośnie paplał na temat wszystkiego, co tylko interesowało go na jakimkolwiek świecie. Opowiadał przyjacielowi, w których spośród wielu kryjących się w podziemiach Coruscant jaskiniach hazardu - legalnych i nielegalnych - istnieją największe szanse wygrania dużej sumy. Uświadamiał go, jakie kolosalne korzyści można odnieść, jeżeli ktoś znajdzie się w odpowiednim miejscu we właściwej chwili. Cieszył się na myśl o tym, ile zarobi, jeżeli organizowana na Korelii konferencja

dotycząca problemów handlu zakończy się podpisaniem stosownego porozumienia. Luke pomyślał, że przynajmniej pod tym względem Lando nie zmienił się ani odrobinę. Były i chyba wieczny hazardzista przywiązywał taką samą wagę do najzwyczajszego zakładu, w którym stawką było marne pięć kredytów, jak do przedsięwzięcia wymagającego zainwestowania pięćdziesięciu milionów. A jeżeli wziąć pod uwagę szczęście, jakie zwykle towarzyszyło mu w przypadku zainwestowania owych pięćdziesięciu milionów, nic dziwnego, że tak bardzo interesowało go również pięć kredytów.

Lando Calrissian słyszał z tego, że prowadził interesy na ogromną skalę, zamierzając dostatnio żyć z zysków, które miały mu przynosić. Zawsze jednak - na ogół nie z jego winy - wszystkie z takim trudem układane plany waliły się w gruzy. Radził sobie doskonale jako administrator Miasta w Chmurach na Bepinie, ale wskutek nieprzewidzianego zbiegu okoliczności musiał z niego uciekać tylko w tym, co akurat miał na sobie. Mniej więcej tak samo zakończyła się przygoda z kopalniami na Nklonie. A potem próba wydobywania błyszczystemu na Kessel... Gdyby nie dopisywało mu wręcz nieprawdopodobne szczęście w grze, chyba nigdy nie pozbierałby się po tych niepowodzeniach i katastrofach.

Teraz zaś wszystko wskazywało na to, że zamierza coś nowego. Jeżeli jednak nie potrzebował od Luke'a pieniędzy ani nie zależało mu na wykorzystywaniu jego sławy do czego, na wszystkie przestworza galaktyki, mógł mu się przydać Mistrz Jedi?

Przeciskali się przez coraz bardziej cuchnące i brudne przejścia. Coraz częściej omijali kałuże zastajej, mętnej wody wydzielającej coraz mniej przyjemne wonie. Niektóre Luke znał, a z innymi, czasami przyprawiającymi go o mdłości, nie tylko nigdy w życiu się nie zetknął, ale nawet nie wyobrażał sobie, aby mogły istnieć.

Wreszcie wędrowka dobiegła końca i obaj przystanęli przed ogromnymi, blasteroodpornymi drzwiami. Lando wcisnął sekwencję cyfr na wtopionej w skalną ścianę małej klawiaturze. Rozległ się basowy pomruk wielkiego ociężałego mechanizmu, a później płyta drzwi powoli, jakby z godnością, schowała się w szczelinie skały.

Mężczyźni znaleźli się na tarasie górującym nad gigantyczną jaskinią. Pomieszczenie miało co najmniej kilometr średnicy i przypominało kamienny cylinder zwieńczony półkulistą kopułą. Zaskoczony Mistrz Jedi stał na pomoście i spoglądał w dół na coś, co wyglądało jak miniaturowe miasto. Widział niskie budynki o kamienistych ścianach, a pomiędzy nimi zieleńce, skwery i niewielkie parki. Jaskinia była jaskrawo oświetlona, powietrze chłodne i przejrzyste, a ulice i chodniki idealnie zadbane i sprzątnięte. Alejki wytyczono między starannie skoszonymi trawnikami, a wewnętrzną powierzchnię półkulistej czaszy pomalowano na kolor ciemnoniebieski - odrobinę jaśniejszy niż granatowy.

- Witaj w Kopułowie - odezwał się, z dumą Calrissian.

- Coś takiego! - zdumiał się Mistrz Jedi. - Jakie to piękne! - dodał, po czym pochylił się nad biegnącym wzdłuż krawędzi tarasu niskim kamiennym murkiem i powiódł wzrokiem po jaskini. - Naprawdę piękne. Niczego takiego się nie spodziewałem.

- No cóż, nasi przedsiębiorcy starali się działać bez rozgłosu - odrzekł Lando. - Nie chcieli, by ktokolwiek o tym wiedział. Jaskinię wydrążono chyba tylko przestworza wiedzą, po co. Nikt także nie ma pojęcia, kto to zrobił i kiedy. Można podejrzewać, że stało się to przed wieloma, bardzo wieloma wiekami. Kiedy ją odkryliśmy, stanowiła składnicę archaicznych, uszkodzonych i rozsypujących się ze starości urządzeń i mechanizmów. Pomiędzy nimi przemykały zmutowane szczury i wiele innych stworzeń, których chyba jeszcze nikt nie widział. Zaczęliśmy od usunięcia złomu i sprzątnięcia, a potem zabraliśmy się do właściwej pracy. Najtrudniejsze okazało się doprowadzenie świeżego powietrza i czystej wody. Później trzeba było zatroszczyć się o bezpieczeństwo i dopiero wówczas mogliśmy przystąpić do wznoszenia domów. Możliwe, że okolica nie należy do najbardziej eleganckich ani luksusowych, ale kogo to obchodzi? Jeżeli chcesz, możesz tu wynająć całkiem przyzwoity apartament za dziesiątą część sumy, którą zapłaciłbyś nieco bliżej powierzchni za udostępnienie prestiżowego schowka na miotłę.

- Jak przypuszczam, byłeś jednym z inwestorów tej budowy? - domyślił się Skywalker.

Lando roześmiał się i klepnął go po ramieniu, a potem poprowadził łagodnie opadającą szeroką rampą wiodącą na samo dno gigantycznej jaskini.

- Nie mylisz się - powiedział, rozglądając się z zadowoleniem. - Dla odmiany postanowiłem zainwestować w coś małego i stanowiącego część tego świata. Zdecydowałem także, że ten jeden jedyny raz nie będę sam finansował całego przedsięwzięcia, ale poszukam współników. I Dlaczego nie miałbym poprzestać na czymś skromnym, jeżeli mogę w ten sposób zbudować całkiem małe, przytulne osiedle mieszkaniowe? Pamiętasz, kiedyś zarządzałem całym miastem. Uwierz mi, administrowanie takim osiedlem jest o wiele łatwiejsze.

- Czyżbyś przestał myśleć w kategoriach przedsięwzięć zakrojonych na szeroką skalę? - zapytał Mistrz Jedi.

Lando popatrzył na niego, ale nie zwolnił kroku. Sprawiał wrażenie zdumionego i może nawet trochę urażonego.

- Nie przestanę o nich nigdy myśleć, Luke'u - powiedział z mocą. - Jeżeli zrezygnujesz z planowania wielkich przedsięwzięć, jakiz jest sens w ogóle planować cokolwiek? Po prostu poczułem się zmęczony i dla odmiany postanowiłem zająć się czymś skromnym i przyziemnym. Możliwe, że standard tego osiedla nie jest wysoki, ale przecież standard to nie wszystko. A poza tym, chyba nikt nie musi wiedzieć, gdzie mieszkam, prawda? Teraz, kiedy budowa została ukończona, wynajmowanie apartamentów przynosi mi niewielki dochód. Wystarczy na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb, a nawet na coś więcej. Najważniejsze jednak, że mam mieszkanie, które mogę uważać za swoją własność. Nie uszkodzą go najpotężniejsze bomby, jakie mogą spaść na planetę. Mój dom jest położony tak głęboko, że mogę czuć się bezpieczny.

- Bezpieczna, pewna inwestycja - przyznał Luke, po czym szeroko uśmiechnął się do przyjaciela.

- Wiem, wiem - odrzekł Calrissian. - Tylko nikomu o tym ani słowa, bo zszargasz mi opinię. Mój dom stoi trochę dalej. Zapraszam do środka.

Pięć minut później obaj odpoczywali w eleganckim, aczkolwiek po spartańsku urządzonej salonie. Było to największe pomieszczenie, ukryte w głębi domu Calrissiana. Mistrz Jedi musiał przyznać, że Lando miał rację, kiedy mówił o dużej przestrzeni. Jedyne najbogatsi spośród bogaczy albo najznakomitsi dostojnicy rządu mogli sobie pozwolić na taki apartament na jednym z najwyższych poziomów Coruscant. Dom został wzniesiony z kamieni - budulca taniego i łatwo dostępnego, kiedy budowało się coś pod powierzchnią gruntu. Granitowe podłogi i ściany miały gładkie, wypolerowane powierzchnie. W przestronnym salonie panowały chłód i cisza a wszystkie inne pomieszczenia były równie wygodne, ciche i duże.

Gospodarz posadził gościa na niskim, luksusowym tapczanie i przyniósł mu coś do picia, a sam usiadł na wykonanym w podobnym stylu miękkim fotelu, który przysunął do tapczanu. Następnie - co stało w jawnej sprzeczności z jego zwyczajami - zaczął mówić o wszystkim z wyjątkiem tego, w jakim celu zaprosił przyjaciela do swojego domu. Co jednak jeszcze dziwniejsze, sprawiał wrażenie, jakby obawiał się przejść do sedna sprawy. Mijała minuta za minutą, a on martwił się, czy w salonie nie jest zbyt chłodno lub za gorąco, czy Luke nie czuje się skrepowany albo czy nie chce, żeby dorzucić mu do szklanki kilka następnych kostek lodu.

W końcu Mistrz Jedi nie wytrzymał. Uznał, że najwyższy czas chociaż trochę ponaglić Calrissiana.

- Posłuchaj, Lando, przecież nie zaprosiłeś mnie do swojego domu tylko po to, żeby dowiedzieć się, ile kostek lodu lubię mieć w szklance - powiedział. - Co właściwie leży ci na sercu.

- No dobrze - westchnął mężczyzna, ale później dłuższy czas milczał i tylko wiercił się na fotelu. Wszystko wskazywało na to, że nawet jeżeli zamierza przejść do rzeczy, pragnie uczynić to stopniowo, powoli. Odstawił szklankę na blat niskiego stolika, po czym pochylił się w stronę Mistrza Jedi i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Chyba trochę skłamałem, kiedy po drodze tutaj opowiadałem ci o historii tego osiedla - zaczął. - Prawda wygląda tak, że jednak przestałem myśleć w kategoriach przedsięwzięć zakrojonych na szeroką skalę... a przynajmniej na razie. Całkowicie poświęciłem się wznoszeniu Kopułowa. Inwestycja była rzeczywiście bezpieczna i pewna, a poza tym potrzebowali kogoś z moimi umiejętnościami. Co więcej, polubiłem tę pracę. Do licha, po tym, jak rozkręciłem tamto przedsięwzięcie na Nkllonie, budowa tego osiedla nie wydawała się pracą, tylko przyjemnością. Tyle razy strzelano do mnie, wysadzano mnie w powietrze, wykopywano i niweczono moje plany, że miałem dość borykania się z takimi kłopotami. A zatem ucieszyłem się, że mogłem poświęcić całą energię budowie Kopułowa. Brałem udział w projektowaniu, sprzątaniu jaskini i wznoszeniu budowli, a nawet nadzorowałem wprowadzanie się lokatorów.

- Nie ma w tym nic złego - zauważył Skywalker. - Dokonałeś naprawę niezwyklej sztuki.

- Owszem - przyznał Lando z niejaką dumą Rozejrzał się po ogromnym salonie, ale chyba potrafił przenikać spojrzeniem kamienne ściany, gdyż wyraźnie miał na myśli całe miasto. - Prawdę powiedziawszy, dokonałem już tej sztuki kiedyś w przeszłości. Później jednak uświadomiłem sobie, że nadal zajmuję się tym samym mimo iż wszystko, co było do zrobienia, zostało ukończone.

- Muszę przyznać, że znów nie rozumiem - zaniepokoił się Mistrz Jedi. - Jakim cudem możesz zajmować się czymś, co zostało ukończone?

Lando ze smutkiem pokiwał głową.

- To proste - powiedział, wyraźnie przygnębiony. - Każdego dnia postępują tak miliony inteligentnych istot w całej galaktyce. Wstają rano i udają się do pracy, gdzie przesuwają kilka dokumentów z lewej strony blatu biurka na prawą. Odbywają parę rozmów przez komunikator, co zajmuje im mniej lub więcej czasu. Później wybierają niebieskawoszary odcień farby, którą trzeba pomalować korytarz, a rezygnują z szarawoniebieskiego, po czym biorą udział w naradzie albo zebraniu i uważają, że na jeden dzień już się napracowali. Wracają do domu, a potem, kiedy nazajutrz znów pojawiają się w pracy, zaczynają wszystko od nowa. Może niektórym to odpowiada, ale mnie nie, więc kiedy uświadomiłem sobie, że postępuję właśnie w taki sposób, doszedłem do przekonania, że najwyższy czas zająć się czymś innym.

- Czym? - zainteresował się Skywalker.

- Nie mam pojęcia przyznał szczerze jego rozmówca. Raptownie rozłożył ręce i pragnąc podkreślić rozczerowanie, wzruszył ramionami. - Prawdę mówiąc, nie to jest w tej chwili najważniejsze. Główny problem polega na tym, z czym mam się zabrać do następnej pracy. Mój ojciec zawsze mówił, że planując cokolwiek, warto myśleć o głębokości własnej kieszeni. Muszę przyznać, iż miał sporo racji. Natychmiast zacząłem przypominać sobie po kolei wszystkie swoje przedsięwzięcia, które zakończyły się spektakularnymi katastrofami. Doszedłem do wniosku, że może powiodłoby mi się lepiej, gdyby moje kieszenie były głębsze, to znaczy wypełnione większymi ilościami kredytów.

Możliwe, że gdybym dysponował odpowiednimi funduszami albo rezerwami, zdołałbym przetrwać trudne czasy i uruchomiłbym na nowo operacje, którymi zajmowałem się na Hespnie i na Nkllonie. Głębokie kieszenie pozwalają sprawować kontrolę nad tym, czym się zajmujesz nawet wówczas, gdy przez jakiś czas twoje przedsięwzięcia przynoszą same straty. Pozwalają przeżyć trudny okres i doczekać chwili, kiedy znów zaczniesz się bogacić. Uświadomiłem sobie zatem, że najważniejsze pytanie brzmi: Gdzie zdobyć pieniądze? Dużo pieniędzy Jak pogłębić własne kieszenie?

- I teraz, kiedy wpadłeś na pomysł, jak to zrobić, pragnąłbyś, żebym ci pomógł, prawda? - domyślił się Luke, nawet nie usiłując ukryć rozbawienia.

- Prawda - odparł Calrissian. - Masz całkowitą rację. Wymyśliłem sposób, żeby moje kieszenie stały się bardzo głębokie i po brzegi wypełnione kredytami, i chcę cię prosić, abyś mi w tym pomógł.

- No cóż - zaczął Mistrz Jedi, trochę poważniejąc. - Jakim cudem zamierzasz dopiąć celu?

- To najprostsza rzecz we wszechświecie - odrzekł Lando. - Ożenię się z bogatą kobietą.

Zapadła chwila głuchej ciszy. Oslupiały Luke wpatrywał się w twarz przyjaciela. Rzadko kto potrafił zaskoczyć Mistrza Jedi, ale śniadolicemu mężczyźnie udało się dokonać tej sztuki.

- Żenisz się? - zapytał Skywalker, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Z kim?

Lando wzruszył ramionami, a potem wybuchnął trochę sztucznym, wymuszonym śmiechem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - wyznał szczerze. - No, może to niezupełnie prawda. Sporządziłem krótką listę kandydatek, ale nie wiem, która zostanie moją żoną. Możliwe nawet, że ową wybranką będzie dama nie figurująca na tej liście.

- Ale... ale... jak chcesz poślubić kogoś, kogo wcale nie znasz?

- Nie liczy się to, kogo poślubię - odparł Calrissian. - Ważne jest, co poślubię. Pieniądze. Zamierzam ożenić się dla pieniędzy. Cóż w tym takiego niezwykłego? Ludzie postępują tak chyba od zarania dziejów. Bogata kobieta może mi przynieść ogromną korzyść - a i ona skorzysta na zawarciu małżeństwa ze mną. W pewnym sensie stanie się jeszcze zamożniejsza.

Luke popatrzył na przyjaciela, jakby starał się przekonać, czy ten nie żartuje. Później, starannie dobierając słowa, zapytał:

- Do czego będę ci potrzebny?

- No cóż, to bardzo delikatna sprawa - zaczął Lando. - Jak z pewnością wiesz, nie jesieni osobą zupełnie nieznaną na niektórych światach galaktyki. Prawdę mówiąc, wielu słyszało o mnie to i owo. Kłopot w tym, że pewni ludzie nie ucieszyli się z tego, co usłyszeli. Zaczęli opowiadać o mnie różne rzeczy. Jedne niezupełnie prawdziwe, a inne wręcz wysane z brudnego palucha. Rozpowszechniali je i teraz na wielu planetach można usłyszeć niestworzone historie na mój temat. Obawiam się, że osoby znające mnie tylko z tych opowiadań mogły wyrobić sobie błędne mniemanie... Więc chciałbym cię prosić, żebyś mi towarzyszył, kiedy wyprawię się na poszukiwanie żony...

- Co takiego? - przerwał mu jeszcze bardziej zdumiony Mistrz Jedi. - Czy właśnie dlatego chciałeś, żebym wybrał się razem z tobą?

Tym razem Calrissian sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Tak. Myślałem, że już ci to mówiłem. Chciałbym, żebyś poleciał ze mną i pomógł mi w poszukiwaniach żony.

- Co miałbym robić? - zapytał Luke. - Przekonywać kolejne kandydatki z twojej listy, że historie, które mogły o tobie usłyszeć, są zupełnie nieprawdziwe? Nie mogę nagiąć prawdy tylko dlatego, żeby pomóc ci w osiągnięciu celu.

- Nie... Oczywiście, że nie możesz - przyznał Calrissian. - Ale przecież się zmieniłem, Luke'u. Co prawda, nie stałem się. Zupełnie innym człowiekiem... nic z tych rzeczy. Zresztą i tak nie zdołałbym przekonać, że to prawda. Ale nie jestem tym samym lekkoduchem, którym może byłem w dawnych czasach. Ustatkowałem się,

spoważniałem... Czy gdybym był taki jak kiedyś potrafiłbym ukończyć budowę tego osiedla?

Potrafiłbyś - pomyślał Skywalker. - Zbudowałbyś je i następnego dnia przegrałbyś w jednym rozdaniu pierwszej lepszej partii sabaka. Na szczęście dla Mistrza Jedi nikt nie zmuszał go do powiedzenia na głos całej prawdy. Tymczasem śniadolicy gospodarz, nie czekając na odpowiedź mówił dalej:

- Nie zamierzam zapierać się tego, co wydarzyło się w przeszłości. Nie warto nawet próbować. A z resztą, gdyby ktokolwiek chciał dowiedzieć się o mnie czegoś więcej, nie miałby z tym najmniejszych problemów. Przecież nie mam nic do ukrycia. - Pochwylił jakiś błysk w oczach gościa i wzruszył ramionami. - No cóż, niewiele. A poza tym, większość kobiet, które chciałbym dowiedzieć, i tak dobrze wie, kim jestem. Kilka jest nawet zachwyconych moją reputacją. Uważają, że to podniecające i romantyczne czy coś takiego Pomyśl, od czego zaczynałem, i porównaj ze wszystkim, co kiedykolwiek osiągnąłem. Jestem dumny ze wszystkiego, czego udało mi się dokonać w życiu.

Lando ponownie popatrzył na przyjaciela, ale zanim Luke zdążył się sprzeciwić, mężczyzna uniósł ręce nad głowę, jakby się poddawał.

- No cóż, może nie jestem dumny ze wszystkich osiągnięć, ale przynajmniej niektórych nie mam się co wstydić.

- Masz prawo odczuwać dumę - zapewnił go Mistrz Jedi. Starał się, żeby jego głos zabrzmiał szczerze. Dokonałeś nie lada wyczynów. Możliwe nawet, że gdyby nie ty, Nowa Republika w ogóle by nie powstała.

- Dziękuję - odrzekł Lando. - Doceniam te. opinię, zwłaszcza, że słyszę, ją od ciebie.

- Czy właśnie dlatego chcesz, żebym ci pomógł? - zapytał Luke. - Mam powtórzyć te słowa wszystkim kandydatkom z twojej listy?

- No, nie-e-e, niezupełnie - odpowiedział jego rozmówca. - Chciałem tylko prosić, żebyś mi towarzyszył. Pomyślałem sobie, że może, jeżeli przylecę, razem z tobą, w oczach przyszłej małżonki stanę się osobą godną większego szacunku... nawet wówczas, jeżeli nie powiesz ani słowa. Kiedy pojawię się w towarzystwie Mistrza Jedi, zainteresowane osoby natychmiast uwierzą w szczerą moich intencji. Pozbędą się podejrzeń i wątpliwości. Wystarczy, że tylko staniesz u mojego boku.

Luke z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Chwileczkę - powiedział. - Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem Chcesz, żebym został twoim przyzwitoikiem?

Calrissian obdarzył przyjaciela chyba najbardziej olśniewającym spośród wszystkich słynnych uśmiechów.

- Dokładnie tak - odparł. Sam nie potrafiłbym tego lepiej ująć. Jeżeli polecisz ze mną, stanę się osobą poważaną. Nikt nie ośmieli się podać w wątpliwość mojej uczciwości.

- A jesteś uczciwy? - zainteresował się Skywalker.

Lando znów sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- W sprawach pieniędzy? - zapytał. - Przecież wiesz, że nigdy nie oszukuję.

- Nie - odparł Skywalker. - W sprawie małżeństwa. Co z kobietą, której okażesz zainteresowanie?

Tym razem śniadolicy mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego.

- Nie rozumiem - powiedział. - Co ma z tym wspólnego kobieta, którą się zainteresuję?

- No cóż, chyba nie podejdziesz do odpowiedniej kandydatki i nie powiesz: „Witam panią, właśnie dowiedziałem się o wysokości pani konta, zawrzyjmy związek małżeński”. Prawda? Czy uważasz, że to wystarczy, aby zapałała chęcią poślubienia ciebie? A co z miłością i romantycznymi chwilami? Co z zaangażowaniem się. dziećmi i innymi problemami, o których zwykle dyskutują przyszli małżonkowie? Z pewnością twoja wybranka zechce się dowiedzieć, co sądzisz o tych wszystkich sprawach.

Przez chwilę Lando wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie. Może naprawdę nigdy nie wyobrażał sobie, aby jakakolwiek kobieta mogła nie chcieć go poślubić.

- Muszę przyznać, że mnie nieco zaskoczyłeś - odezwał się w końcu. Ton jego głosu wskazywał jednak, że mężczyzna nadal nie bardzo wie, co opowiedzieć Prawdopodobnie mówił cokolwiek, byle tylko zyskać więcej czasu. - Chyba jest trochę racji w tym, co powiedziałeś. Nic ukrywam, że nigdy nie zastanawiałem się nad takimi problemami. I chyba nie przemyślałem wszystkiego do końca Pamiętaj jednak, że małżeństwo to nie tylko miłość i bukiet kwiatów. Niektóre związki zawiera się z powodów handlowych, inne z rozsądku, a jeszcze inne, ponieważ w grę wchodzi polityka.

- A poza tym, jeżeli zapomnisz o tych wszystkich romantycznych bzdurach, musisz przyznać, że nie stanowią najgorszej partii. - Wykonał zamaszty gest, jakby chciał objąć nim całą jaskinię. - Jestem właścicielem tego miejsca - nie tylko domu, ale całego Kopolowa - które przynosi mi całkiem spore zyski. Nie muszę korzystać z niczyich pieniędzy, aby utrzymać się przy życiu. Potrzebuję ich, żeby je zainwestować. Poszukuję gotówki, która spoczywa teraz w jakimś banku i nie przynosi właścicielce dużego dochodu. Tylko ja wiem, co zrobić, aby kapitał powiększał się i dawał o wiele większe zyski. Mam spore doświadczenie w organizowaniu przedsięwzięć zakrojonych na wielką skalę, a co więcej, potrafię radzić sobie z ludźmi. W czasie wojny dokonałem paru wyczynów i co tu ukrywać, znam na Coruscant kilka ważnych osób.

- I uważasz, że jeżeli zabierzesz mnie ze sobą, przypomnisz o tych faktach swoim kandydatkom? - domyślił się Skywalker.

- Oczywiście! - odparł Lando, zupełnie nie zbity z tropu tonem głosu Mistrza Jedi.

- Nawet jeżeli nie wypowiesz jednego słowa, będziesz doskonałą reklamą mojego nowego przedsięwzięcia.

- Rozumiem. No cóż, kogo zatem masz na swojej liście - zapytał Luke, tym razem nawet nie usiłując ukryć uśmiechu.

- Całkiem sporo kandydatek - odparł Lando rzeczowym, beznamiętnym tonem. Sprawiał wrażenie sprzedawcy robiącego wszystko, co może, byle tylko jego towary wywarły jak najlepsze wrażenie. - Rzecz jasna, musiałem najpierw przeszukać wiele komputerowych

baz danych, aby wybrać z nich to, co mnie interesowało. Rozumiesz jednak, że nie

mogłem ograniczyć poszukiwań wyłącznie do komputerów. W ich pamięciach nie zapisano wszystkiego. Prawdę mówiąc, nie można znaleźć w nich większości potrzebnych informacji. Musiałem zatem zajmować się zbieraniem plotek, zapoznawać się z raportami z pozaplanetarnych dzienników i biuletynów, spędzać czas na rozmowach z kapitanami gwiazdnych statków i tak dalej, i tak dalej.

- Czyli prowadziłeś badania rynku dokładnie tak samo jak uczyniłbyś, przygotowując się do wprowadzenia nowego produktu? - odpowiedział Luke.

Lando nie zrozumiał dowcipu ani nie zwrócił uwagi na ironię przebijającą ze słów Mistrza Jedi.

- Właśnie - przyznał najpoważniej w świecie. - Postępowałem jak prawdziwy przedsiębiorca. I zakończyłem poszukiwania, kiedy na mojej liście znalazło się; blisko dwieście pięćdziesiąt kandydatek.

- Dwieście pięćdziesiąt? - niemal krzyknął Skywalker.

- Zgadza się - rzekł Calrissian. Wyciągnął z kieszeni tuniki przenośny notatnik komputerowy. - Mam wszystkie tu, zapisane w pamięci.

- Posłuchaj, Lando, nie mogę towarzyszyć ci podczas odwiedzin wszystkich dwustu pięćdziesięciu kobiet!

Jeszcze zanim skończył to mówić, uświadomił sobie, że dał się wciągnąć w pułapkę, którą zastawił na niego Lando - słynny na całą galaktykę artysta-oszust i przedsiębiorca. Najpierw dał Mistrzowi Jedi do zrozumienia, że liczba kandydatek nie przekracza kilku, a w każdym razie jest niższa niż ta, którą Luke zgodziłby się zaakceptować. Właściwie Skywalker w ogóle nie zamierzał na to przystać, ale teraz było za późno. Pozostawało jedynie wyklócić się o liczbę kobiet, które zgodzi się odwiedzić.

- Och, nie oczekują, że polecisz ze mną do wszystkich - ciągnął Lando z taką samą powagą, chociaż jakby z większym entuzjazmem niż poprzednio. - Prawdę mówiąc, sam nie zamierzałem odwiedzić aż tylu. Dlatego ułożyłem listę i uszeregowałem na niej kandydatki w odpowiedniej kolejności. Mam nadzieję, że nie będę musiał składać wizyt więcej niż pięciu albo dziesięciu najbardziej pożądanym.

- Pięciu albo dziesięciu najbardziej pożądanym, hmmm? - powtórzył Skywalker.

- Zgadza się. Oczywiście jeżeli wcześniej znajdę odpowiednią, zaprzestane dalszych poszukiwań. Może dopisze nam... mi... szczęście już za pierwszym razem?

Luke sięgnął po szklanekę z orzeźwiająjącym napojem.

- A więc kto jest pierwszy na liście twoich kandydatek? - zapytał, unosząc szklaneczkę do ust. - Dokąd zabierzesz mnie w pierwszą podróż?

- Do młodej damy nazywającej się Tendra Risant - odparł Lando. - Może kiedyś o niej słyszałeś?

- Nie - przyznał Luke. - Czy znasz jakiś powód, dla którego powinienem?

- Raczej nie. Kobieta pracuje jako urzędniczka czy funkcjonariuszka na Sakorii, jednej z planet na obrzeżach systemu Korelii jest najzamożniejsza w porównaniu z innymi, znajdującymi się na dalszych miejscach listy, ale wystarczająco bogata, by w ogóle się nią interesować. Na uwagę zasługują także członkowie jej rodziny. Mają

powiązania ze wszystkimi ważnymi osobistościami sektora Korelii, a to może znaczyć dla odpowiedniego gościa nawet więcej niż pieniądze.

- Dla gościa takiego jak ty - domyślił się Mistrz Jedi.

Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Zgadza się, dla gościa takiego jak ja przyznał, zupełnie nie speszony.

- Kto następny? - zapytał Skywalker.

- Zaraz ci powiem - odparł jego rozmówca, po czym zerknął na wyświetlacz notatnika. - Niejaka Condren Foreck z Azbrianu. Może trochę za młoda, ale to jej ojciec jest w zaawansowanym, żeby nie powiedzieć podeszłym wieku.

- Co to ma do rzeczy? - zdziwił się Mistrz Jedi.

- Daj spokój, Luke'u - odrzekł Lando. - Pomyśl chwilę, to sam zgadniesz. Jeżeli mam poślubić kobietę, która odziedziczy rodzinny majątek, muszę mieć na uwadze liczbę lat, które mogą upłynąć, zanim będę mógł nim dysponować.

Przez kilka chwil spoglądał na ekran miniaturowego urządzenia i zapoznawał się ze szczegółowymi informacjami.

- Mimo to - ciągnął - jej starszek jest tak bogaty, że opłaca się czekać. A poza tym, panna Condren także nie może narzekać na brak gotówki. Otrzymuje spore sumy z tytułu zarządzania rozmaitymi funduszami powierniczymi. Zupełnie niezła perspektywa. Hmmm... Mam nadzieję, że cieszy się dobrym zdrowiem. Z moich danych wynika, że jest słynną lekkoatletką na swoim świecie. Rzecz jasna, może być i tak, że wszystkie medale, puchary i dyplomy kupuje jej zamożny tata. W takich sprawach nigdy nie można mieć pewności.

Luke nawet nie usiłował udawać, że cokolwiek rozumie z trajkotania Calrissiana. Możliwe, że śniadoliczy przyjaciel chciał poślubić kandydatkę, licząc na to, iż żona uczyni go jedynym spadkobiercą wszystkiego, co posiada, zanim umrze w bardzo młodym wieku. A może pragnął mieć młodą i zdrową żonę? Może spodziewał się, że małżonka pożyje dłużej niż jej ojciec i przez cały czas trwania związku będzie dysponować odsetkami od kapitału zgromadzonego na tych wszystkich funduszach powierniczych?

- No dobrze - odezwał się, kiedy przyjaciel dał mu dojsć do słowa. - Kto następny na liście?

- Kobieta, od której zamierzam rozpocząć poszukiwania - oznajmił Calrissian. - Mało prawdopodobne, aby to właśnie ona została moją żoną, ale jej świat muszę minąć, kiedy polecę do sektora Korelii. Nie wiem, czy ci mówiłem, ale chciałbym wziąć udział w końcowej fazie konferencji poświęconej problemom międzyplanetarnego handlu, aby zapoznać się z treścią, zawartego porozumienia.

- A zatem, kim jest owa trzecia kandydatka? - przypomniał mu Mistrz Jedi.

Lando ponownie zerknął do komputerowego notatnika.

- Niejaka Karia Ver Seryan - odparł po chwili. - Mieszka na planecie Leria Kerlsil. Nie jest młoda, a przynajmniej najpiękniejsze lata ma już za sobą. Poza tym jest wdową. Jej mąż nazywał się Chantu Solk. Był całkiem sprytnym gościem i, prawdę powiedziawszy, kiedyś nawet go poznałem. Zajmował się handlem gwiazdowymi statkami. Zbił majątek, ponieważ wiedział, po której stronie się opowiedzieć podczas

wojny przeciwko Imperium, a powiększył go, gdyż wyczuł, kiedy zmienić front i stanąć po przeciwnej stronie. Karia wyszła za niego przed mniej więcej ośmioma laty, ale mężczyzna zmarł zaledwie trzy lata po ślubie. Oczywiście wszystko, czego się dorobił, pozostawił żonie. Niewiele więcej o niej wiem, ale z tego, co mam zapisane w notatniku, wynika, że teraz, kiedy ma tyle gotówki, właściwie niczym się nie zajmuje. Domyślam się, że lepiej radzi sobie z wydawaniem niż z zarabianiem.

Skywalker bez trudu wyrobił sobie opinię o Karii Ver Seryan, a opinia ta nie była najbardziej pochlebna, by nie użyć dosadniejszego określenia.

- I naprawdę chcesz ją poślubić? - zapytał.

- Naprawdę. Pod warunkiem, że istotnie jest taka bogata. Zostawiłbym ją w spokoju, ale zainwestowałbym jej pieniądze w coś, co przynosiłoby spore zyski, a ona pozostawiłaby w spokoju mnie i miałyby pieniądze na życie i drobne wydatki. Prawdę mówiąc, miałyby ich więcej niż przed ślubem.

Lando znów zerknął na wyświetlacz notatnika i kilka chwil spędził, zapoznając się z danymi dotyczącymi następnymi kandydatek.

- W pierwszej piątce mam jeszcze Derę Jynsol z Ord Pardronu i... O, o! Tak, niejaką lady Lapemę Phonstom z Kabalu. A po nich kolejne i tak aż do końca listy. Na razie jednak nie zamierzam zaprzętać sobie nimi głowy. Najpierw chciałbym się, zając pierwszymi trzema.

- Lando, twoje słowa sprawiają, że krew w moich żyłach zamienia się w bryłę lodu.

- Daj spokój, Luke'u. Od kiedy żyjesz na tym świecie? Prawdziwym motorem wszystkich poczynań są pieniądze. Od najdawniejszych czasów ludzie traktują małżeństwa jak umowy pomiędzy partnerami albo transakcje handlowe. Jedyna różnica polega na tym, że ja nawet nie staram się ukrywać prawdy za osłoną czułych słówek. Nie udaję, że żenię się z wybranką serca, a ona później, przez przypadek, okaże się najzamożniejszą kobietą, która zechciała mnie za męża.

- Przecież to coś okropnego, bezdusznego - zachnął się Skywalker. - Nie szukasz towarzyszkę życia, ale kobiety nadającej się, do wykorzystania. Zachowujesz się, jakbyś pragnął kupić okazynie śmigacz.

- Właśnie tak załatwia się te sprawy na większości światów - odciął się Calrissian.

- Przyszłych małżonków nie bardzo interesuje prawdziwa miłość. Najczęściej zależy im na tym, żeby ich związek przetrwał próbę czasu. A poza tym dama, o której ci wspominałem, także rozgląda się za okazją do ubicia dobrego interesu. Najlepszy zaś polega na tym, żeby obie strony otrzymały to, czego pragną. Zaręczam ci, że jeżeli chodzi o mnie, na niczym innym mi nie zależy. Byle tylko interes okazał się zyskowny.

- I naprawdę uważasz, że którakolwiek z tych kobiet zechce cię poślubić?

- A dlaczego nie? - zapytał Lando. - Ja również nie zamierzam od razu dobijać targu. Prawdę mówiąc, ta wyprawa ma być tylko czymś w rodzaju rozpoznania. - Uniósł i obrócił notatnik komputerowy w taki sposób, aby Luke mógł rzucić okiem na wyświetlacz. Dobrze wiem, że niektóre spośród tych danych są przestarzałe, niekompletne albo po prostu nieprawdziwe. Dlatego muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Chciałbym obejrzeć kilka kandydatek i dać im okazję do zapoznania się ze mną.

- Czyżby twoje kandydatki wiedziały, że je odwiedzisz? - zapytał coraz bardziej zdumiony Mistrz Jedi.

- Oczywiście - oświadczył jego rozmówca. - Wiedzą też, iż nie zamierzam wdawać się w szczegółowe negocjacje. Oznajmiłem każdej, że pragnę przylecieć i tylko zapoznać się z sytuacją. Dam im znać później, jeżeli będę zainteresowany.

- I zgodziły się? - zapytał Skywalker.

Lando wzruszył ramionami.

- Wiele odmówiło. - Ponownie uczynił zamaszysty gest notatnikiem. Te, które tu widzisz, wyraziły zgodę. - Tym razem położył urządzenie na tapczanie obok przyjaciela, a potem popatrzył mu prosto w oczy. - Co sądzisz o tym wszystkim? - zapytał. - Zechcesz mi towarzyszyć? Chciałbym mieć u boku kogoś, kto mnie powstrzyma, kiedy uzna, że pakuję się w tarapaty. A poza tym, dobrze ci zrobi, jeżeli na pewien czas opuścisz swój dom na księżycu porośniętym dżunglą. Odprężysz się, poznasz nowe światy i rozwinięsz jeszcze szerzej skrzydła.

Luke zaważał się, zanim odpowiedział. Mimo iż nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą, kusiło go, żeby spełnić prośbę przyjaciela. Rzeczywiście, przebywając od jakiegoś czasu na Coruscant, czuł się jak zamknięty w kojcu albo w klatce. Co więcej, oryginalna propozycja Calrissiana intrygowała go i podniecała. Jak, u licha, Lando sobie poradzi? Mistrz Jedi nie mógł zaprzeczyć, że trzeba było mieć nie lada tupet, żeby latać po galaktyce i bezwstydnie poszukiwać bogatej żony. Dlaczego Mon Mothma tak nalegała, żeby towarzyszył Calrissianowi w tych wyprawach?

- Ile kobiet mam ci pomóc odwiedzić? - spytał Luke, starając się zachować resztki ostrożności.

- Pierwsze dziesięć z listy - odparł Lando, może trochę, za szybko, jakby od dawna spodziewał się tego pytania. - Myślę, że na początek wystarczy. Rozniesie się wieść, że podróżuję w towarzystwie wielkiego Mistrza Jedi. Nawet jeżeli nie zechcesz zostać ze mną dłużej, sam fakt, iż poświęciłeś mi aż tyle czasu, powinien poprawić moją wiarygodność i w znaczący sposób zwiększyć szanse.

- Trzy - zaproponował Skywalker, chociaż, zdawał sobie sprawę, że nie ma mowy, aby przyjaciel zgodził się na tak małą liczbę.

- Osiem - odrzekł natychmiast Lando.

- Cztery - oświadczył stanowczo Mistrz Jedi.

- Daj spokój, Luke'u. Przez pamięć dawnych czasów. Chociaż sześć.

- No cóż... Pięć. To moje ostatnie słowo.

Na twarzy śniadego mężczyzny pojawił się szeroki, triumfujący uśmiech.

- Wspaniale! Znakomicie! Doskonale!

Lando wyciągnął rękę, a Luke uściśnął jego dłoń, aczkolwiek z pewnymi oporami. Dobrze wiedział, że przyjaciel od samego początku nie liczył na to, aby udało mu się namówić Mistrza Jedi do towarzyszenia mu w więcej niż pięciu absurdalnych wyprawach. Ale targował się, aby owa piątka wydawała się wielkim kompromisem... osiągniętym kosztem ogromnych wyrzeczeń i poświęceń. Zachowywał się tak, jakby to nie Luke wyświadczał mu przysługę.

- A zatem - zapytał - kiedy możesz polecieć na pierwszą wyprawę?

Luke wstał i nieobowiązuco wzruszył ramionami.

- Może jutro rano? - zaproponował bez większego przekonania. Mon Mothma chyba się nie myliła, kiedy uświadomiła mu, że właściwie nic nie trzyma go na Coruscant. Możliwe nawet, że utrafiła w samo sedno. Może kilka wypraw w przestworza rzeczywiście poprawi jego samopoczucie. Zapewne Mistrz Jedi powinien wziąć udział w jakiejś akcji. Tyle że trudno byłoby uznać towarzyszenie Calrissianowi w charakterze przyzwoitka za udział jakiegokolwiek akcji.

- Doskonale, doskonale - oświadczył Lando. Wyciągnął z kieszeni tuniki świstek flimsiplatu. - Tu masz zapisany adres lądowiska, na którym spoczywa moja „Ślicznotka”. To na południe od doków Windward. Znasz to miejsce?

- Oczywiście - odparł Luke i wyciągnął rękę po kartkę. - Przecież korzystałem z niego, ilekroć odwiedzałem Coruscant.

- To dobrze. A zatem, zobaczymy się jutro rano po śniadaniu?

Przez kilka chwil Luke walczył z pokusą, aby nie zgodzić się na zaproponowany termin... dla zasady, żeby nie poddawać się bez walki. Doszedł jednak do wniosku, że nie miałoby to większego sensu. Lando, który zwabił go w bardzo pomysłowo zastawioną pułapkę, już uzyskał od Mistrza Jedi obietnicę towarzyszenia w podróży. Niewykluczone, że teraz wcale nie zamierzał spieszyć się ze startem. Mógł czekać dzień czy dwa, a nawet trzy; mógł także lecieć jeszcze tego dnia wieczorem. Bez wątplenia „Ślicznotka” była gotowa do startu o każdej porze - na wypadek, gdyby Mistrz Jedi chciał wyruszyć jak najszybciej. Nie, Lando przygotował się na każdą ewentualność. Z jego pułapki nie było wyjścia. Ociąganie się albo próby uzyskania jakichkolwiek ustępstw były skazane z góry na niepowodzenie.

- Do zobaczenia na lądowisku - powiedział Luke, a potem jeszcze raz wyciągnął rękę.

Calrissian wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, po czym z jeszcze większym entuzjazmem potrząsnął dłonią przyjaciela.

- Przekonasz się, że nie pożałujesz - obiecał.

Lando udzielił Luke'owi szczegółowych wskazówek, jak dotrzeć do najwyższych poziomów miasta. Rzecz jasna, Mistrz Jedi zapamiętał wszystkie w tej samej chwili, kiedy je usłyszał, ale nie zamierzał postępować zgodnie z żadnymi instrukcjami. Postanowił, że obierze własną drogę, po czym nie zastanawiając się nad tym ani chwili dłużej, ruszył z powrotem. Korzystał z łączących podziemne poziomy obskurnych skrótów, wykonanych przez nieznaną budowniczych tak dawno, że zaginęła o nich chyba wszelka pamięć. Kiedy dotarł do najniższych partii miasta, ujrzał wspaniałe zanki, olśniewające promenady i wysmukłe wieże. Przemykając cicho jak duch nawet najniebezpieczniejszymi zaułkami, nie musiał oglądać się za siebie ani niczego się obawiać. Chyba niewiele istot mieszkających na Coruscant ośmieliłoby się zaczepić Mistrza Jedi, a jeszcze mniej potrafiłoby podejść do niego tak cicho, aby Luke nie zdołał ich usłyszeć, zanim rzucą się do ataku. Mógł chodzić bez obaw, że ktokolwiek zechce go niepokoić.

A zatem chodził, ale nie zwracał uwagi na to, którądy. Tej nocy nawet nie potrafiłby powiedzieć, czy przemierzał cuchnące mroczne tunele, czy szerokie esplanady. Myślami błądził zupełnie gdzie indziej. Rozmyślał o radach udzielonych mu przez Mon Mothmę. Wspominał siostrę, i jej rodzinę, którzy wyprawili się na wakacje. Zdumiewał się tupetem i bezczelnością Calrissiana. Podziwiał ogrom miasta i porównywał go z rozmiarami galaktyki.

Mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie potrafi myśleć o niczym i o nikim innym poza śniadolicym przyjacielem. Lando stanowił dla niego prawdziwą zagadkę. Nie dysponował absolutnie niczym, czego Luke mógłby potrzebować, a jednak dopiął swego i namówił Mistrza Jedi do udziału w tej bezsensownej eskapadzie. Zdumiewające! Luke władał mocami, które pozwalały mu zaglądać do umysłów innych ludzi. Siłą myśli potrafił unieść w powietrze cały gwiazdny statek. A jednak Lando zdołał określić go wokół palca jak cienką nitkę.

Luke uśmiechnął się do własnych myśli i stwierdził, że oto stoi przed drzwiami swojego mieszkania. Nie mógł żywić najmniejszych wątpliwości. Niektórzy ludzie, mimo iż nie mogli liczyć na jakiegokolwiek wsparcie ze strony Mocy, umieli doskonale radzić sobie w najrozmaitszych sytuacjach.

R O Z D Z I A Ł

8

POWRÓT DO DOMU

W rodzime Hana Solo rzadko panowały spokój i cisza. Tym bardziej nie należało oczekiwać, że zapanują, kiedy wszyscy jej członkowie tłoczyli się, zamknięci w ciasnych pomieszczeniach frachtowca. Mimo to, chociaż od startu z Coruscant upłynęły całe dwie doby, sytuacja pod tym względem wcale nie wyglądała najgorzej. Rzecz jasna, miały miejsce dwie doby, sytuacja pod tym względem wcale nie wyglądała najgorzej. Rzecz jasna, miały miejsce dwie albo trzy niegroźne sprzeczki i trochę bardziej niż zwykle marudzono podczas układania się do snu pierwszej nocy, ale Leia musiała przyznać, że dzieci Hana zachowują się o wiele grzeczniej niż się spodziewała.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Bez wątpienia hołdowała zwyczajowi, zgodnie z którym postępowały chyba wszystkie inne matki w całej galaktyce. Ilekroć jej pociechy zachowywały się poprawnie, myślała o nich jako o swoich dzieciach. Kiedy zaś stawały się nieznośne albo tylko zachodziła obawa, że mogą sprawić kłopoty, nazywała je dziećmi Hana.

No cóż, w tej chwili czuła się naprawdę szczęśliwa. Mogła przyznać się do tego, że jest ich matką. Doprawdy, trudno byłoby sobie wyobrazić, aby czyjekolwiek pociechy mogły zachowywać się grzeczniej niż Jacen, Jaina i Anakin.

Podróżowali już dwa dni i minęła pora kolacji, a do lądowania na Korelii pozostawały następne dwa. Oczywiście lekki frachtowiec mógłby pokonać tę trasę o wiele szybciej, ale w czasie tej podróży nikomu nie zależało na oszałamiających prędkościach. Leia przekonała Hana, że nie powinien ustanawiać żadnych rekordów. Uważała, iż lepiej dolecieć dzień czy dwa później niż nie dolecieć w ogóle z powodu przeciążenia jednostki napędu nadświetlnego i spalania jakiejś zwojnicy albo czegoś innego. Przynajmniej ten jeden raz Han nie dał się długo przekonywać. Prawdopodobnie czuł, że obchodzenie się ze statkiem jak z niemowlęciem z pewnością nie będzie niczym niewłaściwym.

Na pokładzie panował taki spokój, że Leia zaczynała się zastanawiać, czy na pewno podróżuje w towarzystwie właściwej rodziny. Wszystko, co pozostało po

kolacji, zostało uprzątnięte. Przy stole siedział Chewie i rozłożywszy różne narzędzia naprawiał uszkodzony moduł jakiegoś urządzenia. Mały Anakin przyglądał się pracy Wookiego z niesłabnącym zainteresowaniem. Od czasu do czasu rzucał półgłosem jakąś uwagę i pokazywał ten lub inny element czy podzespół we wnętrzu modułu. Chewbacca chyba traktował uwagi chłopca bardzo poważnie albo tylko przejawiał wyjątkową cierpliwość. Komuś, kto dobrze znał porośniętą sierścią istotę, i jedno, i drugie wydawało się równie mało prawdopodobne.

Bliźnięta leżały rozciągnięte jak długie na podłodze i coś czytały. Leia przypominała sobie natychmiast, że teraz, kiedy lecą statkiem, podłoga nazywa się pokładem.

Han siedział w części rufowej pomieszczenia przed pomocniczym terminalem, zajęty sprawdzaniem jakichś obwodów albo podzespółów „Sokoła”. Zapewne nie musiał tego robić, tylko po prostu bawił się jedną z części największej i najciekawszej zabawki, jaką znał wszechświat... gwiazdowego statku. Sprawiał wrażenie uszczęśliwionego i odprężonego. Leia już dawno nie widziała go w tak dobrym humorze.

Usiadła przy przeciwległym krańcu stołu, z daleka od Chewiego i Anakina. Wyglądała na to, że również zajmuje się czytaniem. Czasami spędzała w ten sposób wolny czas, kiedy przebywała w domu. Wyciągała się wówczas na łóżku i zamiast po nudny szczegółowy raport, sięgała po ciekawą książkę. Od dawna cieszyła się na myśl o tej wyprawie. Właściwie nie robiła nic więcej, tylko siedziała, opromieniona blaskiem macierzyństwa. Rozkoszowała się widokiem pozostałych członków rodziny - męża i dzieci - przebywających blisko niej, bezpiecznych, zdrowych, pogodnych i zadowolonych, że wszyscy są znów razem.

- Jak tam jest, tato? - odezwała się w pewnej chwili Jaina.

Uniosła głowę znad książki i popatrzyła na Hana. Panująca nie zachęcała do rozmowy, ale widocznie dziewczynka pragnęła czegoś się dowiedzieć.

- Jak jest gdzie, księżniczko? - spytał Han, obracając się razem z fotelem.

- Na Korelii. Powiedz mi. Ciągłe słyszę, jacy wszyscy są podnieceni, że tam lecą, ale nikt nie mówi niczego na temat samej planety.

Jaina wstała i podeszła do ojca.

Przez chwilę Han wyglądał, jakby miał wybuchnąć i Leia popatrzyła na niego z niepokojem. Jej mąż rzadko mówił o rodzinnym świecie, a jeszcze rzadziej opowiadał o warunkach życia w sektorze korelianskim. Przez wiele lat Leia musiała powściągać ciekawość. Aż do dzisiaj. Dzisiaj Han musi coś powiedzieć.

- No cóż - odezwał się z namysłem Solo, jakby zastanawiał się, od czego zacząć. - To niezwykła planeta. I bardzo ciekawa.

- I mieszkałeś na niej, kiedy byłeś dzieckiem? - zapytała Jaina, wspinając się na kolana taty. Jacen pozostał na pokładzie, ale usiadł i skrzyżował nogi. Za to Anakin postanowił wziąć przykład z siostry. Zeskoczył z fotela, na którym siedział obok Chewiego, obszedł stół i usiadł na kolanach Leii. Doskonale orientował się, kiedy nadchodzi pora opowiadania ciekawych historii.

- Zgadza się. Mieszkalem tam - odparł Han tonem, którego używał, ilekroć opowiadał pociechom różne bajki. - To piękna planeta. Jedyny kłopot w tym, że wiele nazw brzmi lak samo albo bardzo podobnie i zdarza się, że przybysze bywają trochę zdezorientowani. Tymczasem Kordianie nie mają z tym żadnych problemów. A skoro ja urodziłem się na Korelii, wy zaś jesteście moimi dziećmi, oznacza to, że wy także możecie uważać się za Korelian. A zatem, słuchajcie bardzo uważnie i nie popełniajcie błędów, ponieważ w przeciwnym razie przyniesiecie mi dużo wstydu. Zrozumieliście?

Jaina zachichotała, a Jacen lekko się uśmiechnął. Anakin poważnie kiwnął głową.

- No cóż, do sektora koreliańskiego należy kilkanaście systemów gwiazdnych, ale najważniejszy jest system koreliański. A najważniejszą planetą w systemie korelianskim - rzecz jasna, stanowiącym część koreliańskiego sektora - jest Korelia. Największym miastem Korelii jest stolica, Koronet. Moja rodzinna planeta krąży wokół gwiazdy zwanej Korelem i właśnie od niej biorą się wszystkie inne nazwy... planety, systemu i całego sektora. Nikt jednak nie używa nazwy Korel. Wszyscy robią to, co inni chyba w całym wszechświecie, czyli nazywają gwiazdę po prostu Słońcem. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek mówił o niej inaczej.

- Uhm... - mruknęła Jaina.

- To dobrze. Za chwilę opowiem wam o samej Korelii, ale najpierw chcę, żebyście wiedzieli coś więcej o samym systemie. Najdziwniejszą jego cechą jest fakt, iż ma kilka zamieszkałych planet. Bardzo rzadko jakąś gwiazdę okrąża jedna planeta nadająca się do zasiedlenia przez ludzi, a już wyjątkowo rzadko wokół jakiegoś słońca krąży więcej niż jedna. Tymczasem system koreliański jest bardzo niezwykły, ponieważ ma aż pięć zamieszkałych planet, które nazywamy Pięcioma Braćmi. Prawdę mówiąc, od wielu pokoleń wszystkie pięć miało ze sobą tyle wspólnego, że właściwie nigdy nie uważaliśmy ich za pięć odrębnych światów. Zawsze tworzyły coś w rodzaju rodziny... takiej jak ta, której członkiem jesteś ty, Jacen i Anakina. Mimo to najwięcej ludzi mieszka na Korelii; tam również wzniesiono największe miasta. Dlatego nazywamy ją Starszym Bratem, a czasami po prostu Najstarszakiem,

- Ale dlaczego system ma aż pięć zamieszkałych planet? - zainteresował się Jacen.

- Dobrze pytanie - pochwalił go ojciec. - Naukowcy nie wiedzą, co o tym sądzić. Orby planet przebiegają bardzo blisko siebie i mają dziwaczne kształty, w związku z czym niektórzy badacze uważają, iż cały system gwiazdny powstał w sposób sztuczny. Twierdzą, że bardzo, bardzo dawno temu ktoś go stworzył.

- Super! - wykrzyknął chłopiec. - Ktoś stworzył cały system gwiazdny!

- No cóż, niektórzy właśnie tak uważają - przyznał Han. - Inni badacze utrzymują jednak, że to coś niedorzecznego. Dokonali skomplikowanych obliczeń i doszli do wniosku, że system mógł powstać sam z siebie. Jedno jest pewne. Jeżeli ktoś w jakimkolwiek celu umieścił Pięciu Braci na orbitach, musiał uczynić to u samego zarania dziejów. Co najmniej przed tysiącem pokoleń; jeszcze zanim zaczęła powstawać Stara Republika.

Musicie także wiedzieć, że sektor koreliański zamieszkują nie tylko ludzie. Oprócz nich żyją tam także Selonianie i Dralowie. Jest ich całkiem sporo, a są przecież także

jeszcze inne istoty. A przynajmniej były... Prawdę mówiąc, nie bardzo wiemy, czy nadal tam żyją.

- Dlaczego nie? - zapytał Jacen.

- No cóż, to delikatna sprawa - wtrąciła Leia. - Dysponujemy wieloma informacjami na temat tego, co dzieje się na Korelii, ale wszystkie mają charakter ogólny. Brak więc jasności, jeżeli chodzi o szczegóły. To tak, jak gdyby ktoś słyszał, że wy bliźnięta, się kochacie, ale nie wiedział nic więcej. Nie miałby pojęcia, co myśleć, gdyby ujrzał, jak się kłócicie czy bijecie - by po następnych dwóch minutach zgodnie zasiąść do zabawy. W ogólnym zarysie wiemy, co dzieje się w sektorze, ale nikt nie powiedział nam, jak wygląda podłoże tych wydarzeń. I dlatego nie potrafimy rozstrzygnąć, które szczegóły są naprawdę ważne, a które nie mają żadnego znaczenia.

- Nawet w dawnych czasach, kiedy ktoś usiłował badać Korelię, musiał wyciągać wnioski z innych faktów albo po prostu zgadywać - dodał Han. - Kordianie zawsze mieli zwyczaj zamykać się w sobie i nie martwić o to, co dzieje się poza ich sektorem. Nie zapominaj także, że połowa galaktyki wciąż jeszcze leczy rany zadane w czasie zmagania między Sojuszem a Imperium. Prawdopodobnie Korelia odniosła ich nie mniej niż pozostałe światy. Mimo to mieszkańcy planety nie lubią publicznie prac swoich brudów. Może zatem przekonamy się, że Korelia jest zadbana i piękna jak wówczas, kiedy na niej mieszkalem, możliwe zaś, że stwierdzimy, iż przypomina pustkowia, a obywatela, usiłując rozwiązać problemy, jakie sami stworzyli, kłócąc się albo toczą wojny.

- Nie chcę mieszkać na planecie wyglądającej jak pustynia - odezwał się Jacen.

- Może przyniosłoby ci to jakąś korzyść - zauważył jego ojciec. - Twoja mama i ja uważamy, że dobrze ci zrobi, jeżeli zobaczysz, jak bardzo warunki życia na innych światach różnią się od tych, do których jesteś przyzwyczajony na Coruscant. Powinieneś dowiedzieć się, jak sobie radzi połowa ludzi zamieszkujących tę galaktykę. Przecież niedawno właśnie tak żyli twoi rodzice.

- Byliście oboje biedni i głodni?

- No cóż, ja byłem zawsze - przyznał Han. - A twoja mama... cóż, podczas wojny straciła wszystko, co miała.

To zbyt łagodne określenie - pomyślała Leia. - Imperium unicestwiło jej rodzinny świat, nie kierując się niczym innym poza chęcią zastraszenia wszystkich pozostałych niepokornych światów galaktyki.

- A teraz opowiem wam o Dralach i Selonianach - ciągnął Han.

- Dorosły Dral jest mniej więcej twojego wzrostu, Jacenie, ale bardziej atletycznie zbudowany. Istoty mają po dwie krótkie ręce i dwie krótkie nogi w tych miejscach, gdzie wyrastają kończyny ludzi. Są porośnięte krótką brązową, czarną, siwą, a czasami rudą sierścią. Wyglądają jak szczuplejsi i wyżsi Ewoki, ale mają inne głowy. Bardziej zaokrąglone i... och, chyba z ich oczu przebija wyższa inteligencja, a przynajmniej tak się wydaje ludziom. Twarz przypomina wydłużony pysk, a uszy, zamiast sterczeć, przylegają do głowy. Dralowie są bardzo wrażliwi, szczególnie na punkcie honoru i godności. Spodziewają się, że wszyscy będą ich traktowali z szacunkiem. Czy to rozumiecie?

Hann popatrzył po kolei na wszystkie dzieci i zaczął, aż każde kiwnie głową.

- To dobrze - ciągnął po chwili. - Jeżeli chodzi o Selonian, nie muszę was ostrzegać, żebyście traktowali ich poważnie, ponieważ sami nie zechcecie traktować ich inaczej pięć sekund po tym, jak zobaczycie pierwszego. Przeciętny osobnik płci męskiej jest wyższy niż ja o kilka centymetrów. Większość ludzi uważa, że Selonianie wyglądają dystyngowanie. Mają dwie nogi, jak ludzie i Dralowie, ale ich ciała są dłuższe i szczupłidzięki czemu istoty mogą chodzić na czworakach, jeżeli zapragną. Prawdopodobnie ich przodkami były ruchliwe, zwinne wodne ssaki. Ciała istot są porośnięte lśniącą krótką sierścią, a wydłużone i spiczasto zakończone pyski zdobią szpeciniaste bokobrody. Selonianie mają bardzo ostre zęby i długie ogony, którymi mogą was smagnąć, jeżeli będziecie niegrzeczne. Na ogół mieszkają pod ziemią i doskonale radzą sobie w wodzie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zobaczycie tylko wysterylizowane samice, ponieważ zawsze one są głowami rodzin. Samce i istoty płci żeńskiej, które mogą rodzić dzieci, muszą cały czas przebywać w jaskiniach albo norach.

- To chyba nie jest bardzo sprawiedliwe - odezwała się Jaina.

- Nie, nie jest - przyznał Han. - A przynajmniej nie wydaje się sprawiedliwe nam, ludziom. Możliwe, że z tym stanem rzeczy nie mogą się pogodzić także niektórzy Selonianie, ale tak właśnie funkcjonuje ich społeczeństwo. Wielu ludzi usiłowało się wtrącać i tłumaczyć istotom, że powinny zmienić sposób postępowania, ale nic z tego wyszło.

- Dlaczego nie? - zapytał Jacen.

Han wybuchnął śmiechem.

- O, nie, mowy nie ma. Innym razem. Zapytaj mnie o to za jakieś dziesięć lat, a wówczas...

- Kiedy będę na tyle dorosły, że zdołam zrozumieć? - domyślił się chłopiec, przewracając oczami.

- Właśnie. A więc, sektor koreliański zamieszkują te trzy rasy inteligentnych stworzeń. Od czasu do czasu jakaś grupa istot żyjących na którejś planecie nagle postanawia przeprowadzić się na jeden z innych światów. Zbiera się, przygotowuje do odlotu i po prostu leci, żeby osiedlić się tam, gdzie pragnie. Kiedy indziej - następnego dnia, a może po upływie tysiąca lat - kolejna grupa, mieszkająca na innym spośród Braci, postanawia się przenieść i podobnie jak pierwsza, natychmiast wciela pomysł w życie.

Dzieje się tak od bardzo wielu tysięcy lat i dlatego nie można powiedzieć, żeby którakolwiek rasa żyła tylko na jednym świecie. Wszystkie mieszkają na wszystkich, chociaż zdarzają się miasta zasiedlone tylko przez jedną rasę istot... ludzi, Selonian albo Dralów. Gdzie indziej jednak, jak na przykład w Koronecie, można spotkać przedstawicieli wszystkich trzech społeczności nie wspominając o wielu innych, którzy przylecieli z setek systemów gwiazdnych. Przybyli do Koronetu, aby kupować, sprzedawać albo tylko popierać rozwój handlu międzyplanetarnego.

Han zawahał się i na chwilę jego twarz okryła się smutkiem.

- Przynajmniej kiedyś handlarzy z innych światów było bardzo wielu - ciągnął. - W wyniku wojny ten stan uległ jednak zmianie. Większość kupców już dawno opuściła nie tylko Koronet, ale także wszystkie inne miasta i osady.

- Dlaczego wojna zmusiła ich do opuszczenia Korelii? - zainteresował się mały Anakin.

Jego ojciec zastanawiał się jakiś czas, zanim odpowiedział.

- To trochę jak z tymi gramami, w których ustawiasz długi szereg małych płytek, a później trącasz pierwszą z brzegu, żeby się przewróciła - zaczął. - Pierwsza przewraca drugą, druga trzecią i tak dalej, aż w końcu przewrócą się wszystkie, jedna po drugiej. Jeszcze zanim doszło do wybuchu wojny. Marynarka miała coraz więcej kłopotów z patrolowaniem wszystkich, a raczej tylko najbardziej uczęszczanych gwiazdnych szlaków. Raz po raz zdarzały się wołania o ratunek. Coraz częściej wzywano ten czy inny patrolowiec, żeby przegonił rebelianckich korsarzy, wzmocnił ochronę odległej placówki albo tylko zapobiegł jakiemuś zagrożeniu. Im więcej jednak patrolowców wysyłała Marynarka, tym częściej dochodziło do ataków rabusiów i piratów. A im częściej korsarze napadali na statki kupców, tym szybciej rosły ponoszone przez nich straty. W końcu handel przestał się opłacać i handlarze odlecieli. Zawierano coraz mniej transakcji, w wyniku czego mieszkańcy sektora coraz szybciej ubożeli.

- A później doszło do wybuchu wojny - podjęła Leia - i cały sektor koreliański równie dobrze mógł otoczyć się grubym murem. Mianowany przez Imperatora gubernator bardzo szybko się wystraszył. Nie tylko Rebeliantów, ale w ogóle wszystkich obcych. Zerwał więc kontakty z innymi systemami. On i jego podwładni doszli do wniosku, że nie mogą ufać nikomu ani niczemu. Członkowie koreliańskiego rządu postanowili zatem pozbyć się handlarzy. Prawdę mówiąc, oświadczyli, że nie chcą widzieć u siebie żadnych gości z innych światów. Zaczęli się zachowywać, jakby obchodziło ich tylko to, co dzieje się w ich sektorze. Przestali reagować na wszystko, co nie dotyczyło Korelii. W końcu posunęli się tak daleko, że stracili zaufanie nawet do pozostałych członków rządu. Zaczęli wydawać dekrety, nakazy i zarządzenia, w myśl których coraz więcej dziedzin życia zostało otoczonych ścisłą tajemnicą. Przybysze albo goście z innych światów przekonali się, że nie tylko nie mogą odwiedzić jakiegokolwiek innej planety systemu, ale nawet wysłać wiadomości rodzinom albo znajomym. A ponieważ koreliańscy przywódcy przestali ufać także własnym ziomkom, zaczęli zmuszać ich do przestrzegania takich samych ograniczeń, jakie nałożyli na istoty z innych planet. Musicie wiedzieć, że mianowany przez Imperium gubernator popierał tutejszego Dyktatora - tak mieszkańcy nazywali przywódcę swojego świata - dzięki czemu Dyktator mógł robić, co chciał, bez obawy, że narazi się na protesty obywateli.

- Ale przecież wygraliśmy tę wojnę już dawno - zdziwił się Jacen. - Czy kiedy upadło Imperium, Dyktator nie musiał zrezygnować z władzy?

Leia uśmiechnęła się. Gdyby naprawdę wszystko we wszechświecie było takie sensowne i proste, przegrani wiedzieliby, kiedy zrezygnować i ustąpić.

- Dyktator nigdy nie zrzekł się władzy - powiedziała, zwracając się do starszego syna. - A przynajmniej nie w taki sposób, jak przypuszczasz. Nie wystąpił przed

kamerami i nie oświadczył, że składa rezygnację. Mimo to, kiedy zabrakło Imperium, które go popierało, ludzie podnieśli głowy i nabrali odwagi. Zaczęli robić to na co mieli ochotę, a nie to do czego zmuszały ich przepisy i zarządzenia. Im częściej obchodzili je albo łamali, tym bardziej upewniali się, że nic im nie grozi. Dzięki temu stawali się jeszcze odważniejsi i ignorowali jeszcze więcej reguł. Siły bezpieczeństwa nie czuły się w mocy, a może nie miały śmiałości przeciwstawić się jawnemu okazywaniu nieposłuszeństwa... a po za tym - w obawie, aby nie wywołać wojny domowej - nie chciały strzelać do swoich obywateli.

W wyniku tego cały ład społeczny załamał się i po prostu legł w gruzach. Dyktator jednak nie opuścił pałacu i nie przestał wydawać nowych zarządzeń i poleceń. Uważał, że wszystkich buntowników trzeba uśmiercić. Nikt wszakże go nie słuchał ani nie zamierzał wykonywać jego rozkazów.

- I co się z nim stało? - zapytał Jacen.

- Właściwie nic takiego - odparła Leia. - Nowa Republika nie uznała za słuszne aresztować go. Mimo wszystko, Dyktator był przywódcą legalnego rządu. Nawet gdybyśmy go aresztowali i wtrącili do więzienia, narazilibyśmy się na gniew ze strony wielu nieprzejednanych lojalistów, a przecież to właśnie ich staraliśmy się przekonać do nowej władzy. Wciąż jeszcze debatowaliśmy, co z nim zrobić, kiedy pewnej nocy Dyktator po prostu zniknął. Przypuszczamy, że odleciał do jednego z Zewnętrzniaków.

- Co to są Zewnętrzniaki? - zapytał natychmiast Anakin.

- Tak nazywamy te gwiazdne systemy, która należą do sektora koreliańskiego, ale są małe i znajdują się na obrzeżach, daleko od samej Koreili - wyjaśniła Leia. - Zewnętrzniaki są tak zamknięte w sobie i otoczone taką mgłą tajemnicy, że w porównaniu z nimi Korelia może się wydawać światem bez sekretów.

- Wielu ludzi, uciekając przed prześladowaniami imperialnych oprawców, uchodziło tam i po prostu zniknęło bez śladu - ciągnęła. - Po zniknięciu Dyktatora, Republika mianowała nowego gubernatora generalnego sektora, Frozjanina o nazwisku Micamberlecto, ale kiedy zarządzono wybory do władz lokalnych, Korelianie ruszyli do urn i ponownie wybrali wielu obywateli, którzy pełnili te same funkcje w czasach Imperium.

- Czy nie możecie po prostu wyrzucić stamtąd wszystkich złych gości? - zapytał Jacen.

- Niestety, nie możemy, chociaż ich nie lubimy - odparła jego matka. - Zostali wybrani w trakcie demokratycznego głosowania i postępowali zgodnie ze wszystkimi regułami. A poza tym, cieszą się poparciem swoich wyborców.

- A zatem ów gubernator generalny Micamberlecto jest dobrym gościem, ale musi wydawać polecenia wielu podejrzanym typom - podsumował chłopiec. - I nie może na to nic poradzić.

Leia uśmiechnęła się.

- Można tak powiedzieć - rzekła.

- W takim razie jak ty i tata chcecie zmienić tę sytuację? - wtrąciła się Jaina.

Leia musiała przyznać, że nie wie, co odpowiedzieć. Pytanie córki wytrąciło ją z równowagi. Przecież nie miała takiej władzy, żeby wykorzenić całe zło - jeżeli nie we wszechświecie, to przynajmniej w galaktyce.

- Nie możemy zrobić niczego, a przynajmniej nie bezpośrednio - odparła po dłuższej chwili. - Gdybyśmy tam poleciali i wyrzucili wszystkich legalnie wybranych członków lokalnych władz, których nie lubimy, okazalibyśmy się właściwie nie lepsi niż Imperium. Czasami musimy robić dobrą miną do złej gry i umieć godzić się z sytuacją. Nie oznacza to jednak, że nie możemy zrobić absolutnie niczego. Jednym z celów, jakie zamierzamy osiągnąć dzięki tej konferencji poświęconej zagadnieniom handlu, jest dopilnowanie, żeby w przyszłości źli ludzie nie mieli łatwego życia. Jeżeli są tacy sami, jak wszyscy źli ludzie na innych światach, zyskują na tym, że ich ziomkom nie wiedzie się najlepiej. Zdobywają głosy wyborców, ponieważ obiecują im poprawę trudnej sytuacji. Bo jeśli wszyscy są zadowoleni z życia, nie decydują się na wybieranie krzykaczy ani demagogów. Liczymy na to, że kiedy doprowadzimy do rozwoju handlu, a ludzie przekonają się, że ich sytuacja uległa poprawie, nie zechcą ulegać podszeptom karierowiczów ani hochsztaplerów.

Jacen skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Chyba rozumiem - powiedział. - Ale czy ci źli goście, których chcesz pozbawić władzy, nie zorientują się, co zamierzasz, i nie spróbują cię powstrzymać?

- Z pewnością spróbują - przyznała jego matka. - Dlatego musimy wiedzieć więcej i działać szybciej niż oni, aby pokrzyżować ich plany.

- A wracając do Koreili - odezwał się Han trochę za głośno, jakby chciał przerwać niezręczną ciszę, jaka zapadła po ostatnich słowach żony. - To dziwna, ale piękna planeta. Niepodobna do żadnej innej, które widzieliście do tej pory. Zupełnie inna niż Coruscant.

A później zaczął opowiadać dzieciom wszystko, co wiedział o Koreili. Opisał im Koronet - mieniącą się wszystkimi barwami tęczy metropolię, gdzie domy wznoszono w sporej odległości od siebie. Dzięki temu stolica w niczym nie przypominała zatłoczonego, przeludnionego i zajmującego całą dostępną powierzchnię miasta-planety Coruscant.

- Mieszkając na Coruscant, właściwie cały czas jesteśmy zamknięci w czterech ścianach - ciągnął. - Prawda, że to stolica galaktyki, ale można w niej spędzić całe życie ani razu nie wychodząc z domu i nie widząc nieba. Tymczasem Koronet wygląda zupełnie inaczej. Ma mnóstwo małych domów oddzielonych wolnymi przestrzeniami. W każdej chwili można znaleźć się na dworze. Pełno tam parków, ogrodów, zieleńców i pałaców. Jest także aleja Gwiazdnych Skarbów, gdzie sprzedawcy oferują rozmaite smakołyki, a stragany i sklepy pełne są przedmiotów sprowadzonych chyba z całej galaktyki. Przynajmniej tak to wyglądało, kiedy odlatywałem. Kto wie, może nic się nie zmieniło.

Leia słuchała Hana oczarowana jego słowami nie mniej niż dzieci. Pomyślała, że miasto pełne parków i nie zabudowanych miejsc jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Bez względu na to, co odczuwały pociechy, ona miała - przynajmniej na jakiś czas - dosyć życia na Coruscant jak troglodytka. Wprawdzie Han nie wspominał

ani słowem o domach uciech, kasynach, nocnych klubach ani innych cieszących się złą sławą i rosnących niczym kolonie grzybów wokół stołecznego kosmoportu lokalach rozrywkowych, ale Leia wiedziała, że istnieją. Nigdy żadnego nie odwiedziła, lecz nie wątpiła, iż jako miejsca chętnie odwiedzane przez piratów i przemytników, obrosły legendą i stały się częścią barwnego dziedzictwa Korelii.

W pewnym sensie miały w sobie coś romantycznego. Leia pomyślała, że może pewnego wieczoru zechce jeden czy dwa obejrzeć na własne oczy. Ułoży dzieci do snu i namówi Chewiego, żeby ich popilnował, a sama przeberze się w coś, czego nigdy nie założyłaby przywódczyni Nowej Republiki. Później poprosi Hana, by jej towarzyszył i pokazał niektóre miejsca odwiedzane wyłącznie przez dorosłych. Z pewnością nie zaszkodzi, jeżeli zobaczy, jak wyglądają, a może nawet spróbuje szczęścia podczas partii sabaka. Zanim skończyła snuć te plany. Han zmienił temat rozmowy i teraz opowiadał dzieciom o pozostałych światach.

- Czy polecimy także na Selonię i Dralię? - zapytał Jacen.

- Z pewnością polecimy - obiecał jego ojciec. - Nie tylko na Selonię i Dralię, ale również na Bliźniacze Światy, Talusa i Tralusa. Możliwe nawet, że uda się nam rzucić okiem na Stację Centerpoint.

- A co to takiego? - zainteresowała się Jaina. - No cóż, Talus i Tralus są nazywane Bliźniaczymi Światami, ponieważ okrążają się nawzajem i mają mniej więcej takie same rozmiary. Stacja Centerpoint znajduje się dokładnie pośrodku między nimi, w tak zwanym barycentrum, czyli geometrycznym środku ciężkości. Zapewniam was, że stanowi fantastyczny punkt widokowy.

- Ja myślę - mruknął Jacen.

- Warto jeszcze zobaczyć Kipiące Morze na Dralii, Chmurne Szczyty na Selonii i Złote Plaże na Korelii ciągnął Solo. - Wy, dzieciaki, jeszcze nigdy nie kąpałyście się w prawdziwym, naturalnym morzu, prawda? Wyprawimy się na plażę i zbudujemy zamki z piasku, a potem, dla ochłody, popływamy w wodach ogromnego oceanu!

- A czy nie ma w nim morskich potworów? - zapytał Anakin, wyraźnie zaniepokojony ostatnimi słowami taty.

- No cóż, właśnie dlatego popływamy na Korelii - odparł Han. Lekko popchnął Jainę, i dziewczyna zeskoczyła z jego kolan. Ojciec wstał i podszedł do Anakina, poczym schylił się i wziął go na ręce. - Nie ma tam żadnych morskich potworów. Wszystkie pływają na Selonii. ponieważ tamtejsze oceany są o wiele większe i głębsze.

- Nie żartujesz? - zapytał chłopczyk.

- Ani mi to w głowie - odrzekł Han jak najbardziej poważnie i szczerze. - Myślę jednak, że najwyższa pora żeby niektóre lądowe potwory przygotowały się do spania, nie uważasz?

To wystarczyło, żeby w świetlicy rozległ się chór protestów i jęków zawodu. Ale Han wiedział, że nie powinien mieć żadnych kłopotów z położeniem dzieci do łóżek. I tak wszystkie ziewały i walczyły, by nie zamykać oczu. Mimo to umyły twarze i zęby, po czym przebrały się w piżamy.

Później, nie protestując, bliźnięta wspięły się na prycze i bez marudzenia wtuliły twarze w poduszki. Zasnęły niemal natychmiast. Oddychały miarowo, kiedy Han

przykłękał obok łóżeczka Anakina, by otulić go kocem i delikatnie ucałować na dobranoc.

Chłopiec jednak, chociaż bardzo już senny, nie myślał o zasypianiu.

- Tato? - zapytał.

- Tak, Anakinie? O co chodzi?

- Tato... Kiedy tam dolecimy?

R O Z D Z I A Ł

9

KUSZENIE LOSU

Odleciał. Próżno byłoby się łudzić, że jest inaczej. Luke Skywalker odleciał. Pharnis Gleasry, agent Ligii Ludzkiej, nie mógł się dłużej oszukiwać. Mistrz Jedi nie spędził w swoim domu ani jednej z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie spędził ich także w niezbyt dobrze ukrytym domu Landa Calrissiana w podziemnym Kopuszowie. Co więcej, należący do śniadoliczego mężczyzny jacht „Ślicznotka” zniknął ze swojego stałego miejsca na platformie ładowniczej. A ponieważ Gleasry widział i Skywalkera, i Calrissiana poprzedniego wieczoru, zanim obaj zniknęli z Coruscant, mógł wywnioskować, iż poleciecieli dokądś razem.

Agent wiedział, że nie ma wyboru. Powinien uciec się do planu rezerwowego, mimo iż ten wydawał mu się niepewny i ryzykowny. Musi się posłużyć zdalnie sterowaną sondą informacyjną i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu liczyć na to, że pani pilot „Ognistej Jade” zechce trzymać się harmonogramu lotu. W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie Konspiracyjny Przywódca nie będzie zachwycony. Na myśl o tym Pharnis poczuł, że przechodzą go ciarki. Prawdę mówiąc, postąpi najlepiej, jeżeli wyśle ten cylinder, a później podąży w ślad za Skywalkerem.

A może, zważywszy na porywczе usposobienie Konspiracyjnego Przywódcy, powinien na jakiś czas po prostu zniknąć?

- Czy naprawdę musiałeś je zabierać? - zapytał Lando, zresztą nie pierwszy raz.

Powodem irytacji właściciela „Ślicznotki” były dwa automaty, Artoo-Detoo i See-Threepio, w tej chwili stojące pod przeciwległą ścianą kapitańskiej kajuty. Żaden z nich nie czuł się, chyba bardziej uszczęśliwiony koniecznością przebywania z Calrissianem niż Lando z nimi. Obaj mężczyźni siedzieli przy stole i odpoczywali po zjedzeniu posiłku. A przynajmniej sprawiali wrażenie odprężonych. Było bowiem oczywiste, że widok robota astronawigacyjnego i androida protokolarnego działa na nerwy kapitana.

Luke uśmiechnął się do siebie. Istniały inne ważne powody, dla których zdecydował się zabrać oba automaty, ale prawdą mówiąc, postanowił je wziąć, żeby chociaż trochę zdenerwować Calrissiana. Pragnął w ten najsubtelniejszy ze wszystkich sposób odpłacić przyjacielowi za to, że wciągnął go w pułapkę i praktycznie zmusił do udziału w bezsensownej wyprawie. Luke nigdy nie przyznałby się do tego przed nikim oprócz siebie, ale właśnie tak wyglądała cała prawda.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się Threepio.

- Zapewniam pana, kapitanie Calrissian, że mój towarzysz i ja wielokrotnie udowodniliśmy, iż umiemy się na coś przydać. Mogę dodać, że zwłaszcza ja mogę oddać panu nieocenione usługi podczas tak romantycznej eskapady. Nie tylko znam ponad sześć milionów form porozumiewania się inteligentnych istot, ale zaopatrzyłem się w dodatkowe specjalistyczne oprogramowanie. Poświęciłem wiele czasu, żeby jeszcze na Coruscant zapoznać się z zawartością baz danych, które na ogół nie są udostępniane szerokiej publiczności. Dzięki temu doskonale znam się na rytuałach zalotów dwóch tysięcy czterdziestu siedmiu cywilizacji istot ludzkich, nie wspominając o pięciuset szesnastu rasach rozumnych istot nie będących ludźmi.

- Zachowaj to wszystko dla siebie - burknął Lando, obrzucając złocistego androida gniewnym spojreniem. - Dzień, w którym poproszę cię o radę, jak traktować damy, będzie również dniem, w którym złożę ślub czystości na resztę życia.

Odpowiedź mężczyzny nie tylko zdumiała Threepia, ale wywołała całą serię niezbyt taktownych pisków i gwizdów ze strony jego baryłkowatego towarzysza.

- Nie masz racji, Artoo - odparł natychmiast złocisty android.

- A poza tym nie sądzę, żeby kapitan Calrissian miał na myśli takie rady.

Mały robot odpowiedział chyba jeszcze bardziej niegrzecznym ćwierknięciem, po czym odjechał kawałek od Threepia i obrócił kopułkę w taki sposób, że skierował czujnik optyczny na Luke'a.

- Nie denerwuj się, Artoo - odezwał się Skywalker. - Nie ma sensu zachowywać się tak nieuprzejmie...

- Daj spokój, Luke'u - przerwał mu Lando. - Czy naprawdę przez cały czas trwania podróży będziemy musieli słuchać ich paplaniny? Nie możemy ich wyłączyć albo odesłać do domu z pierwszego kosmoportu, do którego zawitamy?

Luke uśmiechnął się i pokręcił głową na znak, że nie.

- Ilekroć zabierałem je ze sobą, zawsze później cieszyłem się, że to zrobiłem. Zaufaj mi, jeszcze się przydadzą.

- No cóż, niech zaczną przydawać się jak najszybciej - mruknął Calrissian. - W przeciwnym razie zapoznają się z zakamarkami najciemniejszej ładowni.

- Daj spokój, nie warto się tak przejmować - próbował go uspokoić Mistrz Jedi. - A poza tym, ty pierwszy masz się z kimś zapoznać, nie pamiętasz? Niedługo wyskoczmy z nadprzestrzeni w sąsiedztwie systemu gwiazdnego Leria Kerlsil.

Lando zerknął na chronometr.

- Za jakieś piętnaście minut - przyznał i wstał od stołu. - Powinniśmy się udać na dziób, do sterówni

Threepio postąpił krok do przodu, jakby pragnął im towarzyszyć, ale Lando zauważył to i uniośł rękę.

- Zostań tam, gdzie jesteś, złocisty chłoptasiu - rozkazał. - Ty i twój towarzysz pozostaniecie zamknięci w tej kajucie. Przynajmniej nie będziecie nam przeszkadzali w pilotowaniu statku i lądowaniu w centralnym kosmoporcie. Czy to jasne?

- Jak najbardziej, proszę pana - odparł Threepio. - Czy mógłbym jednak zauważyć, że...

- To doskonale - uciął Calrissian, po czym odwrócił się do Mistrza Jedi. - Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się odwiedzić Leria Kersil?

Luke pokręcił głową i także wstał od stołu, aby podążyć w ślad za przyjacielem.

- Nie - powiedział. - I nie znalazłem na jego temat nic ciekawego w bazach danych, które przeszukałem.

- No cóż - rzekł Lando. - Już niedługo czegoś się dowiemy. Przycisnął guzik na panelu umieszczonym na ścianie kajuty. Drzwi rozsunęły się i obaj mężczyźni skierowali się do sterowni.

Zdziwiony Threepio patrzył, jak ciężka tafla zasuwa się za ich plecami. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy usłyszał szcęknięcie bolca automatycznego zamka. Zrozumiał, że właściciel jachtu naprawdę zamknął ich w kajucie.

- Coś takiego! - powiedział, nie kryjąc urazy. - Jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, nie spodziewałem się, że kapitan Calrissian potraktuje nas w taki sposób. Możliwe, że złe maniery i obcesowe traktowane przystoją przemysłnikom albo górnikom, ale nie dżentelmenowi szukającemu towarzyski życia. Dobrze chociaż, że pan Skywalker był tak miły i stanął w naszej obronie.

Artoo odpowiedział mu długą serią pytających pisków.

- O co ci chodzi? - zapytał zirytowany Threepio. Nie, nie zapamiętałem nazwy systemu, do którego lecimy. Nikt niczego mi nie mówi.

Mały robot wydał żalony jęk, a potem powtórzył serię pisków - tym razem wolniej niż poprzednio. Zakończył dodatkowym ostrym gwizdem.

- No cóż, jeżeli sam pamiętasz, że lecimy do systemu Leria Kersil, dlaczego zwracałeś mi tym głowę?

Artoo wyrzucił z siebie serię krótkich świergotów.

- To nie prawda! - zachnął się oburzony android. - Nie zamierzałem chępić się swoimi umiejętnościami. Jakież sens miałyby poszukiwania w zapomnianych bazach danych, gdybym nie powiedział kapitanowi Calrissianowi, w czym mógłbym pomóc? Nic starałbym się zapoznawać ze wszystkimi osobliwymi rytuałami załotów, gdybym potrafił przewidzieć, że kapitan Calrissian nie zechce skorzystać z mojej propozycji...

Robot astronawigacyjny przerwał mu, wydając całą sekwencję głośnych gwizdów, a potem niecierpliwie zakofysał się na małych kółkach.

- Och! Chodziło ci o to, że nie mógłbym sprawdzić, co wiem na temat Leria Kersil? Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

Threepio zamilkł na kilka chwil, by zapoznać się z informacjami zarejestrowanymi w pamięci.

- O rety! - wykrzyknął. - O niebiosy! Artoo! Co my teraz zrobimy?

Lando Calrissian od dawna przywykł czuć się w miejscach, których nigdy przedtem nie odwiedzał, jak u siebie w domu. Dawno stracił rachubę i nie pamiętał nazw planet, na których lądował, by załatwić najrozmaitsze interesy. Teraz właśnie pierwszy raz w życiu postawił stopę na Leria Kersil, prawie nic o niej nie wiedząc... a jednak odnosił wrażenie, że znają lepiej niż większość innych światów, jakie zdarzyło mu się odwiedzać.

Bardzo dawno opanował trudną sztukę improwizowania w takich sytuacjach. Nauczył się przestrzegać miejscowych zwyczajów i sposobów załatwiania interesów. Przyzwyczał się lekceważyć trywialne różnice, ale zwracać baczną uwagę na te, które uznawał za istotne.

Uświadamiał sobie także, że istnieją nie tylko różnice. Zorientował się, że właściwie wszystkie zacofane światy wyglądają tak samo... a przynajmniej taki sam wygląd mają wszystkie zacofane światy, którymi może się interesować handlarz albo przedsiębiorca.

Każdy świat powinien mieć kosmoport, a to automatycznie oznaczało istnienie niezbędnych budynków i instytucji towarzyszących chyba wszystkim kosmoportom... hoteli dla załóg gwiazdowych transportowców... jakichś restauracji, barów albo tawern... magazynów i urzędzeń do wyładunku lub załadunku towarów... punktów wymiany kredytów na miejscowe środki płatnicze... i tak dalej, i tak dalej. Trzeba jednak przyznać, iż na większości zacofanych światów, na których lądował, nie widział właściwie nic więcej poza samym kosmoportem.

Zazwyczaj lądował i spotykał się z miejscowymi przedstawicielami firmy, której towary sprzedawał albo kupował, a potem osobiście pilnował wyładunku lub załadunku. Następnie płacił albo inkasował pieniądze i pragnąc coś zjeść i wypić, kierował się do najbliższego baru. Czasami, jeżeli pozwalały na to zasoby gotówki, a łóżko wydawało się dostatecznie wygodne, spędzał noc w podrzędnym zajeździe czy hoteliku, po czym następnego ranka startował. Po jakimś czasie kosmoportowe bary, magazyny towarów i twarze celników zlewały się w jego pamięci w jedną plamę... zwłaszcza że na wielu innych światach niemal wszystkie owe szczegóły wyglądały tak samo. W taki sposób „odwiedzał” dziesiątki planet, ale nie oglądał na nich niczego charakterystycznego - może z wyjątkiem kroju munduru portowego strażnika i urzędnika.

Rzecz jasna, wizyty na obcych światach nie zawsze wyglądały w taki sposób. Zdarzało się, i to całkiem często, że wychodził poza wyimaginowaną bańkę otaczającą miejscowy kosmoport i zapoznawał się ze sposobem życia i osiągnięciami mieszkańców. Ale postanowił planetę Leria Kersil poznać jak najdokładniej. Gdyby wszystko potoczyło się po jego myśli, może właśnie tu spędzi resztę życia... a przynajmniej znaczną część następnych kilku lat. Powinien zobaczyć wszystko, co może, aby później nie musiał o niczym decydować w pośpiechu.

Już pierwszy rzut oka pozwolił mu zorientować się, że planeta wygląda uroczo. Po niebie, które miało barwę intensywnego błękitu, płynęły białe, pierzaste, pędzone

rześkim, lekkim wiatrem chmurki. Powietrze było krystalicznie czyste, a kosmoport niewielki, ale starannie utrzymany. Wszystko błyszczało jak wypolerowane. Urzędnicy i celnicy z radością udzielali wszelkich informacji i ochoczo pomagali załatwić niezbędne formalności.

Jak często bywa na wielu małych światach, kosmoport zbudowano kiedyś z daleka od granic miasta, ale później stolica się rozrosła, tak że teraz budowle otaczały hangary i lądowiska. Lando i Luke wsiedli do poduszki i po pięciu minutach znaleźli się w środku miasta. Stwierdzili, że centrum sprawia całkiem miłe wrażenie. Wzdłuż starannie sprzątniętych ulic rosły szpalery karłowatych drzew sięgających obu mężczyznom najwyżej do pasa. Kora miała barwę jasnego błękitu, a małe zaokrąglone liście mieniły się wszystkimi odcieniami purpury. Po nienagannie wybrukowanych jezdniach poruszały się cicho i jakby z godnością pojazdy kołowe. Domy i sklepy nie wydawały się przesadnie duże. Wyglądało na to, że mieszkańcy mogą być dumni ze swojego miasta. Wszystko lśniło czystością i cieszyło oczy. Wszędzie panował ład i porządek.

- Nieźle - zauważył Lando, krocząc jakąś ulicą obok Luke'a. - Zupełnie nieźle. Widzę, że mógłbym założyć tu całkiem przyjemną małą bazę wypadową.

Mistrz Jedi wybuchnął śmiechem.

- Wydaje mi się, że uprzedzasz bieg wydarzeń - powiedział. - Czy nie powinienesz zaczekać, aż zobaczysz damę, którą się interesujesz?

- Nie martw się, jeszcze zdążę - uspokoił go Calrissian. - Do spotkania zostało pół godziny. Nie chcę zjawić się tam za wcześnie, gdyż wówczas wyglądałoby, że zależy mi na poznaniu damy.

- A co zrobisz, jeżeli j ej będzie bardzo zależało na poznaniu ciebie? - zapytał Mistrz Jedi.

Lando popatrzył na przyjaciela i obdarzył go szelmowskim mrugnięciem.

- Rzecz jasna, podniosę stawkę - odpowiedział. - Takie są zasady tej zabawy.

Obaj się roześmiali, po czym skręcili za róg i podążyli inną ulicą uroczej stolicy Leria Kerlsil.

Prędej! Pospiesz się! Wypal otwór, jeżeli nie potrafisz inaczej, ty niezdarny kuble wypełniony nitami! - krzyczał Threepio na swego towarzysza. Mały robot astronawigacyjny starał się zwolnić bolec automatycznego zamka drzwi kajuty kapitana. Wetknął końcówkę manipulatora do umieszczonego obok drzwi gniazda terminalu komputerowego i usiłował odnaleźć obwód umożliwiający odblokowanie zamka od wewnątrz. - Kapitan Calrissian może się znaleźć w poważnych opałach! Prędej! Nie zawracaj sobie obwodów pamięciowych przeszukiwaniem wszystkich baz danych. Mówię ci, że to się nie uda!

Artoo odpowiedział serią gniewnie brzęczących pisków i gwizdów... ale w następnej sekundzie umilkł, kiedy drzwi zaczęły się otwierać. Wprowadzie wypolerowana, ciężka tafia nie ukryła się do końca w metalowej ścianie, ale powstała szczelina na tyle duża, że oba automaty mogły wyjść z kajuty.

- Dobra robota, Artoo - przyznał android protokolarny. - Wiedziałem, że potrafisz. Och, jaka szkoda, że kapitan Calrissian albo pan Luke nie wzięli komunikatora! Zdołalibyśmy ich ostrzec, a tak może być za późno. Musimy połączyć się z bazą danych kosmoportu i sprawdzić, czy moje informacje są prawdziwe. Spieszmy się! Spieszmy! Nie mamy ani chwili do stracenia!

Luke Skywalker szedł u boku przyjaciela, radując się pięknym pogodnym porankiem. W pewnej chwili zorientował się jednak, że coś jest nie w porządku. Zmysły Jedi usiłowały mu coś powiedzieć, ale Skywalker nie był pewien, o co chodzi.

Popatrzył przed siebie, a później odwrócił głowę i przyjrzał się odcinkowi ulicy, który przeszli. Stwierdził, że w tej dzielnicy widzi mniej domów niż w śródmieściu, ale budynki są większe i bardziej okazałe. Nieliczni przechodnie obdarzali przybyszów niespecjalnie zaciekawionymi spojrzeniami, a potem spoglądali gdzie indziej i szli dalej, zajęci własnymi sprawami. Z pewnością nie stanowili żadnego zagrożenia.

A mimo to Luke coś go nadal niepokoiło. W pewnej chwili uświadomił sobie, że jego dłoń wędruje do rękojeści miecza świetlnego. Widocznie Mistrz Jedi był bardziej wystraszony niż chciałby przyznać nawet przed sobą. Dyskretnie rzucił okiem na Calrissiana, ale wszystko przemawiało za tym, że przyjaciel niczego nie zauważył. Z pewnością nie myślał o niczym bardziej niepokojącym niż kolejny przebiegły plan albo podstępna sztuczka. O co właściwie chodziło? Przez ułamek sekundy Skywalker zastanawiał się, czy nie chwycić Landa za rękę i nie przekonać, że powinni zawrócić. Po chwili jednak zrezygnował. Nawet Mistrz Jedi musiał mieć coś więcej niż tylko niejasne przeczucie, że zagraża mu bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo.

Oba automaty znalazły wreszcie końcówkę komputerowej bazy danych, usytuowaną w samym kącie największego budynku stołecznego kosmoportu.

- Połącz się! Szybciej! - wołał Threepio, pragnąc przynaglić małego robota do jeszcze większego pośpiechu. - Wyciągnij wszystko, dosłownie wszystko, co znajdziesz na temat Karii Ver Seryan. Obym się mylił...

Artoo zapikał i wyrzucił z siebie długą serię piskliwych dźwięków.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zaniepokoił się złoćisty droid. Dlaczego tym razem ma być inaczej? - zapytał, uderzając otwartą dłonią w kopolukę partnera. - Podłącz się do tego gniazda i przestań wygadywać głupstwa. O ile mam rację - co, na szczęście, zdarza mi się bardzo często musimy dysponować wszystkimi informacjami, jakie zdołamy znaleźć, by przekonać kapitana Calrissiana o zagrażającym niebezpieczeństwie. Pospiesz się! Pospiesz!

Lando i Luke wybrali odpowiednie tempo marszu, dzięki czemu zjawili się przed domem Karii Ver Seryan minutę czy dwie przed umówioną porą.

Trudno byłoby nie zauważyć domu kobiety, wzniesionego przy cichej, ozdobionej szpalarami drzew ulicy. Żaden budynek w całej okolicy nie prezentował się tak okazałe. Prawie wszystkie pozostałe zbudowano z ciemnożółtych cegieł lub z błękitnawoszarego drewna. Dom pani Ver Seryan miał jednak mury z wielkich,

ciemnoszarych kamiennych bloków, starannie spojonych za pomocą zaprawy murarskiej. Mimo iż wszystkie sąsiednie budynki miały jedno, a najwyżej dwa piętra, ten wznosił się na wysokość czterech. Stał na posesji co najmniej czterokrotnie większej niż każdy z pozostałych domów. Cały teren ogrodzono wysokim płotem wykonanym z czarnych, fantazyjnie ozdobionych żelaznych prętów. Rozmieszczone je w odległościach dwunastu centymetrów od siebie i wpuszczono w glebę, wskutek czego dom przypominał nie dom mieszkalny, ale fortecę.

Luke zauważył, że wszystkie sąsiednie budynki otaczające dom pani Ver Seryan sprawiały wrażenie opustoszałych i zaniedbanych. Na trawnikach pięły się osty i krzaki jeżyn. Stanowiło to dziwny kontrast z pozostałymi trawnikami i ogrodami, utrzymywanymi przez niemal wszystkich innych mieszkańców w doskonałym stanie.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ogrody otaczające dom pani Yer Seryan stanowią dowód przesadnej ostentacji. Na idealnie prostych alejkach ustawiono kamienne ławy, a na trawnikach posadzono egzotyczne rośliny sprowadzone z kilkunastu odległych światów. Wokół domu wykopano rów, a płynącą w nim wodę bez wątplenia zmuszały do krążenia potężne pompy. Od frontowej furtki do drzwi domu wiodła szeroka aleja, której część stanowił przerzucony nad rowem miniaturowy zwodzony mostek.

Rów z wodą rozszerzał się na prawo od mostka, a ze środka strumienia wystawała skomplikowana trójzębna dysza fontanny. Pióropusze wody strzelały wysoko w powietrze, a ponieważ dysza mogła zmieniać położenie, tworzyły wciąż nowe, czasami zaskakujące kombinacje. A jednak, pomimo niewątpliwego uroku, jaki okolica domu zaskakiwała ruchomej fontannie, Luke nie mógł nie zauważyć, że gdyby mostek został uniesiony - wszystko zaś świadczyło, iż jest to możliwe - wypełniony bieżącą wodą rów przemieniłby się w fosę.

A za fosą, pośrodku sporej wyspy wynurzającej się wody, wznosił się sam dom, zupełnie nie pasujący do otoczenia. Nie miał w sobie niczego pięknego ani ozdobnego. Zbudowano go po to, aby był wielki i wytrzymały, ale nic więcej. Pomimo egzotycznych roślin, szemrzącej wody i fantazyjnej fontanny, za pomocą których Ver Seryan starała się wywrzeć wrażenie, że jest inaczej, jej dom był tym, czym był - fortecą zaprojektowaną, z myślą o powstrzymaniu nieproszonych gości.

Luke przyjrzał się budowli, ale nie poczuł się ani trochę spokojniejszy. Jaka kobieta musiała mieszkać w domu, który obroniłby ją przed atakami tłumy innych ludzi? Tłumu, ponieważ wiele wskazywało na to, że właśnie tego obawiała się właścicielka domu. Fosa i wysokie mury nie powstrzymałyby zdecydowanego na wszystko włamywacza ani nikogo, kto chciałby posłużyć się nowoczesną bronią. Nie, systemy obronne pomyślano w taki sposób, aby zniechęcały i odstraszały niezorganizowany i targany emocjami tłum złorzeczających ludzi.

W żaden sposób Luke nie potrafił przekonać siebie, iż się myli. Nie spoglądał na dekorację czy formę hołdu złożonego jakiejś prastarej tradycji architektonicznej. Widział dowód mówiący mu, że - mimo wszystko tak właśnie wygląda cała prawda. Zauważył go na murze domu, na prawo od drzwi wejściowych. Zastaniała go dziwna

pnąca roślina, ale trzeba było czegoś więcej niż tylko pędów i liści, żeby ukryć tak duże miejsce, osmalone w wyniku strzału z blastera.

- Wygląda na to, że powodzi się jej całkiem dobrze - zauważył zachwycony Calrissian.

Luke zamierzał coś powiedzieć, ale w ostatniej sekundzie zrezygnował. Pomiędzy ich punktami widzenia istniała ogromna różnica. Tam, gdzie Mistrz Jedi dostrzegał elementy systemu obronnego, jego przyjaciel widział jedynie dowody dysponowania dużymi sumami. Któż miałby rozstrzygnąć, kto z nich dwóch ma rację? A może to, co zauważył Skywalker, wiązało się z poprzednim właścicielem? Może było śladem pozostałym po walkach z Imperium?

A jednak Luke w żaden sposób nie potrafił uwierzyć w takie wyjaśnienie. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Uwolnił myśli i pozwolił prądom Mocy opłynąć całą okolicę. Chciał wyczuć nastroje ludzi mieszkających w samym domu albo tylko w pobliżu. Kiedy ponownie skupił myśli, zorientował się, że powróciło to samo uczucie, które niepokoiło go poprzednio, tylko wyraźniejsze i intensywniejsze. Mistrz Jedi uświadomił sobie, że jest związane z tym miejscem, z tym domem.

Teraz więc, kiedy już wiedział, czego szukać, zapuścił delikatne wici myśli w głąb umysłów wszystkich osób znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie rezydencji pani Kam Ver Seryan.

W każdym umyśle, do którego docierał, wykrywał przynajmniej ślad takiego samego niepokoju. Nie stanowił dominującego uczucia, ale istniał stawał się tym wyraźniejszy, im mniejsza odległość dzieliła sąsiada od kobiety. Luke nie wyczuwał nienawiści, złości ani gniewu. Odbierał coś w rodzaju podświadomego, stłumionego lęku... coś podobnego do obawy albo strachu, jakie zazwyczaj odczuwa człowiek, który stara się uniknąć dotknięcia kolczastego krzewu. Czasami czuła to osoba odnosząca wrażenie, że usiadła zbyt blisko obozowego ogniska, albo ktoś, kto za nic nie chce zbliżyć się do niebezpiecznego zwierzęcia. Na samym dnie umysłów tych wszystkich ludzi Luke wyczuwał głęboko skrywane przeświadczenie, że lepiej nie zbliżać się do domu Karii Ver Seryan.

Mistrz Jedi zmienił kierunek przepływu Mocy, po czym skupił strumień myśli, aby wysłać go w głąb domu. Przekonał się jednak, że czeka go jeszcze jedna niespodzianka. W tak wielkim domu przebywała w tej chwili tylko jedna inteligentna istota. Musiała nią być pani Ver Seryan. Lecz już pierwsze muśnięcie jej umysłu przekonało Luke'a, że nie kryje się w nim nic przewrotnego, wrogiego czy chociażby tylko obojętnego. Kobieta nie uważała się za osobę niebezpieczną; wręcz przeciwnie. Skywalker wyczuwał w jej myślach niemal przesadną życzliwość. Odnosił wrażenie, że kobieta za wszelką cenę pragnie czynić dobrze - bez względu na to, czy komuś to się podoba, czy też nie. Jej umysł zdradzał także ślad chciwości... bardzo nikły, a w każdym razie nie na tyle wyraźny, by mógł usprawiedliwić prawdziwe morze otaczających panią Ver Seryan lęków, obaw i niepewności. Mistrz Jedi pomyślał, że gdyby taka odrobina zachłanności stała się odpowiedzialna za strach czy obawy sąsiadów, cała ludność tego świata powinna wpaść w panikę albo zdrętwieć z

przerżenia w tej samej sekundzie, w której Lando postawił stopę na płycie stołecznego kosmoporłu.

Ale przecież doskonale wiedział, że żadna osoba nie uważa siebie za złą ani zdeprawowaną do szpiku kości. Nawet Imperator głęboko wierzył, że czyni dobrze. Uważał tak nawet wówczas, kiedy miażdżył Starą Republikę i narzucał swoją wolę niemal całej galaktyce. Tak więc, chociaż Ver Seryan uważała siebie za osobę poczciwą, nie oznaczało to, że tak jest naprawdę. A w dodatku jeszcze coś tu się nie zgadzało.

- Chodźmy, Luke'u - odezwał się Lando, przerywając tok myśli Skywalkera. - Chyba nie zamierzasz spędzić reszty dnia, podziwiając jej rezydencję? Jeżeli o mnie chodzi, ani myślę kazać Karii Ver Seryan czekać na siebie.

Luke położył dłoń na ramieniu śniadoliczego przyjaciela.

- Lando - zaczął, nadając głosowi poważne brzmienie. - Bardzo cię proszę, uważaj.

- Podczas negocjacji? - zdziwił się Calrissian. - A czy kiedykolwiek bywałem nieostrożny? Chodźmy do środka.

Pchnął furtkę, która się otworzyła, i ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Mistrz Jedi podążył za nim, chociaż z oporami. Nie pozbył się obaw, ale szedł krok czy dwa za przyjacielem.

Obaj przeszli przez zwodzony mostek, wspięli się po kilku stopniach i stanęli przed masywnymi, stalowymi drzwiami domu. Lando zaczekał chwilę, aż Luke stanie obok niego, po czym przycisnął okrągły guzik domowego zwiastuna.

Czekali zaledwie kilka sekund, dzięki czemu Skywalker upewnił się, że gospodyni obserwowała ich zapewne od chwili, kiedy pojawili się na ulicy przed jej posiadłością. Drzwi otworzyły się i na progu stanęła zdumiewająco urodziwa młoda kobieta. Mistrz Jedi zamierzał zapytać ją czy, pani Ver Seryan jest w domu, ale ugryzł się w język, kiedy przypomniał sobie, że wyczuł w środku obecność tylko jednej rozumnej istoty. A zatem to musiała być ona... mimo iż wyglądała zupełnie inaczej niż mógłby sądzić albo oczekiwać.

- Witajcie na Leria Kersil - odezwała się kobieta. - Jestem Karia Ver Seryan. Witam cię w moim domu. Lando Calrissianie. Otrzymałam twoją wiadomość i bardzo chętnie porozmawiam z tobą na temat, który cię interesuje. Możliwe, że dojdziemy do porozumienia i to porozumienie okaże się korzystne dla nas obojga.

Uśmiechnęła się do ciemnoskórego mężczyzny, jakby zauroczona jego urodą, ale później odwróciła się do jego przyjaciela.

- Rzecz jasna, serdecznie witam również ciebie, szanowny Mistrzu Jedi. Twoje wyczyny stały się tematem wielu legend. To dla mnie wielki zaszczyt móc gościć cię w swoim domu. Proszę, zechciejcie wejść do środka, panowie.

Lando mrugnął do Luke'a, kiedy Ver Seryan się odwróciła. Widocznie był przekonany, że to sława Mistrza Jedi otworzyła mu drzwi tego domu. Nie zwlekając ani chwili, wszedł do środka, a Luke - chcąc, nie chcąc - podążył za nim.

Nie był całkiem pewien, czego powinien się spodziewać po wystroju wnętrza, ale to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Nie ujrzał mrocznych zakamarków ani

solidnych, topornych mebli. Wnętrze promieniowało ciepłem i pogodą. Ściany białych kamiennych tafli ozdobiono sprowadzonymi zapewne z drugiego krańca galaktyki kunsztownymi i z pewnością drogocennymi malowidłami i draperiami. Cały parter stanowił właściwie jeden wielki pokój. Na wyższe piętra wiodły ogromne przedzielone dwoma podestami schody, które biegły z lewa na prawo po całej przeciwległej ścianie. Na każdym podeście widniało kilkoro drzwi, zapewne prowadzących do pokojów albo do sypialni.

Składane parawany, wolno stojące regały i wielkie ekrany dzieliły całą przestrzeń na pięć czy sześć przytulnych części. Wygodne siedziska i bajecznie kolorowe luksusowe dywany stwarzały miłą atmosferę i zachęcały do odpoczynku. Wszystko sprawiało wrażenie, że parter urządzone z myślą o wystawnym przyjęciu, a nie po to, by mieszkała tu samotna kobieta.

Ale znacznie bardziej niż ogromny salon zdumiewał Luke'a wygląd gospodyni. Opierając się na dostarczonych przez Calrissiana dość kompletnych informacjach, Mistrz Jedi myślał, że ujrzy swarliwą i leniwą starą jędzę. Spodziewał się zobaczyć kobietę wychodzącą za męża dla pieniędzy, żeby potem, po śmierci małżonka, móc korzystać z życia i oddawać się uciechom. A słuchając tego, co mówił na jej temat sam Lando, można było wywnioskować, że i on miał podobne zdanie.

Tymczasem rzeczywistość nie mogła bardziej różnić się od ich wyobrażeń. Karia Ver Seryan była szczupłą i wysoką, śniadokórą kobietą, a jej zdumiewające oczy płonęły ciemnym fioletem. Włosy miały barwę zachodzącego słońca, a każdy gest i ruch dowodził wrodzonego, bezpretensjonalnego wdzięku. Kobieta była ubrana w skromną, ale elegancką czarną suknię, której niewymyślny krój bardziej podkreślał wdzięki jej ciała niż mogłaby to uczynić jakakolwiek inna krzykliwa szata. Odstoniętą szyję zdobił ogromny pojedynczy diament zawieszony na kosztownym platynowym łańcuszku. Skywalker rzucił okiem na przyjaciela. Lando sprawiał wrażenie tak oszołomionego, że suma pieniędzy, której mógłby zażądać od kobiety w zamian za uzyskanie jego zgody na zawarcie małżeństwa, skurczyła się chyba do symbolicznego kredytu, a może nawet do zera.

- Twoje mieszkanie jest urocze - odezwał się Calrissian - ale ani w dziesiątej części nie tak cudowne jak jego właścicielka.

Karia Ver Seryan obdarzyła go czarującym uśmiechem i bardzo lekko skinęła głową.

- Dziękuję ci, miły gościu - powiedziała. - Jak możesz sobie zapewne wyobrazić, mam trudności z zatrudnianiem służących. Nie będę ukrywała przed tobą wszystkich kłopotów związanych z utrzymywaniem tak dużego domu jedynie przy pomocy robotów i androidów. Z własnej woli przyznaję, że byłabym najszczęśliwszą kobietą na tym świecie, gdybym mogła mieć u boku mężczyznę, który pomógłby mi w pracy jako złota raczka albo zarządca - rzecz oczywista, jeżeli nie zechciałby zostać nikim więcej.

- Zapewniam cię, że z przyjemnością zgadzam się na twoją propozycję - odparł Lando tonem nie pozwalającym żywić żadnych wątpliwości, iż mówi to absolutnie szczerze.

- Chodźcie - rzekła Karia, wymownym gestem zapraszając obu mężczyzn, by się rozgościli. - Usiądźcie wygodnie i czujcie się jak u siebie w domu.

Lando uśmiechnął się tak szeroko, jakby chciał naderwać co najmniej kilka mięśni twarzy. Podeszedł do kobiety i ujął jej dłoń po czym pochylił się nad nią, żeby złożyć szarmancki pocałunek.

- Z przyjemnością skorzystam z tak miłego zaproszenia i usiądę - powiedział. - Zapewniam cię jednak, że nawet w domu nigdy nie czułem się tak swobodnie jak w tej chwili.

O rety! - krzyknął złocisty android, kiedy poduszki gwałtownie zmienił kierunek jazdy, aby wyprzedzić jakiś inny, poruszający się wolniej pojazd. Przyjacielu kierowco, bardzo cię proszę, uważaj!

- Mam uważać czy się spieszyć? - burknął mężczyzna. - Może byś się wreszcie zdecydował?

I nie oglądając się, przycisnął do oporu dźwignię przyspieszenia.

Artoo i Threepio siedzieli w tylnej części poduszki pędzącego do domu pani Ver Seryan. Mały robot chyba wcale się nie przejmował przyczyną pośpiechu; zapewne nawet cieszył się z szaleńczej jazdy. Jego większy partner jednak coraz bardziej się denerwował. Odnosił wrażenie, że w wyniku emocji i przeżytych wstrząsów zaczynają mu się przegrzewać niektóre obwody.

Istniały kosmoporty, gdzie androidy i automaty miały pewne trudności z wynajęciem poduszkowców. Zdarzały się też i takie, w których korzystanie z pojazdów było prawie niemożliwe. Niestety, kosmoport Lena Kerlsil zaliczał się do tej drugiej grupy. Automatyczne taksówki nie reagowały na polecenia wydawane przez droidy. Widocznie oprogramowanie zabraniało im przyjmowania rozkazów od innych maszyn. Artoo i Threepio zrozumieli, że nie mają wyboru. Musieli udać się na parking dla pojazdów obsługiwanych przez ludzi.

Ale nawet to nic by im nie dało, gdyby mały robot nie miał schowanej w jakiejś skrytce skromnej sumy coruskańskich kredytów. Pieniądze umieścił tam pan Luke, spodziewając się, że mogą pomóc w jakiejś trudnej sytuacji.

Oba automaty miały zatem pieniądze, co wcale nie oznaczało, że nie muszą szukać kierowcy chcącego zawieźć je do miasta. W końcu udało im się uprosić mężczyznę, który wyglądał niechlujnie i nie wzbudzał zaufania. Kierowca gnał teraz na złamanie karku, przy okazji łamiąc wszystkie możliwe przepisy ruchu drogowego. Wyglądało na to, że zanim się zgodził, ocenił w myślach zniecierpliwienie i desperację przyszłych pasażerów, ponieważ zażądał od nich astronomicznie wysokiej sumy.

Protokolarny android, który wręcz do perfekcji opanował trudną sztukę prowadzenia negocjacji, zaczął się targować, aby zmniejszyć tę sumę, ale mały Artoo, jak zawsze, wszystko zepsuł. Rozpędził się i najechał na złocistą nogę partnera - zapewne w nadziei, że zdoła go uciszyć. Później zaś po prostu wręczył zachłannemu taksówkarzowi wszystkie pieniądze, jakie wyjął ze skrytki.

Trzeba przyznać, że to pomogło i teraz kierowca nie marnował czasu. Mimo to Threepio nie mógł się pozbyć wrażenia, że czasami jego baryłkowaty partner zachowuje się strasznie arogancko.

Nagle kierowca, ani myśląc zmniejszać prędkości jazdy, skręcił w lewo w jakąś przecznicę. W ostatniej sekundzie złocisty android chwycił się czegoś i nie wypadł na jezdnię. Artoo, stojący obok niego w tylnej części poduszki, ponownie się przewrócił. Natychmiast zaćwierkał i zaświergotał, żeby Threepio pomógł mu się podnieść.

- Powinienem zostawić cię tam, gdzie upadłeś - odparł droid, wciąż jeszcze rozdrażniony. Mimo to pochylił się i pomógł przyjacielowi stanąć na kółkach. - Z każdym dniem stajesz się coraz bardziej nieznośny.

Kierowca skręcił równie raptownie w prawo, ale tym razem Artoo zdołał zachować równowagę. Wyrzucił z siebie długą serię elektronicznych pisków, po czym wysunął chwytak, żeby unieruchomić się w samym kącie pasażerskiej części pojazdu.

- O rety! - westchnął Threepio. - Mam nadzieję, że zdążymy. Jeżeli wierzyć moim informacjom, tego procesu nie da się powstrzymać ani odwrócić!

Lando Calrissian chyba jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy. Należało już dawno pomyśleć o ożenku. Oto siedział, rozmawiając z pierwszą kandydatką ze swojej listy, i wszystko wskazywało na to, że negocjacje zostaną uwiecznione całkowitym sukcesem. Upewnił się o tym już po kilku pierwszych minutach rozmowy. Karia i on rozumieli się doskonale. Kobieta była nie tylko bogata, ale młoda, powabna i zdumiewająco piękna. Z pewnością jego bazy danych zawierały jakiś błąd, ale nie musiał się nim przejmować. Tym bardziej, że spodziewał się zobaczyć starą sekutnicę, a odkrył młodą boginkę albo księżniczkę.

Przysłowiową łyżką dziegciu w beczce miodu okazał się Luke Skywalker. Mistrz Jedi zachowywał się uprzejmie, ale chłodno i powściągliwie. Nie sprawiał wrażenia oczarowanego. Gdyby Lando siedział naprzeciwko przyjaciela przy stole, kopnąłby go w gołe i spróbował wyrwać z zamyślenia. Tymczasem wszyscy troje zajmowali wygodne, ogromne, głębokie fotele, a pod stopami mieli tak fantastycznie kosztowny dywan, że za pieniądze, które wyłożono, by go kupić, mógłby zbudować niejedno Kopułowó, ale trzy takie podziemne miasta. Karia nie przestawała kierować ku obu mężczyznom czarujących uśmiechów, których temperatura zdołałaby stopić niejedne opancerzone wrota skarbcza banku. Jakaś część umysłu Calrissiana, zapewne automatycznie sterowana przez podświadomość, pozwalała mężczyźnie prowadzić grzecznościową rozmowę. Pozostała część nakazywała mu odprężyć się, cieszyć życiem i zachwycać urodą Karii, a przede wszystkim nie martwić nikim i niczym. Wszystko układało się jak najlepiej. Lando mógł sobie pozwolić nawet na tolerowanie niezadowolonego przyjaciela.

Wyglądało jednak na to, że umysł gospodyni zaprzęta inne myśli. Kobieta uśmiechała się uprzejmie, ilekroć z ust przyszłego małżonka spływał kolejny komplement, ale w pewnej chwili wyraźnie spoważniała, a później nawet wsparła się na podłokietniku fotela i pochyliła w stronę Calrissiana.

- Miło mi, że jesteś taki uprzejmy i szarmancki - zaczęła - ale zazwyczaj ludzie, którzy przychodzą do mnie, nie mają do stracenia wiele czasu. Chyba wolałabym przejść do sedna sprawy. Czy to ci odpowiada?

Lando uśmiechnął się, ale jakby trochę niepewnie, po czym kiwnął głową.

- Oczywiście.

- To dobrze - rzekła kobieta. - Z pewnością musiałeś zdobyć jakieś informacje na mój temat, gdyż w przeciwnym razie w ogóle byś nie przylatywał. Może jeszcze czegoś nie wiesz, a uważasz, że powinienes? Czy nie chciałbyś mnie o coś zapytać?

Jej rozmówca chwilę zwlekał z odpowiedzią. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zakłopotanego i niepewnego. Mimo to nie zamierzał rezygnować z odgrywania roli szarmanckiego zalotnika.

- Hmm... to prawda, jest kilka pytań, na które nie znam odpowiedzi. Rzeczywiście, chciałbym je poznać i mam nadzieję, że kiedyś poznam, ale nie ma chyba nic takiego, o co musiałbym pytać w tej chwili.

- Doskonale - odparła czarująca gospodyni. - Nie będę niczego ukrywała. Kiedy otrzymałam od ciebie pierwszą wiadomość, także zaczęłam zbierać różne informacje. Muszę przyznać, że w normalnych okolicznościach nie zdecydowałabym się przyjąć twojej propozycji. Czasy się jednak zmieniły i okoliczności trudno byłoby określić mianem normalnych. Mimo iż mój czas odpoczynku dobiegł końca, życie w towarzystwie poprzedniego małżonka trochę mnie... wyczerpało. Nie jestem w tak dobrej formie, jak bym chciała. Możliwe, że twój majątek nie wygląda imponująco, ale liczy się to, iż jest duży, a ty wiesz, jak go pomnażać. Ogromne wrażenie wywarło na mnie zwłaszcza Kopułow. Przypuszczam, że gdybyś uzyskał znaczące wsparcie, potrafiłbyś osiągnąć bardzo dużo w stosunkowo krótkim czasie. Na twój honor, czy tak nie uważasz?

- Jak najbardziej - przyznał Lando tak przekonująco, jak potrafił.

- To dobrze - stwierdziła Karia. - Widzę po tobie, że nie kłamiesz. Jesteś jeszcze dość młody i pełen energii. Tylko jednej rzeczy nie mogłam się dowiedzieć, kiedy zbierałam te informacje. Wygląda na to, że nadal cieszysz się bardzo dobrym zdrowiem. Czy tak jest naprawdę?

- No cóż - przyznał wyraźnie zdezorientowany Calrissian. - Tak. Chyba tak. I mam nadzieję cieszyć się nim jeszcze długie lata.

Uspokojona gospodyni uśmiechnęła się i usiadła wygodniej w przepaścistym fotelu.

- A mimo to przyleciałeś do mnie - ciągnęła, nie przestając się uśmiechać. - Bardzo ciekawe. Rzadko spotykane, ale niezmiernie ciekawe. Powiada się, że świeca, która płonie najkrócej, daje najwięcej blasku. Z pewnością niektórzy ludzie nie zgodziliby się z tym albo nawet oburzyli, ale wszyscy moi goście przychodzą do mnie z własnej woli. Rzecz jasna, wiesz, że cały proces... mam na myśli zawarcie związku małżeńskiego jest czymś, czego nie da się odwołać ani anulować? Zdajesz sobie sprawę z tego, że kiedy zawrzemy umowę, nie będziesz już mógł zmienić zdania?

Z całą pewnością Lando zaczął czuć, że znalazł odpowiednią kandydatkę.

- Ja... uhm... - zaczął. - Kiedy zastanawiałem się nad zawarciem związku, nie miałem na myśli ślubu i rozwodu, który pozwoliłby mi zagarnąć część twojego majątku - jeśli o to ci chodziło. Nie, jeżeli cię poślubię, nie zamierzam zmieniać zdania.

Karia roześmiała się serdecznie.

- Tak czy owak, nie mogłoby być mowy o żadnym podziale majątku - stwierdziła. - A zatem dobrze, że nie uwzględniasz tego w planach.

Musi mieć bardzo duże zaufanie do swoich adwokatów - pomyślał Calrissian. - Warto o tym pamiętać.

- Nie, nie, ani mi to w głowie - zapewnił pospiesznie. - Dopóki śmierć nas nie rozłączy i tak dalej.

Karia ponownie spoważniała.

- I tak dalej - powtórzyła jak echo. Dłuższy czas wpatrywała się w twarz rozmówcy, jakby miało to pomóc w podjęciu decyzji. - Lubię cię - powiedziała. - Lubię, mimo iż jesteś młody i zdrowy. Życie polega na podejmowaniu ryzyka, a ja lubię żyć pełnią życia. Twój majątek jest niewielki, ale z pewnością szybko zdołasz go pomnożyć. A zatem, zgadzam się na ciebie, jeżeli ty się zgadzasz na mnie.

Luke oderwał plecy od oparcia fotela. Wyprostował się, a potem przeniósł spojrzenie z twarzy przyjaciela na oblicze Karii.

- To strasznie szybko - powiedział, zwracając się do gospodyni. - Nie zastanowiłaś się ani chwili. Czy naprawdę uważasz, że powinnaś podejmować tak ważną decyzję bez namysłu?

- Jak mówiłam, moi goście rzadko mają czas do stracenia. - Obdarzyła Mistrza Jedi czarującym uśmiechem, po czym ciągnęła: - Możliwe, że ten jeden, jedyny raz także chciałam pozwolić sobie na luksus decydowania o szybkości zawarcia związku. - Odwróciła się ponownie do Calrissiana. A zatem, co mi powiesz, dżentelmenie? Zechcesz mnie? Czy nie zechcesz?

- No cóż... ja... hmm... - zaczął zaskoczony Lando. - Każdy mężczyzna uważałby to za wielki zaszczyt, droga lady Kario. Z pewnością musimy jednak uzgodnić warunki, zanim przystąpimy do zawierania... ehm... związku małżeńskiego.

- Bardzo dobrze i mądrze powiedziane, szlachetny gościu - rzekła gospodyni. - Możliwe, że się pospieszylam. Pozwól w takim razie, abym ci przedstawiła szczegóły swojej propozycji. Poślubisz mnie i zostaniesz moim mężem, a ja będę cię Wspierała, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, przez pięć lat. To i tak dłużej niż zwykle w takich sytuacjach.

- Będziesz mnie Wspierała? - zapytał Lando.

Z pewnością wyczuł albo usłyszał duże „W” w wyrazie „Wspierała”. - Wspierała? W jaki sposób?

Karia uśmiechnęła się, jakby uznała pytanie za naiwne albo zbędne.

- W każdy możliwy - odrzekła. - Zatoszczę, się o twoje zdrowie. Przekażę ci wystarczającą ilość gotówki. Ubiorę cię, nakarmię i zapewnię ci dach nad głową.

- A co w zamian? - zainteresował się Calrissian.

- Będziesz żył jak udzielny książę. Takie prawo obowiązuje na moim świecie. A w zamian, jeżeli mnie poślubisz, zostanę twoją jedyną spadkobierczynią.

- A ja twoim? - zapytał mężczyzna.
Karia znów się uśmiechnęła.
- Oczywiście.
- Muszę przyznać, że jednego nie rozumiem - potwierdził Lando. - Co się stanie po owych pięciu latach? Przystaniesz mnie wspierać? Nasze małżeństwo ulegnie rozwiązaniu?
- Jak już wspominałam, nasz związek będzie trwał, dopóki śmierć nas nie rozłączy - oznajmiła gospodyni.
- Ale później powinienem sam zatroszczyć się o siebie, prawda? - zapytał Calrissian. - No cóż, to rozsądna propozycja. Chciałbym jednak jeszcze coś powiedzieć. Nie zamierzam wykorzystywać cię ani wyzyskiwać. Chcę pracować. Tworzyć coś nowego, budować, organizować, kierować. Zamierzam zająć się przedsięwzięciem zakrojonym na wielką skalę, które zasługuje na to, żeby doprowadzić je do końca.
- Ależ tak, oczywiście - odparła kobieta. - To twoje prawo. Cel twojego życia. Musisz robić wszystko, żeby go urzeczywistnić. Będziesz starał się, jak potrafisz, i całkowicie poświęcisz się realizacji swoich marzeń. A kiedy zechcesz mieć kapitał na inwestycje, zapewnię ci go bez ociągania. Naturalnie nie będę taka nierozważna, by pozwolić ci korzystać ze wszystkiego, co dotychczas zgromadziłam, ale zapewniam cię, że to, co widzisz - szerokim gestem pokazała nieprawdopodobnie luksusową rezydencję i jej egzotyczne otoczenie - jest tylko mikroskopijną cząstką mojego majątku. Otrzymasz dosyć gotówki, żeby wystarczyło ci na wszystko, czego zapragniesz. Czy to cię zadawała?
- Ależ tak! - odparł szybko Calrissian. Oczywiście! W zupełności!
Jeszcze nikt nigdy nie złożył mu tak hojnej propozycji. Musiałby być szalony, żeby ją odrzucić. Nie mógł zwlekać, w obawie, aby Karia się nie rozmyśliła.
Kobieta wstała.
- A zatem, przystąpmy do ceremonii - powiedziała.
Lando i Luke także wstali, po części machinalnie, a po części ze zdumienia.
- Co, już, teraz? - zapytał kandydat na męża.
- Oczywiście - odparła gospodyni. - Jakiż sens miałyby dalsza zwłoka? Oboje wiemy, czego pragniemy, i oboje jesteśmy świadomi, co może nam zapewnić druga strona. Życie jest krótkie, a kto się ociąga, umiera.
- Lando, zaczekaj chwilę! - powiedział Luke. - Coś mi się tu nie zgadza. Jeszcze nie wiem, co takiego, ale coś jest nie w porządku.
Nastrój Karii uległ wyraźniej zmianie.
- Czyżby wielki Mistrz Jedi zamierzał podawać w wątpliwość moją prawdziwość? - zapytała kobieta tak lodowatym tonem, że prawie dało się usłyszeć grzechoczące w jej głosie kostki lodu. - Chodź, zajrzyj w głąb mojej duszy, a przekonasz się, czy kryją się tam jakieś kłamstwa. Nie mam nic do ukrycia.
- Nie muszę tego robić - odezwał się Skywalker. - Nie wątpię w szczerść twoich zamiarów. Nie sądzę też, żebyś kłamała albo oszukiwała. Mimo to czuję, że coś jest nie w porządku. Błagam cię, zechciej dać mojemu przyjacielowi trochę więcej czasu... chociażby godzinę... żeby mógł zastanowić się i wszystko przemyśleć.

W oczach kobiety zapłonęły iskierki gniewu.
- W ciągu tej godziny może zjawić się inny konkurent - rzekła, nadal równie lodowato. - Za godzinę może nie będę lubiła twojego przyjaciela tak bardzo, jak w tej chwili. Wie wszystko, co musi wiedzieć. Zna powody, dla których przyleciał do mnie. Teraz albo wcale.
Lando chwycił Mistrza Jedi za ramię i przyciągnął go do siebie.
- Daj spokój Luke'u - szepnął. - Nie upieraj się. Ona ma rację. Przecież właśnie tego szukałem. Nie utrudniaj mi zadania.
Skywalker utkwiał spojrzenie w oczach przyjaciela. Lando sam także zniżył głos do szeptu. - Z całą pewnością jeszcze nie dowiedzieliśmy się wszystkiego. Czy jesteś absolutnie pewien, że wiesz, na co się decydujesz?
Ciemnoskóry mężczyzna nagle poczuł, jak w jego żołądku rośnie bryła ołowiu. Uświadomił sobie, że jest przerażony. Śmiertelnie przerażony. Nie miał pojęcia, czym. Wiedział jednak, że gdyby w przeszłości cofał się przed tym, co go przerażało, może druga Gwiazda Śmierci wciąż jeszcze wisiaby na niebie. To właśnie w takich chwilach dawała o sobie znać cecha charakteru, którą inni nazywali odwagą.
- Nie, wcale nie jestem - szepnął w odpowiedzi. - Ale jak powiedziała ta dama, życie to ryzyko. Możliwe, że już nigdy nie będę miał takiej szansy, a zatem postanowiłem podjąć to ryzyko.
Odrzucił się do gospodyni, a później przygładził włosy i rozprostował fałdy tuniki.
- A jeżeli chodzi o samą ceremonię - zaczął tak poważnie i spokojnie, jak umiał. - Na czym miałyby polegać?
Karia wyciągnęła rękę i pokazała pięcioboczny czerwony baldachim, ustawiony w południowym kącie ogromnego salonu.
- Odbędzie się tam - powiedziała. - Staniemy pod baldachimem, włączymy urządzenie rejestrujące i w obecności świadka powtórzymy słowa przysięgi. Później złożymy pocałunek krwi i to będzie koniec ceremonii.
- Pocałunek krwi? - zapytał trochę zaniepokojony Calrissian.
Karia uśmiechnęła się.
- Och, zwykła formalność - rzekła. - To tylko szumna nazwa, ale sam rytuał nie ma w sobie nic okrutnego. Nakłujesz poduszczykę wskazującego palca swojej prawej ręki. Pojawi się kropla krwi. Ja ją pocałuję. Później ty uczynisz to samo. Pocałujesz krew, która pojawi się na moim palcu. I to wszystko. Staniemy się małżeństwem.
- Czy na pewno wszyscy zechcą je uznawać? - pragnął się upewnić Lando. - Czy to zgodne z prawem? Właśnie tak zawiera się małżeństwa na twoim świecie?
Karia znów się roześmiała.
- O tak, możesz pozbyć się wszelkich wątpliwości. Wszyscy na Leria Kerlsil uznają ważność tej ceremonii. W świetle prawa staniemy się mężem i żoną.
Lando nabrał spory haust powietrza i podszedł do kobiety. Wyciągnął ku narzeczonej lewą rękę, a ona położyła na niej prawą.
- A zatem, niech on będzie naszym świadkiem - oświadczyła, pokazując Mistrza Jedi. - Najwyższy czas rozpocząć ceremonię.

- Lando! Nie! - krzyknął Skywalker.

Uczynił ruch, jakby chciał podejść do przyjaciela, ale Calrissian wyciągnął prawą rękę i rozłożył palce w taki sposób, aby Mistrz Jedi mógł zobaczyć wnętrze dłoni.

- Właśnie tego pragnę, Luke'u - powiedział. - A ty obiecałeś, że mi pomożesz znaleźć żonę. Przysiągłeś to jako Mistrz Jedi. Oświadczam ci, że chcę, abyś dotrzymał przysięgi. Tu i teraz. Będziesz naszym świadkiem.

Lando widział niepokój i niepewność walczące ze sobą na twarzy przyjaciela. Zorientował się, że taka sama walka toczy się w sercu Luke'a. Obawa i wątpliwości zmagają się z chęcią wywiązania się z obietnicy. Zwyciężyła ta ostatnia.

- Niech się stanie, jak chcesz - odezwał się w końcu Skywalker. - Dotrzymuję obietnicy, którą złożyłem jako Mistrz Jedi. Rozpocznijmy ceremonię.

Kierowca skręcił raz w niewłaściwą stronę, ale kiedy się zorientował, natychmiast niemal w miejscu zawrócił. Po chwili zatrzymał pojazd przed rezydencją pani Ver Seryan. Threepio uświadomił sobie nagle, że Artoo nie wysiadzie z poduszki, jeżeli ktoś mu nie pomoże. Mimo to robot astronawigacyjny stał przy drzwiach, uniemożliwiając wyjście jemu samemu.

- Panie kierowco! - krzyknął złocisty android, uderzając w porysowaną przezroczystą plastikową szybę, która oddzielała przednią część pojazdu od pomieszczenia dla pasażerów. - Obawiam się, że znów muszę prosić, żeby zechciał pan pomóc mojemu towarzyszowi wysiąść z poduszki.

Mężczyzna odwrócił się jak użądlny i obdarzył Threepia nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie wygłupiaj się, pomyłona blaszanko - burknął oschle. - Wystarczająco się namęczyłem, kiedy tam, w kosmoporcie, pomagałem ci pakować go do środka.

- To wszystko prawda - zgodził się z nim android. - Ale im szybciej mój partner wydostanie się z pańskiego pojazdu, tym szybciej będzie pan mógł odjechać.

Threepio nie mógł nie zauważyć, że mężczyzna nie jest zachwycony faktem, iż znalazł się tak blisko posiadłości pani Ver Seryan. Najwyraźniej argumentacja androida protokolarnego przemówiła mu do rozumu, ponieważ otworzył drzwi kabiny i wysiadł, a potem obszedł pojazd i popchnął umieszczone z tyłu drzwi przedziału dla pasażerów. Uchwycił mięsistymi łapskami boki cylindrycznego korpusu małego robota i jednym silnym szarpnięciem wyciągnął go ze środka. Następnie przeszedł przez chodnik i bezceremonialnie rzucił niesiony ciężar na trawnik. Threepio miał tylko tyle czasu, żeby wysiąść, gdyż w następnej sekundzie kierowca wskoczył do kabiny. Odjechał tak szybko, że drzwi przedziału dla pasażerów trzasnęły zamknięte siłą ciągu silników pojazdu.

- No cóż - odezwał się filozoficznie złocisty android. - Nie mogę powiedzieć, abym żałował, że się go pozbyliśmy. Chodźmy, Artoo, nie mamy ani chwili do stracenia.

Robot astronawigacyjny wyprostował się z wysiłkiem, ale wszystko wskazywało na to, że będzie miał pewne trudności z wjechaniem do samego domu. Obrócił więc

kopułkę, kierując optyczny czujnik na złocistego towarzysza, a potem przeciągle, nagle zapisał.

- O rety, Artoo, masz rację - przyznał zmartwiony android. - W takich okolicznościach nie wolno mi czekać.

Odwrócił się w stronę domu i stąpając cokolwiek niepewnie ruszył tak szybko, jak pozwalały nieco rozkojarzone serwowmotory.

Pomyślał, że szczytem ironii i złośliwością losu byłoby, gdyby pomimo wszystkich kłopotów i trudów przybyli za późno. Z pewnością pan Luke czułby się bardzo zawiedziony. Wszyscy zmartwiliby się, gdyby nagle okazało się, że kapitana Calrissiana czeka nieuchronna śmierć.

Stali pod ogromnym czerwonym baldachimem ustawionym w pobliżu południowej ściany salonu. Z ukrytego głośnika płynęły ciche dźwięki hipnotyzującej muzyki. Na niskim pięciokątnym stoliku, stojącym dokładnie pod centralnym punktem baldachimu, płonęła dziwnym błękitnym blaskiem samotna czerwona świeca. Lando stał na wschód od niewielkiego stolika, a Karia na zachód.

Luke przyglądał się obojgu, ale nie wszedł pod baldachim. Pozostał na północ od niego, zwrócony plecami do salonu. Nie wyglądał na zachwyconego. Prawdę mówiąc, ceremonia, w jakiej miał za chwilę uczestniczyć, ani trochę mu się nie podobała. Dał jednak słowo Mistrza Jedi i nie mógł się wycofać. Obserwował więc teraz początek uroczystości zawierania związku małżeńskiego.

Karia uniosła ręce, a potem wyciągnęła je ku Calrissianowi. Trzymała je nisko, po obu stronach zapalanej świecy, zwrócone wierzchem dłoni ku podłodze. Lando również wyciągnął ręce, po czym zetknął dłonie z dłońmi kobiety. Błękitne światło płomienia świecy rzucało niesamowity blask na jego śniadą skórę.

- Lewa dłoń łączy się z prawą, a prawa z lewą - zaczęła kobieta. - Wschód z zachodem, a zachód ze wschodem. Wschód słońca następuje po zachodzie, a zachód po wschodzie. Życie trwa krócej niż najkrótsza chwila. Życie trwa dłużej niż zapada w pamięć - recytowała coraz bardziej monotonna. - Każda strona styka się z każdą inną. Za chwilę dwoje staną się jednością, a jedność przeistoczy się we wszystko.

Kiwnęła głową na Landa, dając znak, że powinien powtórzyć słowa przysięgi.

- Lewa dłoń łączy się z prawą, a prawa z lewą - zaczął postępowanie Calrissian. Starał się wymawiać słowa starannie i powoli, żeby brzmiały jak najbardziej uroczyste. - Wschód z zachodem, a zachód ze wschodem. Wschód słońca następuje po zachodzie, a zachód po wschodzie. Życie trwa krócej niż najkrótsza chwila. Życie trwa dłużej niż zapada w pamięć. Każda strona styka się z każdą inną. Za chwilę dwoje staną się jednością, a jedność przeistoczy się we wszystko.

Karia ponownie kiwnęła głową, po czym oderwała lewą dłoń od prawicy Calrissiana. Sięgnęła po leżący na blacie stolika instrument o kunsztownie rzeźbionej rękojeści, który wyglądał jak ceremonialny sztylet. Nie miał jednak ostrza. Zamiast niego z rękojeści sterczała dziesięciocentymetrowa igła, zakończona szpikulcem tak cienkim, że z trudem dało się go zauważyć. Kobieta umieściła czubek igły w płomieniu świecy, który w tej samej chwili zmienił barwę z błękitnej na krwistoczerwoną.

Nie odrywając prawej dłoni od lewicy Landa, Karia obróciła ją w taki sposób, że teraz wewnątrz kierowało się ku sufitowi. Przytrzymała wskazujący palec między drugim palcem i kciukiem swojej dłoni, a następnie uniosła zakończony igłą sztylet i...

Nagle rozległo się tak donośne, natarczywe pukanie do drzwi wejściowych, że i Karia, i Lando aż podskoczyli. Zwiastun przy drzwiach nie przestawał wydawać melodyjnych dźwięków, a stukanie przerodziło się w łomotanie.

- Zaczekajcie chwilę! - odezwał się Mistrz Jedi.

Odruchowo zbliżył dłoń do rękojeści miecza świetlnego. Bez względu na to, kim była dobijająca się do drzwi osoba, mogła opóźnić, a może nawet przerwać ceremonię. Luke uwolnił myśli i posługując się Mocą, usiłował dowiedzieć się, kim jest niespodziewany gość. ale nie wyczuł fal wysyłanych przez mózg jakiegokolwiek żywej istoty. A zatem intruz musiał być robotem albo androidem. Bardzo dobrze. To i tak nie miało znaczenia. Możliwe, że przed drzwiami stał tylko automat dostawczy, który przyszedł, żeby przypomnieć Karii o konieczności zapłacenia za zamówione artykuły żywnościowe. Luke postanowił nie przejmować się tożsamością przybysza. Najważniejsze, że zyskiwał trochę, czasu i zamierzał dobrze go wykorzystać.

- Przerwywamy ceremonię! - oświadczył stanowczo. - Nie wiem, kim albo czym jest stojący u drzwi gość, ale przerwywamy uroczystość, dopóki się tego nie dowiemy. Pozostańcie tam, gdzie stoicie!

Karia otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale Mistrz Jedi zauważył, że spojrzenie kobiety spoczęło na rękojeści jego miecza świetlnego. Gospodyni kiwnęła głową i nie odezwała się ani słowem. Lando także kiwnął głową.

- Idź i zobacz, kto to - powiedział.

Luke odwrócił się i podszedł do drzwi. Na wszelki wypadek odpiął od pasa rękojeść broni. Zwolnił zatrask, otworzył drzwi... i odskoczył na bok, aby wpuścić rozgorączkowanego złocistego androida.

- Threepio! - wykrzyknął, nie ukrywając zdziwienia. - Co, na miłość galaktyki, robisz...

- Przerwać! Przerwać! Przerwać! - zawołał niespodziewany gość, nieruchomiejąc pośrodku ogromnego salonu. Rozejrzał się niespokojnie, a kiedy dostrzegł stojących pod baldachimem Landa i Karię, natychmiast pospieszył ku nim, gorączkowo wymachując złocistymi rękami. Bezgranicznie zdumiony Luke zamknął drzwi i podążył za nim.

- Kapitanie Calrissian, niech pan przerwie tę ceremonię! - krzyknął Threepio. - Proszę natychmiast ją przerwać!

- O czym ty mówisz, Threepio? - zdziwił się Lando. - Nie powinieneś wtrącać się w nie swoje sprawy. Tym łomotem do drzwi narobiłeś tyle zamieszania, jakby chodziło o coś ważnego albo niecierpiącego zwłoki. Bądź taki miły i zechciej nam nie przeszkadzać.

- Ależ powiadam panu, że musi pan przerwać ceremonię! - Zrozpaczony Threepio odwrócił się do Mistrza Jedi. Panie Luke'u, proszę mi to powiedzieć. Czy oni mają już za sobą tę fazę uroczystości, kiedy składa się pocałunek krwi?

- Nie - odparł Skywalker. - Właśnie do niej przystępowali.

- Och, dzięki niech będą niebiosom za to, że zjawiłem się w samą porę. Musi pan przerwać ceremonię, kapitanie Calrissian. Ta kobieta jest życiowiedźmą!

- Kim? - zapytał niedoszły oblubieniec.

- Życiowiedźmą - powtórzył Threepio, oskarżycielskim gestem pokazując Karię. - Dowodzi tego grzecznościowy tytuł „Ver” przed jej nazwiskiem.

- Nie lubię słuchać tego określenia - odezwała się kobieta. - Nazywamy siebie życiodajnikami, ponieważ właśnie tym naprawdę się zajmujemy. - Spojrzała na Calrissiana. - Czyżbyś o tym nie wiedział? Czyżbyś nie był świadom? Jak mogłeś przylecieć do mnie, nie znając tak istotnej prawdy?

- Kim właściwie jest życiowiedźma? - zapytał zdezorientowany Lando. - Czy jesteś życiowiedźmą? - dodał, zwracając się do Karii.

- Jestem życiodajnią - oznajmiła stanowczo urodziwa gospodyni.

- Może ją pan nazywać jak pan zechce - odezwał się złocisty android tonem jeszcze bardziej podnieconym niż dotychczas. - Ale to prawda. Prawda! Zanim tu przyjechaliśmy, Artoo i ja sprawdziliśmy wszystko w planetarnych rejestrach. Mój partner pokazałby je panu, ale miał trudności z pokonaniem schodów. - Android protokolarny odwrócił się. W stronę Karii. No dalej - rozkazał. Powiedz im. Artoo i ja znamy całą prawdę. Przyznaj się, ilu dotąd miałaś mężów.

- To mój dar, taki sam, jaki mają inne życiodajnie - zaczęła Karia. Zignorowała złocistego androida i zwróciła się bezpośrednio do narzeczonego. Sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. - Rodzimy się i żyjemy tylko na tej planecie, ale nikt nie potrafi przewidzieć, która kobieta zostanie obdarzona takim darem. Zapewne dzieje się to za sprawą przypadku. Nawet tu, na Leria Kerlsil, jest nas bardzo mało. Pozostając blisko osób sędziwych, schorowanych albo stojących nad grobem, potrafimy pomóc im w cierpieniach, a co więcej, przedłużamy im życie. Pocałunek krwi wprowadza jakieś związki chemiczne z mojego organizmu do krwiobiegu małżonka. Dzięki temu mogę mu przekazać część własnych sił witalnych i w ten sposób powiększyć zasoby energii jego ciała. Chorzy i umierający pozbywają się bólu i żyją pewien czas, ciesząc się siłami witalnymi i dobrym zdrowiem. To właśnie na tym polega Wsparcie, o którym ci wspominałam. Nie możemy wszakże zapewniać Wsparcia zbyt długo. Potrafimy uśmierzać ból i przedłużać życie, ale jedynie przez określony czas, nie dłużej. Po jego upływie musimy wycofywać Wsparcie, gdyż w przeciwnym razie same umieramy. A siły witalne, które pozwalały naszemu małżonkowi żyć z pomocą Wsparcia, nie potrafią utrzymywać go przy życiu, kiedy Wsparcie ustaje. Taka osoba musi zatem umrzeć.

- Chcesz powiedzieć, że po upływie owych pięciu lat, kiedy będziesz mnie Wspierała...

- Wycofam Wsparcie i umrzesz - dokończyła Karia. - Myślałam, że to wiedziałeś. - Wzruszyła ramionami. - Nie byłbyś pierwszym młodym mężczyzną, który woli krótkie życie w spokoju i luksusie niż długie, ale pełne niebezpieczeństw i niepewności. A zanim zdążysz mnie zapytać, odpowiem, że nie; nie możemy poślubić nikogo, nie zapewniając mu stosownego Wsparcia. Ponadto pomiędzy jednym a drugim małżeństwem musimy spędzić pewien czas, odpoczywając i regenerując zdrowie. Ale i

nasze siły witalne są kształtowane przez to, co robimy i jak żyjemy. Życiodajnia, która dłuższy czas nie zapewnia Wsparcia, wędnie, choruje i umiera.

Lando otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale po chwili je zamknął. Zapewne zmienił zdanie.

- Twój przyjaciel, Chantu Solk, stanowił bardziej typowy przykład - ciągnęła kobieta. - Kiedy przyleciał do mnie, miał zaledwie kilka miesięcy życia. Pięc, a najwyżej sześć, w ciągu których żyłby, trawiony nasilającymi się cierpieniami. Dałam mu trzy lata. Spędził je u mojego boku, żyjąc w zdrowiu i radości, w zamian za co uczynił mnie jedyną spadkobierczynią. Kiedy umarł i przestał tego potrzebować, odziedziczyłam wszystko, co do niego należało. Czy uważasz, że to niesprawiedliwa zamiana?

Ciemnoskóry mężczyzna przeniósł spojrzenie z Karii na Threepia, by po chwili skierować je znów na kobietę. Dopiero po długiej chwili przyszedł do siebie na tyle, że odzyskał władzę nad strunami głosowymi. Głęboko odetchnął, po czym zadał tylko jedno, krótkie pytanie:

- Ilu miałś mężów do tej pory?

Kobieta wyprostowała się, a potem zaplotła ręce na piersiach. Kiedy przemówiła, w jej cichym, stanowczym głosie zabrzmiała godność i dumą.

- Nie zamierzam niczego przed tobą ukrywać - oznajmiła. - Życiodajnia nie może rodzić dzieci. Jesteśmy bepodne. W zamian cieszymy się długim życiem, o ile możemy służyć innym ludziom. Miałam zaszczyt przeżyć czterdziestu dziewięciu mężów.

- Czterdziestu dziewięciu mężów? - powtórzył Lando, nie ukrywając bezbrzeżnego zdumienia i przerażenia.

Luke, równie zdziwiony jak jego przyjaciel, popatrzył na Karię. Ileż lat mogła mieć ta kobieta? Czy w ogóle była kobietą? Czy miała prawo nazywać się ludzką istotą?

Karia Ver Seryan odwróciła się do Calrissiana i obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- Myślałam, że to wszystko wiedziałeś - powiedziała. - Jeżeli chodzi o mnie, moje oczy i serce, nic się nie zmieniło. Wezmę cię za męża, jeżeli zechcesz wziąć mnie za żonę. Pozostaje nam tylko złożyć pocałunek krwi, który nas połączy, aby moja krew zmieszała się z twoją. To prawda, miałam czterdziestu dziewięciu małżonków, ale jeżeli nadal pragniesz mnie poślubić, dokończymy tę ceremonię i wstąpimy w związek małżeński. Umrzesz za pięć lat, licząc od tej chwili, ale pożegnasz się z życiem szczęśliwy, że mogłeś zostać pięćdziesiątym.

ROZDZIAŁ

10

DEMONSTRACJA SIŁY

Coś dziwnego działo się z gwiazdą, oznaczona w atlasach jako TD-10036-EM-1271. Coś, co przeczyło wszystkim zbieranym w ciągu wielu tysięcy doświadczeniom. Coś, co zadawało kłam prawom gwiazdnej mechaniki. Na gwiazdę oddziaływały potężne siły. Podobne do gigantycznych niewidzialnych dłoni, manipulowały czymś w jej wnętrzu. Zwiększały temperaturę i ciśnienie do granic, których słońce jeszcze nigdy nie osiągnęło.

Powierzchnią gwiazdy TD-10036-EM-1271 zaczynały targać coraz silnie wstrząsy. Tworzącą jądro słońca superściśniętą materię przenikały potężne fale sejsmiczne. W odpowiedzi na wzrost temperatury i ciśnienia zewnętrzne warstwy stawały się coraz mniej stabilne. Gwiazda zmieniła barwę ze złocistożółtej najpierw na białą, a potem na błękitnobiałą. Następnie rozblęsnęła silniejszym, oślepiającym błękitnym blaskiem, który coraz szybciej zaczynał obejmować zakres nadfioletu...

A jeszcze później, co wydawało się wręcz niemożliwe, gwiazda TD-10036-EM-1271 po prostu eksplodowała.

Niosąca nieprawdopodobną energię fala uderzeniowa wyruszyła na spotkanie przestworzy we wszystkich kierunkach jednocześnie. Eksplozja miała być zauważona gołym okiem przez mieszkańców pięciu czy sześciu najbliższych zamieszkałych światów... dopiero jednak po upływie kilku lat albo dziesięcioleci, kiedy fala świetlna dotrze do powierzchni planet.

Mimo to dziwaczne zjawisko nie pozostało nie zauważone. Dziwnym zrzędzeniem losu, a może przez coś więcej niż tylko przypadek, w pobliżu eksplodującego słońca unosił się automatyczny robot zwiadowczy. Automat zarejestrował zjawisko wybuchu niezwyklej supernowej ze wszystkimi możliwymi szczegółami. Zapamiętał czas i miejsce, a potem omiótł promieniem skanera okolicę, aby zebrać informacje o współrzędnych miejsca, w którym wydarzyła się tajemnicza katastrofa. Później wyłączył zasilanie czujników i obiektów, a włączył komputer nawigacyjny. Opuścił system gwiazdy TD-10036-EM-1271 i udał się w miejsce, skąd

mógł bezpiecznie dokonać skoku w nadprzestrzeń. Zniknął z obszaru normalnych przestworzy i rozpoczął podróż w panujących między gwiazdami ciemnościach. Spieszył się, żeby zdążyć na spotkanie.

Spotkanie z kimś, kto oczekiwał na Korelii.

Kiedy Han Solo zapadał w sen, czuł się szczęśliwy. Ułożył dzieci do snu, otulił je kocami i ucałował na dobranoc, a potem sam położył się i zamknął oczy. Zanim zasnął, z tęsknotą rozmyślał o rodzinnym świecie. Był dumny z dzieci i kochał je z całego serca, ale przede wszystkim radował się, że wszyscy na pokładzie wiernego, starego „Sokoła Millennium” są cali, zdrowi i bezpieczni.

A jednak, kiedy zasnął, cała radość i duma ulotniły się, jakby nigdy ich nie odczuwał. Tej nocy dręczyły go senne koszmary. Na nowo przeżywał wszystkie najdramatyczniejsze wydarzenia dawnych wypraw i eskapad. Przypominał sobie potwory i maskary, które usiłowały pożreć go albo zgładzić z tego świata. Odtwarzał awaryjne lądowania, podczas których powinien był stracić życie. Wpadał w pułapki teoretycznie zupełnie bez wyjścia. Na ogół nocne koszmary nie śniły mu się zbyt często, ale kiedy się to zdarzało, przeżywał je, jakby działały się naprawdę. Zapewne niebezpieczeństwa, którym stawiał czoła i pokonywał je w prawdziwym życiu, tak głęboko zapadały w podświadomość, że wystarczyły, aby stać się pożywką dla koszmarów przez resztę życia.

A jednak to, co odczuwał, narażając się na najstraszliwsze nawet niebezpieczeństwa w prawdziwym życiu, błędło w porównaniu z nierzeczywistym, panicznym strachem dręczącym go owej nocy we śnie. Wydawało się, że przeżywa te same katusze wciąż na nowo, bez końca. Coś nieuchwytnego albo ukrytego, co nie miało twarzy, czaiło się i polowało na niego i na członków jego rodziny. Podążało za nim przez trupioblada, upiorną dżunglę, po której niosły się przeraźliwe jęki i wrzaski tak myśliwych, jak ściganej zwierzyny. W powietrzu unosił się przyprawiający o mdłości odór, wydzielany zwykle przez zwłoki. Zapewne gnily, a może rozkładały się w panującym upale, gdyż fetor był trudny do wytrzymania. Han miał wrażenie, że żar, smród i dziwaczne dźwięki smagają go po twarzy jak kolczaste różgi i wiedział, że biegnie i ucieka, i pędzi, i gna, aby ocalić życie. Pozostali członkowie jego rodziny biegli przed nim, a Chewbacca tuż za jego plecami. Przerazone dzieci krzyczały, ale uciekały, żeby nie pozostać w tyle za matką, która, posługując się mieczem świetlnym, wyrąbywała przejście przez splątane zarośla.

Han wiedział też, że nie powinien marnować energii ani czasu, starając się zobaczyć to coś, co go ścigało, ale nie potrafił się powstrzymać. Obrócił głowę, żeby zerknąć przez ramię, i w tej samej sekundzie zahaczył stopą o pęd winorośli i rozciągnął się jak długi. Wylądował jednak na plecach, a kiedy otworzył oczy, spojrzał prosto w...

Naprawdę otworzył oczy i dotarło do niego, że nie śpi. Leżał u boku Leii, w kabinie na pokładzie swojego frachtowca. Przypominał sobie, że przecież wszyscy są cali i zdrowi; nikomu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Usiadł i oparł stopy na pokładzie, a potem, starając się oprzytomnieć, kilka chwil siedział nieruchomo.

Stwierdził, że ma skórę pokrytą kroplami zimnego potu. Nabrał potężny haust powietrza i spróbował się odprężyć.

Później wstał i poruszając się ostrożnie w ciemnościach, jakie panowały w ciasnej kabinie, ruszył do drzwi. Wyszedł na korytarz po czym udał się do miniaturowej umywalki. Zapalił światło, ale porażony nagłym blaskiem, musiał zmrużyć oczy. Puścił wodę i nabrał ją w podstawione dłonie. Chwilę czekał, aż się napełni, a potem spryskał twarz. Dlaczego koszarne sny tak bardzo go przeraziły?

Nie musiał długo zastanawiać się nad odpowiedzią. Jego rodzina. Niebezpieczeństwo w snach zagrażało nie jemu, lecz członkom rodziny. Han uświadomił sobie, że oto zabiera żonę i dzieciaki na Korelię... na której działo się coś, w wyniku czego znikali nawet agenci Wywiadu Nowej Republiki, ale ich zdaniem było to na tyle niebezpieczne, żeby Han i członkowie jego rodziny nie mogli lecieć w charakterze przynęty. Na tę samą Korelię, gdzie nawet w dawnych dobrych czasach można było zawsze i wszędzie natknąć się na piratów albo przemytników. Cóż, na wszechświat, mógł sobie myśleć, zabierając Leię i dzieci na taką planetę?

- Ach, daj spokój - powiedział do swojego odbicia w lustrze. Leia i tak by poleciała, żeby wziąć udział w konferencji, a on doskonale wiedział, że nie zdołałby jej przekonać, aby nie zabierała w drogę pozostałych członków rodziny. W ciągu ostatnich lat oboje spędzili zbyt dużo czasu z daleka od siebie, aby pokornie godzić się na jeszcze jedno rozstanie. Nawet Chewbacca nalegałby, żeby polecieć... zwłaszcza gdyby przeczuwał, że dzieciakom może przydarzyć się jakieś nieszczęście.

Krótko mówiąc, nie mógł zrobić nic, aby odwieść kogokolwiek od uczestnictwa w wyprawie... o ile nie zdołałby przekonać wszystkich, że grożące niebezpieczeństwa są o wiele poważniejsze niż się wydają.

A jednak... A jednak... Agentka WNR musiała wiedzieć coś więcej niż powiedziała. A może powiedziała coś więcej niż wiedziała? Tak czy owak, coś było nie w porządku. Han nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Zerknął na chronometr i westchnął. I tak miał wstać jakąś godzinę później niż się obudził. Nie warto już układać się do snu. Równie dobrze mógł iść do sterowni i zająć się przygotowaniami do powitania koreliańskiego systemu gwiazdowego. Do celu podróży pozostawało przecież zaledwie kilka krótkich godzin.

Wrócił do kabiny i ubrał się najciszej jak potrafił. Leia mruknęła coś przez sen i obróciła się na drugi bok, ale się nie obudziła. To dobrze. Han wyszedł na korytarz i podążył na dziób statku.

Nie zdziwił się, że zastał w sterowni Chewbacę. Wookie siedział w fotelu drugiego pilota, zajęty sprawdzaniem obwodów i podzespołów.

- Cześć, Chewie - powiedział Han, po czym klepnął wiernego druha po kosmatym ramieniu. - Ty także nie mogłeś spać?

Chewie odpowiedział cichym warknięciem, po czym wrócił do pracy. Han opadł na siedzenie swojego fotela. Pstryknął przełącznikami kilku systemów kontrolnych i przyjrzał się wskazaniom trzech czy czterech mierników, ale po chwili zdjął dłonie z pulpitu. Chwilę nieruchomo, a potem opuścił je wzdłuż boków i odchylił się na fotelu, po czym założył nogę na nogę i pogrzyżył się w zadumie.

Jego wiedza na temat tego, co się działo w koreliańskiej polityce, pochodziła wprawdzie sprzed minimum dwudziestu lat, ale powinna wystarczyć jako materiał do przemyśleń. Kto chciałby sprawiać kłopoty? Ludzie? Dralowie? Selonianie? Rzecz jasna, odpowiedź na to pytanie mogła być o wiele bardziej skomplikowana. Wszystkie trzy rasy inteligentnych istot dzieliły się na frakcje i mieszały, bądź co bądź, na wszystkich pięciu światach. Dawało to oszałamiającą liczbę możliwych kombinacji, kto z kim i przeciw komu mógł zawierać przymierza. A któż wiedział, czy od tamtych czasów nie zniknęły jedne albo nie pojawiły się inne ugrupowania? Han doszedł jednak do wniosku, że nie musi zaprzętać sobie tym głowy. Znał wszystkie trzy rasy i wiedział, czego może się spodziewać. Dralowie byli zbyt wrażliwi i ostrożni, aby wszczynać awantury, których nie umieliby zakończyć. Selonianie uważaliby mordowanie agentów WNR za czyn uwłaczający ich godności, żeby nie powiedzieć obrzydliwy. A poza tym, WNR cieszył się jak najbardziej zasłużoną opinią organizacji, która nie wtrącała się w sprawy inteligentnych istot prześladowanych w czasach panowania Imperium.

Należałoby zacząć od tego, że funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki nie próbowaliby nawet węszyć pośród Selonian ani Dralów. A gdyby nawet chcieli zmienić zdanie, bardzo szybko przekonaliby się, że zwerbowanie agentów spośród istot należących do tych ras jest po prostu prawie niemożliwe. Nie było przesadą stwierdzenie, że Dralów i Selonian przebywających poza granicami rodzimych przestworzy dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. A zatem, nawet gdyby agenci WNR któregoś spotkali, jakie mieli szanse trafienia na kogoś, kto zgodziłby się szpiegować na szkodę swoich ziomków?

Nie, funkcjonariusze WNR nie zdołaliby szpiegować Selonian ani Dralów, a przynajmniej nie mogliby liczyć na powodzenie. Zapewne nie próbowaliby nawet wówczas, gdyby okazało się to możliwe, ponieważ ani jedni, ani drudzy nie dostarczyliby im wystarczających pretekstów, co więcej, o ile trudno byłoby doszukiwać się jakichkolwiek pozaplanetarnych powodów, dla których istoty obu tych ras miałyby rozpoczynać awantury, o tyle istniało mnóstwo takich pretekstów, gdy chodziło o istoty ludzkie. A zatem to one musiały być najbardziej prawdopodobnymi podejrzanymi.

Nie stanowiło żadnej tajemnicy, że Imperium notorycznie dyskryminowało istoty nie będące ludźmi. W najlepszym razie traktowało je jak obywateli podrzędnej kategorii. Han rzucił okiem na Chewbacę, zajętego sprawdzaniem podzespołów. Z istot niektórych ras, jak na przykład z Wookiech, Imperium uczyniło niewolników. A zatem chyba żadne obce istoty nie zmartwiły się, kiedy Imperium zostało obalone. Z pewnością jednak udałoby się odszukać ludzi uważających erę rządów Imperium za najwspanialszy okres życia. Bez wątplenia i w sektorze Korelii znalazłoby się wiele istot ludzkich tęskniących za czasami, kiedy władzę sprawował Imperator. Tacy z pewnością nie mieli powodów, aby lubić Nową Republikę.

Zresztą już sam fakt, że w całą sprawą był wmieszany Wywiad Nowej Republiki, pozwalał się domyślać, że jego przeciwnicy to istoty ludzkie. W Wywiadzie pracowało

wielu funkcjonariuszy tej rasy, więc WNR nie miałby żadnych trudności z wprowadzeniem ich do społeczności istot ludzkich Korelii... i vice versa.

Han wyprostował się. Chwileczkę. Właśnie ten problem nie dawał mu spokoju od samego początku. Kalenda oświadczyła, że przeciwnicy zdołali pochwytać, a może nawet zamordować co najmniej sześciu funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki. Nikt nie był aż taki dobry... o ile nie mógł liczyć na czyjąś pomoc.

Krótko mówiąc, dawało to niemal całkowitą pewność, że polityczni przeciwnicy Nowej Republiki przeniknęli do komórek Wywiadu. Han rzucił okiem na wskazania chronometrów i mierników. Do wyskoczenia z nadprzestrzeni pozostawało mniej więcej pół godziny. No cóż, musiał zrobić wszystko, żeby wykorzystać ten czas, najlepiej jak potrafi.

- Chewie - powiedział, zwracając się do przyjaciela. - Trochę się tym wszystkim niepokoję.

Rosły Wookie obnażył groźne kły i odpowiedział przeciągłym wyciem.

- Wiem - odparł Solo. - Sam zastanawiałem się nad tym, co powiedziała Kalenda. Możliwe, że tamci czekają na nas z czymś więcej niż tylko komitetem powitalnym i orkiestrą.

Chewie warknął pytająco i gestem kosmatej ręki pokazał komputer nawigacyjny.

- Nie, to nie najlepszy pomysł - odrzekł Han. - Nawet kiedy w ich przestworzach roilo się od piratów i tak dalej, Korelianie zawsze przywiązywali dużą wagę do tego, aby odwiedzający ich system goście wyskakiwali z nadprzestrzeni w ściśle określonym miejscu i czasie. Gdybyśmy się pojawili w innym miejscu, najpierw by nas zestrzelili, a dopiero później zapytali, dlaczego nie trzymamy się ustalonego planu. Nie, powinniśmy ukazać się w tym samym punkcie czasoprzestrzeni, który podaliśmy, ale musimy być przygotowani na ewentualne niespodzianki. Chciałbym, żebyś zakończył sprawdzanie wszystkich podzespołów, a później jeszcze raz skontrolował działanie systemów uzbrojenia i obrony. Jeżeli stwierdzisz, że jakiś mało ważny podzespół został uszkodzony, nie naprawiaj go, dopóki się nie upewnimy, że jesteśmy gotowi do walki. Możliwe, że nie zostaniemy do niej zmuszeni, ale nie chcę ryzykować. Wolę, żeby przeciekała jakaś rura niż gdybym miał przekonać się po niewczasie, że nie funkcjonują turbolasy. Niedługo wrócą i pomogę ci, ale teraz powinienem pójść na rufę i powiedzieć wszystkim, aby się przygotowali.

Chewie pokręcił głową, a potem otworzył usta i cicho parsknął.

- Hej, odpręż się, nie będzie aż tak źle - zganił go Solo. - Zamierzam tylko zamienić kilka słów na osobności z Leią. Nie sądzisz przecież, że chciałbym denerwować albo straszyć dzieciaki, prawda?

W odpowiedzi Chewbacca cicho zawył. Chyba jednak nie został przekonany.

Han wstał z fotela i udał się do rufowych pomieszczeń „Sokoła”. Nie tylko stwierdził, że dzieci nie śpią, ale przekonał się, iż obudziły mamę. Wszyscy krzatali się w świetlicy, przygotowując śniadanie.

- Jak się miewacie z samego rana? - zapytał z uśmiechem.

- Cześć, tato! Doskonale - odparł Jacen, który właśnie otwierał pojemnik z jedzeniem. - Czy to dzisiaj wylądujemy na Korelii?

- Zgadza się - potwierdził Han, uśmiechając się chyba jeszcze serdeczniej. - Ale najpierw musimy zmniejszyć prędkość i wyskoczyć z nadprzestrzeni. Mniej więcej za pół godziny.

- Super! - powiedział chłopiec - To musi być fantastyczny widok. Czy możemy być wówczas w sterowni, żeby wszystko lepiej widzieć?

- Nie tym razem, kolego. - Jeżeli po wyjściu z nadprzestrzeni okaże się, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo, Han wolałby nie musieć uspokajać płaczących za plecami przerażonych dzieciaków. - Może kiedy indziej. Teraz wolałbym, żebyście wszyscy troje zjedli śniadanie i posprzątałi, i w ogóle robili to, co powie mama. Później przypniecie się do foteli i przygotujecie do wyskoczenia z nadprzestrzeni... bo inaczej zawracamy i lecimy do domu. Rozumiecie?

- Tak, tato - odpowiedzieli chórem Jacen i Jaina. Mały Anakin, który słuchał wszystkiego z szeroko otwartymi oczami, tylko poważnie kiwnął głową.

- To dobrze - powiedział Han. - A teraz pozwólcie, że na kilka chwil zabiorę waszą mamę. Później muszę wracać do sterowni, więc nie zobaczymy się, dopóki „Sokół” nie znajdzie się w koreliańskich przestworzach. Bądźcie grzeczni, przynajmniej do czasu, aż znów przyjdę. Zgoda?

Tym razem usłyszał nieskładny chór trzech dziecinnych głosów. Zadowolony, kiwnął głową. Wyszedł z Leią na korytarz i starannie zamknął za sobą drzwi świetlicy.

- Co się stało, Hanie? - zapytała Leia, zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Gdzie co się stało? - odparł natychmiast, trochę zbity z tropu jej poważnym tonem.

- Czym zacząłeś się martwić jeszcze zanim wyruszyliśmy na tę wyprawę?

Czyniąc to absolutnie odruchowo, Han ułożył rysy twarzy w trochę koślawy, przekorny uśmiech. Już chciał wszystkiemu zaprzeczyć, ale zmienił zdanie. Pozwolił, żeby uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Oto rozmawiał z żoną, matką ich dzieci. Stała przed nim przywódczyni Nowej Republiki, bohaterka wojny - umiejająca posługiwać się Mocą kobieta, która w razie potrzeby potrafiła być równie bezwzględna jak wywodzący się z rasy Noghrich mordercy albo skrytobójcy. Nie mógł jej oszukiwać i liczyć, że ujdzie mu to na sucho.

A przede wszystkim, popełniłby błąd, gdyby nawet próbował. Musiał wyjawić całą prawdę. Nic nie zyskiwał, udając, że wszystko jest w porządku i nikomu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Było oczywiste, że i tak nie wywiódłby jej w pole.

- Nie wiem, o co tu chodzi - zaczął - ale dzieje się coś niedobrego. Nie chciałem cię tym martwić, ponieważ nie miałem pojęcia, co takiego. Przed kilkoma dniami zaczęła mnie funkcjonariuszka Wywiadu Nowej Republiki. Oznajmiła, że nie ma informacji od kilku agentów, których wystano do sektora Korelii. Właściwie była to jedyna konkretna informacja, jaką mi przekazała. Nie sądzę, żeby sama wiedziała dużo więcej.

- Dlaczego więc w ogóle ci to powiedziała? - zapytała Leia.

- Chciała, żebym zachowywał się podejrzanie, kiedy wyląduję na Korelii - odrzekł Han. - Miała nadzieję, że ten, kto jest odpowiedzialny za zniknięcie albo zabicie jej agentów, zwróci uwagę na mnie, a nie na jej funkcjonariuszy.

- Nie rozumiem, dlaczego miałaby cię o to specjalnie prosić - rzekła Leia. - Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio nie zwracałeś uwagi na siebie albo nie zachowywałeś się podejrzanie.

Han uśmiechnął się, ale wiedział, że żona ma rację.

- To prawda. Żaden koreliański złoczyńca ani konspirator nigdy nie uwierzyłby, że przyleciałem tylko jako turysta. I tak wszyscy musieliby mnie obserwować.

- W takim razie dlaczego ci z WNR prosili, żebyś robił to, co zwykle robisz, aby ich przeciwnicy postąpili tak, jak i bez tego by postąpili?

- Myślałem o tym - przyznał Solo. - I doszedłem do wniosku, że to miało być ostrzeżenie. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie przypuszczam, żeby owa agentka miała upoważnienie do wyjawienia mi, o co naprawdę chodzi.

- Przed czym chciała cię ostrzec?

- Zapewne przed tym, że możemy się znaleźć w trudnej sytuacji. Nie mam tylko pojęcia, w jakiej. Rozmyślając o tym cały czas, kilka razy chciałem nawet odwołać wyprawę. Doszedłem jednak do wniosku, że gdyby ci z Wywiadu mieli wrażenie, iż przywódczyni Nowej Republiki nie powinna nigdzie się wybierać, po prostu by ci to oznajmili. Prawdopodobnie agentka zamierzała powiedzieć mi tylko, abym miał się na baczności. Nie sądzę, żeby chciała ostrzec nas przed jakimś konkretnym niebezpieczeństwem.

Leia westchnęła i oparła się plecami o przegrodę.

- I to wszystko? - zapytała. - Nie powiedziała nic więcej, co zaniepokoiłoby cię albo zmartwiło?

- No cóż, jest jeszcze jedna sprawa - odparł Han. Pięć minut po jej odejściu Chewie zauważył szpiegującego nas automatycznego zwiadowcę. Próbowaliśmy zaskoczyć go i pochwycić, ale probot, zamiast ulec samozniszczeniu, zaczął do nas strzelać. Chewie zdołał go trafić, zanim automat zdążył wyrzucić mi jakąkolwiek krzywdę. Nie sądzę, żeby probot miał czas przesłać meldunek, zanim spłonął, a przede wszystkim nie przypuszczam, abyśmy rozmawiali o czymś ważnym, co mógłby podsłuchać.

Leia uniosła brew.

- Kiedy tamtego wieczora wróciliście do domu na kolację, wydawało mi się, że czuję won spaleniżny albo dymu powiedziała.

- Właściwie nie wiem, dlaczego od razu o wszystkim ci nie opowiedziałem - wyznał Han.

- W przyszłości nawet tego nie próbuj - rzekła Leia. - Tamten robot sondujący mógł cię zabić. Czy jest jeszcze coś, czym się denerwujesz?

- No cóż, chyba tylko tym, że lecimy na Korelię - odrzekł Solo. - Ale już sam ten fakt wystarczy, żebym starał się szukać powodów, dla których moglibyśmy nie lecieć na tę wyprawę. Zajmowanie się koreliańską polityką przypomina wkładanie ręki do gniazda węży.

- I właśnie to jest główny powód, dla którego tam lecę - oznajmiła przywódczyni Nowej Republiki.

Unikała spełniania większości próśb dotyczących na przykład pojawienia się podczas ceremonii koronacji władcy jednej planety albo wygłoszenia mowy w czasie uroczystości nadawania stopni naukowych jakiegoś uniwersytetu na drugiej. Nie spieszyła się, żeby zapobiec drobnemu konfliktowi politycznemu na trzecim świecie lub zażegnać dyplomatyczny spór tłący się jeszcze gdzieś indziej. Wiele czasu i stanowczości wymagało od niej załatwianie spraw w taki sposób, żeby nie musiała lecieć na każde wezwanie, by przecinać wstęgi, otwierać uczelnie, wygłaszać przemówienia, rozstrzygać spory i w ogóle osobiście uczestniczyć we wszystkim, co mogło się dziać na wielu wchodzących w skład Nowej Republiki najdziwniejszych światach.

Dlatego już sam fakt, iż zgodziła się polecieć na Korelię, miał wykazać wszystkim, jaką wagę przywiązuje do spraw tej planety. Miał podkreślić trudności, którym musiała stawiać czoło, by osiągnąć to wszystko, co zamierzała. Gdyby jednak zdołała nawiązać stosunki handlowe i z Korelią, i z pozostałymi sektorami jądra galaktyki, jej starania zakończyłyby się nieprawdopodobnym sukcesem. Za jednym zamachem rozwiązałyby to połowę problemów, z jakimi borykała się Nowa Republika. Obecność Leii stanowiła coś w rodzaju sygnału. Oznajmiała wszystkim, jak istotne jest dla Nowej Republiki rozwiązanie problemów związanych z sytuacją w sektorze Korelii.

Z drugiej strony, nadawała wyprawie o wiele większy rozgłos. To z kolei oznaczało, że stawki w grze, które i bez tego uchodziły za wysokie, stawały się nagle o wiele, wiele wyższe. Zagrożające niebezpieczeństwa były zbyt niejasne i zbyt mało prawdopodobne, by pozwolić im przeszkodzić w osiągnięciu celu. Co więcej, mogły w ogóle nie istnieć poza bujną wyobraźnią młodszej agentki Wywiadu Nowej Republiki.

- Musimy tam lecieć, prawda? - zapytał Han, chociaż nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Ale nie musi się to nam podobać - odrzekła Leia. - Już prawie czas - dodała. - Lepiej wróć do sterowni i zajmij się przygotowaniami.

Han westchnął.

- Masz rację - powiedział ponuro.

Ucałował żonę i ruszył w stronę sterowni, ale przystanął przed zamkniętymi i uszczelnionymi drzwiami. Czuł dziwną ulgę, zapewne wywołaną tym, że zwierzył się Leii. Niebezpieczeństwo - o ile naprawdę jakieś istniało nie zmalowało, ale przynajmniej ujawnił coś, co dotąd stanowiło tajemnicę. Nie lubił niczego ukrywać przed Leią. Doszedł do wniosku, że pora zmienić temat. Na ogół nie znosił zastanawiania się nad tym, co odczuwa ani jakimi pobudkami się kieruje. Co więcej, miał teraz na głowie ważniejsze sprawy. Przycisnął guzik i płyta drzwi otworzyła się z cichym sykiem. Po chwili Han opadł ciężko na fotel pilota.

Najwyższy czas, żeby zabrał się do pracy.

Han zerknął jeszcze raz na chronometr komputera nawigacyjnego. Zbliżali się. Od wyskoczenia z nadprzestrzeni dzieliło ich już tylko kilka minut. Chewie dwukrotnie

sprawił wszystkie ważne urządzenia pokładowe, a szczególną uwagę poświęcił systemom uzbrojenia i obrony. Byli tak dobrze przygotowani do walki, jak mogli być bez obejrzenia z zewnątrz statku stojącego w doku.

Zapewne tak samo przygotowali się ich przyjaciele z Korelii. Znali współrzędne punktu, w którym „Sokół” powinien wyskoczyć z nadprzestrzeni, bez wątplenia nie gorzej niż nawigacyjny komputer frachtowca. Może nawet odrobinę lepiej, jeżeli wziąć pod uwagę kłopoty, jakie ten ostatni często miał z niezawodnością pracy. Jeżeli rodzinę Solo czekały jakieś niespodzianki - a mówiąc bez ogródek, jeżeli ktoś zamierzał dokonać zamachu na życie przywódczyni Nowej Republiki - niemal z pewnością przystąpi do działania chwilę po tym, kiedy frachtowiec wyłoni się z nadprzestrzeni.

Dlaczego mieliby na to pozwalać? Z pewnością nie powinni ryzykować! Jakież sens miało przestrzeganie przepisów koreliańskiej kontroli ruchu powietrznego, skoro mogłoby to oznaczać wpadnięcie w pułapkę? Han podjął błyskawiczną decyzję.

- Chewie - zaczął - zapomnij o wszystkim, co ci dotąd powiedziałem. Nie przejmuję się tym, że złamiemy przepisy i zarządzenia. Zamierzam wyskoczyć z nadprzestrzeni dwadzieścia sekund wcześniej niż powinienem.

W odpowiedzi usłyszał ryk protestu, ale niczego innego się nie spodziewał.

- Nie obchodzi mnie, jak daleko od wyznaczonego punktu się znajdziemy. Możemy zważyć całą winę na komputer nawigacyjny i pozwolić, żeby karę zapłaciła Nowa Republika. Całą sytuacja wcale mi się nie podoba i dlatego wole zboczyć z kursu niż wyskoczyć tam, gdzie powinienem, aby stwierdzić, że znajduję się pośrodku krzyżów celowniczych laserów pirackich statków.

Chewbacca kiwnął kosmatą głową, przyznając mu rację. Po chwili cicho warknął coś, co zabrzmiało jak pytanie.

- Ta-a, myślałem o tym, żeby pozostać w nadprzestrzeni odrobinę dłużej i wyskoczyć bliżej Korelii - przyznał Solo. - Uważam jednak, że będzie rozsądniej, jeżeli wyskoczmy za wcześnie, a nie za późno. Im wcześniej pojawimy się w koreliańskich przestworzach i zgłosimy swoje położenie, tym prędzej będziemy mogli wysłać sygnał o pomoc, jeżeli okaże się, że sami nie damy sobie rady.

Chewie przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, a potem ponownie kiwnął głową na znak zgody.

- No dobrze - ciągnął Han. - W takim razie zaczynamy. - Wyciągnął rękę i pstryknął przełącznikiem interkomu. - Wszyscy cali i zdrowi?

Usłyszał radosny chór głośnych „tak” dzieci. Później odezwała się Leia.

- Czujemy się świetnie, Hanie - oznajmiła. - Czy to już pora?

- Mniej więcej - odparł Han. - Zamierzam wyskoczyć dwadzieścia sekund wcześniej... na wszelki wypadek, żeby nie ryzykować.

Powiedział to jakby od niechcenia. Wiedział, że słuchają go dzieci, a nie zamierzał ich niepokoić. Pragnął, żeby zabrzmiało to jak coś najnormalniejszego w świecie, a nie jak zmiana zawczasu ułożonego planu.

- Dobry pomysł - odparła Leia równie pogodnym i beztróskim tonem. - Prawdę mówiąc, chwilę wcześniej sama chciałam ci to zaproponować.

- Cieszę się, że jesteśmy jednomyślni - stwierdził Solo. – Do zobaczenia po drugiej stronie.

Wyłączył interkom i upewnił się, czy dźwigienka przełącznika znalazła się we właściwym położeniu. Wiedział, że czasami, a zwłaszcza w chwilach takich jak ta, miała zwyczaj się zacinać. Obawiał się, że sprawy mogą przybrać zły obrót, a nie chciał, żeby dzieciaki dowiedziały się o wszystkim, co ich może czekać.

Później wyciągnął prawą rękę i dwukrotnie zgiął i rozprostował palce. Po chwili pochwycił rękojeść kontrolnej dźwigni jednostki napędu nadświetlnego. Lewą ręką wyłączył system automatycznego sterowania, ale pozostawił włączony wyświetlacz pokazujący cyfry na ekranie komputera nawigacyjnego.

- No, dobrze, Chewie - zaczął. - Wyłączam silniki napędu nadświetlnego dwadzieścia sekund przed ustalonym terminem. Nie daj się zaskoczyć.

Obserwował, jak zmieniają się cyferki i maleje zapisany w pamięci czas do wyskoczenia z nadprzestrzeni. Pchnął rękojeść w chwili, kiedy pozostało dokładnie dwadzieścia sekund. Widoczne w iluminatorze świetliste smugi przemieniły się w punkciki... dobrze znajome gwiazdy sektora Korelii. Powrócił do domu.

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, pozwolił sobie na luksus podziwiania widoku, który pamiętał i kochał, kiedy był dzieckiem. Bez trudu odnalazł dwa charakterystyczne gwiazdozbiory. Przypomniał sobie, że widział je na niebie, kiedy z dziecka przeistaczał się w młodzieńca. Pozwolił, żeby odwiedziły go wspomnienia z czasów młodości. Pamiętał letnie ciepłe noce, kiedy całymi godzinami wpatrywał się w usiane gwiazdami niebo. Zapraszały go do siebie, przyciągały, wabiły i wzywały...

Ostrzegawcze warknięcie Chewiego sprawiło, że natychmiast oprzytomniał. Zamrugał i stwierdził, że trzyma dłonie dokładnie tam, gdzie powinien. Podświadomie przygotował się na najgorsze.

Zanim jednak miał czas przystąpić do działania, do życia obudził się komunikator.

- Wzywam nieznanego statek - zatrzeszczało w głośniku. - Mówi koreliańska kontrola lotów. Znalazłeś się w zakazanym rejonie przestworzy. Natychmiast przedstaw się, kim jesteś.

Głos był oschły i szorstki. Nieprzyjemny. Domagał się, a nie prosił.

Han zareagował natychmiast. Postanowił uciec się do nieszkodliwego kłamstwa, które przygotował na tę okazję.

- Koreliańska kontrola lotów, tu kapitan „Sokoła Millenium” - odpowiedział. - Popelniliśmy niewielki błąd w trakcie obliczania współrzędnych skoku. Właśnie przygotowujemy się do przelecenia w miejsce, gdzie mieliśmy wyskoczyć z nadprzestrzeni.

Zapała krótka cisza, po czym Han ponownie usłyszał głos kontrolera ruchu powietrznego.

- Bardzo dobrze, „Sokole Millenium”. Macie lecieć ze standardową prędkością, aż znajdziecie się w wyznaczonym punkcie spotkania. Zaczekacie tam na dalsze instrukcje.

Punkcie spotkania? Nie mieli się z nikim spotykać! Czyżby ktoś na Korelii szykował im niespodziankę?

- Postępuję zgodnie z otrzymanymi poleceniami, kontrolo lotów - odparł Han, spoglądając na Chewiego. Widząc wyraz jego twarzy, domyślił się, że i Wookie zwrócił uwagę na to przejeżdżenie. - Zdaje się, że powiedzieli nam więcej niż zamierzali - dodał, kiedy wyłączył komunikator. Upewnił się, że frachtowiec leci ku Korelii, unoszącej się przed dziobem niczym błękitnobiała marmurowa kula. Obliczył poprawkę uwzględniającą współrzędne punktu spotkania, po czym uruchomił silniki napędu podświetlnego. - Zaczyna się, Chewie. Lecimy ku wyznaczonemu punktowi. Przekonajmy się, czy nie czeka tam na nas komitet powitalny.

Chewie jednak już wcześniej włączył dalekosiężne bierne skanery. Właśnie w tej chwili przeszukiwały przestworza przed dziobem frachtowca. Nie musiały się natrudzić, żeby coś znaleźć. Tam. Dokładnie wokół punktu, w którym powinien wyłonić się „Sokół”. Han naliczył na ekranie co najmniej sześć słabych błysków, rozmieszczonych na powierzchni kuli; jej środek stanowił punkt wyskoczenia z nadprzestrzeni. Gdyby frachtowiec pojawił się tam, gdzie powinien, zostałby osaczony.

Han cicho gwizdnął.

- Rzeczywiście komitet powitalny - odezwał się cicho. - Niewielkie jednostki wojskowe, zapewne patrolowce. Z tej odległości nie możemy ich zobaczyć, a gdybyśmy nie mieli czujników o dużej czułości, w ogóle nie wiedzielibyśmy o ich obecności. Ciekawe tylko, czy mają stanowić eskortę honorową, wysłaną w celu powitania przewodniczącej Nowej Republiki, czy też może ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł, by ją aresztować.

Chewie ironicznie prychnął, ale zakończył wypowiedź czymś, co zabrzmiało jak pytające warknięcie.

- No cóż, może to mnie chcą aresztować - zgodził się Solo. - Tyle że tamte nakazy powinny były stracić ważność przed wielu laty. Wierz mi; sam to sprawdziłem. Zresztą teraz i tak wszystko jedno. Czekają na nas sześć eskortowców, więc nie zdołamy zawrócić. Z pewnością gdzieś w przestworzach czają się inne jednostki, gotowe odciąć nam drogę ucieczki.

Chewie przeciągle zawył na dowód, że przyznaje mu rację.

- No, dobrze - ciągnął Han, jakby myślał na głos. - Piloci tamtych sześciu muszą mieć na pokładach bardzo czułe wojskowe skanery, a zresztą otrzymują informacje od koreliańskiej kontroli lotów. Założę się jednak, że przypuszczają, iż dysponujemy jedynie standardowym wyposażeniem, jakie zwykle instalują kapitanowie statków handlowych. Przynajmniej tylko takie zgłosiłem, kiedy rejestrowałem „Sokoła”. A jeżeli nie znają czułości naszych skanerów i detektorów, muszą sądzić, że ich nie widzimy, a zatem nie mamy pojęcia o ich istnieniu. Co zrobią kiedy nas zobaczą, ale dojdą do wniosku, że ich nie widzimy?

Przyglądał się chwilę ekranowi. Okazało się, że nie musiał zbyt długo czekać na odpowiedź.

- Zmieniają położenie - odezwał się do przyjaciela, chociaż Wookie oglądał ten sam obraz na swoim monitorze. - Kierują się ku nam, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Tak samo postąpiliby i członkowie straży przybocznej, i bandyci.

Chewie burknął coś na znak protestu.

- Ta-a, chyba masz rację - stwierdził po chwili Solo. - Zrobili to stanowczo za szybko. Uruchomienie silników i równoczesny manewr zajęły im zaledwie kilka sekund. - Umilkł i przez chwilę nad czymś się zastanawiał. - Z góry zaprogramowany - powiedział w końcu. - Kiedy ruszyli w naszą stronę, wykonali z góry zaprogramowany manewr. Tyle że znajdujemy się jakiś milion kilometrów od wyznaczonego miejsca. Chewie, wyłącz na chwilę silniki napędu podświetlnego i powiedz mi, co wskazują skanery rufowe. Tylko szybko!

Większość statków miała za rufą coś, co można było określić mianem martwej strefy. Zazwyczaj poświata wydobywająca się z dysz silników napędu podświetlnego zakłócała sygnały i skutecznie uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek, jeżeli używało się skanerów wykorzystujących promieniowanie widzialne. W przypadku „Sokoła” owa martwa strefa była mniejsza niż u innych statków, ale jednak istniała. Mimo to rufowe czujniki działały prawidłowo, jeśli silniki napędu konwencjonalnego pozostawały wyłączone.

Podobnie jak inni piloci, Han nie znosił takiego manewru. W dodatku wszystko wskazywało na to, że w obecnej sytuacji nie powinien lecieć z unieruchomionymi silnikami. W normalnych okolicznościach obróciłby statek o sto osiemdziesiąt stopni i posłużyłby się czujnikami dziobowymi. Teraz jednak leciała ku niemu flota sześciu uzbrojonych jednostek. Pilotowała je szóstka palących się do walki żołnierzy, których zamiary pozostawały tajemnicą, a zatem Han nie bardzo mógł pozwolić sobie na taki manewr.

Silniki napędu podświetlnego cicho jęknęły i umilkły, co było zjawiskiem całkiem normalnym. Później jednak rozległ się stłumiony huk, którego nikt się nie spodziewał. Han i Chewie wymienili spojrzenia, ale po chwili kapitan „Sokoła” wzruszył ramionami.

- To stare pudło ciągle wydaje z siebie nowe dźwięki - powiedział, starając się nadać głosowi nutę optymizmu. - Zapewne to nic poważnego.

Chewie zamierzał coś powiedzieć, ale właśnie w tej chwili do życia obudziły się rufowe detektory. I nagle kłopoty, jakie mogły sprawiać wyłączone silniki napędu podświetlnego, przestały być najważniejsze. Od strony rufy zbliżały się następne statki. Leciały bardzo szybko i kierowały się prosto ku „Sokołowi”.

Trzy. Coraz bliżej... Coraz bliżej... Na tyle blisko, że Han widział je gołym okiem.

- Trzy Brzydale! - krzyknął. - Od strony rufy! Och, jak ja nie cierpię tych Brzydali!

Han miał powody, by za nimi nie przepadać. Brzydale stanowiły powód do dumy niektórych nie cieszących się najlepszą opinią koreliańskich stocznicy. Były zbieraniną części i podzespołów wyszperanych przez pracowników w najróżniejszych składnicach złomu. Sądząc z wyglądu, dwie z tych rzeczy - Han nie mógł się przemóc, by nazywać je myśliwcami albo statkami - były kiedyś X-skrzydłowcami. Teraz jednak nie miały skrzydeł, a zamiast nich przyspawano im po bokach dwa panele, wymontowane niewątpliwie z wcześniejszych modeli imperialnych myśliwców typu TIE.

Rozpoznanie, z czego składał się ostatni Brzydał, nastroczało nieco więcej trudności. Bez wątplenia część zawierająca kabinę pilota pochodziła z lekkiego

koreliańskiego frachtowca, bliźniaczko podobnego do „Sokoła”, została przynitowana do kadłuba poważnie uszkodzonego myśliwca typu B, przy czym turbolaserowe działo przytwierdzono bezpośrednio do podbrzusza kadłuba. Wygląd lasera pozwalał snuć przypuszczenia, że broń stanowiła kiedyś wyposażenie baterii naziemnej. Z pewnością nie pozwalała na celne mierzenie i strzelanie, ale pilot, dysponując bronią takiego kalibru, musiał mieć szczęście tylko raz, aby unicestwić przeciwnika.

Cały problem z Brzydalami polegał na tym, że nikt nie mógł być nigdy absolutnie pewien, czego się po nich spodziewać. Niektóre myśliwce typu X-TIE w ogóle nie miały pól ochronnych, podczas gdy inne miały dwukrotnie silniejsze niż zazwyczaj. Toporne maszyny różniły się także, czasami nawet bardzo, pod względem uzbrojenia. Żadna z trzech nadlatujących od strony rufy jednostek nie sprawiała wrażenia zdolnej do długiego latania w przestworzach, a zatem piloci Brzydali musieli być albo głupcami, albo samobójcami. Najprawdopodobniej i jednymi, i drugimi równocześnie. Taka czy owak, nie mieli doświadczenia. Za to kiepscy i gotowi na wszystko mężczyźni, pilotujący sklecone byle jak maszyny, mogli okazać się bardzo groźni w trakcie zaciętej walki toczzonej w bliskim dystansie. Groźniejsi nawet niż doświadczeni zawodowi żołnierze, którzy cenili własną skórę i wiedzieli, na co stać ich myśliwce. Najgorszy ze wszystkiego mógł się jednak okazać fakt, iż Brzydalami latały tylko same szumowiny koreliańskich przestworzy. Nie mający szczęścia piraci. Najemnicy gotowi za odpowiednią sumą zdradzić i zmienić front w ogniu najzaciętszej walki. Desperaci nie mający nic do stracenia. I ludzie, którzy nie chcieli, żeby ich rozpoznano.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Hana w czasie krótszym niż odstęp pomiędzy dwoma uderzeniami serca. Kapitan „Sokoła” odwrócił się do Chewiego. Zamierzał wydać mu polecenie włączenia generatorów głównych pól ochronnych i uzbrojenia dziobowych laserów, ale Wookie właśnie się tym zajmował. Wobec tego Han postanowił od razu przejść do następnego punktu harmonogramu.

- Chewie, musisz sam pilotować „Sokoła” - powiedział. - Ja idę na górę, do wieżyczki poczwórnego działka.

Wookie kiwnął głową i niecierpliwym gestem przynaglił przyjaciela do pośpiechu. Han uderzył palcami w guzik otwierający drzwi sterowni i przycisnął się na korytarz, zanim zdążyły otworzyć się do połowy. Wspiął się po drabince do wieżyczki działka, po czym usiadł na obrotowym fotelu. Wcisnął na głowę hełm ze słuchawkami, uzbroił działko i uruchomił systemy celownicze.

- Chewie! - odezwał się do mikrofonu. - Widzę je stąd gołym okiem. Na razie nie znalazły się w zasięgu strzału, ale nie chcę, żeby podlatywały za blisko. Pamiętaj, że ma na pokładzie dzieci, i wolał wybrać ucieczkę zamiast walki z trójką Brzydali, a może także pilotami eskorty honorowej - o ile okazaliby się nie tak honorowi jak przypuszczał. - Włącz silniki napędu podświetlnego i zabierz nas gdzieś indziej!

Obrócił lufy działka w taki sposób, żeby skierowały się na pierwszy myśliwiec typu X-TIE. Już miał przycisnąć guzik spustowy, kiedy „Sokół” niespodziewanie obrócił się w miejscu o dziewięćdziesiąt stopni. Chewie zamierzał wycofać frachtowiec z linii łączącej Brzydale i wojskowe eskortowce. Bardzo dobrze. Han pogodził się z tym, że stracił dobrą okazję do strzału. O wiele bardziej wolał znaleźć się w

bezpiecznym miejscu. Czekał, aż włączą się silniki napędu podświetlnego i „Sokół” zacznie się oddalać od Brzydali.

Nic jednak się nie wydarzyło. Han ze smutnego doświadczenia wiedział, co to może oznaczać, i dlatego natychmiast zrozumiał, co się stało. Odgadł prawdę, jeszcze zanim usłyszał ryk sfrustrowanego przyjaciela. A jednak ten głuchy huk, który usłyszeli, kiedy Chewie wyłączał jednostkę napędu konwencjonalnego, zwiastował jakieś uszkodzenie. Han spojrzął w dół, na korytarz. Uczynił to w samą porę, żeby zobaczyć, jak Chewbacca biegnie na rufę, do panelu kontrolnego silników napędu podświetlnego.

Han mruknął coś, a potem pomodlił się w duchu do nieznanych mocy, które mogły ich obserwować, żeby chociaż ten jeden, jedyny raz uszkodzenie nie okazało się poważne. Później usunął z głowy wszystkie inne myśli i skupił uwagę na nadlatujących Brzydalach. Zerknął na ekran komputera taktycznego. Stwierdził, że nieznanne jednostki znajdują się w zasięgu strzału za jakieś dwie i pół sekundy. Komputer celowniczy szykował się do automatycznego mierzenia i strzelania, ale Han przełączył go na sterowanie ręczne. Teraz, kiedy musiał się przygotować do poważnej walki, zamierzał pierwszym strzałem unieszkodliwić myśliwiec typu B. Uważał, że właśnie z jego strony zagraża „Sokołowi” największe niebezpieczeństwo. W końcu tylko zgadywał, że podwieszona pod brzuchem stacjonarne działo nie pozwalało na celne mierzenie i strzelanie. Prawda mogła wyglądać inaczej, a on nie zamierzał ryzykować. Obrócił lufy działka tak, by obca maszyna znalazła się na celowniku. Miał nadzieję, że Chewie nie zapomni o włączeniu pół ochronnych, zanim wybiegł ze sterowni i pognął ku panelowi kontrolnemu uszkodzonego silnika.

Tymczasem zniekształcony myśliwiec typu B był coraz bliżej. Han zwlekał z otwieraniem ognia o sekundę dłużej niż powinien. Chciał, aby cały kadłub znalazł się w polu widzenia urządzenia celowniczego. Później przycisnął guziki spustowe i wypuścił długą smugę ognia laserowego. Trafił w sam środek kadłuba, ale nie przestawał strzelać, dopóki ognista błyskawica nie dotarła do jednostki napędu podświetlnego. Zobaczył, że jeden z silników bakburtowych rozbłysnął i odmówił posłuszeństwa. Doskonale. Może nie trafił w żaden czuły punkt, ale częściowo obezwładnił nieprzyjacielską maszynę. Natychmiast obrócił lufy działek, zamierzając zająć się przynajmniej jednym myśliwcem typu X-TIE. W tej samej sekundzie uświadomił sobie jednak, że zarówno oba mniejsze Brzydale, jak i uszkodzona maszyna typu B, śmignęły obok burty „Sokoła”.

Dopiero po następnej chwili w pełni zrozumiał, co to oznaczało. Wszystkie trzy obce maszyny przeleciały obok jego frachtowca. Ich piloci zignorowali go, jakby go nie widzieli. Żaden nawet nie usiłował otworzyć ognia.

O, nie - mruknął Han do siebie. Właśnie rozpoczął walkę z trzema silnie uzbrojonymi jednostkami, których piloci nie traktowali go jak wroga. Przypadkiem, podążając własnym kursem, przelatywali w pobliżu „Sokoła”. Han pamiętał, że kiedy pełnił służbę jako młodszy oficer na jednym z okrętów strzegącej koreliańskiego sektora imperialnej floty, pośród załogi krążyło pewne powiedzenie: „Nigdy nie

zaczepiaj Brzydala”. O ile dobrze pamiętał, istniały ważne powody, dla których lepiej było słuchać tej rady.

W tej samej chwili, mimo iż pokładowe systemy sztucznego ciężenia działały bez zarzutu, poczuł silne szarpnięcie. Najwyraźniej Chewie uporał się z naprawą uszkodzonej jednostki napędowej. Po sekundzie kolejne szarpnięcie dawało znać, że silniki się wyłączyły. Z pewnością Chewie uruchomił je za pomocą jakiejś sobie tylko wiadomej sztuczki, a kiedy się upewnił, że funkcjonują prawidłowo, ponownie wyłączył, żeby pobiec do sterowni i zająć się pilotowaniem. Han spróbował ocenić, ile czasu może zająć przyjacielowi droga powrotna, po czym dodał pół sekundy, na wszelki wypadek, gdyby Chewbacca wyszedł z wprawy. Po upływie spodziewanego czasu ponownie zerknął w dół, na korytarz. Okazało się, że się nie pomylił w obliczeniach. Zobaczył Wookiego, wracającego co tchu w piersi do sterowni. Przez pół sekundy żałował, że nie poprosił Leii, aby zajęła się obsługiwaniem czterolufowego działka. Mógłby wówczas pozostać w sterowni, kiedy Wookiee biegł na rufę i wracał po skończonej naprawie. Teraz było na to za późno, a zresztą, ktoś przecież musiał pozostać z dziećmi. Biedactwa musiały trząść się ze strachu. Han nie mógł na to nic poradzić. W ogóle nie mógł zrobić nic oprócz pełnienia obowiązków artylerzysty.

W słuchawkach hełmu rozległ się dziwny odgłos - na poły jęk, a na poły warknięcie. Dźwięk zasygnalizował Hanowi, że Chewie znów zasiadł za sterami. Kolejne silne szarpnięcie oznaczało, że Wookiee przesłał pełną moc do jednostki napędu podświetlnego. Han z trudem śledził Brzydale, które nadal kierowały się ku patrolowcom straży honorowej. Tymczasem „Sokół Millennium” leciał kursem prostopadłym do trajektorii lotu trójki oddalających się statków. Kapitan frachtowca czuł jednak, że coś się nie zgadza. Działo się coś dziwnego. Wyglądało na to, że ani piloci Brzydali, ani komitet powitalny nie zwracają na niego najmniejszej uwagi.

- Chewie! - krzyknął w pewnej chwili. Natychmiast zastopuj! Wyłącz silniki, obróć nas o sto osiemdziesiąt stopni, zmień kierunek siły ciągu i zaczekaj na następne polecenia.

Chewbacca odpowiedział nietrudnym do przewidzenia rykiem protestu, ale Han nie zamierzał dawać się zastraszyć.

- Wykonaj! - rozkazał stanowczo. - Coś mi się tu nie podoba. Ten byle jak sklecony myśliwiec typu B spokojnie mógł nas rozpylić na atomy pierwszym strzałem, ale pilot nawet nie uzbroił lasera.

Chewbacca znów zaryczał, chociaż trochę ciszej. Jednak Han miał wrażenie, że i tym razem ryk rozległ się we wnętrzu jego ucha.

- Gdyby to byli piraci, usiłowałiby nas obezwładnić, a nie usmażyć. No i co? Tego też nawet nie spróbowali. A powinni. Widzieli nas jak na dłoni. Jeden strzał w rufę „Sokoła”, kiedy wyskakiwaliśmy z nadprzestrzeni, i byłoby po nas.

Nagle w słuchawkach hełmu rozległ się spokojny głos Leii.

- Hanie, to ja. Korzystam z linii łączności bezpośredniej. - Oznajmiała mu, że dzieci nie słyszą ich rozmowy. - Co się stało?

- Później, Leio. Nie zawracaj mi teraz głowy.

Han wyciągnął rękę i przerwał połączenie ze świetlicą. Może nie powinien tak bezceremonialnie traktować żony, ale nie mógł pozwolić sobie na to, by cokolwiek odwracało jego uwagę. Obawiał się, że okazałoby się to zgubne w skutkach. Jeżeli przeżyją przeprosi Leię i opowie o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami.

- Chewie - powiedział. - Zastopuj całkowicie. Obróć statek i pozostań w miejscu. Możesz wznieść się wyżej, żebyśmy mieli lepszy widok na... na wszystko, co się będzie działo.

Statek ponownie szarpnął, kiedy Chewie w końcu postanowił usłuchać rozkazu. Następnie obrócił się wokół osi, gotów do powrotu, gdyby zaszła taka potrzeba. Han upewnił się, że komputer taktyczny rejestruje wszystko, co się dzieje. Później skupił uwagę na poczynaniach pilotów Brzydali.

Dolatywali właśnie do jednostek eskorty honorowej, ale zamiast wdawać się z nimi w walkę, zatoczyli łuk i...

- Chewie! - ryknął Solo. - Pełna moc do generatorów dziobowych i sterburtowych pół osłon! Natychmiast!

Dopiero teraz piloci Brzydali zaczęli strzelać do „Sokoła”. Nie przestawali, mimo iż mieli o wiele gorsze pole ostrzału i dzieliła ich ponaddwudziestokrotnie większa odległość niż wówczas, kiedy przelatywali obok frachtowca. W dodatku nie mogli liczyć na to, że zaskoczą kapitana „Sokoła”, i ryzykowali, że zostaną ostrzelani z bliska przez pilotów eskortowców jeżeli rzeczywiście sześć niewielkich jednostek patrolowych miało stanowić coś w rodzaju straży honorowej. Ale dlaczego? Dlaczego? To wszystko nie miało sensu! Seria wystrzelonych z pokładu myśliwca typu B laserowych błyskawic musnęła kadłub frachtowca. Odbiła się od pola ochronnego i zatrzęsała kadłubem. Celny strzał pomyślał Han ale mógł być o wiele, wiele celniejszy.

Ponownie w słuchawkach rozległ się ryk Chewbacci, lecz Han nie dał przyjacielowi dojść do słowa.

- Nie! Nie wykonuj żadnych manewrów! - krzyknął. - Strzelają tak, żeby nas nie trafić. Nawet najgorsze niezdary siedzące za sterami tych Brzydali nie mogłyby z tej odległości tak haniebnie pudłować, o ile by się nie starały. Jeżeli przeleciś gdzie indziej, możemy zostać trafieni przez błyskawicę, która miała tylko otrzeć się o burtę „Sokoła”. Zachowaj spokój. Nie jestem pewien, ale chyba wiem, o co tu chodzi.

Przyglądał się, jak jednostki eskorty atakują i ostrzeliwują trójkę Brzydali. Ich piloci nie bardzo próbowali unikać strzałów. Prawdę mówiąc, pilot topornego myśliwca typu B w ogóle nie przejmował się zagrożeniem. Raz po raz strzelał do „Sokoła”, ale jego laserowe błyskawice albo przelatywały w pobliżu, albo odbijały się od pół ochronnych frachtowca. Maszyny typu X-TIE zmieniły kurs, a ich piloci odpowiadali ogniem na wyskakujące z łuf działek kieszonkowych patrolowców nitki światła. Bez większego skutku. Doświadczone oczy Hana natychmiast zauważyły, że albo działka zainstalowane na pokładach myśliwców X-TIE nie dysponują dużą mocą, albo patrolowce eskorty honorowej mogą się pochwalić nieprawdopodobnie potężnymi osłonami... o wiele silniejszymi niż Han mógłby się spodziewać z uwagi na tak małe rozmiary jednostek. A jeżeli rzeczywiście miały tak silne osłony, z pewnością nie mogły się poszczycić groźnymi laserami. Mimo to już pięć czy sześć pierwszych

chaotycznych strzałów, oddanych przez pilota kieszonkowego patrolowca lecącego na czele szyku, wystarczyło, żeby jeden z myśliwców XTIE został uszkodzony. Silniki i systemy uzbrojenia odmówiły posłuszeństwa, w wyniku czego wrak, koziołkując, zaczął oddalać się od pola walki. Piloci trzech jednostek eskorty wykonali - sprawnie jak na defiladzie - niepotrzebnie skomplikowany manewr i, nie przestając posyłać laserowych błyskawic, skierowali się ku drugiemu myśliwcowi typu X-TIE. Jego pilot zwrócił maszynę w ich stronę. Skupił uwagę na patrolowcu lecącym na czele szyku. Kilka razy go trafił, ale potem jego Brzydał stracił lewe skrzydło.

Pozbawiony osłony pilot myśliwca typu B w końcu zrezygnował z zasypywania „Sokoła” błyskawicami strzałów laserowych. Zatoczył niezgrabny łuk i wymierzył działko laserowe w jeden z kieszonkowych patrolowców, którego pilot z dużym trudem utrzymywał maszynę na tym samym kursie. Trafił już za pierwszym razem i miniaturowa jednostka przemieniła się w kulę ognia. Piloci pozostałych pięciu patrolowców rzucili się ze wszystkich stron na napastnika i zaczęli zasypywać go seriami laserowych błyskawic. Kadłub maszyny typu B został wielokrotnie trafiony. Na śródkręciu doszło do niewielkiej eksplozji, w wyniku czego myśliwiec zaczął się obracać wokół osi kadłuba. Piloci jednostek eskorty honorowej nie przestawali atakować wroga ze wszystkich kierunków równocześnie. Kolejny wybuch, tym razem na rufie myśliwca typu B, jeszcze bardziej przyspieszył tempo wirowania. Potem wnętrzem kadłuba targnęło kilka mniejszych eksplozji, które po chwili ogarnęły cały kadłub. Jeszcze później ciemności rozjaśnił błysk gigantycznej eksplozji. Han musiał zamknąć oczy, gdyż błysk niemal go oślepił. Kiedy je znów otworzył, przekonał się, że po Brzydalu nie zostało ani śladu. Toporny myśliwiec typu B zniknął tak nagle, jakby nigdy nie istniał.

Han przyglądał się, jak piloci pozostałych kieszonkowych patrolowców wykręcają triumfalną bączkę.

- Jakie to miłe - mruknął do siebie. - Jakie miłe. Tylko czy mają dość zimnej krwi, żeby udawać do samego końca?

- „Sokół Millenium”, tu kapitan Talpron, dowódca drugiej eskadry Wojsk Obrony Planety. Czy na pewno nic się wam nie stało?

- Absolutnie nic - odparł Han, starając się, żeby jego głos zabrzmiał jak najbardziej przekonująco. - Jesteśmy cali i zdrowi. Serdeczne dzięki za ratunek.

- Nie mi za co, „Sokole Millenium”. Cała przyjemność po naszej stronie. Zawsze do usług.

Na długo przed wyprawą ustalono, że pilot jakiegokolwiek koreliańskiej jednostki, który chciałby nawiązać łączność z „Sokołem Millenium”, nie będzie wymieniał nazwiska żadnej osoby lecącej na pokładzie frachtowca. Chodziło o to, żeby zapewnić przywódczyni Nowej Republiki choćby minimum bezpieczeństwa. Najwyraźniej kapitan Talpron stosował się do tego uzgodnienia - mimo iż było oczywiste, że owo bezpieczeństwo pozostawia wiele do życzenia.

No cóż, jeżeli Talpron zamierzał udawać, że nie wydarzyło się nic szczególnego, Han miał dość własnych powodów, żeby nie utrudniać jego zadania.

- Czyje to były jednostki? - zapytał tonem grzecznościowej pogawędki, jakby sam tego doskonale nie wiedział.

- Jakiejś nieznaney grupy, „Sokole Millenium” - odpowiedział Talpron. - Mogły należeć do jakiegokolwiek spośród wielu band koreliańskich piratów, którym wydawało się, że staniecie się łatwym łupem. Możliwe, że przylecieli tu z jakiegoś systemu Obrzeży.

- W takim razie wykrzycie, skąd przylecieli, zapewne okaże się bardzo trudne - domyślił się współczująco Solo.

- To prawda, „Sokole Millenium” - odrzekł Korelianin, nie kryjąc zniechęcenia. - Święta prawda.

- No cóż, nawet jeżeli nie uda się wam wyśledzić, skąd pochodzili, wprost brak mi słów, żeby wyrazić naszą wdzięczność za to, iż ocaliliście nas od zagłady - ciągnął jak najpoważniej Han. - Bardzo nam przykro, że straciliście jednego ze swoich. Proszę przyjąć wyrazy współczucia i przekazać kondolencje najbliższej rodzinie zabitego pilota.

- Słucham? - zapytał zdezorientowany Talpron. - Ach, tak. Oczywiście. Proszę się tym nie martwić. O wszystko się zatroszczymy.

- Ta-a, jestem gotów się założyć - mruknął do siebie Han, tak cicho, by nie usłyszał go kapitan koreliańskiego patrolowca. Później znów zbliżył usta do mikrofonu. - Kapitanie Talpron, jeszcze raz dziękuję za pomoc. Teraz jednak muszę doprowadzić statek do porządku po niedawnym alarmie bojowym i zająć się sprawdzeniem niektórych podsystemów. Czy nie zechciałby mi pan wybaczyć...

- Ależ oczywiście, panie kapitanie. Pozostaniemy na dotychczasowych pozycjach i zaczekamy, aż będzie pan gotów do dalszego lotu. Proszę dać znać, kiedy pan skończy. Posłużymy jako wasza eskorta podczas lotu na Korelię.

- Z prawdziwą przyjemnością, kapitanie. „Sokół Millenium” przerywa połączenie.

Han wyłączył komunikator i odwiesił hełmofon, po czym odpiął pasy sieci ochronnej, przytrzymującej go na fotelu artylerzysty. Kilka chwil siedział nieruchomo, pogrążony w zadumie.

Niektóre odmiany sabaka miały to do siebie, że reguły gry mogły się zmieniać nawet w trakcie tego samego rozdania. Oznaczało to, że komplet kart zapewniający wygraną mógł w jednej sekundzie stać się zwiastunem sromotnej klęski. Ale zdarzało się także coś wręcz przeciwnego. Karty, które jeszcze chwilę wcześniej wyglądały beznadziejnie, w następnej gwarantowały zgarnięcie całej puli. Zwycięstwo w grze polegało na tym, żeby wiedzieć, kiedy dokładnie, jak szybko i za pomocą jakich środków mogło dojść do owej zmiany. Jedynie wówczas można było się do niej przygotować. Jedynie wtedy dało się ustalić strategię gry w nowej sytuacji.

Od czasu do czasu przeciwnikom zdarzało się popełnić omyłkę. Na przykład ten czy ów pokazywał kartę, której nie powinien. Wiedziało się wówczas więcej niż przeciwnicy przypuszczali. Najuczciwsi spośród graczy w sabaka byli na tyle równymi gośćmi, że ujawniali przeciwnikom fakt, iż widzieli takie albo inne ich karty. Tyle że gracze w sabaka, którzy chcieli wygrać, bardzo rzadko bywali aż tak uczciwi.

Przeciwnicy, bez względu na to, kim byli, właśnie pokazali Hanowi pewne karty. On wszakże nie zamierzał informować ich, iż cokolwiek zobaczył.

Na swoje usprawiedliwienie miał to, że nie był ani trochę pewien, jakie w tej grze obowiązują reguły.

Kiedy wszedł do sterowni, nie sprawiał wrażenia zaskoczonego widokiem żony. Leia siedziała w fotelu pierwszego pilota i wpatrywała się w iluminator. Prawdę mówiąc, Han nie spodziewał się po niej beczynności, kiedy atakowanemu frachtowcowi mogło zagrażać niebezpieczeństwo. Ucieszył się na jej widok. Zapewne uspokoiła dzieciaki i zrobiła to, co w takich okolicznościach należało. Odwróciła się i popatrzyła na wchodzącego męża.

- Miło ci się gawędziło z naszymi nowymi przyjaciółmi? - zapytała.

Rzecz jasna, wciąż jeszcze była rozdrażniona, że tak bezceremonialnie wyłączył komunikator.

- O, tak - odrzekł Solo. - To bardzo sympatyczni goście. Czy z dziećmi wszystko w porządku?

Leia kiwnęła głową w stronę ekranu niewielkiego monitora, ukazującego w tej chwili wszystko, co działo się w świetlicy. Han ujrzał na nim trzy małe postacie. Na twarzach dzieci malowała się powaga.

- Oświadczyłam im, że jeżeli przestanę widzieć je na ekranie, nie dostaną obiadu przez cały tydzień - powiedziała. - Przynajmniej ten jeden jedyny raz zrozumiąły, że powinny być posłuszne. Ale co, na płonące przestworza, tu się wyprawia, Hanie?

- Przepraszam, że cię tak bez słowa wyłączyłem, Leio - odrzekł Han, odpowiadając raczej na urazę w głosie żony niż na samo pytanie. - Musiałem się skupić. Obawiałem się, że gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót, moglibyśmy wpaść w poważne tarapaty...

Właściwie nie zwracał uwagi na swoje słowa. Myślał o tym jak uporać się z problemem, który właśnie się pojawił, a nie o tym że powinien być miły dla żony. - Posłuchaj, pozwól mi teraz usiąść w fotelu pilota, dobrze? Muszę spróbować coś zrobić.

Leia wstała z fotela, ale wszystko wskazywało na to że jeszcze się nie udobruchała.

- Moglibyśmy wpaść w tarapaty? - powtórzyła. - Moglibyśmy? W takim razie jak nazwiesz fakt, że strzelali do nas jacyś piraci?

- Nie było żadnych piratów i nikt do nas nie strzelał - odparł beznamiętnie Han. Sprawiał wrażenie zmęczonego. - Właśnie dlatego poleciłem Chewiemu, żeby nie wykonywał żadnych manewrów. Obawiałem się, że wówczas - przez zwykły przypadek - moglibyśmy zostać trafieni którymś z tych niecelnych strzałów. - Ciężko opadł na fotel pilota. - Chewie, przełącz ekran na obraz taktyczny i odegraj wszystko od samego początku, dobrze? Daj to na główny ekran.

Chewbacca obdarzył przyjaciela dziwnym spojrzeniem, ale usłuchał. Po dłuższej chwili na ekranie ukazał się zarejestrowany obraz taktyczny całej sytuacji. Zamiast

rzeczywistych jednostek gwiazdnych widniały na nim symbole, dokładnie odtwarzające układ sił sprzed kilku minut.

- Przyjrzyj się zwłaszcza tym Brzydalom - powiedział Solo. - Pamiętaj też, że wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni o wiele bliżej niż powinniśmy, ale „Sokoł” leciał dokładnie według kursu, który miał doprowadzić go do punktu, gdzie nas oczekiwano. Brzydale leciały tym samym kursem, lecz w normalnych przestworzach... Ich piloci spodziewali się, że zobaczą nas dwadzieścia sekund później i jakiś milion kilometrów dalej. Nie wykorzystali idealnej pozycji do oddania strzału i przelecieli obok frachtowca, jakby go w ogóle nie zauważyli. Nawet nie odpowiedzieli na mój strzał, kiedy widząc w nich wrogów, jednego zaczęłam. Przez chwilę myślałem, że otwierając ogień do jednostki, której pilot nie uważał nas za nieprzyjaciół, skazałem wszystkich na pokładzie „Sokoła” na pewną zagładę. Okazało się jednak, że byłem w błędzie. Dopiero wówczas zaczęło mi świtać, co się dzieje. Brzydale przeleciały obok nas, ale zawróciły i otworzyły ogień do „Sokoła” dopiero wówczas, kiedy znalazły się blisko kieszonkowych patrolowców eskorty honorowej. I ani jeden ich strzał nie był celny, a przecież z tej odległości nie chybiłby chyba nawet Threepio.

Chewie warknął i zawył na znak, że zgadza się ze zdaniem przyjaciela.

- Właśnie - ciągnął Solo. - Brzydale były zdalniakami. Powtarzam: Na ich pokładach nie było ani jednej żywej istoty. Pilotowali je nie ludzie, lecz komputery. W dodatku kiepsko zaprogramowane. Myślicie miały dolecieć do określonego punktu, a potem otworzyć ogień do jednostki, która odpowiadałaby opisowi „Sokoła”. Miały strzelać, ale w taki sposób, żeby jej nie trafić. Komputery spodziewały się, że wyskoczymy pośrodku kuli, na której obrzeżach oczekiwały patrolowce eskorty honorowej. I gdybyśmy się tam pojawili, wszystko ułożyłoby się doskonale. Wówczas byłoby uzasadnione otwieranie ognia stamtąd, skąd go otworzyli. Postępowanie rzekomych pilotów Brzydali wyglądałoby sensownie, a obrona przez nich taktyka walki nie wzbudziłaby naszych podejrzeń. My jednak wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni o wiele bliżej, wskutek czego Brzydale przeleciały obok nas tak blisko, że omal się z nami nie zderzyły. A strzelać zaczęły dopiero wówczas, gdy znalazły się w znacznie gorszej pozycji do otwarcia ognia. Wynika stąd, że ktoś je bardzo kiepsko zaprogramował.

Odwrócił się w stronę Wookiego.

- Chewie, zmień program i pokaż, jak by wszystko wyglądało, gdybyśmy pojawili się tam, gdzie trzeba.

Obraz zniknął z ekranu, a po kilku sekundach pojawił się symbol przedstawiający „Sokoła Millennium”. Frachtowiec właśnie wylaniał się z nadprzestrzeni pośrodku niewidocznej kuli. Na jej hipotetycznej powierzchni czekało sześć kieszonkowych patrolowców eskorty.

- Gdybyśmy wyskoczyli dwadzieścia sekund później tam, pośrodku sferycznego szyku, w jakim ustawiły się jednostki komitetu powitalnego, wszystko nabrałoby sensu. Żli goście nadlecieliby i zaatakowali „Sokoła”, ale zdążyliby oddać tylko kilka niecelnych strzałów, gdyż do akcji wkroczyliby bohaterscy piloci eskorty honorowej.

Wymierziliby śmiechu warte pukawki w rzekomych napastników i zaczęliby ich zasypywać gradem nieszkodliwych strzałów.

- Ale przecież piloci eskorty także stracili jeden patrolowca - przypomniała Leia.

- Jeszcze jeden zdalnie sterowany automat - odparł Han. - Trafiona jednostka leciała z tyłu szyku i wykonywała tylko najmniej skomplikowane manewry.

- To wcale nie dowodzi, że kierował nią automat - sprzeciwiła się Leia. - Możliwe, że pilotował ją najmniej doświadczony albo najgorzej wyszkolony człowiek.

- Nie zapominaj, że dowódca eskadry nie przejmował się tym, iż rzekomo jeden z jego ludzi stracił życie. Z początku, kiedy składałem mu kondolencje, chyba nawet nie miał pojęcia, o czym mówię. Nigdy nie zdobyłby żadnej nagrody, gdyby zdecydował się wziąć udział w konkursie aktorskim.

- Jeżeli naprawdę zależałoby im na tym, żeby wprowadzić nas w błąd - nie dawała za wygraną Leia - z pewnością wcześniej pomyśleliby o takich drobiazgach.

- Gdybyś ty chciała wprowadzić kogoś w błąd, z pewnością byś o nich pomyślała - poprawił ją Han. - Może ci kolesie nie są tak przewidujący. Albo po prostu nie mieli czasu zaplanować wszystkiego tak, jakby chcieli. Może zostali zmuszeni do improwizowania. - Spoglądał kilka chwil na obraz taktyczny, po czym ciągnął: - To wyjaśniałoby los, jaki spotkał myśliwiec typu B. Nie mam pojęcia, jakim cudem mielibyśmy uwierzyć, że takie mikroskopijne kieszonkowe patrolowce poradziły sobie z unicestwieniem o wiele większej, topornej i skłonej byle jak jednostki. Może tamtych zabrakło czasu albo środków, żeby przedstawić nam bardziej wiarygodny scenariusz całej akcji.

- No dobrze. Przypuśćmy, że masz rację - zgodziła się w końcu Leia. - Pozostaje pytanie: Kim są „oni”? Ten pokaz był przedsięwzięciem zakrojonym na dużą skalę. Nie można ot tak, po prostu, wydać rozkazu sześciu pilotom kieszonkowych patrolowców, żeby zajęli stanowiska w przestworzach i zaczęli na nasz przyłot. a potem zabawiali się w strzelanie do niewinnych celów. Zaplanowanie i wykonanie takiej akcji zmuszałoby „ich” do zachowania wszystkiego w tajemnicy i skrupulatnego zatarcia wszelkich śladów. Rozumiem, że tu i ówdzie dałoby się kogoś przekupić albo przekonać, ale jak sobie wyobrażasz możliwość przekupienia sił powietrznych albo armii?

- Za pomocą odpowiednio ciężkiego worka pieniędzy - odparł Han z beztróskim uśmiechem. - Pamiętaj o tym, że to Korelia. Tutaj wiele rzeczy jest na sprzedaż. A kiedy coś ma być ściśle tajne, nietrudno o zatarcie śladów. Jest całkiem prawdopodobne, że tę operację zarządzili najwyżsi stopniem dowódcy Wojsk Obrony Planety. Możliwe zresztą, że nic o niej nie wiedzieli.

- A zatem, albo to wszystko dzieje się za ich wiedzą i zgodą, albo nie podsumowała Leia. - Dowódcy sił zbrojnych i członkowie rządu mogą o tym wiedzieć lub też nie. Muszą przyznać, że wcale nam to nie pomaga zorientować się w sytuacji.

- No cóż, spójrz na to z bardziej optymistycznej strony - zauważył Han. - W tej chwili przynajmniej wiemy, że ktoś bawi się nami w ciuciubabkę. Ten ktoś nie ma jednak pojęcia, że już wiemy.

Od dłuższego czasu Chewbacca zachowywał się nienaturalnie cicho. Teraz pozwolił sobie na ciche, przeciągłe i pełne irytacji wycie.

- Skąd mam wiedzieć, dlaczego - odrzekł równie rozdrażnionym tonem Solo. - Mogę jedynie domyślać się albo zgadywać. Ktoś z koreliańskich Wojsk Obrony Planety pragnie, żebyśmy się przestraszyli... a zarazem obdarzyli tych z WOP całkowitym zaufaniem.

- Jeżeli naprawdę przypuszczali, że się nie zorientujemy... - zaczęła Leia.

- Wspaniale, że wszystko sobie wyjaśniliśmy - przerwał jej Han. - Na razie jednak nie widzę, co innego moglibyśmy zrobić poza leceniem za tymi gośćmi i zwracaniem uwagi na wszystko, co się dzieje.

- Bacznej uwagi - podkreśliła Leia. - Bierz się do pracy.

Han zajął się wpisywaniem do pamięci komputera nawigacyjnego parametrów dalszej trajektorii lotu, ale nagle popatrzył na miniaturowe patrolowce, cały czas pozostające na poprzednich pozycjach. No cóż, przecież nie pierwszy raz wplątywał się w tym rejonie przestworzy w awantury, z pięściarzami wagi najcięższej.

- Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów - odezwał się, spoglądając na kosmatego przyjaciela. Wookie odpowiedział niezobowiązującym ziewnięciem. Usłyszawszy je, Han kiwnął głową. - Masz absolutną rację powiedział, zabierając się do pracy. - Witaj na Korelii.

R O Z D Z I A Ł

11

PRZECHWYCONA WIADOMOŚĆ

Mara Jade wpatrywała się w sześcian informacyjny. Żałowała, że nie może odesłać go komuś innemu albo sprawić, żeby w ogóle przestał istnieć. Albo wyrzucić go, zniszczyć zignorować, czy udawać, że nigdy go nie otrzymała. Nie mogła. Nie pozwalały na to okoliczności.

No cóż, dość już gapienia się na nieszczęsny przedmiot. Samym oglądaniem Mara nie wycisnie z niego żadnych dodatkowych informacji. Prawdę mówiąc, właśnie na tym polegał cały problem. Kobieta westchnęła, wstała i przeszła przez kajutę, aby umieścić sześcian z powrotem w sejfie. Później starannie zamknęła drzwiczki i zablokowała szyfrowy zamek. Wyszła na korytarz swojej korwety, „Ognistej Jade”, i pospieszyła na mostek. Równie dobrze mogła wydać rozkazy osobiście.

Pod warunkiem, że najpierw zdecyduje, jakie.

Przed wielu, wielu laty - tak dawno, iż mogło się wydawać, że wydarzyło się to w innym życiu - w czasach, kiedy istniało Imperium, a galaktyką rządził Imperator, Mara Jade była jego Ręką. Brała udział w dziesiątkach niebezpiecznych misji, w trakcie których wykonywała tajne zlecenia swojego rozkazodawcy. Więcej razy niż zdołałaby zliczyć pełniła funkcję jego posłańca, lokaja, dyplomaty, a nawet skrytobójcy. Imperator zorientował się, że kobieta potrafi władać Mocą, i postanowił wykorzystać Marę do własnych celów. Kierował nią i wydawał jej rozkazy. Uważał się za właściciela jej duszy i ciała.

A później, tak niespodziewanie jak grom z jasnego nieba, wydarzyła się katastrofa. Rebelianci i Sojusz pokonali Imperium i zabili Imperatora.

Mara przeżyła kataklizm mniej więcej cała i zdrowa, po czym zaczęła pracować dla przemytnika i handlarza, niejakiego Talona Karrde'a. Rzecz jasna, na ile mogła, zataiła przed nim niechlubną przeszłość. Mówiąc ogólnie, nie polubiła Nowej Republiki, ale pogodzenie się z rzeczywistością zawsze uważała za jedną z niezbędnych cech umożliwiających przeżycie. A jeżeli istniał jakakolwiek sztuka, którą opanowała po mistrzowsku, była nią właśnie umiejętność przetrwania.

Co więcej, wszystko wskazywało na to, że posiadała dar robienia doskonałych interesów. Nigdy też nie miała zwyczaju lenić się ani siedzieć z założonymi rękami. Nieco później rozstała się z Karrdem w okolicznościach, które od biedy można byłoby uznać za przyjazne, i zajęła się prowadzeniem własnego interesu. Zorientowała się, że sytuacja we wszechświecie uległa radykalnej zmianie i że w nowej nie było tyle miejsca dla przemytników i piratów. Założyła więc niewielkie, ale świetnie prosperujące towarzystwo handlowe i zajęła się jego prowadzeniem. Podobnie jak wielu innych biorących czynny udział w zakończonej wojnie, miała pewne kłopoty z przystosowaniem się do cywilnego życia. Uczestniczyła w tyłu bitwach i potyczkach, w których stawką była przyszłość galaktyki, że nie widziała niczego emocjonującego w targowaniu się o to, aby uzyskać jak najlepszą cenę za korzenie habbis. Mimo to nieustannie przemierzała bezkresne przestworza. Cieszyła się, że jest panią własnego losu; że może polecieć, dokąd zechce, i zajmować się tym, na co ma ochotę.

Przystanęła przed zamkniętą i uszczelnioną taflą drzwi wiodących na mostek korwety, wygładziła fałdy tuniki i nadała zwykły, surowy i bezwzględny wyraz rysom twarzy.

Możliwe, że inni kapitanowie gwiazdnych statków pozwalali pełniącym służbę na mostku członkom załogi odprężyć się i czuć swobodnie, a nawet traktować siebie poufale. Mara Jade do nich nie należała. Uważała, że na jej okręcie powinna panować dyscyplina. Jej styl dowodzenia jednostką stanowił wierne odzwierciedlenie stylu życia, a to oznaczało, iż nie miał w sobie niczego swobodnego ani poufalego. Mara była kobietą niezwyklej urody. Jasna karnacja jej skóry podkreślała lekko wystające kości policzkowe. Ognistorude włosy, zaplecione w gruby, ciężki i fantazyjny warkocz, spływały aż na plecy. Szczupłe ciało i gibkie ruchy kojarzyły się bardziej z zawodową tancerką albo akrobatką niż z panią kapitan gwiazdznego okrętu.

Czasami, aczkolwiek bardzo rzadko, zdarzały się sytuacje, kiedy przyjęcie niezwyklej gości albo inne imprezy o charakterze towarzyskim wymagały, aby ubierała się w coś bardziej stosownego niż noszony na co dzień jednoczęściowy obcisły kombinezon. Osiągała wówczas zdumiewający efekt. Wielu ludzi, rzuciwszy na nią okiem, dochodziło do przekonania, że kobieta wywodzi się z jakiegoś prastarego, arystokratycznego rodu. Rzecz jasna, wszyscy przypuszczali, że będzie się zachowywała jak wytworna i skromna dama, która otrzymała odpowiednie wykształcenie i staranne wychowanie. Tymczasem Mara nigdy nie przejmowała się tym, co sądzą na jej temat inni ludzie. Nie owijając w bawełnę, zawsze mówiła, co myśli. Czasami, kiedy jej to odpowiadało, udawała osobę wykształconą i nienagannie wychowaną. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko.

Najlepiej udawało się jej zmuszanie podwładnych do posłuszeństwa, zaprowadzanie dyscypliny i rozkazywanie, a także domaganie się szacunku i zasługiwanie na ten szacunek. Nigdy też nie zatrudniała nikogo, kto nie zasługiwał na jej poważanie. Członków załogi okrętu traktowała mniej więcej tak, jak wszystko inne w życiu. Wypadało zatem, żeby ukazała się podwładnym jako osoba zrównoważona, spokojna i opanowana. Nie miało znaczenia, że w tej chwili była bardziej zaniepokojona niż kiedykolwiek od bardzo, bardzo dawna.

Imperialny kod. Posłaniec posłużył się imperialnym kodem. Wybrał taki, który uchodził za nieaktualny na wiele lat przed skonstruowaniem pierwszej Gwiazdy Śmierci, niemniej jednak był niewątpliwie kodem używanym przez Imperium. Co to mogło oznaczać?

Nieważne. Po kolei. Powinna pamiętać o tym, żeby nie robić wszystkiego naraz.

Przycisnęła guzik i płyta drzwi otworzyła się bezszelestnie. Mara weszła na mostek i zajęła swoje zwykłe miejsce na stanowisku dowodzenia. Nawigator, wylupiastraki Kalamarianin, obrócił jedną gałkę oczną na panią kapitan, ale po chwili ponownie skierował ją na pulpit konsoli. Żadnym innym gestem nie zdradził, że zauważył pojawienie się przełożonej. Istota ludzka płci męskiej, która pełniła obowiązki pilota, popatrzyła na kobietę i bardzo poważnie kiwnęła głową. Bardzo dobrze. Mara chciała, żeby właśnie tak witali ją podwładni. Nalegała na to, aby przestrzegali dyscypliny, ale nie chciała widzieć wokół siebie ludzi, którzy podskakiwaliby i salutowali wszystkim przechodzącym koło nich starszym stopniem osobom.

„Otworzyć tylko w obecności Leii Organy Solo, samozwańczej przywódczyni tak zwanej Nowej Republiki, Hana Solo i osoby będącej w rzeczywistości generalnym gubernatorem systemu koreliańskiego. Kod Łobuz Anioł Siedem”.

Wiadomość, zaszyfrowana za pomocą staromodnego imperialnego kodu, została starannie wypisana drukowanymi literami na jednej ze ścianek sześcianu informacyjnego. Mara złamała szyfr niemal odruchowo, ale pomimo iż wiedziała, co mówią wypisane słowa, nie miała pojęcia, co może oznaczać fakt, że właśnie ona otrzymała ową tajemniczą przesyłkę. Z pewnością nadał ją ktoś, kto nie darzył specjalną sympatią Nowej Republiki, jednak Mara nie potrafiła odgadnąć właściwie nic więcej. Na ścianie sześcianu widniała jeszcze inna etykieta, ale wypisanych na niej liter czy znaków Mara nie znała. Wszystko wskazywało na to, że etykieta zawierająca informację o rodzaju szyfru została na tamtą po prostu naklejona. Zapewne ktoś uczynił to w pośpiechu, ponieważ tylko częściowo zasłonił starszą, której pisma nigdy nie widziała. A zatem albo etykietę z imperialnym kodem naklejono później, albo nadawca pragnął, żeby wszystko tak właśnie wyglądało.

Sześcian został umieszczony na pokładzie niewielkiej, zdalnie sterowanej sondy informacyjnej. Załoga „Ognia Jade” zauważyła i przechwyciła używaną do przesyłania wiadomości kapsułę pierwszego albo drugiego dnia po przybyciu do systemu Talfaglio, usytuowanego na przeciwległym krańcu sektora koreliańskiego. Współrzędne punktu, w którym ją zauważono, nie ujawniły Marze nic ciekawego. Sonda informacyjna miała niezbyt duże, ale sprawne silniki. Umożliwiały jej latanie w nadprzestrzeni, więc kapsuła mogła zostać wysłana dosłownie z każdego miejsca galaktyki.

Bez względu jednak na to, skąd ją wyekspediowano. Mara nie mogła zrozumieć, dlaczego, na miłość galaktyki, mały bezałogowy stateczek podążał śladami właśnie jej korwety. A tego właśnie była absolutnie pewna. Istniało zerowe prawdopodobieństwo, żeby „Ognista Jade” natrafiła na kapsułę, przez przypadek. Łupina leciała w przestworzach, kierując się wysyłanym przez korwetę sygnałem namiarowym, a

sześcian informacyjny zawinięto w kawałek flimsiplastu z wypisanym na nim imieniem i nazwiskiem Mary Jade.

Kto mógł być nadawcą? I dlaczego zadawał sobie tyle trudu, żeby wysłać zaszyfrowaną informację? Dlaczego zaadresował ją właśnie do Mary? Możliwe, że wzmianka o „Kodzie Łobuz Anioł Siedem” znaczyła coś dla Organy Solo albo kogoś z pozostałych dostojników Nowej Republiki. Możliwe, że ktoś z nich będzie wiedział, jak otworzyć sześcian bez unicestwienia zapisanej w nim informacji. Jeżeli jednak kostkę należało otworzyć w ich obecności, dlaczego doręczycielką miała być Mara Jade?

I dlaczego nadawca posłużył się imperialnym kodem? Z pewnością nie po to, żeby zaszyfrować jakąś informację. Agenci Nowej Republiki nie musieliby się bardzo trudzić ani poświęcać zbyt wiele czasu, żeby ją odczytać. Czyżby chodziło o to, aby na nowo wzbudzić sympatię, jaką Mara darzyła kiedyś Imperium? Z pewnością słowa, których użyto, formułując napis na etykiecie, nie miały na celu uszczęśliwienia nikogo związanego z Nową Republiką. Czyżby gdzieś, w mrokach niezgłębionych przestworzy, kryły się grupy albo oddziały wciąż jeszcze - po tylu latach - dochowujące wierności nieżyjącemu Imperatorowi? To było bardzo mało prawdopodobne. Niemal absolutnie wykluczone. A może przesłanie sześcianu informacyjnego wynikało z podstępnego i skomplikowanego planu, jaki uknuł jej handlowi rywale? Czyżby jej konkurenci liczyli na to, że zdołają przedstawić Marę jako osobę sympatyzującą z Imperium i w ten sposób zdyskredytować w oczach handlowych partnerów, a może nawet zmusić do ogłoszenia bankructwa?

Nie, to także nie miało sensu. Imperium było równie martwe, jak zabalsamowany nieboszyk. Nigdzie nie kryli się żadni sympatycy. Nie pozostało absolutnie nic, z czym dałoby się sympatyzować. A poza tym, mimo iż Mara zdołała utrzymać w tajemnicy większość szczegółów dotyczących tego, kim była i czym się zajmowała w dawnych, imperialnych czasach, na ogół wszyscy handlowi partnerzy i konkurenci wiedzieli, że pracowała dla Imperatora. Czasami owa wiedza nie pomagała kobiecie w zawieraniu transakcji i prowadzeniu interesów, ale przecież nie stanowiła najściślej strzeżonej tajemnicy. Nie miałyby zatem wielkiego sensu, gdyby ktoś usiłował narazić na szwank jej reputację, rozgłaszając doskonale znane informacje.

O co więc chodziło? Mara wiedziała na temat sześcianów informacyjnych wystarczająco dużo, aby mieć pewność, iż bez względu na to, ile czasu by poświęciła, starając się złamać szyfr za pomocą komputera, nie zdoła się zapoznać z zawartością. Możliwe, że kod, jakim się posłużono, aby zapisać wiadomość na etykiecie, wydawał się dziecinnie prosty, ale kobieta wiedziała, jak są konstruowane takie sześciany. Musiałaby poświęcić kilka lat i porządnie się natrudzić, żeby dostać się do środka... a nawet wówczas coś mogłoby się nie udać i cała zapisana informacja uległaby skasowaniu podczas otwierania.

Nie. Istniał tylko jeden niezawodny sposób, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Mara Jade miała wiele cech charakteru, które w ostatnich latach bardzo się przydały i pomagały przeżyć trudne chwile. Mimo to nie dałoby się jej zarzucić, iż folguje najzwyczajszej w świecie przyziemnej ciekawości. Przemysłnicy i

imperialni tajni agenci nie mogli sobie pozwolić na to, żeby pakować nos wszędzie tam, gdzie pragnęli.

Mogli to natomiast robić zamożni przedsiębiorcy i prosperujący handlarze... zwłaszcza jeżeli właśnie czegoś podobnego spodziewali się po nich inni ludzie. W obecnej chwili liczyło się to, że Mara Jade miała sześcian. Mogła zatem odstąpić go komuś w zamian za ujawnienie jego zawartości. A zapoznanie się z informacją zawsze mogło przynieść jakąś korzyść.. jeżeli nie teraz, to w przyszłości.

- Panie Tralkpha - zwróciła się do nawigatora. - Zechce pan wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, jeżeli łaska. Proszę podać panu Nesdinowi współrzędne kursu, który pozwoli nam dolecieć prosto do systemu koreliańskiego. Tym razem proszę zwrócić większą uwagę na szybkość lotu, a nie na oszczędność paliwa.

- Jak pani sobie życzy - odparł zwięźle małomówny Kalamarianin.

- Panie Nesdin - ciągnęła kobieta, tym razem zwracając się do pilota. - Zanim pan Tralkpha poda panu niezbędne parametry, proszę się porozumieć z przedstawicielami partnera handlowego, do którego podążamy. Proszę powiedzieć, że przylecimy trochę później niż planowaliśmy, ponieważ musimy dostarczyć nie cierpiącą zwłoki przesyłkę. Później oberze pan kurs prosto na Korelię.

Gdyby nadawca sześcianu bez względu na to, kim miałby się okazać - dysponował wystarczająco czułą aparaturą i mógł odebrać sygnały wysyłane z pokładu „Ognistej Jade”, dowiedziałaby się, że postanawiając dostarczyć sześcian właściwemu adresatowi. Mara Jade połknęła haczyk i przynęty.

- Tak jest, proszę pani - odparł Nasdin.

Żadnych pytań, uniesionych brwi ani prób tłumaczenia, że przecież muszą wywiązać się z zawartej umowy. Zwyczajne, dokładne i kompetentne wykonywanie otrzymanych rozkazów. Właśnie te cechy Mara najbardziej ceniła u podwładnych. Właśnie takie chciała widzieć u wszystkich członków załogi swojej korwety.

Mimo to nie dawała jej spokoju jakaś myśl... jakiś zwrot, którego nieświadomie użyła, kiedy o tym rozmyślała. Tkwił w podświadomości jak cień; starał się coś powiedzieć. Co to mogło być? Ach, tak! Oczywiście. Połknięcie haczyka i przynęty. Przynętę wykladało się wówczas, kiedy chciało się zwabić ofiarę w pułapkę. Czyżby ktoś chciał ją. Marę Jade, wciągnąć w zasadzkę?

Kobieta uśmiechnęła się do własnych myśli. Wiedziała, że jej twarz nie przedstawia w tej chwili najmilszego widoku. Ci, którzy pragnęli zastawić pułapkę na Marę Jade, mogli próbować tyle razy, ile tylko chcieli. Ale istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby usiłowali próbować drugi raz po tym, co przytrafiło im się za pierwszym - o ile w ogóle przeżyli.

- Będę w kabinie - oznajmiła, wstając z fotela.

Rzecz jasna, uświadamiała sobie, że to nie ma sensu. A jednak czuła, że po prostu musi jeszcze raz rzucić okiem na ten sześcian.

Pani porucznik Belindi Kalenda, długoletnia i doświadczona, aczkolwiek młoda funkcjonariuszka Wywiadu Nowej Republiki, która niedawno przeżyła zestrzelenie gwiazdowego statku, a potem awaryjne lądowanie, leżała na boku na wierzchołku

niewielkiej wydmy i wpatrywała się w błękitne niebo. Znalazła miejsce oddalone od ludzkich siedzib i starała się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

W oddali, na samym horyzoncie, widziała błyszczące wieżowce i łagodnie zaokrąglone kopuły budynków miasta. Oświetlone promieniami porannego słońca, stanowiły fantastyczny, niezapomniany widok. Kalenda nie zwracała na nie uwagi. Za plecami miała ocean, na którego ciemnoniebieskiej tafli raz po raz pojawiały się oślepiające białe fale. Po powierzchni wody tańczyły błyski promieni słońca. Tworzyły nieprawdopodobnie skomplikowane wzory, mieniły się i lśniły, a przede wszystkim nieustannie się zmieniały, jakby żyły własnym życiem. Z oddali dolatywał monotony szum pieniącej się wody, a powietrze było przesycone wonią morskiej soli, spieczonego słońcem piasku i czystej wody.

Kalenda zachowywała się jednak, jakby tego wszystkiego nie widziała, nie słyszała ani nie wyczuwała. Wypatrzyła jakieś zagłębienie i natychmiast przeczłogała się w tamto miejsce. Żałowała, że nie może ukryć się pośród niczego bardziej konkretnego niż kępy ostrych jak brzytwy źdźbeł młodej trawy. Cicho szeleszcząc, kołysały się teraz jakieś pół metra nad jej głową. Gdyby były mniej wiotkie albo miały bardziej żyzną glebę, bez wątpienia, ocierając się o jej ubranie, pocięłyby je na strzępy. Kalenda ucieszyłaby się, gdyby mogła ukryć się gdzieś indziej.

Była ubrana w nie rzucający się w oczy obszerny szarzielony płaszcz. Ukradła go na drugim krańcu kontynentu jakiemuś właścicielowi garażu, w którym trzymał terenowy śmigacz. Korzystając z okazji, kobieta „wypożyczyła” także pojazd, ale pozostawiła go w parowie niedaleko Bela Vistal - średniej wielkości miasta odległego mniej więcej o dwieście kilometrów od Koronetu. Gdyby ktokolwiek ją śledził albo skojarzył fakt zniknięcia śmigacza z jej awaryjnym lądowaniem, z pewnością pomyślałby, że kobieta podążyła do Bela Vistal, a nie do stolicy.

Wykorzystując umiejętność przeszukiwania kieszeni ubrań niczego nie podejrzewających obywateli, agentka zdobyła tyle kredytów, aby wystarczyło jej na pokonanie reszty drogi. Ale i tak musiała bardzo oszczędzać, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Na szczęście wkrótce po tym, kiedy wysiadła z wagoniku jednoszynowej kolejki, z której postanowiła skorzystać, opuszczając przedmieścia Bela Vistal, została napadnięta przez bandę wyjątkowo niezdatnych rzezimieszków. Kiedy się z nimi rozprawiła, poczuła podwójną satysfakcję. Nie tylko zabrała ich śmigacz, broń i całe wyposażenie - i tak przez jakiś czas nie powinni go potrzebować - ale jeszcze dokładniej zatarła za sobą wszystkie ślady.

Setny raz poprawiła ostrość makrolornetki, którą także zabrała nieporadnym bandytom. Okazało się, że wzmacniacze kontrastu nie były prawidłowo ustawione. No cóż, nie należało się spodziewać, aby tacy złoczyńcy utrzymywali sprzęt w należytym stanie. A zresztą, w tej chwili to i tak nie miało znaczenia. Jak na obecną sytuację, makrolornetka spisywała się wystarczająco sprawnie. Kalenda nie musiała widzieć ostro, ponieważ nie było niczego do zobaczenia. Skierowała przyrząd na inny wycinek niebosłonu, gdzie bez wątpienia powinni przelatywać. Przez chwilę patrzyła, a potem

westchnęła. Nie miała powodów, by się niepokoić. Jeszcze nie. Ich spóźnienie nie przekraczało kilku godzin.

Mogło się wydarzyć tysiąc rzeczy, które zdołałyby opóźnić przylot „Sokoła Millenium”. Na przykład choćby awaria natury technicznej... nie pierwszy raz zresztą, jeżeli chociaż w połowie to, co Kalenda słyszała na temat frachtowca, było prawdą. Jakaś mało istotna kłótnia polityczna mogła zmusić przywódczynię Nowej Republiki do opóźnienia startu wyprawy. Możliwe też, iż wszyscy przylecieli do systemu koreliańskiego punktualnie, ale pod wpływem impulsu postanowili, że zamiast lądować na Korelii, odwiedzą najpierw Dralię albo Selonię, a może Talusa lub Tralusa. Istniało również prawdopodobieństwo, że harmonogram wyprawy uległ zmianie już po tym, kiedy Kalenda wystartowała z Coruscant.

Funkcjonariuszka musiała się także liczyć z tym, że statek, na którego pokładzie leciała przywódczyni Nowej Republiki, mógł nagle i niespodziewanie przeistoczyć się w szybko rozprzestrzeniającą się chmurę nie związanych ze sobą cząsteczek i atomów. Bez względu na to, jak bardzo Organa Solo nalegała, członkowie jej rządu nie powinni pozwolić, aby wyruszyła w drogę takim starym wrakiem, za jaki uważano statek jej męża. Prywatna wyprawa czy nie, przywódczyni nie powinna lecieć niczym mniejszym niż korweta.

Teraz było jednak za późno, by się o to martwić. Kalenda nie mogła nie pamiętać o tym, że źródło wszystkich kłopotów kryło się tu, na Korelii. I nie cieszyła się na myśl, że już wkrótce może zostać wciągnięta w awanturę. Nie miało jednak sensu martwić się, co może przynieść najbliższa przyszłość, skoro i terażniejszość nie wyglądała zachęcająco. Służba Bezpieczeństwa Publicznego koreliańskich Wojsk Obrony Planety nie darzyła specjalną sympatią ludzi, którzy obserwowali z ukrycia kosmoporty. Agentka Wywiadu Nowej Republiki musiała wszakże zakładać, że od chwili, kiedy dopłynęła do brzegu, nikt jej nie śledził ani nie obserwował. Pozostawało tylko pytanie, kto teraz pierwszy ją zauważy: strażnicy strzegący granic kosmoportu czy pracownicy kontrwywiadu koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa.

A może jednak wszystko toczyło się zgodnie z planem? Kalenda żywiła taką nadzieję. Może nikt jej nie zauważył, kiedy się tu podkładała, i dlatego nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo - jeżeli nie liczyć pocięcia przez ostre źdźbła trawy. No cóż, mogła na to liczyć, ale nie powinna w to wierzyć. A przynajmniej nie wówczas, kiedy miała do wykonania niebezpieczne zadanie.

No, szybciej! Gdzie się podziewacie? Kobieta jeszcze się nie zastanawiała nad tym, co zrobi, jeżeli w końcu wszystko ułoży się po jej myśli. Nie miała również pojęcia, co pocnie, kiedy okaże się, że „Sokół Millenium” w ogóle nie przyleci. No cóż, będzie zmuszona improwizować. Na razie wiedziała tylko, że przywódczyni Nowej Republiki i jej rodzina przylatują na planetę, na której sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Pozornie wszyscy sprawiali wrażenie cichych i spokojnych, ale Belindi Kalenda nie na próżno cieszyła się opinią doświadczonej funkcjonariuszki. Spędziła kilka ostatnich dni, kryjąc się przed spojrzeciami ludzi. Rzucona na powierzchnię, nieznanego świata, musiała się ukrywać, podróżować nocami i unikać kontaktów z obcymi. Mimo to nie mogła nie dostrzec, że sprawy zaczynają przybierać

niekorzystny obrót. Mówiąc ogólnie, rywalizacja, do jakiej dochodziło między różnymi służbami bezpieczeństwa, nie wróżyła nic dobrego. Wojska Obrony Planety i powołana przez nie do życia Służba Bezpieczeństwa Publicznego chyba częściej kłóciły się niż współpracowały.

A istniały także inne oficjalne służby bezpieczeństwa, raz po raz toczące zajadłe spory kompetencyjne. Pod uwagę trzeba było brać również najróżniejsze organizacje paramilitarne i prywatne milicje, które w ostatnich czasach wyrastały niemal wszędzie niczym grzyby po deszczu. Największa spośród nich - ale bez wątplenia nie jedyną - była tak zwana Liga Ludzka. Rzecz jasna, żadna z owych prywatnych organizacji, nie wyłączając Ligi, nie miałaby szans istnieć dłużej niż dziesięć minut, gdyby nie popierał jej albo nie utrzymywał ktoś obdarzony jakąkolwiek władzą. Kalenda nie żywiła absolutnie żadnych wątpliwości, że Konspiracyjny Przywódca Ligi Ludzkiej miał mnóstwo przyjaciół i zwolenników, i to zarówno w kręgach władzy, jak i pośród zwyczajnych, szarych obywateli. Jeśli aż tylu dostojników łożyło na utrzymanie prywatnych małych armii, sytuacja po prostu musiała wymknąć się spod kontroli.

Skoro zaś mowa o panowaniu nad sytuacją, mianowany i popierany przez Nową Republikę generalny gubernator Micamberlecto równie dobrze mógłby mieć rezydencję w innym sektorze galaktyki. Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że prawie wcale nie interesował się codziennymi problemami. Możliwe, że pragnęłyby zainicjować jakieś zmiany albo wprowadzić śmiałe reformy, ale nie pozwalały mu na to szerzące się chyba na wszystkich szczeblach koreliańskiej administracji łapownictwo, korupcja, przywiązanie do zaściankowych tradycji i najzwyczajniejsze w świecie złość, niechęć albo zawiść.

A jeżeli tak wyglądała sytuacja w samej stolicy, jak mogła wyglądać na prowincji, nie wspominając już o pozostałych światach sektora? Co gorsza, nie wróżący niczego dobrego klimat polityczny stwarzała także sama sytuacja gospodarcza. Koreliańskie miasta zaczynała ogarniać pierwsza fala anarchii. Ludzie tracili pracę i nie mogli znaleźć nowej, a przede wszystkim nie mieli perspektyw, że znajdą ją w najbliższej przyszłości. Nie pomagało to w rozwoju - opartej w znacznej mierze na handlu - gospodarki planety, która przez pół pokolenia, a może nawet dłużej, nie utrzymywała prawie żadnych kontaktów z resztą wszechświata. Rzecz jasna, powszechne ubóstwo, żeby nie powiedzieć nędza, stwarzały doskonałe warunki do szerzenia się rozmaitych buntów i rozruchów.

W tej chwili jednak żaden z tych problemów nie miał znaczenia. Ważniejsze było coś innego. Coś, czego na razie Kalenda nie potrafiłaby zidentyfikować. Wiedziała wszakże, że już niedługo wydarzy się coś złego. Coś ważnego. Przeczynała to, uzmysławiała sobie... niemal czuła w koniuszkach palców. I dotychczas jeszcze nigdy się nie pomyliła... Kto wie, może i ona, na swój skromny sposób, również umiała posługiwać się Mocą? Może właśnie Moc dawała jej znać, kiedy miało wydarzyć się coś niezwykłego? Na razie jednak nie powinna się nad tym zastanawiać.

Teraz liczył się tylko fakt, że przywódczyni Nowej Republiki - o ile jeszcze żyła - niedługo wyląduje na planecie, której groził chaos i anarchia. Kalenda musiała zakładać, że pozostała jedyną zatrudnioną w WNR osobą, wciąż jeszcze działającą na

tej planecie. Możliwe, że była jedyną funkcjonariuszką sił bezpieczeństwa, na którą mogły liczyć władze Nowej Republiki. Kobieta wiedziała, że wywiad zamierzał wysłać na Korelię innych pracowników. Możliwe, że dolecieli szczęśliwie wszyscy, a może nie doleciał żaden. Najlepiej było - z oczywistych względów - o nic nie pytać i nic nie wiedzieć. W ten sposób nie mogła nikomu zdradzić żadnej tajemnicy.

W pewnej chwili pomyślała też, że może Wywiad nie przygotowywał do wysłania żadnych innych agentów. Możliwe, że przełożeni powiedzieli jej o tym tylko po to, żeby przyprowadzić opozycję o ból głowy. Zdarzyłoby się tak, gdyby przeciwnicy pochwycili Kalendę i siłą wyciągnęli z niej tę informację. Kobieta doszła jednak do wniosku, że w tej chwili nie powinna zbyt przejmować się takimi problemami. Życiu agentki Wywiadu zagrażało zbyt wiele niebezpieczeństw, żeby miała teraz wymyślać dodatkowe. Istniało prawdopodobieństwo, że będzie na nie narażona. Na razie jednak nie wydawały się zbyt duże. Pozostawało zatem pytanie, co powinna zrobić. Odpowiedź nie nastroczała specjalnych trudności.

Wysłano ją, aby zgromadziła jak najwięcej informacji, ale Kalenda już dowiedziała się więcej niż początkowo przypuszczała, że dowie się w ciągu tak krótkiego czasu. Musiała zapewnić bezpieczeństwo przywódczyni Nowej Republiki i upewnić się, że Organa Solo pozostanie przy życiu... przynajmniej do otwarcia konferencji poświęconej zagadnieniom handlu. Dopiero wówczas na krótko przed ceremonią otwarcia, miała przylecieć reszta oficjalnej delegacji Nowej Republiki. Powinni także pojawić się agenci służby bezpieczeństwa.

Chcąc zyskać gwarancję, że przywódczyni Nowej Republiki przeżyje, Kalenda musiała najpierw upewnić się, że sama nie zginie. Właśnie na tym polegał cały problem. Nie mogła lekceważyć swoich przeciwników. Powinna przyjmować za pewnik, iż funkcjonariusze - czy to z Wojsk Obrony Planety, czy też z koreliańskiej Służby Bezpieczeństwa Publicznego - są wystarczająco mądry i przebiegli. A zatem nie zakładają, iż agentka Wywiadu Nowej Republiki poniosła śmierć w wyniku katastrofy. Kobieta musiała się więc spodziewać, że będą poszukiwali właśnie jej, a nie innych pracowników Wywiadu. Możliwe też, że okażą się na tyle sprytni, aby śledzić członków rodziny Organy Solo... choćby tylko dlatego, by wiedzieć, gdzie przebywają ich goście i co robią, a może także z jakiegoś innego powodu. Kalenda nie potrafiłaby powiedzieć, czy zechcą interweniować, gdyby ktoś usiłował dokonać zamachu na życie Organy Solo. Nie miała pojęcia, czy nie postanowią sami pokusić się o wykorzystanie takiej okazji.

Tak czy owak, z pewnością nie będą zachwyceni widokiem agentów Wywiadu Nowej Republiki, jak spod ziemi pojawiających się między ich pracownikami. Może nawet wykorzystają tę sytuację do zorganizowania jakiejś demonstracji albo prowokacji, albo wręcz do wzniecenia rozruchów? Wszystko to oznaczało, że Kalenda nie mogła sobie pozwolić na utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów ani z samą Organą Solo, ani z członkami jej oficjalnej delegacji.

Musiała zatem obserwować wszystko z odpowiedniej odległości, nie dać się pochwycić i liczyć na to, że zdoła cemuś zapobiec albo przeciwdziałać. Na razie jednak nic na to nie wskazywało.

Pozostało jej jedynie uzbroić się w cierpliwość i nadal czekać. Czekać i wszystko uważnie obserwować. I mieć nadzieję, że ludzie, których przybycia tak wypatrywała, już niedługo wylądują na terenie koreliańskiego kosmoportu.

Wiele godzin później Kalenda zaczęła martwić się nie na żarty. Nadciągała noc, a bez względu na to, jaką czułość osiągały produkowane ostatnio detektory podczerwieni, nie spisywały się tak dobrze jak czujniki reagujące na pasmo widzialne. A wszak nie dałoby się powiedzieć, że systemy zarekwirowanej lornetki, które umożliwiały oglądanie obrazów w podczerwieni, były w najlepszym stanie.

Funkcjonariuszka Wywiadu raz po raz widziała, jak do lądowania podchodzą najróżniejsze gwiazdne statki. Za każdym razem czuła, że jej serce bije przyspieszonym rytmem. Unosiła do oczu makrolornetkę i kierowała obiektywy na lądujące jednostki... ale za każdym razem okazywało się, że oglądany statek w niczym nie przypomina „Sokoła Millenium”. Kalenda zaczynała się niepokoić, jak zdoła dostrzec frachtowiec w ciemnościach zapadającej nocy. Zastanawiała się, czy jeżeli nawet zobaczy jakiś lądujący statek, potrafi go zidentyfikować. W pewnej chwili zauważyła, że ląduje następny. Odruchowo przyłożyła makrolornetkę do oczu. Spodziewała się, że i tym razem spotka ją rozczarowanie... ale nagle jej serce zaczęło bić jak szalone.

Ujrzała niejeden statek, lecz grupę składającą się sześciu jednostek. Pośrodku szyku leciał „Sokół Millenium”. Nie mogła mieć co do tego żadnych wątpliwości. Towarzyszyło mu, w charakterze eskorty, pięć kieszonkowych patrolowców. Tworzyły standardowy szyk, w którym zwykle leciało sześć maszyn. Brakowało jednostki domykającej szyk od strony bakburty... a może tylko zasłaniał ją kadłub frachtowca? Kobieta poniewczasie uświadomiła sobie, że powinna była przycisnąć guzik umożliwiający rejestrowanie obrazów. Uczyniła to, żeby móc jeszcze raz obejrzeć wszystko później, kiedy znajdzie więcej czasu. Zwiększyła czułość i ustawiła ostrość obrazu. Nie, szóstego patrolowca z pewnością nie było.

Agentka Wywiadu Nowej Republiki zaczęła snuć domysły, co mogło się wydarzyć, ale po chwili zmusiła się do skupienia uwagi na tym, co widziała. Doszła do przekonania, że może zgadywać do woli później, kiedy nie będzie miała nic innego do roboty.

Tymczasem „Sokół” i eskortujące go patrolowce przeleciały nad cywilnymi lądowiskami i znieruchomiały w powietrzu nad tą częścią kosmoportu, gdzie znajdowały się wojskowe. Dziwnym zrządzeniem losu leżały one najbliżej Kalendy. Trzy kieszonkowe patrolowce wyłamały się z szyku, a potem wylądowały w punktach lądowiska, które utworzyły wierzchołki trójkąta równobocznego. Pozostałe dwa nadal unosiły się nieruchomo w powietrzu po obu burtach frachtowca. Po chwili „Sokół” zaczął lądować. Jego pilot, zmniejszwszy siłę nośną repulsorów, osadził statek dokładnie na środku trójkąta wyznaczonego przez trzy pierwsze jednostki. Z pewnością piloci eskorty honorowej nie zachowywaliby się w taki sposób. A zatem musiało się wydarzyć coś niezwykłego. Ale co?

Pragnąc mieć lepszy widok, Kalenda przeczołgała się bliżej wierzchołka wydmy. Jęknęła cicho, kiedy jakieś ostre jak brzytwa źdźbło trawy, którego w porę nie

zauważyła, paskudnie rozcięło skórę jej przedramienia. Odruchowo zakłęta i dostroiła obiektywy makrolornetki, a później skupiła całą uwagę na „Sokole”. Zmodyfikowany frachtowiec nie sprawiał wrażenia uszkodzonego, ale patrząc z tak dużej odległości, nie mogła być tego pewna. Nic chyba również nie wskazywało na to, aby statek niedawno brał udział w jakiejś walce. A zresztą, nawet gdyby w niej uczestniczył, też pewnie by tego nie zauważyła. Może zdoła coś zaobserwować, kiedy pasażerowie zejną z pokładu? Skupiła uwagę na rampie.

W końcu pochylnia opadła i agentka dostrzegła na niej szczupłą figurkę. Han Solo. Po chwili w otworze wjazdu ukazał się ktoś, kto nawet z tak dużej odległości sprawiał wrażenie o wiele masywniej zbudowanego. Wookie Chewbacca. Każdy z nich niósł sporej wielkości walizę albo neseser. Z ruchów ciał obu pilotów i wykonywanych gestów wynikało, że są niespokojni albo rozdrażnieni. Zachowywali się, jakby spotka ich jakaś przykra niespodzianka, a oni obawiali się, że za chwilę może na nich czekać następna. Kalenda ponownie zgaśniła się w duchu za to, że wyobraża sobie historie, które mogły nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Może jedynym problemem, którym martwili się obaj piloci, była astronomiczna wysokość opłat, jakich zażądały władze koreliańskiego kosmoportu za prawo do lądowania i pozostawienia statku na wojskowym lądowisku?

Zanim obaj zdążyli zejść, w otworze wjazdu ukazało się troje dzieci. Wszystkie zbiegły po rampie i stanęły na płycie lądowiska. Już na pierwszy rzut oka było widać, że są zachwycone faktem, iż nie muszą przebywać w ciasnych pomieszczeniach frachtowca. I wreszcie, na samym końcu, po rampie zeszała, niosąc średniej wielkości bagaż, sama Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki. Kalenda westchnęła z ulgą. Poczuła, że z jej mięśni znika napięcie, którego nawet sobie nie uświadamiała. Organa Solo żyła i miała dobrze. To było w tej chwili najważniejsze. Gdyby tylko Kalenda potrafiła upewnić się, że taka sytuacja nie ulegnie zmianie... Nie odrywała jednak makrolornetki od oczu.

Han Solo zaczekał, aż żona zejdzie na płytę lądowiska, a później wcisnął jakiś guzik na panelu kontrolnym. Rampa powoli się uniosła, ale urządzenia statku pozostały w stanie gotowości. Kalenda przyglądała się, jak do całej grupy podjeżdża niewielki otwarty pojazd kołowy.

Organa Solo ruszyła w jego stronę... ale nagle się zawahała. Przystanęła i zmarszczyła brwi, jakby czymś zaniepokojona. Rozejrzała się, a potem powiodła spojrzeniem po linii horyzontu. W pewnej chwili zamarła, wpatrzona w Kalendę. Agentka Wywiadu przeżyła kilka sekund niepewności. Mogłaby przysiąc, że Organa Solo zauważyła ją i podejrzewa, że widzi strzelca wyborowego lub terrorystę. Obawiała się, że za chwilę przywódczyni Nowej Republiki ostrzeże pozostałych członków grupy i wezwie na pomoc funkcjonariuszy miejscowych sił bezpieczeństwa. Agentka Wywiadu chciała przeczołgać się w inne miejsce albo rzucić do ucieczki, ale po namyśle zmieniła zdanie. Wiedziała, że osoba poruszająca się zawsze zwraca na siebie większą uwagę. O wiele lepszym, ponieważ stwarzającym większe szanse przeżycia, rozwiązaniem było pozostawanie nieruchomo. A poza tym, jakież mogło istnieć

prawdopodobieństwo, że ktokolwiek - choćby nawet osoba obdarzona umiejętnościami Jedi - zdołałaby dostrzec albo wyczuć samotnego obserwatora z tak dużej odległości?

Tym bardziej, że w następnej sekundzie Organa Solo wzruszyła ramionami, ponownie zmarszczyła brwi i kilkoma krokami pokonała odległość dzielącą ją od pojazdu. Kalenda pozwoliła sobie na westchnienie ulgi.

Pozostali członkowie grupy podążyli za przywódczynią Nowej Republiki. Wszyscy sprawiali wrażenie spokojnych. Funkcjonariuszka Wywiadu doszła do wniosku, że się pomyliła. Z pewnością nie zaszło nic szczególnego. Może jej się tylko wydawało?

Później jednak zauważyła, że Solo zaczyna rozmawiać z roslym Wookiem.

A raczej zwróciła uwagę na to, jak rozmawiają.

Kalenda umiała czytać z ruchu warg, ale wiedziała, że nie powinna zbyt ufać tej umiejętności, zwłaszcza iż od rozmawiających osób dzieliła ją bardzo duża odległość. A poza tym, nawet gdyby zdołała zorientować się, co mówi Solo, nie miałaby cienia szansy zrozumienia, co odpowiada mu Chewbacca. Jednak bardzo rzadko zdarzało się, aby jakikolwiek pilot, rozmawiając z kolegą albo drugim pilotem, nie pomagał sobie gestami i ruchami rąk. Zapewne nawet istniało coś w rodzaju zbioru uniwersalnych i powszechnie zrozumiałych gestów, mających na celu opisanie tego, co mogło się wydarzyć w trakcie lotu, czy też przebiegu spotkania z innymi jednostkami.

A Han Solo niewątpliwie posługiwał się rękami, aby opisać szczegóły pojedynku, jaki toczył się w przestworzach. Możliwe, że nie zamierzał informować o tym Kalendy, ale funkcjonariuszka wszystko rozumiała. Więc jednak wydarzyło się coś niezwyklego. Z rosnącym zainteresowaniem kobieta obserwowała, jak ręce Hana przecinają powietrze nad jego głową. Przyglądała się, jak podążają jedna za drugą, a potem rozdzielają się i znów łączą, jakby pokazywały dwa statki - a może dwie grupy statków - podążających kursem na zблиżenie albo zderzenie. Potem ręce skierowały się w górę, ku wiszącym nad lądowiskiem patrolowcom. Następnie połączyły się w taki sposób, że rozczapierzone palce utworzyły kulę, a jeszcze później bardzo szybko się rozdzieliły. A więc to tak. Jakiś patrolowiec ekspodował. Rosły Wookie pokręcił głową, że nie; że się nie zgadza. On także zaczął energicznie gestykulować.

Organa Solo zdołała w końcu zapędzić do pojazdu ostatnie dziecko. Wówczas jej mąż i Chewbacca przerwali rozmowę. Zapewne nie chcieli, aby dzieci usłyszały, o czym rozmawiali. Przywódczyni Nowej Republiki upewniła się, że jej pociechy zajęły miejsca, po czym dała znak kierowcy, żeby ruszał w drogę.

Wehikuł odjechał, a Kalenda zerwała się na równe nogi. Zanim usłyszała, co robi, i ponownie zanurkowała, jakaś kępa ostrych źdźbeł trawy omal nie odcięła jej głowy. Kobieta wiedziała, że jeżeli chce obserwować oddalający się pojazd, musi pospieszyć do swojego śmigacza. Powinna przyciąć się gdzieś po drodze z kosmoportu do miasta i zaczekać, aż maszyna wioząca gości ją minie, a potem ruszyć za nimi, ale trzymać się w odpowiedniej odległości. Musiałaby mieć strasznego pecha, gdyby straciła ich z oczu po tak długim oczekiwaniu i upewnieniu się, że wylądowali cali i zdrowi. Potykając się, pobiegła do zarekwirowanego śmigacza. Niepokoiła się chyba jeszcze bardziej niż poprzednio.

A więc jednak ktoś usiłował dokonać zamachu na życie Organy Solo. Nie mogła mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Sytuacja zaczynała osiągać stan krytyczny. Zapewne niedługo dojdzie do wybuchu i planetę ogarnie anarchia. Zaczną się zamieszki, a przywódczyni Nowej Republiki może znaleźć się w samym środku burzliwych zdarzeń.

A ona, doświadczona agentka Wywiadu, Belindi Kalenda, nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec.

R O Z D Z I A Ł

12

CZAS NAUKI

Lando Calrissian wyszedł z wjazdu „Ślicznotki” i postawił stopę na powierzchnię planety Azbrian. Czuł się o wiele mniej pewny siebie niż poprzednio, kiedy lądował na Lena Kerlsil. Spotkanie z życiowiedźmą okazało się bardzo pouczające - choćby tylko dlatego, że zwróciło jego uwagę na tysiące problemów, których nie brał pod uwagę, kiedy obmyślał plan zawarcia związku małżeńskiego. Luke pojawił się w otworze tuż po nim. Tym razem obaj mieli komunikatory i nie zdecydowali się na zamknięcie automatów w żadnym pomieszczeniu jachtu. Lando nie miał złudzeń, że kiedy przebywał na Leria Kerlsil, mógł mówić o ogromnym, nieprawdopodobnym szczęściu. Nie zamierzał drugi raz tak ryzykować.

Odszedł kilka kroków dalej i powiódł spojrzeniem po okolicy. „Ślicznotka” wylądowała na łagodnym zboczu porośniętego chwastami pagórka. Kilkaset metrów dalej pasło się stado wyglądających na oswojone czarno-białych ośmionogich zwierząt. Bez pośpiechu skubały niewysokie, podobne do małych krzaków zielone rośliny, porastające chyba całą powierzchnię pastwiska. Od czasu do czasu któreś unosiło łeb i bez widocznego powodu cicho beczało. Od łąki, na której wylądował jacht Calrissiana, oddzielał je płot, ale chociaż zwierzęta nie sprawiały wrażenia gotowych rzucić się do ataku, Lando nie spuszczał z nich oka.

Dotychczas nie wiodło mu się najlepiej, toteż nie byłby zdziwiony, gdyby spokojne na pozór bestie zechciały nagle przeskoczyć przez płot i w następnej chwili strącić albo poranić i jego, i Mistrza Jedi.

Uspokój się - pomyślał, brodząc w wysokich ponad kostki krzaczastych chwastach. Weź się w garść. Twoja sytuacja nie wygląda aż tak ponuro. Radzisz sobie całkiem nieźle.

- Hej, Lando, ocknij się!

Lando odwrócił się jak użądłony i popatrzył na Skywalkera.

- Co się stało? - zapytał.

Luke kiwnął głową w kierunku wiejskiego domu, stojącego nieco niżej, u stóp wzgórza.

- Nadchodzi komitet powitalny! - powiedział.

- Wspaniale - mruknął Lando i uśmiechnął się z przymusem. - No cóż, w takim razie idziemy!

Pomachał ręką w kierunku dwóch odzianych na białe osób, które wyszły z domu, a potem, nie czekając na Skywalkera, ruszył w ich stronę. Już wkrótce przekonał się, że na ich spotkanie wyszła młoda kobieta w towarzystwie młodego mężczyzny.

- Witajcie! - zawołał do nich.

- I wy witajcie! - odkrzyknęła kobieta. - Czy możemy wam w czymś pomóc?

- Fantastycznie - mruknął Lando, tym razem zwracając się do Mistrza Jedi. - Wylądowaliśmy nie na tej farmie. Zapewne ktoś podał mi niewłaściwe współrzędne. Odwrócił się do dwojga młodych ludzi i, podnosząc głos, odpowiedział: Szukamy posiadłości panny Condren Foreck.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie, wyraźnie zakłopotani, ale i zaintrygowani. Nie przestali jednak iść w stronę przybyszów.

- To ja jestem Condren Foreck - rzekła kobieta. Tym razem jej głos brzmiał normalnie, to znaczy trochę skrzekliwie i piskliwie. - Obawiam się jednak, że nie oczekiwaliśmy żadnych gości.

- Kim jesteście? - wtrącił się jej towarzysz. Ton jego głosu zdawał się wskazywać, że młodzieniec szuka zaczepki.

- Nazywam się Lando Calrissian, a to jest mój przyjaciel, Mistrz Jedi Luke Skywalker - odparł śniadolicę mężczyzna.

Przyjrzał się obojgu młodym ludziom. Condren była niska, szczupła i wątła. Miała bardzo jasną karnację skóry i długie, sięgające ramion kędzierzawe blond włosy, które albo od dawna nie widziały grzebienia, albo tylko nie chciały się ułożyć. Nosiła luźną, białą, sięgającą kostek spódnice i białą niewyszukaną bluzkę. Jej towarzysz był - dla kontrastu - barczystym, silnie umięśnionym i wysokim mężczyzną. Miał ziemistą cerę i odrobinę zbyt blisko siebie osadzone oczy. Założył biały roboczy kombinezon, który sprawiał wrażenie zabłoconego albo ubrudzonego, a wiecznemi zmarszczone brwi nadawały jego twarzy groźny wygląd. Lando doszedł do wniosku, że młodzieniec jest najemnym robotnikiem albo nadzorcą, i postanowił nie zawracać sobie nim głowy.

- Lando Calrissian? - powtórzyła młoda kobieta. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, jakby dopiero teraz coś sobie przypomniała. - O rety. I zadawałeś sobie tyle trudu. Przylatywałeś z tak daleka. Wiedziałam, że powinnam była cię zawiadomić, kiedy... kiedy... ach kiedy wszystko uległo zmianie. Nigdy nie przypuszczałam, że przylecisz, a poza tym wszystko działo się tak szybko, że... no cóż, zapomniałam. Najmocniej cię przepraszam.

- Nie rozumiem - odparł zdziwiony Calrissian. - Powinnaś była mnie zawiadomić, kiedy co uległo zmianie?

- Wszystko - powtórzyła bezradnie Condren, jak gdyby to słowo stanowiło odpowiedź na pytanie. Popatrzyła na swojego towarzysza; zapewne spodziewała się, że jej pomoże. - To naprawdę niezręczna sytuacja - dodała, ale potem wahała się tak

długo, co powiedzieć, jakby wcale nie zależało jej, aby sytuacja stała się chociaż trochę mniej kłopotliwa. - O rety - powtórzyła w końcu, po czym ujęła młodego mężczyznę pod rękę. Panie Calrissian, to jest Frang Colgter. Mój małżonek. Właśnie powróciliśmy z podróży poślubnej.

- Nie do wiary, żeby moje źródła informacji były aż tak niedokładne - odezwał się Lando, obserwując, jak planeta Azbrian znika za bakburtowym skrzydłem „Ślicznotki”. Odlatywali, ale wcale nie byli tym zmartwieni. Jacht leciał, pilotowany przez komputer nawigacyjny. Obaj mężczyźni siedzieli w sterowni w fotelach pilotów i przyglądali się, jak wszechświat pozostaje za rufą. - I co dalej? Kolejna potencjalna naręczona, która zmarła przed pięciu laty? A może inna, która okaże się mężczyzną? Albo Wookiem?

- Słyszałem, że niektóre samice Wookiech, jeżeli traktuje się je w odpowiedni sposób, potrafią być wyjątkowo romantyczne i czułe - zauważył Mistrz Jedi, lekko się uśmiechając.

- Ach, możesz sobie żartować do woli - powiedział przygnębiony Calrissian. - To nie twoja reputacja ucierpi, jeżeli któraś z tych historii ujrzy światło dzienne.

- Hej, przecież wiesz, że umiem milczeć jak grób - zapewnił go Skywalker.

- Ta-a, ale te automaty nie będą miały nic przeciwko temu, żeby pochwalić się, co widziały i słyszały - rzekł Lando, odchylonym kciukiem pokazując pomieszczenie, w którym przebywali teraz Threepio i Artoo. - Chociaż, skoro już o tym mowa, może sam nie oprę się pokusie i będę opowiadał, jak to było, kiedy chciałem ożenić się z życiowiedźmą? - dodał po chwili, ponuro kręcąc głową.

- I byłęś tak blisko finału, jak tylko możliwe - oznajmił Luke, nie przestając się uśmiechać. - A może jednak, kiedy jeszcze raz wszystko przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że nie należało rezygnować? W końcu, Karia jest urocza, piękna, młoda... i co najważniejsze. niezamężna.

- O, tak! - burknął Lando. - Piękna i młoda... pod warunkiem, że ktoś nie uważa osoby, która ukończyła trzysta lat, za starą. To prawda, że była bogata, miła i powabna. Tyle że zanim mija dość czasu, aby ją lepiej poznać, człowiek umiera, a jego była małżonka zaczyna rozglądać się za następną ofiarą, którą mogłaby tak samo uszczęśliwić. Nie, małżeństwo z życiowiedźmą to nie dla mnie. A w dodatku ta historia z Condren... przynaję, że tym razem nic mi nie groziło, ale czułem się zażenowany i skrepowany.

- Daj spokój - pocieszył go Skywalker. - Skąd mogłęś wiedzieć? Taka historia mogła się przydarzyć każdemu. To Condren zawiniła, że nie zawiadomiła cię, kiedy nagle pojawił się ten Frang Colgter, a ona postanowiła go poślubić. Nie obwiniaj siebie oto, co się stało.

Lando przewrócił oczami.

- Akurat - mruknął, chyba bardziej do siebie niż do Mistrza Jedi. - Każdy mógł wylądować na planecie i odwiedzić młodą dziedziczkę rodzinnej fortuny, żeby porozmawiać z nią na temat zawarcia związku małżeńskiego, po czym przekonać się, iż kilka dni wcześniej niedoszła małżonka powróciła z podróży poślubnej. Mowy nie ma!

Taka historia nie mogła się przytrafić nikomu innemu oprócz mnie. Tylko ja mogę mieć takie paskudne szczęście!

Luke wybuchnął śmiechem.

- No cóż, może jest w tym, co mówisz, trochę racji - odezwał się po chwili. - Ale chyba nie zamierzasz się poddawać, prawda?

- Oczywiście, że nie! - odparł Lando, starając się nadać głosowi ton urażonej dumy. - Musiałoby mi się przydarzyć coś o wiele gorszego, żebym zrezygnował. - Przerwał i przez kilka chwil milczał, a potem widocznie pogodził się z sytuacją, ponieważ wzruszył ramionami. - Na szczęście nie miałem okazji sprawdzić, jakim skarbem mogłaby się okazać ta Condren. Obawiam się, że nie wytrzymałbym zbyt długo, gdybym musiał codziennie słuchać jej piskliwego głosu. Tak czy owak, najwyższa pora zająć się następną kandydatką. Lecimy na kolejne spotkanie.

- Na Sakorię, prawda?

- Zgadza się. Na Sakorię - potwierdził Calrissian. - Złożymy wizytę na jednej z planet obrzeża sektora koreliańskiego, gdzie odwiedzimy młodą damę nazywającą się Tendra Risant. Porozmawiamy z nią- pod warunkiem, że nie okaże się, iż ma sześcioro dzieci albo trzech mężów i siwą brodę do samej ziemi.

- To chyba niemożliwe, żeby gdziekolwiek istniała taka kombinacja - zauważył z uśmiechem Skywalker.

- Nigdy nie wiadomo - burknął Lando. - Jestem skłonny podejrzewać, że w tym wszechświecie są możliwe wszystkie absurdy. Zwłaszcza kiedy chodzi o mnie.

- A wiesz, istnieje sposób na uniknięcie większości takich kłopotów - powiedział Luke. - Musiałbyś tylko poświęcić trochę czasu i pieniędzy.

- Jaki? - zainteresował się Calrissian.

- Mógłbyś spróbować skontaktować się z kandydatką, zanim do niej przylecisz. Na ogół ludzie nie porozumiewają się na międzygwiazdne odległości z uwagi na wysoki koszt takiego połączenia, ale pomyśl. Już dwukrotnie się sparzyłeś, dwie próby zakończyły się fiaskiem, ponieważ twoje informacje okazały się fatalnie przestarzałe. Mógłbyś porozumieć się z tą Tendra Risant za pomocą sieci łączności holograficznej. Nie ukrywam, że będzie cię to sporo kosztowało, ale kto wie, może na dłuższą metę pozwoli zaoszczędzić mnóstwo czasu i uniknąć kolejnej niezręcznej sytuacji.

Lando zmarszczył brwi i pogrążył się w zadumie.

- A poza tym - ciągnął Skywalker, porozumiewawczo mrużąc oko - pomyśl, jakie wrażenie wywrzesz na kandydatce, jeżeli otrzyma od ciebie tak kosztowną wiadomość.

Okazało się, że niczego więcej nie było potrzeba, aby jego przyjaciel dał się przekonać. Sięgnął po elektroniczny notatnik i zaczął szukać numeru holoprojektora Tendry Risant.

Pani porucznik Wywiadu Belindi Kalenda zdawała sobie sprawę, że uczyniła wszystko, co w tych okolicznościach było możliwe. Wykorzystała fakt, że dla mieszkańców Korelii nastąpiły ciężkie czasy, i zajęła nie zamieszkaną willą, oddaloną zaledwie o kilkaset metrów od rezydencji, którą przydzielono przywódczyni Nowej Republiki. Nie miała najmniejszych kłopotów z włamaniem się do środka ani z

ukryciem śmigacza oraz pozostałego ekwipunku. Co więcej, okna usytuowanej na piętrze sypialni, wychodzące na rezydencję Organy Solo, stanowiły wręcz wymarzony punkt obserwacyjny.

Niemal podejrzanie idealny. Kalenda nie uznała za pomyślną wróżbę faktu, że funkcjonariusze koreliańskich Wojsk Obrony Planety - umundurowani mężczyźni nieustannie patrolujący okolicę rezydencji tak dostojnego gościa - nie pokusili się o sprawdzenie, czy przypadkiem ktoś nie ukrywa się w pobliskim opuszczonym domu. A zatem, albo nie znali się dobrze na swojej robocie, albo ktoś polecił im, żeby się za bardzo nie przykładali.

Tak czy owak, Kalenda mogła wszystko systematycznie obserwować. Pod warunkiem, że nie zamierzała zawracać sobie głowy takimi drobnostkami, jak przyrządzanie posiłków, sen czy odpoczynek. Rzecz jasna, sam pomysł graniczył z absurdem. Agentka Wywiadu musiała pogodzić się z faktem, że nie może poświęcić całej doby na obserwację. Nie była tym zachwycona, ale cóż mogła na to poradzić. I tak zresztą nie zdołałaby obronić przywódczyni Nowej Republiki, gdyby funkcjonariusze WOP postanowili jej to uniemożliwić. Nie potrafiłaby śledzić wszystkich uczestników wyprawy. Nie dałaby rady, gdyby zechcieli się rozdzielić. Nie mogłaby przebywać we wszystkich miejscach naraz. A gdyby Organa Solo i pozostali członkowie jej rodziny zdecydowali się wyprawić gdzieś poduszkowcem, Kalenda nie mogłaby nawet marzyć o tym, żeby lecieć za nimi. Nie było mowy, żeby nikt jej nie zauważył - oczywiście zakładając, że zdobyłaby inny poduszkowiec, który utrzymałby się w powietrzu dłużej niż pięć minut.

Pocieszała się tylko jedną myślą. Organizacje w rodzaju WOP rzadko posługiwały się umundurowanymi funkcjonariuszami albo agentami, jeżeli ich szefowie pragnęli, żeby ktoś wykonał brudną robotę. Gdyby przygotowywali spiszek mający na celu zamordowanie przywódczyni Nowej Republiki, posłużyliby się zapewne przebranymi w cywilne ubrania złoczyńcami. Możliwe nawet, że uczyniliby to, nie informując umundurowanych pracowników. Prawdę mówiąc, chyba nawet ucieszyliby się, gdyby kilku mundurowych usiłowało pospieszyć z pomocą Organie Solo. Jeszcze lepiej głównie, żeby prawda nie wyszła na jaw - gdyby dwóch czy trzech strażników, osłaniając dostojnego gościa straciło życie. Pomogłoby to odwrócić od nich podejrzania i przydałoby ich energicznym zaprzeczeniom większej wiarygodności.

Gdyby jednak zdecydowali się spróbować, Kalenda mogła im w tym przeszkodzić. Czuwając na stanowisku obserwacyjnym, widziała jak na dłoni wszystkie osoby usiłujące zbliżyć się do rezydencji. Gdyby patrolujący okolicę strażnicy cokolwiek zmienili - na przykład marszrutę albo terminy zmian wartowników - w taki sposób, aby przez pewien czas willa Organy Solo pozostawała nie chroniona - agentka Wywiadu zrozumiałaby, że musi mieć się na baczności. Najprawdopodobniejszy scenariusz zakładałby, że nie zauważeni przez nikogo potencjalni zamachowcy przedostaną się do środka właśnie w czasie takiej rzekomej chwili nieuwagi. Możliwe, że pragnąc odwrócić podejrzania od swoich rozkazodawców, zasztyletują kilku umundurowanych funkcjonariuszy, a później przystąpią do mordowania wszystkich członków rodziny przywódczyni Nowej Republiki.

Kalenda powinna być na to przygotowana. Musiała mieć pod ręką broń, żeby zastrzelić skrytobójców, albo przynajmniej oddać kilka strzałów, aby zwrócić uwagę umundurowanych strażników na to, co się dzieje.

Taki atak mógłby nastąpić tylko ciemną nocą i jeżeli możliwe, podczas fatalnej pogody. Oznaczało to, że agentka Wywiadu może przespać kilka godzin, ale w dzień, a nie w nocy. Musiała jedynie zainstalować makrolornetkę na trójnogu - z obiektywami skierowanymi na willę Organy Solo i nastawić urządzenie tak, żeby zaalarmowało ją, ilekroć w sąsiedztwie rezydencji będzie się coś szybko poruszało. Możliwe, że będzie zrywać się z łóżka za każdym razem, kiedy przez podwórze przebiegnie któreś z dzieci albo za oknem przeleci jakiś śmigacz, ale przynajmniej zdoła chociaż trochę odpocząć.

- Nikt nic nie wspominał o guwernantce - odezwała się Jaina. Nie przestawała wpatrywać się w ciemny sufit pokoju przygotowanego dla wszystkich trojga dzieci. - Dlaczego musimy mieć guwernantkę?

- Żebyśmy mogli jeszcze więcej się nauczyć, trąbo - odpowiedział jej Jacen. W ciemnościach dziewczynka nie widziała brata. Słyszała tylko głos dochodzący od strony sąsiedniego łóżka. - Jak myślisz, z jakiego innego powodu szukaliby dla nas prywatnej nauczycielki?

Jaina wzruszyła ramionami, chociaż wiedziała, że Jacen tego nie zobaczy.

- Chyba masz rację. Tyle że mieliśmy spędzać tu wakacje.

- I co z tego? - zapytał chłopiec. - Nie wiesz, że mamy zostać przywódcami jutra czy kimś w tym rodzaju? I nikogo nie obchodzi, czy nam się to podoba, czy nie. Myślisz, że mama albo tata przepuściliby taką okazję nauczania nas wszystkiego, czego możemy potrzebować, żeby pomagać im w rozwiązywaniu problemów galaktyki?

Jaina zachichotała. Lubiła, kiedy Jacen mówił w taki sposób. Cieszyła się, kiedy żartował ze wszystkiego, co dorośli traktowali chyba zbyt poważnie.

Zadowolona westchnęła i obróciła się na drugi bok na wygodnym, miękkim łożu. Koje na pokładzie frachtowca były jednak stanowczo za małe. Jak to dobrze, że znów znajdują się na lądzie. Dobiegał końca pierwszy dzień pobytu na Korelii, ale żadne z dzieci jeszcze prawie niczego nie widziało. Cały dzień zajęło załatwianie formalności w kosmoporcie i przejazd odkrytym pojazdem do willi na obrzeżach miasta, a potem rozpakowywanie bagaży i układanie przedmiotów osobistego użytku. Mniejsza o to. Jaina cieszyła się, że tu przyleciała, mimo iż do tej pory właściwie niczego nie zobaczyła. Ma się rozumieć, przelot „Sokołem” także sprawił jej wielką radość, chociaż po jakimś czasie dziewczynka stwierdziła, że pomieszczenia są stanowczo za małe. A poza tym, pod sam koniec lotu wydarzyło się coś dziwnego, o czym ani mama, ani tata nie chcieli z nią rozmawiać. Jacen upierał się, że zostali zaatakowani przez jakiś statek, ale Jaina uznała, że to nie miałyby sensu. Przecież mama była przywódczynią Nowej Republiki. Któż mógłby chcieć pozbawić ją życia?

W ciszy, jaka zapadła po ostatnich słowach brata bliźniaka, dało się słyszeć jedynie lekkie posapywanie śpiącego Anakina. Jego łóżko stało pod ścianą w przeciwnym kącie sypialni. Jak to dobrze - pomyślała dziewczynka - że wszystkich

umieszczono w tym samym, prawdziwym pokoju. Zupełnie jak w domu. Tak, z pewnością to dobrze, że lot frachtowcem nareszcie dobiegł końca.

- Jak myślisz, czego jeszcze może nas nauczyć ta guwernantka? - zapytała. - Rzecz jasna, oprócz rozwiązywania problemów wszechświata?

Jacen roześmiał się.

- No cóż, to może jej zająć prawie cały pierwszy dzień - odparł. - Chyba będziemy musieli zaczekać, żeby dowiedzieć się, co przygotowała dla nas na następny.

Budynek, który im przydzielono, stał na niewielkim pagórku. Z okien po jednej stronie rozciągał się dobry widok na zachód, na skraj miasta, a z okien po przeciwnej chyba jeszcze lepszy na wschód, na bezkresne fale oceanu. Po wschodnim zboczu wzgórza biegła wąska ścieżka, umożliwiająca łatwy dostęp do skąpanej w blasku słońca, szerokiej piaszczystej plaży.

Han stał na niewielkim wewnętrznym dziedzińcu, z którego można było przedostać się do drugiej, tylnej części rezydencji. Oparty o metalową poręcz, spoglądał na plażę. Podziwiał bezchmurne niebo i upajał się czystym powietrzem. Zachwycał się podmuchami lekkiego wiatru. Oto zaczynał się nowy dzień, a on przebywał znów na łonie rodzinnego świata. Dzieciaki pobiegły na plażę i bawiły się tam, bacznie obserwowane przez Chewiego. Han pomyślał, że powinien być mu za to wdzięczny. Zapewne nikt porośnięty tak długą, gęstą sierścią nie lubił przebywać tam, gdzie mógłby się zapisać... a tym bardziej zamoczyć.

Wszystko powinno jakoś się ułożyć. Powszechnie uważano, że nigdzie nie można czuć się tak dobrze, jak na własnym świecie... na planecie, gdzie siła ciężenia, skład i ciśnienie powietrza, mowa i nawet akcent, nie licząc potraw i wielu innych drobiazków, było dokładnie takie, jakie znało się od dnia narodzin.

Wszystko to jednak nie było prawdą, jeżeli chodziło o Hana Solo. A przynajmniej nie owego poranka. Zawiniła nie tylko przygoda z Brzydalami i kieszonkowymi patrolowcami. To prawda, Han trochę się tym martwił, ale nie tak bardzo, jak mogłoby się wydawać na początku. W końcu piloci i jednych, i drugich mogliby go zabić, a jednak tego nie zrobili. Oznaczało to, że ktoś potężny i obdarzony władzą życzył sobie, aby żyli, przynajmniej do pewnego czasu. Nie stanowiło to wielkiej pociechy, ale było lepsze niż świadomość albo absolutna pewność, że komuś bardzo zależy na tym, żeby stracił życie.

Chodziło wszakże o coś więcej. O wiele więcej. Leia powiedziała mu, że kiedy przebywali w kosmoporcie, odniosła nieodparte wrażenie, iż są obserwowani przez kogoś z zewnątrz, nie należącego do grona funkcjonariuszy koreliańskiej służby bezpieczeństwa. A kiedy mówiła coś takiego osoba umiejąca posługiwać się - aczkolwiek niewprawnie - Mocą, raczej należało jej uwierzyć.

Chodziło jednak o to, jak wyglądała okolica i przedmieścia stolicy, które widział, kiedy jechali odkrytym wehikułem. Spodziewał się, że zobaczy jakieś zmiany, a nawet że to i owo popsuje się, zniszczy albo rozpadnie. Śledził wiadomości napływające z Korelii, przynajmniej tak pilnie jak każdy inny rodak, który przebywał z daleka od sektora.

Zobaczył jednak zaniedbane i nie uprawiane pola, a także nie otynkowane i walące się w gruzy kamienice. Mijał długie rzędy zabitych deskami sklepów, ciągnące się nierzadko setki metrów. Zauważył zmęczenie malujące się na twarzach mijanych ludzi. A zatem sytuacja wyglądała gorzej niż się spodziewał. Han czuł irracjonalne wyrzuty sumienia. Miał do siebie żal o to, że przebywał gdzie indziej, a nie pośród ziomeków. Możliwe, że by im nie pomógł, ale przynajmniej cierpiałby razem z nimi.

Nagle poczuł przemożną chęć, aby właśnie to uczynić. Znaleźć się pośród nich. Jeżeli będzie nadal stał na wewnętrznym dziedzińcu wzniesionej na obrzeżach miasta willi, z pewnością nie zobaczy ani nie dowie się, jak wyglądało życie na planecie ani o czym mówi się w stolicy. Odwrócił się i wszedł do domu. Stwierdził, że Leia wciąż jeszcze siedzi przy stole, przy którym jedli śniadanie.

- Posłuchaj - zaczął bez jakiegokolwiek wstępu. - Czy uważasz, że dałabyś sobie sama radę z wybieraniem tej guwernantki?

Leia uniosła głowę i popatrzyła na męża. Nie ukrywała zdziwienia.

- Przypuszczam, że tak - odparta. - Dlaczego pytasz? Czy stało się coś złego?

- Prawdę mówiąc, nie wiem - odrzekł Han. - Czuję jednak, że powinienem opuścić zaciszne mury tej willi i udać się do miasta, gdzie mógłbym dowiedzieć się, o co chodzi. Pospacerować ulicami, a nie tylko pozwolić przewieźć się tu i tam we wnętrzu opancerzonego transportowca Wojsk Obrony Planety. Myślę, że przejdę się na przystanek i skorzystam z poduszki wahadłowca.

Leia kiwnęła głową, ale nie zmieniła poważnego i trochę smutnego wyrazu twarzy.

- Chyba na wpół świadomie spodziewałam się, że zechcesz tam polecieć - powiedziała. - A zatem leć i sprawdź, co się tam dzieje. Myślę, że poradzę sobie ze znalezieniem tej guwernantki. Pierwsze kandydatki powinny zgłosić się za mniej więcej godzinę.

Han pochylił się i złożył delikatny pocałunek na policzku żony.

- Dzięki - powiedział. - Myślę, że właśnie tego było mi potrzeba.

- Nie zapomnij, że wieczorem idziemy na kolację - przypomniała mu Leia. - Zostaliśmy zaproszeni przez gubernatora generalnego. Poduszkiwiec powinien przylecieć po nas punktualnie o ósmej.

- Zdążę wrócić i będę miał dość czasu, by się przygotować - obiecał Han. - Muszę jednak polecieć do miasta. Przypuszczam, że zbyt długo go nie widziałem. Chcę zobaczyć, co się tam zmieniło.

Kiedy Leia skończyła rozmawiać z trzecią osobą ubiegającą się o posadę guwernantki jej dzieci, doszła do przekonania, że nie powinna była tak pochopnie brać tego obowiązku tylko na własne barki. Kancelaria gubernatora generalnego przekazała jej listę kandydatek i kandydatów. Wszystkie osoby zostały dokładnie sprawdzone - i to nie tylko pod kątem bezpieczeństwa Jacena, Jaina i Anakina - a oprócz tego Leia mogła polegać na własnej umiejętności posługiwania się Mocą. Wiedziałyby, gdyby jakaś osoba była oszustką albo żywiła nieprzyjazne zamiary. Przywódczyni Nowej Republiki

nie musiała zatem obawiać się, że nieświadomie powierzy nauczanie dzieci komuś, kto okaże się tajnym agentem albo skrytobójcą.

Wyglądało jednak na to, że raczej powinna się martwić, czy aby nie zatrudni osoby bez odpowiednich kwalifikacji. Spośród trzech pierwszych, z którymi rozmawiała - kobiety, mężczyzny i Selonianki - wszystkie okazały się miłe i uprzejme, Leia nie powierzyłaby jednak żadnej pilnowania czajnika z gotującą się wodą, nie wspominając o opiece nad trójką rozhukanych dzieci. Sytuacji nie poprawiało także to, że wszystkie trzy prześcigały się chyba w prawieniu jej komplementów. Przywódczyni Nowej Republiki nigdy nie zwracała uwagi na takie nonsensy, a w tej chwili wręcz ich nie znośiła.

Siedząc za biurkiem w bardzo skromnie umeblowanym gabinecie, przygotowywała się do kolejnej rozmowy. W pewnej chwili, kiedy uznała, że trochę ochłonęła po rozmowach z poprzednimi osobami, przycisnęła umieszczony na blacie guzik, dając znak, że może wejść następna.

Do gabinetu wszedł starszawy Dral, za którym - ku wielkiemu zdumieniu Leii - toczył się czarny jak smoła robot. Dral sprawiał wrażenie wysokiego jak na istotę swojej rasy; musiał mieć jakieś sto dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu. Krótka, gęsta sierść sprawiała wrażenie ciemnoszarej, ale tu i ówdzie - szczególnie na twarzy i szyi - można było zauważyć nieco jaśniejsze, popielate plamy. Istota nie nosiła żadnego ubrania ani ozdoby.

Dralowie byli klasycznymi istotami dwunożnymi. Niscy, porośnięci ciemną sierścią i zawsze poważni, poruszali się statecznie i z godnością. Mieli krótkie ręce i nogi, zakończone stopami i dłońmi, które także były porośnięte sierścią i kończyły się ostrymi pazurami. Kandydat idący w stronę biurka Leii wręcz promieniował charakterystyczną dla istot swojej rasy pewnością siebie.

Automat toczył się tuż za Dralem, wskutek czego Leia musiała wychylić się zza biurka, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Wyglądał jak szczuplejsza i wyższa kopia Artoo-Detoo... jak cylinder na wspornikach, zakończonych niewielkimi kółkami. Sprawiał wrażenie bardzo zmodyfikowanego robota astromechanicznego. I w przeciwieństwie do Artoo, mógł się przemieszczać, nie tylko jeżdżąc na kółkach, ale także unosząc się za pomocą repulsorów. A przynajmniej wszystko na to wskazywało. Leia uznała, że umieszczone w dolnej części cylindrycznego korpusu urządzenia chyba nie mogą być niczym innym niż głowicami, mieszczącymi repulsory. Jeszcze nigdy nie widziała tak zmodyfikowanego automatu. Jednak przyjęta na Korelii etykieta nie różniła się od obowiązującej na innych światach - a przynajmniej nie pod względem sposobu, w jaki traktowano roboty i androidy. O ile automaty czegoś nie robiły albo w czymś nie pomagały, należało udawać, że się ich nie zauważa.

Starszawy osobnik płci męskiej był równie pękaty jak większość innych Dralów, których Leia widziała. Nie poruszał się zbyt szybko, ale w jego ruchach nie dałoby się zauważyć niczego, co świadczyłoby o niezgrabności albo skrępowaniu.

Szedł powoli i z godnością, cały czas kierując spojrzenie czarnych jak paciorki oczu na oblicze przywódczyni Nowej Republiki.

- Nazywam się Ebrihim - odezwał się w pewnej chwili. Jego niski głos zabrzmiał chrapliwie i gardłowo.

Leia uświadomiła sobie, że wstaje i obchodzi biurko, żeby go powitać. Niczego takiego nie robiła, kiedy rozmawiała z poprzednimi osobami. Ebrihim był jednak kimś, kto najwyraźniej zasługiwał na szacunek, nawet ze strony osoby obdarzonej taką władzą jak przywódczyni Nowej Republiki.

- A ja nazywam się Leia Organa Solo - przedstawiła się, postanawiając podobnie jak jej gość - opuścić wszystkie oficjalne tytuły. Jeżeli informacje otrzymane z kancelarii generalnego gubernatora były wiarygodne, ten gość mógł się pochwalić równie zaszczytnymi tytułami.

- Poszukuje pani gubernera dla swoich dzieci - powiedział Dral, kierując się ku fotelowi dla gości. - Chciałaby pani, żeby owa osoba pełniła także funkcję przewodnika całej grupy, organizującego wyprawę do ciekawych miejsc na planecie. Czy to prawda?

- Tak odrzekła Leia. Nagle odniosła niesamowite wrażenie, że to nie Dral, ale ona jest osobą ubiegającą się o pracę gubernantki.

- To dobrze - ciągnął Ebrihim. - W takim razie proszę zająć swoje miejsce.

Podciągnął się na siedzenie fotela, przeznaczonego dla nieco wyższych niż on istot ludzkich. Leia posłusznie wróciła za biurko i usiadła. Rzecz jasna, nie uszło jej uwagi, ile pewności siebie musiał mieć kandydat na gubernera, który ośmielał się mówić przywódczyni Nowej Republiki, co powinna robić w swoim gabinecie.

- Poszukuję nauczycielki dla swoich dzieci - powiedziała. Uznała, że jej rozmówca chyba woli od razu przejść do sedna sprawy. Bardzo dobrze. Pokaże mu, że nie jest gorsza. - Dlaczego uważa pan, że powinnam powierzyć to zadanie właśnie panu?

- Dobre pytanie. Ponieważ ta praca mnie intryguje. Znam historię tego sektora. Ponieważ mam duże doświadczenie, jeżeli chodzi o opiekowanie się latoroślami zamożnych istot ludzkich. Proszę pozwolić, że powiem, do jakich doszedłem wniosków, analizując pani pochodzenie i wykształcenie. Otóż uważa pani, że byłoby najlepiej, gdyby gubernier panu dzieci nie był istotą ludzką. Dzięki temu pociechy mogłyby zapoznać się z opiniami i poglądami osobników nie będących ludźmi. Chciałaby pani, aby ta obca istota należała do jednej z ras żyjących w tym systemie. Pozwoliłoby jej to przedstawić własny punkt patrzenia na różne sprawy... punkt, którego nie mógłby zaprezentować nikt inny. Jestem mniej więcej tego samego wzrostu, co pani dzieci, a zatem pociechy nie będą się czuły zaleźnione ani zawstyżone... oczywiście, o ile nie zechcę, żeby się mnie bały. Czy te powody wystarczą, czy też może chce pani usłyszeć pozostałe?

- Ta lista powodów jest całkiem zadowalająca - odrzekła Leia, uśmiechając się lekko.

- To dobrze - ciągnął Ebrihim, jakby oczekiwał właśnie takiej odpowiedzi. - Jak przypuszczam, wszystkie moje kwalifikacje są pani znane? Zapewne zapisane w tym elektronicznym notesie? Czy wie pani na tyle dużo, by podjąć decyzję już w tej chwili, czy też może zechce pani posłużyć się tymi zabawnymi umiejętnościami władania Mocą, aby prześwietlić wszystkie głębinę mojej duszy?

- Nie wierzy pan w potęgę Mocy? - zainteresowała się Leia.

- Wierzę, tak samo jak w siłę ciężenia czy blask słońca. Uświadomiłem sobie fakt jej istnienia, a zatem wiem, że jest czymś realnym. Nie traktuję jej jednak z powagą. Przypuszczam, że na tej planecie nie spotkałaby pani ani jednego oszusta, wydrwigrosza czy hazardzisty żyjącego z gry w sabaka - ani zapewne żadnego innego hochszaplera - który nie głosiłby wszem i wobec, iż umie posługiwać się Mocą.

- Myślę, że w tym, co pan mówi, jest sporo racji - przyznała Leia. - Proszę jednak powiedzieć, jakim cudem kłamstwa, do których czasami uciekają się oszuści, mogą wpłynąć na znaczenie Mocy?

- Ponieważ Moc nie wywiera realnego wpływu na codzienne życie ogromnej większości inteligentnych istot żywych - odparł Ebrihim. - Pani żyje w świecie, w którym liczą się umiejętności Jedi, a cuda, jakie można wyprawiać, kiedy włada się Mocą, uchodzą właściwie za coś normalnego. Tymczasem ja żyję w świecie, w którym nie mogę podskoczyć na wysokość pięciokrotnie większą niż mój wzrost - i to bez względu na to, jak bardzo bym się starał albo pragnął. Muszę wspiąć się po drabince albo pozwolić, żeby uniósł mnie Qiunine-Ekstoo. Galaktykę zaś, którą pani kieruje i którą kiedyś mogą pani pomagać kierować dzieci, zamieszkuje o wiele, wiele więcej istot bardziej podobnych do mnie niż do pani. Jak przypuszczam, dzieci także potrafią władać Mocą?

- Jeszcze jak - przyznała Leia.

- A zatem proszę nie dopuścić, żeby za bardzo na niej polegały - rzekł Ebrihim. - Moc nie może stać się dla nich podporą, kulą ani skrótom, a już w żadnym wypadku prostym wyjściem z każdej sytuacji. Niech się dowiedzą, jak sobie radzić z rozwiązywaniem problemów codziennego życia. Muszą nauczyć się żyć jak zwykli ludzie. Dopiero później będą mogły budować pomosty, którymi dostaną się do Mocy. Nie wolno im ufać Mocy na tyle, żeby korzystały z niej, ilekroć nie zdołają znaleźć innego rozwiązania.

- Rozumiem - powiedziała Leia.

Dochodziła do wniosku, że powinna być śmiertelnie obrażona wieloma uwagami, na jakie pozwolił sobie Ebrihim. Kto wie, może jednak zbyt dużo czasu spędzała otoczona lokajami, służącymi i najzwyczajniejszymi pochlebcami? Uświadomiła sobie nagle, że szczerłość i bezpośredniość Drala wpływa na nią jak podmuch orzeźwiającego wiatru. Odczuwała przyjemność, zapewne wynikającą z faktu, że przynajmniej ten jeden raz może porozmawiać z kimś, kto nie przejmuje się mało istotnymi drobiazgami, nie stara się za wszelką cenę przypodobać czy zasłużyć na pochwałę ani też nie traktuje jej jak mitycznej bogini. Starszawa istota zachowywała się raczej jak nauczyciel, który kierując się wieloletnim doświadczeniem, udziela dobrych rad matce usiłującej jak najlepiej wychować pociechy.

Leia uświadomiła sobie także, że chciałaby, aby kształceniem jej dzieci zajął się właśnie ktoś podobny. Ebrihim wygłosił bardzo trafne uwagi na temat Mocy. A chyba warto, aby Jacen, Jaina i Anakin zapoznali się z innym punktem widzenia na tę sprawę. Do tej pory jej dzieci nieczęsto miały okazję spędzać czas w towarzystwie osoby, która nie uznawała Mocy za jedyny środek wiodący do każdego celu, nie traktowała jej jak

lekarstwo na wszelkie życiowe problemy ani nie uważała, że wszystko powinno zaczynać się i kończyć na Mocy. Jej pociechy rzeczywiście miały żyć we wszechświecie, w którym olbrzymia większość istot żywych nigdy nie miała do czynienia z Mocą ani nawet nie słyszała, że coś takiego istnieje.

- Przyjmuję pana - rzekła Leia. - Czy podawaną w ogłoszeniu wysokość wynagrodzenia uważa pan za wystarczającą?

- Byłbym głupcem, gdybym nie zgodził się na większą sumę, którą mogłaby pani chcieć zaproponować, ale i tak uważam tę sumę za „wystarczającą”. Jeżeli nie ma pani żadnych zastrzeżeń, mógłbym natychmiast przystąpić do pracy.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko temu - odrzekła Leia.

Ebrihim ześlizgnął się z fotela i odwrócił w stronę automatu.

- Chodźmy, Qiunine-Ekstoo - powiedział. - Musimy zabrać się do pracy.

Dopiero teraz, kiedy istota zwróciła uwagę Leii na swojego pomocnika, przywódczyni Nowej Republiki mogła skierować rozmowę na jego temat.

- Czy wolno mi zauważyć, że to bardzo niezwykły model? - zapytała. - Chyba jeszcze nigdy takiego nie widziałam. Czy mogę zapytać, do czego jest potrzebny gubernatorowi taki robot astromechaniczny?

- Do bardzo wielu rzeczy - odpowiedział Ebrihim. - Jeżeli chodzi o dostęp do najróżniejszych baz danych, jest doprawdy nieoceniony. Na tym jednak nie kończy się lista jego możliwości. Mój towarzysz ma...

- Jestem w stanie sam to powiedzieć, panie Ebrihim - odezwał się nagle automat. - Nie musi pan wyliczać moich umiejętności, zupełnie jakby mnie tu nie było.

Leia uniosła brwi, lekko zdziwiona.

- Z pewnością nigdy dotąd nie widziałam robota astromechanicznego, który nie tylko znałby basic, ale także umiałby posługiwać się tym językiem - rzekła, zwracając się do Drala. - Czy to pan dokonał w nim takiej modyfikacji, czy też może automat umiał mówić, kiedy go pan kupował?

Zanim Ebrihim zdążył odpowiedzieć, Qiunine odwrócił się w stronę Leii.

- Bardzo panią przepraszam, ale jak chwilę wcześniej mówiłem, umiem sam odpowiedzieć na to pytanie. Mogę także zapewnić panią, że sam dokonałem modyfikacji, dzięki której umiem mówić.

- Qiunine, nie powinienes odzywać się tak niegrzecznie, kiedy zwracasz się do przywódczyni Nowej Republiki - zgniał go Ebrihim.

- Dlaczego nie? - zapytał automat tonem, który dowodził, że kieruje nim zwykła ciekawość.

- Ponieważ ta dama może wydać rozkaz, żeby rozebrano cię na części.

- Z pewnością nie dopuściłbyś do czegoś takiego - odparł Qiunine-Ekstoo. - Muszę oświadczyć, że właśnie ta groźba już dawno przestała wywierać na mnie jakiegokolwiek wrażenie.

- Pewnego dnia odezwiesz się tak zuchwale do niewłaściwej osoby, a wówczas nie zdołam zrobić nic, aby uchronić cię przed karą.

Leia nie mogła opanować wyrazu twarzy. Uśmiechnęła się lekko.

- Chociaż uważam, że powinieneś spróbować zachowywać się odrobinę grzeczniej, nie wydam rozkazu, żeby rozebrano cię na podzespoły.

Qiunine odwrócił się do swojego właściciela.

- Widzi pan? - zapytał triumfująco.

- Nie, nie widzę - odparł łagodnie Ebrihim. - Przebaczone ci, ale to wcale nie oznacza, że miałeś rację.

- Możliwe - odparł beztrąsko robot. - Tyle że jak wynika z mojego dotychczasowego doświadczenia, o wiele łatwiej jest uzyskiwać przebaczenie niż mieć rację.

- I właśnie dlatego ludzie mówią do ciebie albo o tobie, jakby cię nie widzieli - stwierdził Ebrihim. - Bardzo szybko dochodzą do przekonania, że rozmawianie z tobą nie ma sensu.

Qiunine przeniósł spojrzenie z Leii na Drała, ale wszystko wskazywało na to, że nie potrafi znaleźć właściwej odpowiedzi. Nie mówiąc ani słowa więcej, odwrócił się, potoczył do drzwi gabinetu i po chwili zniknął za progiem.

- Naprawdę musi być bardzo pożyteczny, skoro cierpliwie znosi pan wszystkie jego kaprysy - zauważyła Leia.

- Istotnie, czasami mam tego serdecznie dosyć - zgodził się Ebrihim. - Muszę jednak przyznać, że ten automat mnie intryguje. Jeszcze nigdy nie natknąłem się na robota, który miałby tak niezwykle sposób patrzenia na niektóre sprawy. Uważam, że to mnie stymuluje i zmusza do większego wysiłku umysłowego. On ma bardzo ciekawy pogląd na to, jak powinno się traktować inne automaty, i co jeszcze ciekawsze, stara się postępować zgodnie z tymi zasadami. Myślę, że właśnie to stanowi jeden z powodów, dla których bezustannie dokonuje jakichś zmian w swojej konstrukcji.

- A zatem nie chodzi wyłącznie o umiejętność mówienia?

- O, nie, to tylko jedno z jego udoskonalień. Jeżeli na rynku pojawiają się automaty wyposażone w jakieś nowe udoskonalenia albo umiejętności, Qiunine robi wszystko, żeby nimi dysponować. Oceniam, że w tej chwili niespełna połowa części i podzespołów wygląda tak samo jak wówczas, kiedy schodziły z taśmy montażowej.

Rzecz jasna, mój towarzysz także projektuje i wdraża własne rozwiązania. Na przykład repulsory. Sam je skonstruował. Od dawna mam nadzieję, że następnym udoskonaleniem będzie moduł nakazujący mu zachowywać się grzecznie i uprzejmie, ale na razie nie dostałem tego szczęścia.

Możliwe, że Ebrihim lubił rozmawiać o swoim robocie, a może jedynie ucieszył się, iż ma pracę. W każdym razie sprawiał wrażenie wyraźnie odprężonego.

- Chodźmy - rzekła rzeczowo Leia. - Myślę, że najwyższy czas, żeby poznał pan dzieci.

- Cieszę się na samą myśl o tym - oznajmił Dral. Zgiął się w niskim, ale nie przesadnym ukłonie, po czym gestem dał znak, żeby Leia prowadziła.

Kiedy Han Solo dotarł w pobliże stołecznego kosmoportu, skręcił z ulicy Meteorów w aleję Gwiazdnych Skarbów. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. A

przynajmniej w pierwszej chwili. Doskonale pamiętał, jak kiedyś wyglądała. Jakim cudem mogła się aż tak zmienić? Czy na pewno nie zablądził?

Aleja Gwiazdnych Skarbów była zawsze ośrodkiem handlu i rozrywki... czymś w rodzaju targowiska, bazaru albo jarmarku. Była legendą, którą musiało się przejść albo którą należało ominąć, jeżeli nie miało się dość wyobraźni lub nie czuło choćby odrobiny żądz przygód - ilekroć chciało się dostać z kosmoportu do centrum Koronetu.

Han pamiętał setki straganów i namiotów, ustawionych ciasno jeden obok drugiego i zajmujących całą szerokość alei. Handlarze zachwalali w nich i sprzedawali chyba wszystkie możliwe cuda i dziwy, sprowadzane nierzadko z najdalszych zakątków całej galaktyki. Sami kramarze także pochodzili z setek, jeśli nie z tysięcy najróżniejszych światów... z systemów gwiazdnych, o których Han nigdy nawet nie słyszał. Tłoczyli się tu, właśnie w tej alei, i przekrzykiwali jeden drugiego, zachwalając zalety swoich towarów. Codziennie w pobliskim kosmoportzie lądowały nowe statki i codziennie na stołach i ławach pojawiały się coraz osobliwsze, czasami nieoczekiwane, dziwne przedmioty.

Kiedyś aleja Gwiazdnych Skarbów tętniła życiem. Kiedyś przelewały się nią tłumy klientów, przybyłych czasami z przeciwległego krańca galaktyki. Kiedyś wszystkich aż onieśmiała i przytłaczała panujący w tym miejscu hałas, zgiełk i harmider. Czasami dawało się jednak usłyszeć słowa ballad i serenad, wyśpiewywanych na całe gardło przez, wędrownych pieśniarzy. Innym razem ponad gwar wybijały się dźwięki muzyki, wygrywanej chyba na wszystkich instrumentach, jakie znała galaktyka. Ale najczęściej wszystkie inne odgłosy zagłuszał wrzask wydobywający się z setek gardeł miejscowych kramarzy. Handlarze w setkach najdziwniejszych języków zachęcali potencjalnych klientów do obejrzenia, spróbowania, przymierzenia i - rzecz jasna - nabycia najpiękniejszych, najwykwintniejszych i najrzadszych towarów po absurdalnie niskich, okazyjnych cenach. A każdy klient, który zawzięcie się targując, nie obniżyłby owej rzekomo śmiesznie niskiej ceny przynajmniej o połowę, zasługiwał na to, co spotykało go potem, gdy dobijał targu i stawał się właścicielem towaru.

Kiedyś w powietrzu unosiły się egzotyczne zapachy pieczonego mięsa, świeżego pieczywa i aromatycznych trunków - nie mówiąc o innych woniach, wywołujących mniej przyjemne skojarzenia. Powonienie przypadkowego przechodnia mogło być w jednej chwili oczarowane przez aromat najdelikatniejszych pachnideł, a w następnej zaatakowane przez odór czegoś, co przypominało gnijące odchody pozostałe na dnie klatki, w której trzymano jakieś egzotyczne zwierzę, albo stanowiło ulubione pożywienie innego, nie mniej egzotycznego stworzenia.

Niegdyś aleja Gwiazdnych Skarbów pyszniła się tysiącami żywych kolorów. Jaskrawe barwy ścian namiotów i markiz straganów, a także ogromne plansze i migoczące neony informowały potencjalnych nabywców i zachęcały do wydawania gotówki. Frontony jednych sklepików mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Inne pomalowano na odcienie, których nie mogło dostrzec ludzkie oko. Można było pomyśleć, że fronton ma barwę srebrystopopielatą albo szaroburą, podczas gdy w

rzeczywistości płonął lub kłuł w oczy, jeżeli oglądało się go w nadfiolecie czy podczerwieni. Wnętrza jeszcze innych sklepików miały niezwykle kształty albo zostały ozdobione skomplikowanymi, odbijającymi dźwięki przegrodami. Właściciele tych sklepów liczyli na to, że sprzedawane w nich towary staną się atrakcją dla klientów odnajdujących drogę za pomocą słuchu.

Tą samą zasadą kierowały się inne istoty, które nad nie oznakowanymi drzwiami swoich lokali wieszały małe, nie rzucające się w oczy lampy. Łatwo zgadnąć, jaką działalność prowadzili właściciele owych przybytków za zamkniętymi drzwiami. Czasami lampy, na pierwszy rzut oka sprawiające wrażenie uszkodzonych albo nie zapalonych, płonęły intensywnym blaskiem, jeśli miało się wzrok wrażliwy na podczerwień lub nadfiolet. Informowały klientów, którzy widzieli cały świat cokolwiek inaczej niż istoty ludzkie, czym zajmuje się właściciel. Han pamiętał, że kiedy jeszcze chodził do szkoły, pośród uczniów szerzyła się dziwna plotka. Głosiła, iż barwa owych zapalonych lamp - nawet tych dostrzegalnych przez ludzkie oczy - stanowiła coś w rodzaju skomplikowanego, sekretnego kodu. Nikt jednak, kogo Han w owych czasach pytał, nie potrafił, a może nie chciał wyjaśnić, na czym ów kod miałby polegać. Możliwe, że nikt nie wiedział, co mógłby oznaczać taki albo inny kolor. Mimo to Han zapamiętał, że taka plotka krążyła wówczas po stolicy.

Wtedy noc w alei Gwiazdnych Skarbów nie różniła się niczym od dni. Prawdę mówiąc, nocne życie toczyło się chyba jeszcze szybciej. Widząc, że słońce chyli się ku zachodowi, połowa kramarzy chowała towary i zamykała sklepiki i stragany - tylko po to, by po kilkunastominutowej przerwie otworzyć je na nowo i udostępnić klientom jako jaskinie hazardu, punkty nakłuwania tatuaży czy też salony gry w sabaka. Pozostali straganiarze w ogóle nie przerywali działalności. To właśnie wówczas aleję opanowywali uliczni śpiewacy, grajkowie, kuglarze i tancerze. Tłumy wcale nie rzedły, ponieważ z restauracji i barów wylewały się rzeki gości, pragnących odetchnąć chłodniejszym, aromatycznym powietrzem. Nikt nigdy nie chciał przebywać zbyt długo w jednym miejscu - zapewne w obawie, że mógłby nie dowiedzieć się, co czeka go w sąsiednim namiocie albo sklepie.

Tak było kiedyś. Teraz wszakże wszystkie kolory, zapachy i dźwięki zniknęły jak za dotknięciem różdżki złośliwej czarownicy. Pełne emocji dnie i upojne, czarowne noce odeszły w przeszłość, a może nawet w niepamięć. Zniknęły namioty i stragany przekupniów, wskutek czego szeroka aleja sprawiała wrażenie szerszej niż w rzeczywistości. Szerszej, opustoszałej i przeraźliwie smutnej. Ciągące się wzdłuż niej sklepiki miały teraz okna zabite deskami. Niektóre szyby stłuczono i wnętrza splądrowano, a czasem - wskazywały na to osmalone ściany - po prostu podpalono. Słychać było jedynie świst wiatru i od czasu do czasu cichy szelest łapek gryzoni kryjących się po kątach przed nadchodzącym człowiekiem. Jedyńą wonią, jaka unosiła się w powietrzu, był ledwo wyczuwalny odór gnijącego drewna, pleśni oraz stojącej, mętnej wody.

Tu i ówdzie ze szczelin w murach wyrosły rachityczne, karłowate drzewka. Gdzie indziej spomiędzy płyt chodnika i zza strzaskanych witryn niektórych sklepów wychylały się wysokie chwasty. Czasami spojrzenie zatrzymywało się na kawałku

nieprawdopodobnie starego, spłowiałego i na wpół przegniłego płótna namiotowego, stosach rozrzuconych byle jak drewnianych belek albo połamanych szczątków rozkładanych stolików. To było wszystko, co pozostało. Tylko tyle, jeżeli nie liczyć wspomnień Hana Solo, jakie pozostały mu z dawnych, szczęśliwych dni i nocy.

Wszystko minęło. Przepadło i nigdy nie powróci. Możliwe, że kiedyś, w innym życiu tak dawno, iż mogło się wydawać, że przydarzyło się to komuś innemu aleja Gwiazdnych Skarbów była miejscem podniecającym i tajemniczym. O wiele młodszemu Hanowi mogła wydawać się nawet niebezpieczna. Teraz jednak cały urok prysnął. Zniknęła tajemniczość. Aleja Gwiazdnych Skarbów ciągnęła się, cicha i wymarła.

Han dobrze pamiętał słynnego aktora, którego kiedyś tu zobaczył. Pierwszy raz zauważył go, siedząc w czwartym rzędzie w jakimś teatryku. Aktor grał rolę dziarskiego i urodziwego młodego porucznika. Han nigdy wcześniej nie widział mężczyzny tak tryskającego energią i pełnego życia jak ów młody, wymyślony oficer. Kiedy przedstawienie dobiegło końca, Han przedostał się za kulisy i skierował się prosto do garderoby owego aktora. Po wejściu natychmiast zauważył paradny mundur, perukę, szablę i nawet sztuczny nos, który artysta zakładał, podczas występów na scenie. Wszystkie te rekwizyty leżały albo wisiały, starannie uporządkowane i ułożone. A pośrodku małego pokoiku siedział zmęczony, starszawy mężczyzna. Zwrócił do Hana bladą twarz, w której tkwiły obojętne jakby niczego nie widzące oczy.

Han musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, aby uwierzyć, że ów stary, zmęczony mężczyzna był zaledwie kilka chwil wcześniej przystojnym, pełnym wigoru młodym oficerem. Aktor powiedział mu, że nastał późny wieczór, a on skończył pracę i nie mając niczego innego do roboty, wybiera się do domu. Han nie mógł się pogodzić z tym, że spogląda na człowieka, który przed kilkunastoma minutami, kiedy stał na scenie, był gotów rzucić wyzwanie całemu wszechświatowi.

Jeżeli w alei Gwiazdnych Skarbów było cokolwiek szczególnego, magicznego czy przyprawiającego o dreszcz emocji, zniknęło, jakby zerwane jednym nagłym ruchem. Nie zostało nic - z wyjątkiem ponurej rzeczywistości i widoku opustoszałej, zaniedbanej ulicy.

Han przeszedł nią do samego końca, po czym skręcił w aleję Gwiazdnego Blasku i skierował się do centrum miasta. Musiał zobaczyć, jak wygląda śródmieście - chociaż wcale nie miał na to ochoty.

Zorientował się, że nie wszystko popadło w ruinę. Jedyne prawie wszystko. Idąc ulicami miasta, czasami mijał choć trochę zadbane domy. Gdzieś tam widział otwarte sklepy i czynne punkty usługowe. Co więcej, niektóre sprawiały wrażenie, jakby ich właścicielom nieźle się powodziło. Han chciał wierzyć, że coś pozostało z dawnych dobrych czasów. Wiedział jednak, że to złudzenie. W rzeczywistości idąc w ślady alei Gwiazdnych Skarbów, stolica powoli zamierała.

Jedyna różnica polegała na tym, że życie w alei Gwiazdnych Skarbów już zamarło, a w Koronecie jeszcze trochę się tliło. Ulice nie były całkiem opustoszałe... zaledwie w połowie. Tu i ówdzie widywało się nawet pojazdy, chociaż przeważnie nie

nadawały się do użytku. Większość, uszkodzonych zapewne przed wielu miesiącami, a może nawet laty, tkwiła wciąż jeszcze tam, gdzie porzucili je właściciele. Prawie na każdym rogu ulic można było zobaczyć grupki bezdomnych albo bezrobotnych.

I wszyscy, których Han widział, byli ludźmi. Wyjątkowo rzadko udawało mu się zauważyć samotnego Selonianina albo Drala. Han pamiętał, że w dawnych czasach obce istoty miały swoje enklawy, w których mieszkały, ale nawet wówczas nikt nie przywiązywał do tego większej wagi. Bardzo często Selonianie kupowali artykuły spożywcze w sklepach obsługiwanych przez Dralów, ludzie składali wizyty swoim przyjaciółom Selonianom w ich mieszkaniach, a Dralowie chodzili na przedstawienia do teatrów, które usytuowano w dzielnicach zamieszkiwanych głównie przez ludzi.

Teraz wszystko uległo radykalnej zmianie. Obecnie, kiedy brakowało pieniędzy i okazji do ich zarobienia, wszyscy musieli troszczyć się głównie o siebie... i oglądać się przez ramię na to, co robią pozostali.

Han uznał, że nie powinien się zbytnio dziwić. Przecież właśnie tego mógł oczekiwać. Od dawien dawna dobrobyt mieszkańców planety i funkcjonowanie najważniejszych koreliańskich zakładów przemysłowych opierały się w dużej mierze na handlu. Handel pomagał zarabiać ludziom zapewniającym rozrywkę załogom gwiazdnych statków. Handel stanowił podstawę bytu pracowników instytucji finansowych świadczących usługi potężnym towarzystwom transportowym. Na godziwy zarobek mogli także liczyć inżynierowie, specjaliści i technicy zajmujący się wytwarzaniem i naprawami wszelkich androidów i automatów. To samo dotyczyło również stoczniovców budujących i remontujących gwiazdne statki. Z handlu żyli nawet ludzie, którzy zajmowali się działalnością zakazaną przez miejscowe prawo. Ciągnęli z niego zyski oszuści, wydrwigrosze i porywacze robotów, a także specjaliści parający się nielegalnymi udoskonaleniami właściwości gwiazdnych statków. Wszyscy wykorzystywali fakt, że na Koreię przylatywało bardzo wiele istot z najróżniejszych światów.

W dawnych, dobrych czasach owe obce istoty przybywały, aby załatwiać swoje transakcje handlowe. Chciały się zabawić i miło spędzić wolny czas, który zostawał między sprzedaniem poprzednich a załadowaniem następnych towarów, a także naprawić uszkodzenia gwiazdnych statków albo automatów. Czasami przeżywały przygody - nie zawsze przyjemne - jakich nie oczekiwały, lądując tutaj, ale i to stanowiło jedną z charakterystycznych cech dawnej Korelii. Teraz zaś, może na skutek wojny, a może w wyniku paranoicznej obawy przed wszystkimi nieznanymi, handlarze z obcych światów przestali przylatywać do systemu. Zapewne nie bez winy była także wymierzona przeciwko istotom obcych ras polityka władz, która - zdaniem Hana - graniczyła z finansowym samobójstwem. Nikt już niczego nie sprowadzał, nie kupował ani nie sprzedawał - a zresztą, nawet gdyby chciał, już dawno wyschły źródła kredytów umożliwiających dokonywanie takich transakcji.

Zbliżając się do centrum miasta. Han zauważył, że sytuacja uległa nieznacznej poprawie. Widział więcej otwartych sklepów, a czekający przed nimi w kolejkach ludzie sprawiali wrażenie zrezygnowanych i znudzonych, ale nie rozżłoszczonych, gotowych rozbijać witryny, podpalać albo rabować.

Han przeszedł przez kilka tętniących życiem ulic, których mieszkańcom powodziło się chyba lepiej niż pozostałym. Z dawnych, dobrych czasów pamiętał jeszcze ogromne, stare domy, toteż ucieszył się, że przynajmniej tu właściwie nic się nie zmieniło. Dopiero po jakimś czasie zwrócił uwagę na patrolujące okolice androidy, dyskretnie rozmieszczone generatory stacjonarnych ochronnych pól siłowych, obiektywy czujnych kamer i budki wartownicze. Nagle, jak grom z jasnego nieba, tuż przed Hanem zawisnął kilka centymetrów nad chodnikiem uzbrojony android. Chwilę czekał, a potem towarzyszył przybyszowi, kiedy ten mijał kolejne rezydencje. Han szybko pojął, o co chodzi, i jeszcze szybciej opuścił dzielnicę bogaczy. Zrozumiał, że niektórzy mieszkańcy Koronetu wciąż jeszcze mieli dużo gotówki, ale obawiali się nieprzyjemności ze strony tych, którzy jej nie mieli.

Zbliżało się południe, kiedy zawędrował do dzielnicy, w której znajdowała się większość lokali handlowych, gastronomicznych i usługowych. Zamierzał rozejrzeć się za restauracją albo barem, gdzie mógłby trochę odpocząć i coś zjeść, a może i porozmawiać o dawnych, dobrych czasach, ale usłyszał jakieś okrzyki. Z oddali dobiegał gwar wielu głosów, które coś śpiewały albo tylko krzyczały. Odgłosy przybierały na sile, lecz Han uświadomił sobie, że właściwie słyszy je od dobrych kilku minut. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Nie mógł mieć żadnych wątpliwości: wrzawa stała się coraz głośniejsza.

Rozejrzał się i ze zdziwieniem zauważył, że ulica zaczyna gwałtownie pustoszeć. Ludzie, szybko i cicho jak duchy, znikali w bramach pobliskich domów. Po chwili do odgłosu rytmicznego skandowania przyłączył się miarowy łomot uderzających o nawierzchnię chodnika albo jezdni ciężkich butów. Dźwięki nie przestawały się nasilać. Han słyszał także trzask pospiesznie zamykanych drzwi szcęk zamków zatraskiwanych okien. Ze sklepu, przed którym stał, wyskoczył właściciel. Rozejrzał się, a potem uchwycił rączkę dźwigni umieszczonej w murze budynku obok witryny. Obrócił dźwignię i po chwili witrynę zaczęła zasłaniać ciężka, plastalowa żaluzja.

Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta chwyciła w objęcia dziecko, które się tam bawiło, po czym szybko wbiegła do domu. Jakiś przechodzień dał nurka do pobliskiej tawerny. Uczynił to na chwilę przedtem, zanim właściciel lokalu zatrzasnął drzwi i zaczął opuszczać żaluzję.

Po minucie na ulicy pozostał tylko Han Solo. Słyszał jedynie trzask zamykanych drzwi i okien, szcęk blokowanych zamków... i coraz głośniejszy chóralny wrzask, któremu towarzyszył łomot ciężkich buciorów. Po chwili usłyszał także brzęk tłuczonego szkła, a po nim chóralny śmiech, podobny do skrzeczenia albo rechotu.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, rzucił się do ucieczki. Biegł w kierunku przeciwnym do tego, z którego - jak mu się wydawało - dobiegała wrzawa. Dźwięki odbijały się jednak od ścian domów, więc nie mógł być pewien, czy biegnie w dobrym kierunku. Postanowił, że skręci za róg na najbliższym skrzyżowaniu...

I zanim miał czas przystanąć albo zawrócić, zderzył się z pierwszym szeregiem maszerujących ludzi. Wszyscy szli, a ściślej prawie biegli tak blisko jeden obok drugiego, że przez kilka początkowych sekund dał się pchać przed pierwszym szeregiem, niezdolny choćby się odwrócić.

Wszyscy śpiewali, a raczej darli się na całe gardło... tak głośno, że rozróżnienie słów okazało się niemożliwe. Wszyscy byli ubrani w tandetne i nieporadnie skrojone ciemnobrązowe mundury. Mieli na nogach długie, czarne buty, których podeszwy wzmocniono metalowymi okuciami. Rękawy bluz ozdobili czarnymi opaskami z naszytym stylizowanym wizerunkiem trupiej czaszki ze sztyltem trzymanym w zaciśniętych zębach. Pod czaszką widniały słowa: LIGA LUDZKA.

W pochodzie brali udział wyłącznie mężczyźni. Starali się maszerować w rytm słów wyrzaskiwanej pieśni, ale albo nie zostali właściwie wyszkoleni, albo nie byli wystarczająco trzeźwi, ponieważ ich starania nie przyniosły rezultatów. Nad całą grupą unosiły się kwaśne wyziewy taniego, ale mocnego trunku, walczące o lepsze z równie nieprzyjemnym odorem zastarzałego potu.

Han zdołał w końcu wyplątać się z ciżby maszerujących mężczyzn, ale stwierdził, że nadal podąża z nimi mniej więcej w trzecim albo czwartym szeregu. Stopniowo pozostawał jednak coraz bardziej w tyle. Liczył na to, że zdoła w taki sposób odłączyć się od grupy.

Kiedy zaczęło mu się wydawać, że wymknie się, nie zwracając niczyjej uwagi, nagle czyjeś mięsiste łapsko chwyciło go za kołnierz kurtki. Poczul szarpnięcie i zorientował się, że jego stopy tracą kontakt z jezdnią. Później druga łapa wylądowała na jego ramieniu i równie silnie szarpnęła, by go obrócić. Han zachwiał się, ale zdołał odzyskać równowagę. Po chwili znalazł się oko w oko z ogromnym, niechlujnie wyglądającym mężczyzną o przekrwionych oczach, które tkwiły niczym guziki w nalanej, obwisłej i usmarowanej twarzy. Zobaczył czarne, wyszczerbione zęby i poczul odór cuchnącego oddechu. Mężczyzna po prostu przystanął pośrodku ulicy. Nie przejmował się tym, że inni członkowie rozwrzeszczanej grupy, nieustannie go popychają i potrącają. W pewnej chwili uniósł głowę i potoczył wzrokiem po tłumie mijających go kompanów. Wyciągnął rękę i pochwycił kogoś.

- Hej! Flautis!

- Barnley! - odrzyknął tamten. - Lepiej uważaj, jak mnie zaczepiasz!

- Flautis, spójrz tylko na tego gościa! - odparł Barnley, ignorując ostrzeżenie towarzysza.

Flautis wyglądał jak trochę mniejsza i nie tak obleśna kopia Barnleya. Kiedy popatrzył na Hana, jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- No, no, kto by pomyślał? - zapytał, nie zwracając się chyba do nikogo.

Han przywykł do tego, że poznają go różni ludzie, mimo iż od wydarzeń, które uczyniły go sławnym, zdążyło upłynąć całkiem sporo czasu. Tym razem jednak odnosił wrażenie, że ci faceci biorą go za kogoś innego.

- Hej, chłopaki, w czym problem? - zapytał uprzejmie, a raczej zawołał, starając się przekrzyczeć panujący hałas.

Flautis i Barnley wymienili spojrzenia, a później każdy chwycił go za jedną rękę. Roztrzaskując tłum pozostałych uczestników pochodu, obaj mężczyźni zaciągnęli go na skraj ulicy. Później Barnley obrócił go i oparł plecami o ścianę domu.

- W porządku, chłopasiu, a teraz śpiewaj, co właściwie tu jest grane - rozkazał z obleśnym uśmiechem.

- Nic nie jest grane. Absolutnie nic - odparł coraz bardziej zaniepokojony Han. - Wyszedłem na spacer i przypadkiem natknąłem się na was, chłopaki. Starłem się wydostać z tłumu, ale niechcący zderzyłem się z tobą - ciągnął, usiłując zbagatelizować całe wydarzenie. - Przepraszam, że to zrobiłem. Jest mi strasznie przykro. I bardzo wam dziękuję za to, że pomogliście mi wyplątać się z tłumu.

Barnley pochwycił Hana za przód koszuli. Szarpnął go, uniósł i zbliżył do swojej twarzy, tak że Han omal nie zemdłał, kiedy poczul jego cuchnący oddech.

- Gadaj zaraz, jak się nazywasz - warknął. - Tylko szybko. I nie próbuj żadnych sztuczek.

- Han - odparł zapytany tak uprzejmie, jak w tych okolicznościach potrafił. - Han Solo.

Zdumiony dryblas skierował na Hana przyćmione alkoholem spojrzenie.

- Solo? - powtórzył, wyraźnie zaskoczony. - Ta-a, a jakże by inaczej? - Odwrócił się do niższego towarzysza. - Będziemy musieli go zatrzymać.

- Jasne - zgodził się z nim Flautis. - Trzeba to dokładnie sprawdzić.

- Ależ... wolnego, chłopaki - zaprotestował Solo. - Przecież nie zrobiłem wam nic...

W tej samej chwili poczul silny cios w tył głowy i nagle cały wszechświat ogarnęły nieprzeniknione ciemności.

- No, dobrze, dzieci. Zaczniemy od początku - odezwał się Ebrihim.

Dzieci - Jacen, Jaina i Anakin - siedziały z jednej strony niskiego stołu w pokoju, w którym zazwyczaj się bawiły. Ebrihim zajął miejsce po przeciwnej stronie na równie małym krześle, jak zajmowane przez dzieci. Dzięki temu oczy nauczyciela i jego podopiecznych znajdowały się mniej więcej na takiej samej wysokości. Obok Drala stał Qiunine. Sprawiał wrażenie wyższego niż jego siedzący właściciel.

- Od początku czego? - przerwał mu.

Miał nachmurzoną minę i spoglądał spode łba na Ebrihima. Jego siostra bliźniaczka, patrzyła na Drala z taką samą dezaprobatą, a mały Anakin starał się naśladować starsze dzieci. Usiłował się dąsać, ale chyba nie wychodziło mu to najlepiej. Wszystko wskazywało na to, że uwagę malca zaprzętał niezwykły automat.

Ebrihim westchnął. Doskonale rozumiał, że jego podopieczni nie są zachwyceni faktem ściągnięcia ich ze słonecznej plaży i zapędzenia do nauki w towarzystwie dziwnego guwernera.

- Od początku zaczniemy zdobywać wiedzę o naszym sektorze - odpowiedział. - Przecież nie mogę zabierać was na wyprawy, jeżeli nie będziecie wiedziały, dokąd się wybieramy.

- Na wyprawy? - powtórzyła Jaina.

Wyglądało na to, że dzieci są trochę bardziej zainteresowane. Ebrihim spodziewał się właśnie takiej reakcji na jego słowa.

- Oczywiście - odpowiedział. - Przecież mamy tu aż pięć światów, na które możemy się wyprawić. Dralię, Selonię, Tralusa i Talusa, Korelię... nie wspominając

już o Stacji Centerpoint. Mam pełnić obowiązki przewodnika i opowiadać wam i waszym rodzicom wszystko, co wiem, kiedy będziemy odwiedzali te świąty.

- No cóż, niech będzie - odezwał się Jacen. - Dokąd polecimy najpierw?

- Jeżeli macie poznać historię tego systemu, chyba będzie najlepiej, jeżeli zaczniemy od najdawniejszej z przeszłości. Niedaleko Koronetu znajduje się miejsce, w którym prowadzone są bardzo ciekawe badania archeologiczne. Wasza mama zgodziła się, żebyśmy pojechali tam jutro i zapoznaliśmy się z wykopaliskami.

- Co tam wykopano? - zainteresował się Jacen.

- Właściwie prace koncentrują się pod powierzchnią gruntu - odparł Ebrihim. - Prawdopodobnie odkryto tam jakiś bardzo stary kompleks przemysłowy. Na razie nie wiemy, czym było kiedyś to miejsce, ale z pewnością ludzie, Dralowie i Selenianie wykorzystywali je do jakiegoś celu. Możemy się spodziewać, że chodziło o coś ważnego... coś, co miało miejsce przed co najmniej dwoma tysiącami standardowych lat, a może o wiele wcześniej.

- Super - skomentował Jacen. - Czy obejrzymy tam jakieś szkielety?

Ebrihim kiwnął głową.

- Wszystko na to wskazuje - odrzekł. - Wykopano ich tam co niemiara.

- Czy on jest podobny do Artoo? - odezwał się niespodziewanie Anakin, pokazując pulchnym paluszkiem Qiunine-Ekstoo.

Automat cofnął się kilkanaście centymetrów, a potem obrócił obiektyw kamery w taki sposób, żeby lepiej widzieć chłopczyka.

- Słucham? - zapytał, cokolwiek wytrącony z równowagi.

- Artoo-Detoo - pospieszył z wyjaśnieniem Jacen, zwracając się do Qiunine-Ekstoo. - To taki robot astronawigacyjny, którego ma w domu wujek Luke. Wydaje mi się, że Anakin chciał wiedzieć, czy ty jesteś takim samym automatem.

- Nie jestem - odparł Qiunine, po czym znów potoczył się bliżej stołu. - I byłbym wdzięczny, gdybyś nigdy więcej nie pozwalał sobie na takie porównania.

- Ale wyglądasz zupełnie jak Artoo - upierał się malec. - No, trochę. Artoo jest niższy, ale za to ty potrafisz mówić.

- Nazywam się Qiunine i jestem bardzo zmodyfikowanym, eksperymentalnym modelem, opartym na rozwiązaniu konstrukcyjnym jednostki typu R7, która sama w sobie stanowiła znacznie udoskonaloną wersję Artoo. Mogę dodać, że wszystkich tych modyfikacji, daleko wykraczających poza wszystko, co początkowo znałem i umiałem, dokonałem sam, bez niczyjej pomocy. A zatem nie mam nic wspólnego z jednostkami typu R2.

- Dlaczego tak nie lubisz Artoo? - zapytał Anakin.

Ebrihim zachichotał.

- Obawiam się, że Qiunine-Ekstoo nie ma zbyt wysokiego mniemania o robotach serii R2 - powiedział.

- Artoo jest bardzo dobrym robotem! - oburzył się chłopczyk.

- To całkiem możliwe - odparł Qiunine. - Tyle że konstruktorzy nie zainstalowali im oprogramowania pozwalającego wymawiać słowa i wyposażyli je tylko w kółka.

- I co z tego? - zapytał Jacen.

- Tylko tyle, że roboty typu R2 nie potrafią wykonywać swojej pracy tak szybko i skutecznie jak powinny. A sama myśl, że jakikolwiek automat nie może wykonywać czegoś szybko i sprawnie, wprawia mnie w rozdrażnienie. Nie chodzi zresztą wyłącznie o jednostki typu R2 i nie jest to problem dotyczący konstrukcji. Stwierdziłem, że na przykład tu, na Korelii, wiele, bardzo wiele automatów nie funkcjonuje prawidłowo, ponieważ nikt nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby zapłacić za naprawy. To niesamowite marnotrawstwo ich potencjału. Uważam, że to oburzające.

Anakin spiorunował spojrzeniem gadatliwego robota.

- Nie powinieneś mówić takich brzydkich rzeczy o Artoo - oświadczył.

Zsunął się z krzesła i wyszedł z pokoju.

- Doskonała robota, Oiunine - odezwał się Jacen. - Za chwilę go przyprowadzę.

Po czym także wstał i podążył za młodszym bratem.

- Miło mi, że młody panicz Jacen uważa, iż umiem wystawiać się, jak należy - oznajmił robot.

Ebrihim odwrócił się do swojego pomocnika.

- Podejrzewam - powiedział - że jeszcze nie całkiem dobrze rozumiesz, co to sarkazm.

Kiedy Han w końcu oprzytomniał, stwierdził, że w celi panuje półmrok. W czasce czuł pulsujący, tępy, dokuczliwy ból, a w ustach smak czegoś, co kojarzyło się z łajnem.

Dlaczego, na miłość bezkresnej galaktyki, bojówkarze Ligi Ludzkiej porwali go z ulicy i uwięzili? Jedyнным wytłumaczeniem mógł być fakt, że bohater Sojuszu Rebeliantów nie zaliczał się do grona osób mile widzianych przez członków organizacji żywiącej prawdopodobnie sympatię do Imperium. Nie, to wyjaśnienie także nie miało większego sensu. Czegoś tu jeszcze brakowało.

Han rozejrzał się po celi i zauważył, że nie było w niej żadnych mebli, jeżeli nie liczyć wilgotnej, zapleśniałej pryczy i stojącego w kącie metalowego wiadra. Wyglądało na to, że przebywa w piwnicy albo podziemnym magazynie na towary... ale w każdym razie nie w miejscu mającym pełnić funkcję celi. No cóż, bez względu na to, czy zbudowano je z myślą o trzymaniu więźniów, czy też nie, pomieszczenie skutecznie ograniczało swobodę ruchów.

Han tyle razy przebywał w najróżniejszych celach, że nie odczuwał specjalnego przerażenia na myśl o tym, iż wtrącono go do jeszcze jednej. Dobrze wiedział, że kłopoty zaczną się dopiero wówczas, kiedy zjawią się strażnicy, by go z niej wyprowadzić.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy w jego głowie zaświtała owa radosna myśl, celę zaalał jaskrawe, oślepiające światło. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Chwiejąc się i słaniając, Han wstał z pryczy. Usiłował zmusić oczy, żeby szybciej przyzwyczajały się do intensywnego blasku. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, zauważył, że do celi weszli trzej mężczyźni. Oprócz Barnleya i Flautisa, z którymi już miał do czynienia, badawczo przyglądał mu się także trzeci członek Ligi Ludzkiej. Naszywki na rękawie kurtki sugerowały, że ma wyższy stopień niż obaj pozostali.

- No cóż, chłopcy - odezwał się po chwili nieznajomy. - Teraz rozumiem, dlaczego to zrobiliście. Mielicie absolutną rację. To mogła być jakaś podstępna sztuczka, wymyślona przez naszych przeciwników. Okazuje się jednak, że nie była. Uwolnijcie go.

- Ale... - zaczął protestować Flautis.

- Rozkazy - uciał krótko starszy stopniem mężczyzna. - Z samej góry. Chyba rozumiecie, o co mi chodzi.

- Wydane przez samego Konspiracyjnego Przywódcę? - zapytał Barnley, nie ukrywając zdumienia i przerażenia.

Trzeci mężczyzna tylko kiwnął głową, jakby uważał, że to oczywiste.

- No cóż - odezwał się Flautis, pogodzony z nową sytuacją. - Niech będzie, jak uważasz.

Han odwrócił się do przełożonego obu niedawnych napastników, chcąc zapytać, o co chodzi, ale okazało się, że nie zdążył. Poniewczasie uświadomił sobie, że znów stanął plecami do Barnleya.

Kolejny cios w głowę, nie okazał się ani odrobinę łagodniejszy niż poprzedni. Cały wszechświat ponownie ogarnęły nieprzeniknione ciemności.

Zapadał zmierzch i nadciągała noc, a Leia nie potrafiła rozstrzygnąć, czy powinna być rozgniewana, czy zaniepokojona. Albo Han spędzał miło czas w jakiejś speluncie w towarzystwie dawno nie widzianych kompanów i bawił się tak dobrze, że zapomniał zadzwonić do domu, albo przydarzyło mu się coś złego. Wysłany przez gubernatora generalnego poduszkiwiec miał przylecieć po nich za jakieś pół godziny.

Właśnie w tej chwili Leia usłyszała, że nad willą unosi się jakiś poduszkiwiec. Czyżby ten obiecany przez Micamberlecta, przyleciał za wcześnie? Podeszła do okna i spojrzała w niebo. Natychmiast zrozumiała - sądząc po tym, jak szybko nadlatywał i lądował bez zapalonych świateł pozycyjnych - że nie tylko poduszkiwiec nie został przysłany przez generalnego gubernatora, ale pojawienie się pojazdu nie zwiastuje nic dobrego. Wiedziała, że funkcjonariusze Wojsk Obrony Planety rozmieścili w wielu punktach willi przyciski alarmowe. Włączenie któregośkolwiek wysyłało sygnał, który stawał koreliańskich strażników w stan gotowości bojowej. Jeden z takich guzików zainstalowano obok okna. Leia wyciągnęła rękę i z całej siły uderzyła weń otwartą dłońią.

Kalenda mówiła sobie, że wieczór jest wprawdzie cichy i spokojny, ale gdyby miało się wydarzyć coś złego, nieprzyjaciele mogliby zdecydować się na atak właśnie w taki uroczy wieczór. W tej samej chwili, kiedy to pomyślała, usłyszała basowy pomruk poduszkiwca. Jego pilot wykorzystywał całą moc repulsorów.

I nagle ciszę spokojnego wieczoru zakłóciło wycie syren alarmowych, a okolicę willi zajmowanej przez przywódczynię Nowej Republiki, zalał oślepiający blask włączonych reflektorów. Strażnicy spieszyli, aby jak najszybciej zająć stanowiska bojowe. Ignorując ich, Kalenda skierowała spojrzenie w ciemniejące niebo.

Jest! W odległości niespełna trzystu metrów od rezydencji Organy Solo lądował nieznany poduszkiwiec. Opadał z wieczornego nieba szybko jak drapieżny ptak, a błękitnawa poświata repulsorów rzuciła dziwaczne, ruchome cienie na biegnącą w dole wąską wiejską drogę. Lądując, poduszkiwiec odbił się jak piłka od trawiastego gruntu, po czym znieruchomiał. Sekundę później ktoś otworzył rufowe drzwi i wyrzucił na trawę jakiś ciężki pakunek o trudnych do rozpoznania kształtach. W tej samej chwili mały statek oderwał się od ziemi. Wzbił się w ciemne niebo i zaczął oddalać się od stojącej na wzgórzu rezydencji.

Ze wszystkich stron nadbiegli strażnicy i otoczyli pozostawiony pakunek. Kalenda chwyciła makrolornetkę i poprawiła ostrość, chcąc lepiej widzieć.

Dopiero wówczas zauważyła, że dziwny przedmiot ma ludzkie kształty. Właśnie z wysiłkiem wstawał i agentka Wywiadu rozpoznała go bez trudu. Han Solo. Mężczyzna wyglądał na sponiewieranego i zmęczonego.

Kobieta zmeła w ustach jakieś przekleństwo. Sytuacja zaczynała wyglądać naprawdę niewesoło. Ktoś zdecydował się przesłać kolejną wiadomość i mimo iż funkcjonariuszka WNR nie potrafiła jej odczytać, doskonale rozumiała, że nadawca nie zaliczał się do grona przyjaciół Organy Solo.

Sprawy zaczynały przybierać zdecydowanie niekorzystny obrót.

R O Z D Z I A Ł

13

ROZMOWA PRZY BLASKU POCHODNI

Kolacja odbyła się, ale nie spożyto jej w radosnym nastroju. Należałoby zacząć od tego, że opatrzenie ran na głowie Hana zajęło więcej czasu niż się spodziewano, w wyniku czego Leia i Han trochę się spóźnili. A potem wydane na ich cześć przejęcie, które miało stać się okazją do serdecznej, przyjacielskiej pogawędki, przerodziło się w coś w rodzaju narady sztabu wojskowego.

Sytuacji nie poprawiał hałas dobiegający zza okien pałacu generalnego gubernatora. Mimo iż wszyscy troje przebywali na piątym piętrze, a ściany i okna Korony - oficjalnej rezydencji Micamberlecta - nie powinny przepuszczać absolutnie żadnych dźwięków, okrzyki i śpiewy tłumu demonstrantów okazały się zbyt głośne, żeby je ignorować. Później, kiedy przeszli do prywatnego gabinetu generalnego gubernatora, odgłosy z zewnątrz stały się chyba jeszcze donośniejsze. Nie sposób było udawać, że się ich nie słyszy. Wszyscy podeszli do okna gabinetu. Przedtem jednak zmniejszyli do minimum intensywność oświetlenia, żeby lepiej widzieć, pozostając nie zauważonymi. Szyby w oknach powinny odbijać strzały blasterowe, ale nie było sensu niepotrzebnie ryzykować. Dlatego, kiedy Leia, Han i Micamberlecto obserwowali procesję ciągnących ulicami miasta zbirów i bojówkarzy, migotliwy blask pochodni kładł się najprzeróżniejszymi cieniami na ich twarzach.

W pewnej chwili gubernator generalny jeszcze raz wyjrzał przez okno swego gabinetu. Z ponurym wyrazem twarzy spoglądał na to, co dzieje się na ulicy.

- Znów tam są - mruknął chyba bardziej do siebie niż do gości. - Dziś też przyszli. A ja nie ośmielę się, nie ośmielę się wezwać na pomoc funkcjonariuszy koreliańskich Wojsk Obrony Planety ani nawet agentów Służby Bezpieczeństwa Publicznego. Nie jestem przekonany, czy w ogóle chcieliby opowiedzieć się po mojej stronie. Prawdę mówiąc, jestem niemal pewien, niemal pewien, że nie mógłbym liczyć na pomoc z ich strony. Gdybym ich wezwał, kto wie, czy nie przyłączyliby się do demonstrantów.

Ciężko westchnął i oparł się chudym ramieniem o framugę okna. Nie przestał jednak uważnie obserwować tłumu. Jeżeli chodziło o Leię, największą przykrość

sprawiło jej właśnie owo westchnienie. Brzmiały w nim zmęczenie i rezygnacja, pogodzenie się z porażką i przekreślenie wszelkich dotychczasowych marzeń, o których nawet nie warto było wspominać. To jedno westchnienie powiedziało Leii, że gubernatorowi właściwie nie pozostała już żadna nadzieja. Leia i Han stali obok Micamberlecta i także spoglądali na demonstrantów. W powietrzu wciąż jeszcze unosiły się pasma siwego dymu. Spalona kukła gubernatora dogasała. Została też stratowana i trudno byłoby poznać, kogo niegdyś przedstawiała.

Demonstranci - wyłącznie istoty ludzkie i prawie wyłącznie mężczyźni - trzymając zapalone pochodnie, raz po raz okrążali pałac gubernatora. Dym z pochodni unosił się ku niebu, ale nie rozchodził się, ponieważ wraz z nadejściem nocy ustały podmuchy wiatru. Blask pochodni chyba pochłaniał wszystkie inne barwy i sprawiał, że noc wydawała się ciemniejsza niż w rzeczywistości. Bojówkarze, którzy nie nieśli pochodni, trzymali plansze i plakaty z wypisanymi hasłami potępiającymi Selonian i Dralów.

Śpiewy - jeżeli na tę nazwę zasługiwały wrzaski wydobywające się z gardeł setek demonstrantów niespodziewanie zaczęły się na nowo, chyba głośniejsze niż do tej pory. Niewyszukane słowa, przeplatane obraźliwymi zwrotami i przekleństwami, z całą pewnością nie głosiły poparcia dla Nowej Republiki. W pewnej chwili natężenie dźwięku sięgnęło zenitu. Kiedy demonstranci odśpiewali ostatnią, najbardziej obraźliwą linijkę, wybuchnęli donośnym śmiechem, jakby sami sobie gratulowali.

- Będą tak jeszcze jakiś czas, jakiś czas wrzeszczeli - odezwał się Micamberlecto. Używał basica, ale wypowiadał słowa z ledwo słyszalnym akcentem frozjańskim. Stosował także charakterystyczne frozjańskie formy gramatyczne i powtarzał niektóre zwroty - zapewne pragnąc w ten sposób je podkreślić. - Pomaszcerują jeszcze trochę - ciągnął - ale jeżeli chodzi o cel, jaki sobie postawili, mogą przypuszczać, że to koniec widowiska. Niewiele da się zobaczyć, czego państwo jeszcze nie widzieli. Będą śpiewali i wznosili gniewne okrzyki, a potem upiją się i zaczną bijatyki. Rozbiją kilka witryn sklepowych, po czym odejdą i znikną, aby ukryć się tam, skąd przybyli... aż do następnego razu. Do następnego razu. Wątpię wszakże, czy ulice miasta będą bezpieczne tej nocy. - Bezradnie pokręcił głową. - Obawiam się, że nie wybrali państwo, nie wybrali państwo najodpowiedniejszego miejsca na spędzenie urlopu.

Micamberlecto pochodził z Frozji, a mieszkańcy tego świata nie zaliczali się do istot beztroskich i pogodnych. Na ogół nikt nie wątpił w ich uczciwość, prawdomówność, pracowitość i szczerłość, ale Frozjanie byli urodzonymi pesymistami i melancholikami. Z drugiej strony, w obecnej sytuacji mało komu udało by się doszukać czegoś optymistycznego.

- Muszę przyznać, że to wszystko wygląda niewesoło - odezwała się Leia.

- Nie, nie wygląda, nie wygląda - zgodził się z nią Micamberlecto.

Odrzucił się plecami do okna i ponownie usiadł za ogromnym biurkiem. Miał wygląd typowego Frozjanina: wysokiego, kościstego i nieco podobnego do stracha na wróble. Przewyższał Hana wzrostem mniej więcej o jedną trzecią. Obywatele Frozji byli typowymi istotami człekokształtnymi, tyle że bardzo wysokimi i chudymi. Ich ręce i nogi miały po jednym dodatkowym stawie, wskutek czego widok ruchów kończyn

istot mógł w pierwszej chwili budzić zdziwienie, a nawet zakłopotanie. Osobom przyzwyczajonym do oglądania ludzkich kończyn mogło się wydawać, że Frozianie mają połamane ręce i nogi. Widok Micamberlecta, który opada na fotel, a następnie zakłada nogę na nogę i zgina ręce - po to, żeby ponownie wyprostować je w drugim stawie - był doprawdy czymś niesamowitym.

Całe ciało gubernatora generalnego porastała krótka, złocistobrązowa sierść. Istota nie miała odstających od głowy uszu, a jej ciemnobrązowe oczy szeroko rozstawione. Wystający pysk kończył się okazałym rozmiarów nosem, a wąskie i pozbawione warg usta chyba doszły do wniosku, że nie warto rywalizować z tak z takim wspinałym nosem. Rosnące po obu stronach pyska długie, czarne bokobrody tworzyły coś w rodzaju olbrzymich zjezonych wąsów i wystawały poza obrys głowy. Ilekroć istota marszczyła nos, jakby nad czymś rozmyślała, bokobrody poruszały się w dół i w górę.

- Czy to zawsze wygląda tak paskudnie? - zapytał Han.

- I tak, i nie - odparł Micamberlecto. - Proszę zwrócić uwagę, że nawet dzisiejszej nocy dziewięćdziesiąt pięć procent obszaru Koronetu jest spokojne i ciche. Zapewne cztery przecznice dalej mieszkańcy nie wiedzą, że pod Koroną odbywa się kolejna demonstracja. Pamiętam jednak, że kiedyś mogłem zapewnić swoich gości, iż spokój panuje na dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach obszaru stolicy. Wygląda na to, że sytuacja się pogarsza i niedługo może dojść do wybuchu. Na Frozję, jakże bym chciał, żebyśmy mogli wycofać się z organizowania tej konferencji! Teraz jednak jest już za późno. Za późno. Delegaci ze wszystkich światów są w drodze, a my, jako członkowie Nowej Republiki, nie możemy, nie możemy dopuścić, żeby sektor Korelii jeszcze bardziej się skompromitował. Nie, z pewnością nie możemy.

- Obawiam się, że masz rację, przyjacielu Micamberlecto - odezwała się Leia, nie odwracając głowy w stronę gubernatora. Nie przestawała obserwować procesji maszerujących manifestantów, którzy chyba bez końca okrążali Koronę. - Nie wiedziałam, że sprawy przybierają taki niekorzystny obrót. Powinniśmy odwołać konferencję, lecz już nie możemy.

- Ale o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Han, odwracając się plecami do okna. Skrzywił się, kiedy poruszył głowę. Wyglądało na to, że każdy ruch sprawia mu sporo bólu. - Chyba nikt nie potrafi mi odpowiedzieć na to pytanie. Słyszałem, że planeta jest spokojna i zasobna, podobnie jak i reszta sektora. Miała wszystkie potrzebne bogactwa naturalne, a mieszkańcy uchodzili za obywateli przedsiębiorczych i uzdolnionych. Nie brakowało także kapitału, żeby go zainwestować. Pamiętam, że kiedyś to była zasobna i spokojna planeta. Co się stało?

Micamberlecto wymownie i bardzo widowiskowo wzruszył ramionami.

- Na Frozji mamy takie powiedzenie: „Sytuacja wygląda niewesoło, kiedy istnieje więcej pytań niż odpowiedzi, ale jest jeszcze gorzej, jeszcze gorzej, jeżeli istnieje więcej odpowiedzi niż pytań”. Zadał mi pan jedno pytanie, ale ja mógłbym udzielić na nie kilkunastu odpowiedzi. - Wyciągnął długą rękę ku oknu, jakby chciał pokazać manifestujących demonstrantów. - Zastanawiałem się, czy którykolwiek z naszych wrzaskliwych przyjaciół potrafiłby podać chociaż jedną, chociaż jedną. Jeżeli chodzi o mnie, mógłbym powiedzieć, że winę ponosi trudna sytuacja gospodarcza, że ludzie są

rozgoryczeni i rozzłoszczeni, że nie wykazują tolerancji względem innych istot i tak dalej, i tak dalej.

- To wszystko prawda - przyznała Leia. - Podaje nam pan jednak objawy, a nie powody.

- Ma pani całkowitą rację, całkowitą racją - odparł gubernator. - Tak jest, spowodowana zamętem ostatniej wojny sytuacja gospodarcza jest tylko bezpośrednim, tylko bezpośrednim powodem niezadowolenia, ale korzenie sięgają o wiele głębiej, o wiele głębiej. Ponieważ nie mamy silnej zewnętrznej władzy, która zatroszczyłaby się o ład i spokój, z kryjówek wychodzą najróżniejsi demagodzy i malkontenci. A przy tym nie chodzi tylko o naszych rozkrzyczanych przyjaciół, maszerujących z uporem dookoła Korony. Podobnie dzieje się w społeczeństwach innych istot. Dralowie, Selonianie, ludzie... wszyscy mają swoich krzykaczy i podżegaczy. I wszyscy jakby sprzyjęli się, żeby całą winą obarczać pozostałych.

Mniej więcej tak wyglądają odpowiedzi, jakich mógłbym udzielić. Tyle tylko, że te odpowiedzi niczego nie wyjaśniają. Pańskie pytanie dotyczyło objawów, a nie powodów. Wydaje mi się, że prawdziwą odpowiedzią byłoby stwierdzenie, iż zadał mi pan niewłaściwe pytanie. Należało raczej zapytać: „Jakim cudem to wszystko nie wydarzyło się wcześniej, ale dopiero w tej chwili”?

Han zmarszczył brwi, a potem podszedł do biurka i usiadł na fotelu na wprost Micamberlecta.

- Proszę mówić dalej - powiedział.

- To bardzo proste pytanie - ciągnął gubernator. - Stawiam je więc: „Co sprawiło, że powstały warunki, dzięki którym na planecie mógł zapanować taki chaos”? I odpowiadam, ponieważ odpowiedź jest równie prosta - upadek Imperium. Przestała istnieć zewnętrzna władza, która zmuszała wszystkich do zachowywania ładu i spokoju. Przez wiele lat do głów mieszkańców Korelii przystawiano coś w rodzaju lufy potężnej broni. Imperium mówiło: „Udawajcie, że miłujecie wszystkich bliźnich, gdyż w przeciwnym razie zabijemy was”. Nie dopuszczało do żadnych manifestacji ani demonstrowania oznak niezadowolenia, oznak niezadowolenia. Ci na górze to popierali, a ci na dole nie mieli nic do powiedzenia. Po prostu musieli się podporządkować. Imperium nie pozwalało na zakładanie żadnych związków, stowarzyszeń ani innych organizacji. Tyle że podczas stagnacji handlu gospodarka cierpiała i podupadała, cierpiała i podupadała. Wszystkim żyło się coraz gorzej. A zatem pogarszająca się sytuacja materialna ludzi jedynie pogłębiła kryzys, ale go nie spowodowała.

Leia wyjrzała przez okno na świat pokryty ciemnościami nocy. Widoczny w dole pierścień ludzi maszerujących z zapalonymi pochodniami wywierał na niej ponure wrażenie. W końcu przywódczyni Nowej Republiki odwróciła się i przeszła przez gabinet gubernatora, a potem także usiadła obok męża przy wielkim biurku.

- Nie jestem pewna, czy spodoba mi się to, do czego pan zmierza, ale słucham, co jeszcze chce pan powiedzieć.

- Przez całe tysiąclecia wszystkie rasy inteligentnych istot zamieszkujące sektor Korelii żyły w pokoju i zgodzie, rządzone najpierw przez monolityczną Starą

Republikę, a potem przez Imperium. Później wszakże wybuchła wojna i Imperium runęło. Toczyły się i u nas jakieś walki, ale raczej niewiele. Wyglądało to tak, jakby Imperium po prostu straciło rację bytu. Nie zaważyło się z hukiem ani nie runęło, tylko uszło z niego życie jak gaz z przedziurawionego balonu.

Tak więc Imperium przestało rządzić sektorem, ale pozostawiło wszystkich samym sobie, samym sobie. Później na jego gruzach wyrosła Nowa Republika, która mianowała mnie generalnym gubernatorem i przysłała tu, żebym w jej imieniu sprawował władzę. Nie powiedziała jednak, czym mam rządzić i jakimi dysponować środkami. Dlatego w ciągu ostatnich lat Korelianie nauczyli się nie zwracać na mnie uwagi. Brakuje mi, bardzo mi uzdolnionych, wykwalifikowanych, kompetentnych i pewnych pod względem politycznym ludzi. Nie znam zbyt wielu, którzy aktywnie popierają Nową Republikę. Nie wiem, kto mógłby objąć wszystkie niezbędne stanowiska rządowe albo sprawować nadzór nad służbami bezpieczeństwa wewnętrznego. Muszę zatrudniać byłych urzędników i żołnierzy Imperium. Co gorsza, niemal wszystkie z tych odszczepieńczych organizacji zatrudniają własnych najemników... także byłych funkcjonariuszy i wojskowych Imperium, ale również i osoby, które przestały służyć w wojskach Nowej Republiki. Nikt jednak z tych ludzi nie dochowuje wierności ani mnie, ani Republice. Obywatele dobrze wiedzą, że moi żołnierze i urzędnicy już dawno przestali słuchać moich rozkazów.

Kiedyś, za czasów Imperium, urzędnicy i generałowie kłócili się o to, kto z nich zajmie stanowisko związane ze sprawowaniem władzy. Zostawali dyrektorami fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych, zasiadali w radach i zarządach towarzystw handlowych czy spółek, a także pełnili wiele innych, wiele innych równie odpowiedzialnych funkcji. Teraz zaś, chociaż stracili przyznawane w czasach Imperium przywileje i stanowiska, nadal sprawują władzę, związaną z innymi funkcjami.

Powiada się, że Imperium zginęło, ale tu, na Korelii, jego serce wciąż bije, mimo iż głowę dawno już odrąbano. Osoby obdarzone kiedyś jakąkolwiek władzą nie zrezygnowały z niej i nadal robią to, co za dawnych czasów. Teraz jednak ci niedawni imperialni policjanci i urzędnicy nie odpowiadają przed nikim i przed niczym. Nie istnieje żadna wyższa władza, która mogłaby ich ukarać, ilekroć posuną się za daleko. Co ciekawe, owi ludzie coraz częściej dochodzą do wniosku, że taka sytuacja bardzo mi odpowiada, bardzo odpowiada. Dopiero teraz mogą się mścić, mogą się mścić, za wszystkie krzywdy, jakich doznali przed pięciu, dziesięciu, dwudziestu czy nawet stu laty. I dopiero teraz mogą czuć się bezpieczni, bo imperialni szturmowcy nie wyłamią drzwi ich domów i nie zaprowadzą ich do aresztu ani więzienia. I właśnie na tym polega cały problem.

Przez całe lata, długie lata, istniała potężna władza centralna, która powstrzymywała istoty różnych ras przed skakaniem do gardeł innych istot. Bardzo możliwe, że Imperium nie darzyło szczególną sympatią osobników nie będących ludźmi, ale jeszcze mniej przychylnym okiem spoglądałoby na krzywdy, jakie ludzie chcieliby wyrządzić owym osobnikom. Rozumiało, że wówczas ucierpiałby i handel, i przemysł, i w ogóle cała gospodarka. Ludzie nauczyli się, że gdyby tylko spróbowali zbuntować się albo wszczynać awantury, zostaliby surowo ukarani tak więc nie

ośmielali się wzniecać żadnych burd ani rozruchów. Wszystkie trzy rasy istot zamieszkujących sektor koreliński żyły w zgodzie i pokoju, ponieważ zostały do tego zmuszone, zostały zmuszone. Teraz zaś nikt ich już nie zmusza. Nastąpiły złe czasy. Trzeba za nie kogoś obwinąć. A zatem wszyscy obwiniają wszystkich pozostałych.

W czasach, kiedy toczyła się wojna, Korelianom pozwolono wybierać, czy chcą przyłączyć się do Nowej Republiki, czy pozostać lennikami Imperium. Teraz zaś istoty należące do wszystkich ras, które od lat zamieszkują ten system, zadają sobie jedno pytanie: „Po co nam jakkolwiek zewnętrzna władza”? - Micamberlecto gestem pokazał okno gabinetu. - Zaczynają pytać „Po co nam Nowa Republika, skoro nie potrafi utrzymać ładu i spokoju? Dlaczego każda planeta nie mogłaby mieć własnego rządu? Dlaczego własnego rządu nie może mieć każdy kontynent? Każda rasa?

Han bardzo powoli pokręcił głową. Miał smutny wyraz twarzy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wyglądam przez okno i widzę, co się dzieje, ale nadal nie mogę w to uwierzyć. Kiedy urodziłem się tu i dorastałem, cały sektor koreliński był zjednoczony...

- Nic podobnego - wtrąciła się Leia. - Z tego, co powiedział nam pan gubernator, wynika, że Imperium zmusiło Korelianie do udawania, iż są spokojni i zjednoczeni.

- A teraz po prostu nie muszą... nie musimy dłużej udawać - stwierdził Han. - To niesamowite.

- Może i niesamowite, ale z pewnością prawdziwe - zapewnił Micamberlecto. - Pięciu Braci, to znaczy wszystkie zamieszkane planety sektora, zaczyna zalewać pierwsza fala anarchii. Właśnie dobiega końca trwający bardzo wiele pokoleń okres, kiedy wszystkie trzy najważniejsze rasy - ludzie, Selonianie i Dralowie - żyły w wymuszonym pokoju.

Leia popatrzyła na męża. Nie potrzebowała posługiwać się Mocą, żeby zrozumieć ból i odrętwienie, które odczuwał po przeżytych wstrząsach. To, co widzieli owego wieczoru, wywarło na niej przynębiające wrażenie. Mogła sobie wyobrazić, jakie musiało wyrzucić na Hanie. O wiele jednak bardziej niż tłumy demonstrujących awanturników zaniepokoiło ją to, co powiedział Micamberlecto. Całe jej dotychczasowe życie obracało się wokół wyboru, którego kiedyś dokonała... wyboru między Republiką a Imperium. Najwięcej uwagi poświęcała kwestii, kto miałby sprawować centralną władzę, nie zastanawiając się, czy taka władza była potrzebna. Teraz jednak musiała stawić czoło właśnie takiemu problemowi. W głowach wszystkich mieszkańców planety zaczynała kiełkować myśl, że może lepiej byłoby mieć władzę lokalną. Nawet bez szczególnie bujnej wyobraźni łatwo było zgadnąć, jak szybko taka myśl może zakorzenić się w umysłach obywateli.

- Panie gubernatorze, nie wolno nam do tego dopuścić - rzekła Leia. - Jeżeli pozwolimy, żeby w sektorze Korelii każdy zachowywał się, jak zechce, zaczną się szerzyć tendencje separatystyczne... a wówczas zapanuje chaos.

- Już zaczęły się szerzyć - poprawił ją Micamberlecto jeszcze bardziej ponurym tonem. - Istoty wszystkich trzech ras, które zamieszkują systemy gwiazdne zaliczające się do obrzeży sektora, już ogłosiły niepodległość swoich światów. Kilka planet nawet odłączyło się od sektora. Przestało uznawać moją władzę, a tym samym przestało

uznawać zwierzchnictwo całej Nowej Republiki. Wygląda na to, że już niebawem sektor przestoczycy się w szaloną mozaiką miniimperiów i państweczek.

- Czy to jest rzeczywiście takie niebezpieczne? - zapytał Han. - Rozumiem, na czym polega problem, ale czy to takie ważne, że władcy tych wszystkich małych planet ogłoszą niepodległość swoich światów, jeżeli nie będą żywili wrogich zamiarów względem sąsiadów ani nie spróbują wyrządzić im żadnej krzywdy?

Micamberlecto ze smutkiem pokręcił głową.

- Kłopot w tym, że już zachowują się jak wrogowie - powiedział. - Widział pan, jakimi ludźmi się posługują i do jakich uciekają się sposobów, żeby nakłonić spokojnych obywateli do walki w obronie niepodległości. To polityczni awanturnicy i szalbierze, a tacy zawsze poszukują jakichś wrogów. Ludzie podobni do tych, którzy należą do Ligi, zawsze muszą mieć kogoś, kogo mogliby obarczyć winą. Nie, odrywaniu się od sektora kolejnych planet nie będą towarzyszyły przyjaźń i spokój. Wybuchną zamieszki i wojny, w trakcie których wielu zechce załatwiać osobiste porachunki. Taka sytuacja może się ciągnąć bez końca, bez końca. I jeżeli w dawnych czasach wrogiem było Imperium, to obecnie jest nim rozdrobnienie i chaos, całkowity chaos.

- Jak poważne zagrożenie stanowi ta Liga? - zainteresował się Solo. - I kim może być ów gość, który ogłosił się Konspiracyjnym Przywódcą?

Micamberlecto ponownie ze smutkiem pokręcił głową.

- Gdybym wiedział, jak brzmią odpowiedzi na te pytania, byłbym najszcześliwszym w świecie Frozjaninem. W jednej chwili wszędzie jest pełno zbirów Ligi, a w następnej nigdzie nie ma ani jednego. Wspecjalizowali się w znikaniu, ilekroć uznają, że zachodzi taka potrzeba. A ich Konspiracyjny Przywódca jest właśnie tym, za kogo się uważa... osobą pozostającą w konspiracji. Niektórzy członkowie Ligi Ludzkiej wiedzą, kim jest, ale z pewnością nie wie tego nikt spoza organizacji. A ja nie dysponuję tyloma funkcjonariuszami policji ani wywiadowcami, żeby wdrożyć odpowiednie śledztwo i chociaż spróbować ustalić jego tożsamość. Rzecz jasna. Wywiad Nowej Republiki boryka się tu, na Korelii, z własnymi problemami, z własnymi problemami. Nie otrzymujemy od nich zbyt wielu informacji.

Leia zmarszczyła brwi.

- Jeżeli sytuacja na Korelii nadal będzie się pogarszała, Nowa Republika zostanie zmuszona do zastosowania metod, jakimi posługiwało się Imperium. Obawiam się, że może okazać się konieczne sprowadzenie oddziałów i wydanie dowódcom polecenia przywrócenia pokoju. Będziemy musieli narzucić sektorowi koreliańskiemu swoją wolę - dokładnie tak samo, jak kiedyś uczyniło to Imperium.

- Przecież walczyliśmy przeciwko Imperium właśnie o to, żeby położyć kres takiemu postępowaniu - zachnął się Han.

- Wiem o tym - rzekła Leia. - Pomyśl tylko, ile wysiłkowi czasu zajęłoby mi przekonanie pozostałych senatorów o słuszności takiej metody. Pomyśl, jak kosztowna mogłaby okazać się taka interwencja. To prawda, że możemy przymknąć oczy i udawać, że nie dzieje się nic złego. Ale wówczas będziemy odpowiedzialni za rzeki krwi, którymi mogą spłynąć te wszystkie światy.

- Nie jestem nawet pewien, nawet pewien tego, czy zdołalibyśmy przywrócić pokój - zauważył Micamberlecto. Nie dysponujemy w sektorze ani jednym godnym wzmianki ciężkim okrętem.

- Czy nie możemy ściągnąć okrętów i żołnierzy z innych miejsc? - zapytał Han.

- Taka operacja jest niezwykle kosztowna i mogłoby się okazać, że nie mamy na nią środków - odrzekła Leia. - A poza tym, dzięki niech będą gwiazdom, w tej chwili nie dzieje się nic takiego, co zmuszałoby nas do utrzymywania w gotowości wielu gwiazdnych okrętów albo armii. Panuje pokój i większość oddziałów rozwiązano. Mamy wprawdzie sporo okrętów, zarówno zbudowanych w czasach Nowej Republiki, jak i przejętych po upadku Imperium, ale większość albo zakonserwowano i przekazano pod opiekę najróżniejszym stoczniom, albo przesłano do składnic złomu. A mnóstwo okrętów, wciąż jeszcze stanowiących wyposażenie tej czy innej gwiazdnej floty, czeka w suchych dokach na dokonanie napraw lub modernizacji. Te zaś, które pełnią czynną służbę, znajdują się w odległych sektorach.

- Musimy przecież dysponować jakimiś rezerwami - mruknął Han.

Leia bezradnie wzruszyła ramionami.

- Dysponujemy, ale nie są to poważne siły. A powołanie ich do czynnej służby zajęłoby bardzo dużo czasu. Pamiętaj, że ostatnio nasze wojska muszą strzec ogromnych obszarów. Od wielu lat gotowość do walki nie była taka niska jak w tej chwili.

- A zatem miejmy nadzieję, że nie wydarzy się nic, do czego musielibyśmy być przygotowani - powiedział Micamberlecto. - Podejrzewam, że to płonna nadzieja, ale lepsze to niż nic.

- Jak pan myśli, co powinniśmy zrobić? - zapytała Leia.

Generalny gubernator znów wzruszył ramionami.

- Właściwie nie możemy nic zrobić - odparł. - Lecz pozostaje jeszcze jedna sprawa, jeszcze jedna sprawa. Chociaż wszystko przemawia za tym, że pochwycenie kapitana Solo było dziełem przypadku, nie można wykluczać, że mogło stanowić coś w rodzaju świadomej pogroźki, rzuconej pod adresem całej waszej grupy. Ostrzeżeniem. Ostrzeżeniem.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś stara się nas przestraszyć? - zasugerował Han.

- To możliwe - oświadczył Micamberlecto. - Ze względu na ową zainscenizowaną napaść.

- No cóż, nie zamierzamy dopuścić, żeby zwyciężyli - powiedział Solo. - Nie mam zwyczaju brać nóg za pas i uciekać. Uważam, że powinniśmy zostać... zostać i robić to, co zamierzaliśmy, zanim zdarzyła się ta przygoda.

- Doskonale - odezwał się z ożywieniem generalny gubernator. - Jednak sugerowałbym przedsięwzięcie jednego lub dwóch środków ostrożności. Wiem, że pańskiego statku pilnują w tej chwili strażnicy kosmoportu, ale to chyba nie jest najbezpieczniejsze miejsce. Ktoś mógłby się zakraść i przymocować do kadłuba nadajnik sygnału namiarowego albo... ehm... uhm... jakieś inne urządzenie.

- „Inne urządzenie” - powtórzyła Leia. - Ma pan na myśli bombę.

Micamberlecto kiwnął głową.

- No cóż, istotnie. Tak czy owak, chyba lepiej byłoby umieścić „Sokoła” w innym miejscu.

- Prawdę mówiąc, sam o tym myślałem - przyznał Han. - Doszedłem jednak do wniosku, że w pobliżu naszej rezydencji trudno byłoby znaleźć miejsce, które lepiej nadawałoby się do tego celu.

- Chciałbym zaproponować niewielkie, niewielkie lądowisko z hangarem - usytuowane tu, na dachu Korony - rzekł gubernator. - Mógłby pan zostawić frachtowiec w hangarze, a ja wydałbym polecenie kilku osobom ze swojego personelu technicznego, aby się upewnili, czy ktoś nie próbował dopuścić się aktu sabotażu.

- Ufa im pan? - zdziwiła się Leia. - Niedawno słyszeliśmy, że nie może pan darzyć zaufaniem większości swoich podwładnych.

- Wszyscy członkowie mojego personelu technicznego i straży osobistej są odznaczonymi weteranami wojny przeciwko Imperium - odparł Frozjanin. - Wszyscy zostali przeze mnie osobiście wybrani, osobiście wybrani i skrupulatnie sprawdzeni. Jestem absolutnie pewien, że mógłbym powierzyć im własne życie. Natomiast nie mam pewności, czy równie lojalni okazaliby się inni ludzie, zwerbowani na tej planecie i zatrudnieni w pozostałych wydziałach.

- W takim razie zgadzam się - oznajmił Solo. - Poproszę Chewbacę, żeby sprowadził tu statek jutro z samego rana. Przynajmniej czymś się zajmie. Tak czy owak, będzie miał więcej pracy niż my.

Leia uśmiechnęła się. Pierwszy raz od bardzo dawna w jej oczach zalśniły isierki prawdziwego humoru.

- Och, Hanie, przecież jeżeli chcemy jak najlepiej odgrywać swoje role, mamy naprawdę całe mnóstwo pracy - powiedziała.

- Jakie role?

- Musimy udawać, że jesteśmy turystami.

Han cicho jęknął.

- No, nie wiem - odparł, uśmiechając się krzywo. - Staralem się udawać turystę i popatrz, jak to się zakończyło.

Następny poranek nie poprawił niczyjego samopoczucia. Pogoda uległa pogorszeniu i willę chłostały strugi ulewnego deszczu. Oznaczało to, że dzieci nie mogły wyjść na dwór, a czując się jak uwięzione w domu, hałasowały i marudziły. Han nadal odczuwał w głowie pulsujący ból - i to pomimo wysiłków ze strony androidów medycznych, jakimi dysponowały Wojska Obrony Planety. Nic dziwnego, że był w fatalnym nastroju.

Siedział w salonie i przyglądał się, zabawie dzieci. Posługując się zestawem klocków, usiłowały zbudować absurdalnie wysoką i spiczastą wieżę. Klocki. Miały do dyspozycji wszystkie bajeranckie, naszpikowane obwodami elektronicznymi zabawki, jakie tylko wynaleziono w całym wszechświecie, a one bawiły się klockami.

Przynajmniej Chewbacca zdołał wymknąć się z willi. Wyszedł, żeby udać się do kosmoportu i przelecieć „Sokołem” na dach Korony. Han pomyślał, że jeżeli Wookie uważa lot gwiazdowym statkiem podczas ulewnego deszczu i lądowanie na platformie

wieżowca za rozrywkę w porównaniu z siedzeniem w domu, sytuacja musi wyglądać naprawdę niewesoło. Co gorsza. Leia zniknęła w prywatnym gabinecie. Uzgadniała z Ebrihimem szczegóły przyszłych wypraw i wycieczek. Hanowi także to nie bardzo się podobało.

Wieża z klocków runęła z łatwym do przewidzenia hukiem i grzechotem. Dzieciaki roześmiały się, na ten widok - zbyt hałaśliwie, jak na gust ich taty.

Han doszedł do przekonania, że powinien spędzić pewien czas w samotności. Udał się na piętro i skierował do biblioteki. Miał nadzieję, że tam nikt nie zechce go niepokoić. Pragnął przemyśleć to i owo, a może miał także nadzieję, że jeżeli zazna trochę ciszy i spokoju, ból w jego głowie wreszcie przestanie tak pulsować.

Wszedł do środka i usiadł w bardzo wygodnym obrotowym fotelu bibliotecznym. Mimo to jakaś cząstka świadomości, wyostzona zapewne jeszcze w czasach, kiedy był przemytnikiem, ostrzegała go, że popełnił przynajmniej dwa błędy. Zostawił otwarte drzwi i usiadł odwrócony do nich plecami.

Han postanowił jednak nie przejmować się śmiesznymi przyzwyczajeniami. Zapewne dlatego, że był zaniepokojony i rozdrażniony, do głosu zaczęły dochodzić dawne nawyki. Prawdę mówiąc, miał w tej chwili na głowie wiele innych problemów. Zaczął rozmyślać o tym, co przydarzyło mu się poprzedniego dnia... nie, nie powinien uciekać się do eufemizmów. Padł ofiarą porwania. Dlaczego tamci bojówkarze zaczęli go i pojмали? Dlaczego wtrącili go do ciemnicy? I dlaczego, na Korelię, tak szybko go uwolnili? Jedynym powodem, który przychodził mu do głowy, było to, że jakimś cudem...

- Panie Solo, czy mógłbym z panem porozmawiać?

Han podskoczył, zdziwiony i przestraszony. Odwrócił się z fotelem i zobaczył Qiunine-Ekstoo. Należący do Ebrihima dziwaczny robot unosił się przed nim kilka centymetrów nad podłogą. Żegnajcie marzenia o ciszy, spokoju i samotności.

- Nigdy więcej tego nie rób - odezwał się surowo.

- Czego mam nie robić, panie Solo?

- Nie pojawiaj się za moimi plecami cicho jak zjawą. Pohałasuj trochę. Posługuj się kółkami, a nie repulsorami.

- Nie potrafiłbym wspiąć się po schodach, gdybym posługiwał się kółkami - sprzeciwił się Qiunine.

- Cóż to byłoby za wstyd - mruknął do siebie Solo. - Posłuchaj, przyszedłem tu, bo chciałem pozostać jakiś czas sam ze swoimi myślami. Szukałem miejsca, gdzie mógłbym zaznać chociaż trochę spokoju. Czy nie mógłbyś po prostu odtoczyć się, odfrunąć albo coś w tym rodzaju, byle tylko zniknąć z tej biblioteki?

- Muszę powiedzieć panu coś ważnego - odparł robot, po czym zwiększył dopływ energii do repulsorów i zbliżył się do rozmówcy. - Coś, co chyba powinienem omówić z panem w cztery oczy.

- Ta-a? - zapytał Han takim tonem, jakby dalsza rozmowa wymagała od niego sporego wysiłku. Rozsiadł się wygodniej w fotelu. - Cóż to może być?

Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że rzadko to, co droidy czy roboty uznawały za istotne, pokrywało się z jego zdaniem na ten temat.

- Muszę zacząć od tego, że kiedy się dowiedziałem, iż pan Ebrihim i ja znajdziemy pracę w domu tak ważnych osobistości jak pan i pańska żona - i to w tak niespokojnych czasach, jakie panują obecnie na Korelii - postanowiłem zrobić wszystko, co mogę, dla zwiększenia państwa bezpieczeństwa. I dlatego dokonałem w swojej konstrukcji kilku szczególnych modyfikacji.

- Hmmm? Co takiego? - zapytał Han. O czym ty właściwie mówisz?

- Przepraszam, że przejście do sedna sprawy zajmuje mi aż tyle czasu, ale musi pan wiedzieć, iż zainstalowałem sporo skomplikowanych urządzeń umożliwiających wykrywanie i prowadzenie obserwacji. Wyposażyłem się w kilka bardzo czułych skanerów i komparatorów i pozwoliłem sobie omiatać nimi najbliższą okolicę pańskiej rezydencji. Rzecz jasna, robiłem to tylko wówczas, kiedy nie przeszkadzało mi to w wykonywaniu pozostałych obowiązków.

- Chwała ci za to - odrzekł Han, wciąż jeszcze nie przywiązując większej wagi do słów robota. Dlaczego każdy automat musiał wiercić mu dziurę w brzuchu i przechwalać się swoimi udoskonaleniami i umiejętnościami?

- Pan na tym również skorzysta, panie Solo - ciągnął Qiunine. - Naprawdę uważam, że powinien pan poważniej traktować to, co mam do powiedzenia.

- A niby dlaczego? - zapytał znudzonym tonem Han.

- Ponieważ jest pan obserwowany.

Dopiero to wyrwało Hana z odrętwienia.

- Jeżeli masz na myśli agentów Wojsk Obrony Planety...

- Bardzo proszę, panie Solo - przerwał mu niezwykły automat. - Nie jestem tępawym androidem protokolarnym, a zatem niech pan mnie tak nie traktuje. Nie. Zważywszy, jak się owa obserwatorka zachowuje, należałoby uznać, że stara się, jak może, aby agenci WOP jej nie widzieli... chyba zależy jej na tym nawet bardziej niż na ukrywaniu się przed panem i członkami pańskiej rodziny.

- Ona? - zainteresował się Han.

- Tak, proszę pana. Jest sama, jest istotą ludzką płci żeńskiej i wszystko wskazuje na to, że z nikim się nie kontaktuje. A przynajmniej nie zauważyłem nikogo, kto wyglądałby na jej pomocnika. Ukrywa się w opustoszałej willi niedaleko pańskiej rezydencji. Obserwuje pana z okna na pierwszym piętrze i robi wszystko, co możliwe, żeby nikt jej nie zauważył. Muszę przyznać, że radzi sobie całkiem dobrze. Nie sądzę, żeby zdołał ją dostrzec jakiś człowiek. Okno ma przyciemnione szyby, pokój jest pogrążony w mroku, a kobieta jest na tyle inteligentna i doświadczona, że doskonale wie, co robić, żeby się nie rzucać w oczy. Pomimo to zdołałem zarejestrować kilka jej niewyraźnych dwuwymiarowych wizerunków. Posłużyłem się spolaryzowaną podczerwienią. Miałem wielkie szczęście, ponieważ później, z samego rana, rozpuętała się ulewa.

- Chciałbym jakiś obejrzeć - powiedział Solo.

Oczekiwał, że jego gość wyświetli na ścianie niewyraźny obraz holograficzny albo coś w tym rodzaju. Zamiast tego usłyszał ciche brzęczenie... i ze szczeliny w przedniej części korpusu robota wysunęło się najzwyczajniejsze zdjęcie. Może więc

udoskonalenia, których dokonał w swojej konstrukcji dziwny automat, pozostawiały jednak trochę do życzenia?

- Rzecz jasna, przez większość czasu jej twarz jest zasłonięta makrolornetką - powiedział Qiunine. - To zdjęcie jej twarzy ma największą rozdzielczość, jaką udało mi się osiągnąć. Chociaż poddałem je odpowiednim zabiegom korekcyjnym, jakość nadal nie jest najlepsza.

Han wyciągnął zdjęcie ze szczeliny i uniósł do oczu. Obraz był ziarnisty i nieprawdopodobnie kontrastowy, a wizerunek twarzy rozmyty i niewyraźny. Mimo to nie miał najmniejszych wątpliwości. Spoglądał na zdjęcie Kalendy, agentki Wywiadu Nowej Republiki, zrobione na sekundę przedtem, zanim kobieta uniosła do oczu makrolornetkę. Han uświadomił sobie, że właściwie nie czuje się zaskoczony. Funkcjonariuszka słynęła z tego, że miała zwyczaj pojawiać się jak spod ziemi o wiele lat świetlnych od miejsca, w którym ktokolwiek mógłby się jej spodziewać.

Agentka wyglądała na zaniepokojoną. Zmizerniała w porównaniu z tym, jak wyglądała, zanim Han wyruszył na wyprawę, a na jej twarzy malowało się zmęczenie. Bez wątpienia jednak była to Kalenda. Han nie mógłby zapomnieć tych niesamowitych, zbyt szeroko rozstawionych oczu. Co, u diabła, robiła Kalenda na Korelii? A jeżeli to była ona, dlaczego nie starała się z nim porozumieć? Jedyńm powodem, jaki mógł sobie wyobrazić, był ten, że kobieta także nie ufała funkcjonariuszom Wojsk Obrony Planety.

- Czy mówiłeś jeszcze komuś, co odkryłeś? - zapytał, zwracając się do robota.

- Nie, proszę pana. Doszedłem do wniosku, że powinienem powiedzieć najpierw panu.

Han przez chwilę się zastanawiał.

- Postąpiłeś słusznie, Qiunine - odezwał się w końcu. - To dla mnie bardzo cenna informacja. Muszę jednak rozkazać ci, żebyś nie mówił o tym nikomu... absolutnie nikomu. Ani swojemu właścicielowi, ani mojej żonie, ani nikomu innemu. Wystarczy, jeśli ja będę się starał udawać, iż nie mam pojęcia o tym, że jesteśmy obserwowani. Gdyby mieli udawać wszyscy mieszkańcy willi, ktoś mógłby się niechcący zdradzić.

- A zatem owa obserwatorka jest wrogiem, proszę pana?

- Nie, nie. Przyjacielem. Wprawdzie nie bardzo wiem, co zamierza, ale z całą pewnością stoi po naszej stronie. Problem w tym, że nie jesteśmy pewni, czy możemy ufać funkcjonariuszom koreliańskich Wojsk Obrony Planety. Nie wiemy, czy powinniśmy ich uważać za przyjaciół. Możliwe, że tamta kobieta stara się jakoś nas ochronić przed agentami WOP. Gdyby miejscowi wywiadowcy dowiedzieli się o jej istnieniu, moglibyśmy stracić wartościowego sprzymierzeńca.

- W jakim sensie wartościowego, proszę pana? - dociekał automat.

Han pokręcił głową.

- Jeszcze tego nie wiem. I zanim będę mógł ci coś powiedzieć, muszę sam odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem jednak, że kobieta przebywa w tamtym domu, a agenci, którym nie ufamy, nic o niej nie wiedzą. To właśnie może przynieść nam największą korzyść.

- Czy powinienem spróbować jakoś się z nią porozumieć? - zaproponował robot. - Wymyślić jakiś sposób, którego funkcjonariusze Wojsk Obrony Planety nie mogliby zauważyć?

- Nie - odparł natychmiast Solo. - Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Sytuacja jest na tyle skomplikowana, że nie mogę sobie pozwolić na wprowadzanie jeszcze jednej niewiadomej. A poza tym, agenci WOP mogą mieć w zanadrzu kilka sztuczek, o których na razie nic nam nie wiadomo.

- Postąpię, jak pan zechce - obiecał nowy sprzymierzeniec. - Sytuacja wygląda raczej poważnie, prawda, proszę pana?

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, bardziej niż ktokolwiek spośród nas mógłby sobie wyobrazić - przyznał Han. Jeszcze raz popatrzył na zdjęcie, po czym oddał je robotowi. - Zniszcz je - powiedział. - Możesz bardzo ostrożnie obserwować naszą sojuszniczkę, ale tak, aby tego nie zauważyła. I nie rozmawiaj na ten temat absolutnie z nikim. Nawet ze mną, jeżeli sam nie zacznę rozmowy albo nie wydarzy się coś, co zmieni całą sytuację. Rozumiesz?

- Oczywiście, proszę pana.

- Dziękuję ci, Qiunine. Możliwe, że właśnie dokonałeś największego odkrycia w całym swoim istnieniu.

Automat wycofał się i na sekundę zmniejszył dopływ energii do repulsorów, dzięki czemu wykonał coś w rodzaju dygu albo ukłonu.

- Przynajmniej w dotychczasowym istnieniu - odparł, nie okazując ani odrobiny poczucia humoru. - Przynajmniej w dotychczasowym.

Han obserwował, jak automat wychodzi, a raczej wylatuje z biblioteki. Później cicho zaklął. Miał przeczucie, że wcześniej czy później musi dojść do wybuchu. Nie wiedział, co ani kiedy eksploduje, ale sytuacja coraz bardziej się gmatwała. Napięcie rosło i już wkrótce musiało osiągnąć stan, w którym coś nie wytrzyma ciśnienia.

Na razie jednak mógł tylko udawać, że wszystko jest w porządku, a on i pozostali członkowie rodziny są najzwyczajniejszymi turystami. Nie mógł zdradzić, że cokolwiek wie albo przeczuwa.

Ach, jakże nie znosił polityki.

O szyby willi zabębniła następna fala ulewnego deszczu.

ROZDZIAŁ

14

TURYSTA

Deszcz padał przez całą noc i rano następnego dnia, ale wówczas wszyscy doszli do wniosku, że mają dość tkwienia w murach rezydencji. Nie zwracając uwagi na strugi lejącej się wody, wsiedli do pożyczonego przez generalnego gubernatora grawilotu. Han zajął fotel pilota i wystartował. Wzbijał się w niebo najszybciej jak mógł i po kilku sekundach wleciał w grubą warstwę ołowianoszarych, ciężkich, nabrzmiątych deszczem chmur. Nie przejmując się tym, że grawilot kołysze się i zatacza jak pijany, przebił się przez nie i poszybował ku czystemu, lazurowemu niebu.

Natychmiast nastrój pasażerów uległ radykalnej poprawie. Wyglądało na to, że wyłączną zasługę ponosi błękit nieboskłonu. Nawet Chewbacca przestał burczeć i narzekać, że musi kulić się w fotelu drugiego pilota, o wiele dla niego za ciasnym. Uspokoili się także dzieci, aż do tej pory sprzeczące się, które z nich zajęło więcej miejsca niż powinno. Nagle cała trójka zaczęła pokazywać różne chmury i prześcigać się w mówieniu pozostałym, która przypomina potwora albo egzotyczne zwierzę.

Han także poczuł się o wiele lepiej. Rzecz jasna, część zasługi należało przypisać wydostaniu się spod strug deszczu, ale najważniejsza była chyba świadomość, że wreszcie wyrwał się z Koronetu - i wyprawił się, jak mógł najdalej - choćby tylko na jeden dzień. Pomyślał, że może, mimo wszystko, udawanie turysty miało swoje dobre strony. Przynajmniej pozwalało mu przebywać z daleka od stolicy.

Kalenda obserwowała, jak grawilot z całą rodziną na pokładzie znika w deszczowych chmurach. Nie wiedziała, czy się martwić, czy odczuwać ulgę. Nie mogła za nimi lecieć, ale zyskała szansę, wykorzystania przynajmniej części wolnego czasu na odpoczynek. Wyglądało na to, że nie zabrali wszystkich bagaży, a zatem, iż wyprawa miała potrwać najwyżej jeden dzień. W tym czasie może wykapie się i przyrządzi porządny posiłek, a przede wszystkim prześpi kilka godzin bez obawy, że przeszkodzi jej coś nieprzewidzianego. Oczywiście, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że przeciwnicy polityczni przywódczyni Nowej Republiki zechcą wykorzystać fakt jej

nieobecności i pokuszą się o jakąś podłą sztuczkę. Kalenda mogła jednak nastawić makrolornetkę na rejestrowanie tego, co dzieje się wokół rezydencji Organy Solo, żeby później, kiedy się obudzi, obejrzeć wszystko w przyspieszonym tempie. Gdyby opozycjoniści zamierzali dopuścić się jakiegoś aktu sabotażu, wykryje to, oglądając nagranie, i chyba będzie miała dość czasu, żeby pokrzyżować ich plany.

Jej sytuacja właściwie nie uległa poprawie. Agentka wiedziała, że może nie zdążyć zareagować na czas, aby czemuś zapobiec albo przeciwdziałać. Nie potrafiła jednak wymyślić nic lepszego niż przebywanie w kryjówce niedaleko rezydencji przywódczyni Nowej Republiki.

Już wkrótce musi zdecydować, co dalej.

Na razie zamierzała przespać kilka najbliższych godzin.

Kiedy skończyły się deszczowe chmury. Han zanurkował i ponownie przebił warstwę obłoków. Wyrównał lot, gdy ujrzał pagórkowaty krajobraz Korelii. Leciał nad umykającymi w dole zadrzewionymi wzgórzami i polami uprawnymi, pośród których tu i tam - po lewej i po prawej stronie grawilotu - pozostawały osady lub niewielkie miasta.

Han spoglądał w dół i z każdą chwilą czuł się coraz lepiej. To była Korelia, jaką znał i pamiętał z czasów dzieciństwa. A przynajmniej mógł się ludzi, że tak właśnie jest. Możliwe, że ludzie, zamieszkujący wszystkie urocze miasteczka, schudne wioski, niewielkie osady czy zadbane farmy, byli równie ubodzy jak mieszkańcy Kornetu. Lecąc na tej wysokości, mógł jednak wyobrazić sobie, iż są szczęśliwi, weseli, beztroscy i zamożni.

Nagle automatyczny pilot zapikał ostrzegawczo, a na pulpicie kontrolnym zapaliła się czerwona lampka. Zbliżali się do miejsca, gdzie prowadzono prace wykopaliskowe. Han wyciągnął szyję i popatrzył przed siebie. Przed dziobem grawilotu, w oddali i w dole, ujrzał ogromną dziurę. Na tle zieleni krajobrazu wyglądała jak ciemnobrunatna plama.

- Ebrihimie! - zawołał, odwróciwszy głowę.

Starszawy Dralia rozpiął klamry pasów bezpieczeństwa. Zeskoczył z fotela i przeszedł do dziobowej części maszyny.

- Tak, kapitanie Solo? Co się stało?

- Czy właściwie tam lecimy? - zapytał Han.

- Tak jest, proszę pana. A przynajmniej wszystko wygląda dokładnie tak, jak mi opisywano.

Zdumiony Han popatrzył na Ebrihima.

- Nigdy przedtem tam nie byłeś? Myślałem, że masz być naszym przewodnikiem.

- I będą, kapitanie Solo - odparł bez zająknięcia Dralia. - Od dłuższego czasu zbieram wszelkie dostępne informacje na temat tego miejsca. To prawda, że jeszcze nigdy tam nie byłem, ale czytałem wszystkie opublikowane raporty i artykuły. Przeprowadziłem rozmowy z wieloma najważniejszymi kierownikami ekip badawczych. To pierwsze miejsce na całej Korelii, w którym dokonuje się poszukiwań archeologicznych zakrojonych na tak wielką skalę. Możliwe nawet, że nikt z

naukowców w ogóle nie prowadził jeszcze badań tego typu. Nic więc dziwnego, że badacze przywiązują do nich taką wagę. Problem w tym, że starają się zachować wszystko, co znajdują, w najściślejszej tajemnicy. Nigdy przedtem nie udało mi się uzyskać zgody na odwiedzenie terenu wykopalisk ani nawet na zapoznanie się z wynikami.

- A zatem wykorzystujesz przywódczynię Nowej Republiki jako coś w rodzaju osobistej przepustki, umożliwiającej ci zwiedzenie tego miejsca? - zapytał Han tonem będącym czymś pośrednim między rozbawieniem a oburzeniem.

- Oczywiście - odrzekł Ebrihim. - Czy uważa pan, że mógłbym przepuścić taką okazję?

- Czy to pierwsze miejsce badań archeologicznych na całej planecie? - zainteresowała się Leia, zwracając się do męża. Zajmowała fotel ustawiony w drugim rzędzie. Jak to możliwe?

- Ta-a. Kiedy jeszcze tu mieszkałem, nikt nie zwracał sobie głowy podobnymi głupstwami - odparł Solo. - Jak myślisz, dlaczego ktoś miałby interesować się tym właśnie teraz? - dodał, kierując głowę w stronę Ebrihima.

Istota uniosła rękę i rozcapierzyła palce dłoni, po czym pokręciła głową.

- To trudno wytłumaczyć - powiedziała. - Wydaje mi się, że powodem jest nagłe zainteresowanie wykopaliskami, jakie zaczęli okazywać nie tylko ludzie, ale także istoty innych ras zamieszkujących Korelię i pozostałe światy.

- Nie rozumiem - stwierdził Solo.

- No cóż, przeszłość może stanowić powód do dumy - zaczął Ebrihim. - Kto był pierwszy na tym świecie? Kto ma największe prawo uważania tego albo tamtego kawałka gruntu, kontynentu czy nawet całego świata za swoją wyłączną własność? Nagle wykopaliska na wszystkich pięciu światach stały się niezwykle modne - i to nie tylko pośród istot interesujących się tym rodzajem polityki. Mówiono mi, że mieszkający na Pięciu Braciach ludzie, Dralowie i Selonianie wynajmują zespoły naukowców, po czym zlecają im prowadzenie badań archeologicznych. Mają nadzieję, że wykopią cenne przedmioty, które mogłyby zaświadczyć o przeszłości. Rywalizują ze sobą, pragnąc znaleźć dowody, która rasa istot osiedliła się jako pierwsza albo może najwcześniej poszczycić się najwspanialszymi osiągnięciami. I tak dalej, i tak dalej.

- Archeologia polityczna - mruknął Han. - To coś nowego, przynajmniej dla mnie. Jak myślisz, co zobaczymy, kiedy wylądujemy?

- Bardzo interesujące pytanie. Sam się nad tym zastanawiałem - przyznał Ebrihim.

- Nikt właściwie nie wie dokładnie, o co chodzi. Archeolodzy znaleźli i badają nieprawdopodobnie stary labirynt podziemnych sztucznych komór lub może pieczar. Wiele z nich zawaliło się albo wypełniło szlamem, mułem czy osadem; niektóre jednak zachowały się w całkiem dobrym stanie. Istoty, które wykopały owe groty, pozostawiły w nich najróżniejsze urządzenia. Nikt nie ma pojęcia, do czego służyły ani kto je skonstruował. Nikt nie wie, z jakiego powodu zostawiono je w tych grotach.

Han zmarszczył brwi.

- Czy archeologia nie polega raczej na badaniu wnętrza glinianych chat i odłamków naczyń?

- Dotychczas i my tak uważaliśmy - zgodził się z nim Ebrihim. - Tyle że cywilizacja na tym świecie trwa - w takiej czy innej postaci - od bardzo, bardzo dawna. Przez tysiące pokoleń rządziła nim Stara Republika, a przecież zanim nasza, także żyły tu inteligentne istoty. A zatem chodzi o okres ostatnich, powiedzmy, dwudziestu tysięcy standardowych lat, prawda? Najwyżej dwudziestu pięciu tysięcy.

- To strasznie długi okres - odezwał się Jacen.

- Czyżby? - zdziwił się Ebrihim. Od jak dawna płoną na niebie gwiazdy? Od jak dawna istnieje życie na różnych światach?

- Od tak dawna? - zapytał chłopiec.

Ebrihim roześmiał się, co zabrzmiało jak skrzekliwe „he-he-he-he”.

- Z pewnością od bardzo dawna - powiedział. - Co najmniej tysiąc razy, a może dwa albo tysiące razy dłużej niż okres, w którym żyły owe tysiące pokoleń. To więcej czasu niż tyle, ile wystarczy, żeby wydarzyło się mnóstwo dziwnych rzeczy, o których w tej chwili nawet nie mamy pojęcia.

- A zatem ktoś wykopał te jaskinie i umieścił w nich owe dziwne urządzenia, zanim jeszcze nastąpiła Nowa Republika? - zapytał Han.

- Wszyscy sądzą, że wykopaliska rzeczywiście mają tyle lat - rzekła istota. Nikt jednak nie jest o tym absolutnie przekonany. Istnieją techniki datowania wykopalisk, które mogłyby nam pomóc, ale żaden mieszkaniec systemu koreliańskiego nie wie, jak się nimi posługiwać. Może kiedyś, jeżeli nadejdą lepsze czasy, zawita do nas jakiś ekspert i pomoże archeologom w pracy.

Han rzucił okiem na urządzenia kontrolne.

- Może kiedyś zawita - powiedział - ale za chwilę znajdziemy się u celu wyprawy. Wracaj na swoje miejsce, Ebrihimie. A pozostali, proszę sprawdzić pasy bezpieczeństwa. Podchodzimy do lądowania.

Krzążący wokół ogromnej dziury w ziemi ludzie przypominali rozszoszczone owady. Sprawiali wrażenie, że starają się odbudować kopiec, na którym ktoś niechcący postawił stopę. Pracowali gorączkowo, jakby naprawdę chcieli naprawić jakieś uszkodzenia.

Pracownicy - wyłącznie istoty ludzkie - spieszyli chyba we wszystkie strony. Popychając ogromne wózki grawitacyjne, wywozili wykopaną ziemię, odłamki skał i kamienie. Najróżniejsze androidy, roboty i automaty wносиły do wielkiej jamy albo wynosiły z niej dziwne metalowe przedmioty.

Wszystko przemawiało za tym, że ich działalność nie jest pozbawiona sensu, a mimo to można było odnieść wrażenie, iż na miejscu wykopalisk panuje trudny do opisania bałagan. Kiedy Han i pozostali uczestnicy wyprawy wysiedli z grawilotu, przez kilka chwil rozglądali się z wahaniem. Najwyraźniej nie bardzo wiedzieli, dokąd iść ani co robić. Hanowi chodziło jednak o coś więcej niż tylko niepewność.

- Leio - szepnął, nieznacznie odwracając głowę. - Spójrz na mundury tych ludzi.

- Widzę. Co w nich takiego niezwykłego?

- Takie same nosili tamci zabawni goście, którzy mnie poturbowali. Jedyna różnica polega na tym, że ci nie mają na rękawach opasek z emblematem Ligi Ludzkiej.

Identyczne nosili także demonstranci maszerujący poprzedniego wieczora wokół Korony.

- Masz rację - przyznała Leia. - Jaka szkoda, że nie możemy teraz o tym porozmawiać. Myślę, że ten gość to nasz przewodnik.

Rzeczywiście, zbliżał się ku nim mężczyzna w średnim wieku. Wyglądał dostojnie i godnie, ale przydałoby się, żeby schudł kilka kilogramów. Miał ciemną karnację skóry i krótko przystryżone ciemne włosy, a na twarzy szeroki, olśniewający i niemal uwodzicielski uśmiech. Był ubrany - podobnie jak inni pracownicy - w taki sam mundur, upstrzony plamami potu, ale rękaw jego bluzy zdobiły wyszukane dystynkcje, jakich nie miał żaden z robotników. W odróżnieniu od podwładnych nosił na głowie bardziej fantazyjną czapkę, którą założył pod nader zawadiackim kątem.

- Serdecznie państwa witam - odezwał się, kiedy stanął przed gośćmi. Miał zdumiewająco łagodny, miły i melodyjny głos i wymawiał wyrazy ze śpiewnym akcentem, charakteryzującym mieszkańców północnych regionów największego koreliańskiego kontynentu. - Nazywam się Brimon Yarar i mam stopień generała. Witam w naszym obozie. - Obrócił się w stronę Leii i złożył głęboki, ceremonialny ukłon. - Cieszę się, że panią widzę. To dla mnie prawdziwy zaszczyt. - Wyciągnął rękę do Hana. - Czuję się zaszczycony, że mogę gościć także pana.

Ten zaś nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gospodarz obdarzył go uważnym, taksującym spojrzeniem. Wyglądało to, jakby Yarar spoglądał na coś dziwnego, co od bardzo dawna pragnął zobaczyć. Han poczuł nagle ciarki na grzbiecie.

- Mnie również jest bardzo miło - powiedział z namysłem, ale w końcu uściśnął wyciągniętą prawicę. - Wszyscy cieszymy się, że mogliśmy tu przylecieć. Czy wolno zapytać, panie generale, czym albo kim pan dowodzi? A może brał pan udział w jakiejś wojnie?

I po czyjej stronie? - pragnął dodać, ale po namyśle doszedł do wniosku, że nie warto.

- Hmmmm? Słucham? Ach, o to panu chodzi! - domyślił się tęgi mężczyzna, najwyraźniej zakłopotany. Obawiam się, że to tylko grzecznościowy tytuł. Nieformalne stanowisko, jakie piastuję w pewnej prywatnej organizacji.

- Może w Lidze Ludzkiej? - podsunął usłużnie Solo. - Czy jest pan członkiem Ligi?

Uśmiech Yarara przygasł, a przynajmniej przez sekundę można było odnieść takie wrażenie.

- No cóż, to prawda - odparł. To właśnie Liga przekazała najwięcej środków na prowadzenie naszych badań. Staramy się z tym zbytnio nie afiszować i nie rozpowszechniamy tej informacji. Niektórzy mogliby dojść do błędnych wniosków. Muszę przyznać, że wszyscy robotnicy są członkami Brygady Badaczy Dziedzictwa Istot Ludzkich.

Jako główny cel postawiliśmy sobie ujawnienie zaszczytnych osiągnięć, jakimi mogli poszczycić się nasi prapraprzodkowie, żyjący właśnie tu, na Korelii. Czy słyszał pan o naszych osiągnięciach, kapitanie Solo?

- Coś niecoś słyszałem - odparł wymijająco Han.

- A to muszą być pańskie dzieci - powiedział Yarar, postanawiając zmienić temat rozmowy na inny, który bardziej by mu odpowiadał. Przykucnął i mrugnął porozumiewawczo do Jacena. - Naprawdę cieszę się, że mogę was poznać.

- Ta-a, ja także - odparł chłopiec, cofnąwszy się o pół kroku. - Też się cieszę, że pana poznałem.

Jego siostra uśmiechnęła się z przymusem, ale nic nie powiedziała. Mały Anakin żadnym gestem ani nawet ruchem nie zareagował na słowa generała. Wpatrywał się w niego, ale nie odezwał się ani słowem.

Mężczyzna wyprostował się z wysiłkiem, a potem znów się uśmiechnął, jakby zadowolony, że całkowicie oczarował całą trójkę dzieci.

- Wejdziemy do środka? - zapytał.

- Jasne - odparł Han.

Zauważył, że generał zupełnie zignorował Chewbaccę i Ebrihima. Popatrzył pytająco na Chewiego, ale Wookie nieznacznie pokręcił głową na znak, że nie. Han przeniósł spojrzenie na Drala i otrzymał taką samą niemą odpowiedź. Doszedł do wniosku, że obaj mają rację. Przedstawienie Yararowi obu istot i zmuszanie go, żeby się z nimi przywitał, po prostu nie miało sensu. Nic by w ten sposób nie osiągnął, a mógłby wywołać nieprzyjemny incydent. To zaś odwróciłoby jego uwagę...

Od czego? Od zapoznania się z wnętrzem jaskini, wypełnionej rdzewiejącymi maszynami? Nie. Nie, chodziło jeszcze o coś innego. Han miał przeczucie, że w tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica. Tajemnica, którą powinien odgadnąć. Dlaczego organizacja pokroju Ligi Ludzkiej miałaby się zajmować poszukiwaniami starych maszyn?

Yarar musiał dokładnie wiedzieć, że nie zdoła nikogo wywieść w pole. Generałowie dowodzili armiami, a nie ekipami archeologów. Jedynie armie miały dość środków, aby zatrudnić i wynagrodzić wszystkich krzątających się wokół tej dziury ludzi, których Han widział... a także zapewne pracującym teraz pod ziemią.

A zatem, jaki cel chciała osiągnąć armia, która, nie zachowując specjalnych środków ostrożności, starała się odkryć tajemnice prastarej cywilizacji? Ebrihim mógł mu oczywiście wmawiać, iż naukowcy usiłują udowodnić jakąś ideologiczną tezę, ale nawet gdyby to samo chciał potwierdzić mu Yarar, Han nie byłby skłonny im uwierzyć. Ci goście wykopali taki dół, ponieważ czegoś poszukiwali, a Han bardzo pragnąłby się dowiedzieć, czego. I nie chciał, żeby coś innego odwróciło jego uwagę właśnie od tego.

- Wszyscy cieszymy się z niezwyklej wycieczki - powtórzył, zwracając się do Yarara. - Jesteśmy bardzo ciekawi, czym właściwie tu się zajmujecie.

Generał roześmiał się i chyba jeszcze szerzej wyszczerzył białe zęby.

- Tu właściwie niczym się nie zajmujemy, panie kapitanie - odparł, kiedy trochę spoważniał. - Zejdziemy jednak pod ziemię, a wówczas pokażę państwu, jakie prace tam prowadzimy.

Możliwe, że dorosłych interesowało wszystko, co oglądali, ale Jacen doszedł do wniosku, że z całą pewnością jego zainteresowanie gdzieś się rozpułyło. Z początku uważał wizytę w dziwnym podziemnym labiryncie za coś podniecającego i

zabawnego. Przekonał się, że Ebrihim miał rację, kiedy opowiadał, w jakim stanie znajdują się tunele i komory. Rzeczywiście, dno pieczar pokrywała gruba warstwa kurzu i piasku, który przedostał się przez szczeliny i wloty labiryntu. Tu i ówdzie przeciekała woda, wskutek czego niektóre chodniki albo już się zapadły, albo w każdej chwili groziły zawaleniem. Uprzątnięte tunele sprawiały niesamowite wrażenie. Niewykluczone, że po prostu Jacen nie przywykł do przebywania pod ziemią, a może niepokoiła go unosząca się w powietrzu woń pleśni i stęchlizny. Chłopiec nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego, ale czuł się zdecydowanie nieswojo.

Tymczasem ów gość, generał Yarar, nie ukrywał entuzjazmu i podniecenia. Raz po raz zachwycał się to tymi, to innymi tajemniczymi starymi maszynami, które wykopali jego podwładni. Jacen zupełnie nie pojmował, co w nich jest takiego ciekawego. Idąc nie kończącymi się chodnikami, mijali wicie ogromnych komór czy też pieczar. Możliwe, że przed wieloma tysiącami lat ich ściany, sklepienia i dno wyłożono białymi, błyszczącymi i gładkimi kafelkami. Teraz jednak płytki szerniały i połamały się albo odpadły. Inne zaś, mimo iż oczyszczone i gdzieś naprawione przez robotników, w dalszym ciągu sprawiały wrażenie brudnych i starych.

Niemal wszystkie maszyny i urządzenia, które mijali, przechodząc z jednej pieczary do następnej, wyglądały na milion razy bardziej zaniedbane niż same pomieszczenia. Większość mechanizmów przypominała sterty na wskroś przedziewiałyłych szczątków, spleśniałych tworzyw sztucznych i sparciałej syntetycznej gumy. Jacen nie potrafił zrozumieć, jakim cudem ktoś mógłby wiedzieć, do czego służyły. Namalowane na niektórych urządzeniach litery jeżeli rzeczywiście ktoś wypisał na nich znaki alfabetu były tak zamazane, że prawie niewidoczne. Generał Yarar oznajmił, iż nie należą do żadnego znanego systemu. Nawet Ebrihim sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego zwiedzaniem miejsca wykopalisk.

Tym bardziej, że właściwie ani razu nie oglądali pracujących archeologów. Można było zrozumieć, że naukowcy nie lubią, kiedy zwykli turyści kręcą się wokół miejsc, gdzie trwają prace wykopaliskowe, ale przecież koreliańscy badacze nieczęsto mieli do czynienia z takimi gośćmi. Wprawdzie w pewnej chwili generał wprowadził całą grupę do jakiejś pieczary, w której pracowały skomplikowane koparki i inne urządzenia, ale w następnej ruszyli dalej bocznymi korytarzami, nie zdradzającymi nawet śladów niczyjej działalności.

Jacen zwrócił uwagę na pewną rzecz, która wprawiła go w zdumienie. Kiedyś przeczytał książkę na temat wykopalisk i wiedział, że prowadzący badania archeolodzy powinni zawsze dbać o to, aby pozostawiać wszystkie przedmioty tak, jak je wykopali. Powinni także bardzo starannie przesiewać piasek i glebę, żeby nie przeoczyć żadnego przedmiotu, który naprowadziłby ich na ślad ważnego odkrycia albo pomógł potwierdzić jakąś teorię.

Tymczasem koreliańscy naukowcy niczego takiego nie robili. Nie zachowywali żadnych środków ostrożności. Co więcej, o ile Jacen mógł się zorientować, nawet nie bardzo przyglądali się wydobywanym przedmiotom. Niektórych zresztą nie wykopywali do końca. Chłopiec przekonał się o tym, mijając kolejne pomieszczenia odkopane zaledwie w jednej trzeciej albo najwyżej w połowie. Wyglądało na to, że

robotnicy kopali w każdej jaskini dopóty, dopóki się nie przekonywali, iż nie znajdują w niej czegoś, czego szukali, a potem przechodzili do następnej i zaczynali od początku. Gdziekolwiek zostawiali do połowy odkopane szkielety... przeważnie istot ludzkich albo Selonian, chociaż jeden za szkieletów świadczył o tym, że istota była Dralem. Niektóre wykopane kości sprawiały wrażenie wyszczerbionych albo nawet połamanych. Tymczasem jedna z informacji, którą Jacen bardzo dokładnie zapamiętał po przeczytaniu książki, dotyczyła tego, jak archeolodzy traktowali wykopane szkielety. Przywiązywali do nich zawsze duże znaczenie, ponieważ kości mogły ujawnić całą prawdę o cywilizacji zamierchłych czasów. Ci badacze zachowywali się wszakże, jakby nie zwracali na szkielety żadnej uwagi.

Dobrze chociaż, że w ogóle wykopali jakieś kości. Oglądając je, Jacen czuł dziwny dreszcz emocji. Trochę się bał, kiedy patrzył na wyszczerzone zęby i puste oczodoły dawno zapomnianych czaszek.

Prawdę mówiąc, nawet niezbyt długo miał okazję im się przyglądać. Generał Yarar zachowywał się, jakby nie miał czasu. Zachęcał wszystkich, aby od razu przechodzili do następnego pomieszczenia. Przy okazji zawsze chełpił się, jak szybko jego podwładni potrafią uprzętać takie ilości ziemi i kamieni, ile kosztuje ich wysiłek i ile wykopaliby, gdyby drążyli tak wielką dziurę pionowo w głąb gleby.

Właśnie skręcił za kolejny róg i powiódł gości jeszcze jednym korytarzem, absolutnie niczym nie różniącym się od wszystkich poprzednich. Z początku Jacen i jego rodzeństwo starali się iść, a raczej biec na czele grupy. Raz po raz wyprzedzali pozostałych uczestników wyprawy, żeby wcześniej niż inni obejrzeć to i owo. Teraz jednak pociechy Leii i Hana szły jako ostatnie. Zmęczone i znudzone, wręcz powłóczyły nogami. Jacen starał się nie tracić roidziców z oczu, a Jaina i Anakin usiłowali dotrzymać mu kroku.

Mimo to, kiedy starszy chłopiec skręcił za następny róg, przekonał się, że nikt za nim nie podąża. Natychmiast zawrócił, żeby stwierdzić, co się stało.

Zobaczył znieruchomiałego Anakina. Chłopczyk wpatrywał się w jakiś punkt dna korytarza. Mruczał coś do siebie, a stojąca obok niego Jaina badawczo mu się przyglądała.

- Co on robi? - zapytał Jacen.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Nie bardzo wiem - powiedziała. - Doszedł do tego miejsca i nagle stanął jak wryty, po czym coś zaczął mówić do dna tunelu.

- Odpowiedziało mu? - zainteresował się Jacen.

Chyba nie żartował, a przynajmniej nie do końca. Jeżeli miało się do czynienia z Anakinem, można było się spodziewać znacznie dziwniejszych rzeczy.

- Jeszcze nie - odparła z równą powagą Jaina.

Bliznięta uważnie obserwowały młodszego brata. Zastanawiały się, co zamierza albo co zrobi. Wiedziały, że z pewnością będzie to coś o wiele ciekawszego niż wszystko, co mógłby im powiedzieć generał Yarar na temat ilości uprzętniętej ziemi.

- Tam! - oznajmił nagle Anakin, po czym wyciągnął rękę w kierunku przeciwnym do tego, w którym udali się dorośli. Odwrócił się i pobiegł w tamtą stronę, nie

przystając badawczo obserwować dna korytarza. Jacen i Jaina spojrzeli po sobie i jak na komendę równocześnie wzruszyli ramionami, po czym puścili się za młodszym bratem.

- Anakinie! - zawołał Jacen. - Dokąd biegniesz? Co się stało?

- Tam! - powtórzył chłopczyk. - Pod nami.

- Pod dnem... tunelu? - zdziwił się Jacen. Sprawiał wrażenie zdyszanego, jakby zmęczonego pogonią za bratem. - Co tam jest? Jakiś kabel albo coś w tym rodzaju?

- Pod nami! oznajmił stanowczo Anakin. - Biegnie wielka potężna siła!

Nie ustawał w biegu, jakby podążał śladami czegoś niewidzialnego. Dotarł do następnego skrzyżowania, po czym skręcił tak niespodziewanie, że bliźnięta omal go nie minęły. Kiedy w końcu go dogoniły, chłopczyk zbiegał po łagodnej pochylni wiodącej na jeszcze niższy poziom podziemnego labiryntu.

- Czego on szuka? - zapytała Jaina, zwracając się do brata bliźniaka.

Jacen pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Mimo to cieszą się, że nie widzi tego nasz przyjaciel generał. Podejrzewam, że ci goście czegoś poszukują... i dobrze wiedzą, czego. Mam przeczucie, że Anakin jest bliski odnalezienia tego czegoś, a może nawet już je odnalazł.

Qiunine-Ekstoo sunął nad dnem tunelu, wykorzystując siłę repulsorów. Czuł się zapomniany i niemal bezużyteczny, ale nadal podążał za resztą członków wyprawy. Doskonale wiedział, że roboty i androidy powinny być - zawsze i wszędzie - wykorzystywane do granic swoich możliwości. Tymczasem jego nieprawdopodobnie skomplikowane urządzenia marnowały się we wszechświecie, gdzie pozostawało jeszcze tyle do zrobienia. Qiunine uważał ten fakt za coś graniczącego z moralną zniewagą.

Najgorsza ze wszystkiego była jednak świadomość, że bez sensu włócił się za całą grupą karmioną mnóstwem bezsensownych informacji. W dodatku ich gospodarz udawał, że w ogóle nie zauważa pana Ebrihima. Qiunine nigdy nie lubił - podobnie jak chyba wszystkie inne inteligentne automaty - lekceważącego traktowania, ale chyba nie istniało już nic gorszego od poczucia, że jest ignorowanym robotem ignorowanego właściciela. Z pewnością ten zadufany w sobie przewodnik, generał Yarar, zaliczał się do grona ludzi hołdujących całkowicie irracjonalnemu przekonaniu o wyższości istot ludzkich nad wszystkimi pozostałymi. Zapewne, gdyby mógł, w ogóle nie zauważałby pana Ebrihima. W takiej samej sytuacji znajdował się również nieszczęsny Wookie.

Qiunine pomyślał, że jeżeli chodziło o niego samego, był traktowany chyba nawet gorzej niż którekolwiek spośród dzieci.

Nagle uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu dzieci nie podążają za resztą grupy. Przez pełną dziesiątą część sekundy zastanawiał się, czy nie podnieść alarmu, ale później uznał, że byłoby to nierozsądne. Pan Solo wytłumaczył mu, że sytuacja jest co najmniej niejasna i skomplikowana. Może istniał logiczny powód, dla którego dzieci odłączyły się od pozostałych uczestników wyprawy? Może rodzice polecieli im, aby czegoś dowiedziały się albo coś odnalazły? Z pewnością gospodarz nie byłby

zachwycony, gdyby się zorientował, że pociechy przywódczyni Nowej Republiki zapuściły się tam, dokąd nie powinny.

Nie. W końcu dysponował przecież bardzo czułymi wykrywaczami i skanerami. Najwyższy czas, żeby zrobił z nich użytek.

Ostrożnie zwolnił i pozwolił, żeby reszta grupy zniknęła za najbliższym zakrętem korytarza. Później odwrócił się, wysunął czujniki z gniazd w obudowie i podążył w przeciwną stronę. Równocześnie uruchomił molekularny wykrywacz zapachów i kierunkowy detektor śladowych różnic temperatury. Już miał przystąpić do zbierania i analizowania otrzymany informacji, kiedy przyszło mu namyślić, żeby skierować narząd wzroku na dno korytarza. Ślady stóp. Ślady stóp, wyraźnie odcisnięte w wilgotnym, miękkim dnie wydrążonego tunelu. Czując coś w rodzaju umiarkowanej frustracji, robot wciągnął czujniki do wnętrza korpusu. Jakież sens miało instalowanie najnowocześniejszych, superczułych urządzeń, skoro tak rzadko zdarzały się okazje do ich używania?

Przyspieszył i skierował się w głąb tunelu.

Anakin biegł teraz jeszcze szybciej. Prawdę mówiąc, gnał, ile sił w nogach. Pędził ponurymi tunelami niższego poziomu podziemnego labiryntu. Komory, które mijał, były chyba jeszcze wilgotniejsze, bardziej zatechłe i ciemniejsze niż na wyższej kondygnacji. Z pewnością ten, kto instalował oświetlenie, musiał się liczyć z wydawanymi kredytami.

W każdym następnym pomieszczeniu i za każdym następnym zakrętem panowały chyba coraz większe ciemności. Wszystko wskazywało jednak na to, że malec wcale się tym nie przejmuje. Biegł dalej i nie przestawał wpatrywać się w dno korytarza. Jacen i Jaina starali się, jak mogli, by nie stracić go z oczu.

Nagle chłopczyk przystanął tak raptownie, że bliźnięta wpadły na niego i omal go nie przewróciły. Kiedy się rozejrzały, stwierdziły, że stoją pośrodku kolejnego odcinka mrocznego korytarza, absolutnie niczym nie różniącego się od wielu innych, które pokonali do tej pory. Ale Anakin najwyraźniej widział jakąś różnicę. Dosłownie aż podskakiwał z podniecenia.

- To tu! - mrucał do siebie. - To tu! To tu! Muszę...

Nagle umilkł i przestał podskakiwać. Kucnął na środku tunelu i wyciągnął wskazujący palec prawej dłoni, po czym wymierzył go w dno korytarza.

- To tu - szepnął tak cicho, że bliźnięta z trudem go usłyszały. - I biegnie w górę...

Wstał i pochyłony, trzymając wskazujący palec jakieś dziesięć centymetrów nad dnem tunelu, podszedł do ściany. Potem powoli wyprostował się i, nie przestając pokazywać czegoś na ścianie, uniósł rękę wysoko nad głowę.

- Pokazuje coś - szepnęła Jaina. - Śledzi coś, co ukryto w tej ścianie.

- Ta-a, ale co? - odparł również szeptem Jacen. - I gdzie to się kończy?

Tymczasem Anakin znieruchomiał, ale nie przestał pokazywać na ścianie czegoś, co chyba znajdowało się dobre piętnaście centymetrów powyżej zasięgu jego palców. Później kilka razy podskoczył, starając się to coś dotrzeć, ale nadaremnie. Odwrócił

się w stronę bliźniąt i popatrzył na Jacena. Chłopiec odniósł wrażenie, że braciszek dopiero teraz uświadomił sobie fakt obecności rodzeństwa.

- W górę - powiedział. - Muszę dostać się w górę. Niech ktoś z was weźmie mnie na barana.

Jaina ukłękła obok młodszego brata i pozwoliła, żeby wspiął się na jej plecy. Starając się zachować ostrożność, wstała, ale i tak Anakin trochę się zachwiał, kiedy postąpiła krok ku ścianie, żeby nie stracić równowagi.

- Jeszcze trochę bliżej odezwał się Anakin. - Jeszcze. Jeszcze. Stój. Dobrze. Teraz w lewo... Nie, w prawo, w prawo. Nie, nie, nie tak daleko. W lewo, w lewo... Stop! Dobrze, dobrze. Nie ruszaj się.

- Jacenie, co on robi? - zapytała dziewczynka. - Nic nie widzę.

- Przyłożył otwartą dłoń do ściany - odparł chłopiec. - A teraz ją przyciska. Z całej siły. O rety!

Ze ściany posypał się grad kamyków i grudek ziemi.

- Wspaniale - mruknęła Jaina. - Mam w ustach pełno piasku. - Zaczęła głośno parskać. - Co się stało?

- Odnalazł jakiś panel - odparł Jacen. - W rodzaju tych z klawiaturami, tylko zupełnie inny. W środku jest coś, co wygląda jak szachownica. Ma dwadzieścia pięć małych zielonych guzików, po pięć w pięciu rzędach. Kiedy posypał się piasek, w ścianie otworzyła się jakaś klapka, a za nią był ukryty ten niewielki panel. Zaledwie drzwiczki się otworzyły, szachownica rozjarzyła się purpurowym blaskiem.

- Zapaliły się światła? - zapytała niedowierzająco Jaina. - Czy chcesz powiedzieć, że po tylu latach nadal działa jakieś źródło zasilania?

- Chyba tak - odparł chłopiec. - Możliwe, że właśnie to śledził Anakin.

- A co teraz robi? - zaniepokoiła się dziewczynka. - Anakinie, pospiesz się, bez względu na to, co robisz. Zaczynam tracić siły.

- Jeszcze sekundę - odpowiedział z góry chłopczyk. - Prawie skończyłem.

- Zapewne próbuje się zorientować, który guzik przycisnąć - domyślił się Jacen. - To wszystko staje się coraz dziwniejsze.

Tymczasem Anakin wpatrywał się jak urzeczony w zielone guziki umieszczone na płonącej purpurowym blaskiem szachownicy. Po kilku sekundach szepnął coś do siebie i przystąpił do ustalania kolejności przycisków.

- W porządku - powiedział w końcu. - Do dzieła!

Zaczął przyciskać guziki, jeden po drugim. Po przyciśnięciu każdego gaśla jedna zielona lampka.

- Do jakiego dzieła? - zaniepokoiła się Jaina. - Jacenie, co on robi?

- To, w czym jest najlepszy - odparł jej brat bliźniak. - Przyciska guziki.

- Skończone! - oznajmił triumfująco Anakin. - Teraz możesz mnie puścić.

Jaina ochoczo spełniła jego życzenie.

- I co teraz? - zapytała. - Co się ma wydarzyć?

Zanim skończyła, w korytarzu rozległ się głośny zgrzyt, a potem dudnienie ogromnego mechanizmu. Po chwili cały dziesięciometrowy odcinek ściany, obok której

stali, zaczął powoli opadać, aż w końcu schował się w dnie tunelu. Zagrzecgotały spadające kamyki, a w powietrze uniosła się chmura kurzu i pyłu.

Za sztuczną ścianą widniała ogromna srebrzysta metalowa płyta. Sprawiała wrażenie litej i nie uszkodzonej. Nagle w pobliżu odcinka ściany, który się nie zapadł, ukazała się szczelina. Po chwili spora część połyskującej płyty zaczęła się majestatycznie otwierać. Wyglądało to, jakby ku dzieciom sunęły ogromne metalowe drzwi skarbcza banku. Wszystkie natychmiast odskoczyły, żeby zejść z drogi.

Kiedy masywna płyta znieruchomiła, wewnątrz znajdującego się za nią tunelu zalało jaskrawe światło. Blask był tak intensywny, że dzieci musiały zmrzyć oczy i zaczekać, aż się przyzwyczają.

Otworzywszy je wreszcie, ujrzały długi korytarz, którego ściany, sklepienie i dno wykonano z takiego samego srebrzystego metalu. Wyglądało na to, że drugi koniec tunelu nie został zamknięty żadną płytą ani drzwiami, ale znajdował się tak daleko, że nie mogły być tego pewne. Nigdzie nie dało się zauważyć żadnych źródeł jaskrawego światła, mimo to metalowy korytarz był rzeświście oświetlony. Dzieci spędziły kilka chwil, stojąc nieruchomo i tylko wpatrując się w głąb korytarza. Wiedziały, co mają zrobić, ale zazwyczaj wiedzę od działania oddzielał cały ocean odwagi.

- Co to jest, Anakinie? - zapytała Jaina, zwracając się do młodszego brata.

Chłopczyk wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział. - Poczułem, że tam jest, podążałem za tym i znalazłem. Ale nie mam pojęcia, co to.

- No cóż - odezwał się Jacen tonem, w którym brzmiało o wiele więcej ufności we własne siły niż chłopiec naprawdę odczuwał. - Jeżeli będziemy tutaj tkwili, nigdy się nie dowiemy. Chodźmy!

Bliźnięta wzięły młodszego brata za ręce, po czym cała trójka przekroczyła próg otwartych wrót i ruszyła jaskrawo oświetlonym korytarzem.

Tunel miał ponad sto metrów długości, a mali poszukiwacze przygód stąpali ostrożnie i powoli. Kiedy wreszcie dotarli do końca, przystanęli jak wryci. Spojrzeli w dół i zobaczyli coś, czego Jacen jeszcze nigdy w życiu nie widział. Nigdy nie oglądał niczego, co chociażby to przypominało.

Lśniący korytarz kończył się pomostem widokowym o długości i szerokości mniej więcej pięciu metrów. Metalowa platforma wystawała ze ściany szybu, ale nie miała poręczy, bariery ani jakiegokolwiek innego zabezpieczenia.

Stojąc na niej, żałowało się, że nie miała. Wystawała z górnej części niewiarygodnie głębokiego szybu - kończącego się przynajmniej pięćset metrów niżej wykonanego z takiego samego srebrzystego metalu. Szyb miał kształt zakończonego spiczastym stożkiem gigantycznego walca, a platformę widokową umieszczono niemal na samej górze, w pobliżu wierzchołka.

Jacen puścił dłoń młodszego brata, po czym uklęknął i ostrożnie, pełzną na czworakach, zbliżył się do krawędzi pomostu. Wysunął głowę, spojrzał w dół... i natychmiast z trudem przełknął ślinę.

Stwierdził bowiem, że platformy, na której stali, nie podtrzymywały żadne wsporniki ani dźwigary. Wyglądało na to, iż pomost trzyma się tylko na wąziutkim kawałku chodnika wystającym z metalowego korytarza, którym tu przyszli.

Głęboko, na samym dnie zobaczył inne spiczasto zakończone cylindry o wiele mniejsze niż sam szyb, lecz mimo to niezwykle duże. Pojedynczy, spoczywający pośrodku, otaczało wianuszkami sześć pozostałych. Wszystkie miały takie same proporcje długości do średnicy jak metalowa studnia.

- Co, na miłość przestworzy, tutaj robicie, dzieciaki? - rozległ się nagle gderliwy, syntetyzowany głos zdziwionego robota.

Zaskoczony Jacen drgnął, jakby chciał wyskoczyć ze skóry. Rzecz jasna, omal nie spadł z platformy. Kiedy uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, żeby runął w przepaść, musiał na kilka chwil zamknąć oczy. Poczuł, że drży, i położył się płasko na metalowej płycie. Leżał tak długo, aż się uspokoił.

- Witaj, Qiunine - powiedział. - Dziękuję, że przestraszyłeś mnie tak, iż omal nie straciłem życia.

Czołgając się na czworakach, wycofał się na środek platformy i dopiero tam poczuł się na tyle bezpieczny, że najpierw usiadł, a potem nawet stanął.

- Czy to szczerze podziękowanie, czy też może jeszcze jedna próbka twojego sarkazmu? - zapytał robot.

- Och, jasne, że to drugie - odparł chłopiec. - Z całą pewnością sarkazm. Czy od dawna nas poszukujesz? Inni też nas szukają, czy tylko ty?

- Tak, poszukuję was od dość dawna - przyznał automat. - I nie, nikt z pozostałych nie wie, że odłączyliście się od reszty grupy. A przynajmniej nie wiedział, kiedy wyruszałem na poszukiwania.

- To dobrze - orzekł wyraźnie uspokojony Jacen. - Jaino, Anakinie, musimy się stąd wynosić.

- Dopiero przyszedliśmy - zaprotestował Anakin.

- Wiem, wiem. Ja także chciałbym poświęcić więcej czasu na dokładniejsze zbadanie tego miejsca. Obawiam się jednak, że im dłużej tu zostaniemy, tym bardziej wzrosną szanse, iż dorośli zorientują się, że zniknęliśmy. Będą nas szukać... a wówczas znajdą to miejsce. Chcesz, żeby generał Jakmutam...

- Yrarar - podpowiedział usłużnie Qiunine.

- Właśnie, Yrarar. Bez względu na to, jak często i szeroko się uśmiecha, to paskudny facet. Czy chciałbyś, żeby jego ludzie znaleźli to... nie wiem, co to, ale czy chciałbyś, żeby się o tym dowiedzieli? Idę o zakład, że właśnie tego poszukują. I jestem pewien, że to coś bardzo dużego, niebezpiecznego i ważnego.

Anakin przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu energicznie pokręcił głową na znak, że nie chce.

- Aha - powiedział. - Nie. Masz rację. Nie możemy dopuścić, żeby je znaleźli.

- A zatem musimy stąd wyjść - podsumował Jacen. - Czy potrafisz zrobić tak, żeby płyta metalowych wrót i sztuczna ściana znalazły się znów na poprzednich miejscach?

- Jasne - oznajmił bardzo pewnie chłopczyk. - Kiedy wyjdziemy, wrócą same.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Jaina.

Anakin spojrział na siostrę. Na twarzy malca malowało się zdumienie.

- Wiem i tyle. Po prostu to czuję.

- Ale... - upierała się dziewczynka.

- Później, Jaino. Później - przerwał Jacen. - Posłuchajcie oboje. I ty także, Qiunine. Nie powiemy o tym nikomu ani słowa. Zgoda? Jeszcze nie teraz. Możliwe, że kiedy wrócimy na pokład grawilotu albo nawet znajdziemy się znów w wili, ktoś zechce nas podglądać albo podsłuchiwać. Zaczekamy, aż dotrzemy tam, gdzie pocujemy się bezpieczni, a wówczas o wszystkim porozmawiamy. Dopiero wtedy zdecydujemy, co z tym zrobić. Zgoda?

Jaina kiwnęła głową na dowód, że się zgadza. Po chwili taki sam gest, tylko trochę mniej pewnie, powtórzył Anakin. Spojrzenie całej trójki spoczęło na robocie.

- Och, ja także się zgadzam - oznajmił Qiunine. - Ale wydaje mi się, że byłoby najlepiej, gdybym zarejestrował wszystko, co tu widzę, zanim stąd wyjdziemy. Możliwe, że później, kiedy będziemy o tym rozmawiali, zechcemy jeszcze raz obejrzeć, jak to wyglądało.

- Słusznie - zgodziła się Jaina. - Zarejestruj wszystko w pamięci, ale staraj się pospieszyć. Musimy się stąd wynosić. Chodźmy, Anakinie.

Chłopczyk posłusznie wyciągnął prawą rękę i ujął lewą dłoń siostry, a później podał lewą starszemu bratu. Po chwili wszyscy troje spieszyli jaskrawo oświetlonym srebrzystym korytarzem. Oiunine spędził kilka następnych sekund, unosząc się nad metalową platformą. Raz czy dwa obrócił się wokół osi, aby zarejestrować widok całego szybu. Nie ośmielił się jednak zbliżyć do krawędzi platformy bardziej niż przedtem Jacen. Siła nośna repulsorów wystarczała, żeby mógł unosić się najwyżej kilka metrów nad powierzchnią. Zainstalowane urządzenia nie dysponowały większą mocą i dlatego, gdyby automat wysunął się poza obręb płyty, runąłby jak kamień.

Dzieci czekały na niego tuż za progiem wrót srebrzystego korytarza. Obserwowały, jak zbliża się do nich, wykorzystując całą siłę nośną repulsorów.

Później wszyscy czworo skupili się kilka metrów dalej, pod ścianą mrocznego i wilgotnego tunelu podziemnego labiryntu. Chcieli mieć pewność, że nic im się nie stanie, kiedy ciężkie metalowe wrota zaczną się zamykać.

Jacen podeszedł do panelu z szachownicą guzików.

- Co mam robić, Anakinie? - zapytał.

- Przyciśnij ten w środku i przytrzymaj przez trzy grimmale - odparł chłopczyk.

- A co to są, do licha, trzy grimmale?

- Nie wiem - odparł rozbrajająco szczerze Anakin. - Ale właśnie tyle czasu powinienem go przyciskać.

Jacen westchnął i pokręcił głową. Możliwe, że gdzieś indziej we wszechświecie żył ktoś, kto miał dziwniejszego brata. Jeżeli tak, chłopiec bardzo chciałby poznać owego gościa. Wyciągnął wskazujący palec i dźgnął środkowy guzik na szachownicy. Wszystkie natychmiast zapłonęły zielonym blaskiem. Jacen przyciskał dopóty, dopóki nie usłyszał łoskotu uruchamianej maszyny. Po chwili płyta wrót skarbca zaczęła się

zamykać. Dopiero wówczas chłopiec puścił guzik i cofnął się o krok albo dwa w kierunku przeciwniejszej ściany.

Drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie, po czym rozległ się szcęk blokowanego zamka. Z dna tunelu wyłoniła się sztuczna ściana. Unosiła się, aż z głuchym hukiem uderzyła o sklepienie. W następnej sekundzie zatrzasnęły się drzwiczki panelu kontrolnego. Dopiero wtedy Jacen zauważył, że z zewnątrz cała powierzchnia niczym nie różni się do ściany. Srebrzysty korytarz i stożkowato zakończona cylindryczna, gigantyczna komora zniknęły, jakby nigdy nie istniały.

- Teraz musimy jak najszybciej wrócić, tak by nikt nie zauważył, że zniknęliśmy - odezwał się Jacen.

- Zaczekaj chwilę! - sprzeciwiła się Jaina. - Oiunine... Jakim cudem nas odnalazłeś?

- Czy to nie jest oczywiste? - obruszył się automat.

- Nie pytałabym, gdyby było - odrzekła dziewczynka. - Odpowiedz!

- Wasze ślady - oznajmił Qiunine. - Uczyniłem to, co wydawało się najbardziej oczywiste, i podążyłem za waszymi śladami.

- Och, ślady! - powtórzyła Jaina, spoglądając pod nogi. - Chłopaki Yarara także po nich pójda, a wówczas dowiedzą się, gdzie szukać.

- Może nie - powiedział Jacen. - Trzeba je tylko pozacierać. Odejdźcie trochę dalej, dobrze? Zamierzam czegoś spróbować.

Kiedy upewnił się, że wszyscy posłusznie odeszli kilka metrów dalej, skierował uwagę na pokryte odciskami butów dno tunelu. Pomyślał, że wujek Luke pozacierałby ślady bez trudu i nawet na jego czoło nie wystąpiłyby krople potu.

Posługując się Mocą, zmusił drobiny kurzu, żeby zatańczyły i pokryły dno tunelu na wysokości sztucznej ściany. Kilka chwil nic się nie działo, ale potem pojawił się obłok kurzu. Uniósł się, powiększył, zawirował... i nagle wszystkie ślady zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy kurz opadł, dno korytarza wyglądało, jakby nie stąpały po nim niczyje stopy.

Teraz, kiedy opanował tę sztukę, Jacen cofnął się trochę w kierunku wlotu tunelu, po czym spróbował swoich sił na następnym odcinku korytarza.

Osiągnął równie zadowalający rezultat. Jego siostra bardzo szybko zorientowała się, o co chodzi, i przyłączyła się do zabawy. Bliźnięta doskonale wiedziały, jak współdziałać. Pomagając jedno drugiemu, wygładziły za sobą co najmniej kilkusetmetrowy odcinek chodnika.

Nie ustając w pracy, wspieły się pochylnią na wyższy poziom i właśnie kierowały się do miejsca, w którym odłączyły się od dorosłych, kiedy ujrzały, że zza zakrętu tunelu wybiega ich matka. Ujrawszy dzieci, stanęła jak wryta.

- Tu jesteście! - rzekła z ulgą, której nawet nie starała się ukrywać. Wyczuwałam waszą obecność za pośrednictwem Mocy i wiedziałam, że nie stało się wam nic złego, ale nie mogłam was odnaleźć. Gdzie byliście?

- Och, tylko poszliśmy na spacer z Anakinem - odparł pospiesznie Jacen, mając nadzieję, że zabrzmi to wystarczająco beztrzesko. - Qiunine nas odnalazł i powiedział, żebyśmy wrócili.

Leia przeniosła spojrzenie na robota.

- Dobra, robota, Qiunine - powiedziała. - Cieszę się, że jesteś z nami. A teraz poszukajmy pozostałych, zanim nasz czarujący przewodnik wyda swoim ludziom rozkaz przetrząśnięcia tego labiryntu od góry do dołu. Chodźmy.

Ujrawszy, że matka odwraca się plecami i rusza z powrotem korytarzem, bliźnięta wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Bardzo dobrze. Tym razem się udało.

Przynajmniej na razie.

Leia wyczuła jednak, że dzieci nie idą za nią. Odwróciła się znowu i przynagliła je pełnym zniecierpliwienia gestem. Pospieszcie się! - rzekła. - Nie możemy dopuścić, żeby na nas czekali.

Jacen natychmiast pomyślał o ukrytych gigantycznych urządzeniach, które przecież czekały o wiele dłużej. Lekko uśmiechnął się do własnych myśli. Miał przeczacucie, że już nie będą musiały czekać zbyt długo.

- Idziemy, mamó - powiedział, po czym podbiegł, żeby nie po zostać w tyle.

ROZDZIAŁ

15

W DRODZE

Luke zajrzał do kabiny Landa Calrissiana i przekonał się, że ciemnoskóry przyjaciel znów spogląda na ekran komunikatora holograficznego.

- Jeszcze się nie zdecydowałeś? - zapytał.

Lando obrócił się na fotelu i obdarzył Mistrza Jedi pełnym wyrzutu spojrzeniem.

- To nie takie proste - powiedział. - Nieczęsto zdarza mi się zaczynać rozmowę z kobietą, która mnie w ogóle nie zna.

- Przecież robisz to przez cały czas - zauważył Luke, po czym wszedł do kabiny i usiadł na łóżku. - Jeżeli chodzi o czarowanie Karii Ver Seryan, poradziłeś sobie wręcz doskonale.

- Ta-a. Oczarowałem ją tak bardzo, że omal nie postradałem życia. A zresztą, wówczas to było coś innego. Siedziałem przed nią, widziałem ją, prowadziłem z nią rozmowę... Czuję, że jestem mile widziany. Zwracałem uwagę na to, jak siadała i wstawała, jak trzymała głowę i jak na mnie patrzyła... na milion małych istotnych drobiazgów, które zdradzały mi, że nie jestem obojętny. Tymczasem nie zapowiedziany hologram może zostać uznany za nietakt... pogwałcenie czyjśgo spokoju ducha. Przecież nic nie wiem o tej Tendrze Risant. Co właściwie mam jej powiedzieć?

- Możesz zacząć od: „Dzień dobry, jak się pani miewa”, a później zorientować się, jak potoczy się dalsza rozmowa - zasugerował Skywalker.

- Dobra rada... Prosto z ust Mistrza Jedi, znanego bawidamka i Luke'a Skywalkera - odciął się Lando.

- No dobrze, niech ci będzie, może nie jestem słynnym na całą galaktykę uwodzicielem - odparł Luke. Nigdy zresztą tego nie twierdziłem. Ale ty tak. Zaczynaj tę rozmowę. Wstał, podszedł do przyjaciela i klepnął go po ramieniu. - Koniec ze zwlekaniem.

Po czym odwrócił się i wyszedł z kabiny.

- Łatwo ci mówić - mruknął Lando, mimo iż wiedział, że przyjaciel ma rację. Jeżeli w ogóle zamierzał porozmawiać, równie dobrze mógł zacząć właśnie teraz.

Włączył urządzenie i zaczął wybierać numer Tendry Risant, chyba setny raz tego popołudnia. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, wybrał go do końca, a potem siedział nieruchomo i czekał na połączenie.

Komunikator holograficzny obudził się do życia i na ekranie pojawiło się oblicze młodej kobiety o pociągłej, inteligentnej twarzy, jasnej karnacji skóry i lekko wystających kościach policzkowych.

- Słucham? - zapytała.

- Dzień dobry - odezwał się Lando. Obawiał się, że jego serce bije tak donośnie, iż odgłosy uderzeń wychwyci mikrofon urządzenia. - Nazywam się Lando Calrissian. Chciałbym rozmawiać z lady Tendra Risant.

Na twarzy kobiety pojawiał się serdeczny, szczery uśmiech.

- Kapitan Calrissian! Jak to miło, że postanowił pan skontaktować się ze mną przed przylotem. To ja jestem Tendra Risant.

Lando uśmiechnął się z ulgą. Jego rozmówczyni nie przerwała połączenia, a co najważniejsze, nie miała rogów wyrastających po bokach głowy. Doskonały początek.

- Jestem zachwycony, że mogę panią poznać, lady Tendro - powiedział.

- A ja pana - odparła kobieta, nie przestając się uśmiechać. - Kiedy przylatuje pan na Sakorię?

- Właśnie jestem w drodze, lady Tendro - odrzekł Lando.

- Proszę mówić do mnie po imieniu - odparła jego rozmówczyni. - Wprost nie mogę panu opisać, jak się cieszę, że już niedługo pana zobaczę, kapitanie Calrissian.

- Moi przyjaciele mówią do mnie Lando - odparł śniadolicy mężczyzna. - Żywię nadzieję, że zechcesz przyłączyć się do ich grona.

Tendra Risant uśmiechnęła się chyba jeszcze serdeczniej.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości... Lando - odrzekła.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech. Zastanawiał się, jak mógł myśleć, że rozmowa okaże się kłopotliwa.

- Bardzo się z tego cieszę, Tendro - powiedział. - Naprawdę miło mi to słyszeć.

Wszechświat dał o sobie znać milionami ognistych błysków, które nagle eksplodowały wokół „Ognistej Jade”. Mara chwilę przyglądała się, jak smugi świetlne gwiazd przemieniają się w punkciki. Później przed dziobem jej korwety pojawił się system Korelii.

- Na kursie i we właściwym punkcie - zameldował pilot. - Koreliańska Kontrola Ruchu Powietrznego potwierdziła, że nas widzi. Lecimy ku Korelii dokładnie środkiem przydzielonego korytarza.

- Doskonale, panie Nesdin - odezwała się Mara. - Panie Tralkpha - dodała, zwracając się w stronę nawigatora. - Ponieważ w tej chwili nie zajmuje się pan niczym innym, proszę przeprowadzić dokładne obserwacje całego systemu.

Niewątpliwie oficer już rozpoczął skanowanie... prawdą mówiąc, Mara Jade byłaby rozczarowana i zirytowana, gdyby Kalamarianin nie wykazał się inicjatywą. Musiała jednak wydać rozkaz, choćby po to, aby uczynić zadość wszelkim formalnościom.

- Tak jest, pani kapitan - odparł Tralkpha. - Nasza specjalna aparatura pozwoliła na wyciągnięcie bardzo ciekawych wniosków.

„Ognista Jade” dysponowała wyjątkowo czułymi, najnowocześniejszymi skanerami, za których posiadanie dałby sobie odciąć prawą rękę kapitan chyba każdej jednostki Nowej Republiki. Urządzenia potrafiły przetwarzać informacje uzyskane w chwili wyskakiwania z nadprzestrzeni i przedstawiać w postaci pojedynczego obrazu obejmującego zasięgiem cały system gwiazdny. Funkcjonowały zdumiewająco dokładnie i niezawodnie, dzięki czemu pokazywały szczegółowe obrazy... czasami. Musiały mieć zapewnione odpowiednie warunki pracy. Na szczęście wyglądało na to, że - przynajmniej tego dnia - warunki im sprzyjały.

- Co pan uzyskał? - zapytała Mara.

- Nic, proszę pani. W przestworzach wykryłem tylko kilka statków.

- Co w tym takiego dziwnego albo ciekawego?

- Jednostek jest o wiele, wiele mniej niż się spodziewałem, nawet biorąc pod uwagę katastrofalną sytuację gospodarczą systemu, pani kapitan - odparł Tralkpha. - Żadnych dużych okrętów czy chociażby wojskowych patrolowców. Tu i tam jeden czy dwa pasażerskie wahadłowce i dwa lub trzy zdążające ku Korelii transportowce towarowe. Wszystkie inne, jakie widzą, to jednostki dyplomatyczne, zapewne transportujące delegatów na konferencję... a ich również nie ma aż tyle, ilu mógłbym oczekiwać. Wygląda na to, że większość światów postanowiła nie przysyłać swoich przedstawicieli.

- Chyba powinnam być tym zdziwiona - rzekła Mara - ale muszę przyznać, panie Tralkpha, że nie jestem. W tych stronach zanoszą się na gwałtowną burzę - ciągnęła - a przeczuwając, że lada chwila może się ona rozpuścić, nikt nie chce znajdować się z daleka od bezpiecznego kosmoportu.

- Czy nie czas kończyć tych wakacji? - zapytał Han.

Zmrużył oczy, jakby pragnął przeniknąć ciemności koreliańskiej nocy. Daleko przed dziobem grawilotu iskrzyły się światełka Koronetu. Wnętrze maszyny było również pogrążone w ciemnościach i ciszy. Od czasu do czasu zza pleców Hana dawało się słyszeć posapywanie śpiących dzieci.

Leia, siedząca obok męża w fotelu drugiego pilota, lekko się uśmiechnęła. Ona także sprawiała wrażenie sennej.

- Mniej więcej - powiedziała. - Kiedy tylko przylecimy do domu.

- Bez względu na to, gdzie by to było - zauważył Han.

Leia roześmiała się.

- To prawda, ostatnio często się przenosimy - przyznała. Rozłożyła ręce na boki i wyprostowała się, a potem usiadła wygodniej w fotelu i stłumiła ziewnięcie. - No cóż, jeżeli musimy wyprowadzić się z willi, nie mam nic przeciwko temu, żeby naszym nowym domem została Korona. Przynajmniej nie będę się czuła taka bezbronna.

- No, nie wiem - stwierdził Han, nagle poważniejąc. - Możliwe, że Korona wygląda na bezpieczne miejsce, ale nie mam pojęcia, czy rzeczywiście będziemy tam bezpieczniejsi. Domyślam się jednak, że musimy się tam przeprowadzić z uwagi na

twój udział w konferencji. Gdybyśmy pozostali w willi, codzienne latanie tam i z powrotem okazałoby się bardzo uciążliwe. Nie mówiąc o tym, że musielibyśmy przelatywać nad miastem, a to nie zwiększyłoby naszego bezpieczeństwa. Prawdę mówiąc, cieszę się na myśl o tym, że przynajmniej chwilowo nie musimy niczego więcej oglądać ani zwiedzać.

Nagle gdzieś za plecami Hana rozległ się mrozący krew w żyłach ryk, po którym dał się słyszeć stłumiony odgłos uderzenia i cichy skowyt. Chewbacca, podobnie jak pozostali, drzemał w części rufowej grawilotu, trzymając na kolanach śpiącego Anakina. Ilekroć Wookiee zaczynał chrapać, chłopczyk budził się na tyle, żeby uderzyć Chewiego piąstką w kosmaty tors i w taki sposób nieco go uciszyć. Jacen i Jaina także spali w fotelach stojących w ostatnim rzędzie. Ebrihim, który skulony w kłębek zasnął u stóp Jacena, od czasu do czasu wydawał dziwne świszczące dźwięki. Nawet Qiunine-Ekstoo ograniczył do minimum dopływ energii do obwodów i podzespołów. Stał w samym kącie części rufowej grawilotu, a na jego korpusie nie płonęło żadne światełko... jeżeli nie liczyć małej bursztynowej lampki, która regularnie zapalała się i gasła.

Udając turystów, przemierzali wzdłuż i wszerz chyba cały główny kontynent Korelii. Poświęcili na to więcej dni niż Han potrafiłby zliczyć. Prawdę mówiąc, stracił nie tylko rachubę czasu, ale i miejsc, które oglądali. W jego pamięci zmieszały się wszystkie pieczołowicie przygotowane i wygłoszone przez Ebrihima komentarze i wyjaśnienia dotyczące tego, co akurat zwiedzali... Złazy się w jedno z niezliczonymi uzupełnieniami i poprawkami, jakich nie przestawał wtrącać Qiunine, ilekroć dochodził do przekonania, że jego właściciel zapominał o jakimś szczególe.

A zresztą, nawet gdyby Han nie brał pod uwagę zrozumiałego w takich sytuacjach zmęczenia, narastającego po zakończeniu wizyty w każdym następnym obiekcie albo miejscu, udawanie beztrudnych turystów przychodziło i jemu, i Leii, z coraz większym trudem. Zwłaszcza odkąd bliźnięta opowiedziały im o odkryciu, jakiego dokonał młodszy brat w podziemnym labiryncie, gdzie archeolodzy generała Yarara rzekomo prowadzili prace wykopaliskowe i badania. Później Han i Leia zapoznali się ze wszystkim dokładniej, kiedy Qiunine wyświetlił zarejestrowane obrazy. Nie mogło być żadnej wątpliwości. Robotnicy Yarara poszukiwali właśnie tego - bez względu na to, czym to było - a może nawet już owo coś odnaleźli. Ani Chewbacca, ani Ebrihim, ani nawet przemądrzały automat nie mieli najmniejszego pojęcia, jakiemu celowi mogły służyć tajemnicze urządzenia. Nikt jednak nie wątpił, że musiały odgrywać bardzo ważną rolę. W innym razie ludzie Yarara nie poświęcaliby na poszukiwania tyle energii i czasu.

Wszyscy zaś byli pewni, że wcześniej czy później wynikną z tego poważne problemy... Leia i Han utwierdzili się w przekonaniu, że ktoś usiłuje ich przestraszyć i w ten sposób nakłonić, aby jak najszybciej odlecieli. I właśnie dlatego - jeżeli nie z jakiegokolwiek innego powodu - było tak ważne, żeby pozostali. Pozostali i udawali, najlepiej jak potrafili, że absolutnie niczym się nie martwią ani nie przejmują.

Tak więc starali się dokładać wszelkich starań, aby nie zauważać - a przynajmniej nie dawać tego poznać po sobie - krążących przez cały czas nad nimi albo wokół nich

eskortowców lub kieszonkowych patrołowców koreliańskich Wojsk Obrony Planety. Ignorowali obecność czujnych strażników, bardzo dyskretnie obserwujących ich i chroniących... i wyrastających jak spod ziemi dosłownie w każdym muzeum, wesołym miasteczku i zabytkowym budynku, który odwiedzali. Udawanie, że ich nie widzą, przychodziło wszystkim z niemałym trudem.

Jedynym pozytywnym wnioskiem, jaki Han i członkowie jego rodziny wyciągnęli z faktu ich obecności, było przekonanie, że mogą darzyć funkcjonariuszy służb naziemnych Wojsk Obrony Planety niemal nieograniczonym zaufaniem. Han nie mógłby powiedzieć tego samego o personelu oddziałów kosmicznych WOP, ale nie wątpił, że agenci strzegący jego rodziny są uczciwi. Możliwe, że widział w życiu wielu funkcjonariuszy lepiej uzbrojonych i wyszkolonych niż oni, ale z pewnością nikogo, kto bardziej przykładałby się do pracy. Agenci WOP byli po prostu zbyt gorliwi, ostrożni i czujni, aby ich podejrzewać o udawanie.

Tak czy owak, doskonale wiedział, że już niedługo przestanie mieć z nimi do czynienia. Oto dobiegał końca ostatni dzień wakacji. Han przypuszczał, że nie jest pierwszym w historii ojcem cieszącym się na myśl o powrocie do normalnej pracy. Następnego dnia zaczynała się konferencja poświęcona problemom handlu, w związku z czym nad bezpieczeństwem członków jego rodziny mieli odtąd czuwać oficjalni strażnicy przywódczyni Nowej Republiki.

Jeszcze tego wieczoru wszyscy powinni wyprowadzić się z nadmorskiej rezydencji. Mieli polecieć prosto do Korony, gdzie odbywała się konferencja, i zamieszkać w specjalnie przygotowanych apartamentach.

Prawdę mówiąc, tę pierwszą noc mieli tam spędzić wszyscy z wyjątkiem głowy rodziny. Nie obyło się bez wykrętów, ale w końcu Han zdołał przekonać Leię, że powinien towarzyszyć pozostałym w drodze do Korony, ale potem powrócić do willi i spędzić w niej jeszcze jedną noc, żeby następnego dnia rano zabrać resztę bagaży i przedmiotów osobistego użytku. Wszystko wskazywało na to, że Leia doszła do wniosku, iż jej mąż pragnie jedynie spędzić tę noc w ciszy i spokoju, jakiego nieprędko zazna, gdy wpadnie w wir przyjęć dyplomatycznych i grzecznościowych pogawędek. Han uznał, że nie powinien wyprowadzać żony z błędu. Miał kilka prywatnych spraw, którymi musiał się zająć jeszcze tej nocy, a nie mógłby tego zrobić, gdyby ktoś mu towarzyszył.

Piętnaście minut później grawilot osiadł na płaskim dachu Korony. Dopiero wtedy Chewbacca i Ebrihim obudzili się, a Qiunine przesłał pełną moc do obwodów. Dzieci jednak nadal spały i wszystko wskazywało na to, że nieprędko się przebudzą. Han wziął na ręce Jacena, Leia Anakina, a Chewie Jainę. Przenieśli pociechy najpierw do kabiny turbowindy, a potem do apartamentów, usytuowanych na piętnastym piętrze dwudziestopiętrowego gmachu. Dzieci ocknęły się na tyle, żeby zdjąć ubrania, umyć twarze i zęby, i przebrać się w nocne koszule.

Wszyscy troje ponownie zasnęli, zaledwie znaleźli się w łóżkach i przytulili głowy do poduszek. Zadowolony Chewbacca kiwnął głową i ziewnął, ukazując przy

okazji garnitur naprawdę przerażającego uzębienia. Później wyszedł z pokoju, żeby Han i Leia mogli popatrzeć na pociechy.

- Są urocze, prawda? - odezwała się ich matka, obejmując męża. Oboje przyglądali się śpiącym, niewinnym i bezbronnym dzieciom. W tej chwili nie pamiętali o wszystkich troskach i zmartwieniach.

- O, tak - przyznał Han. - Tę cechę odziedziczyły po tobie i twoich przodkach. To wspaniałe dzieciaki. Urodziwe dzieciaki.

Leia oparła głowę na ramieniu męża.

- Uważaj na siebie tej nocy, dobrze? Chciałabym, żeby nasze dzieci miały ojca, kiedy obudzą się następnego ranka.

Han westchnął i poklepał żonę po ramieniu.

- Czasami nie wiem, dlaczego zadaję sobie tyle trudu, usiłując przekonać cię, żebyś się niczym nie martwiła - powiedział. - Tym razem nic chodzi o nic skomplikowanego ani niebezpiecznego. Po prostu muszę zrobić coś w taki sposób, aby nikt mnie nie zobaczył.

- I uważasz, że nie powinnam o tym wiedzieć? - zapytała Leia.

- Prawdopodobnie stanie się lepiej, jeżeli nie będziesz wiedziała - odrzekł Han. - Po pierwsze, nie wiemy, czy ktoś właśnie teraz nie usiłuje nas podsłuchiwać. Po drugie, wołę się zabezpieczyć, a zatem im mniej osób się o tym dowie, tym większe szanse, że mi się uda. A po trzecie, sam nie wiem, czy możemy na to liczyć, nawet jeżeli moja wyprawa zakończy się powodzeniem.

- Niech tak będzie - westchnęła Leia, ale ton jej głosu dowodził, że nie jest zachwycona. - Kocham cię i ufam ci. Rób, co uważasz za konieczne, aby nas jak najlepiej chronić.

- Hej, Wasza Łaskawość - powiedział Han, uciekając się do żartobliwego tytułu, którego używał w dawnych czasach. - Przecież cały czas nie zajmuję się niczym innym.

Leia roześmiała się cicho i spojrzała na męża.

- Zawsze byłeś dobrym kłamczuchem - powiedziała, po czym uściśnęła go i pocałowała.

Kiedy Han pożegnał Leię na dobranoc, udał się do apartamentu przydzielonego Chewbacce. Pomieszczenie znajdowało się na tym samym piętrze, w głębi korytarza. Zamiast posłużyć się zwiastunem domowym, cicho zapukał, ale i tak drzwi natychmiast się otworzyły. Okazało się, że kosmaty przyjaciel przewidział jego następne posunięcie. Han zdecydował zatem, że nie będzie próbował wywieść Wookiego w pole. Najciszej jak umiał, wślizgnął się do pokoju.

- Chewie - powiedział, zaledwie zdążył zamknąć drzwi za sobą. - Chciałem cię prosić, żebyś mi coś obiecał.

Wookiee przekrzywił głowę na bok i cicho zaskowyczał.

- Tak, oczywiście, że najpierw wyjaśnię ci, o co chodzi. Odlatuję stąd i zapewne powrócę dopiero rano. Wówczas się zobaczymy i wszystko zakończy się jak najlepiej. Na wszelki wypadek jednak, gdyby się nie zakończyło albo gdybyśmy nie mieli okazji

porozmawiać ze sobą, chcę cię prosić, żebyś mi coś obiecał już w tej chwili. Przyrzeknij, że zatroszczysz się o moje dzieci.

Chewie obnażył kły i postąpił krok w kierunku Hana. Wydał przerażający ryk i pochwycił przyjaciela za ramiona, a później uniósł w górę, aż stopy Hana oderwały się od podłogi.

- Hej, uspokój się, dobrze? - zaprotestował Solo, machając nogami w powietrzu. - Chcesz obudzić wszystkich mieszkańców Korony? Nie zapomniałem o twoim dozgonnym długu wdzięczności - mimo iż czasami bardzo bym pragnął.

Han uwolnił kiedyś, bardzo dawno, Chewiego z rąk handlarzy czy też poganiaczy niewolników, a wówczas wdzięczny Wookiee przysiągł mu, że póki żyje, będzie bronił i strzegł przyjaciela... nie zapytawszy przedtem, co Han sądzi o jego propozycji. Zdarzało się później wiele razy, że przyjaciel Chewbacca nie był specjalnie zachwycony faktem posiadania samozwańczego osobistego strażnika. Wiedział jednak, że dozgonny dług wdzięczności Wookiego wygaśnie dopiero z chwilą śmierci jego albo Wookiego... i że istoty obejmują nim także potomstwo osoby, wobec której go mają. A przynajmniej tak uważał Chewie. Han nawet nie usiłował udawać, że wie wszystko na temat kodeksu honorowego Wookiech.

Zachowanie kosmatego przyjaciela świadczyło o tym, że Wookiee pragnie urwać Hanowi głowę za to, iż ten zaproponował mu zaopiekowanie się dziećmi. Tym samym dał do zrozumienia, że nie uważa dozgonnego długu wdzięczności, jaki miał wobec niego Chewbacca, za wystarczającą gwarancję bezpieczeństwa dzieci co stanowiłoby śmiertelną zniewagę, gdyby nie ów dług wdzięczności.

Han postanowił, że spróbuje zacząć od nowa. Miał nadzieję, iż tym razem wysłowi się wystarczająco jasno, by nie stracić życia.

- Uspokój się - powtórzył. - Chodzi mi o to, żebyś skupił całą uwagę na nich, a nie na mnie czy na Leii. Nie przejmuj się nami. Jeżeli sytuacja stanie się niepewna - a podejrzewam, że nie będziemy musieli na to zbyt długo czekać - może się zdarzyć, że Leia albo ja zostaniemy zmuszeni do jakiegoś ryzyka. Gdyby tak się stało, a ty musiałbyś wybierać między nami a dziećmi... nie wahaj się ani chwili i nie przejmuj nami, zgoda? I nawet nie myśl o rzuceniu się w wir walki z krwiożerczym błyskiem w oczach, bitewnym okrzykiem Wookiech na ustach i innymi nonsensami. Gdybyś został zabity, dzieciaki mogłyby wpaść w poważne tarapaty. Jeżeli sytuacja obróci się na naszą niekorzyść, może zdarzyć się tak, że będziesz miał najwyżej ułamek sekundy na podjęcie decyzji albo dokonanie wyboru. Powinieneś wówczas pomyśleć jedynie o tym, jak uchronić dzieciaki przed niebezpieczeństwem. Nie zastanawiaj się nad niczym innym. Obiecujesz?

Chewie myślał kilka chwil o tym, co usłyszał, ale później tylko kiwnął głową. Ostrożnie postawił przyjaciela z powrotem na podłodze.

- No, to załatwione - powiedział Han z ulgą w głosie. - I następnym razem nie bądź taki przewrażliwiony.

Wsiadł do kabiny turbowindy i pojechał na sam dach Korony. Kiedy wysiadł, uśmiechnął się do stojącej na straży funkcjonariuszki koreliańskich Wojsk Obrony Planety.

- Cześć - powiedział. - Chcę tylko zabrać coś z pokładu „Sokoła Millennium”, a potem wsiadam do grawilotu i lecę do naszej willi. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Strażniczka wzruszyła ramionami, ale nie sprawiała wrażenia osoby wrogo nastawionej.

- Oczywiście, to pański statek - odrzekła. - Może pan z nim robić, co pan zechce.

- Uważałem, że powinienem najpierw ci to powiedzieć wyjaśnił Solo. - Niektórzy stają się drażliwi, a ja nie chcę, żeby przypadkiem doszło do jakiegoś incydentu.

O wiele bardziej wolę doprowadzać do nich świadomie i celowo - pomyślał, ale postanowił zachować tę myśl dla siebie.

- To rozsądnie z pana strony - zauważyła funkcjonariuszka. - Tylko niech pan uważa na siebie.

- Och, zawsze uważam - odparł beztrząsco Han. - Życzę ci dobrej nocy i do zobaczenia.

Można było liczyć na pewną przewagę, jeżeli było się nikim przybyłym znikąd. Han podejrzewał, że funkcjonariusze służb bezpieczeństwa mogli pilnować i chronić przywódczynię Nowej Republiki, ale zapewne żaden nie zamierzał przejmować się losem byłego przemytnika. A zatem, kiedy zostawił Leię w apartamencie Korony, spodziewał się, iż będzie mógł polecieć, dokąd zechce, bez obawy, że uda się za nim cała sfera nianieek z koreliańskich Wojsk Obrony Planety.

Miał również nadzieję, że to samo będzie dotyczyło ich willi. Leia Organa Solo opuściła ją na dobre, a oddziały funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa miały pełne ręce roboty z ochroną członków rozmaitych delegacji na konferencję. A zatem agenci WOP powinni właśnie w tej chwili opuszczać posterunki, pakować się i odjeżdżać albo odlatywać. I rzeczywiście, kiedy skierował dziób grawilotu ku willi, zobaczył wycofujące się ostatnie grupy strażników. Miał nadzieję, że dobrze wyliczył czas i nie przybył za późno. Byłoby bardzo źle, gdyby i Kalenda odleciała.

Wylądował nie niepokojony przez nikogo. Kiedy wysiadł z grawilotu, ukradkiem zaczął obserwować wzniesioną nieco dalej nad brzegiem oceanu „opustoszałą” willę. Czyżby agentka Wywiadu Nowej Republiki również opuściła swój posterunek? A nawet jeżeli jeszcze tego nie uczyniła, czy potrafi pomóc mu w trudnej sytuacji?

No cóż, zastanawianie się nad takimi problemami po prostu nie miało sensu. A przynajmniej nie w tej chwili, skoro kilka godzin później i tak zapewne pozna odpowiedzi na swoje pytania. Han pomyślał, że powinien dać trochę więcej czasu oddziałom agentów WOP, którzy właśnie się wycofywali.

Przystąpi do działania później, gdy przekona się, że wszyscy odlecieli.

Kiedy pani porucznik Belindi Kalenda zauważyła, że oddziały strażników Wojsk Obrony Planety przygotowują się do opuszczenia okolic sąsiedniej willi, ogarnęło ją przygnębienie. Ich odlot oznaczał, że przywódczyni Nowej Republiki wyprowadziła się na dobre i nie zamierzała powrócić. To zaś dowodziło, że wszystkie nieprzespane noce, które agentka WNR spędziła, obserwując willę, poszły na marne. Na nic zdały się

długie godziny czuwania i czekania, a także całe ryzyko, jakie podejmowała. W najmniejszym stopniu nie przyczyniły się do poprawy bezpieczeństwa Organy Solo. Zapewne Nowa Republika odniosłaby większą korzyść, gdyby agentka Wywiadu porachowała liczbę wojskowych butów wyprodukowanych przez miejscowe zakłady obunnicze i podzieliła ją przez dwa, aby w taki sposób oszacować liczebność koreliańskiej armii.

Teraz mogła już tylko czekać, aż okolicę willi opuszczą ostatnie oddziały, a później również się wycofać, po upewnieniu się, że nikt jej nie zauważy. Kalenda nie potrafiła jednak łatwo pogodzić się z myślą, iż wszystko na nic.

I nagle... nagle zauważyła, że powrócił Han Solo. Nie potrafiłaby powiedzieć, jakim cudem, ale zrozumiała. Możliwe, że domyśliła się, ponieważ jak przypuszczała była trochę wrażliwa na działanie Mocy. A może po prostu zwróciła uwagę na to, że mężczyzna ukradkiem spogląda w stronę willi, w której się ukrywała. Możliwe też, że na skutek niedostatku snu miała coś w rodzaju halucynacji. Tak czy owak, nagle ogarnęła ją absolutna pewność, że wie, dlaczego Han Solo wrócił: żeby spróbować się z nią porozumieć.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy obserwowała, jak mąż przywódczyni Nowej Republiki wysiada z grawilotu i przyjaźnie rozmawia z kilkoma strażnikami Wojsk Obrony Planety, a potem wymienia z funkcjonariuszami uścisk dłoni i znika wewnątrz rezydencji. Z jakiegoż innego powodu miałby do niej powracać? Nie mogło chyba istnieć żadne logiczne wytłumaczenie.

Kalenda usiadła wygodniej za statywem z makrolonetką i przygotowała się do ostatniego czuwania. Czuwania, które miało jej wynagrodzić wszystkie poprzednie. Obserwowała, jak ostatni agenci WOP pakują sprzęt i wsiadają do pojazdów kołowych albo poduszkwowców, a potem odjeżdżają i odlatują. Ostatni wehikuł zniknął w ciemnościach koreliańskiej nocy, ale kobieta nie zaniechała prowadzenia obserwacji. Nie odrywając makrolonetki od zmęczonych oczu, siedziała nieruchomo pięć minut, dziesięć, piętnaście... Zamierzała odczekać wystarczająco długo, aby nie zaskoczyli jej agenci Wojsk Obrony Planety, którzy mogliby powrócić, gdyby nagle przypomnieli sobie, że nie zabrali jakiegoś ważnego urządzenia.

Dokładnie w chwili, kiedy uznała, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, żeby mogła zyskać pewność, iż agenci nie powrócą, i gdy stwierdziła, że po okolicy nie kręci się nikt podejrzany, zauważyła w oknie na piętrze willi Organy Solo nikły rubinowy punkcik światła. Płonął jakiś czas, potem zgasł, a później rozbłysnął jeszcze dwa razy, po czym nastąpiła dłuższa przerwa. Jeszcze później pojawiły się trzy takie same długie błyski, po nich przerwa i trzy kolejne.

Kalenda bez trudu rozpoznała kalamariański system sygnalizacyjny, którego ktoś używał, posługując się nieprawdopodobnie archaicznym laserowym źródłem światła. Czymś bardzo topornym, ale bardzo prostym. Czymś, czego uczył się każdy kadet... co wbijano do głów wszystkim uczniom opuszczającym mury akademii Wywiadu Nowej Republiki. I czymś, czego agenci Wojsk Obrony Planety, dysponujący najnowocześniejszymi skomplikowanymi urządzeniami, z pewnością by nie wykryli,

nawet gdyby wrócili w najmniej odpowiedniej chwili. A zresztą, gdyby i zauważyli rubinowe błyski, nie potrafiliby zrozumieć zakodowanej w nich informacji.

SWOTKAJWY PRHED FSONDOWYMI DRHWIAMI THOJEJ WINNI O PYŁNOSY.

No cóż, wszystko wskazywało na to, że Han Solo trochę wyszedł z wprawy, ale agentka WNR nie miała kłopotów ze zrozumieniem jego intencji.

Może więc jednak długie godziny czuwania nie poszły na marne?

Kalenda ujrzała, jak idzie alejką. Zachowywał się cicho i szedł powoli, jakby starał się sprawiać wrażenie kogoś, kto zmęczony trudami dnia wybrał się na nocny spacer.

Zauważyła, że kiedy doszedł do dróżki wiodącej do drzwi jej willi, na chwilą przystanął. Jeszcze raz się rozejrzył, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi ani nie obserwuje. Później, nie okazując zbytniego pośpiechu, skierował się do drzwi wejściowych. Kalenda uchyliła je, gdy wchodził na werandę. Jej gość wszedł, nawet nie zwalniając kroku. Kiedy znalazł się w środku, agentka starannie zamknęła drzwi i gestem zachęciła go, żeby wszedł za nią do piwnicy. Mężczyzna kiwnął głową i nie odzywając się ani słowem, ruszył za nią. Zachowywał ostrożność na wszelki - aczkolwiek bardzo mało prawdopodobny - wypadek, gdyby ktoś obserwował willę albo kierował na nią bardzo czułe urządzenia podsłuchowe. Kobieta wiedziała, że dopiero gdy zjedzą do piwnicy, będą mogli rozmawiać bez obaw, że ktoś ich usłyszy, a może nawet zaryzykować zapalenie światła... rzecz jasna, pod warunkiem, iż przedtem starannie zamkną drzwi wiodące na górę. Ujęła gościa za rękę i sprowadziła go po pogrążonych w ciemnościach stromych schodach, a później zamknęła drzwi i włączyła światło.

Kiedy piwnicę zalał ciepły żółtawy blask, zdumiona Kalenda omal nie zapomniała o oddychaniu. Dotychczas nie odważyła się zapalać światła na czas dłuższy niż sekunda.

- Przyniosłem ci kilka drobiazgów - odezwał się bez jakiegokolwiek wstępu Han Solo. Podeszedł do niewielkiego stołu pozostawionego przez poprzednich właścicieli, po czym zaczął wyładować nań zawartość małej torby. - Trochę pieniędzy... jakieś ubrania na zmianę, a zwłaszcza kombinezon Leii... trochę świeżej żywności i wody - na wypadek, gdybyś miała dosyć tego, czym żywiłaś się do tej pory, albo gdybyś w ogóle niczego nie miała... pręt jarzeniowy, kieszonkowy blaster... i najważniejsze, miniaturowy komunikator.

W pierwszej chwili pani porucznik nie mogła wymówić ani słowa i tylko kiwnęła głową. Oto stał przed nią ktoś, komu mogła zaufać... i kto darzył ją takim samym zaufaniem. Ktoś, kto nie zważając na niebezpieczeństwa i trud, robił coś dla niej. Poczuli, że po jej policzkach spływają łzy, i siłą woli zmusiła się do zachowania spokoju, albo przynajmniej czegoś, co by go przypominało.

- Dziękuję... dziękuję ci - powiedziała, a raczej wychrypięła.

Chwyciła pierwszą z brzegu rację żywnościową i niecierpliwie rozdarła opakowanie. Rzeczywiście, zapasy jej żywności stopniały niemal do zera, a poza tym wszystko - dosłownie wszystko, nawet rezerwowa racja żywnościowa - smakowało w

tej chwili lepiej niż którykolwiek ze sproszkowanych koncentratów, z jakich dotychczas przyrządzała sobie posiłki. Oderwała ogromy kęs i ledwo pogryzłszy, natychmiast połknęła.

- Cały czas tak obserwowałaś naszą willę - powiedział Han tonem, który wskazywał, że to nie miało być pytanie. - Na wypadek gdybyśmy wpadli w tarapaty albo gdyby któryś z miejscowych zuchów próbował zrobić coś brzydkiego. Strzegłaś nas, prawie wcale nie śpiąc i nie jedząc niczego przyzwoitego.

Kalenda przełknęła kolejny kęs, zanim mogła odpowiedzieć.

- Tak... tak - odrzekła i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że jej głos brzmi szorstko i chrapliwie. Tak długo się nie odzywała... Nie miała nikogo, z kim mogłaby zamienić choćby słowo.

- Muszę przyznać, że robi to na mnie duże wrażenie - ciągnął Solo. - Nie jestem pewien, czy wytrzymałbym tyle czasu.

- Co... co chcesz, żebym teraz zrobiła? zapytała młoda kobieta.

- Przede wszystkim odpocznij - odparł Han. Znajdź w Koronecie jakiś miły, cichy pensjonat albo hotel, gdzie mogłabyś zapłacić za nocleg gotówką, żeby spędzić kilka dni, nie rzucając się w oczy. Zajmij się, czymkolwiek zechcesz. Idź do kina albo teatru, przeczytaj jakąś książkę, pospaceruj... Tylko nie rozstawaj się z komunikatorem i odpowiedz, kiedy spróbuję się z tobą porozumieć. Nadal pragnę, żebyś nas obserwowała i strzegła, ale teraz będziemy mogli wezwać cię na pomoc, gdybyśmy jej potrzebowali.

- Jakiej pomocy miałabym wam udzielić? - zapytała Kalenda.

Han pokręcił głową.

- Nie będę tego wiedział, dopóki się nie zorientuję, jakie niebezpieczeństwa mogą nam zagrażać. Mam jednak przecucie, że teraz możesz stać się dla nas czymś w rodzaju dodatkowego asa w rękawie... trzymanego ot tak, na wszelki wypadek.

- Jak myślisz, do czego to doprowadzi? - zapytała Kalenda.

- Do wojny - odparł Han. Wypluł to słowo niczym sprośność, jaką w rzeczywistości było. - Nie wiem jeszcze, kto ją wypowie i komu. Może to będzie wojna na niewielką skalę, coś w rodzaju zamieszek albo buntu. Ale wojna jest zawsze wojną. Zbyt wielu tutejszych ludzi sposobi się do walki. Zbyt wielu zachowuje się, jakby nic innego ich nie obchodziło.

Kobieta kiwnęła głową.

- Chyba masz rację - stwierdziła. - I dlatego musisz być ostrożny... ostrożniejszy niż wydaje ci się, że powinieneś. Nie wiem jakim cudem, ale ktoś przeniknął głęboko do struktur Wywiadu Nowej Republiki. O tym, że tutaj przylecę, prawie nikt nie wiedział. Moi przełożeni starali się trzymać ten fakt w najściślejszej tajemnicy. A jednak, zaledwie wyłoniłam się z nadprzestrzeni, stwierdziłam, że ktoś tu na mnie czekał. Zaatakował mnie i zestrzelił... Cudem uszłam z życiem. Nie wiem, kto to był ani skąd wiedział, ale nasi wrogowie znają wszystkie nasze plany.

Han zmarszczył brwi.

- A zatem jest gorzej niż przypuszczałem - mruknął do siebie. - Jeżeli znają takie tajemnice, muszą także wiedzieć, jak niewieloma żołnierzami i okrętami dysponujemy w tej chwili.

- Co masz na myśli? - zapytała Kalenda.

- Tylko to - odrzekł Solo, że gdybym był Korelianinem pragnącym oderwać swój świat od Nowej Republiki i miał dostęp do wszystkich tajemnic, o których wiedzą jedynie szefowie Wywiadu, doszedłbym do wniosku, iż właśnie teraz jest najodpowiedniejsza pora na realizację moich planów.

Oparł się o ścianę piwnicy i skrzyżował ramiona na piersi.

- Pozostaje tylko pytanie - ciągnął - jakie będzie ich pierwsze posunięcie?

ROZDZIAŁ

16

POWITANIE I POŻEGNANIE

Lando Calrissian opuścił pokład „Ślicznotki”, czując niemal pewność, że oto jego los się odmienia. Tendra Risant już go oczekiwała. Stała może ze sto metrów dalej, za barierką ochronną, i niecierpliwiła się, kiedy zobaczy swego gościa. Zaledwie go ujrzała, zaczęła energicznie machać ręką. To musiało coś oznaczać.

Lando stał jakąś minutę, napawając się czystym, świeżym powietrzem Sakorii. Całkiem miła planeta, pomyślał. Całkiem miła, pomimo faktu, iż była jednym ze światów zaliczających się do obrzeży systemu koreliańskiego. Mieszkańcy obrzeży mieli opinię awanturników, ale na razie Lando nie zauważył niczego, co potwierdzałoby jego obawy.

Odwrócił się i zobaczył wychodzącego Skywalkera.

- Czy nie jesteś zdenerwowany przed tym spotkaniem? - zapytał, zwracając się do przyjaciela.

Luke roześmiał się i pokręcił głową na znak, że nic podobnego.

- Ani trochę - powiedział. - Czuję się doskonale.

- To dobrze, bardzo dobrze - odparł Lando, kiedy obaj ruszyli w kierunku czekającej kobiety. - Muszę przyznać, że ta kandydatka wygląda po prostu uroczo - dodał, jakby ocenił ją okiem prawdziwego znawcy.

Tendra Risant miała mniej więcej trzydzieści standardowych lat. Była wysoka, gibka i z pewnością zamożna. Przynajmniej wszystko na to wskazywało. Miała jasną karnację skóry, a wystające kości policzkowe i szczupłą twarz w efektowny sposób podkreślały głębię ciemnobrązowych oczu. Lando zwrócił uwagę na jej zgrabną, aczkolwiek nie posągowo piękną figurę. Można było powiedzieć, że kobieta jest odrobinę zbyt pulchna jak na wymogi aktualnej mody. Nosiła piękną, ale praktyczną niebieską sukienkę - z podkreślającym tradycyjny fason wysokim kołnierzykiem i umiarkowanej długości koronką, która nie nadawała całości pruderyjnego wyglądu. Włosy Tendry miały trudny do określenia jasnobrązowy odcień i mimo iż niezbyt

długie, nie sprawiały też wrażenia przesadnie krótkich. Każdy szczegół jej wyglądu dowodził otwartości, szczerości i ufności.

Krótko mówiąc. Tendra Risan w niczym nie przypominała drapieżnej syreny, budzącej grozę lubieżnej boginki czy jednej z kobiet, w których Calrissian dotychczas gustował... kobiet o pałających, prowokujących oczach i przeszłości pełnej mrocznych tajemnic.

W tej chwili jednak Lando nie miał nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest zachwycony.

- Witaj, Lando - odezwała się kobieta, kiedy obaj przybysze podeszli trochę bliżej. Czując ciepło bijące z jej głosu i widząc szczeru uśmiech na miłej twarzy, śniadolicy mężczyzna poczuł się, jakby znał Tendrę całe życie. Odnosił wrażenie, że oboje są dobrymi przyjaciółmi, którzy dawno się nie widzieli, a nie zupełnie obcymi osobami, spotykającymi się po raz pierwszy w życiu. Musiał przyznać, że Luke się nie mylił. Długie rozmowy przez holokomunikator miały wiele zalet.

- Witaj, Tendro - odparł, przekraczając barierę ochronną. Kobieta wyciągnęła rękę, a on, ku własnemu zdziwieniu i zaskoczeniu, nie pochylił się i nie złożył szarmanckiego pocałunku. Nie uczynił żadnego innego, zamasztyego ani teatralnego gestu. Ujął jej dłoń i po prostu uściśnął, a może także lekko potrząsnął, jak mają w zwyczaju witający się na codzień ludzie.

To zaczyna być interesujące - pomyślał.

- Tendro - ciągnął po chwili. - Chciałbym, żebyś poznała mojego serdecznego przyjaciela, Luke'a Skywalkera.

Z jeszcze większym zdziwieniem uświadomił sobie, że nie wspomniał ani słowem o tym, iż jego serdeczny przyjaciel jest słynnym Mistrzem Jedi. Nic takiego nie powiedział. Oczywiście, Tendra to wiedziała... ale Lando zdążył poznać ją na tyle dobrze, że był pewien, iż ten fakt nie miał dla niej najmniejszego znaczenia.

- Witaj, Luke'u - odezwała się kobieta. - Witaj na naszym świecie. Mam nadzieję, że będziesz się u nas czuł jak u siebie w domu.

- Dziękuję ci, lady Tendro - odparł Luke, lekko ściskając dłoń, którą wyciągnęła na powitanie.

- Proszę, mów mi po prostu Tendro - rzekła jego rozmówczyni. - A teraz chodźcie. Jest tyle spraw, o których musimy porozmawiać.

Lando spędził większą część tego popołudnia zdziwiony, a nawet zdumiony swoim zachowaniem. Rzecz jasna, zalecał się w życiu do wielu kobiet, a sława jego podbojów nie była wcale przesadzona. Przekonał się jednak, że w przypadku Tendry robił coś, czego chyba nie zdarzyło mu się robić nigdy do tej pory. Zorientował się, że po prostu rozmawiał z kobietą, na której mu zależało. Prowadził najzwyczajniejszą rozmowę... i to nie na temat jej urody, pięknej sukni, przymiotów charakteru czy bohaterkich wyczynów, na jakie byłby gotów ważyć się dla niej. Ani mu były w głowie te wyświechtane nonsensy.

Wszyscy troje postanowili zjeść obiad w jednej z publicznych restauracji. Znaleźli jakąś, usytuowaną w zabytkowej kamieniczce, których wiele wyrosło wokół

wyłożonego kamieniami centralnego skweru miejskiego, i rozmawiali nie do wiary - o polityce. Co więcej. Lando nie pamiętał, kiedy rozmowa z kobietą - czy kimkolwiek innym, jeżeli już o tym mowa - sprawiła mu więcej przyjemności. Gdy obsługujące gości roboty uprzątnęły ostatnie sztuce i talerze i przyniosły kieliszki z poobiednim likierem, obaj goście zakończyli rozmowę na temat wszystkich politycznych ploteczek, od jakich roilo się na Coruscant, i skierowali ją na miejscowe problemy.

- Wygląda na to, że sytuacja w naszych stronach staje się coraz bardziej napięta - stwierdziła w pewnej chwili Tendra.

- Wiemy coś o tym - przyznał Skywalker. - Miejscowi celnicy kazali nam długo czekać, zanim wyrazili zgodę na lądowanie.

Ich rozmówczyni kiwnęła głową.

- Musiałam bardzo się starać, żeby uzyskać zgodę wszystkich zainteresowanych urzędników - oznajmiła. - Nie zdziwiłabym się, gdyby doszli do przekonania, że popełnili błąd, i próbowali unieważnić nasze wize tranzytowe. Bez względu na to, co właściwie dzieje się teraz w systemie Korelii, powoduje u nas sporo zamieszania.

- A co dzieje się w systemie Korelii? - zaniepokoił się Mistrz Jedi. - W tej chwili przebywa tam kilkoro członków mojej rodziny.

- Nie wspominając o tym, że mieliśmy tam lecieć zaraz po opuszczeniu Sakorii - dodał Lando. - Umówiłem się na spotkanie z kilkoma delegatami na konferencję poświęconą problemom handlu.

Tendra ze smutkiem pokręciła głową.

- Nikt nie wie dokładnie, co się tam dzieje - rzekła cicho. - Krążą tylko najróżniejsze plotki. Od czasu do czasu także jakiś Dral, Selonianin albo człowiek wydaje oświadczenie, że zamierza przejąć całą władzę, żeby przegnać wszystkich ciemieżców ze stanowisk albo po prostu zaprowadzić ład i spokój. Wygląda na to, że wszyscy spędzają większość czasu, wyzywając wszystkich pozostałych od ciemieżców, szalbierzy i łgarzy.

- A jak wygląda sytuacja tu, na Sakorii? - zainteresował się Calrissian. - Mimo wszystko, planeta także należy do sektora Korelii. Z pewnością to, co się tam dzieje, nie pozostaje bez wpływu na waszą sytuację polityczną i gospodarczą, prawda?

Tendra wzruszyła ramionami.

- I tak, i nie - powiedziała. - Rządzi nami Triada, a zatem członkowie rządu nie bardzo mogą twierdzić, że istoty ich rasy są ważniejsze albo lepsze niż przedstawiciele którejkolwiek z obu pozostałych.

- Triada? - powtórzył Lando.

- Och, przepraszam. Zapomniałam, że nie pochodzicie stąd i nie macie pojęcia o sakoriańskim systemie sprawowania władzy. Skąd zresztą mielibyście to wiedzieć? Triada jest radą, w której skład wchodzi trzech członków - człowiek, Dral i Selonianin. To właśnie oni podejmują wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące polityki i tak dalej. Kiedyś Triada była właściwie tylko tubą Dyktatora sprawującego władzę w Koronecie, lecz w ciągu ostatnich kilku lat obserwujemy coraz mniejsze zainteresowanie Koronetu naszymi problemami. Musieliśmy zatem nauczyć się sami

troszczyć o nasze sprawy, ale w tej chwili Triada rządzi i podejmuje decyzje, które najbardziej odpowiadają jej, nikomu więcej.

- A decyzją, która ostatnio najbardziej jej odpowiada, jest przykręcenie śruby swoim obywatelom - odezwał się Calrissian.

Wyglądając przez okno, zauważył maszerujący oddział aroganckich Selonianek. Odziane w policyjne mundury istoty przeszły przez wybrukowany skwer i skierowały się prosto do kamienicy, gdzie mieściła się restauracja. Na ogół uważano Selonian za istoty łagodne, sympatyczne i pokojowo nastawione do wszystkich pozostałych. Miały długie, szczupłe i porośnięte krótką lśniącą sierścią gibkie ciała - bez wątpienia pozostałość po ruchliwych, zwinnych wodnych ssakach, swoich prapraprzodkach. Tymczasem te Selonianki, które dostrzegł przez szybę restauracji, nie reprezentowały niczego, za co mógłby je polubić. Były rosłe, krępe i wyglądały jak zabijaki. Nastroszona sierść sprawiała wrażenie zaniedbanej, a wygląd ociężałych ciał pozwalał się domyślać, że istoty zbyt dobrze się odżywiały i używały za mało ruchu. Były awanturnikami, a nie sportsmenkami.

- Nie przepadam za żadnymi policjantami - oznajmił Lando - ale najmniej lubię tych, którzy wyglądają, jakby zamierzali wszcząć awanturę.

- A ja mam przecucie, że to nas szukają - dodał Skywalker.

Tendra pokręciła głową.

- Właśnie tego się obawiałam - rzekła. - Któryś przewrażliwiony, nadgorliwy urzędnik albo ktoś inny doszedł do wniosku, że z jakiegoś powodu nie chce was widzieć na tej planecie.

- Tylko skąd wiedział, gdzie nas szukać? - zainteresował się Calrissian.

Tendra uniosła brwi.

- Śledzenie ludzi tu, na Sakorii, jest jednym z najlepiej prosperujących interesów - powiedziała.

- Posłuchaj, Lando - odezwał się Luke. - Mamy tylko kilka sekund. To twoja sprawa i ty masz najwięcej do stracenia. Jak zamierzasz to rozegrać?

Ciemnoskóry mężczyzna popatrzył na Tendrę, a potem spojrzął przez okno na zbliżające się policjantki. Nie mógł żywić wątpliwości. Rzeczywiście wszystkie cztery kierowały się ku restauracji. W pierwszej chwili zamierzał powiedzieć, że chce wszcząć awanturę, odwrócić ich uwagę albo po prostu spróbować przekupić... uczynić cokolwiek, byle tylko nic tańczyć, jak mu zagrają. Niemal natychmiast jednak uświadomił sobie, że przecież pragnie znów tu przylecieć, i to możliwie jak najszybciej, a zatem nie powinien zadzierać z funkcjonariuszkami. Musi udawać, że jest szanującym prawem obywatelem.

- Decydujemy się na współpracę - powiedział, aczkolwiek przyszło mu to z dużymi oporami. Odwrócił się do Tendry i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Muszę przyznać, że gdybym chciał postępować zgodnie z opinią, jaką mogę się tu cieszyć, powinniśmy obaj wyciągnąć blastery i w trakcie heroicznej próby ucieczki wystrzelać połowę gości. Obawiam się jednak, że właściciel restauracji nie byłby zachwycony.

- Chyba masz rację - przyznała Tendra, również lekko się uśmiechając. Odsłoniła niewielki otwór wydrążony w podłokietniku fotela i na umieszczonej tam klawiaturze

szybko wystukała kilka poleceń. - Załatwione - powiedziała. - Właśnie zapłaciłam. Co powiecie na to, żebyśmy się spotkali z naszymi umundurowanymi przyjaciółkami nie tu, gdzie obserwowałyby nas wszyscy goście, ale na dworze?

- Chyba nie przepadasz za dramatycznymi sytuacjami - zauważył Calrissian, wstając od stolika.

Tendra uśmiechnęła się jeszcze szerzej i także wstała.

- Poddaj mnie jeszcze jednej próbie, tylko kiedy indziej - powiedziała. - Możliwe, że zmienisz zdanie.

Luke także odsunął swój fotel i wszyscy troje wyszli z sali.

Zaledwie zdążyli odetchnąć świeżym, chłodnym powietrzem sakoriańskiego wieczoru, zostali zauważeni przez oddział policjantek. Umundurowane Selonianki natychmiast podeszły do nich. Nie zwracały sobie głowy prawieniem komplementów.

- Calrissian? Skywalker? - warknęła policjantka sprawiająca wrażenie najlepiej odżywionej.

- Zgadza się, to my - rzekł Lando. - Co możemy dla was zrobić?

- Możecie wynieść się z naszej planety - oznajmiła funkcjonariuszka, zapewne będąca dowódcą oddziału. Paskudnie się uśmiechnęła, obnażając przy okazji kompletny garnitur wyjątkowo ostrych zębów. - Wasze wizy zostały unieważnione. Dajemy wam sześć godzin na wyniesienie się stąd i osiemnaście na opuszczenie granic naszego systemu. Zrozumiano?

- Oczywiście - odparł Lando, chociaż walczył ze sobą, aby jego głos nie przestał być miły i uprzejmy. Właśnie takich policajów nie znoślił najbardziej. - Rozumiemy doskonale. A zresztą, i tak zamierzaliśmy odlecieć. Jeżeli to wszystko, czego od nas chcecie, pozostaje mi życzyć wam dobrej nocy.

- Uważaj z tymi uprzejmymi słówkami - kłapnęła Selonianka. Lando uniosł głowę i przekonał się, że to było kłapanie. Ujrzał, jak pełna zębów ogromna paszcza nagle się zamknęła. - Wskakuj na pokład swojego statku, kochasiu, i zabieraj swojego przyjaciela.

- W porządku, już znikamy - powtórzył Calrissian, który nie potrafił dłużej ukrywać urazy w głosie. - Na pewno odlecimy przed wyznaczonym terminem.

- Postaraj się dotrzymać słowa, piękniś, bo w przeciwnym razie spędzisz następne dziesięć lat, łupiąc skały w kamieniołomach Dothus Tal. Mamy w pobliżu dość policjantów, aby przekonać się, że nie kłamiesz. A teraz wynocha.

Cztery policjantki odwróciły się plecami do trójki ludzi i odeszły, wyraźnie niezadowolone z faktu, iż nie doszło do bijatyki.

Luke przyglądał się, jak odchodzą, a potem odwrócił się do Landa i Tendry.

- No cóż - zaczął. - Mam nadzieję, że nie sprawię waszym policjantom kłopotu, jeżeli teraz zostawię was samych i odejdę. Zapewne mają w pogotowiu dość funkcjonariuszy i zdołają nas obserwować, nawet jeżeli się rozdzielimy. Lady Tendro... Tendro... poznanie ciebie sprawiło mi wielką radość, ale uważam, że teraz powinienem się pożegnać.

Kobieta obdarzyła go serdecznym uśmiechem.

- Dziękuję ci, Luke'u - rzekła. To bardzo miło z twojej strony.

- Dzięki, stary - dodał Lando. - Jestem twoim dłużnikiem.
Mistrz Jedi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.
- Do zobaczenia na pokładzie jachtu - powiedział. - Życzę wam obojgu dobrej nocy.
Skłonił się przed kobietą i odszedł.
- Wspaniały gość - zauważyła Tendra.
- To za mało powiedziane - poprawił ją Calrissian. - A teraz czy zechcesz odprowadzić mnie do statku? Nie będziemy szli zbyt szybko, prawda?
- Bardzo powoli - odrzekła jego rozmówczyni. - Jestem zadowolona, że cię poznałam, Lando. Cieszę się, że zobaczyłam, jak wyglądasz w rzeczywistości. Nie chciałabym rozstawać się z tobą.
- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się rozstawać - stwierdził śniadoliczy mężczyzna. - Przecież nadal będę mógł rozmawiać z tobą przez holokomunikator.
- Przynajmniej na razie - rzekła kobieta. - Ostatnio dużo się u nas mówi o tym, żeby ograniczyć dostęp mieszkańców Sakorii do międzygwiazdnej sieci telekomunikacyjnej. Może nawet w ogóle go uniemożliwić. Wszystko po to, żebyśmy nie przyswoili sobie poglądów obcych koreliańskiej mentalności czy coś w tym rodzaju.
- To musiałyby być naprawdę coś wyjątkowego - zauważył Lando. - Egzekwowanie takiego zakazu nie jest wcale łatwe ani skuteczne. Ale załóżmy, że wasze władze jakoś sobie poradzą. Oznacza to, że jeżeli jakiś czas nie dostanę następnej wizy - co wydaje się całkiem prawdopodobne - nie będziemy mogli porozumiewać się ze sobą. Zakładam, że wasi obywatele nie mogą podróżować, kiedy i dokąd zechcą?
Tendra pokręciła głową.
- Podróżowanie jest prawie niemożliwe - rzekła.
- To niesprawiedliwe - oświadczył Lando. - Spotkałem cię, poznałem i nie chcę tracić kontaktu z tobą.
- Trudno, takie jest życie - westchnęła kobieta tonem świadczącym o smutku i rezygnacji. - Chyba musisz polecieć do następnego systemu gwiazdowego. Może tam będziesz miał więcej szczęścia.
- Co masz na myśli, mówiąc „więcej szczęścia”? - zapytał Calrissian.
- Rzecz jasna, więcej szczęścia w poszukiwaniach bogatej żony - odparła Tendra.
- Przecież właśnie w tym celu tu przyleciałeś, prawda? Szukasz zamożnej kandydatki, która zostałaby twoją towarzyszką życia.
- Muszę przyznać, że zaczynam poważnie zastanawiać się nad pomysłem poślubienia bogatej kobiety - stwierdził mężczyzna. - Okazał się w realizacji o wiele bardziej skomplikowany niż początkowo przypuszczałem.
- No cóż, jeżeli to ci przyniesie jakąkolwiek pociechę, wcale nie jestem aż tak zamożna jak sadziłeś - odrzekła jego rozmówczyni. - To mój ojciec jest człowiekiem bogatym.
- Przypuszczam, że umiem być cierpliwy - oznajmił Calrissian.

- To wcale nie jest takie proste - ciągnęła Tendra. - Obawiam się, że istnieje problem albo dwa, o których ci nic nie powiedziałam.
- Oho! - mruknął do siebie Lando. Przystanął i odwrócił się do kobiety. - Zaczyna się - dodał takim samym tonem.
- Pierwszy nie jest jeszcze taki najgorszy. Kobiety na naszym świecie nie mogą wychodzić za mąż bez zgody ojców - bez względu na to, ile lat przeżyły. To barbarzyńskie prawo, ale jednak prawo. Jeżeli mój ojciec cię nie zaakceptuje, nie uczyni mnie swoją spadkobierczynią.
- I to ma nie być takie najgorsze? - obruszył się Lando.
- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że mój ojciec cię polubi - rzekła Tendra. - Mogę go przekonać. - Obdarzyła mężczyznę ciepłym uśmiechem. - To znaczy, mogłabym, gdybym uznała, że zechcę cię mieć za męża.
- Przypuszczam, że powinienem ci podziękować - odezwał się Calrissian. - A ta gorsza wiadomość, o której wspominałaś?
- No cóż, poszukujesz zamożnej kandydatki na żonę. Nie usiłowałaś tego ukrywać i nie potraktowałaś mnie jak idiotki, dlatego i ja będę z tobą całkiem szczerą. Od dawna poszukuję mężczyzny z innej planety, który zechciałby zostać moim mężem. Kogoś kto umożliwiłby mi wyrwanie się, z tego świata, dzięki komu mogłabym zapomnieć o Triadzie i wszystkich bezsensownych prawach i zarządzeniach. Poślubienie obywatela innej planety jest właściwie jedynym sposobem, żeby sakoriańska kobieta uzyskała pozwolenie opuszczenia rodzinnego świata. Musisz wiedzieć, że dawałam ogłoszenia. Zapewne w ten sposób trafiłam do bazy danych, z której korzystałaś.
Lando kiwnął głową.
- Domyślałem się czegoś podobnego - przyznał ponuro. Mimo to ucieszył się, że nie ukrywając przed nim prawdy, sama mu to powiedziała. - A zatem, na czym polega cały problem?
- Na tym, że ksenofobia opanowuje coraz wyższe szczeble naszej władzy. Urzędnikom nie wystarcza, że wyrzucają z naszej planety wszystkich obcych. Dzień przed waszym przylotem Triada wydała oświadczenie, że odtąd poślubienie mężczyzny z innego świata będzie nielegalne.
- Co takiego?
- Powinnaś była powiedzieć ci o tym od razu - rzekła kobieta - ale kiedy sama się dowiedziałam, twój statek zaczynał podchodzić do lądowania.
Lando nie wiedział, co odpowiedzieć mi nawet od czego zacząć. Nie sądził, aby on i Tendra byli w sobie do szaleństwa zakochani. Jeszcze było na to za wcześnie. A po przygodzie, jaką przeżył, usiłując ożenić się z życiowiedzą, uświadomił sobie - chyba lepiej niż kiedykolwiek przedtem - że zanim zdecyduje się na coś nieodwołalnego, powinien jak najlepiej poznać przyszłą małżonkę. Nie - powiedział sobie powtórnie, to nie jest miłość. Jeszcze nie jest zakochany. Może zakocham się, jeżeli dadzą mi więcej czasu... i chociaż połowę szansy.
Co więcej, musiał przyznać, że wcale nie chce lecieć do następnego systemu gwiazdowego, żeby przekonać się, jakie tamtejsze zamożne kobiety są gotowe do zamążpójścia. Nie. Znalazł kogoś tutaj na Sakorii. Teraz. Tego wieczoru. Kogoś, kto

może, może będzie dla niego odpowiednią osobą. To prawda, Tendra nie okazała się zamożna, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Lando był wobec siebie nawet na tyle szczery, aby zastanawiać się, co by uczynił, gdyby kobieta oświadczyła mu, że nie ma ani kredytu. A zatem nie chodziło o to, czy jest bogata, czy też biedna. Zapewne i w jej przypadku mniej ważny stał się - a przynajmniej nie był najważniejszy - fakt iż Lando pochodzi z innego świata. Liczyło się to, że umieli z sobą rozmawiać. Rozumieli się tak dobrze, jakby znali się od dzieciństwa... i właśnie to wprawiało Calrissiana w największe zdumienie. Kobieta należała do osób, z którymi mógł być absolutnie szczery. Jakimś cudem wiedział to i rozumiał, chyba podświadomie. Rzecz jasna, to nie była miłość... ale coś, czego nigdy przedtem nie odczuwał. Nie zamierzał dopuścić, aby tylko dlatego, że jakiś cymbał urzędnik postanowił wymyślić nowe zarządzenie, owo coś uwiędło albo zniknęło.

Nagle wpadł na pewien pomysł.

- Posłuchaj - zaczął. - Właśnie coś wymyśliłem. Sposób, który może stanowić rozwiązanie naszego problemu, jeżeli wasze władze naprawdę uniemożliwią obywatelom korzystanie z dobrodziejstw międzygwiazdnej sieci holokomunikacyjnej. Dziwaczny i toporny... ale zawsze sposób.

- Jaki? - zapytała Tendra.

- Stara sztuczka... Poznałem ją, kiedy byłem przemytnikiem.

- Byłeś przemytnikiem? - zdziwiła się jego rozmówczyni.

- To zupełnie inna historia. Może kiedyś ci ją opowiem - odrzekł Calrissian. - Najważniejsze, że istnieje bardzo, bardzo stary sposób porozumiewania się, który nie wymaga korzystania z nadprzestrzeni. Polega na modulowaniu promieniowania elektromagnetycznego o niewielkiej częstotliwości, nie przekraczającej zakresu fal radiowych. Podobno nazywa się radioniką. Szybkość rozprzestrzeniania się fal jest jednak ograniczona przez prędkość światła. Podobnie ograniczony jest zasięg, o ile nadawca nie posługuje się wiązką kierunkową albo nie używa bardzo dużej mocy. Ważne jednak, że w tej chwili nikt z niego nic korzysta. A zatem policaje i kontrolerzy ruchu powietrznego nawet nie usiłują prowadzić nasłuchu na żadnej z częstotliwości tego zakresu. W jednej z ładowni „Ślicznotki” mam nadajnik i odbiornik, nastrojone na tę samą falę.

- Ale jeżeli będziesz przebywał w innym systemie gwiazdnym, a przesyłanie sygnału jest ograniczone przez prędkość światła, upłyną całe lata, zanim twoja wiadomość dotrze do mnie... o ile w ogóle ją odbiorę.

- A kto mówi, że będę przebywał w innym gwiazdnym systemie? - zapytał z uśmiechem Lando.- Teraz muszę lecieć na Korelię, aby wziąć udział u konferencji poświęconej zagadnieniom handlu. Umówiłem się tam z kilkoma osobami. Później jednak powrócę do tego systemu. Wślizgnę się cicho jak przestępca... tylko były przemytnik wie, jak to się robi. - Wahał się kilka sekund, jakby czekał na natchnienie. W pewnej chwili uniół głowę i spojrzął w niebo, gdzie natychmiast zauważył rozwiązanie. - I wyląduję tam. - powiedział, pokazując spory jasny sierp wysoko na niebie.

- Na księżycu? - zdziwiła się Tendra. - Na Sarkofagu? To przecież jedno wielkie cmentarzysko. Nikt nigdy tam nie lata, chyba żeby pozostawić szczątki swoich zmarłych krewnych i bliskich.

- A zatem nikt nie będzie się spodziewał, że tam wyląduję - oznajmił Lando. - Nikt nie zechce mnie tam poszukiwać. Tylko ty... Wyciągniesz radio i skierujesz antenę w stronę Sarkofaga. Ja zaczekam tam, aż odbiorę twoje sygnały. Będziemy mieli dość czasu, żeby znaleźć jakiś sposób i znów się zobaczyć. Wymyślę coś, co pozwoli mi cicho jak listek wylądować na Sakorii.

- To szaleństwo - odrzekła kobieta. - Ale nie widzę nic, co mogłoby ci przeszkodzić w realizacji tego planu.

- Och, ja widzę - przyznał Lando. - Istnieje wiele rzeczy, które mogą ułożyć się nie po naszej myśli. Ale popełniłbym wielki błąd, gdybym pozwolił ci odejść i chociaż nie spróbował poznać cię lepiej niż do tej pory.

Tendra roześmiała się, a potem niespodziewanie zarzuciła ręce na szyję mężczyzny.

Chyba pierwszy raz w życiu Lando Calrissian wierzył w każde słowo wyszukanego komplementu, który właśnie powiedział. Mówił przecież z głębi serca.

R O Z D Z I A Ł

17

WIADOMOŚĆ ROZCHODZI SIĘ POWOLI

- A co będzie, jeżeli zorganizujemy tę konferencję i okaże się, że nie przyleci żaden z uczestników? - zainteresował się Han Solo.

Rzecz jasna, pytanie było złośliwe, ale widywał już w życiu dłuższe kolejki gości czekających na powitanie przez gospodarzy. Ubrany w najbardziej paradny oficjalny mundur, stał w szeregu obok Leii, gubernatora Micamberlecta i kilkorga innych miejscowych dostojników. Na razie nie musiał ścisnąć zbyt licznych dłoni. Widocznie niepewna sytuacja odstraszyła wielu potencjalnych uczestników. A Han mógłby się założyć, że niektórzy rzekomi goście byli w rzeczywistości agentami Wywiadu Nowej Republiki. Okazja wydawała się zbyt dobra, żeby mieli ją przepuścić.

- Bądź cicho, Hanie - odezwała się Leia. Postanowiła zbesztać męża, nie przestając się szczerze i ciepło uśmiechać. Han musiał przyznać, że żona, która na tę okazję włożyła długą, luźną szafirową suknię bez ramiączek, wyglądała w niej po prostu olśniewająco. Strój doskonale podkreślał barwę jej oczu i włosów. - Wszyscy goście bardzo ryzykowali, przylatując na tę konferencję - ciągnęła, nadal się uśmiechając. - To spotkanie jest niezwykle ważne i dla nich, i dla twojego świata. Mam nadzieję, że o tym nie zapomniawsz, prawda? A zatem zachowuj się przyzwoicie, tak by nasi goście poczuli się jak u siebie w domu.

- U siebie w domu, a to dobre - mruknął Han. - Jakby stale mieszkali w sali audiencyjnej, gdzie odbywa się przyjęcie. Jeżeli chodzi o mnie, czuję się tu jak w sali tortur. Dobry wieczór, jak się pani miewa? - dodał głośno, zwracając się do następnej delegatki. Była nią wyglądająca jak królowa starszawa Selonianka, przewyższająca go o przynajmniej sześć lub siedem centymetrów.

- Doskonale, kapitanie Solo - odparła istota. - Cieszę się, że mogłam pana poznać.

- Ja również jestem zachwycony, że mogłem panią poznać - wyrecytował Han. Odczekał kilka chwil, dopóki nie upewnił się, że Selonianka go nie słyszy, po czym dodał: - Bez względu na to, kim pani jest. Dlaczego jeszcze nie kieruje się pani do baru? Trunki są przecież za darmo. O, właśnie tak. Dobry wieczór panu - zwrócił się do

wylupiastookiego Kalamarianina, który wyrósł przed nim jak spod ziemi, i uściśnął wciągniętą rękę, a raczej pletwę. - Witamy na naszym skromnym przyjęciu. - W odpowiedzi dostojny gość zabulgotał coś w dziwnym dialekcie, którego Han ani w ząb nie rozumiał, a potem klepnął go po plecach tak silnie, że mężczyzna omal nie runął na podłogę. Kidy po chwili odzyskał równowagę, przekonał się że Kalamarianin zniknął. - Jeszcze jedna wspaniała chwila w dziejach porozumiewania się inteligentnych istot - burknął. - Kim właściwie są te istoty?

- Handlarzami i handlowcami - odrzekła Leia. - Sam powinieneś to najlepiej wiedzieć. Witam, witam, tak się cieszę, że pan przyleciał - dodała, kierując te słowa do następnej osoby z kolejki gości.

- To prawdziwy zaszczyt, że mogę z państwem rozmawiać - odpowiedział jej Dral, kłaniając się tak nisko, że omal się nie przewrócił.

Wyglądało na to, że nie wszyscy delegaci czekali cierpliwie, aby przywitać się z gospodarzami, zanim skierują się do baru. Niektórzy widocznie uznali, że mogą zmienić kolejność tych czynności.

- Nie kłaniaj się tak nisko - mruknął Han, pomógłszy istocie wyprostować się i wskazawszy jej dalszą drogę. - Chyba już dłużej nie wytrzymam - poskarżył się zonie. - Nie dam rady tak stać z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- No cóż, może w takim razie wolałbyś ułożyć rysy twarzy w wyraz zaskoczenia i zdumienia? - zapytał Leia. - Czy uważasz, że dasz sobie radę?

- Chyba tak - odpowiedział Solo.

- To zobacz, kto w tej chwili czeka w kolejce jako czwarta osoba.

Han uniósł głowę, żeby spełnić prośbę żony, i aż zaniemówił ze zdumienia. Zapomniał nawet o kąśliwych uwagach, którymi mógł być obdarzyć pierwszą trójkę delegatów. Prawdę mówiąc, nie odezwał się do nich ani słowem, zupełnie jakby ich nie zauważył. Zobaczył Marę. Marę Jade. Byłą Rękę Imperatora. Byłą przemytniczkę. Mara kiedyś przysięgała, że zabije Luke'a Skywalkera, ale później zmieniła zdanie i postanowiła nie dotrzymywać tej przysięgi. Oto stała, ubrana w długą czarną suknię, w której wydawała się jeszcze wyższa, szczuplejsza... i jeszcze niebezpieczniejsza niż w rzeczywistości. Czas obszedł się z nią łaskawie. Kobieta nie straciła nic ze swojej godności ani urody - i wyglądała równie zabójczo i groźnie jak zawsze. Ostatnio między nią a Hanem panowały nieco lepsze stosunki, ale w wyglądzie i zachowaniu Mary było coś, na widok czego Han poczuł, że w jego głowie odzywają się wszystkie dzwonki alarmowe. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie mieć się przed nią na baczności.

- Dobry wieczór, pani kapitan Jade - odezwała się Leia, wyciągając rękę.

Mara uściśnęła ją i lekko skinęła głową.

- Dobry wieczór, pani przywódczyni Nowej Republiki - rzekła.

- Witam cię, kapitanie Solo. Mam dla ciebie pewną wiadomość. - Przeniosła spojrzenie na Leię. - Prawdę mówiąc, dla was obojga, a także dla generalnego gubernatora.

- Wiadomość? - powtórzyła Leia.

- Właściwie sześcian informacyjny - poprawiła się Mara. - Nie potrafiłam go otworzyć... aczkolwiek nie ukrywam, że bardzo się starałam. Proponuję, żebyście zaprosili pana gubernatora do jakiegoś miłego i bezpiecznego pomieszczenia, gdzie moglibyśmy wszyscy spokojnie porozmawiać.

Leia zmarszczyła brwi, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Mój apartament na piętnastym piętrze - odezwała się po chwili.

- Agenci codziennie sprawdzają, czy nikt w nim nie zainstalował urządzeń rejestrujących ani podsłuchowych. Spotkajmy się tam za dwadzieścia minut. Hanie, daj Marze odcisk kciuka, żeby mogła dostać się do turbowindy.

- Hmmm? Ach, tak - ocknął się Solo.

Turbowinda stanowiła część systemu bezpieczeństwa. Można było do niej wejść, jeżeli miało się odpowiednią przepustkę i umieściło odcisk kciuka w czytniku linii papilarnych. Z windy mogli korzystać goście, jeżeli otrzymali kartę, która zawierała zarejestrowany układ ich linii. Leia zazwyczaj dysponowała kilkoma takimi kartami, ale jej długa szafirowa suknia nie miała ani jednej kieszeni. Han wyjął zatem z marynarki własną przepustkę, wyglądającą jak prostokąt białego plastiku. Przycisnął swój kciuk do jednego z miejsc, gdzie następowało rejestrowanie układu linii papilarnych. Po chwili, kiedy podświetliło się drugie takie samo miejsce, wręczył kawałek plastiku Marze Jade.

- Przyłóż tutaj kciuk - polecił jej, a gdy usłuchała, zczekał, aż światelko zgasło. Dopiero wtedy pozwolił jej zabrać białą kartę. - To przepustka, która pozwoli ci nie tylko korzystać z turbowindy, ale także umożliwi wejście do naszego apartamentu - oznajmił. - Zaczekaj tam na nas, dobrze? Pojawimy się, kiedy tylko skończymy witać się ze wszystkimi gośćmi.

Mara Jade przyjęła kartonik i obdarzyła Hanę lodowatym uśmiechem.

- Zaczekam - stwierdziła, po czym po prostu odwróciła się i odeszła. Kierując się ku szybowi turbowindy, rzuciła jeszcze przez ramię: - I nie bój się, nie ukradnę wam wszystkich sreber.

- Może i nie - wymruczał Han, zwracając się do żony. - Ale przypomnij mi później, żebym policzył, czy przypadkiem nie brakuje ani jednej łyżeczki.

Cała trójka dzieci smacznie spała... przynajmniej w teorii. W rzeczywistości bowiem postanowiły wykorzystać fakt nieobecności rodziców i zajmowały się wszystkim, tylko nie zasypianiem. Z gorzkiego doświadczenia wiedziały, że muszą przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności. Doszły zatem do wniosku, że będzie najlepiej, jeżeli zamkną drzwi, zgaszą prawie wszystkie światła i pozostaną w sypialni. Dorośli mieli paskudny zwyczaj zjawiania się w najmniej odpowiedniej chwili.

Mimo to żadne nie spodziewało się, że usłyszy szcęk otwieranego zamka drzwi wejściowych. Natychmiast wszystkie odskoczyły od planszy, wokół której siedziały, i najszybciej jak umiały, zanurkowały do łóżek i pod koce. W chwilę później jednak Jacen poczuł, że drętwieje. Dopiero kiedy znalazł się w łóżku, zamknął oczy i udawał, że smacznie śpi, uświadomił sobie, że zapomniał zgasić światło. Rodzice tylko raz

rzucą okiem i wszystkiego się domyśla. Natychmiast zorientują się, że dzieciaki nie poszły spać o właściwej porze. Przez kilka sekund chłopiec rozmyślał, czy nie posłużyć się Mocą, żeby zgasić światło, ale odrzucił pomysł jako niedorzeczny. Nie władał nią jeszcze na tyle precyzyjnie, żeby osiągnąć zamierzony skutek i przy okazji nie stracić ze stolika i nie rozbić lampy. Postanowił, że nie będzie ryzykował. Wyślizgnął się z łóżka, przebiegł przez sypialnię i tak cicho jak umiał, wyłączył oświetlenie. Miał właśnie wskoczyć z powrotem do łóżka, kiedy jego uwagę przyciągnęło coś dziwnego. Zamarł i przez moment nasłuchiwał, aby upewnić się, że ma rację, po czym, stąpając na palcach, podszedł do łóżka siostry.

- Pssst, Jaino - powiedział.

- Cicho! - szepnęła dziewczynka. - Chcesz, żeby nas usłyszeli?

- Posłuchaj - mówił dalej brat, tym razem o wiele ciszej. - To nie nasza mama ani tata. Po salonie chodzi w kółko tylko jedna osoba, a odgłos jej kroków nie przypomina stapania mamy ani taty. W salonie musi być ktoś obcy.

Jaina natychmiast usiadła na łóżku i sama zaczęła wsłuchiwać się w ciche dźwięki.

- Masz rację - oznajmiła w końcu. - Chodźmy!

Natychmiast wyskoczyła z łóżka i podeszła do drzwi. Jej brat chciał zapytać, czy siostra na pewno wie, co robi, i czy zamierza sama stawić czoło nieznanemu włamywaczowi, który poradził sobie ze wszystkimi systemami zabezpieczeń, jakimi mogła poszczycić się Korona, ale było za późno. Wiedział, że nie ma wyboru i powinien pójść w ślady Jainya. W przeciwnym razie musiałby przez całą resztę życia wysłuchiwać wymówek, jakim to jest tchórzem. Podążył zatem mrocznym korytarzem i wcale nic był zdziwiony, kiedy przekonał się, że mały Anakin także wyskoczył ze swojego łóżeczka i poszedł w jego ślady.

Rodzinie Solo przydzielono dwupoziomowy apartament. Na wyższym poziomie mieściły się sypialnie, a na niższym salon i jadalnia. Sufit salonu znajdował się jednak dokładnie na tej samej wysokości, co sklepienie wyższego poziomu. Wyglądało to, jakby ktoś zlikwidował wszystkie pomieszczenia, które powinny znajdować się nad salonem... zapewne po to, żeby najważniejszy pokój mógł się wydawać większy i wyższy niż w rzeczywistości. Do zachodniej ściany salonu przylegały schody wiodące na wyższy poziom. Kończyły się długim podestem, biegnącym wzdłuż całej ściany. Krawędzi podestu strzegła metalowa bariera, aby żaden z mieszkańców nie runął do salonu. Drugi koniec podestu, usytuowany naprzeciwko schodów, wiodł do korytarza, gdzie znajdowały się drzwi do sypialni. Kiedy dzieci wprowadziły się do apartamentu, mniej więcej po osiemnastu sekundach uświadomiły sobie, jak wspaniałe miejsce do szpiegowania i podsłuchiwania dorosłych stanowiło wyjście z korytarza na długi podest. Można było tam, kryjąc się w ciemnościach, widzieć i słyszeć praktycznie wszystko, co działo się na dole, w salonie.

Troje dzieci skuliło się więc w mroku i próbowało zorientować się, co porabia tajemnicza osoba. Zobaczyły jednak coś, co w niczym nie przypominało sytuacji kojarzącej się zazwyczaj z kradzieżą czy włamaniem. Należałoby zacząć od tego, że włamywacze na ogół nie włączają światła.

Dzieci ujrzały wysoką, piękną i ubraną w długą czarną suknię kobietę o ognistorudych włosach, która rzeczywiście przechadzała się po salonie. Miała zakłopotany, a może zaniepokojony wyraz twarzy i niemal bez przerwy wpatrywała się w podłogę. Było oczywiste, że na kogoś czeka. A tym kimś mogli być tylko rodzice.

Jacem przez kilka sekund o czymś rozmyślał, a potem pociągnął Jainę za rękaw nocnej koszuli i gestem dał znak Anakinowi, żeby wszyscy wrócili do sypialni. Kiedy znaleźli się znów w mrocznym pokoiku, starszy chłopiec starannie zamknął drzwi... a właściwie jedynie przymknął, obawiając się, żeby hałas nie wzbudził podejrzeń tajemniczej kobiety.

- Posłuchajcie - szepnął tak cicho, jak potrafił. - Dzieje się tu coś dziwnego. Ta pani przysłała, żeby porozmawiać z mamą i tatą. A kiedy rodzice wrócą do mieszkania, z pewnością najpierw zajrzą do nas, żeby upewnić się, że śpimy, a oni mogą spokojnie porozmawiać.

- Znam tę panią - oznajmiła niespodziewanie Jaina. - To Mara Jade.

Jacem otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Jego siostra miała rację. Jak mógł o tym zapomnieć?

Dziewczynka jednak jeszcze nie skończyła.

- Kiedy mama i tata wrócą, musimy być w łóżkach i udawać tak dobrze, jak jeszcze nigdy przedtem, że smacznie śpimy. A gdy już rodzice przekonają się, że zasnęliśmy, wysłizgniemy się z łóżek i wrócimy na podest.

Anakin i Jacem kiwnęli głowami, po czym obaj wskoczyli do łóżek i naciągnęli koce prawie na same głowy.

To zaczynało być naprawdę ciekawe.

Leia zaprosiła zamasztywym gestem Hana i Micmaberlecta, żeby weszli do apartamentu, a potem uczyniła to samo i starannie zamknęła drzwi wejściowe.

- Za chwilę wrócę - oznajmiła. - Muszę sprawdzić, co słychać u dzieci.

Wspięła się po schodach na wyższy poziom i pospieszyła do dziecinnej sypialni. Pchnęła drzwi i spojrzała na słodko śpiące pociechy. Wszystkie cicho, miarowo posapywały. Rączka Anakina, jak zwykle, zwisała poza krawędź łóżka. Leia uklękła obok najmłodszego dziecka, wsunęła rączkę pod koc i delikatnie ucałowała chłopczyka w czoło. Anakin mruknął coś przez sen i obrócił się na drugi bok. Leia rzuciła okiem na bliźnięta. One także smacznie spały. Zadowolona, odwróciła się i wyszła z sypialni. Nie zapomniała starannie zamknąć drzwi za sobą.

Zeszła po schodach do salonu.

- Wszystkie śpią - oznajmiła. - A teraz, Maro, powiedz nam, co to za wiadomość.

Mara miała niewielką torebkę. Otworzyła ją i rozejrzała się po pomieszczeniu. Później kiwnęła głową w kierunku przeciwległej ściany.

- Tam - powiedziała. - Usiądźcie na fotelach.

Pomieszczenie zaprojektowano i umeblowano tak, żeby można było organizować w nim małe, nieformalne zebrania. Pośrodku salonu stały trzy wygodne, podobne do kanap klubowe fotele. Ustawiono je tak, że tworzyły literę U, w której środku stał niski stolik. Całość ustawiono tak, aby osoba siedząca na środkowym fotelu miała plecy

zwrócone ku podestowi schodów. Dzięki temu stojący tyłem do południowej ściany mówca był doskonale widziany przez wszystkich uczestników minikonferencji.

Na południowej ścianie zawieszono także niewielki płaski panel. W tej chwili ukazywał reprodukcję jakiegoś malowidła przedstawiającego jedną z ważniejszych scen koreliańskiej historii. Zawartość pamięci panelu dawało się wszakże modyfikować w taki sposób, aby urządzenie funkcjonowało jako ekran, pokazujący właściwie wszystkie żądane dwu- albo trójwymiarowe obrazy.

Kiedy Han, Leia i generalny gubernator zajęli miejsca na fotelach, Mara przystąpiła do działania. Stanęła, zwrócona tyłem do południowej ściany, wyjęła sześcian z torebki i ostrożnie położyła na blacie stolika. Następnie wyprostowała się i szerokim gestem zaprosiła wszystkich, żeby go obejrzel.

- To właśnie on - powiedziała.

Nikt jednak nie wyciągnął ręki, by go dotknąć. Wszyscy wiedzieli, że sześcian mógł reagować na układ linii papilarnych, skład chemiczny potu czy cokolwiek innego, co chciałby zaprogramować nadawca informacji. Pochylili się jednak nad kostką i zaczęli się jej przyglądać.

- Ma jakieś znaki na spodzie? - zapytał Han, zwracając się do Mary.

- Wierz mi - odparła rudowłosa kobieta. Oglądałam go z góry, z dołu i z boków. Na dolnej płaszczyźnie nie ma absolutnie niczego. Jedyne oznaczenia to te, które widzicie na górnej.

- Wyglądają bardzo podejrzanie - rzekł Solo. - Zupełnie jak imperialny kod, który czasami łamałem, głównie z powodów zarobkowych. „Otworzyć tylko w obecności Leii Organy Solo, samozwańczej przywódczyni tak zwanej Nowej Republiki, Hana Solo i osoby będącej w rzeczywistości generalnym gubernatorem systemu koreliańskiego. Kod Łobuz Anioł Siedem” - przeczytał. - No cóż, jestem pewien, że nie wystawiłbym nadawcy wysokiej oceny za uprzejmość. O co właściwie chodzi z tym Kodem Łobuz Anioł Siedem?

- Och, o nic ważnego - odezwała się Leia. To oznaczenie mojego osobistego kodu dyplomatycznego. Ktoś chce, żebyśmy wiedzieli, że potrafi przeczytać moją korespondencję.

Micmaberlecto cicho gwizdnął, mimo iż takie zachowanie zupełnie z nim nie licowało. Rozstawił na boki długie, wieloprzegubowe nogi i jeszcze niżej pochylił się nad sześcianem. Zapewne chciał mu się lepiej przyjrzeć.

- Ktoś wie, ktoś wie o nas o wiele więcej niż sądzimy - odezwał się w końcu.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - stwierdziła Mara. - Bez względu na to, kim jest nadawca, dlaczego posłużył się właśnie mną jako wysłanniczką? Musiał wiedzieć, że łączące nas stosunki nie zawsze zaliczały się do najbardziej przyjaznych.

- Znam odpowiedź na to pytanie - oznajmiła Leia. - Byłaś druga na jego liście. Pierwszą osobą był Luke. To Luke miał wystąpić w roli posłańca, który przekaże mi tę informację. - Wskazała na sześcian, ale tak, żeby nawet nie musnąć go palcem. Zwróciła uwagę wszystkich na litery widoczne pod naklejoną etykietą. - Nie znam tego języka, ale przypomina mi pisaną formę jawańskiego.

- Jawańskiego? - zdziwiła się Mara.

- Języka, którego używały prymitywne istoty żyjące na rodzimej planecie Luke'a, Tatooine. Mój brat odczytałby wiadomość bez trudu, ale gdyby sześcian wpadł w niewłaściwe ręce, większość ludzi nie zrozumiałaby ani słowa... chyba żeby poświęciła na to sporo czasu. Podobnie było z tobą. Maro... nie miałaś kłopotów ze złamaniem imperialnego szyfru, który dla kogoś innego stanowiłby prawdziwą zagadkę. Założę się, że jawańskie słowa zawierają tę samą informację, tylko przeznaczoną dla Luke'a.

- To dlaczego ja otrzymałam ten sześcian, a nie Luke? - zapytała rudowłosa kobieta.

Leia wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odrzekła.

- Ale ja wiem - odezwał się Han. - Czy przypominacie sobie, że kiedy odlatywaliśmy, Luke miał się spotkać z Calrissianem? Lando chciał, żeby Mistrz Jedi pomógł mu w załatwianiu jakiejś sprawy. Powiedział mi, że zanim przyleci na konferencję, zamierza odwiedzić kilka innych światów. Domyślam się, że namówił Skywalkera, by mu towarzyszył w tej wyprawie, a Luke. zapewne działając pod wpływem impulsu, zgodził się spełnić jego prośbę.

- A zatem nadawca go nie zastał, kiedy chciał dostarczyć ten sześcian - podsumowała Mara. - Ponieważ nie mógł znaleźć Mistrza Jedi, postanowił przejść do realizacji planu awaryjnego. Zmienił szyfr i zaczął się rozglądać za mną. To ma nawet sporo sensu.

- No cóż, ponieważ rozwiązaliśmy pierwszy łamigłówkę, co powiecie na to, żebyśmy przystąpili do odczytania głównej wiadomości? - zaproponował Solo.

- Masz rację - odrzekła Leia. Czy nie zechciałbyś włączyć rejestratora dźwięku i obrazów? Chciałabym mieć wszystko nagrane... na wypadek, gdyby sześcian mógł odtworzyć wiadomość tylko raz, a potem uległ zniszczeniu.

Han odsunął kławkę wpuszczonego w blat stołu niewielkiego panelu, po czym przycisnął jakiś guzik.

- Gotowe - powiedział, spoglądając na żonę.

- Bardzo dobrze - rzekła Leia. - Zaczynamy.

Wyciągnęła rękę i śmiało chwyciła sześcian dwoma palcami. Natychmiast rozległ się cichy pisk, a potem coś głośno szczechnęło. Leia przyjrzała się równobocznej kostce. Zauważyła, że stanowiące jeden bok wieczko odskoczyło o jakiś milimetr albo dwa.

- Zgadza się, miał zareagować na układ linii papilarnych moich palców - powiedziała. Odchyliła wieczko i zajrzała do wnętrza. - Muszę przyznać, że czuję się trochę rozczarowana. Spodziewałam się efektywnego hologramu czy czegoś w tym rodzaju. A w środku znalazłam tylko mikroobwód zawierający jakąś pamięć. - Wyjęła z wnętrza sześcianu małą czarną kostką i podała ją mężowi. - Hanie, czy jest tam jakiś odtwarzacz?

- Ta-a - odparł mężczyzna, po czym wyjął mikroobwód z palców żony. Uważnie obejrzał go ze wszystkich stron. - No cóż, z pewnością nie jest jednorazowy - powiedział. - Możemy odtwarzać zapisaną informację, ile razy zechcemy.

Umieścił mały prostopadłościan w otworze czytnika, także umieszczonego w rogu blatu stołu. Natychmiast z ekranu panelu, wiszącego na południowej ścianie zniknęła

reprodukcja malowidła. Przez pewien czas nie pojawiało się na nim nic innego. Mara Jade przeszła w kąt salonu.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Han.

Kiedy usłyszał zgodny pomruk potakujących głosów, pstryknął jakimś włącznikiem.

Nie rozległ się żaden dźwięk ani nie ukazał żaden obraz. Dopiero po chwili na ekranie pojawiły się długie rzędy liczb, oddzielonych przerwami. Zajęły całą powierzchnię ekranu. Głos usłyszeli po następnych kilkunastu sekundach. Jakiś mężczyzna powiedział z wyraźnym koreliańskim akcentem:

- To jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymacie, zanim przystąpimy do działania. Nie zawiadamiajcie nikogo o tym, że otrzymaliście tę wiadomość, i cierpliwie czekajcie na dalsze instrukcje, żebyśmy nie musieli uciekać się do innych środków. Przechwytyjemy wszystkie wysyłane informacje i sygnały, a zatem nie kontaktujcie się z nikim ani nie próbujcie wzywać pomocy. Jakikolwiek nieposłuszeństwo tylko przyspieszy realizację naszych planów.

Liczby i cyfry pozostały na ekranie, ale nieznajomy mężczyzna nie dodał już ani słowa. Han zmarszczył brwi.

- Ten głos brzmiał niemal tak, jakbym to ja mówił - zauważył. - Dlaczego ktoś mógłby chcieć naśladować ton mojego głosu?

- Gdyby ktoś rzeczywiście chciał - odezwała się Mara - mógłby to zrobić o wiele lepiej. Głos był tylko podobny do twojego, ale z pewnością mówił kto inny.

- Co oznaczają te liczby? - zainteresowała się Leia, spoglądając na ekran panelu.

- Z prawej strony to współrzędne statyczne jakichś gwiazd - oznajmił Han. - Wyliczone z dokładnością do trzech miejsc po przecinku. Zestawami takich współrzędnych posługiwali się nawigatorzy imperialnej Marynarki, ale aż tak dokładnymi wartościami dysponują jedynie dowódcy okrętów floty Nowej Republiki. Bez względu na to, kto przesyła nam te zestawy, zdobył je z tajnych baz danych naszej Marynarki. Musiał uzyskać dostęp do pamięci centralnego komputera sztabu albo uciec się do staromodnego, pospolitego przekupienia jakiegoś urzędnika... a może ma wysoko postawionych przyjaciół, potajemnie sprzyjających jego zamiarom. Co jednak najważniejsze, są to bardzo aktualne dane.

Ponieważ gwiazdy były w ciągłym ruchu, krążąc wokół jądra galaktyki, ich współrzędne ulegały nieustannym zmianom. Pragnąc określić dokładne położenie, należało zatem podać nie tylko zestaw współrzędnych przestrzennych, ale również chwilę, której dotyczyły.

Han przyjrzał się uważniej wyświetlanym liczbom.

- Jeżeli się nie mylę - zaczął - mamy tu współrzędne punktów rozmieszczonych wewnątrz bąbla o nieregularnych kształtach albo zdeformowanej kuli, której środkiem jest słońce systemu Korelii... a ostatni zestaw współrzędnych oznacza punkt, w którym znajduje się w tej chwili sam Korel. Wiem to, ponieważ niedawno, kiedy tu leciałem, sam wpisywałem te dane do pamięci komputera nawigacyjnego „Sokoła”. Domyślam się, że reszta współrzędnych dotyczy obecnej lokalizacji wszystkich pozostałych gwiazd.

- Liczby po lewej stronie ekranu są chwilami, podanymi w formacie astronomicznym - zauważyła Mara. - Nie posługują się nimi astrogatorzy gwiazdnych statków, ale astronomowie. Co więcej. określono je z bardzo dużą dokładnością. Ta pierwsza, na samej górze, minęła mniej więcej przed szesnastoma dniami. Pozostałe dotyczą przyszłości.

- Inaczej mówiąc - domyślił się Han - jeżeli nie będziemy posłuszni i nie zrobimy tego, czego wymaga od nas mówiący moim głosem nieznajomy, coś złego wydarzy się w podanych punktach przestrzeni i określonych chwilach. Tylko co?

- Płonące niebios - odezwał się nagle gubernator Micamberlecto. Zerwał się z fotela i wyprostował na całą wysokość. - Płonące, płonące niebios. Przed trzema dniami pojawił się na niebie jakiś probot i zażądał od Wojsk Obrony Planety wysłania sygnału namiarowego. Kiedy funkcjonariusze WOP go przechwycili, znaleźli adresowaną do mnie wiadomość. Ktoś przesłał mi tylko obraz eksplodującej planety i podał zestaw szczegółowych współrzędnych czasoprzestrzennych. Nic więcej. Wspominam o tym jednak, ponieważ eksplozja miała miejsce dokładnie przed szesnastoma dniami.

Han wzruszył ramionami.

- To oznacza jedynie, że ktoś zadał sobie trud, żeby zarejestrować eksplozję jakiejś supernowej. I co z tego? Maro, kiedy otrzymałaś tę wiadomość?

- Przed czternastoma dniami - odparła kobieta. - A więc już po tym, kiedy wybuchła tamta gwiazda.

- Pierwotnie to Luke miał otrzymać sześcian - przypomniała Leia. - Zakładając, że nadawca musiał poświęcić kilka dni, aby dowiedzieć się, iż Luke odleciał, a później jeszcze trochę czasu na wysłanie wiadomości Marze, zapewne zarejestrował informację w pamięci mikroobwodu, zanim doszło do eksplozji tamtej gwiazdy.

- O ile nie jest bardzo zręcznym oszustem - nie dawał za wygraną Solo. - Kiedyś, w dawnych czasach, do podobnych sztuczek mógł się uciekać nawet Lando. Przypuśćmy, że ktoś zauważył i zarejestrował tę eksplozję, a potem wprowadził do pamięci fałszywe dane dotyczące miejsca i czasu, po czym postarał się, żeby wszystko wyglądało tak, jakby zamierzał wysłać sześcian Luke'owi, ale nie mógł go odnaleźć. Po to, żebyśmy doszli do wniosku, że właśnie nadawca odpowiada za tę eksplozję. Żebyśmy uważali, że naprawdę musimy się go obawiać.

Micamberlecto odwrócił się w jego stronę.

- Moi naukowcy oświadczyli, że gwiazda, którą oglądali na zarejestrowanym nagraniu, w żadnym wypadku nie mogła sama eksplodować - powiedział. - Nie potrafili wytłumaczyć, jakim cudem przemieniła się w supernową. Chcieli natychmiast wysłać w tamto miejsce statek z ekipą naukowców, którzy wszystko zbadaliby i wyjaśnili. Oświadczyłem jednak, że w tej chwili nie mamy dość środków na taką wyprawę...

- Teraz jednak powinien pan znaleźć jakieś środki - przerwała mu szorstko Mara. - Solo ma rację. To wszystko może być sprawka jakiegoś piekielnie sprytnego oszusta, ale może nie wolno nam wykluczyć, że ktoś naprawdę potrafi zmuszać słońca, żeby eksplodowały... i radzi sobie z tym lepiej niż z wysyłaniem wiadomości. Nie sądzę, aby mógł pan pozwolić sobie na założenie, iż to tylko podstęp albo podła sztuczka.

- Nie, z pewnością nikt z nas nie może tego zakładać - zgodził się z nią Han. Posługując się miniaturową klawiaturą, zajął się wpisywaniem wyświetlanych współrzędnych do pamięci podręcznego komputera. - Pierwsza gwiazda na liście to słońce niezamieszkałego systemu - oznajmił po chwili. - Wszystkie pozostałe mają planety, na których mieszkają inteligentne istoty. Wygląda na to, że gwiazdy na ekranie uszeregowano pod względem liczby istot zamieszkujących ich systemy. Na jednej z planet drugiego systemu gwiazdowego istnieje niewielka kolonia, ale na następnej z listy... - Sprawdził informację wyświetlaną na miniaturowym ekranie i z niedowierzaniem pokręcił głową. - Jedna zamieszkała planeta, osiem milionów mieszkańców, kiedy ich ostatnio policzono. I, jak mówiłem, ostatnią gwiazdą na tej liście jest Korel.

- Postępujcie dokładnie tak, jak wam każemy - szepnęła Leia. - Wykonujcie nasze rozkazy, gdyż w przeciwnym razie wszystkich zabijemy.

Po drugiej stronie salonu, w samym kącie długiego podestu schodów, a właściwie na progu korytarza wiodącego do sypialni, wszystkim przysłuchiwała się trójka zdrtwiałych z przerażenia bezbronnych dzieci.

Konspiracyjny Przywódca Ligi Ludzkiej, czuwający w bunkrze ukrytym głęboko pod Koronetem, właśnie zapoznawał się z treścią ostatnich raportów. Mężczyzna zachowywał absolutny spokój; na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Możliwe, że jego podwładni oczekiwali na jakieś oznaki zadowolenia. Zapewne spodziewał się, iż na wieść o tym, że wreszcie nadeszła od dawna oczekiwana chwila i wszystkie kawałki łamigłówek znalazły się na swoich miejscach, ich wódz triumfująco się uśmiechnie albo coś wykrzyknie. I właśnie dlatego on był Przywódcą, a oni podwładnymi. Podwładni mogli sobie pozwolić na okazywanie emocji. Konspiracyjny Przywódca powinien je starannie ukrywać... podobnie jak swoją tożsamość.

Mimo to cieszył się w duchu, że długie oczekiwanie dobiegło końca. Wszystko było gotowe. Wszystko, ku czemu dążył, co planował i co chciał osiągnąć, znalazło się w zasięgu jego ręki. Nadeszła pora.

Konspiracyjny Przywódca odrzucił wydruk na blat stołu, po czym rozparł się w fotelu.

- Zaczynać - wydał rozkaz.

R O Z D Z I A Ł

18

POWSTANIE

- Hanie! Hanie! Wstań i podejdź do okna!

Leia energicznie szarpała jego ramię.

Han obudził się i z wysiłkiem usiadł, a potem, potknąwszy się, wstał z łóżka.

- Tak? Co się stało? - wymamrotał, wciąż jeszcze nie do końca rozbudzony.

Popatrzył na ścienny chronometr i upewnił się, że miał rację. Jak podejrzewał, spał zaledwie kilka godzin. Poprzedniego wieczoru późno poszedł spać, ponieważ wszyscy starali się ocenić sytuację, przewidzieć konsekwencje groźby i ewentualnego nieposłuszeństwa, a także ułożyć plan działania. Niestety, niczego nie uzgodnili.

- Spójrz przez okno! - powiedziała Leia. - Tam! Na południe od nas!

Han podszedł do okna, wyjrzał przez nie i cicho zaklął.

- Diabły w przestworzach! - mruknął. - Zaczęło się. Wiedziałem, że się zacznie!

Spomiędzy zabudowań miasta, jakieś trzy kilometry od Korony, wznosił się w niebo słup czarnego dymu. Han otworzył okno i usłyszał stłumione, ale całkiem wyraźne wycie syren alarmowych, jakieś okrzyki i odgłosy strzałów blasterowych.

- Co się zaczęło? - zapytała Leia.

- Płonie Enklawa Selonian - odparł Han z goryczą. Sprawiał wrażenie zmęczonego, a może tylko przygnębionego. - Ktoś albo coś doprowadziło do wybuchu... a teraz wydarzenia potoczą się jak lawina.

Z oddali napłynął stłumiony huk eksplozji, a po sekundzie czy dwóch oboje poczuli lekki wstrząs, od którego cichutko zadrżały szyby w oknie.

- Dalekosiężny granat udarowy - oznajmił Han. - Mniej więcej trzy kilometry od nas. Prawdopodobnie w samym sercu enklawy.

Ujrzeni, że w innym miejscu również uniósł się w niebo słup dymu. Wznosił się, powoli, ale po chwili pojawił się następny i jeszcze jeden.

- To nie jest przypadek - stwierdził Solo. - To niemożliwe. Musieli nas obserwować. Ktoś zameldował, że Mara przekazała nam tę informację, a wówczas ktoś inny podjął decyzję o ataku. Nie mogło być inaczej.

- Chodźmy - zdecydowała Leia. - Musimy odszukać generalnego gubernatora.

- A co z dziećmi? - zaniepokoił się Han.

- Zostaną pod opieką Chewbacci - odparła Leia. - Mają też Ebrihina i Qiunine. Nic im nie grozi. Chodźmy.

Znaleźli Micamberlecta w gabinecie - tym samym, z którego okien oglądali procesję demonstrantów z płonącymi pochodniami. Kiedy weszli do środka, stwierdzili, że za oknami znów widać ogień; tym razem jednak płonąła Enklawa Dralów. Wtedy w gabinecie panował półmrok, spokój i cisza. Teraz w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu roiło się jak w ulu. Wciąż wybiegali i wbiegali posłańcy i kurierzy, asystenci wykrzykiwali coś do różnych mikrofonów, a dwóch mężczyzn w mundurach gwiazdnej Marynarki zawieszało właśnie na ścianie gigantyczny plan stolicy. I nie, Han poprzedniego dnia się nie pomylił; w pomieszczeniu i tam krzątało się kilku rzekomych delegatów na konferencję, którzy pomagali teraz zorganizować sieć awaryjnej łączności. No cóż, nie było sensu, aby agenci Wywiadu Nowej Republiki dłużej udawali, że są kimś innym niż w rzeczywistości.

- Takie sceny dzieją się wszędzie, dosłownie wszędzie - odezwał się na widok Hana i Leii generalny gubernator. - Nie tylko tu, w Koronecie, ale we wszystkich innych miastach tego świata. I na pozostałych planetach, pozostałych planetach także.

- Gdzie i kiedy to się zaczęło? - zapytał Han.

- Wygląda na to, że do pierwszego incydentu doszło mniej więcej przed ośmioma godzinami... na jednym z przedmieść Bela Vistal, zamieszkiwanym głównie przez Selonian - odparł Micamberlecto. - Ktoś kogoś zaczepił albo uderzył i tak się, zaczęło, tak zaczęło. Od tamtej pory zamieszki rozprzestrzeniły się na inne dzielnice. Drelowie atakują Selenian, istoty obu tych ras zaczepiają ludzi, a ludzie... ludzie napadają na wszystkich, napadają na wszystkich. Dosłownie wszędzie. Tu, na Dralii i na Selonii... a z ostatnich meldunków wynika, że to samo zaczyna się dziać również na Talusie i Tralusie.

- Miałaś rację, Hanie - odezwała się Leia. - To nie może być dziełem przypadku. Ktoś to musiał starannie zaplanować. Wykluczone, żeby zamieszki same wybuchły wszędzie jednocześnie. Ktoś musiał wydać rozkaz do ataku, a uczynił to w chwili, kiedy dowiedział się o naszym spotkaniu z Marą.

- Tak, tak - oświadczył pospiesznie Micamberlecto. - Ja także wyciągnąłem taki sam wniosek.

- A co z funkcjonariuszami Wojsk Obrony Planety? - zainteresował się Solo.

Poprzedniego dnia doszedł do wniosku, że im ufa, a przynajmniej niektórym. Teraz jednak już nic nie było takie pewne.

- Niemal wszystkie oddziały lądowe są nadal z nami, nadal z nami - oznajmił generalny gubernator. - Pozostały lojalne wobec Nowej Republiki. Nie zdołałem wszakże skontaktować się z żadnym ważnym dowódcą oddziałów gwiazdnych, oddziałów gwiazdnych.

- To właśnie oddziały gwiazdne Wojsk Obrony Planety przypuściły na nas ten fałszywy atak - przypomniał Han. - Nie może pan uważać ich za sprzymierzeńców,

panie gubernatorze. Oni nie stoją już po pana stronie. A prawdę mówiąc, nigdy nie stali.

Na panelu komunikatora gubernatora generalnego zapaliła się czerwona lampka. Ujrawszy ją, Micamberlecto przycisnął jakiś guzik.

- Mówi generalny gubernator - powiedział do mikrofonu.

- Panie gubernatorze, tu kapitan Boulta z sił lądowych Wojsk Obrony Planety - padła odpowiedź z głośnika. Siły lądowe WOP. - pomyślał Han. - Lojaliści. Wszystko wskazywało na to, że oddziały Wojsk Obrony Planety wymyśliły nazwy na określenie obu stron biorących czynny udział w walkach. - Moi ludzie usiłowali dostać się do magazynów zaopatrzenia naszych sił gwiazdnych, żeby zabrać stamtąd sprzęt, niezbędny do tłumienia rozruchów. Siły gwiazdne uniemożliwiły nam dostęp do bazy. Jestem prawie pewien, że pomagali im ludzie w mundurach wojsk Nowej Republiki.

- Marynarki? - zapytała Leia. - Marynarka przeszła na ich stronę?

- Nie - odparł Han. - Tylko stoczniovcy, chociaż to i tak paskudna sprawa. Nie zapominaj jednak, że kiedyś była to stocznia imperialna. Do Marynarki Nowej Republiki zaciągnęło się na Korelii wielu wojskowych, którzy przedtem służyli w oddziałach Imperium. Teraz wiemy przynajmniej, dlaczego. - Han odwrócił się do generalnego gubernatora. - A jak wygląda sytuacja w cywilnym kosmoporcie? - zapytał.

Micamberlecto pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia - wyznał szczerze. - W tej chwili trudno coś powiedzieć na pewno. Za mało mam ludzi. Wszyscy są tu, zajęci obsługiwaniem sprzętu. Wszyscy są lojalni i mogę im ufać, ale przynajmniej połowa sprzętu łączności nie funkcjonuje. Jesteśmy bezradni, jesteśmy bezradni. Nie możemy zrobić nic, absolutnie nic poza przyglądaniem się i czekaniem na rozwój sytuacji.

Han popatrzył na Frozjanina i zrozumiał, że ma on rację.

Nie mógł mu w niczym pomóc. Odwrócił się, podszedł do okna i zaczął obserwować, jak płonie stolica jego rodzinnej planety.

Parę godzin później nadeszło kilka informacji, dzięki którym można było wyrobić sobie nieco lepszy pogląd na wciąż jeszcze niezbyt jasną sytuację. Wszystko wskazywało na to, że rebelianci byli członkami Ligi Ludzkiej. Zapewne przygotowywali się od dawna i czekali tylko na sygnał do ataku. Okazało się jednak, że nie próżnowali również Selonianie i Dralowie, którzy szczerze nie znosili coraz częstszych burd, awantur i demonstracji. Oni także sposobili się do walki i czekali, aż zostaną zaatakowani. A członkowie Ligi najwyraźniej nie spodziewali się oporu z ich strony.

Przesyłane meldunki pozwalały się domyślać, że mieszkający na terenie Enklaw Koronetu Selonianie i Dralowie odparli atak oddziałów Ligi, aczkolwiek przyszło im to z wielkim trudem. Niestety, nie napłynęły żadne wieści o tym, jak wyglądała sytuacja w Bela Visual czy jakimkolwiek innym większym koreliańskim mieście.

Raporty przekazywane z Dralii i Selonii informowały tylko, że i tam toczą się zacięte walki. Nikt jednak nie potwierdził tych informacji.

Sytuacja na Bliźniaczych Światach była jeszcze bardziej skomplikowana. Z Talusa meldowano, że połączone siły Dralów i ludzi odparły zaciekły atak przypuszczony przez oddziały dobrze wyszkolonych Selonian, ale nikt nie umiał powiedzieć, czy powinno się dawać wiarę tym raportom. Podobno koalicja ludzi i Dralów opanowała także Stację Centerpoint. Sytuacja na Tralusie wyglądała zupełnie inaczej. Mieszkający tam Selonianie i Dralowie sprzymierzyli się i stawiali czoło atakom ludzi.

Jasne było jedynie to, że wszystkie trzy grupy walczących istot - ludzie, Selonianie i Dralowie - starały się opanować jak największe obszary, a przy okazji tyle gwiazdnych statków i urządzeń, ile potrafiły.

Krótko mówiąc, zapanował chaos.

Chewbacca postanowił rozładować frustrację i z głośnym rykiem wybił pięścią jeszcze jedną dziurę w ścianie. Później chwycił lampę i usiłował wyrzucić ją przez powstały otwór. Lampa jednak utknęła, tak że część wystawała ze ściany.

- Nie przejmuj się tak, Chewie - odezwała się Jaina. - Nie musisz się niczego bać, skoro jesteś z nami.

- Chyba nie chodzi o to, że on się boi, Jaino - poprawił ją Jacen. - Niecierpliwisz się, bo chcesz walczyć, prawda, Chewbacco?

Rosły Wookie energicznie pokiwał głową, a potem uniósł nad głowę kosmate ręce i jeszcze raz głośno zarzycał.

- Ja też nie wiem, przeciwko komu - przyznał zmartwiony chłopiec. - Wygląda na to, że tam, na dworze, wszyscy walczą ze wszystkimi innymi.

W głębi ducha był absolutnie pewien, że przynajmniej połowa frustracji Chewbacca wynikała z faktu, iż Wookie musiał pełnić obowiązki niańki trojga niemądrych bachorów. Doszedł jednak do wniosku, że chyba nie istniał żaden taktowny sposób, by to Chewiemu powiedzieć.

- Czy rozumiesz, o co w tej chwili chodzi, Ebrihimie? - zapytała Jaina, zwracając się do opiekuna i nauczyciela. Dral i Qiunine stali przy oknie, i to chyba bez przerwy od samego rana. Obserwowali, jak sytuacja w stolicy pogarsza się dosłownie z godziny na godzinę.

Ebrihim zasepił się jeszcze bardziej i pokręcił głową.

- Rozumiem i nie rozumiem - powiedział. - Jedne istoty walczą z drugimi, ale przypuszczam... nie, jestem całkiem pewien, że olbrzymia większość walczących istot wszystkich ras wolałaby żyć w przyjaźni i pokoju. Do walki parli głównie awanturnicy i durnie, którzy wiedzą tylko, jak innych winą obarczać za własną głupotę. To właśnie oni dali sygnał do ataku. A teraz walki trwają i obawiam się, że nieprędko ustaną. Na razie nawet z każdą godziną coraz bardziej nasilają się i rozprzestrzeniają. Podejrzewam, że przez jakiś czas sytuacja nie ulegnie zmianie. Człowiek będzie zabijał Selonianina, a Selonianin człowieka... z chęci najwykleszej zemsty. Przy okazji jeden albo drugi nie oszczędzi życia Drala, za którym także nie przepada. W odwecie Dralowie zechcą powstać przeciwko obu wrogim rasom, a może tylko jednej albo

drugiej. Niedługo do walki przyłączą się inne istoty najczęściej wbrew własnej woli - ponieważ tak będą im nakazywały więzy krwi.

- Boję się - powiedział cicho Anakin, który prawie cały czas nie ruszał się z krzesła ustawionego przodem do okna.

Jaina podeszła do młodszego brata i usiadła obok niego na tapczanie.

- Nie przejmuj się tak - powiedziała, powtarzając te same słowa, jakimi niedawno usiłowała pocieszyć Chewbacę. - Nie musisz się bać. Nie dzieje się nic strasznego.

Anakin objął rączkami szyję siostry, a dziewczynka zaczęła go kołysać. Wyglądało na to, że lepiej sobie radzi z uspokajaniem małych dzieci niż dorosłych Wookiech.

Nagle rozległ się grzmot potężnej eksplozji, która zakotłosała i zatrzęsała Koroną. Huk był tak ogłuszający, że przypominał coś w rodzaju trzasku. Można było jednak odnieść wrażenie, że nie zdarzyło się nic złego, ponieważ odgłos ucichł niemal natychmiast... tak szybko, że chyba mało kto go usłyszał. Kiedy wysokoścowiec zadygotał, z okien wypadły wszystkie szyby. Ouinine rzucił się z niewiarygodną szybkością i obalił swojego pana na podłogę, dzięki czemu zapewne ocalił mu życie. Odłamki szkła, które mogły pokaleczyć albo nawet zabić Dralę, roztrzaskały się o metalowy korpus automatu. Prerażony Anakin jęknął i z całej siły przytulił do Jainya.

Siła wybuchu powaliła Jacena na podłogę. Zaledwie chłopiec zdążył wstać, kiedy...

TRACH!

Budynkiem wstrząsnęła siła następnej eksplozji, jeszcze bliższej i silniejszej. Jacen ponownie rozciągnął się jak długi. Zamierzał zerwać się na równe nogi, kiedy nagle poczuł, że w powietrze unosi go mocarna kosmata ręka. Spojrzał w górę i przekonał się, że Chewbacca trzyma już drugą ręką jego siostrę i młodszego brata.

Wookie ryknął coś do Jacena, tak głośno i wyraźnie, że chłopiec zdołał zorientować się, o co chodzi.

- Ebrihimie! - wrzasnął, starając się przekrzyknąć świst wichury, jaka nagle zaczęła szaleć po pokoju. - Chewbacca zabiera nas do „Sokoła Millenium”, na dach Korony. Chodź z nami, jeżeli możesz!

Starszawy Dral jednak, ciśnięty podmuchem drugiej eksplozji w kąt pokoju, leżał nieprzytomny na podłodze. Usłyszawszy okrzyk Jacena, Qiuine wysunął dwa metalowe chwytaki i zgarnął swojego pana z podłogi. Potem zwiększył dopływ energii do repulsorów i uniósł się jak zaczarowany.

- Prowadźcie! - zawołał.

BUM!

Jeszcze jedna eksplozja, tym razem nieco dalej. Wysokoścowiec jednak i tym razem zatrzęsł się w posadach. Chewie odwrócił się i ruszył do drzwi, które smętnie zwisały, niemal oderwane od framugi. Przechodząc przez nie, Wookie silnym kopnięciem oderwał je do końca, a później puścił się korytarzem. Automat ruszył za nim.

Turbowinda została zaprojektowana i wykonana w taki sposób, aby wytrzymała nawet silne trzęsienia podłoża. Wciąż jeszcze funkcjonowała.

Chewbacca uderzył w przycisk i po chwili drzwi kabiny rozsunęły się. Rosły Wookie wskoczył, a raczej wpadł do środka, niemal rzucił dzieci na podłogę i odsunął się na bok, żeby wpuścić robota.

Drzwi turbowindy zasunęły się... ale Chewbacca nagle zaryczał, ponownie dając upust frustracji. Zaczął bić pięścią w panel kontrolny, lecz wyglądało na to, że urządzenia sterownicze w ogóle nic działają.

- W porządku, Chewie - odezwał się Jacen. - Na szczęście mam przepustkę.

Wyjął z kieszeni plastikowy kartonik i przycisnął kciuk do miejsca, w którym następowało rejestrowanie układu linii papilarnych. Po chwili wsunął biały prostokąt do szczeliny czytnika. Urządzenia sterownicze obudziły się do życia, a wówczas zadowolony chłopiec przycisnął guzik z napisem DACH. Kabina turbowindy zaczęła łagodnie sunąć w górę.

Pierwsza eksplozja miała miejsce na poziomie gruntu i szczególnie silnie zatrzęsała niższymi piętrami Korony. Drugą wywołało trafienie jakiejś rakiety, która wbiła się w wieżowiec między szóstym a siódmym piętrem. Prawdopodobnie nikt nie był całkiem pewien, gdzie doszło do następnej. W usytuowanym na piątym piętrze gabinecie Micamberlecta chyba żaden mebel nie stał na swoim miejscu. Wszystkie światła zgasły, a systemy i urządzenia łączności przewodowej odmówiły posłuszeństwa. Funkcjonowały już tylko komunikatory. Dwie czy trzy osoby, trafione odłamkami szkła, odniosły lżejsze lub cięższe obrażenia, ale - zapewne jakimś cudem - nikt nie stracił życia.

- Chewie! Chewie! Czy mnie słyszysz? Tu Han. Odezwij się! - gorączkowo krzyczał Solo do mikrofonu kieszonkowego komunikatora. Od chwili pierwszego wybuchu usiłował połączyć się z Wookiem. Dzieci. Tam, na górze, zostały dzieci. Jeżeli przydarzyło się im coś złego... - Chewie! Chewie! Odezwij się, proszę!

- Tata? To ja, Jacen. Tato, czy tobie i mamie nic się nie stało?

- Jacen! Nie, nie, nic nam nie jest! Gdzie się podziewacie?

Ulga, jaka ogarnęła go, kiedy usłyszał głos syna, zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Dzieciaki żyły, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

- Jesteśmy na dachu. Zaraz wejdziemy na pokład „Sokoła Millenium”. Chewie jest zbyt zajęty, żeby teraz rozmawiać.

- Załóż się, że jest. Czy udało mu się wszystkich wyprowadzić z tego piekła.

- Tak! Zabrał nas wszystkich, a Qiuine przyniósł pana Ebrihima. Chewbacca mówi jednak, że musimy odlatywać bez ciebie!

- Ma rację, synku - powiedział Han. - Ma rację. Mama i ja musimy na razie zostać tu, gdzie jesteśmy. - Nie było sensu mówić chłopcu, że nie zdołają przyjść, ponieważ z pewnością turbowinda nie zjechałaby na piąte piętro. Dolna część szybu uległa całkowitemu zniszczeniu... podobnie jak konwencjonalne schody. Han byłby gotów iść o zakład, że miejsca eksplozji wybrano w taki sposób, aby gubernator generalny nie miał szans na opuszczenie gabinetu. - Dołączymy do was, kiedy tylko będziemy mogli. Na razie powinniście robić to, co wam mówi Chewie. A ty musisz zaopiekować się siostrą i młodszym bratem.

- Ale tato...
- Nie mam czasu, żeby ci to wytłumaczyć, synku - przerwał Han. - Wskakuj na pokład „Sokoła” i rób to, co ci powie Chewie. Powtórz Jainie i Anakinowi, że mamusia i tatuś bardzo ich kochają. Ciebie także. A teraz już idź. Pospiesz się, nie ma czasu.
- Do... dobrze - odpowiedział mu łamiący się głosik. - Zrobimy, co będziemy mogli. Do wi... do widzenia, tato.
- Do zobaczenia, synku - odrzekł Han, zastanawiając się, kiedy znów ujrzy swoje dzieci. Istniało duże prawdopodobieństwo, że już nigdy ich nie zobaczy. Wyłączył komunikator i schował do kieszeni, a potem podszedł do Leii, która pochylała się na gubernatorem generalnym. Wyglądało na to, że Micamberlecto przeżył wstrząs, ale nie odniósł żadnych poważnych obrażeń. Z pewnością nie miał złamanej ani jednej kości - co także zakrawało na cud, zważywszy na długość jego kończyn.
- Chewbacca zaopiekował się dziećmiakami - oznajmił Han, zwracając się do żony.
- Przeszli na dach, dostali się na pokład „Sokoła” i lada sekunda powinni wystartować. Wszyscy są cali i zdrowi.
- Dzięki niech będą za to wszystkim gwiazdom - westchnęła z ulgą Leia. - Wysyłałam do dzieci wici Mocy i zorientowałam się, że nie są ranne, ale okropnie przerażone... tak bardzo, że nie potrafiłam dowiedzieć się nic więcej. To dobrze. Bardzo dobrze.
- No cóż, to chyba jedyna pomyślna wiadomość, jaka dotarła do nas od dłuższego czasu - stwierdził Han.

Chewbacca włączył silniki repulsorowe „Sokoła Millennium” i prawie natychmiast, postępując wbrew standardowym procedurom, przesłał do nich największą możliwą dawkę energii. Nie zamierzał czekać, aż któryś z rebeliantów zauważy, co się dzieje, i weźmie ich na muszkę. Frachtowiec wzniósł się pionowo w niebo, a kiedy osiągnął minimalną bezpieczną wysokość, Chewie przekazał energię do głównych silników napędu podświetlnego. Rzecz jasna, nie zwracał sobie głowy wytyczaniem kursu. Statek skoczył do przodu i w górę. Poszybował ku przestworzom i gwiazdom, gdzie pilot i pasażerowie mogli czuć się bezpieczni. Wookie nie wiedział, dokąd leci, ale nie miał innego wyjścia. Przede wszystkim chciał jak najszybciej pozostawić możliwie daleko za rufą Koronet, a może nawet Korelię.

Będzie martwił się celem podróży, kiedy frachtowiec znajdzie się w przestworzach.

Zakładając oczywiście, że przedtem „Sokół” nie rozleci się na kawałki.

Dwie godziny później sytuacja w gabinecie gubernatora generalnego zaczynała powoli wracać do normy. Rzecz jasna, nadal nikt nie mógł nawet marzyć o dostaniu się na niższe poziomy, ale eksplozja, do której doszło na poziomie gruntu, nie wyrządziła tylu szkód, ilu się obawiano, i nie odcięła całkowicie drogi ucieczki z Korony. Możliwe, że napastnicy nie mieli takiego zamiaru. Zapewne chodziło im tylko o wyrażenie energicznego sprzeciwu wobec polityki prowadzonej przez Nową Republikę.

Tak czy owak, w tym, co jeszcze pozostało z pierwszego i drugiego piętra, dałoby się znaleźć dwa albo trzy miejsca, skąd można było zeskoczyć, a nawet zejść na ziemię.

Istniało jednak całkiem spore prawdopodobieństwo, że na śmiałków, którzy chcieliby uciekać, czekali w zasadzce strzelcy wyborowi. A zresztą, Han i tak nie sądził, że wyjdzie z tego żywy. Na razie wszystkie istoty przebywające w Koronie były więźniami politycznymi, a może nawet zakładnikami. Tymczasem faceci odpowiedzialni za całą awanturę zapewne nie zaliczali się do przesadnie uprzejmych. Bez wątpienia nie szukaliby pretekstu, żeby rozstrzelać zakładników. Nie, Han nie mógł zastanawiać się, co zrobią nieprzyjaciele, ani czekać bezczynnie na rozwój wydarzeń. Musiał działać. Czekał tylko, aż się ściemni. Miał do wykonania zadanie.

Znalazł ustronny zakątek gabinetu, ponownie wyciągnął komunikator i ustawił nadajnik na inną częstotliwość. Zakładał, że zostanie usłyszany. Starał się też nie myśleć, czy urządzenia podsłuchowe albo zakłócające pracę komunikatorów są włączone, czy pozostały nieczynne. Musiał zaryzykować. Nie było innego wyjścia. Gdyby mówiąc, posługiwał się niezrozumiałymi ogólnikami albo zaszyfrowanymi zwrotami, których znaczenia przedtem nie uzgodnił, mógłby doprowadzić do fatalnego nieporozumienia.

- Tu Solo do Kalendy - zaczął. - Zgłoś się. Zgłoś się. Czy mnie słyszysz? Odbiór. - Żadnej odpowiedzi. Spróbował zatem jeszcze raz: - Tu Solo do Kalendy. Zgłoś się. Zgłoś się. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

- Tu Kalenda odezwała się agentka Wywiadu Nowej Republiki. - Zaczynałam się już martwić.

- Jeszcze nie przestawaj - doradził jej Han. - Sytuacja nie ulegnie poprawie. Mam dla ciebie zadanie. Musisz je koniecznie wykonać. Czy sadzisz, że zdołałabyś zakraść się do kosmoportu i porwać gwiazdny statek? Taki, który miałby napęd nadświetlny?

- Możliwe - odparła kobieta. Ale to nie będzie spacerek.

- Najwyższy czas, żebyś pokazała, co potrafisz. A poza tym, może zdołam ci pomóc. Spróbuję wydostać się stąd jakąś godzinę po zachodzie słońca. Czy tam, gdzie się ukryłaś, masz jakiś nie rzucający się w oczy pojazd kołowy albo poduszkiwiec?

- Mam pojazd.

- To dobrze - odparł Solo. - A zatem spotkajmy się po upływie trzech godzin, licząc od tej chwili, na rogu Gwiazdowego Liniowca i Volbicka. - Nie zwracał sobie głowy pytaniem, czy Kalenda wie, gdzie to jest. Gdyby funkcjonariuszka WNR nie potrafiła sama znaleźć rogu właściwych ulic, mogliby uznać, że już nie żyją. - Mam dla ciebie pakunek, bardzo mały. Trzeba doręczyć go bezpośrednio i osobiście Mon Mothmie, admirałowi Ackbarowi albo Luke'owi Skywalkerowi.

- Czy nie za wiele ode mnie wymagasz? - zapytała Kalenda.

- Staram się unikać myślenia o drobiazgach - odrzekł Han. - Do zobaczenia za trzy godziny. Bez odbioru.

Chewbacca ryknął gniewnie, jakby pragnął odstraszyć dwa kieszonkowe patrolowce, które zataczały łuk, szykując się do następnego ataku. Ich piloci zauważyli „Sokoła”, kiedy wyskoczył ponad atmosferę, i od tamtej pory nieustannie go atakowali.

Zazwyczaj para kieszonkowych patrolowców nie potrafiłaby zagrozić „Sokołowi Millenium”, ale teraz funkcję drugiego pilota pełnił robot, a załogę stanowiła trójka małych dzieci. Chewie nie mógł liczyć na nic więcej ponad to, że będą spokojnie siedzieli, przypięci pasami do foteli. Nikt nie mógł pomóc mu w walce z myśliwcami ani patrolowcami. Żadne dziecko nie potrafiło obsługiwać czterolufowych działek laserowych, a zatem frachtowiec leciał pozbawiony połowy siły ognia. Chewbacca musiał sam pilotować statek i walczyć.

Zadarł dziób „Sokoła” i przygotował się do odparcia kolejnego ataku. Zaczął strzelać z dziobowych laserów i trafił jeden kieszonkowy patrolowiec. Drugi przeleciał jednak nad skrzydłem sterburkowym, a jego pilot nie przestał strzelać z bliska długimi seriami. Jakiś zabłąkany strzał przedarł się przez pola osłon i frachtowiec konwulsyjnie zadrzał pod działaniem siły trafienia. Chewbacca wykonał jeszcze jeden zwrot, wziął na cel drugi patrolowiec i otworzył ogień. Trafił ostatnią serią i nieprzyjacielska maszyna zamieniła się w całkiem widowiskową kulę ognia i rozżarzonych szczątków. Jeżeli chodziło o pozbycie się wrogów, Chewbacca miał szczęście, ale nie musiał nawet rzucać okiem na pulpity panelu kontrolnego, żeby wiedzieć, iż ten jeden jedyny, przypadkowy, zabłąkany strzał zniszczył część jednostki napędu nadświetlnego.

Nie mogli opuścić przestworzy systemu koreliańskiego.

Następna i zarazem największa niespodzianka spotkała uwięzionych w gabinecie gubernatora generalnego zakładników mniej więcej godzinę przed zachodem słońca. Od samego świtu ekrany holokomunikatorów i konwencjonalnych monitorów, transmitujących zazwyczaj obrazy nadawane przez miejscowe stacje i rozgłosnie, nie pokazywały nic poza srebrzystymi iskrami trzasków i zakłóceń. W pewnej chwili jednak iskry zniknęły, a na ekranach pojawił się wizerunek, który Han miał już okazję widzieć. Równocześnie rozległy się dźwięki fanfar i terkot wojskowych werbli.

Wszystkie zebrane w gabinecie istoty ujrzały stylizowaną ludzką czaszkę, trzymającą sztylet w zaciśniętych zębach. Pod czaszką pojawił się napis: LIGA LUDZKA. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto jest górą... przynajmniej w Koronecie.

Fanfary trwały kilka minut, jakby wzywały wszystkich, żeby przyszli, słuchali i patrzyli. Han, Leia i gubernator Micamberlecto stanęli przed największym ekranem holograficznym, jaki jeszcze funkcjonował, i czekali na to, co zobaczą.

Nikt jednak nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Kiedy w końcu trupia czaszka zniknęła z ekranu, zastąpiła ją twarz mężczyzny. Na ten widok przynajmniej połowa widzów zapomniała o oddychaniu, a wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Hana. Ponieważ to jego twarz pojawiła się na ekranie. Twarz w obramieniu ciemnobrązowych włosów, tu i ówdzie poprządkanych pasemkami siwizny. Trochę bardziej nalana i okolona ciemną brodą. Oblicze o zaciętym, ponurym wyrazie, zupełnie nie pasującym do osobowości Hana Solo. Jednak mimo tych wszystkich różnic między Hanem a mężczyzną patrzącym z ekranu holograficznego, podobieństwo było tak uderzające, że wprawiało wszystkich w zdumienie. Han wpatrywał się w ekran, czując, że jego serce wali jak młotem, a wnętrza dłoni zaczynają się pocić. To było niemożliwe. Niemożliwe. Niemniej prawdziwe.

- Istoty ludzkie mieszkające na Korelii! - odezwał się mężczyzna z ekranu i to wystarczyło, żeby prawie wszyscy zachłysnęli się powietrzem po raz drugi. Nieznajomy nie tylko wyglądał jak Han; miał również taką barwę głosu! Jestem Konspiracyjnym Przywódcą Ligi Ludзей Korelii i postanowiłem ujawnić wam swoją tożsamość. Wielu spośród was uświadamiało sobie fakt mojego istnienia, ale zapewne nie wiedziało, kto ma zaszczyt piastować tak odpowiedzialne stanowisko. Oświadczam zatem, że to ja jestem Konspiracyjnym Przywódcą. Nazywam się Thrackan Sal-Solo!

Leia wpatrywała się w ekran jak urzeczona. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Hanie... ten mężczyzna - odezwała się w końcu. - Przecież on jest...

- Moim kuzynem - wpadł jej w słowo Han beznamiętnym tonem, który jednak zdradzał gniew, gorycz i frustrację. Oto nagle dogoniła go przeszłość, przed którą uciekał... jak dotąd sądził, z powodzeniem. - Cioteczny brat, syn siostry mojego ojca - dodał po chwili. - Paskudny gość, żeby nie użyć bardziej dosadnego określenia. Myślałem, że zginął albo zmarł przed wielu laty, zanim jeszcze opuściłem Korelię. Okazuje się jednak, że tylko ukrył się albo przyczaił, a w każdym razie przestał rzucać się ludziom w oczy. - Popatrzył na ekran... na twarz, która tak bardzo przypominała jego własną. - Oczywiście - ciągnął po namyśle - czasami zdarzało się że inni ludzie myśleli, iż to ja nie żyję.

- To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego bojówkarze Ligi Ludzkiej najpierw cię pochwycili, a potem uwolnili - rzekła Leia. - Musieli dojść do wniosku, że jesteś sobowtórem albo kiepsko próbujesz podszywać się pod ich przywódcę. Rozumiem też, dlaczego tak podobnie brzmiał głos osoby przedstawiającej nam tamto ultimatum.

- Powinienem być się tego domyślić - powiedział Han. - Możliwe nawet, że cały czas wiedziałem, tylko nie chciałem się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Tymczasem Thrackan Sal-Solo nie przerywał przemówienia.

- Byłem kiedyś jednym z wyższych urzędników w imperialnym rządzie, który sprawował władzę w tym sektorze - ciągnął. - Oficjalnie mianowanym następcą ostatniego lojalnego względem Imperium Dyktatora. Nie miałem szansy służyć Korelianom, ponieważ władzę przechwyciła samozwańcza Nowa Republika. A zatem, jako prawowity władca sektora, oświadczam, że mianuję się nowym Dyktatorem Korelii.

- Moi zaufani towarzysze i ja czekaliśmy długo... i ciężko pracowaliśmy, aby ten dzień nadszedł jak najszybciej. Dzisiaj nastał... Dopiero teraz możemy przekreślić politykę, zdradzieckiej Nowej Republiki, która uważa, że wszystkie istoty mają równe prawa. Co więcej, niniejszym oświadczam, iż występujemy z tak zwanej Nowej Republiki. Od tej chwili jesteśmy niezależni i nie będziemy uznawali nad sobą zwierzchności żadnego republikańskiego gubernatora.

A jeżeli ktoś wątpi w to, że ja i moi towarzysze dysponujemy odpowiednią siłą na poparcie naszych oświadczeń, dodam coś jeszcze. Mniej więcej przed dwoma tygodniami na obrzeżach sektora koreliańskiego doszło do eksplozji gwiazdy supernowej. Rzekomy gubernator generalny otrzymał niedawno przekonujące dowody,

że za wywołanie tej eksplozji odpowiada Liga Ludzka. Wie zatem, że jeżeli nasze żądania nie zostaną spełnione, nie zawahamy się przed zniszczeniem kolejnej gwiazdy.

- Chwileczkę! - zaprotestował Han. - Ultimatum, które przekazał nam poprzedniego wieczoru, zawierało żądanie, żebyśmy nikomu o tym nie mówili. Dlaczego teraz sam trąbi o tym na prawo i lewo?

- Cśśś - uspokoiła go Leia. - Musimy wysłuchać, co ma do powiedzenia.

- Żądamy zatem, żeby tak zwana Nowa Republika rozpoczęła w ciągu najbliższych trzydziestu dni standardowych operację wysiedlenia z Korelii wszystkich Dralów, Selonian i innych istot nie będących ludźmi - ciągnął Sal-Solo. - W przeciwnym razie będziemy zmuszeni postępować zgodnie z planami i doprowadzimy do eksplozji następnego słońca.

Tym razem zaprotestowała Leia.

- Czy on oszalał? - zapytała. Nawet gdybyśmy tu sprowadzili wszystkie transportowce, jakimi dysponuje galaktyka, nie mielibyśmy dość czasu na całkowitą ewakuację istot. I dokąd mielibyśmy je przesiedlić?

Thrackan Sal-Solo uśmiechnął się do obiektywu kamery, ale jego oczy pozostały lodowate i nieprzejednane.

- Oto nastał dzień, na który wszyscy czekaliśmy. Trwało to długo, bardzo długo... całe lata. To wielki dzień, przełomowa chwila. Dopiero dzisiaj możemy zacząć budować nowe społeczeństwo wszystkich istot ludzkich tego sektora, nieskrępowanych i nieskażonych na skutek kontaktów z podrzędnymi rasami. Niedługo ustaną walki i powróci spokój. Już wkrótce nad wszystkim zapanujemy. Zanim upłynie kilka następnych dni, nasz rząd wyda kolejne oświadczenia. Przyszłość zapowiada się obiecująco.

Umilkł na chwilę i przestał się uśmiechać, wskutek czego jego spojrzenie nabrało twardości durastali.

- Przyszłość zaś należy do nas - zakończył. - Dziękuję wszystkim i życzę spokojnej nocy.

Ekran holowizyjny ściemniał, a później ponownie zajaśniał miliardami srebrzystych iskier trzasków i zakłóceń. I nagle - tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować rozbrzmiał oślepiającymi kolorami. Równocześnie w gabinecie rozległ się ogłuszający jazgot.

- Zagłuszacze! - wrzasnął Han, starając się przekrzyknąć panujący hałas. Ktoś wyłączył odbiornik hologramów i do pomieszczenia powróciła cisza.

- Na wszystkich częstotliwościach - odezwał się jeden z techników odpowiedzialnych za działanie systemów łączności. - Nadają na wszystkich kanałach i na pasmach.

- To dlatego mogli powiedzieć całą prawdę Korelianom i zażądać, żebyśmy niczego nie mówili pozostałej części wszechświata - domyśliła się Leia. - Tyle że teraz uniemożliwiii nam wszelką łączność. Jakim cudem mamy prowadzić z nimi negocjacje albo wezwać transportowce, jeżeli już o tym mowa?

- Mam przecucie, że wkrótce się tego dowiemy - powiedział Han. - Jeżeli chodzi o mnie, nie zamierzam postępować zgodnie z ich zaleceniami. Za nieco więcej niż godzinę spotkani się z Kalendą. Wręcę jej kopię ultimatum, które dostaliśmy poprzedniego wieczoru. Przekażę także wszystkie inne informacje, jakie zdołamy zebrać do tej pory, a później postaram się odwrócić ich uwagę - w nadziei, że Kalenda porwie z kosmopottu jakiś gwiazdny statek i odleci, żeby sprowadzić pomoc.

- Nie mogę nie zauważyć, że nie zapytałeś, czy ci na to pozwolę - oznajmiła oficjalnie Leia. - Dobrze chociaż, że jesteś ze mną szczery i o wszystkim powiedziałeś - dodała.

- A zatem pozostanę szczery do samego końca i powiem ci, że wątpię abym szybko wrócił - odrzekł Hun. - Osobnicy odwracający uwagę nieprzyjaciół bywają zwykle chwytni, a tym razem nie sądzę, żeby mnie wypuścili, ponieważ wyglądam jak ich przywódca.

- A więc nie mamy wiele czasu - stwierdziła Leia.

Objęła męża i oparła głowę na jego ramieniu.

- Zawsze tak się dzieje, księżniczko - przypomniała Han. - Nigdy nie mamy wiele czasu.

R O Z D Z I A Ł

19

ZAMKNIĘTY KRĄG

- Nie da rady - powiedział Anakin, wpatrując się w urządzenie, które oglądał Chewbacca. - Będziesz musiał wyjść na zewnątrz, żeby to naprawić.

Wookie odpowiedział gniewnym mruknięciem, ale nie przestał poszukiwać uszkodzonego elementu.

- Ja też nie - odparł chłopczyk. - Nie muszą zgadywać. - Pokazał podzespół, do którego Chewbacca jeszcze nie dotarł. - Widzisz? - zapytał. - Ten toroidalny reflektor zrobił bum. Musiał, ponieważ sterburtowy regenerator jonów był źle zestrojony. Nic innego nie mogło tego zrobić.

Chewbacca jęknął, kiedy spojrzął na reflektor. Rzeczywiście, podzespół był spalony.

Z boku, denerwująco blisko, unosił się Qiunine. Chewbacca z dużym trudem powstrzymał się, żeby nie chwycić robota i nie roztrzaskać o najbliższą przegrodę.

- To ciekawe - odezwał się w pewnej chwili automat. - Najwyraźniej Anakin ma rację. Co oznacza, że jeżeli nie wylądujemy i nie zajmiemy się naprawami, nie dokonamy skoku do naprzestrzeni. A ponieważ nie mamy co marzyć o bezpiecznym powrocie na Korelię, proponuję, abyśmy polecili na Dralię. Mieszkają tam ziomkowie mojego pana, więc możemy liczyć przynajmniej na serdeczne powitanie z ich strony.

Chewbacca oparł się o przegrodę i jęknął coś do siebie. Doszedł dokładnie do takiego samego wniosku, ale jakieś dziesięć minut wcześniej. Pomyślał, że na świecie nie ma już nic gorszego od przemądrzałych robotów... z wyjątkiem przemądrzałych robotów, którym musi przyznawać rację.

Kalenda przyglądała się, jak Solo kieruje niepozornym pojazdem kołowym. Na razie wszystko toczyło się zgodnie z planem... prawdę mówiąc, doskonale, jeżeli zważyć na chaos panujący na ulicach miasta. Minęli wiele płonących lub już spalonych gmachów, zniszczonych pojazdów oraz trupów różnych istot. Na szczęście niewielu mieszkańców miało ochotę przebywać na ulicach po zapadnięciu ciemności, a Solo

znał miasto jak własną kieszeń. Prowadził pojazd pogrążonymi w mroku bocznymi ulicami, na które nie zapuszczali się rabusie, bojówkarze Ligi ani bandy najemnych zbirów.

Kobieta popatrzyła jeszcze raz na mikroobwód, który miała przemycić na Coruscant. Zawierał kopię ultimatum i wszystkie inne informacje, o jakich pomyśleli i jakie zapisali urzędnicy generalnego gubernatora. Malutka czarna kostka, nie większa od jej kciuka. To dziwne, że coś tak niepozornego i drobnego może okazać się takie ważne - pomyślała. Jeżeli Liga Ludzka naprawdę nie żartowała w sprawie eksplozji następnych supernowych, życie milionów istot mogło zależeć od tego, czy jej misja zakończy się powodzeniem. Agentka Wywiadu wsunęła mikroobwód z powrotem do kieszeni bluzy, po czym bardzo starannie zabezpieczyła zamek.

- Już prawie dotarliśmy na miejsce - odezwał się Han. - Jesteś gotowa?

- Mniej więcej - odrzekła kobieta. - Chyba bardziej nie można. - Czuła jednak, że to nie wszystko. - Kapitanie Solo, chciałam tylko powiedzieć, że... że jest mi strasznie przykro, bo przecież ja wplątałam twoją rodzinę w tę awanturę.

- Nie miej wyrzutów sumienia - odrzekł Han, nie przestając wpatrywać się w jezdnię przed kołami wehikułu. - Próbowałam nas ostrzec, a my cię nie usłuchaliśmy. Myślę, że przylecieliśmy tu i tak - bez względu na to, co byś nam powiedziała. Dzięki tobie zachowywaliśmy się ostrożniej, to wszystko. Postąpiłaś słusznie. I spisałaś się na medal.

- Dziękuję - odparła wzruszona Kalenda. - Twoje słowa znaczą dla mnie więcej niż możesz sobie wyobrazić. Mam nadzieję...

Przerwała, ponieważ uświadomiła sobie, że i tak powiedziała za dużo.

- Masz nadzieję...? - zachęcił ją Solo.

- Mam nadzieję, że twoim bliskim nie stanie się nic złego. Przepraszam. Traktuję tę sprawę w kategoriach osobistych. Spędziłam jednak tyle czasu, obserwując ich i strzegąc...

- W porządku - powiedział Han. - Dziękuję, że to powiedziałaś. Ja także mam nadzieję, że nie stanie im się żadna krzywda.

- To ja dziękuję - odparła Kalenda. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogłam ci pomóc.

Pierwszy raz Han Solo oderwał wzrok od nawierzchni drogi i popatrzył na kobietę. Uśmiechnął się ciepło.

- I wzajemnie, pani porucznik. I wzajemnie - powiedział, poczym znów wbił wzrok w ciemności przed wehikułem. - Zbliżamy się do granic kosmoportu - oznajmił. - Gdzie jest ta boczna droga, w którą powinienem skręcić?

- Już niedaleko - odparła agentka. - To polna droga... o, tam!

Pojazd kołowy skręcił w odnogę i natychmiast zaczął podskakiwać na nierównościach terenu.

- Jedź dalej, jedź dalej... dobrze, trochę zwolnij... - mówiła Kalenda. - A teraz wyłącz światła i na chwilę się zatrzymaj.

Han wyłączył silnik. Kobieta chwyciła makrolornetkę i wyskoczyła, a potem gestem zachęciła Han, aby poszedł w jej ślady. Uklękła i zaczęła się czołgać na

wierchołek niewielkiego pagórka, który wznosił się po prawej stronie - i niemal natychmiast rozciąła skórę ramienia o jakieś źdźbło ostrej jak brzytwa trawy.

- To tutaj, jestem pewna - oznajmiła, odwracając się do Hana.

Mężczyzna wczołgał się na pagórek, nie kalecząc się ani nie raniąc. Kalenda roześmiała się cicho.

- Co się stało - zapytał Han. - O co chodzi?

- Zamknięty krąg - mruknęła. - To właśnie tu leżałam, gdy przylatywałaś, a teraz ty leżysz w tym samym miejscu, żeby zobaczyć, jak będę odlatywała.

- To większy krąg niż ci się wydaje - zauważył Solo. - W końcu postanowiliśmy uciec się do pierwotnego planu. Ja zwrócę na siebie ich uwagę i postaram się narobić jak najwięcej zamieszania, dzięki czemu ty będziesz miała większą szansę wykonania zadania.

- No cóż, miejmy nadzieję, że tym razem się powiedzie - rzekła agentka, po czym postanowiła przejść do rzeczy. - Tak czy owak, chyba nigdzie nie uda się nam podejść bliżej do ogrodzenia. Widzisz je? Prosto przed nami, w dole, jakieś sto metrów stąd?

- Widzę - odparł Han. - Bądź spokojna. Wybrałaś już statek?

- Jeszcze chwilę. - Ponownie przyłożyła do oczu sfatygowaną makrolornetkę. Te urządzenia nigdy nie spisywały się dobrze w podczerwieni - westchnęła. Przekonajmy się, co tam jest... nie, nic oprócz kieszonkowych patrolowców. Do niczego; nie mają jednostek napędu nadświetlnego. A tam? Chwileczkę... Jest! Myśliwiec typu X-TIE, mniej więcej pięćset metrów od ogrodzenia.

- Nie znoszę Brzydali - powiedział Han - ale to ty będziesz nim leciała. Jesteś pewna, że ma silniki napędu nadświetlnego?

- Powinien - stwierdziła Kalenda. - A zresztą, oprócz niego nie widzę żadnego innego statku, do którego zdążyłabym dobiec.

- A strażnicy? - zainteresował się Solo.

- Jeden pilnuje maszyny typu X-TIE. Wokół patrolówek nie widzę nikogo. Możliwe, że brakuje im personelu.

- Miejmy nadzieję - odparł Han. Jeżeli to prawda, te patrolowce długo nie pożyją. A teraz, do roboty. Przygotuj się, żeby stopić siatkę, kiedy zacznę zjeżdżać z pagórka.

Kalenda wyciągnęła blaster.

- Jestem gotowa - powiedziała.

- Do zobaczenia po tamtej stronie - pożegnał ją Solo.

Beztrąsko zasalutował i, nie odwracając się, wycofał się rakiem z pagórka, po czym ruszył z powrotem do pojazdu.

Kiedy wsiadł do starego wehikułu, sprawdził, czy jego blaster jest gotów do strzału, a termiczne miniaturowe detonatory spoczywają w zasięgu ręki. Założył na głowę gogle antybłyskowe. Miał nadzieję, że tym razem nie zawiodą. Powinny natychmiast zareagować na każdy błysk albo zmianę oświetlenia, ale czasami lubiły trochę kapryścić. W każdym razie, zapowiadało się ciekawie. Han upewnił się, czy zapiął pasy bezpieczeństwa, po czym uruchomił silnik i włączył reflektory.

Niezdarny wehikuł zaczął wjeżdżać na wzgórze. Kiedy pokonywał wzniesienie, jedno koło zmiażdżyło kępę ostrej trawy. Z prawej strony wyskoczyła seria strzałów z

blastera - to Kalenda starała się stopić siatkę ogrodzenia bezpośrednio przed maską pojazdu. Laserowe błyskawice dotarły do celu, ale siatka się nie poddała. Widocznie ogrodzenie było bardziej wytrzymałe niż na to wyglądało. Han przycisnął pedał gazu do samej podłogi. Pojazd skoczył jak przynaglony ostrogą, po czym trafił w ogrodzenie tam, gdzie nadwątlili je blasterowe smugi. Przedał się na drugą stronę, ale Han musiał mocno trzymać kierownicę, ponieważ wehikuł trząsał się i zataczał jak pijany. Po chwili, kiedy koła wjechały na twardą nawierzchnię płyty lądowiska, odzyskał panowanie nad pojazdem. Skierował go ku najbliższemu kieszonkowemu patrolowcowi i ponownie wcisnął pedał gazu do oporu.

Z ciemności wyskoczyła laserowa błyskawica. Rozprysnęła się o permabetonową płytą tuż przed kołami maszyny. Reagując chyba odruchowo, Han zakręcił kierownicą, ale po sekundzie ponownie skierował pojazd ku patrolowcowi. Wyjął blaster i wysunął lufę przez okno drzwiczek kierowcy. Nie zwracając sobie głowy celowaniem, kilka razy wystrzelił w kierunku, skąd padły strzały. Nie liczył na to, w coś trafi, toteż zdumiał się, kiedy w odległości kilkuset metrów w bok od wehikułu pojawił się oślepiający błysk eksplozji. Domyślił się, że trafił w zbiornik z paliwem, i ucieszyła go ta nieoczekiwana premia.

Dojeżdżał właśnie do pierwszego kieszonkowego patrolowca. Odłożył blaster, chwycił kierownicę lewą dłonią, a prawą sięgnął po minidetonator. Odbezpieczył niewielki ładunek wybuchowy, a potem zwolnił na tyle, aby rzucić go w kierunku koreliańskiej maszyny. Po chwili ponownie wcisnął pedał gazu do oporu. Chciał znaleźć się jak najdalej, kiedy ładunek wybuchnie.

GRUCH! Detonator eksplodował z oślepiającym błyskiem, z którym i tym razem gogle poradziły sobie wręcz popisowo. W ułamku sekundy straciły niemal całą przezroczystość. Po kilku sekundach zaczęły jednak odzyskiwać poprzednie właściwości, a wówczas Han zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Przekonał się, że siła eksplozji doszczętnie zniszczyła kieszonkowy patrolowiec, a sadząc po średnicy i głębokości krateru, niewiele brakowało, aby do towarzystwa dołączył także jego pojazd.

Następnie popatrzył w stronę zniszczonego fragmentu ogrodzenia. Pomimo panujących ciemności zauważył ubraną na czarno postać, która biegła ile sił w nogach w kierunku myśliwca typu X-TIE.

- Szybciej! - krzyknął, chociaż nie było szansy, aby kobieta go usłyszała. - Szybciej!

Z nieba zaczęły spadać płonące szczątki zniszczonej maszyny i Han musiał kluczyć po pasie startowym, aby go nie trafiły.

ŁUP! Kolejny strzał z blastera; tym razem jednak trafił w silnik wehikułu. Pojazd stanął w ogniu. Ujrawszy płomienie, Solo doszedł do wniosku, że lepiej będzie znaleźć się gdzie indziej. Ponieważ wehikuł nie przestawał toczyć się po permabetonie, puścił kierownicę. Chwycił blaster i pozostałe minidetonatory, a potem wepchnął je do kieszeni, rozpiął pasy bezpieczeństwa i otworzył drzwiczki.

Wyskoczył ze zwalnającego pojazdu, ale przewrócił się i wylądował na detonatorach. Bardzo szybko wstał i pobiegł, najszybciej jak umiał. Kierując się w

stroną następnego kieszonkowego patrolowca, usiłował biec pod osłoną płonącego i dymiącego pojazdu. Kidy znalazł się blisko koreliańskiej maszyny, wyciągnął detonator, odbezpieczył i nastawił opóźnienie, a potem potoczył po płycie w kierunku patrolowca.

Możliwe, że ochrona kosmoportu nie dysponowała dostateczną liczbą funkcjonariuszy, ale ci, którzy pełnili służbę, nie zamierzali próżnować. Han widział światła kierujących się ku niemu pojazdów kołowych; dostrzegł także kilka nadlatujących jednostek typu KP. W płytę lądowiska na prawo od niego trafiły kolejne laserowe błyskawice. Han skulił się odruchowo, po czym odpowiedział ogniem.

Nie zwalniając biegu, znów spojrział w kierunku myśliwca X-TIE. Uczynił to w samą porę, żeby dostrzec, jak ubrana w czarny kombinezon figurka wspina się do kabiny.

Postanowił jak najszybciej pozbyć się pozostałych detonatorów termicznych, nie próbując wyrządzać dużo zniszczeń. Przekonał się, że zostały ostatnie trzy. Na każdym ustawił opóźnienie i odrzucił jak najdalej od siebie. Poszybowały w trzy strony świata - wszystkie z wyjątkiem tej, gdzie agentka Wywiadu Nowej Republiki właśnie uruchamiała silniki Brzydala.

Blask trzech eksplozji musiał okazać się zbyt silny dla gogli, które ściemniały, ale za nic nie chciały stać się znów przezroczyste. Han zdarł je z głowy i przystanął. Z uśmiechem na twarzy obserwował, jak myśliwiec typu X-TIE podrywa się w powietrze, przelatuje nad jego głową i znika w mrokach przestworzy. Leciła nim kobieta, która miała duże doświadczenie. Han był pewien, że nie doścignie jej pilot żadnego koreliańskiego kieszonkowego patrolowca.

Tymczasem strażnicy kosmoportu zaczęli go osaczać. Po chwili pilot krążącego nad jego głową poduszkiowca włączył reflektor i pochwyił Hana w stożek oślepiającego blasku. Mężczyzna roześmiał się, a potem rzucił blaster na płytę lądowiska i uniósł ręce nad głowę. Cierpliwie czekał, aż strażnicy, nie przestając mierzyć do niego z blasterów, otoczą go i pochwyć.

Jego misja zakończyła się powodzeniem.

W końcu dotarli do awaryjnej klatki schodowej i przekonali się, że na stopniach nie leży zbyt wiele gruzu. Uprzątnęli schody na tyle, żeby Leia zdołała przejść, po czym wspięli się na piętnaste piętro Korony.

Kiedyś, na samym początku, te usytuowane tu apartamenty stały się domem dla niej i dla członków jej rodziny. Wszyscy mieszkali tu bezpiecznie i zadowoleni, że mogą być razem. A teraz? Teraz rozproszyli się we wszystkie strony. Przez puste otwory okienne wpadały podmuchy lodowatego wiatru.

Z tej wysokości Leia widziała jednak wszystko, co działo się w kosmoporcie. Przyłożyła do oczu sprawną makrolometkę i zobaczyła błyski silnych eksplozji. Od czasu do czasu nad pogrążoną w ciemnościach płytą lądowiska przelatywały błyskawice strażów laserowych. Tu i tam kończyły się dopalać wraki gwiazdnych statków. Leia dostrzegła nawet startujący i niknący na tle czarnego nieba dziwaczny myśliwiec typu X-TIE.

Nigdzie jednak nie zobaczyła Hana.

Obawiała się, że może go już nigdy nie zobaczyć.

Trzęsąc się i dygocząc, myśliwiec X-TIE nabierał wysokości. Wyglądało na to, że dziwaczna hybryda lada chwila rozleci się na kawałki. A pani porucznik Belindi Kalenda obawiała się, że wyzionie ducha. Mimo to zmusiła maszynę, żeby pięła się coraz wyżej. Zamierzała wydostać się z atmosfery i ukryć w pustce przestworzy. Dopiero teraz rozumiała, dlaczego inni nazywali te maszyny Brzydalami.

Dobrze chociaż, że jej Brzydał miał absolutnie standardową jednostkę napędu nadświetlnego i taki sam komputer astronawigacyjny. W końcu maszyna wyskoczyła ponad warstwy atmosfery. Chcąc, żeby nadal leciała tym samym kursem, Kalenda wpisała odpowiednie współrzędne, a sama zajęła się obliczaniem parametrów skoku, który miał jej umożliwić jak najszybsze dotarcie na Coruscant.

W pewnej chwili zmarszczył brwi na widok zestawu danych, które ukazywały się na monitorze. Coś tu się nie zgadzało. Wartości parametrów tła grawimetrycznego były o wiele za duże, i co dziwniejsze, z każdą sekundą się zwiększały. Wprawdzie nie osiągnęły jeszcze na tyle dużego poziomu, żeby uniemożliwić dokonanie skoku, ale należało uznać, że jest to jedynie kwestia czasu. Agentka jeszcze nigdy nie spotkała się z tak dużymi wartościami - jeżeli nie liczyć ćwiczeń, kiedy w sąsiedztwie znajdował się interdyktem.

Tylko kto mógłby sprowadzić tu, do systemu Korelii, okręt interdyscyjny?

Pragnąc skompensować oddziaływanie rosnącej siły przyciągania, Kalenda zwiększyła dopływ energii do jednostki napadowej, po czym - od czasu do czasu zerkając na czujniki - skończyła obliczać parametry skoku. Wpisała dane do pamięci komputera nawigacyjnego, a potem przekazała mu sterowanie i postanowiła uzbroić się w cierpliwość.

Po chwili usłyszała i wyczuła, jak do życia obudziły się silniki napędu nadświetlnego. Punktiki gwiazd przemieniły się w ogniste smugi. Brzydał typu X-TIE szarpnął się i zadygotał, a potem gwałtownie wskoczył do nadprzestrzeni.

Jeden z tych, - pomyślała Leia. - Jeden z wielu asystentów, pomocników i doradców, którzy zwykle otaczali ją niczym chmura. Zawsze czegoś od niej chcieli. Jeden z nich czekał teraz u stóp schodów. Zauważyła, że wpatruje się w nią, jakby oczekiwał, aż przywódczyni Nowej Republiki kiwnie głową i tym samym da znak, że pozwala mu podejść. Bardzo młody i bardzo gorliwy funkcjonariusz trzymał nieodłączny komputer notatnik, bez wątpienia pełen bardzo ważnych danych. Służbowy kombinezon technika sprawiał wrażenie czystego i wzorowo wyprasowanego, zupełnie jakby jego właściciel nie przeżył wszystkich koszmarnych wydarzeń jakie działy się od samego rana. Leia oceniła mężczyznę od pierwszego rzutu oka: inteligentny, spostrzegawczy, energiczny i uprzejmy.

Bez względu na to, dokąd się udawała, tacy jak on zawsze cierpliwie czekali, aż zechce zwrócić na nich uwagę. Zawsze chcieli zapytać ją o coś ważnego albo przekazać jakąś cenną informację. Pragnęli jedynie, żeby poświęciła im najwyżej dwie czy trzy

minuty swojego życia... żeby wysłuchała albo udzieliła jakiejś rady. Prawdopodobnie nie obchodziło ich, że niedawno straciła wszelki kontakt z mężem i dziećmi, i nie miała pojęcia, czy i kiedy ich znów zobaczy. Czyż nie mogli zostawić jej w spokoju?

Rzecz jasna, prawda wyglądała tak, że nie mogli. Podobnie jak Leia nie mogła przestać troszczyć się o losy galaktyki, a chyba nigdy nie miała na to dość czasu. Tej nocy niebezpieczeństwo groziło również wielu innym istotom i członkom ich rodzin, a wszyscy mieli nadzieję, że to właśnie ona przywróci ład i spokój. Leia postanowiła zatem, że zapomni o własnych zmartwieniach. Szybki zesłała po schodach do młodego technika, który chciał się z nią zobaczyć.

- Dobry wieczór pani - odezwał się młodzieniec.

Pod jakim względem dobry? - pomyślała Leia. Mimo to, kiedy się odezwała, jej głos brzmiał trochę bardziej uprzejmie.

- Dobry wieczór - powiedziała, uśmiechając się z przymusem. - Czy chciał pan ze mną porozmawiać?

- Tak, proszę pani - przyznał młody technik. - Chyba odkryłem coś, o czym powinna pani wiedzieć. Pracuję w sekcji łączności. Niestety, przez to zagłuszenie nie możemy wysyłać ani odbierać żadnych sygnałów, ale kiedy starałem się uporać z tym problemem, zauważyłem, że czujniki grawimetryczne pokazują bardzo dziwne dane.

- I uważa pan, że to coś niezwyklego? - zapytała cierpko Leia, ale natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. - Przepraszam - dodała szybko, pocierając czoło. - To nie pana wina. Proszę, niech mi pan powie, co powinienam wiedzieć.

- Ach, tak. Dziękuję pani. Wszystko sprowadza się do tego, że coś chyba odkształca przestworza tak, jak uczyniłby to interdyktor.

Dopiero teraz młody, energiczny technik mógł zauważyć, że przywódczyni Nowej Republiki poświęca mu całą uwagę. Okręty interdykcyjne stosowano w jednym jedynym, celu... do generowania pola grawitacyjnego - tak silnego, że w pobliżu nie mogła tworzyć się nadprzestrzeń. Oznaczało to, że jednostki, które znalazły się w zasięgu pola interdykcyjnego, nie były w stanie dokonać skoku do nadprzestrzeni. Inne zaś, które już w niej przebywały i którym zdarzyło się przelatywać przez takie pole, bywały raptownie - czasami gwałtownie - ściągane do normalnych przestworzy.

- Proszę, niech pan mówi dalej - powiedziała Leia.

- No cóż, w tej chwili pole jest bardzo słabe, ale z każdą minutą przybiera siłę. Zupełnie, jakby w sąsiedztwie Korelii powoli rozgrzewał się generator interdykcyjny. Na razie jeszcze nie ma takiej mocy, żeby zmusić statek do wyskoczenia z nadprzestrzeni albo uniemożliwić mu dokonanie skoku, lecz niedługo ją osiągnie. Ale to jeszcze nie najgorsze, o czym chciałem pani powiedzieć.

- A co jest jeszcze gorszego? - zapytała Leia.

- Rozmiary sfery interdykcyjnej, proszę pani - odparł technik. - Jeżeli to pole będzie nadal przybierało na sile w takim samym tempie, niedługo obejmie cały system gwiazdny Korelii.

- Cały system? - powtórzyła Leia. - To niemożliwe. Nikt nie zdołałby wytworzyć pola interdykcyjnego o takim zasięgu.

- Ktoś jednak je wytwarza, proszę pani - odparł młodzieniec. - A kiedy pole osiągnie pełną siłę, żaden statek nie pozostanie w nadprzestrzeni w odległości tygodnia świetlnego od systemu. Zostaniemy odcięci od reszty wszechświata.

Młody technik odłożył na bok komputerowy notatnik, a potem splótł palce, spuścił głowę i jakby dręczony poczuciem winy spojrzął w kąt pomieszczenia. Kiedy znowu przemówił, pierwszy raz w jego głosie dało się słyszeć przerażenie.

- A to oznacza, że nikt nie pośpieszy nam z pomocą.

Leia Organa Solo postanowiła przez jakiś czas być sama; udała się więc do pozbawionej okien, opustoszałej sali konferencyjnej. Znalazła ją po drugiej stronie korytarza, niemal dokładnie naprzeciwko gabinetu gubernatora generalnego. Usiadła i oddała się rozmyślaniom. Miejsce zostało dobrze wybrane, ponieważ nie widziała ani kosmoportu, ani nieba, ani gwiazd, które nagle oddaliły się bardziej niż kiedykolwiek.

Straciła kontakt ze wszystkimi członkami rodziny. Jej mąż i dzieci zniknęli w mrokach przestworzy. W ciągu jednego dnia cały system koreliański ześlizgnął się w objęcia najgorszej, bezsensownej nienawiści... czegoś, co miało należeć tylko do haniebnej przeszłości. Czegoś pozostawionego na śmietniku historii i od tysięcy pokoleń zapomnianego. A jednak... Oto sąsiad zwracał się przeciwko sąsiadowi, a istota jednej rasy sięgała po broń, aby walczyć ze wszystkimi pozostałymi. Leia obawiała się, że wraz ze wzrostem liczby ofiar nienawiść będzie się potęgowała. Co gorsza, cały sektor koreliański oderwał się od Nowej Republiki. Tym samym pokazał drogę innym sektorom i kusił je, aby poszły w jego ślady. Leia najlepiej wiedziała, jak krucha i wrażliwa - pomimo upływu tylu lat - jest wciąż jeszcze tkanka Nowej Republiki. Uświadamiała sobie - może lepiej niż ktokolwiek inny - jak łatwo dawało się ją rozerwać i jak trudno było później scalić ją na nowo.

A poza polityką, miała też na głowie wiele innych problemów. Dokąd udała się Mara Jade? Kiedy przekazała sześcian informacyjny, po prostu zniknęła. Jakim cudem garstka krzykaczy, którzy nazwali się Ligą Ludzką, zdołała wykraść najściślej strzeżone tajemnice Nowej Republiki? Gdzie zdobyli technologię, dzięki której umieli, ilekroć zapragnęli, wywoływać eksplozje gwiazd supernowych? Czy gdyby ich żądania miały pozostać niespełnione, naprawdę zamierzali posunąć się do zniszczenia całego zamieszkanego systemu gwiazdowego, skoro oznaczałoby to śmierć milionów niewinnych istot? I kto mógł wytwarzać tak potężne pole interdykcyjne?

I wszyscy liczyli na nią. Wierzyli, że znajdzie wyjście z sytuacji. Gdyby Leia zadała sobie trud wykorzystania choćby cząstki umiejętności władania Mocą, wyczułaby, czego oczekują ludzie zgromadzeni w gabinecie Micamberlecta. Ufali jej i wierzyli, że dopóki będzie z nimi, nie stanie się im nic straszego.

Tymczasem Leia nie miała pojęcia, co zrobić i jak ich ratować.

Sięgnęła zatem w głąb własnego umysłu. Zacerpnęła część energii Mocy, żeby znaleźć w sobie siłę, która miała pozwolić jej przetrwać najtrudniejsze chwile.

Luke Skywalker powrócił do sterowni „Ślicznotki” i zajął miejsce w fotelu drugiego pilota.

- Prawie u celu - odezwał się Lando. Odwrócił się w swoim fotelu i popatrzył na przyjaciela.

- To dobrze - odparł Mistrz Jedi, zajęty zapinaniem pasów sieci ochronnej. - Cieszę się na myśl o tym, że niedługo zobaczę się z Hanem, Leią i ich dziećmi.

Lando wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

- A ja chyba jeszcze bardziej, kiedy pomyślę o wszystkich korzystnych transakcjach handlowych, jakie uda mi się zawrzeć podczas konferencji.

Luke wybuchnął śmiechem.

- Gdyby to było takie proste - zaczął - może...

Nagle cały kadłub „Ślicznotki”, od dziobu do rufy, przeniknęło niesamowite drzenie. Po chwili statek szarpnął się, jakby wpadł na przeszkodę. Zaczął koziółkować, a w sterowni rozległo się pięć czy sześć sygnałów alarmowych.

- Luke'u! - krzyknął Lando, nie przestając zmagać się ze sterem wysokości. - Trafiliśmy na pole interdykcyjne! Wytraściło nas z nadprzestrzeni! Wyłącz silniki, bo w przeciwnym razie się spalą!

Luke wyciągnął rękę i wyłączył zasilanie jednostki napędowej, dzięki czemu większość sygnałów alarmowych ucichła. Lando wyrównał lot i uruchomiwszy od nowa podzespoły, zdołał uciszyć wszystkie pozostałe.

Luke nie przeszkadzał mu w pracy. Wyczuwał coś... jakieś potężne, mroczne zakłócenie Mocy. Zamknął oczy i wyteżył zmysły Jedi.

- Co to było? - zapytał Lando, kiedy w końcu odzyskał panowanie nad sterami. - Jaki maniak mógłby wytwarzać pole interdykcyjne tu, w samym środku pustki przestworzy?

- Nie tu - poprawił go Mistrz Jedi, otwierając oczy. - Tam. - Pokazał przed dziób, gdzie świeciła wciąż jeszcze ledwo widoczna gwiazda Korel. Lecąc z prędkością podświetlną, dotarliby do niej po upływie co najmniej dwóch tygodni. - Jest jeszcze bardzo słabe i wrażliwe, ale wyczuwam, jak wpływa na energię Mocy. Zahaczyliśmy o sam skraj obszaru interdykcyjnego, który obejmuje cały koreliański system gwiazdny.

- Oszalałeś? - zapytał Calrissian. - Nikt nie potrafi wytworzyć interdykcyjnego pola o takim zasięgu. Absolutnie nikt. Mowy nie ma.

- No cóż, ktoś jednak je wytworzył - odparł Luke. - Pole istnieje. To fakt. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Na szczęście nie ma wielkiej siły, a my znaleźliśmy się na obrzeżach.

Uwolnił myśli i, posługując się Mocą, wysłał je w przestworza. Tym razem jednak nie starał się wyczuć kształtu ani zasięgu interdykcyjnego obszaru. Zależało mu raczej na poznaniu myśli istot zamieszkujących planety systemu koreliańskiego. Mistrz Jedi wiedział, że nie powinien usiłować poznawać myśli konkretnej osoby, ale wyrobić sobie opinię o poglądach i emocjach. Mimo iż od systemu dzieliła go wyjątkowo duża odległość, spodziewał się, że wykryje coś, co pozwoli mu zorientować się w sytuacji.

Potęga uczuć, które odebrał, wprawiła go w osłupienie. Wyczuwał złość, strach, nienawiść, przerażenie, pragnienie zemsty, trwogę... W systemie koreliańskim szalała burza myśli i emocji.

- Posłuchaj, Lando - odezwał się w pewnej chwili. - Zawróć jacht. Odkąd wpadliśmy w to pole interdykcyjne, przelecieliśmy niewiele więcej niż kilkaset kilometrów. Opuścimy obszar oddziaływania, lecąc w normalnych przestworzach, a kiedy zostawimy pole za rurą, wytyczymy kurs przez nadprzestrzeń na Coruscant. Musimy lecieć po pomoc. I to szybko.

Lando chciał zaprotestować, ale bardzo szybko zmienił zdanie.

- Masz rację przyznał. - Masz absolutną rację.

Pochwycił rękojeść dźwigni i zaczął zmieniać trajektorię lotu.

- Pospiesz się - przynaglił go Jedi. - Nie mamy nic do stracenia.

Spojrzał przez iluminator na świecący punkcik Korela.

- Pospiesz się! - powtórzył. - Jestem pełen jak najgorszych przeczuć.